ANTOLOGIA

Wydawnictwo Poznańskie

OKNO W NIESKOŃCZONOŚĆ



Annotation

Prezentowany wybór rosyjskiej i radzieckiej fantastyki naukowej jest jedną z wielu możliwości przekazania naszym Czytelnikom ogromnej i zróżnicowanej sfery literatury pięknej, będącej w swojej istocie następstwem rewolucji naukowo-technicznej. Nawet taki wybór, siłą rzeczy zawężony do gatunków tzw. małej prozy fantastyczno-naukowej (opowieść, opowiadanie, nowela), oraz do jednej tylko literatury radzieckiej, mianowicie rosyjskiej, jest wszakże jakby konturem lub szkicem rozwoju tego obszaru literatury od zarania fantastyki naukowej do naszej współczesności. Należy się spodziewać, że Czytelnik polski dojrzy także w antologii "Okno w nieskończoność" najważniejsze tendencje współczesnej radzieckiej fantastyki naukowej. Wszystkie jej kierunki sprowadzają się bowiem do wszechstronnego i dogłębnego studium człowieka — nie do naukowo-technicznych aspektów rewolucji naukowo-technicznej, lecz do problemów społeczno-psychologicznych.

Okno w nieskończoność

Antologia
1980

Walery Briusow
Nie wskrzeszajcie mnie

Uprzedzono mnie, że działalność Instytutu Teurgicznego otoczona jest ścisłą tajemnicą, wobec czego zaopatrzyłem się w całą stertę najrozmaitszych listów polecających, i — jak się okazało — postąpiłem bardzo przezornie. W kancelarii instytutu szczegółowo zapoznano się z owymi listami, zanotowano nie tylko moje imię i nazwisko, lecz także obywatelstwo, adres, wiek, zawód i wreszcie zmuszono do podpisania oświadczenia, że utrzymam w sekrecie wszystko, co md pokażą. Gdyby nie prośby nader wpływowych osobistości i moje dość skromne zasługi i wobec nauki, mnie również najprawdopodobniej nie udałoby się przekroczyć progów zagadkowego instytutu, podobnie jak nie udało się to całej armii reporterów, oblegającej go już od trzech miesięcy, od chwili, gdy do wiadomości publicznej przedostały się pierwsze wiadomości o istnieniu tego niezwykłego przedsięwzięcia.

Szef kancelarii instytutu przekazał mnie starszemu asystentowi, który zażądał, abym przebrał się w płócienny kitel „w celu uniknięcia infekcji i zawleczenia jakiejś zarazy". Chodziło jednak głównie o to, jak przypuszczam, aby pozbawić mnie notesu i ołówka. Asystent oddał mnie pod opiekę prosektora, prosektor przekazał mnie starszemu woźnemu i dopiero ten woźny wskazał mi drogę do gabinetu dyrektora. Pod drzwiami jego gabinetu czekałem jeszcze dość długo (w tym czasie chyba zbierano jeszcze jakieś dodatkowe informacje na mój temat) i dopiero po tym wszystkim mogłem wkroczyć do sanktuarium najwyższej władzy.

Na szczęście trochę znałem dyrektora, gdyż spotykałem go ma międzynarodowych konferencjach naukowych. Może dlatego, a może wskutek listów polecających dyrektor przyjął mnie nader uprzejmie i rozpływał się w przeprosinach za kłopoty, których mi przysporzono, ale nie omieszkał przy tym dodać, że owe kłopoty wywołane są koniecznością zachowania ścisłej tajemnicy i daleko idącej dyskrecji na temat spraw, „które mogłyby zostać niewłaściwie zinterpretowane przez ciemny tłum" i przez „osoby pozbawione prawdziwie naukowego spojrzenia na świat". Mówiąc tak, dyrektor czynił mi zaszczyt, wyłączając z liczby nieszczęśników, niegodnych poznania naukowych tajemnic instytutu. A siebie przy okazji uważał częściowo za kapłana wielkiego misterium, częściowo zaś za kogoś w rodzaju bóstwa, niższego wprawdzie rangą, ale zawszeć to.

Dyrektor chciał natychmiast zacząć mnie oprowadzać po laboratoriach instytutu.

— Czy podpisał pan zobowiązanie do zachowania tajemnicy? Bardzo dobrze! Wobec tego chodźmy, pokażę panu wszystko, co…

— Bardzo pana przepraszam — zaoponowałem — ale najpierw pragnąłbym uzyskać jakieś wstępne wyjaśnienia o charakterze, by tak rzec, teoretycznym…

Z twarzy dyrektora nie dało się wyczytać szczególnego entuzjazmu i zadowolenia z takiego przejawu mojej naukowej dociekliwości.

— Przecież zna pan — odparł — w ogólnym zarysie zadania naszego instytutu. Co się zaś tyczy metod pracy, to niestety nie mam prawa ich ujawniać.

— Muszę wyznać, że nawet w ogólnym zarysie zadania instytutu są dla mnie nader niejasne.

— Przecież tyle o tym pisano w gazetach…

— Wiem tylko tyle, że instytut zajmuje się wskrzeszaniem zmarłych.

Dyrektor skrzywił się z niesmakiem.

— Istotnie, ale taka wulgarna interpretacja tego problemu naukowego jest niewystarczająca do jego zrozumienia.

— Sam pan widzi, jak dalece jestem źle poinformowany!

— Wobec tego zechce pan usiąść. Zaraz w kilku słowach wytłumaczę panu istotę odkrycia,

największego z odkryć, jakiego kiedykolwiek dokonała wiedza ścisła. Chodzi naturalnie nie o „wskrzeszanie umarłych”, jak piszą niedouczeni reporterzy, lecz o przywracanie działalności ośrodków psychicznych ukształtowanych uprzednio jednostek. To jest zrozumiałe?

— Nie bardzo.

— Wprawdzie zajmuje się pan inną dziedziną wiedzy niż my, ale rzecz jasna nie ma potrzeby referować panu współczesnego punktu widzenia nauki na znaczenie ośrodków psychicznych. Wie pan naturalnie, że czasy starego, prymitywnego materializmu już dawno minęły. O! Ponad wszelką wątpliwość nauka pozostała wartością pozytywną i taką będzie zawsze, dopóki człowiek nie odstąpi od myślenia zgodnego z prawami logiki! Jesteśmy pozytywistami w tym sensie, że negujemy wszelką mistykę i wszelkie zjawiska nadprzyrodzone. Tyle tylko, że granice zjawisk naturalnych są teraz znacznie szersze niż sto lat temu. Teraz wiemy w sposób pozytywny, że w momencie śmierci ciała ośrodek psychiczny, tworzący osobowość człowieka, nie ulega rozpadowi. Osobowość, że się tak wyrażę, przeżywa śmierć. Proszę zwrócić uwagę na „fakt, iż mówię nie o nieśmiertelności duszy, lecz o postbycie osobowości, stwierdzonym eksperymentalnie…

— Zgoda! Ale przecież osobowość po śmierci jest niewidzialna i niewyczuwalna.

— Tu się pan myli. W jaki sposób moglibyśmy ustalić istnienie postbytu osobowości, gdybyśmy nie uczynili jej postrzegalną dla naszych narządów zmysłów?

— Spirytyzm?

— Ach, darujmy sobie te bezsensowne etykietki! Nie spirytyzm, lecz teurgia, metoda naukowo-doświadczalna, pozwalająca zespołom psychicznym, będącym dawniej osobowościami, oddziaływać na elementy materialne czasoprzestrzeni.

Długo jeszcze musiałem wyciągać z dyrektora skąpe informacje na temat tego, co nazywał „problemem Instytutu Teurgicznego”. Wreszcie wydusiłem z niego jedno tylko wyznanie: instytut jakimiś szczególnymi, stanowiącymi jego tajemnice metodami zaopatruje w nową energię „ośrodki psychiczne, będące niegdyś osobowościami”, przy czym owe ośrodki stają się materialne i otrzymują wygląd zewnętrzny istoty żywej — człowieka. Nic więcej nie udało mi się osiągnąć, chociaż uprzejmy dyrektor był niezwykle wymowny, gdy trzeba było wyjaśnić jakieś pojęcie znane ze szkoły.

— Najlepiej będzie, jak udamy się wprost do naszego laboratorium — powiedział wreszcie dyrektor, zmęczony widać uchylaniem się od odpowiedzi. — „Spójrz i przekonaj się”, jak powiedział Chrystus do niewiernego Tomasza.

Dyrektor wezwał asystenta i woźnego, którzy zaopatrzyli się w pęk kluczy i zaproponowali, abym poszedł z nimi. Usłuchałem, choć zadania instytutu były dla mnie nadal tak samo niejasne, jak w chwili przekraczania jego progu.

Przed drzwiami laboratorium dyrektor zatrzymał się i uprzedził mnie:

— Orientuje się pan zapewne, że odtworzone osobowości wymagają specjalnych warunków do podtrzymywania istnienia. Niezbędna jest atmosfera o wysokim stopniu czystości i zawartości gazów promieniotwórczych oraz niektórych innych składników. Proszę się więc nie dziwić, że odtworzeni są odizolowani od rzeczywistości zewnętrznej.

Skłoniłem się, dając tym do zrozumienia, że nie będę się dziwił. W ogóle przyrzekłem sobie niczemu się w instytucie nie dziwić. Woźny zadzwonił swoimi kluczami, asystent swoimi: drzwi otworzyły się i weszliśmy do środka.

Laboratorium tonęło w absolutnej ciemności. Kiedy zapalono światło, stwierdziłem, że znajdujemy się w wielkiej podłużnej sali, przypominającej do złudzenia salę wystawową muzeum, panoptikum lub akwarium. Wzdłuż ściany stały ogromne szklane skrzynie czy klatki, a właściwie akwaria, hermetycznie zamknięte ze wszystkich stron. Takich szklanych zbiorników stało w sali dwanaście, po sześć z każdej strony. Dziewięć było próżnych, a trzy pozostałe spowijała jakaś ciemna tkanina. Przy każdej klatce stały słupki z mnóstwem guzików, wyłączników, przełączników i dźwigni oznaczonych cyframi i literami. U

góry każdej klatki widniała tabliczka z napisem, niczym w szpitalu nad łóżkiem chorego.

— Macie tylko trzech odtworzonych? — zapytałem.

— O, to jedynie kwestia środków materialnych! — wykrzyknął dyrektor. — Utrzymanie każdego postbytu pochłania kolosalne sumy! Energia elektryczna, rad, sztuczne powietrze — pan rozumie… Budżet instytutu pozwala na posiadanie jednocześnie tylko trzech obiektów doświadczalnych. Za to stale je zmieniamy.

— Jak długo pozostaje u panów jeden obiekt?

— Od czterech dni nawet do dwóch tygodni, ale nie dłużej. Doświadczenia wykazały, że koncentracji odtworzonego nie sposób dłużej utrzymać, gdyż po tym terminie zaczyna się samorzutnie rozpadać. Może winne tu są nasze jeszcze niezbyt doskonałe metody… W każdym razie obecnie odtwarzamy obiekty na wymieniony przeze mnie okres.

— Jest to więc wskrzeszanie krótkoterminowe! — nie zdołałem powstrzymać się od złośliwości.

— Nie używajmy słowa „wskrzeszanie” — znów skrzywił się dyrektor. — To nie jest przecież termin naukowy! — dodał z wyrzutem i chcąc uniknąć dalszej dyskusji, zaprowadził mnie do klatki nr 1. Ale ja nie rezygnowałem:

— Proszę mi wybaczyć moje natręctwo, ale nadal nie bardzo rozumiem. Przecież każdy z odtwarzanych przeżywał różne etapy wiekowe. Nie wiem, jakim cudem — przy słowie „cud” dyrektor skrzywił się, jakby go rozbolały zęby — ta „osobowość”, której nadajecie nowy impuls energii, ponownie się materializuje…

— Staje się postrzegalna przestrzennie — poprawił mnie asystent.

— Zgoda, „staje się postrzegalna przestrzennie”. Ale w jakiej postaci? Niemowlęcia? Młodzieńca lub dziewczyny? Dorosłego człowieka lub wreszcie takiego, jakim był w chwili śmierci? Jak Deifobos, którego

Eneasz widział w Tartarze z obciętymi uszami i nosem?

Myślałem, że dyrektor obrazi się na mnie, ale on z wyraźnym zapałem podchwycił moje słowa:

— O tak! To był niezwykle interesujący problem! Rozwiązaliśmy go dopiero doświadczalnie, chociaż wyniki eksperymentu można było przewidzieć teoretycznie. Wygląd odtwarzanego jest odzwierciedleniem jego własnych wyobrażeń na swój temat. Dlatego też ów wygląd odpowiada takiemu momentowi pierwszego istnienia odtwarzanego, w którym jego psychika osiągnęła najwyższy stopień rozwoju. Możliwe są więc obiekty występujące w postaci człowieka dojrzałego, starca lub nawet dziecka. Na przykład w wypadku przedwczesnego rozwoju intelektu, co się przecież zdarza… Ale najlepiej będzie, jeśli omówimy to dokładniej na przykładzie obiektów.

Nie mogłem się już opierać. Dyrektor chwycił mnie za rękaw płóciennego kitla, w który mnie przebrano, i niemal siłą zawlókł mnie do najbliższej klatki. Przeczytałem napis na tabliczce: „Hegel, profesor filozofii. 1770–1831”.

— Co?! — wykrzyknąłem.

Dyrektor i asystent uśmiechnęli się z pełnym wyższości pobłażaniem.

— Aby odtworzyć osobowość — wyjaśnił mi tym razem asystent — musimy dokładnie znać jej życiorys, charakter, a nawet wygląd. Dlatego obiektami doświadczalnymi mogą być wyłącznie jednostki wybitne, których życie znamy. To przecież zupełnie oczywiste!

— O tak, naturalnie, zupełnie oczywiste! — zgodziłem się skwapliwie.

Dyrektor dał znak, nacisnął jakieś guziki… Zasłony zakołysały się, a za nimi rozbłysło światło. Z kolei zamierzał odsunąć zasłony, ale zawahaj się i znów zwrócił się do mnie.

— Wie pan — powiedział — teurgia jest jeszcze nauką bardzo młodą i dlatego nasze doświadczenia miewają pewne braki… Muszę pana uprzedzić, że eksperyment;z Heglem niezbyt nam się powiódł.

— To nie jest Hegel? — zapytałem.

— Ależ skąd! To bez wątpienia jest Georg Wilhelm Friedrich Hegel, twórca filozofii dialektycznej. Chodzi o coś innego. O to mianowicie, że odtworzenie udało się jedynie częściowo. Najprawdopodobniej Hegel identyfikował się wyłącznie z własną twarzą i nie czuł swojego ciała… Dlatego… Ale zaraz pan zobaczy…

Dyrektor odsunął ciemne zasłony. Zobaczyłem wnętrze akwarium. Był to sześcienny pokój o ścianach z grubego szkła i zupełnie pusty, jeśli nie liczyć czegoś w rodzaju leżanki stojącej na samym jego środku. Na tym meblu leżało coś szarego, jakieś kłęby ni to tkaniny, ni to gęstej mgły, z której wyłaniała się głowa o szlachetnym obliczu, tym samym, o którym Schopenhauer powiedział w przystępie złego humoru: „Gęba karczmarza o wyrazie nie pozostawiającym najmniejszych wątpliwości, że to tępy łeb”.

Hegel spał lub był nieprzytomny. Oczy miał zamknięte, kąciki ust opuszczone. Z wyglądu można mu było dać jakieś trzydzieści do trzydziestu pięciu lat, ale w cerze policzków, w powiekach było coś starczego. To nie był trup, ale też i nie żywy człowiek. Jeśli chodzi o ciała to zamiast niego na leżance spoczywała bezkształtna masa zawinięta w szarą tkaninę, ale przyjrzawszy się uważniej stwierdziłem, że owa masa w swojej górnej części słabo wibruje, jakby biło tam ludzkie serce!

Dyrektor był uszczęśliwiony i patrzył na mnie wzrokiem triumfatora.

— Zaraz go obudzimy — oświadczył.

Znów nacisnął jakieś guziki, przekręcił wyłączniki i nagle twarz leżącego człowieka drgnęła, powieki uniosły się do góry i ukazały tępe, wpatrzone w nas bezmyślnym wzrokiem oczy. Hegel patrzył na nas i najwidoczniej usiłował coś zrozumieć.

— Porozmawiajmy z nim! — wykrzyknął dyrektor.

Chwycił słuchawkę telefonu zawieszonego na słupku, zbliżył ją do warg i wrzasnął po niemiecku:

— Panie profesorze! Jak się pan dzisiaj czuje?

Po czym podał mi słuchawkę.

Patrzyłem na twarz Hegla, który usłyszał pytanie, ale nie wiem, czy je zrozumiał. W każdym razie poruszył wargami, część ciała, odpowiadająca piersiom, naprężyła się, jakby płuca z całej siły usiłowały wydać dźwięk, i wreszcie dobiegł mnie ochrypły, głuchy, nienaturalny głos:

— Napiłbym się mleka!

To był łaciński zwrot, oznaczający dokładnie „Nieco mleka!”.

— Co, co on mówi? — spłoszył się dyrektor.

— Prosi o mleko — odparłem zwracając mu słuchawkę.

— Ach, zaraz, zaraz! Śniadanie nr 11 — zadysponował dyrektor, zwracając się do woźnego, a do słuchawki wrzasnął po niemiecku: — Już podajemy, panie profesorze!

— Czyżby odtworzeni jedli? — poinformowałem się.

— O, naturalnie, że nie! — odpowiedział mi asystent. — Specjalnymi środkami podtrzymujemy ich siły, a oni odczuwają to jako posiłki.

Tymczasem Hegel znów zamknął oczy i zapadł w otępienie.

— Przejdźmy do następnego — zaproponował dyrektor, zasuwając zasłony i gasząc światło.

Nie oponowałem. Zbliżyliśmy się do klatki nr 2, na której widniała tabliczka: „Ninon de Lenclos. 1616–1706”.

Tym razem stłumiłem okrzyk zdumienia i zapytałem tylko:

— A to doświadczenie powiodło się w pełni?

Dyrektor nieco się speszył:

— Teurgia jest jeszcze młodą nauką… Jakieś zakłócenia w układzie oddechowym… Słowem, obiekt nie może mówić.

„No, dla tej słynnej kurtyzany nie to jest najważniejsze” — pomyślałem.

Dyrektor odsunął zasłony i oświetlił klatkę.

Na środku klatki na leżance spoczywała istota będąca bez wątpienia kobietą. Jej ciało było spowite w jakąś zielonkawą tkaninę wyglądającą jak całun. Nóg nie było widać, natomiast była para rąk, niezwykle pięknych i delikatnych. Teurgia może być słusznie dumna z odtworzenia tych rąk: takiej płynności linii, takiej doskonałości kształtu nie spotkałem u żadnego antycznego posągu! A w dodatku były to ręce żywej istoty, żywej kobiety…

Ale twarz… Ninon również spała. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że widzimy twarz młodej kobiety, chociaż jej świeża cera była poprzecinana potwornymi wprost zmarszczkami. Było coś przeraźliwie wstrętnego w tym połączeniu młodego ciała ze starczymi zmarszczkami. Czy śpiąca kobieta była piękna? Nie, pomijając nawet jej zmarszczki, nie sposób było zapomnieć o martwocie, a nawet strupieszeniu jej twarzy. To nie była maska woskowa, nie twarz dopiero co zmarłej piękności, lecz twarz mumii. Wspaniale zachowanej i zakonserwowanej kilkusetletniej mumii. Chciało się zamknąć oczy, aby nie widzieć tego sponiewieranego piękna.

Dyrektor jednak nie czuł mojej odrazy i coraz bardziej triumfował.

— Chce pan z nią porozmawiać? — zapytał mnie. — Wprawdzie nie może odpowiedzieć, ale wszystko słyszy.

Zdjął słuchawkę i powiedział po francusku:

— Dzień dobry, madame de Lenclos!

Kobieta otworzyła oczy — mętne i puste. Przez chwilę patrzyła na nas, a potem wolno, 7j widocznym trudem uniosła swoją zachwycającą rękę i zbliżyła ja do ust.

— Co to? — zapytałem. — Skarży się, że nie może mówić?

— Nie — odparł asystent. — Chce jeść.

Chciałem jak najprędzej uciec z instytutu, bo sądziłem, że już dość widziałem, ale dyrektor teraz sam nie chciał mnie puścić.

— A nasz trzeci obiekt? — zapytał. — Nie chce go pan zobaczyć? O, to jeden z naszych najśmielszych eksperymentów!

Musiałem się zgodzić. Zbliżyłem się do klatki opatrzonej napisem: „Judasz Iskariota. I w. n. e.”.

Dyrektor aż dławił się z podniecenia:

— Cóż to za triumf nauki! Proszę pomyśleć, odtworzyliśmy jednostkę, osobowość sprzed dwóch tysięcy lat!…

Zasłony odsunięte, oświetlenie włączone. Przed nami czarniawa bryła mięsa, w której ledwie można rozpoznać ludzką twarz, ręce, nogi… Bryła porusza się, drży, kolebie.

— Odtworzenie jest niezbyt dokładne — spieszy uprzedzić dyrektor — ale przecież minęły dwa tysiące lat!

Podaje mi słuchawkę, w której słyszę jakieś chrapliwe jęki.

— Ten obiekt również chce jeść?

— Nie, on tak jęczy całymi dniami, kiedy jest przytomny, nie wiadomo dlaczego. Może nieprawidłowo odtworzyliśmy któryś z narządów wewnętrznych. Poza tym życiorys Judasza znamy tylko pobieżnie…

Nie słucham już i niemal biegiem wypadam z laboratorium. Szybciej, szybciej na powietrze, do żywych ludzi!

Kiedy na pożegnanie dziękowałem dyrektorowi i asystentowi za ich uprzejmość, i wyrażałem, jak tego wymagał dobry ton, zdumienie i zachwyt, jakie wzbudzał we mnie wielki triumf nauki, obaj uczeni przyjmowali moje słowa jako wyraz należnego im uznania. Gdybym rozpalił przed dyrektorem kadzidło, zapalił przed nim lampkę jak przed świętym obrazem, też by go to chyba nie zdziwiło. Ja jednak już na odchodnym powiedziałem:

— Moim zdaniem w pańskim instytucie brakuje jednego wydziału.

— Jakiego? Zawsze jesteśmy gotowi rozbudować, poszerzyć nasze badania, które dopiero

zaczynamy. Przecież otwierają się przed nami wspaniałe perspektywy!

— Niewątpliwie, niewątpliwie. Właśnie dlatego wspomniany przeze mnie wydział jest po prostu niezbędny.

— Jakiż to wydział?

— Rejestracji podań składanych przez osoby, które nie życzą sobie, aby po śmierci Instytut Teurgiczny kiedykolwiek je odtwarzał. Ja w każdym razie złożę takie oświadczenie Usilnie proszę NIE WSKRZESZAĆ mnie metodami naukowymi!

Przetłumaczył Tadeusz Gosk

Aleksy Tołstoj
Związek pięciu

1

Trójmasztowy jacht „Flamingo”, rozwinąwszy śnieżnobiałe marsie, skośne groty i trzepoczące trójkąty kliwrów, powoli przeszedł wzdłuż mola, zawrócił łopocząc żaglami, złapał wiatr i pomknął w błękitne pola Oceanu Spokojnego.

W dzienniku kapitana portu odnotowano: „Jacht „Flamingo”, właściciel Ignacy Ruff, osiemnastu ludzi i załogi, wyszedł w morze o godzinie 16.30 w kierunku południowo-zachodnim”.

Kilku gapiów obojętnym wzrokiem odprowadzało smukłe żagle „Flamingo” niknące za horyzontem. I jeszcze dwóch i szarookich chłopaków z doków, pykając z fajeczek na tarasie nadbrzeżnej kawiarni, podzieliło się uwagą:

— Bill, gdyby „Flamingo” wychodził na spacerową przejażdżkę, byłyby damy na pokładzie.

— Ja — też tak myślę, Joe.

— Bill, chyba nie na darmo cała chmara reporterów kręciła się z rana koło jachtu.

— Jestem tego samego zdania: nie na darmo.

— A wiesz, wokół czego najbardziej się kręcili?

— No dalej, mów.

— Wokół tych długich skrzynek, które ładowaliśmy na „Flamingo”.

— To był szampan.

— Zaczynam się upewniać, że jesteś głupi jak pusta baryłka, Bill.

— Nie musisz mnie zaraz — obrażać, Joe. No więc co, według ciebie, było w tych skrzynkach?

— Jeśli reporterzy nie mogli wywąchać, co tam było, to znaczy, że i nikt tego nie wie. A poza tym „Flamingo” — zabrał zapas wody na trzy tygodnie.

— To by znaczyło, że Ignacy Ruff znowu coś wymyślił. Nie taki on głupi, żeby tłuc się na darmo przez trzy tygodnie po oceanie.

Tak pogwarzywszy sobie, obaj chłopcy popili piwa, i oparłszy się gołymi łokciami o stolik, powoli ssała swoje piankowe fajeczki.

„Flamingo” pod wszystkimi żaglami, przechylając się z lekka, pruł na skos błękitnozielone fale. Marynarze w szerokich płóciennych spodniach, w białych kurtkach i białych beretach — z wstążeczkami leżeli na wypolerowanym pokładzie połyskującym miedzią, gapili się na skrzypiące reje, na wyprężone jak struny wanty, na chłodne fale, rozpryskujące się pod wąskim dziobem jachtu na dwie spienione smugi.

Sternik, ogorzały Szwed, stał zgarbiony za kołem. Wiatr odwiewał w hak jego ognistorudą brodę wyrastającą wprost spod kołnierza. Kilka mew usiłowało uniknąć — za jachtem i pozostało w tyle. Słońce chyliło się w bezchmurny, zielonkawy, — złoty pył zachodu. Wiatr był świeży i równy.

W messie przy podłużnym stole siedziało w milczeniu, z opuszczonymi oczami i zmarszczonymi brwiami, sześciu ludzi. Przed każdym stał spotniały od lodowatego szampana szeroki kieliszek. Wszyscy palili cygara. Na górze, w szklanej kopule niebieskie dymki tz cygar porywał i unosił wiatr. Chybotliwe odblaski słońca z iluminatorów tańczyły;po czerwonym drewnie. Od kołysania miękko wgniatały się sprężyny safianowych krzeseł.

Siedząc za pęcherzykami unoszącymi się z dna (kielichów, pięciu mężczyzn — wszyscy już niemłodzi (prócz jednego, inżyniera Korwina), wszyscy ubrani w białą flanelę, skupieni, z zaciśniętymi szczękami i zesztywniałymi od napięcia barkami, słuchali tego, o czym już ponad godzinę mówił im Ignacy Ruff. Nikt w tym czasie nie tknął wina.

Ignacy Ruff mówił, patrząc na swoje ogromne ręce leżące na stole, na ich błyszczące płaskie paznokcie. Jego różowa — twarz z ogromną dolną szczęką poruszała się wyraziście. Pierś miał odsłoniętą, zgodnie z morskim obyczajem. Krótkie siwe włosy poruszały się na jego głowie razem z głęboko wklęśniętymi w czaszkę wielkimi uszami.

— …W ciągu siedmiu dni zawładniemy kolejami, transportom wodnym, kopalniami rudy i złota, fabrykami Starego i Nowego Świata. Uchwycimy w swoje ręce dwie najważniejsze sprężyny świata: naftę i przemysł chemiczny. Rozsadzimy giełdę i zgarniemy dla siebie kapitał handlowy.

Tak mówił Ignacy Rulf, cicho, ale z pewnością siebie, cedząc przez zęby krótkie słowa. Rozwijając plan akcji, kilka razy wracał do tego przyprawiającego o zawrót głowy obrazu przyszłości.

— …Prawo historii to prawo wojny. Ten, kto nie atakuje i nie zadaje śmiertelnych ciosów, ten ginie. Ten, kto czeka, kiedy na niego napadają, ginie. Ginie ten, kto nie prześciga przeciwnika rozmachem wojennego zamysłu. Chciałbym was przekonać o tym, że mój plan jest mądry i niezawodny. Pięciu dżentelmenów siedzących tutaj, (wyłączając Korwina), to ludzie odważni i bogaci. Lecz niech jutro eskadra niemieckich krążowników powietrznych zrzuci na Paryż tysiąc bomb iperytowych i w ciągu doby całą kulę ziemską otuli śmiercionośny obłok. Wtedy nie postawię ani jednego centa za wytrzymałość kas pancernych — ani mojej, ani waszych. Teraz nawet dzieci wiedzą, że w ślad za wojną wlecze się rewolucja.

Przy tym słowie czterech spośród siedzących za stołem dżentelmenów wyjęło cygara i uśmiechnęło się. Tylko inżynier Korwin niezmiennie patrzył matowymi, niewidzącymi oczyma w wydłużoną jak w krzywym zwierciadle twarz Ruffa.

…Mimo tego niebezpieczeństwa można znaleźć wielu dżentelmenów, którzy uważają wojnę za podstawowego odbiorcę na rynku przemysłowym. Ci dżentelmeni to szakale. Tchórze. Ale są i inni dżentelmeni: tacy, którzy widzą w wojnie niezastąpiony sposób na rozładowanie kryzysów gospodarczych, swego rodzaju pulsujące serce świata, które periodycznymi uderzeniami pędzi wytwory produkcji po arteriach rynków. Ci dżentelmeni są bardzo niebezpieczni, ponieważ są konserwatywni, uparci i politycznie potężni. Dopóki stoją oni, bezpośrednio lub poprzez uległe im rządy, przy sterze nawy państwowej, ani jednej nocy nie możemy spać spokojnie. Ciągle znajdujemy się o krok od krachu, od wojny, od rewolucji. A zatem winniśmy wydrzeć inicjatywę z rąk konserwatywnie myślącej burżuazji przemysłowej. Ci dżentelmeni, rozumujący jak sklepikarze z czasów wojny francusko-pruskiej, ci przedpotopowi burżuje, sami kopiący sobie groby, winni być unicestwieni. My powinniśmy zawładnąć światowym kapitałem przemysłowym. Dopóki komuniści wciąż jeszcze tylko mobilizują siły, nieoczekiwanym uderzeniem rzucimy się na burżuazję, zawładniemy bastionami przemysłu i władzy politycznej. A wtedy równie łatwo ukręcimy kark rewolucji. Jeśli tak nie uczynimy w nagłym, błyskawicznym trybie, sklepikarze nie później niż w kwietniu przyszłego roku zgotują nam wojnę chemiczną. Oto kopia tajnego dokumentu, wydanego w Waszyngtonie, dotyczącego wykupu za oceanem wszystkich zapasów indygo. Jak wam wiadomo, z indygo produkuje się iperyt.

Inżynier Korwin wyjął z teczka papier. Ignacy Ruff położył go na stole i nakrył dłonią. Na czoło wystąpiła mu nabrzmiała poprzeczna żyła, kąciki ust opadły, różowa twarz przybrała wyraz zdecydowania i surowości.

— …Idea naszego ataku jest następująca: musimy porazić świat niespotykanym i nie do zniesienia strachem…

Czwórka siedzących za stołem mężczyzn znowu wyjęła cygara z ust, ale tym razem nie uśmiechnęli się. Inżynier Korwin powoli poruszył oczyma. Ruff gwałtownie wciągnął powietrze nozdrzami.

— …Musimy wprowadzić świat w osłupienie, spowodować czasowy paraliż ludzkości. Ostrze strachu skierujemy w giełdę. W kilka dni pozbawimy ceny wszystkie wartości. Wykupimy je za grosze. A gdy w ciągu siedmiu dni nasi wrogowie oprzytomnieją — będzie już za późno. I wtedy wypuścimy manifest o wiecznym pokoju i o końcu rewolucji na Ziemi.

Ignacy Ruff podniósł kieliszek z szampanem i natychmiast odstawił go z powrotem. Jego ręka lekko drżała.

— …Jakim to sposobem osiągniemy potrzebny nam efekt wszechświatowego strachu? Sir — ciężko obrócił się w stronę inżyniera Korwina — niech pan przedstawi swoje plany…

Podczas gdy w nadbudówce miała miejsce ta dziwna rozmowa, słońce skryło się za pomroczniały skraj oceanu. Sternik, zgodnie z otrzymanym jeszcze na brzegu rozkazem, skierował statek na południe.

„Flamingo”, wybrawszy groty i sztormowe kliwry, wesoło mknął pod silnym przechyłem, to zarywając się po pokład między czarnymi falami, to wzlatując sprężyście i tańcząc na ich grzbietach. Dobry to był statek.

Piana kipiała w świetle iluminatorów, bystro umykając wzdłuż jego burt. Za burtą pozostawała wzburzona błękitnawa droga morskiej uorescencji. Grzbiety, fal rozbłyskiwały w ciemności tym chłodnym blaskiem.

Sternik, Szwed, naparł piersią na miedziane koło. Z jego fajki buchnął snop iskier. Wiatr wzmagał się. Trzeba było zrefować i zebrać marsie. Marynarze zaczęli wspinać się po wantach i zwijając żagle, chybotali się na masztach jak gawrony na wietrze.

Za oceanem wschodził księżyc — miedzianą ogromną kulą wynurzał się z mglistej poświaty. Jego światło posrebrzyło żagle. Wtedy na pokład wszedł Ignacy Ruff i jego pięciu gości. Zatrzymali się przy prawej burcie, unieśli lornetki i całą szóstką wpatrywali się w księżycowy glob wiszący nad pomarszczoną pustynią oceanu.

Sternik, obserwujący ze zdumieniem to bezpożyteczne zajęcie, któremu oddawali się tak szanowani i poważani dżentelmeni, usłyszał przenikliwy głos Ignacego Ruffa:

— Widzę to doskonale przez lornetkę. Pomyłki być nie może…

* * *

O trzeciej w nocy zbudzono koka. W nadbudówce żądano zimnego jedzenia i gorącego grogu. Goście wciąż jeszcze kontynuowali rozmowę. Później, przed brzaskiem, sześciu mężczyzn znowu wpatrywało się w księżyc, płynący już wysoko wśród blednących gwiazd.

Następnego dnia Ruff i jego czterej goście odpoczywali w brezentowych leżakach na pokładzie. Inżynier Korwin chodził od dziobu do rufy, strzelając palcami. Dzień przeszedł w milczeniu.

Nazajutrz zza skraju oceanu, ze słonecznej łuski wynurzyła się wysepka. Ignacy Ruff i goście milcząc patrzyli na jej skaliste zarysy. Korwin stał z boku skromny, milczący i blady. „Flamingo” wszedł do zatoki, przypominającej swym kształtem sierp, i zarzucił kotwicę. Goście wsiedli do szalupy, która pomknęła po zielonej, przeźroczystej jak powietrze wodzie laguny. Leniwa fala wyrzuciła łódkę na piaszczysty brzeg.

Pomiędzy blokami bazaltu kołysały się cienkie pnie palm kokosowych, za nimi cały stok pokryty był wiekowym bukowym lasem, dalej wznosiła się pionowa skalista grzęda. Ignacy Ruff wskazał na nią ręką i razem z gośćmi udał się niedawno wyrąbaną przecinką w głąb wyspy.

— Wydzierżawiłem wyspę na dwadzieścia pięć lat z prawem eksterytorialności — powiedział. — Jest tu wystarczająca ilość słodkiej wody i materiałów budowlanych. Warsztaty postawi się w górach. Stanowią one regularny krąg otaczający resztki wygasłego wulkanu. Jego krater, liczący półtora kilometra średnicy, to znakomite miejsce do montowania aparatów. Trzeba będzie tylko oczyścić dno z kamieni, i o lepszej platformie startowej trudno marzyć. Części do aparatów zamówiliśmy w fabrykach Ameryki i Starego Świata. Parowce zostały wydzierżawione i część z nich już się ładuje. Jeśli dziś podpiszemy układ — od przyszłego tygodnia praca rusza pełną parą.

Przesieka prowadziła do gładkiego słodkowodnego jeziorka. Na jego brzegu stały nowiuteńkie baraki z desek. Pod drzwiami jednego z baraków siedział w kucki chiński robotnik paląc długą fajkę, inny prał bieliznę w jeziorze. W oddali słychać było łoskot licznych toporów uderzających w drzewo. Wśród skał piął się w górę sznur osiołków objuczonych workami z cementem. Inżynier Korwin wyjaśnił, że obecnie są układane drogi i stawiane fundamenty pod warsztaty. Wskazywał trzcinką na przełęcze na

stokach gór, gdzie można było dostrzec narowiące się ludzkie figurki.

Goście — czterech potężnych przemysłowców i przyjaciół Ignacego Ruffa — z powściąganym podnieceniem słuchali objaśnień inżyniera. Ich twarze zastygły z przejęcia. Wczorajszy fantastyczny plan, przedstawiony przez Ruffa, dziś okazał się realnym twardym przedsięwzięciem, ryzykownym, ale diabelsko zuchwałym. Widok prac w górach, sam masyw górski należący do Ignacego Ruffa, jego pewność siebie, precyzyjne objaśnienia inżyniera, realność całej tej wyspy zalanej słonecznym żarem, szumiącej falami przyboju i wierzchołkami palm, nawet Chińczyk flegmatycznie piorący bieliznę — wszystko to wydało się przekonywające. A ponadto jasne było, że Ignacy Ruff nie odstąpi od zamiaru i będzie go realizował sam jeden.

Przemysłowcy weszli do pustego baraku i naradzali się długo. Ruff w tym czasie siedział na pniu i rzucał kamyki do jeziora. Kiedy jego towarzysze wyszli z baraku wycierając chustkami spocone czoła i karki, spojrzał niesamowitym wzrokiem na ich purpurowe twarze, otworzył ogromne usta i szczęka mu opadła.

— Pójdziemy z panem do końca — powiedzieli — zdecydowaliśmy się podpisać układ.

2

Ludzie, którym płacą pieniądze za to, aby wsadzali nos tam, gdzie ich nie proszą — reporterzy gazet amerykańskich — wywąchali sprawę „Flamingo” i zaczęli sypać sensacjami: o rejsie jachtu, o zakontraktowanych przez Ruffa statkach, o pracach na wyspie.

Wszystkie te gazetowe enuncjacje krążyły wokół najciekawszej zagadki — trzech długich skrzyń załadowanych na „Flamingo”.

„TAJEMNICA TRZECH SKRZYŃ”;
„TAJEMNICZE SKRZYNKI IGNACEGO RUFFA”;
„W NAJBLIŻSZY PIĄTEK NASZA GAZETA ODPOWIE NA NURTUJĄCE CAŁY ŚWIAT PYTANIE — CO BYŁO W SKRZYNIACH NA „FLAMINGO”.

Obdarzeni psim węchem dziennikarze wpadli na właściwy trop. Zawartość skrzyń stanowiła klucz do zagadki ogromnych i niepojętych robót podjętych na wyspie Ruffa.

Marynarze z załogi „Flamingo” opowiedzieli dziennikarzom, że w dzień przybycia jachtu na wyspę skrzynie zostały wyładowane i przewiezione na osłach w góry, dokąd udał się także Ignacy Ruff i jego goście. A co było najdziwniejsze, to to, że w górach dżentelmeni pozostali przez całą noc, za dnia wrócili na jacht, wyspali się, a na drugą noc i na trzecią znowu udali się na osłach w stronę wygasłego krateru.

Podupadła gazetka, która nic już nie miała do stracenia, wypuściła specjalny numer:

„Zagadka rozwiązana. W skrzyniach Ruffa zapakowane były trzy straszliwie oszpecone trupy tancerek z nowojorskiego Music-Hall-Haus”.

Huragan artykułów, telegramów, doniesień przewalił się przez amerykańską prasę. W redakcjach fotografowano miejscowe maszynistki i drukowano ich portrety jako zdjęcia rzekomych ofiar tajemniczej zbrodni.

Inna nie mająca nic do stracenia gazeta zdecydowanie wystąpiła przeciw wersji o tancerkach. Opublikowała ona zdjęcia trupów trzech agentów Kominternu zamęczonych i zamordowanych przez członków Ku— Klux-Klanu. Trzej Żydzi, rozbitkowie na życiowym oceanie, dali się w tym celu sfotografować w skrzyniach po kanadyjskich jajach.

Wytwórnia filmowa szybko odnowiła starą włoską taśmę z filmem z życia krwawej Camorry. Charlie Chaplin, ulegając naciskom mody, wystąpił w bardzo komicznym obrazie pt.: „Charlie boi się długich skrzynek”. Pod koniec „tygodnia Skrzyń Ruffa” miały miejsce ogromne manifestacje. W Filadelfii zlinczowano dwóch Murzynów.

Ale Ignacy Ruff powrócił bezpiecznie na kontynent i nie aresztowano go. We wszystkich gazetach ukazały się jego portrety i krótki życiorys. Bzdura o trupach została stanowczo zdementowana. W skrzyniach znajdowały się wyłącznie instrumenty astronomiczne. „Ignacy Ruff — informowano — bardzo interesuje się astronomią i buduje na wyspie obserwatorium.”

Tak to czyjaś doświadczona ręka przywiodła do porządku cały ten prasowy rozgardiasz i skierowała go we właściwe koryto. Podniecenia w kraju nie dało się jednak stłumić. Imię Ignacego Ruffa znowu zaczęło okrywać się aurą tajemniczości. Pisano o gigantycznym, studwudziestocalowym teleskopie zainstalowanym w górach na wyspie Ruffa. Donoszono o niezwykłej sile i czułości astronomicznych przyrządów jego obserwatorium.

Wszystko to poruszało i interesowało tylko zwykłych obywateli. Burżuazja i kręgi finansowe pozostawały niewzruszone. Przy całej podejrzliwości i ostrożności nie sposób było doszukać się związku pomiędzy astronomią i ekonomika. Chociaż ludzie bliżej znający Ruffa nie dowierzali: jakim to sposobem człowiek, interesujący się tylko naftą i przemysłem chemicznym, zaczął nagle błądzić

wzrokiem po niebie, gdzie już na pewno nie znajdzie się ani centa?

Tak minęło około pół roku. Wreszcie Ignacy Ruff zadał przygotowanej opinii publicznej pierwszy cios.

3

Od skał, ostrych jak grzbiet smoka, kładły się gęste niby węgiel cienie — ciągnęły się w dół, aż do środka krateru. Gdzieniegdzie, między rozpadlinami, pobłyskiwały księżycowym blaskiem szyby w barakach. Majaczyły ażurowe zarysy żelaznych masztów kolejki linowej. Dawał się słyszeć suchy trzask grających cykad. Bezszelestnie przelatywała sowa — mieszkanka górskich szczelin. Ledwo dochodził tutaj senny szum oceanu.

Na skraju równego placyku stał inżynier Korwin i patrzył w dół, skąd słychać było ciężki oddech i chrzęst kamieni. Nadchodził Ignacy Ruff. Głowę miał okrytą fularem, kamizelkę rozpiętą. Wdrapał się na placyk, wysapał — i uniósł głowę w kierunku księżycowego dysku.

Jasny Księżyc, wydawało się, przyciągał i przecięte migotliwą drogą wody oceanu, i nieprawdopodobne pomysły Ruffa.

— W porządku? — zapytał wskazując głową w stronę niskiego kamiennego budynku. Po jego chropowatych ścianach ślizgały się cienie jaszczurek. Poprzez półokrągłą kopułę wystawała w niebo ogromna metalowa rura.

Inżynier odpowiedział, że wszystko w porządku: nowy teleskop został zainstalowany i, poruszany mechanizmem zegarowym, podąża w ślad za Księżycem. Powiększenie jest cudowne: dostrzegalne są płaszczyzny wielkości jednego kilometra kwadratowego.

— Chcę to widzieć — powiedział Ruff.

Weszli do mrocznego obserwatorium. Ruff siadł na schodkach pod masywnym okularem. Korwin zatrzymał się przy innym instrumencie przywiezionym niegdyś na „Flamingo”. W ciszy tykał mechanizm zegara. Inżynier powiedział:

— Obiektyw skierowany jest na Morze Deszczów. Proszę usiąść wygodnie i zdjąć osłonę ze szkła.

Ignacy Ruff zbliżył oko do miedzianej rurki okularu i natychmiast oderwał głowę: oślepiające srebrzyste światło uderzyło go w źrenice. Przemysłowiec wydał pomruk podziwu i znowu zbliżył się do obiektywu.

Zajmująca całe pole widzenia powierzchnia Księżyca wydała się tak bliska, że chciało się jej dotknąć. Była to północna część księżycowego globu — zastygła, pustynna równina Morza Deszczów. Z północno— zachodniej strony Tęczowego Zalewu wdzierały się w nią ostatnie odnogi Alp Księżycowych. Daleko na południu leżały gigantyczne o tajemniczym pochodzeniu kratery Archimedesa i Timocharisa.

— Na prawo od krateru widzi pan bruzdę biegnącą z południa na północ. To tak zwana Poprzeczna Dolina Alpejska. Jej szerokość wynosi około czterech, a długość sto pięćdziesiąt kilometrów — powiedział Korwin.

— Szczelina ta powstała w wyniku uderzenia potężnego ciała niebieskiego o powierzchnię Księżyca.

— Tak, widzę szczelinę — wymamrotał Ignacy Ruff.

— Teraz niech pan patrzy bardziej na południe. W okolicy krateru Kopernika znajduje się cały system rozpadlin. Są płytkie i kręte, ich pochodzenie jest inne. Drugi system rozpadlin, Trisnekera, leży na zachód od Oceanu Burz. Trzeci w okolicy krateru Tycho. Powszechnie określa się, że jest tych rozpadlin trzysta czterdzieści osiem. Ale ja przez nasz teleskop, przez jedną wczorajszą noc, naliczyłem ich ponad trzy tysiące.

— Jest pan przekonany, że te szczeliny nie mają związku z formacjami górskimi?

— Jestem. Są one niewątpliwie późniejszego pochodzenia. Prócz tego szczeliny wydłużają się, a ich liczba zwiększyła się w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat. W ciągu czternastu księżycowych dni widoczna dla nas powierzchnia Księżyca rozpala się od Słońca, a ponieważ nie ma tam atmosfery, żar

sięga ogromnych temperatur. Potem Słońce zachodzi i księżycowa półkula pogrąża się w czternastodniową noc i w eteryczny chłód następujący zaraz po zachodzie. Niech pan weźmie kamienna kulę, rozgrzeje ja do białości i wrzuci do wody…

— Rozpadnie się na drobne kawałki, do diabła! — wykrzyknął Ruff, serce zabiło mu mocniej i nie mógł złapać tchu.

— Dokładnie tak samo pęka księżycowy glob. W istniejących szczelinach gromadzi się albo pozostała jeszcze na Księżycu wilgoć, albo dwutlenek węgla. Zamarzając, pogłębiają one znacznie szczeliny.

— Rozrywają go od środka…

— Tak. Księżyc zbudowany jest ze stosunkowo lekkich materiałów, nie posiadających dużej wartości. Wcześniej czy później planeta ta musi się rozpaść. Jeśli jeszcze posiada rozpalone jądro — tym lepiej. W przypadku nieco szybszego przenikania chłodu poprzez rozszerzające się szczeliny eksploduje jak bomba…

— Daj Boże, daj Boże — wyszeptał Ignacy Ruff patrząc chciwie na zryte rozpadlinami i pokryte jakby śladami od popękanych bąbli ponure przestrzenie księżycowych równin. Ten trup dalekiego świata — pomyślał — rzucony na śmietnik ludzkich namiętności, żądz i ambicji, odegra decydującą rolę w zamierzonej przez nas grze!

Z gasnącym westchnieniem oderwał się od okularu.

— Uważam, że konieczne jest sprowadzenie tutaj dziennikarzy i pokazanie im szczelin, ale trzeba mieć pewność, że ta swołocz zobaczy tylko to, co powinna zobaczyć, i nie będzie pchać nosa w nasze sprawy.

— Przeprowadzimy ich do obserwatorium nocą — odpowiedział Korwin — zgromadzone aparaty i wszystko co powinno pozostać w ukryciu umieścimy w cieniu Księżyca zalegającym do połowy krateru.

Ruff i Korwin wyszli z powrotem na placyk. Istotnie o tej porze skaliste góry wydawały się zupełnie pustynne. Głęboko pod nogami widać było tylko kamienny chaos. Gęsty cień zasłaniał pokryte papą warsztaty na dnie krateru, składy materiałów i poskładane aparaty.

Roboty prowadzone były w największej tajemnicy. Nikt iż pracujących na wyspie nie miał prawa się oddalać. Przeglądano listy.

Statki wyładowywane były na otwartej redzie, skąd materiały dostarczano kolejką linowa w górę. Ani jeden człowiek z pokładu nie schodził na brzeg.

— Wspaniale — powiedział Ignacy Ruff zapalając cygaro.

— O świcie odpływam na kontynent. Sam przywiozę dziennikarzy. Proszę przygotować materiały do artykułów i prowadzić roboty pełną parą. Niech pan zapamięta, jeśli pomylimy się w naszych rachubach, czeka nas ostateczna klęska i zguba… Na tę kartę postawiliśmy miliardy dolarów. Jeśli wpadka, to…

Ognik cygara w jego ręce zakreślił w ciemnościach skomplikowaną ósemkę.

4

„STRASZLIWE ODKRYCIE W OBSERWATORIUM IGNACEGO RUFFA"

— taki był tytuł artykułu, który czternastego maja pojawił się we wszystkich gazetach Północnej Ameryki i jeszcze tego samego dnia przekazany był przez radio w Europie.

Wyczerpująco i z naukowego punktu widzenia pisano w tym artykule o nieuchronnie zbliżającym się końcu ziemskiego satelity. Proces jego pękania postępuje z zatrważającą szybkością. Przez krótki okres obserwacji teleskopem Ruff a na powierzchni Księżyca pojawiło się kilka tysięcy nowych szczelin. Rozpadu księżycowej kuli można się spodziewać każdej minuty. „Nie możemy zaręczyć — mówiono — że jutrzejszej nocy nasi młodzi marzyciele nie zobaczą, zamiast dawnego powiernika zakochanych, rozrzuconych po nocnym niebie odłamków. Będziemy jednak mieć mimo wszystko nadzieje, że Bóg w swoim miłosierdziu nie dopuści do zagłady naszego przepięknego świata, zagłady, bo jest niemal pewne, że odłamki zostaną przyciągnięte przez Ziemię…"

„… Zgodnie z naszymi poglądami na pochodzenie świata — mówiono dalej — w swoim czasie w pobliżu ziemskiej orbity winny były krążyć, oprócz Księżyca, również inne masy dowolnie wielkiego rozmiaru. Część z nich została przyciągnięta przez Księżyc i upadła na jego powierzchnię — ślady tych straszliwych zderzeń widzimy na powierzchni Księżyca w postaci kraterów. Druga część zderzyła się z Ziemią. Ostatnie takie zderzenie miało miejsce w stosunkowo niedalekiej przeszłości. Zmiana klimatów w epokach geologicznych, szczególnie zaś istnienie tropikalnej roślinności w tych rejonach kuli ziemskiej, gdzie teraz panuje polarna noc, wskazują niezbicie na to, że istniał drugi satelita, który upadł na Ziemię pod koniec ery paleozoicznej i odchylił oś ziemską. Obserwowane wahania biegunów to nic innego, jak ostatnie ślady pozostałe po takim zderzeniu, objawiające się w formie stopniowo wygasających ruchów ziemskiej osi po powierzchni stożka. Być może teraz danym nam będzie zostać świadkami ostatecznego osierocenia kuli ziemskiej pośród niebieskich przestrzeni…"

Artykuł wywołał oczekiwane wrażenie. Tego dnia serce ludzkości zamarło. Telegraf poplątał adresatów i treści depesz, z czego wynikło mnóstwo przykrych niespodzianek życiowych. Telefon zamienił się w zwariowaną kaszę numerów i wiele telefonistek pochorowało się na nerwy z powodu wściekłych wymyślań abonentów. Tramwaje pojechały nie po tych liniach. Było wielu przejechanych przez różnego rodzaju pojazdy. Sklepy zamknięto, jako iż nikt nie kupował tego dnia niczego oprócz ogólnodostępnych książek z dziedziny astronomii.

Przestały funkcjonować aparaty władzy. Z licznych więzień uciekali aresztanci. Pociągi odchodziły puste — i na szczęście tego jednego pamiętnego dnia dwadzieścia procent parowozów i zestawów pociągów wpadło na siebie nawzajem i wykoleiło się. A na koniec, z kraju przeklętych bolszewików rozległo się (przez radio) złośliwe ni przypiął, ni przyłatał: „Aha… Doczekali się…".

Jednym słowem, w dniu 14 maja na całym świecie powstał nieopisany popłoch. Z nieprzytomnym przerażeniem oczekiwano nocy. Wszystkie głowy wzniesione były ku rozgwieżdżonemu niebu. A kiedy ponad dachami, nad żelaznymi mostami, nad iglicami dzwonnic i gigantycznymi dźwigami fabryk wzeszedł łagodny staruteńki dysk zwyczajnego Księżyca — rozległo się westchnienie ulgi i rozczarowania. Znów zrobiło się po mieszczańsku nudno.

Tak przez kilka dni czekano na koniec świata. Robiono zakłady. Księżyc zaś dalej cichutko płynął po niebie. Nastrój poprawił się. Na ulicach zaczęto sprzedawać „kieszonkowe teleskopy" i okopcone szkiełka. Ogromnym powodzeniem cieszyły się szpilki i broszki przedstawiające Księżyc mrugający filuternie okiem. Gazety roiły się od adresów chiromantów dokładnie przepowiadających „dzień, którego należy się bać".

Miss Cecil Esper, jedyna córka króla aniliny, zjawiła się na bankiecie w Jacht-Clubie w sukni

księżycowego koloru, w przeźroczystym naszyjniku i w diademie z księżycowych kamieni. Damy wydały okrzyk podziwu. Właściciele magazynów z gotową konfekcją wpadli w zachwyt. Podobnie wielcy krawcy i modni jubilerzy. Księżycowy jedwab i księżycowy kamień stały się najnowszym krzykiem mody.

Pisano wiersze o księżycu. Stosując chemiczne środki, pędzono błękitne kwiaty. W wytwornych restauracjach pojawiły się nawet księżycowe lody, nadzwyczaj ciężkostrawne. Imię Ignacego Ruffa obiegło wszystkie ziemskie obszary. Ale giełda, mądra i ostrożna, nie odpowiedziała na to zamieszanie wahaniem ni o jeden cent.

5

Ocean rozciągał się szklistą taflą pod nabrzmiałym od żaru rozpalonym słońcem. Góry wyglądały jak miraż. Liście zamarły na drzewach. Wydawało się, że wysokie wiechy palm poddawszy się spiekocie rozpłynęły się w ciemnoniebieskim niebie. Trójmasztowiec „Flamingo", niby majak, zawisł nad przeźroczystą laguną. Oślepiająco lśniły stalowe liny, po których w powietrzu, w kierunku zębatych skał pełzły wagoniki.

Wyspa wydawała się pustynna. Ale po tamtej stronie gór, w kraterze, trwała wytężona praca. Po białej szosie, strasząc jaszczurki i węże, piął się samochód. Prowadził Ruff. Zwracając się do swoich czterech kompanów, dyszących od żaru, mówił:

— Pracujemy teraz na cztery zmiany, a i to robotnicy ledwo wytrzymują: wczoraj od słonecznego udaru padło piętnastu ludzi. Krater nagrzewa się jak piec. Całe gromady Chińczyków domagają się zwolnienia z pracy. Trzeba było postawić karabiny maszynowe na przełęczach. Jeszcze gorzej wygląda sprawa z amerykańskimi majstrami. Grożą sądem. Niech to diabli, na wyspie nie ma ani kobiet, ani rozrywek. Kazałem wybudować knajpę koło strumienia — jeszcze gorzej. W ciągu tygodnia wypito sto skrzynek whisky i likierów. Inżynier Korwin chodzi na roboty z naładowanym rewolwerem. Jutro przybija wreszcie statek z prostytutkami. Mam wielką nadzieję, że to uzdrowi wyspę.

Kompani posapywali wycierając się chustkami. Te dwa tygodnie, które upłynęły od opublikowania słynnego artykułu, zaszczepiły w nich ogromną nadzieję i ogromną trwogę. Opinia publiczna reagowała silniej, niż się spodziewali. Giełda w ogóle nie odpowiedziała na cios. Roboty przebiegały pomyślnie i próbne doświadczenia udały się, ale wszystko to kosztowało masę pieniędzy, a prócz tego Ruff prawdopodobnie dopuszczał się pogwałcenia prawa.

Z przełęczy roztoczył się widok robót na dnie krateru. Dymił komin elektrowni. Snopy światła biły od szklanych tarcz słonecznych baterii. Żółte i różowe kłęby dymu jaskrawymi obłokami unosiły się nad pokrytymi dachówką budynkami laboratorium chemicznego. Po szynach kolejki wąskotorowej pięły się wagoniki z materiałami i podobne do szubienic dźwigi. Pod ukośnymi nawisami skalnymi terkotały młoty pneumatyczne. Pośród zwałów i bel żelaza, gór beczek i worków brodzili nadzy ludzie w stożkowych kapeluszach.

Z boku, tam gdzie nocą padał cień od Księżyca, leżały rzędami dziesięciometrowej długości metalowe pociski w kształcie jaj z wielościennym ostrym kłem na jednym końcu i szerokim kielichem na drugim.

— Sześćdziesiąt aparatów jest już gotowych — powiedział Ruff, wskazując skinięciem głowy na pociski — wystarczy je tylko załadować. Musimy doprowadzić ich liczbę do dwustu, chociaż według naszych obliczeń wystarczyłaby i połowa.

Puścił samochód po krętej drodze w dół i po kilku minutach zatrzymał się przy niskim budynku z nie ociosanych kamieni. Na jego płaskim dachu stały dwa karabiny maszynowe. Inżynier Korwin podszedł do samochodu i, jak zawsze milczący, bez śladu uśmiechu na twarzy, uchylił tropikalnego hełmu.

— Panowie chcieliby zapoznać się z gotowymi aparatami — powiedział Ruff — pragną także zadać panu kilka pytań technicznych.

Wszyscy wysiedli z samochodu i w ślad za Korwinem udali się w stronę pocisków. Przechodzący przez drogę nagi Chińczyk odwrócił się i wyszczerzył żółte zęby. Trzech białych robotników nie opodal chciało przedstawić jakieś pretensje wymachując rękami, ale Korwin spojrzał na nich groźnie i odeszli szemrząc.

Każdy z aparatów leżał na końcu szynowego toru dojazdowego, który prowadził do środka krateru, do wybetonowanego placu, na którym ustawiony był metalowy pochyły dysk. Inżynier Korwin, kreśląc trzciną znaki na piasku, postukując nią w nity ogromnych stalowych jaj, mówił:

— Po raz pierwszy podobny pocisk, przystosowany do przewozu dwóch pasażerów, zbudowany został w 1921 roku w Piotrogrodzie przez inżyniera Łosia. Pokonał on na nim pięćdziesiąt milionów kilometrów. Niestety, rysunki pocisku zaginęły… Drugi aparat, napełniony silnie dymiącą substancją, wystrzelony został trzy lata temu z Ameryki Południowej i osiągnął powierzchnię Księżyca. Zasada działania pocisku jest nader prosta — to rakieta… Wewnątrz znajduje się komora z zapasem ultralidytu. Tutaj — Korwin wskazał na cylindryczny ogon pocisku — wywiercono szereg otworów, którymi uchodzić będą gazy wybuchającego partiami paliwa. W górnej części, tam gdzie inżynier Łoś umieścił kabiną pasażerską, my załadowaliśmy pięć ton nitronaftaliny. Potworna siła wybuchu tej substancji jest panom znana. Dalej — Korwin uderzył trzcinką o lite krawędzie ostrościennego kła na drugim końcu pocisku — głowica przeciwpancerna. Z syberyjskiej molibdenowej stali. Jeśli założyć, że pocisk zbliży się do powierzchni Księżyca z prędkością pięćdziesięciu metrów na sekundę, to przy zderzeniu powinien on przeniknąć w księżycowy grunt na niezwykłą głębokość.

Przemysłowcy słuchali, mocno zapierając się w ziemię nogami. Jeden z nich, niski i tłusty, z haczykowatym nosem, zapytał:

— Jakże to-to do diabła, poleci?

— Tak jak rakieta, napędzana działaniem gazów powstających przy przedłużonym wybuchu — odpowiedział Korwin. — Podczas wznoszenia się rakiety powietrze nie ma wpływu na jej działanie, co najwyżej ogranicza jej prędkość. W próżni rakieta porusza się zgodnie z prawem swobodnego ruchu ciał ze stałym przyspieszeniem. Teoretycznie przyspieszenie to winno osiągnąć wielkość graniczną, to jest prędkość światła. Ale przy ogromnych prędkościach wokół ciała powstają pola magnetyczne, które mogą nawet zatrzymać je w przestrzeni. Tych magnetycznych oddziaływań bardzo bał się inżynier Łoś, chociaż udało mu się osiągnąć prędkość tysiąca kilometrów na sekundę.

Wtedy drugi z przemysłowców, posępny, o surowym wyglądzie Metys, powiedział:

— Dwieście pocisków! Ależ to za mało, żeby rozsadzić ten przeklęty Księżyc! Podziurawimy go tylko.

— Pociski padną z matematyczną dokładnością, wszystkie w jednym punkcie — odpowiedział Korwin — każdy, wchodząc w sferę przyciągania Księżyca — obierze kierunek do jego środka, nawet gdybyśmy je wystrzelili z różnych punktów powierzchni Ziemi. Według moich obliczeń, pociski padną w okolicach Oceanu Burz. Jeden za drugim w odstępach siedemdziesięciominutowych będą wbijać się w głąb księżycowego globu. Będziemy go drążyć jakby cudownym dłutem. A z każdym pociskiem — wybuch pięciu ton nitronaftaliny. Nie chciałbym w tym czasie palić tam mojej fajki.

Ten subtelny żart przyjęto z pobłażliwymi uśmiechami. Trzeci z przemysłowców, wpiwszy paznokcie w podbródek, rzekł:

— Wspaniale. Ale wiemy z doświadczeń ostatniej wojny europejskiej, że kule nawet największych armat drążą w ziemi zupełnie niewielkie leje. A przecież musimy rozłupać kulę raptem tylko trzydzieści i pół rażą mniejszą niż ziemska.

— Rzeczywista siła — pocisku wielkiego działa morskiego równa jest w przybliżeniu dziesięciu milionom kilogramów — odpowiedział Korwin. — Jeśli przyjąć, że nasz pocisk waży dziesięć ton, a jego prędkość wyniesie pięćdziesiąt kilometrów na sekundę, to jego rzeczywista siła, ciśnienie, jakie będzie wywierał przy uderzeniu o powierzchnię Księżyca, będzie wyrażać się cyfrą siedemdziesięciu pięciu trylionów kilogramów. Boję się jednego, że pociski zaczną przeszywać Księżyc jak arkusz tektury.

Przemysłowcy zagryźli wargi. Czwarty, maleńki w okularach, podobny do starego świerszcza, z napiętą uwagą wpatrywał się w Korwina siwymi oczami.

— Chciałbym zadać istotne pytanie, sir — zaskrzypiał cienkim głosikiem — zamierzamy urządzić „tydzień strachu”, innymi słowy, ogłupić wszystkich co mądrzejszych i sprytniejszych ludzi na całym świecie, sir… Ale zrodziła się wśród nas wątpliwość: co będzie, jeśli się pomylimy? Jeśli ten dowcip z Księżycem zmieni się w prawdziwe niebezpieczeństwo. My zarobimy, a Księżyc grzmotnie w Ziemię,

sir… Jesteśmy pewni, że nie grzmotnie, sir?

Inżynier Korwin milczał. Pod suchą, smagłą skórą na jego policzkach drgnęły mięśnie.

— Dobrze — powiedział krótko — na to pytanie odpowiem wam za godzinę.

6

Pod koniec obiadu w nadbudówce „Flamingo”, kiedy podano kawę i likiery, inżynier Korwin odsunął nieco swoje krzesło, położył na spiczaste kolano arkusz papieru zapisany matematycznymi formułami, i zaczął mówić:

— Księżyc, tak samo jak Ziemia, tak samo jak wszystkie planety naszego systemu, jak pas asteroidów, komety i potoki spadających gwiazd, powstał z gigantycznego pierścienia wirującego niegdyś wokół Słońca. Części pierścienia rozpadły się, zgęstniały, tworząc rozżarzone kule — niewielkie słońca.

Wokół każdego z tych słońc, w dalszej kolejności, zaczęły wirować pierścienie rozżarzonej, ale już chłodniejszej materii, podobne do pierścienia Saturna, ostatniego reliktu tego prawie zakończonego procesu.

Maleńkie ciało niebieskie — Ziemia — także było opasane systemem pierścieni wirujących z różną prędkością. W miarę ochłodzenia pierścienie pękały, ich części twardniały i gęstniały, tworząc maleńkie planety i ciała niebieskie. Największym z takich ciał był Księżyc, przyciągał on krążące w pobliżu masy, które padały nań i podtrzymywały go we wrząco- płynnym stanie.

To samo działo się z Ziemią. Wciągała ona w sferę swego przyciągania resztki rozerwanego pierścienia i, nieraz już wygasłszy, pod działaniem potwornych uderzeń wciąż na nowo i na nowo wybuchała jak gwiazda.

Powoli proces gromadzenia materii zakończył się. W pobliżu Ziemi pozostawały jeszcze dwa swobodne ciała — Księżyc i drugi satelita, który upadł na Ziemię w czasie trwania ery paleozoicznej. Ziemia zapanowała nad ich ruchem siłą przyciągania. Oba ciała stopniowo zbliżały się do niej po krzywej spiralnej.

Księżyc, jeszcze płynny, wirował wokół własnej osi. Ale przy każdym obrocie pod wpływem ziemskiego przyciągania przebiegała po jego powierzchni ogromna fala przypływu — konwulsja umierającego, popadającego w niewolę świata. Przypływy te hamowały, zwalniały ruch wirowy Księżyca. Przybierał on kształt jaja zwróconego grubszym końcem ku Ziemi.

Wreszcie ruch wirowy wokół własnej osi ustał zupełnie, Księżyc zastygł i stał się satelitą Ziemi, zbliżając się do niej na odległość trzystu osiemdziesięciu czterech tysięcy kilometrów. Ponieważ prędkość Księżyca równa jest jednemu kilometrowi na sekundę — biorę cyfry w przybliżeniu — to, według prawa Newtona, x = v:2r iks, to znaczy odległość, na jaką w ciągu każdej sekundy Księżyc przybliża się do Ziemi, spada na Ziemię, równa się jednemu i trzem dziesiątym milimetra. Ale natężenie siły ciężkości na Księżycu także równa się jednemu i trzem dziesiątym milimetra. W ten sposób zgodnie z prawem powszechnego ciążenia, Księżyc wydaje się być ciałem znajdującym się w stanie całkowitej równowagi. I byłoby tak, gdyby Ziemia i Księżyc stanowiły matematyczne ciała w idealnej przestrzeni.

Ale prawo Newtona wymaga poprawek: w formule x=v2:2 odrzucony został kwadrat pewnej małej wielkości, który okazuje się fatalny dla losów Ziemi, Przyjmując tę poprawkę, przyjmując następnie wpływy przyciągania Księżyca na wody ziemskich oceanów (przypływy) i wywołane przez nie zwolnienie ruchu samej Ziemi, K. Darwin wykazał, że Księżyc zbliża się do Ziemi, dążąc do tego aby wejść z nią w stały związek, to jest, zgodnie z trzecim prawem Keplera, przybliżyć się na tyle, aby czas jego obrotu wokół Ziemi równy był ziemskiemu dniowi. Tylko wtedy, jak gdyby powiązane niewidzialnymi siłami, oba ciała uzyskają pewną — równowagę.

Ale i to prawo jest czysto matematyczne. Wpływ przyciągania Komety Bieli, wzrost gęstości jądra ziemskiego, zakłócenia pól magnetycznych pod wpływem plam na słońcu, a co za tym idzie druga poprawka do prawa Newtona, prowadzą nas do wniosku, że oba ciała winny się ostatecznie zbliżyć.

Inżynier Korwin spojrzał na towarzyszy słuchających go z zapartym tchem. Policzki mu

poróżowiały, na zwykle surowych wargach nieoczekiwanie zakwitł uśmiech.

— Pięćdziesiąt tysięcy lat w najgorszym przypadku dzieli nas od ostatniej godziny Ziemi. (Ignacy Ruf f i jego czterej towarzysze odetchnęli swobodnie, wytarli czoła, i nalali do kieliszków likiery — złote, zielone, różowe). Upadek księżycowego globu na Ziemię spowoduje wydzielenie się takiej ogromnej ilości ciepła, że obie planety wybuchną, roztopią się i zleją się w jedno nowe ciało. I być może powtórne życie, które powstanie na nowej Ziemi, powiększonej w rozmiarach i oczyszczonej pożarem, będzie lepsze od naszego. W to także wierzę. Oto wszystkie dane.

Jeśli chodzi o nasze przedsięwzięcie, to my rzecz jasna przybliżymy nieco okres upadku odłamków Księżyca na Ziemię…

— Otóż to właśnie chcielibyśmy od pana usłyszeć: o jaki w przybliżeniu okres…

— Obliczyłem: o dziesięć tysięcy lat…

— W każdym razie, czterdzieści tysięcy lat pozostaje do naszej dyspozycji! — tubalnie krzyknął Ruff i po raz pierwszy w ciągu tej całej opowieści roześmiał się, opuszczając przesadnie wielką szczękę.

7

Ruffa i jego przyjaciół zadowoliły wyjaśnienia inżyniera. Tego samego dnia, 26 maja, przejrzane zostały i zatwierdzone spisy fabryk, spółek transportowych, kopalni, pól naftowych i fabryk chemicznych, którymi postanowiono zawładnąć w „tygodniu strachu”.

We wszystkie strony świata wysłani zostali agenci, którzy mieli prowadzić pertraktacje z wymienionymi w spisie przedsiębiorstwami. Pertraktacje były maską. „Związek pięciu”, przygotowując się do ograbienia całego świata, ostrożnie i starannie zbadał stan giełdy i rynku: otwierał kredyty, obsadzał właściwe stanowiska swoimi maklerami, przekupywał gazety i zakładał nowe, rozdawał monstrualne zaliczki uczonym — popularyzatorom i pisarzom obdarzonym choćby odrobiną fantazji.

Na rynek książkowy polały się potoki opowiadań astronomicznych, utopii, mrocznej mistyki, apokaliptycznych poematów. W Szwajcarii odrodziła się wspólnota teozoficzna. Jej członkowie rozjeżdżali się po miastach, opowiadali o nadchodzącym dniu strasznego sądu i zakładali loże do walki z antychrystem.

Pod koniec lipca nastąpiła niewielka przerwa: jak zwykle o tej porze roku z Bałkanów powiało trupim zapachem, rozeszły się trwożne pogłoski, i histeryczna strzałka giełdowego barometru skierowała się ku „Burzy”.

Wtedy Ignacy Ruff rzucił się w Europą jak dzika świnia w trzciny. Załatwił pożyczkę we Włoszech, obalił ministerstwo w Jugosławii. Z szatańską zręcznością, naciskając tajemne sprężyny, zwołał konferencję Małej Ententy. Narobił korzystnych obietnic Rzeszy Niemieckiej. Opublikował fałszywy dokument Moskiewskiej Rady Rewolucyjno— Wojennej, czym wywołał wściekły wybuch nienawiści w Polsce i odwrócił jej uwagę od spraw bałkańskich.

Po jakichś pięciu tygodniach zażegnał kolejną groźbę wojny i wrócił statkiem powietrznym do Nowego Jorku. Wtedy ukazał się we wszystkich gazetach drugi artykuł podpisany przez astronoma z obserwatorium w Lick:

POWRÓT KOMETY BIELI

„Jak wiadomo, co roku 30 listopada Ziemia przechodzi przez orbitę Komety Bieli. Świadczą o tym potoki spadających gwiazd — małych ciał niebieskich, rozrzuconych na całej drodze komety. Co dwadzieścia trzy lata Bielą przechodzi blisko Ziemi, prawie w punkcie przecięcia orbit. Wtedy gwiezdne potoki wychodzące z Gwiazdozbioru Lwa ognistą miotłą rozpryskują się po całym niebie, tworząc cudowne widowisko.

„Znany jest w historii przypadek, kiedy to w 1783 roku wskutek niedokładności obliczeń oczekiwano zderzenia Ziemi z Bielą. Ludzi ogarnęło przerażenie. W Paryżu były przypadki śmierci ze strachu. Nieuczciwi duchowni, oferując za grube pieniądze całkowite odpuszczenie grzechów, nieźle się obłowili. Wielki matematyk Łapiące pisał w tym czasie:

„… Przebieg takiego zderzenia nietrudno sobie wyobrazić: zmieniłoby się położenie osi i kierunek ruchu wirowego Ziemi, morza opuszczałyby swoje teraźniejsze łono i podporządkowałyby się nowemu równikowi, ludzie i zwierzęta zginęliby w tym wszechświatowym potopie, zagładzie uległyby wszystkie narody, zniszczone zostałyby wszystkie pomniki ludzkiego rozumu…” „Ale zderzenie nie nastąpiło i nie mogło nastąpić, ponieważ Ziemia opóźnia się kilka godzin w punkcie przecięcia orbit i dogania tylko ogon komety w postaci potoków spadających gwiazd.

„Zderzenie jednakże jest możliwe, ale tylko wtedy, kiedy przejście kornety przez perigeum, to jest najbliższy Słońca punkt jej orbity, przypadnie 28 listopada. Podobny przypadek zdarza się tylko raz na 2500 lat. Obecny rok 1933 jest właśnie tym rokiem.

„Ale do obawy, tak jak to było wcześniej, nie mamy podstaw. Masa głowicy jest zbyt znikoma i zbyt rozrzedzona, ażeby wyrządzić nam szkodę, powietrzna otoczka Ziemi jest wystarczająco bezpieczną ochroną. Być może, przejdą burze magnetyczne i będziemy świadkami najwspanialszych w świecie fajerwerków.

„Inaczej oczekiwane zderzenie może się odbyć na naszym satelicie. Księżyca nie chroni atmosfera. Jego glob pocięty jest pęknięciami. Bombardowanie Księżyca meteorytami Bieli rozpocznie się 29 listopada. Tym razem nie możemy z przekonaniem ręczyć za bezpieczny los naszego satelity”.

Artykuł wywołał potrzebne wrażenie… W Waszyngtonie wniesiona została interpelacja w parlamencie dotycząca „nieodpowiedzialnej księżycowej literatury”. Ignacy Ruff zrozumiał, że giełda tym razem połknęła haczyk. I rzeczywiście notowania na giełdzie doznały niczym nie uzasadnionych wahań w dół i w górę, po czym zawisły w stanie chwiejnej równowagi. Nastąpił czas zdecydowanego działania.

8

Rankiem 28 listopada Ignacy Ruff przybył na stupięćdziesięciotonowej motorowej półpodwodnej łodzi do zatoki wyspy i, nie schodząc na brzeg, przekazał inżynierowi Korwinowi rozkaz od „Związku pięciu", aby dzisiejszej nocy rozpoczął bombardowanie Księżyca.

Następnie łódź zacumowała na zewnętrznej redzie i zanurzyła się tak, że nad falami widniało tylko owalne pudło kapitańskiego mostku z zamkniętymi na głucho lukami.

Wiał silny, porywisty wiatr. Nad mrocznym morzem nisko pędziły chmury. Kipiał przybój i fale oceanu rozpryskiwały się o skały wyspy. Deszcz lał bez przerwy. W dali, w górach huczały wodospady.

Ignacy Ruff stał w nadbudówce sam, spoglądając przez zalewany zielonymi falami iluminator na skręcające się w podmuchach wiatru wyleniałe palmy, na mętniejące obłoki, które rwały się i kłębiły wśród skał nad kraterem. Nadchodził wieczór. Z dołu, z łodzi zanurzonej w wodzie, dobiegały głosy niczego nie podejrzewających mechaników.

Ruff zbliżył zegarek do oczu. Zaraz też przetarł rękawem potniejącą szybę iluminatora. Słyszał teraz, jak powoli bije mu serce. Trzydzieści sekund pozostało do wyznaczonego terminu. Czy to od kołysania, czy od gorącego i gęstego jak rozgrzany olej powietrza zanurzonej łodzi, od przepracowania w ciągu ostatnich dni — w ciągu tych trzydziestu sekund Ignacy Ruff poczuł tak nagły rozbrat z samym sobą, że przekraczało to prawie jego duchowe siły. Gardło ścisnął mu żelazny spazm. Jego potężne ciało osłabło i zwalił się na metalową ścianę. W ciągu trzydziestu sekund — zrozumiał to — nie zdąży zejść na dół i przez radio rozkazać inżynierowi Korwinowi, aby zaniechał tego głupiego, nieobliczalnego, potwornego przedsięwzięcia…

I oto ukosem zza skał — ujrzał to tylko na mgnienie oka przez iluminator — wśliznął się w poszarpane obłoki owalny cień… Czerwonawy ślad po nim zgasł na niebie.

Ignacy Ruff naparł całym swym ciężarem na brązowy ankier luku, odkręcił go, odrzucił i do pasa wychylił się z łodzi. Fala chlasnęła go w twarz i wiatr tańczący po pienistych grzebieniach zaświstał mu między wykrochmalonym kołnierzykiem i uszami. W mroku słychać było tylko ciężki łoskot przyboju.

Potem huknęło, rozjaśniło się gdzieś w górach i zadudniło… Coraz częściej, żwawiej… Gromowe uderzenia zlały się w ryk potwornej syreny i ze świstem, zza zębatych skał runął w niebo drugi pocisk.

Ignacy Ruff potrząsną! nad siwą głową pięściami i nie panując nad sobą krzyknął:

— Hiphip hura!

Ale jego głos zginął wśród szumu fal i wiatru jak pisk komara.

9

Tymczasem na dnie krateru, gdzie kołysały się na słupach latarnie elektryczne i cienie od kłębów żółtego dymu i podnoszących się dźwigów błądziły po skałach, inżynier Korwin dyrygował wysyłaniem pocisków międzyplanetarnych. Twarz ochraniała mu podobna do świńskiego ryja maska przeciwgazowa. Uwijało się tam kilkudziesięciu specjalnie wyselekcjonowanych robotników, także w maskach. Jedni podprowadzali podobny do szubienicy dźwig z wiszącym pociskiem do placu startowego, jeszcze inni ostrożnie opuszczali pocisk wylotem w dół, na stalowy, z lekka pochylony dysk pola startowego i spiesznie oddalali się.

Inżynier Korwin zbliżał się do stojącego na sztorc pocisku, pokręcał masywnymi śrubami dysku ustawiając go pod właściwym kątem i zrywał zawleczkę zapalnika… Przez sekundę sypały się iskry, potem rozlegał się podobny do uderzenia pioruna grzmot, gigantyczne jajo pocisku podskakiwało na kilka metrów w powietrzu i tam wirując, jakby zmagało się z sobą, nie wzlatywało i nie opadało, detonowało coraz szybszą serią wybuchów — jeszcze sekunda, i porwane ich huraganem unosiło się ciężko w górę. Syczący ślad po nim zniknął za chmurami.

I tak jeden za drugim, w odstępach dwóch-trzech minut, unosiły się pociski w przestrzeń międzyplanetarną.

Gęsty, gryzący dym napełniał krater. Nadchodziła noc, a wystrzelono zaledwie sześćdziesiąt pocisków. Ludzie opadli z sił… To jeden, to drugi, brnęli zataczając się do strumienia, aby zanurzyć w wodzie skołataną głowę. Inni brali z rozbitych skrzynek butelki, i, odbijając szyjki, łapczywie połykali wódkę.

Korwin ponaglał, podbiegał do słabnących, wyciągał z kieszeni pliki dolarowych papierków — obiecywał ogromną premię za każdą wystrzeloną rakietę. W ciągu następnej godziny udało się ich wyprawić dwadzieścia pięć. Ale potem kilku ludzi zdarło z siebie maski i upadło krztusząc się. Jeden z pocisków, podprowadzony do dysku, zerwał się z dźwigu i potoczył po ziemi. Wszyscy upadli w panice. Ale inżynier Korwin wskoczył na jego nitowany kadłub i napisał na mim kredą:„Za wystrzelenie w ciągu półtorej minuty — 1000 dolarów”.

Deszcze i burza, które przeszły nad kraterem, odświeżyły nieco powietrze liczba burzycieli Księżyca przekroczyła setkę. O drugiej w nocy burzowe chmury rozerwały się na moment i pojawiła się tarcza Księżyca. Była oślepiająco czysta i jasna.

Tej nocy mieszkańcy wyspy — ponad cztery tysiące robotników — zostali ewakuowani z miejsca prac do baraków na wybrzeżu… Stali w ciemnościach grupkami. Patrzyli na wznoszące się z krateru ogniste ogony rakiet. Nikt nie wiedział, po co budowało się te pociski i dokąd wzlatywały one w tę burzliwą noc. Czuli tylko, że dzieje się coś niedobrego.

Przesądni szeptali modlitwy. Rozgniewani umawiali się, że wszystko opublikują w gazetach — jak tylko odzyskają wolność i wrócą na kontynent — ujawnią wszystkie przestępstwa i całe bezprawie, jakiego dopuszczono się na tej przeklętej wyspie. Tchórzliwi chowali się wśród nadmorskich skał, zatykając uszy, kiedy nieznośne wycie pocisku zagłuszało łoskot przyboju i szum fal. Nieliczni spośród uświadomionych szeptali między sobą złośliwie i ponuro, że pociski bombardują w tę noc, poprzez Ocean Atlantycki, miasta republik radzieckich.

W środku nocy rozpalono tu i ówdzie ogniska. Wielu radowało się z powodu końca robót i dużych pieniędzy, które zawiozą do domu, do ojczyzny. A w tym samym czasie na południowym zachodzie, nad oceanem, spod niskich sunących zagonami chmur zaczęło rozlewać się krwawoczerwone nieziemskie światło. To ogonem naprzód, z mroków eterycznej nocy, wschodziła nad Ziemię Kometa Bieli.

10

Ignacy Ruff, chociaż to dziwne, zasnął twardo w metalowej kapitańskiej kabinie. Obudziło go ostre uderzenie w kadłub, tuż nad głową. Zbliżył swą ogromną twarz do iluminatora i ujrzał szalupę tańczącą na dziwnie oświetlonych falach: stał w miej człowiek i wymachiwał wiosłem.

Ruff odkręcił luk. Człowiek wyskoczył z szalupy, wśliznął się przezeń do środka, siadł obok Ignacego Ruffa i samymi tylko wargami wyszeptał:

— Natychmiast!… Pełną parą i na otwarte morze!

Był to inżynier Korwin. Wziął z pudełka cygaro i potarł zapałkę. Ubranie miał przepalone, ręce, szyję, twarz, prócz białego krążka — śladów maski, czarne i zwęglone. Kiedy łódź, rycząc całą mocą motorów, pomknęła na północny wschód od wyspy, Ruff zapytał półgłosem:

— Zadanie wykonane?

— Jeszcze nie, jeszcze nie wszystko zrobione. — Inżynierowi tak błysnęły oczy, że Ruff odwrócił się.

— Co tam jeszcze zostało?

— Niech się pan uspokoi, pozostało to, czego nie będzie już za dziesięć minut.

— Nie rozumiem, Korwin.

— Kłamiesz, Ruff.

Drżąca szczęka Ruffa zaczęła opadać. W przyćmionym świetle komety jego twarz wydała się sinoblada. Korwin rzekł urywanie, z obrzydzeniem:

— Niech pan ma odwagę się przyznać, że chciał pan tego, nieustannie mi pan o tym napomykał i teraz oczekuje pan tego.

— Wyspa?

— Tak! Ze wszystkimi mieszkańcami. Ze wszystkimi śladami zbrodni…

Korwin szybko spojrzał na zegarek i rzucił się do kapitańskiej tuby.

— Halo! Pełną parą, jak najpełniejszą, do oporu! — Następnie upadł na skórzaną kanapę i zamknął oczy.

Ruff, garbiąc się, patrzył w iluminator. Ocean wydał się dziki i ponury, zryty burzą, rozświetlony poświatą komety rozpościerającej się kogucim ogonem na pół nieba.

— Pociski dosięgną Księżyca jutro o północy — powiedział Korwin — może pan sposobić portfel.

Nagle Ruff cofnął się i przysiadł na podłogę. Na południowym zachodzie, w tym miejscu gdzie leżała wyspa, z oceanu wzniósł się w niebo ogromny kosmaty słup pyłu. Zielonkawe błyskawice szybko przecinały go we wszystkich kierunkach. Błysnęło oślepiające światło.

Po minucie w łódkę uderzył podmuch eksplozji. Rozległ się potężny huk. Ogromna fala przewaliła się przez kapitański mostek.

11

Już trzecią noc mieszkańcy wielkich miast wylęgali na ulice, aby radośnie witać wschód Komety Bieli. Gdzieniegdzie wśród wiejskiej głuszy albo w stepach wśród niedobitków koczowników ludzie drżeli ze strachu i modlili się, odprawiali przebłagalne nabożeństwa w staruteńkdch cerkwiach, albo siadali kręgiem wokół szamanów i czarowników, potrząsających bębenkami na powitanie ognistym piórom komety. Murzyni afrykańscy urządzali tańce i bili w tam-tamy. Żółtolicy mędrcy na płaskowyżach Pamiru odczytywali dla nich tylko ważne wyroki losów i uśmiechali się uśmiechem Buddy do potoków spadających gwiazd. Dzieci i zwierzęta ogarniał niepokój. Ale w dużych miastach przez całą noc grały orkiestry. Pod otwartym niebem, pośród stolików i jesiennych kwiatów, w półmroku wygaszonych ulic, śmiały się wystrojone kobiety, śpiewały modne aktualnie piosenki o komecie, o Księżycu, o Ignacym Ruffie, który przestraszył cały świat.

Ledwo tylko zaszło Słońce, po niebie, z punktu leżącego w gwiazdozbiorze Andromedy, mknęły szybkie linie spadających gwiazd. Jakby czyjaś ręka ciskała rozżarzone węgle. Pędziły w stronę zenitu i znikały. Inne kierowały się ku Ziemi, wybuchały zielonymi fajerwerkami i rozsypywały się w strzępy. Wydawało się, że tani w górze hula ognista zamieć. Jej odblaski igrały w kieliszkach z winem, w zdumionych, roześmianych, wzruszonych oczach kobiet, w klejnotach na ich odkrytych włosach.

Około dziesiątej po ulicach rozbiegli się sprzedawcy gazet. „Niezwykła katastrofa na Oceanie Spokojnym. Zagłada wyspy Ruffa i wszystkich jej mieszkańców."

Wiadomość ta nadała jeszcze większej ostrości dziwnemu, niesamowitemu widowisku. Wielu, wielu ludzi po raz pierwszy patrzyło dzisiaj na posiwiałe, odwieczne gwiazdozbiory. Orkiestry grały marsza żałobnego Chopina. Nad głowami bezdźwięcznie kłębiła się gwiezdna zamieć. Na opadłych alejach bulwarów, na skwerach, gdzie pachniało więdnącymi liśćmi, na czysto wymiecionych placach i ulicach mężczyźni w wieczorowych cylindrach i kobiety w futrach przesyconych zapachem perfum ulegali niecodziennym i niebywałym namiętnościom. Zdziwione oczy przypatrywały się oczom. Kobiece ręce, ramiona widoczne przez rozchylone, pachnące włosy, obiecywały nie doznane, przyprawiające o zawrót głowy, rozkosze. Kobiety patrzyły na swoich towarzyszy z tkliwością i wzruszeniem. Odchylały się wzruszone w plecionych fotelach, uśmiechem witając wschodzącą jasność komety. Lekki dreszcz niespodziewanej, lecz przez wszystkich z upragnieniem przyjętej namiętności powiał w tę listopadową noc nad placem, na wpół oświetlonym różnokolorowymi abażurami lampek na restauracyjnych stołach.

Potoki gwiazd coraz gęściej przeorywały niebo. Zaczął padać deszcz aerolitów. Skręcając się jak węże, rozpalały się do oślepiająco zielonej barwy, próbowały przebić powietrzną osłonę Ziemi i rozpadały się w pył. Witano je okrzykami jak zapaśników zbliżających się do mety. Oto jeden, drugi, trzeci aerolit skierował się ze straszliwej wysokości wprost na plac. Gdzieniegdzie ludzie rozbiegali się w popłochu. Plac zamilkł. Ale powietrzne kamienie rozprysnęły się gdzieś w niebie nie osiągając Ziemi, i tylko z daleka zadudnił grzmot. Między stolikami zawirowały wstęgi serpentyn. Murzyni boye roznosili kosze z owocami.

I oto nad dachami zaczął wschodzić pałający ogon Bieli. Wznosiła się coraz wyżej i rozpościerała wciąż szerzej. W końcu się ukazała głowica komety, podobna do tępej, zaokrąglonej głowy ptaka. Orkiestry zagrały tusz. Ku niebu podniosły się ręce z kielichami szampana. Za dwanaście gadzin, według najdokładniejszych obliczeń obserwatorów całego świata, Bielą winna była przejść zaledwie tysiąc kilometrów nad pustynną południową okolicą Oceanu Wielkiego. Spodziewano się burz, ogromnych przypływów, nasilenia aktywności wulkanów i nawet upadku do oceanu wielkich odłamków, z których składa się nieustabilizowane, spowite gazami jądro komety.

Wszystko to było przepiękne, niezwykłe i podniecało, w szczególności kobiety. Wiele głupstw wypowiedziano, a jeszcze więcej zrobiono tej nocy.

Nieoczekiwanie na plac, w szerokie przejście między stolikami, wpadł motocykl. Płomień jego latarni brutalnie i nie w porę chlasnął zebranych po oczach. Motor stanął. Jeździec w skórzanym hełmie krzyknął coś ochryple. Po czym motocykl spowił się smrodliwym dymem, zawarczał i wichrem pomknął w boczną ulicę.

Natychmiast też zaczęło krzątać się kilku ludzi. Coś się widocznie stało. Tłum zaczął szemrać. Podniosły się trwożne głosy. Orkiestry nagle zamilkły. Wszędzie — stawano na krzesła, wskakiwano na stoliki. Zadźwięczało rozbite szkło. Cały plac poruszył się. Ludzie nic jeszcze nie rozumieli, nie wiedzieli, skąd ta trwoga. I nagle wśród głuchego pomruku rozległ się histeryczny, niemal zwierzęcy kobiecy krzyk. W stu miejscach odpowiedziano mu lamentem. Wiry przebiegły po tłumie. I tak samo nagle plac ucichł, przestał oddychać.

W oddali spoza bezkształtnej spiczastej bryły osiemdziesięciopiętrowego drapacza chmur wychynął Księżyc. Barwę miał mętno-miedzianą. Wydawał się być większy niż zwykle i cały jakby spowity dymem. Najstraszniejsze w nim było jednak to, że jego tarcza drżała na kształt meduzy.

Upłynęło — w milczeniu wiele minut. Stojący na stole wysoki, tęgi mężczyzna we fraku i w jedwabnym cylindrze na bakier, zachwiał się i zwalił na wznak. Potem zaczęła się ucieczka, ścisk, dzikie krzyki. Ludzie z podniesionymi laskami nacierali na gromadę mężczyzn i kobiet, bijąc po głowach i plecach. W powietrzu przelatywały krzesła. Klasnęły rewolwerowe wystrzały.

Księżyc, widać to było teraz wyraźnie, rozpadł się na kilka kawałków. Kometa Bielą oddziaływała na jego nierówne części i oddalały się one od siebie. Ten widok rozbitego na odłamki świata był tak straszliwy, że w pierwszych godzinach wielu ludzi postradało zmysły — rzucali się z mostów do kanału, obejmowali się rękami, nie będąc w stanie opanować strachu.

* * *

Oświetlono ulice. Oddziały wojsk i policji zajęły skrzyżowania i place. Karetki pogotowia zbierały rannych i zabitych. W tę właśnie noc w wielu miastach ogłoszono stan wojny. Zamiast muzyki i wesołego śmiechu słychać było ciężkie kroki maszerujących oddziałów, przenikliwe krzyki komend, uderzenia kolb o bruk.

* * *

Ignacy Ruff i inżynier Korwin leżeli w fotelach salonki specjalnego pociągu, mknącego przez rozświetlone kometą prerie zachodnich stanów. Obaj kurzyli cygara i patrzyli z ciemności wagonu na przydymiony, chwiejący się, zburzony przez nich księżycowy glob. Od czasu do czasu Ruff chwytał za słuchawkę radiotelefonu, i wtedy jeden kącik jego ust wędrował w górę. Inżynier Korwin rzekł:

— Gdy byłem dzieckiem, prześladował mnie sen, w którym rzucałem kamykami w Księżyc, wisiał on zupełnie nisko nad polaną, nie wiedziałem wtedy, że ten sen oznacza zbrodnię.

— Niech się pan weźmie w garść — powiedział Ruff nachmurzywszy się — czeka nas kilka bezsennych nocy, za tydzień dam panu urlop zdrowotny.

12

„W NOCY Z 28 NA 29 KOMETA BIELĄ ROZBIŁA KSIĘŻYC”;
„POŻAR KSIĘŻYCA”;
„MOŻLIWOŚĆ UPADKU KSIĘŻYCA NA ZIEMIĘ”;
„CZY ZIEMSKA ATMOSFERA WYTRZYMA UDERZENIA ODŁAMKÓW KSIĘŻYCA?”

— tak brzmiały tytuły gazet po 30 listopada.

Z obserwatorium w Lick donoszono, że księżycowy glob rozpadł się na siedem podstawowych części i wszystkie one otoczone są chmurami popiołu. Dalsze losy Księżyca są na razie niewiadome. Doniesień o szkodach, jakich narobiła Ziemi Bielą, nikt nawet nie czytał. Nadmorskie miasta zatopione i uniesione w morze ogromną fala przypływu, trzęsienia ziemi, kilka zamieszkałych wysp zniszczonych aerolitami komety, zmiana kierunków ciepłych prądów — te drobiazgi nie interesowały nikogo. Księżyc! Ostatnie, dobiegające kresu dni świata! Niespodziewana zagłada ludzkości czy cud i ocalenie? Oto o czym szeptano, rozmawiano, bełkotano przez telefony w ciągu dwunastu godzin 30 listopada. A nocą wszystkie okna, balkony i dach wypełnione były godnymi pożałowania, bojącymi się śmierci ludźmi.

Na ulicach, gdzie zabronione było wychodzenie po zachodzie, jeździły patrole rowerzystów, zwoływały się czujki. W miastach panowała niesamowita cisza, tylko gdzieniegdzie dobiegał szloch z dachu. Obłoki zakrywające Księżyc rzedły, i widok odłamków, wciąż jeszcze złączonych w nieregularny zamglony dysk, wywoływał wśród ludzi śmiertelną nostalgię.

W nocy z 30 listopada na l grudnia Rufi zwołał posiedzenie „Związku pięciu”. Obliczono różnicę, którą w minionym dniu przyniosła giełdowa gra na spadek notowań. Sumy profitów okazały się tak bajecznie ogromne, że Ruff i jego towarzysze nie mogli opanować uczucia szalonej, złośliwej radości. Faktycznie, panika na giełdzie przekroczyła wszelkie granice zdrowego rozsądku. W redakcjach gazet kompletowano długie kolumny znamienitych rodzin, które ogłaszały bankructwo.

Nad ranem zaczęły nadchodzić meldunki radiowe od maklerów z Europy, Azji i Australii: donoszono krótko o nieopisanej panice, o czarnym dniu na giełdzie, o klęsce kapitalistów, krachu bankierów, o samobójstwach królów pieniądza. Były i niedobre wieści — o masowych obłąkaniach, o pożarach, które zaczęły wybuchać w stolicach europejskich.

Było jednak coś nieuzasadnionego, coś bezradnego, po dziecięcemu żałosnego w tym ludzkim rozgardiaszu. Pieniądze, władza, wiara w trwałość ekonomicznego ustroju i niezachwianą hierarchię społeczna — wszystko, do czego dążył „Związek pięciu”, nagle w całym świecie straciło swą siłę i urok. Miliarder i dziewka uliczna po równo włazili na dach i stamtąd wytrzeszczali oczy na rozłupany Księżyc. Czyżby widok tego rozbitego globu, nie wartego ani canta, zdolny był pozbawić ludzi rozumu? Jeden z członków „Związku pięciu”, podobny do starego świerszcza staruszek, powtarzał zacierając suche dłonie:

— Oczekiwałem walki, ale nie takiej kapitulacji. To smutne w moim wieku stać się mizantropem.

Inżynier Korwin odpowiedział na to:

— Niech pan zaczeka, nie wiemy jeszcze wszystkiego.

Na posiedzeniu „Związku pięciu” postanowiono część zdobytych milionów rzucać z powrotem na giełdę, grając tym razem na zwyżkę, i rozpocząć wykup przedsiębiorstw uwzględnianych w wykazie z 28 maja.

13

Ignacy Ruff zatrzymał samochód przy wejściu do wielopiętrowego domu towarowego i długo patrzył na ożywiony tłum kobiet, mężczyzn i dzieci. Wiele rzeczy zaczynało mu się nie podobać — w ostatnim czasie pojawiły się w mieście niedobre oznaki — i oto teraz, wpatrując się w dziewczęta wybiegające beztrosko z Domu Handlowego „Robinson and Robinson", Ruff schwycił się kurczowo dłonią za podbródek i na jego wielkiej twarzy legł wyraz skrajnego przerażenia.

Minęło trzy miesiące od dnia, kiedy Księżyc, przez całe tysiąclecia służący tylko bredniom poetów, został w końcu wykorzystany w pożytecznej sprawie. W ciągu siedmiu dni strachu „Związek pięciu" zawładnął dwiema trzecimi światowego kapitału i dwiema trzecimi przemysłu.

Zwycięstwo przyszło łatwo, bez oporu. „Związek" ujrzał już siebie panem i władcą półtora miliarda ludzi.

Wtedy puszczono w gazetach skrajnie optymistyczny artykuł „O czterdziestu tysiącach lat", w czasie których Ziemia może spokojnie pracować i rozwijać się, nie obawiając się zderzenia z odłamkami Księżyca.

Artykuł wywarł na pozór pomyślny wpływ na ludzi. Obserwatorzy opuścili dachy, otwarto sklepy i powoli znowu zagrała muzyka w restauracjach i na skwerach. Ale jakiś ledwo dostrzegalny cień melancholii, czy rozproszenia legł na ludzkości.

Czujny niepokój, twarda walka ambicji i woli, żelazna dyscyplina, cały ten powszechny porządek, korzystny dla sterowania organizmem wielkiego miasta, powoli zaczął przeobrażać się w coś bardzo miękkiego, mglistego, nieuchwytnego.

Na ulicach coraz częściej spotkać było można wałęsających się bez celu ludzi. Zaprzestano zamiatania chodnikowi i ulic, namnożyło się ulicznych kawiarni, jedne sklepy stały po całych dniach zamknięte, do jeszcze innych nie można się było dopchać. I w tym zamęcie, pośród paplających głupstwa dziewczątek, spotkać było można dyrektorów banków, posłów do parlamentu, solidnych dżentelmenów.

W urzędowych dzielnicach miasta, gdzie dotąd nie słyszało się innej muzyki aniżeli szum motorów, stukot maszyn do pisania, czy dzwonki telefonów, teraz od świtu do świtu grały niewielkie orkiestry na skrzyżowaniach, a śliczne maszynistki, chłopcy windowi, urzędnicy tańczyli shimmy i fokstrota. Z okien poważnych urzędów wychylali się poważni obywatele i beztrosko przekomarzali się z tańczącymi.

Policja — to było już zupełnie zatrważające — nie miała nic przeciw nieporządkowi, beztrosce i niefrasobliwym zabawom na ulicach.

Policjanci spacerowali z kwiatami w butonierkach i z fajkami w zębach. Niejeden, dochodząc do skrzyżowania, na którym na zestawionych stołach brodaty Żyd rzępolił na skrzypcach, a purpurowy Niemiec dął w cor-net-a— piston i tańczyły potargane dziewczęta, popatrzył, chrząknął i sam puszczał się w tan.

W urzędach, na kolejach, na statkach — wszędzie obserwowało się tę beztroskę i lekkomyślność. Uwagi kwitowano dobrodusznymi uśmiechami, nagany i wypowiedzenia pracy — smutnym westchnieniem: „Nic nie poradzisz". I nie zdążysz, człowieku, jeszcze wyjść za drzwi — a słyszysz, jak ten już gwiżdże coś wesołego.

„Związek pięciu" zaczynał się czuć, jakby go obłożono miękkimi pierzynami i poduszkami. Silił się na srogość, ale nie przerażała ona nikogo. Drukował nakazy, dekrety, miażdżące artykuły, ale gazet nikt już nie czytał. A w tym samym czasie w kawiarni i na ulicach, gromadząc wokół siebie tłumy, jacyś młodzieńcy z rozpiętymi kołnierzykami deklamowali wiersze o mętnej pesymistycznej treści.

W fabrykach, kopalniach wszystko układało się jeszcze na razie pomyślnie, ale już dawało się odczuć zwolnienie tempa pracy, jak gdyby system Taylora zaczął rozluźniać swe stalowe tryby… „Związek pięciu" postanowił nie zwlekać i dokonać w najbliższych dniach przewrotu politycznego,

stanąć na czele rządu, ogłosić dyktaturę i choćby nawet miała polać się krew — przywołać ludzkość do porządku i dyscypliny.

Ignacy Ruff, wpatrując się uważnie w klientów sklepu, zrozumiał nagle, co było niezwykłego w tym tłumie wesołych nabywców. Wszyscy — mężczyźni i kobiety — wynosili swoje zakupy nie Zapakowane. Przerzucali je przez ramię albo nabijali sobie nimi kieszenie, spokojnie przechodzili obok policjanta, dobrodusznego olbrzyma z kwiatkiem za uchem.

Ruff wraz z tłumem wcisnął się do sklepu. Na półkach leżały stosy materiałów, odzieży, przedmiotów zbytku. Mężczyźni i kobiety przewracali w nich, brali to, co im się podobało, i odchodzili zadowoleni. Sklep po prostu rozkradano. Żelazny skurcz ścisnął Ruffa za gardło. Ciężko stąpnął w kierunku roześmianej, delikatnej i szarookiej dziewczyny w kapelusiku na bakier i powiedział donośnym głosem, tak że jego słowa przetoczyły się echem pod gigantycznym sklepieniem magazynu:

— Szanowna pani, pani trudni się kradzieżą.

Dziewczyna natychmiast zatrzepotała rzęsami i poprawiła kapelusz.

— Pan przyjezdny? — zapytała krótko. — Czyż pan nie wie, że my już od trzech miesięcy wszystko bierzemy darmo?

Ruf ogarnął przekrwionymi oczami tłum grabieżców, ogromne krople potu wystąpiły mu na twarzy.

— Zwariowali! Całe miasto zwariowało! Świat zwariował! — wykrzyknął w przystępie szału.

14

Pięć tysięcy Murzynów sudańskich — ogromnych, o wspaniałym uzębieniu, z granatami za pasem i z szybkostrzelnymi dwudziestofuntowymi karabinami na ramieniu — bez oporu przeszło od dworca do placu Parlamentu.

W środku nadchodzących kolumn jechała odkryta biała limuzyna. Na zamszowych poduszkach siedział Ignacy Ruff w zapiętym szczelnie pod szyję czarnym palcie i czarnym cylindrze. W pętelce płaszcza kiwała mu się zwiędłą główką biała róża.

Odwracał w lewo i w prawo swą bladą, okropną twarz, jakby szukając zatrwożonych tłumów narodu, które mógłby uspokoić gestem ręki w białej rękawiczce. Ale przechodnie, bez zdziwienia, jakby widząc to wszystko we śnie, prześlizgiwali się obojętnym wzrokiem po ciężko maszerujących szeregach sudańskich wojsk. W mieście nie czuło się ani strachu, ani podniecenia, nikt nie witał sprawców przewrotu ani nie stawiał im oporu.

Sudańczycy otoczyli parlament i rozłożyli się przed nim pokotem na placu. Ignacy Ruff, stojąc w samochodzie, patrzył w — kryształowe okna wielkiej sali posiedzeń. Trębacz, olbrzyma Murzyn, wyszedł przed szeregi i zagrał na rogu smętny sygnał wzywający do poddania się. Wtedy ze schodów parlamentu zbiegło kilku ludzi próbując się ukryć, aresztowano ich natychmiast. Ruff podniósł rękę, i pomachawszy nią jak gałgankiem, przesunął szeregi w bok, równolegle do budynku. Przez okna widać teraz było salę i siedzących ma ławach amfiteatru członków parlamentu: ktoś podparł się łokciami, ktoś inny kiwał się sennie, na trybunie mówca dukał coś z kartki, za stołem prezydialnym na podwyższeniu drzemał z ręką na dzwonku otyły siwy spiker.

Ignacy Ruff wpadł we wściekłość. Nacisnął cylinder na oczy i złorzecząc wydał krótki rozkaz. Pierwszy szereg Sudańczyków podniósł ciężkie karabiny, zagrał róg, i placem wstrząsnęła salwa. Kryształowe szyby pokryła pajęczyna pęknięć, posypało się i zadzwoniło szkło.

W ciągu dziesięciu minut parlament został zajęty. Deputowanych, którzy jakby iż ogromną ulgą przyjęli to zdarzenie, odprowadzono do wiezienia. Następnie Ruff z niewielką grupką czarnych żołnierzy otoczył

Biały Dom, wszedł do niego z rewolwerami w obydwu rękach i osobiście aresztował prezydenta, który z uśmiechem rzucił wypowiadane zwykle w takich okolicznościach historyczne słowa: „Ustępuję przed siłą”.

Po godzinie oddziały motocyklistów i samoloty rozrzucały po mieście dekret „Związku pięciu” o przewrocie politycznym. Cała władza w państwie przechodziła w ręce pięciu dyktatorów (tego samego dnia, o tej samej godzinie z oddziałami sprowadzanych z Afryka wojsk zajmowali oni Nowy York, Chicago, Filadelfię, San Francisco). W kraju ogłoszono stan wojny. Pozamykano restauracje, teatry, kina, zakazano uprawiania muzyki w miejscach publicznych, a także bezcelowych spacerów po ulicach. Dekret podpisał przewodniczący „Związku pięciu” — Ignacy Ruff. Przewrót był zdecydowany i twardy.

Od tej chwili „Związek pięciu” niepodzielnie i bez żadnej innej kontroli zawładnął wszystkimi fabrykami i zakładami przemysłowymi, transportem, handlem, wojskiem, policją, prasą, całym aparatem władzy. „Związek pięciu” mógł postawić na głowie całą ludność Ameryki. Od czasów starożytnego imperium azteckiego świat nie widział takiej koncentracji politycznej i ekonomicznej władzy.

Nad takim to dziwnym światem wschodził nocami nierównym poszczerbionym dyskiem rozbity Księżyc, rozerwany czarnymi szczelinami na siedem części. Jego lodowaty spokój zakłócony został i oszpecony ludzkimi namiętnościami. A mimo to, tak samo łagodnie jak dawniej, zalewał Ziemię srebrzystą poświatą. Tak samo jak dawniej nocny przechodzień unosił ku niemu głowę i patrząc nań, myślał o innych światach. Dalej tak samo wzdychał i toczył ku brzegom swe przypływy ocean. Rosła trawa, szumiały lasy, rodziły się i umierały wymoczki, ryby, ssaki.

I tylko pięciu ludzi na Ziemi w żaden sposób nie mogło pojąć, że w kołowrocie życia ich pięciu, dyktatorzy i władcy, nikomu na nic nie są potrzebni.

15

W gabinecie obalonego prezydenta stał Ignacy Ruff. Zwrócony plecami do płonącego kominka, rozchyliwszy fałdy fraka, aby się ogrzać, mówił do siedzących przed nim dyktatorów:

— W pierwszych dniach można było jeszcze dostrzec coś na kształt strachu, ale teraz oni nie boją się niczego… Oto wasze półśrodki… (Oni to znaczy ludność, mieszkańcy). Bez cienia sprzeciwu oddali nam swoje pieniądze, nie protestowali, kiedy obejmowaliśmy władzę, ba, nie chcą czytać moich dekretów, jak gdybym je pisał trzciną na wodzie… Do licha, wolałbym mieć do czynienia ze wściekłym słoniem aniżeli z tą zwariowaną hołotą, która przestała kochać pieniądze i szanować władzę. Co się stało, pytam? Przeżyli kilka godzin śmiertelnego przestrachu. My wszyscy powywracaliśmy im kieszenie, to prawda, ale po tym wszystkim winni oni jeszcze bardziej ugiąć się przed ideą skoncentrowanego kapitału…

Jeden z dyktatorów, podobny do starego świerszcza, zapytał:

— Czy jest pan pewny, sir, że jesteśmy tacy bogaci, jak myślimy, sir?

— Dziewięć dziesiątych światowych zapasów złota leży tutaj, w podziemiach. — Ruff tupnął nogą o dywan. — Klucz do tego złota znajduje się tu — klepnął się po kieszeni kamizelki — w to nikt nie wątpi.

— Zadowalają mnie (pańskie wyjaśnienia, dziękuję, sir — odpowiedział dyktator podobny do świerszcza.

Ruf kontynuował:

— Żyją dalej tak, jak gdyby nigdy nic. Fabryki pracują, fermy pracują, urzędy i biura pracują. Bardzo dobrze, ale kim my właściwie jesteśmy, pytam? Jesteśmy właścicielami i panami tego kraju, czy też siebie wymyśliliśmy? Wczoraj w parku schwyciłem za kołnierz jakiegoś przechodnia. „Czy pan rozumie, sir, — krzyknąłem do niego — że pan jest moją własnością, cały, z kośćmi z mięsem, z pańską nędzną duszyczka, która warta jest dwadzieścia siedem dolarów na tydzień.” Nikczemnik uśmiechnął się, jak gdyby zahaczył kołnierzem o sęk, uwolnił się, i odszedł, pogwizdując. Pytam, czy zamierzamy zagrzebać się po szyję we własnym złocie albo przed tym kominkiem upajać się pychą i dumą, że jesteśmy władcami, jakich nie widział świat? Pytam: jaki jest praktyczny wniosek z naszej potęgi?

Dyktatorzy milczeli wpatrując się w węgle żarzące się krwawo w kominku. Ruff popił wody mineralnej.

— Jeśli będziecie okładać kułakami powietrze, upadniecie w końcu i rozbijecie sobie nos. Należy spowodować opór środowiska, w którym działamy, inaczej żadne działanie się nie powiedzie. Stoimy na skraju przepaści. Jestem o tym przekonany. Ludzkość oszalała. Należy przywrócić jej rozum, należy nakłonić ją z powrotem do naturalnej walki o byt we wszystkich uświęconych przez historię formach, gdzie w swobodnej walce jednostki z jednostką wyrasta zdrowy ludzki egzemplarz. Winniśmy przeprowadzić masową selekcję. Na prawo i na lewo.

— Konkretnie, co pan proponuje? — zapytał drugi z dyktatorów.

— Krew — odrzekł Ruff. — Wszystkich tych, którzy mają źle poukładane w głowie, wszystkich tych gwizdalskich, marzycieli, komunistów od siedmiu boleści — na straty. Wypowiemy wojnę Związkowi Wschodnioeuropejskiemu — podniesie to ducha w narodzie, ogłosimy Ochotniczy nabór do wojska — będzie to pierwsza selekcja najbardziej zdrowych jednostek… Wypowiemy wojnę wszystkim, my będziemy kierować tą jatką, w której zginie słaby, a silny zdobędzie wilcze muskuły… A wtedy zarzucimy żelazną uzdę odrodzonej bestii…

Ruf nacisnął przycisk elektrycznego dzwonka. W ciszy za ścianą zaterkotało. Minęła minuta, dwie, trzy. Ruff podniósł brwi, dyktatorzy spojrzeli po sobie. Nikt nie nadchodził. Ruff zerwał słuchawkę z aparatu telefonicznego stojącego na. kominku, wycedził przez zęby numer i słuchał. Powoli jego twarz pociemniała. Ostrożnie odłożył słuchawkę, podszedł do okna i uniósł ciężka, jedwabną kotarę. Potem

wrócił do kominka i znowu wypił łyk wody mineralnej.

— Plac pusty — wykrztusił chrapliwie — wojska nie ma na placu.

Dyktatorzy, patrząc na niego, schowali się w fotele. Zapadło długie milczenie. Tylko jeden zapytał:

— Czy były dzisiaj jakieś oznaki?

— Tak, były — odpowiedział Ruff, zgrzytając zębami — inaczej nie zebrałbym was tutaj, nie mówił tego, o czym mówiłem.

Przy kominku znów zapadło milczenie. Potem w ciszy Białego Domu rozległy się w oddali kroki. Przybliżały się, wesoło i dźwięcznie dudniąc po parkiecie. Dyktatorzy popatrzyli na drzwi. Otwarły się one szeroko i bez pukania wszedł do gabinetu barczysty młody człowiek o figlarnych oczach. Ubrany był w wełnianą białą bluzę, szeroki bawełniany pas przepasywał jego suto marszczone brązowe spodnie na krzepkich nogach. Twarz miał dobroduszną i pospolitą, trochę zadarty nos, puszek ma górnej wardze, dziewczęcy rumieniec na jędrnych policzkach. Zatrzymał się trzy kroki od kominka, lekko skinął głową i odsłonił zęby w uśmiechu.

— Dzień dobry, panowie!

— Czego chcesz, łajdaku? — zapytał Ruff powoli wyciągając ręce z kieszeni.

— Pomieszczenie na klub jest nam potrzebne, nie trzeba by tu posprzątać?

Przetłumaczył Jerzy Kaczmarek

Aleksander Grin
Zdarzenie na ulicy Psa

Tak się złożyło, że Aleksander Holtz wyszedł z knajpy i znalazł się w miejscu spotkania dokładnie o pół godziny wcześniej. W oczekiwaniu na obiekt swej miłości odprowadzał oczyma każdą kobietę przesuwającą się w poprzek ulicy i z niecierpliwością uderzał laską o drewniany słup. Wyczekiwał tęsknie i pożądliwie. A czasem, uśmiechając się do wspomnień, myślał, że wszystko skończy się jak najlepiej.

Nadszedł wieczór. Wąziutka jak szczelina ulica Psa zasnuta była złotym kurzem, z brudnych okien wydobywał się kuchenny czad, roznosząc w powietrzu zapach przypalonego pożywienia i wilgotnej bielizny. Po bruku włóczyli się handlarze warzyw i zbieracze szmat, zwracając na siebie uwagę ochrypłymi okrzykami. Z drzwi piwiarni co jakiś czas wytaczali się ludzie o spowolnionych ruchach; po wyjściu szukali najpierw punktu oparcia, potem wzdychali, nasuwali kapelusze jak najgłębiej na głowy i ruszali z ponurym, to znów z pogodnym wyrazem twarzy, przesadnie mocnymi krokami.

— Witaj! Aleksander Holtz drgnął i odwrócił się. Ona stała przed nim w niedbałej pozie, jak gdyby zatrzymała się mimochodem, na chwilę, aby zaraz odejść. Jej smagła, ruchliwa twarz ze smutnym spojrzeniem i kapryśnym wykrzywieniem brwi unikała oczu Holtza. Przyglądała się przechodniom.

— Kochana! — niepewnym, delikatnym głosem powiedział Holtz i umilkł.

Zwróciła twarz w jego stronę i obojętnym wzrokiem obrzuciła jego pstrokaty krawat, kapelusz iż piórem i gładko wygolony, trochę drżący podbródek. Ona jeszcze na coś czekała.

— Ja… — wyszeptał Holtz. Potem włożył rękę do kieszeni, wyciągnął kawałek afisza i rzucił. — Pozwól mi… — Tu jego ręka dotknęła ronda kapelusza. — I tak oto między nami wszystko skończone?

— Wszystko skończone — jak echo powtórzyła kobieta. — I po co pan chciał się jeszcze ze miną zobaczyć?

— Więcej… po nic — z wysiłkiem powiedział Holtz. Kręciło mu się w głowie z nieszczęścia. Zrobił krok do przodu, nieoczekiwanie dla samego siebie wziął delikatną, pogardliwie posłuszną rękę i natychmiast ją puścił.

— Żegnaj — wydobył z siebie ciężkie jak góra słowo. — Pani niebawem wyjeżdża? — Teraz ktoś inny mówił za niego, a on słuchał sparaliżowany męczącym koszmarem.

— Jutro.

— U mnie została parasolka.

— Kupiłam sobie drugą. Żegnam pana.

Wolno skinęła mu i poszła. Słup okazał się mocniejszy niż laska Holtza: delikatny przedmiot iż kości rozleciał się w kawałki. Uparcie patrzył na oddalającą się dziewczynę, ale ona nie obejrzała się ani razu. Potem jej postać zasłonił węglarz z wielkim koszem. Kawałek kapelusza wynurzył się zza rogu — to wszystko.

Aleksander Holtz otworzył drzwi pobliskiej restauracji. Gwarnie tu było i ludno: ukośne promienie słońca błyszczały w gęstym wojsku butelek drażniących grą barw. Holtz usiadł przy wolnym stoliku i krzyknął:

— Kelner!

Uprzedzająco grzeczny mężczyzna w brudnej koszuli podbiegł do Holtza i zdmuchnął kurz ze stolika. Holtz powiedział:

— Butelkę wódki.

Kiedy ją podano, nalał do kieliszka, upił trochę i splunął. Oczy jego miotały iskry gniewu, nozdrza rozdymały się wściekle.

— Kelner! — ryknął Holtz. — Ja nie prosiłem o wodę, do diabła! Proszą zabrać tę ciecz, której pełno jest w każdej studni. — Wódki chcę, prędzej!

Wszyscy, nawet ci najbardziej flegmatyczni, zerwali się z miejsc i otoczyli Holtza. Zdumiony kelner przysięgał, że w butelce była prawdziwa wódka. Wśród ogólnego zamieszania, podczas gdy każdy z obecnych wypijał trochę wody, aby przekonać się o racji Holtza, przyniesiono nawą zalakowaną butelkę. Właściciel gospody, obrażony ji naburmuszony jak człowiek, który wbrew swojej woli znalazł się w dwuznacznej sytuacji, sam wyciągnął korek. Jego ręce, drżąc ze zdenerwowania, pieczołowicie napełniały kieliszek płynem. Ambicja nie pozwoliła mu spróbować, ale nagle, przejęty zwątpieniem, wziął łyk i splunął: w kieliszku była woda.

Holtz się rozpogodził i cicho się śmiejąc, w dalszym ciągu domagał się wódki. Zrobił się straszliwy rwetes. Woskowa ze strachu twarz karczmarza odwracała się z jednej strony na drugą, jak gdyby prosząc o pomoc. Jedni krzyczeli, że właściciel restauracji jest oszustem, że należy wezwać policję; — drudzy zażarcie utrzymywali, że łajdakiem jest właśnie Holtz.

Jeszcze inni zaczęli coś bąkać o diable: ich ograniczane mózgi zastraszane przez całe życie, nie były w stanie wyjaśnić tego wydarzenia, nie wiążąc go z siłą nadprzyrodzoną.

Dygocąc z gorąca i zdenerwowania gospodarz powiedział:

— Wybaczcie… słowo honoru, nie mam pojęcia! Nie wiem, nic nie wiem! Dajcie mi spokój! Matko Przenajświętsza! Dwadzieścia lat handluję, dwadzieścia lat!…

Holtz wstał i uderzył grubasa w ramię.

— Mój drogi — rzekł wkładając kapelusz — nie mam do pana pretensji. Pańskie butelki są chyba z papieru, więc nic dziwnego, że spirytus się ulatnia. Żegnana!

I wyszedł nie odwracając się, ale wiedział, że za mim suną zdziwione, otwarte gęby.

Historyk (według słów którego zapisałem to wszystko) — od chwili wyjścia Holtza na ulicę zdecydowanie sprzeciwia się twierdzeniu rzeźnika. Rzeźnik dowodzi bowiem, że ów dziwny młody człowiek skierował swe kroki do piekarni i tam zażądał funta sucharów. Historyk — którego nazwiska nie wymienię, jako że prosił mnie o to, ale jest to osoba bardziej zasługująca na zaufanie niż jakiś tani rzeźnik — klnie się na Boga, że młodzieniec zaczął kupować jajka u baby na rogu ulicy Psa i Zaułka r

Ślepców. Kontrowersja ta jednak nie wnosi istotnych zmian do treści wydarzenia i dlatego właśnie zatrzymuję się na piekarni.

Otwierając jej drzwi Holtz obejrzał się i zobaczył tłum. Ludzie przeróżnych zawodów, starcy, dzieci i kobiety tłoczyli się za jego plecami, dyskretnie gestykulowali i pokazywali jeden drugiemu palcem tego dziwnego człowieka, który skompromitował właściciela restauracji. Histeryczna ciekawość rozwodniona ciemnym strachem niewiedzy ciągnęła ich w ślad za nim jak sforę psów. Holtz zmarszczył czoło i wzruszył ramionami, ale natychmiast roześmiał się. Niech łamią sobie głowy — oto jego ostatnia dziwna zabawa.

Podszedł do lady i poprosił o funt słodkich sucharków. Piekarnia wypełniła się kupującymi. Wszyscy, komu trzeba i komu nie trzeba, kupowali i chciwie zaglądali w kamienną, surową twarz Boltza. A on jakby nie dostrzegał ich.

Wśród ogólnego napięcia usłyszano głos ekspedientki. — Mój pandę, a cóż to znowu?

Szala wagi wypełniona sucharami nie mogła przeważyć funtowego odważnika. Dziewczyna mocno pociągnęła w dół za łańcuszek wagi — ale druga szala, jak przykuta, tkwiła bez ruchu.

Holtz roześmiał się i pokiwał głową, ale jego śmiech był ostatnią kroplą w naczyniu strachu, jaki owładnął obecnymi. Popychając się i krzycząc rzucili się do ucieczki. Chłopcy ściśnięci w drzwiach piszczeli jak zarzynani. Zupełnie zdezorientowana, purpurowa ze strachu, stała ekspedientka.

I znów Holtz wyszedł trzasnąwszy drzwiami tak, że szyby zadzwoniły. Miał ochotę coś połamać, potłuc, uderzyć kogoś. Chwiejąc się, z bladą, rozgorączkowaną twarzą, z kapeluszem zsuniętym na ucho, sprawiał wrażenie nienormalnego.

Byłoby lepiej dla starej, gdyby nie wlazła mu w drogę. Z jej straganu wziął jajko, rozbił je i wyjął ze skorupy złotą monetę. „Aj” — krzyknęła osłupiała kobieta i krzyk jej został podchwycony przez „ach” tłumu tarasującego ulicę.

Holtz natychmiast odszedł szperając w kieszeni. Czego tam szukał?

Ludzie otaczający starą krzyczeli, jedni dławili się śmiechem, inni znów obrzucali się bezmyślnymi przekleństwami. Był to rzadki widok. Starcze, chciwe ręce z oszalałym pośpiechem tłukły jajko za jajkiem. Zawartość ich ściekała na bruk i zwijała się w kurzu tworząc śliskie plamy. Ale w żadnym jajku nie było złota.

Bezzębne usta płaczliwie mlaskały rzygając plugawymi słowy, a wokoło, trzymając się za brzuchy, jęczeli ze śmiechu ludzie.

Gdy Holtz już doszedł do placu, wyjął z kieszeni pistolet i najspokojniej uniósł lufę do skroni. Prześladowało go jasne piórko kapelusza kryjącego się za rogiem. Nacisnął spust, głośny huk wystrzału odepchnął wieczorną ciszę i na ziemię upadł trup, ciepły i podrygujący.

Od żywego trzymali się w przyzwoitej odległości, do (martwego biegli na złamanie karku. Więc to tylko człowiek? On naprawdę umarł? Gwar pytań i okrzyków wypełnił powietrze. Zapisana kartka, znaleziona w kieszeni Holza, była przedmiotem wnikliwych komentarzy. Z powodu kobiety! Tfu!!! Mężczyzna, który zatrwożył całą ulicę, człowiek, co jednych przyprawił o zachwyt naiwny, innych — o wściekłość i narzekania, nastraszył dzieci i kobiety, wyjmował złoto z miejsca, gdzie nigdy go nie było — ten człowiek umarł z powodu jednej spódniczki? Ha! Ha! Ha! Czemu jeszcze się dziwić?!

Przemówienia pogrzebowe nad ciałem Holtza wygłosili tu, na ulicy, restaurator i stara przekupka. Stara radośnie piszczała, krzyczała:

— Szarlatan!

Karczmarz rzucił złośliwie, z wyraźną przyjemnością:

— Tak!

Mieszczanie rozchodzili się, trzymając swoje żony i kochanki pod rękę. Mało który z nich nie kochał w tej chwili swojej przyjaciółki i nie ściskał mocniej jej ręki. Oni mieli to, czego nie miał zmarły. W ich oczach był on bezsilny i żałosny. To nic, że miał jakieś osobliwe zdolności, przecież i tak był nieszczęśliwy. Jakie to przyjemne, jakie to przyjemne, jakie to niezwykle przyjemne!

Nie martwcie się, wszyscy byli zadowoleni. I jakby zadeptując żarzącą się zapałkę, gasili w sobie myśli: „A może, może… — on może jeszcze czegoś potrzebował?”

Przetłumaczył Roman Gorzelski

Aleksander Bielajew
Człowiek, który nie spał

(Wynalazki profesora Wagnera)

1. DZIWNY LOKATOR

— Daisy… Ja nie przeżyję tej straty! Daisy, mój najdroższy przyjaciel… Taka jestem samotna…

Obywatelka Schmieman wytarła koronkową chusteczką zaczerwienione niewidzące oczy i długi nos.

— Zapewniam pana — szlochała żałośnie — że to sprawka profesora Wagnera. Nieraz widziałam, jak prowadzał do swojego mieszkania psy na sznurku… Co on z nimi robi? Boże! Aż strach pomyśleć! Może moja Daisy już nie żyje… Zróbcie coś, proszę was!… Jeśli nie podejmiecie żadnych kroków, sama pójdę na milicję!… Daisy, moje biedne maleństwo!…

Madame Schmieman znowu zapłakała… Jej wychudłe starcze policzki pokryły się czerwonymi plamami, dolna warga opadła.

Żukow, przewodniczący samorządu mieszkańców, obrócił się gwałtownie na krześle i strzelił palcami. Tracił cierpliwość.

— Uspokójcie się, obywatelko! Zapewniam was, że podejmiemy odpowiednie kroki. A teraz, wybaczcie… Jestem bardzo zajęty…

Schmieman westchnęła głęboko, ukłoniła się i wyszła.

Żukow odetchnął z ulgą, po czym zwrócił się do sekretarza samorządu, Krotowa.

— Uf… Ale minie wymęczyła. Zdarzają się takie natrętne baby!

— Tak… — odezwał się zamyślony Krotow. — Biedna staruszka! Ale sprawę trzeba zbadać. To już czwarty przypadek zaginięcia psa. I to tylko na naszym podwórku. Sąsiedzi także się skarżą. Co za psi pomór? Nie zdziwię się, jeśli rzeczywiście się okaże, że psy kradnie profesor Wagner. Tylko po kiego diabła są mu one potrzebne? Kołnierze do futer szyje? Dziwny człowiek! Podejrzany człowiek!

— Profesor!

— Co z tego, że profesor? Może fałszywe pieniądze produkuje?

— Z psów?

— Nie śmiej się. Zdarzały się przypadki! Psy to oddzielna sprawa. Zwróciłeś uwagę na to, że przez całą noc pali się w jego pokoju światło. Na zasłonie widać często jego cień. Włóczy się po pokoju… Nocny Marek!

— Tak, to dziwak… Parę dni temu jadę sobie do domu tramwajem. Patrzę, naprzeciwko siedzi Wagner. W każdej ręce trzyma książkę i obydwie naraz czyta. Zajrzałem do książek. Jedna rosyjska, pełno jakichś liczb, druga niemiecka. A co najdziwniejsze — każde jego oko oddzielnie po linijkach biega: jednym okiem jedną książkę czyta, drugim — drugą. Podchodzi do niego konduktorka. Powiada — „bilet proszę wykupić”! Podniósł jedno oko, a drugim w książkę patrzy. Aż krzyknęła z wrażenia. Cały tramwaj zaczął się na niego gapić. Ludzie patrzą, gęby rozdziawili ze zdziwienia, a on jakby nigdy nic…

— Może zwariował?

— Wszystko możliwe.

Skrzypnęły drzwi. Do pokoju weszła Fima, stara gospodyni profesora Wagnera.

— Dzień dobry wam! Jaśnie pan pieniądze za mieszkanie przysłał.

— Jaśnie panowie byli przed rewolucją! — powiedział Żukow.

— No, gospodarz, znaczy się Wagner.

— Ona nam powie!…

— Powiedz no, Fima, co twój „jaśnie pan” z psami robi? Fima z rezygnacją machnęła ręką.

— Dużo tych psów ma? Mów prawdę!

— Ile ma psów, nie mogę powiedzieć, nie wpuszcza mnie do drugiego pokoju, w którym je trzyma. Ale psy są. Słychać, jak szczekają. Kiedyś, w nocy, podejrzałam przez szparkę. I co widzę? Siedzi pies przywiązany na krótkiej smyczy. Położyć się nie może. A widać, że chce mu się okropnie spać. Wagner siedzi obok i po karku go pieszczotliwie drapie, spać nie daje. A sam też nie śpi. Nigdy nie śpi!

— Jak to nie śpi? Człowiek nie może nie spać.

— Nie wiem jak, wiem tylko, że wcale nie śpi. Łóżko już dawno wyrzucił. „Żeby mi tu śladu po nim nie zostało! — powiedział. — Łóżko tylko choremu potrzebne”.

Żukow i Krotow popatrzyli na siebie ze zdziwieniem.

— A to wariat!

— Nie inaczej, jak wariat — skwapliwie przytaknęła Fima. — Ale przyzwyczaiłam się do niego — piętnaście lat u niego służę, gdyby nie to, dawno bym sobie poszła… Był człowiek jak człowiek, a teraz już z rok zupełnie do siebie niepodobny. Na pewno jest z nim coś nie w porządku.

— Od czego się to zaczęło?

— Kto go tam wie? Może od oczu?… Najpierw zaczął robić coś w rodzaju gimnastyki. Przychodzę do niego do pokoju, a on jakby tańczył: prawą nogą jakby polkę, lewą — walca. I rękami też różnie wystukuje. A potem zaczął zezować oczami. Siedzi przed lustrem i zezuje. Kiedyś patrzę na niego, a on jednym okiem w sufit mierzy, drugim — w podłogę. Tak całą zastawę na podłogę upuściłam i zemdlałam.

— Pieska pani Schmieman widziałaś? Daisy się wabi.

— Bielutka, kudłaty? Jakże bym miała nie widzieć!

— A więc nie ukradł czasem twój gospodarz i tego psa?

— Widzieć, nie widziałam, ale wszystko możliwe. Zagadałam się, a tam mi żelazko stygnie… Tu są pieniądze!…

— Dlaczego tak mało?

— Jaśnie pan, znaczy gospodarz, mówi, że do CIKAPU należy i ma prawo do dodatkowej powierzchni.

— Co to za CIKAPU? — zapytał Krotow.

— CEKUBU! — domyślił się Żukow.

— Niech zaświadczenie przedstawi, a na razie po dawnemu powinien płacić. Powiedz mu to.

— Dobrze! — Wycierając nos rąbkiem fartucha, rumianolica Fima wyszła z pokoju.

— Trzeba będzie zawiadomić milicję. Ten wariat gotów jeszcze dom podpalić albo zakatrupić kogoś!

2. W „PSIEJ SPRAWIE”

Sprawa profesora Wagnera, oskarżonego o kradzież psów, zgromadziła pełną salę publiki. Znajomi, spotykając się, pytali się nawzajem:

Pan także na „psią sprawę?… Na wezwanie.

— Nie, z ciekawości!… Profesor, i tu nagle kradnie psy!… Co on, żywi się nimi?

— A ja otrzymałem wezwanie. Jako świadek. Przecież mnie także Tuzik zginął! Dobry był pies. Zamierzam wnieść pozew…

— Proszę wstać!…

Na salę wchodzą sędziowie.

— Rozpatrywana będzie sprawa Iwana Stiepanowicza Wagnera, oskarżanego o kradzież…

Do stołu podszedł profesor Wagner. Z wyglądu nie można mu było dać więcej niż czterdzieści lat. W jego kasztanowatych włosach, w bujnej brodzie i obwisłych wąsach można było dostrzec zaledwie kilka srebrnych włosków. Czerstwa twarz, rumiane policzki i błyszczące oczy tchnęły siłą i zdrowiem.

„I o tym człowieku mówią, że wcale nie śpi!” — pomyślał sędzia patrząc ze zdziwieniem na oskarżonego. Spodziewał się ujrzeć wycieńczonego staruszka. Teraz z żywym zainteresowaniem zaczął zadawać formalne pytania.

— Imię i nazwisko?

— Iwan Stiepanowicz Wagner.

— Wiek?

— Pięćdziesiąt trzy lata…

Publiczność wymieniła zdziwione spojrzenia.

— Zawód?

— Profesor Uniwersytetu Moskiewskiego.

— Do związku zawodowego należycie?

— Należę. Pracowników oświaty.

— Partyjny?

— Bezpartyjny. Nie karany, nie sądzony.

— Obywatel ZSRR?

— Tak.

— Żonaty?

— Wdowiec.

— Przyznajecie się do winy?

Profesor Wagner w nie określony sposób wzruszył ramionami.

— Nie, nie przyznaję się.

— Ale psy pan wykradał?

— Pozwólcie, że wyjaśnię po przesłuchaniu świadków.

— Dobrze. Proszę zaprotokołować — zwrócił się sędzia do sekretarza: — „Oskarżony nie przyznaje się do winy”. Proszę wezwać świadka, dzielnicowego Sytnikowa! Co możecie zeznać w sprawie?

— Do naszego komisariatu wpływały meldunki od mieszkańców zaułku Bondarnego o zaginięciu psów. Obywatelowi Polakowowi zginął bardzo cenny seter, Obywatelce Juszkiewicz mops, a Deriuginom nawet perski kot. Psy ginęły bez śladu. Nie znajdowano zwłok. Widocznie ktoś je kradł.

— Prowadziliście dochodzenia?

— Zginie pies, niewielka sprawa. Trzeba przyznać, że nie mieliśmy czasu na dochodzenia w każdym przypadku. Ale kiedy wpłynęła skarga obywatelki Schmieman na obywatela Wagnera i wniosek

kierownictwa samorządu mieszkańców, zaczęliśmy zbierać informacje. Prawie wszyscy poszkodowani wskazywali na profesora Wagnera. To w ogóle jakiś dziwny człowiek. Mówią, że po nocach nie śpi. Albo pracuje w domu, albo po ulicach się włóczy. Dozorca widział kilka razy, jak Wagner wracał nocą i do domu iż psem na arkanie. W mieszkaniu psy ciągle szczekają, skamlą. Poszlaki były poważne. Dlatego w następstwie złożonych skarg postanowiliśmy przeprowadzić u profesora rewizję. Zajęliśmy także jego papiery. Rewizję przeprowadzałem ja w asyście przedstawiciela samorządu, dozorcy i obywatelki Schmieman. W pierwszym pokoju oskarżonego niczego podejrzanego nie znaleźliśmy prócz licznych instrumentów i maszyn o nieznanym przeznaczeniu. W drugim pokoju zastaliśmy sześć psów rozmaitej rasy, płci i w różnym wieku. Wszystkie były przywiązane do ściany na krótkich rzemykach. Niektórym głowy opadały, jakby zdychały albo były bardzo zmęczone. A na stole leżał biały kudłaty piesek z wywierconą w czaszce dziurą, przez którą widać było mózg. Obywatelka Schmieman rozpoznała w trupie swoją zgubę, krzyknęła i upadła nieprzytomna…

Na sali dał się słyszeć z trudem hamowany szloch madame Schmienian.

— Daisy, Daisy! — szeptała łkając.

— Zajęte papiery złożyłem w sądzie — dokończył milicjant.

Żukow, przewodniczący samorządu mieszkańców, potwierdził zeznania dzielnicowego.

— Do przeprowadzenia rewizji — dodał — zmusiła nas jeszcze ta okoliczność, że profesor Wagner jest bardzo dziwnym mieszkańcem. Sąsiedzi myślą, że jest pomylony, boją się nawet dzieci z domu wypuszczać. W celu uniknięcia dezorganizacji i paniki wśród mieszkańców proszę, aby poddano Wagnera badaniom psychiatrycznym…

— Może być niebezpieczny dla otoczenia — powiedział Żukow, zawahawszy się z niewiadomego powodu — i wtedy trzeba go będzie wyeksmitować.

Profesor uśmiechnął się.

— W czym może być niebezpieczny? — zapytał sędzia.

— Jak każdy nienormalny! Sąsiedzi się skarżą: u niego w pokoju coś syczy, buczy, a to wybuchnie nagle… Jeszcze dom wysadzi!… Psy przez całą noc wyją… Jednym słowem, uciążliwy lokator.

— Obywatelka Schmieman!

— Panie sędzio — rozpoczęła drżącym głosem, ocierając chusteczką łzy, i natychmiast poprawiła się: — Obywatelu sędzio!… To morderca! — wskazała na Wagnera palcem ozdobionym dwiema obrączkami. — Jestem wdową… Nie mam nikogo… Zamordował mojego najlepszego przyjaciela… Moją Daisy!… — I Schmieman znów się rozpłakała.

— Czy wnosi obywatelka pozew przeciwko oskarżonemu?

— Jaki pozew? O co?

— O psa… Pisze obywatelka o tym w swojej skardze…

— Nic nie jest — w stanie wynagrodzić mi straty! — krzyknęła patetycznym tonem. — Nie wiem, co tam jest napisane…

Pozostali. świadkowie nie wnieśli nic nowego. Dozorca drobiazgowo opowiadał o tym, jak ginęły psy na ich podwórzu, jak zginął „najdroższy” piesek Daisy, o tym, że widział Wagnera wprowadzającego psy do domu…

Jeden ze świadków rozpoznał swego psa wśród „ofiar” profesora Wagnera. Pies był żywy, ale wyglądał na bardzo zmęczonego i przyprowadzony do domu, przespał trzy doby bez przerwy.

— Wśród papierów profesora Wagnera — powiedział sędzia, kiedy przesłuchanie świadków zostało zakończone — znaleziono w czasie rewizji dzienniki z rozmaitymi zapiskami, dotyczącymi widocznie prowadzanych przez niego doświadczeń na zwierzętach. Pozwolę sobie odczytać niektóre z nich: „Zwierzę doświadczalne, Diana, seter, suczka, waga 22 kilogramy. Lepkość krwi w czasie czuwania — 2,89. Lepkość krwi w okresie wyczerpania bezsennością — 1,46”. Znajduje się tu również szereg tablic:

Stan normalny Stan zwiększonej potrzeby snu

Punkt krwioskopiczny 59° 59°

Gęstość 1,064 1,057

Lepkość 2,711 2,0

— Oskarżony profesorze Wagner! W oparciu o zeznania świadków i przedstawione dokumenty, uważam, że wasza wina została w pełni udowodniona. Dlaczego więc nie przyznajecie się do winy? Wyjaśnijcie nam…

— Wysoki sądzie! Nie zaprzeczam, że uprowadzałem psy, ale nie przyznaję się do popełnienia przestępstwa, a to dlaczego: Wszelka kradzież zakłada korzyści materialne jako cel. Ja takiego celu nie miałem. Sam pan odczytał dokumenty, na podstawie których sąd mógł się przekonać, że — zmierzałem wyłącznie do naukowych celów. Prowadzę badania, imające kolosalne znaczenie dla całej ludzkości. Korzyść, jaką winny przynieść te doświadczenia, jest niewspółmierna do niewielkiej szkody, jaką wyrządziłem.

— Jakie to doświadczenia?

Profesor Wagner odpowiedział po chwili wahania:

— Pracuję nad zagadnieniem snu i zmęczenia. Przezwyciężyć zmęczenie i zlikwidować potrzebę snu, oto jakie sobie postawiłem zadanie.

— I co, rozwiązał je pan z powodzeniem? Czy to prawda, że pan sam obywa się bez snu?

— Tak, prawda. Nie sypiam wcale i mogę pracować bez znużenia przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Publiczność poruszyła się. Dały się słyszeć pomruki zdziwienia i szepty.

— Dlaczego nie opublikował pan wyników swoich badań?

— Pracuję jeszcze nad udoskonaleniem metod.

— A nie zechciałby pan nam — wyjaśnić, dlaczego — uznał za konieczne uciekanie się. do tak dziwnych i sprzecznych z prawem, sposobów zdobywania psów do swoich doświadczeń? Jeśli te doświadczenia przedstawiają tak wielką wartość, władze zaopatrzyłyby pana we wszystko, co niezbędne do pracy!

Profesor Wagner zaczął się plątać.

— To są zbyt odważne doświadczenia. Mogłyby się komuś wydać nierealne. Wierzyłem w sukces, ale na mojej drodze leżały nieuchronne trudności. Mogłyby zgubić i samo dzieło, i moją reputacją przede wszystkim, zanim osiągnąłbym pozytywne rezultaty. Postanowiłem — prowadzić je w ciszy własnego gabinetu, na własne ryzyko i odpowiedzialność. Ale miałem zbyt mało prywatnych środków na zdobycie psów do doświadczeń. Zrezygnować z nich, kiedy problem był na wpół rozwiązany, nie mogłem. I byłem zmuszony…

— Kraść psy? — z uśmiechem dokończył sędzia.

Profesor wyprostował się i odpowiedział z tonem głębokiego przekonania o własnej racji:

— Długość życia psa to jakieś dwadzieścia lat. Wartość psa — ruble, najwyżej dziesiątki rubli. Uśmiercając kilka psów, wydłużam życie ludzkości trzykrotnie, a w związku z tym potrajam również wartość ludzkiej twórczości. Jeśli z tego powodu zasłużyłem na karę, osądźcie minie! Nie mam nic do dodania.

Sędziowie wyszli na naradę. Publika zaszumiała jak trwożny ul. We wszystkich kątach potworzyły się grupki dyskutujących na temat przyszłego wyroku. Słyszało się pojedyncze okrzyki:

— Kradzież pozostaje kradzieżą!

— Ale jego doświadczenia mogą obsypać ludzkość dobrodziejstwami!

— Zupełnie nie — spać?… — mówił jakiś uśmiechający się grubas. Dziękuję bardzo. Pozwólcie, że zrezygnuję z tego dobrodziejstwa! Już Turgieniew powiedział, że całe nasze życie to sen, a co najlepsze w życiu to także sen!…

— Może — on kłamie?

— Kto? Turgieniew?

— Ależ nie, Wagner, że wcale nie śpi. Człowiek nie może nie spać, obejść się bez snu!

— Sąd idzie!…

Ze skupioną uwagą wysłuchano wyroku.

Uznając fakt kradzieży za udowodniony, sąd skazał profesora Wagnera na miesiąc pozbawienia wolności, bez całkowitej izolacji. „Biorąc jednak pod uwagę dotychczasową niekaralność oskarżonego i to, że nie miał na celu korzyści materialnych, postanawia się zawiesić wykonanie wyroku, ustalając roczny okres próbny… „

— Rozpatrywana będzie sprawa z powództwa samorządu mieszkańców…

Publika wysypała się z sali, dyskutując o wyroku, który, jak było widać, zadowalał większość.

Tylko niektórzy krytykowali — orzeczenie sądu.

— A więc to tak? Można bezkarnie kraść i mordować? — demonstracyjnie głośno zapytywała pani Schmieman, szukając oczyma poparcia.

— Nie było korzyści, nie ma kradzieży! Wagner winien złożyć apelację! — mówili inni.

Pod krzyżowymi spojrzeniami gawiedzi Wagner przedzierał się przez korytarz sądu. Ale nie zwracał uwagi na nikogo. Jego głowę zaprzątała uporczywa myśl: „Skądże ja teraz wezmę psy, niezbędne do doświadczeń?”.

3. CZŁOWIEK, KTÓRY NIE ŚPI

Proces sądowy miał dla profesora Wagnera nieoczekiwane następstwa: zdobył rozgłos wcześniej, aniżeli tego pragnął. W czasie rozprawy znalazł się na sali przypadkowo korespondent pewnej niewielkiej moskiewskiej gazety. Po kilku dniach w kronice sądowej znalazła się notatka pod intrygującym tytułem: „Człowiek, który nie śpi”. Notatka relacjonowała proces profesora i obwieszczała, że profesor Wagner „zwyciężył sen” — on wcale nie sypia i może pracować — dwadzieścia cztery godziny na dobę bez zmęczenia.

W rezultacie tej notatki po kilku dniach gospodyni zameldowała Wagnerowi o przybyciu korespondenta „Izwiestii”. Profesor skrzywił się iż niezadowoleniem, przywykł był strzec (tajemnicy swoich prac. Ale, zastanowiwszy się chwilę, postanowił wykorzystać wizytę przedstawiciela prasy. Jeśli nie wolno mu chwytać po nocach psów, pozostaje uciec się do pomocy władz. Prowadzenie doświadczeń w tajemnicy nie było (możliwe i nie było takiej potrzeby. Z tym, co osiągnął, można było wystąpić publicznie. Korespondent został przyjęty.

Przeciskając się wśród nagromadzonych w znacznej ilości maszyn i aparatów, korespondent Goriew ujrzał profesora Wagnera i aż przystanął iż wrażenia. Wagner stał przy wysokim pulpicie. Z jego nosa wychodziły dwie gumowe rurki, biegnące przez otwór w ramie okiennej na wewnątrz budynku. Wydawało się, że rurki te wiążą jak gdyby profesora organicznie z otaczającymi go maszynami. On sam na wpół przeobraził się w maszynę. I jeszcze jedno uderzyło Goriewa: lewym okiem Wagner przeglądał jakąś książkę i robił z niej lewą ręką wypiski, prawe zaś oko skierował na gościa i wyciągnął do niego prawą rękę.

— Proszę siadać! — powiedział uprzejmie, nie przerywając pracy lewą ręką.

Gość, jak każdy doświadczony korespondent nie iż jednego już pieca chleb jadał, był tak zaszokowany tym, co zobaczył, że zapomniał o wszystkich zwykłych dziennikarskich sztuczkach i milczący i osłupiały patrzył to na biegające po książce i rękopisie lewe oko profesora, to na rurki w jego nosie.

Profesor zauważył to zdumione spojrzenie gościa i uśmiechnął się:

— Dziwią pana te przewody? — zaczął uprzejmie. — Ależ to takie proste: za bardzo cenię sobie swój czas, aby chodzić na spacery. Tymczasem świeże powietrze niezbędne jest dla zdrowia ciała i jasności umysłu. Skonstruowałem więc maleńkie urządzenie: wyprowadziłem na zewnątrz domu, na dach, dwie rurki, których końce ze specjalnym aparacikiem wkłada się w nos. Przy wdechu otwiera się jeden zawór, przy wydechu zawór ten zamyka się pod ciśnieniem powietrza, a otwiera się drugi, który wypuszcza powietrze zużyte przez płuca. To małe udogodnienie daje mi możliwość oddychania przez cały czas świeżym powietrzem, widzi pan, jaka mam zdrową cerę! Błahy wynalazek, a jak ogromną może przynieść korzyść. Niech pan sobie wyobrazi chorych, których nie można wynosić z pokoju. Współczesna klimatyzacja też pozostawia wiele do życzenia. Przy pomocy tego przyrządu wszyscy chorzy będą mogli oddychać świeżym powietrzem. Przewiduję więcej: jeśli już starożytni Rzymianie potrafili doprowadzać wodę na setki kilometrów, budując swoje monumentalne akwedukty, to dlaczego my nie mielibyśmy zbudować „aeroduktów”? Można by było, na przykład sprowadzać rurami morskie albo górskie powietrze. W końcu byłoby to tańsze aniżeli wywożenie chorych o setki i tysiące kilometrów dla zmiany klimatu. Centralne rury ze specjalną sprężarką będą tłoczyć do naszych miast — górskie, morskie, stepowe albo przesycone zapachem sosny powietrze. Tam będzie ono rozdzielane, będzie dostępne dla wszystkich…

Profesor Wagner mówił szybko, nie przestając pisać lewą ręką. Prawym okiem patrzył dalej na gościa.

Goriew odzyskał w końcu dar wymowy.

— Niech pan powie, jak pan to robi? — spojrzał na patrzące oddzielnie oczy profesora i na jego lewą rękę.

— Pisać lewą ręką, posługiwać się każdym okiem oddzielnie, pracować i równocześnie rozmawiać z panem? Rzecz w tym, że moje obie półkule mózgowe działają zupełnie samodzielnie i prawie niezależnie od siebie. Nie będę panu szczegółowo relacjonował badań, jakie poświęciłem temu zagadnieniu, zajęłoby to zbyt wiele czasu. Powiem tylko, że najważniejszą rolę odgrywa tu trening. Być może miał pan okazję oglądać gimnastykę rytmiczną Daloroze'a? Dzieci szybko przyswajają ten sposób wykonywania ruchów asymetrycznych: prawa ręką mogą wybijać trzy takty, lewą — dwa, przy czym w różnych tempach, wykonując równocześnie także różne ruchy nogami. Coś podobnego ćwiczyłem również ja, ku ogromnemu zdziwieniu mojej gospodyni.

Trudniejsze okazało się opanowanie aparatu wzroku. Każde nasze oko posiada samodzielny system sterowania, ale w związku z tym, że lepiej widzimy koncentrując obydwa oczy na jednym punkcie, wypracowaliśmy w sobie nawyk zgodności ruchów gałek ocznych. Dziedziczność tego nawyku bardzo utrudniała — moją walkę o „autonomię" — dla ruchów oczu. Taka niezależność ruchu każdego oka z osobna jest w pełni możliwa. Jako przykład może posłużyć kameleon. Zająłem się ćwiczeniami. Rezultaty pan widzi.

Nauczenie się pisma i pracy lewą ręką nie sprawiło mi żadnych trudności. Pozostało ostatnie zadanie: nauczyć się wykonywać równocześnie dwie prace umysłowe, na przykład pisać obydwiema rękami na raz dwie naukowe rozprawy na różne tematy. To — zajęło mi kilka lat. Ale dopiąłem swego. W ten sposób podwoiłem moją wydajność umysłową.

Ale i to wydawało mi się mało. Osiem godzin snu! Trzecią część życia tracimy, trwając w tym niedołężnym, półmartwym stanie. To mnie — oburzało. Ach, uwolnić by tak ludzkość od tego sennego haraczu! Jakie niezwykłe perspektywy, jakie możliwości!… Ile wspaniałych dzieł daliby nam jeszcze wielcy myśliciele, gdyby podarować im wszystkie noce na twórczość! Ile nie dokończonych dzieł uzyskałoby swój ostateczny kształt! Robotnik, odpracowawszy obowiązkowe godziny przy maszynie, spędziłby czas nad książką albo na pracy społecznej. Nie byłoby analfabetów. Co więcej, wszyscy uzyskaliby możliwość zostania w pełni wykształconymi ludźmi. Jakimi gigantycznymi krokami ruszyłby postęp! O tym właśnie myślałem…

Profesor Wagner ożywił się. Jego prawe — oko płonęło entuzjazmem. Widać było, że podniecenie udzieliło się również drugiej połowie mózgu: lewe oko także — zajaśniało, lewa ręka zaczęła pisać iż przerwami.

Ale Wagner spostrzegł to i lewe oko jakby przygasło, zagłębiwszy się w pracy, lewa ręka na powrót zaczęła szybko stawiać regularne znaki. A w tym samym czasie prawe oko dalej płonęło uniesieniem, a prawa ręka zataczała szerokie kręgi.

— I teraz jest to możliwe! — powiedział profesor. — Sen nie jest już zupełnie normalnym zjawiskiem, a chorobą, będącą rezultatem zatrucia organizmu hipnotoksynami, jadami, które wydziela mózg w czasie swojej pracy. Zatruty tymi jadami człowiek zasypia, to znaczy wpada w chorobę. Kiedy człowiek śpi, mózg nie wytwarza nowych toksyn, w tym czasie organizm niszczy toksyny nagromadzone w ciągu dmą pracy. W taki sposób, wyspawszy się, człowiek wraca do zdrowia, ale niestety po to, żeby znów zachorować wieczorem. I znowu zmuszony jest kłaść się do łóżka. Czyż to nie okropne?!

Niech pan sobie wyobrazi, że sen jest zaraźliwy. Robiłem następujące doświadczenie: zmusiłem psa do tego, aby nie spał. Kiedy jego organizm zatruty był hipnotoksynami, pobierałem je i wstrzykiwałem należycie wyspanemu i dopiero co rozbudzonemu psu. On natychmiast zasypiał. Całe zadanie polegało na tym, aby znaleźć przeciwjad — antyhipnotoksyny. I udało md się rozwiązać ten — problem, w szerszym zresztą zakresie, aniżeli zamierzałem: wynaleziona przeze minie antyhipnotoksyna zabija nie tylko toksyny snu, ale i inne trucizny. W konsekwencji uzdrawia ona cały organizm. Niemało było przeszkód, ale wszystkie zostały pokonane. Zwyciężyłem sen. Wyrzuciłem z domu łóżko — ten symbol szpitala. Nie śpię

już wcale i pracuję prawie przez całą dobę. Antyhipnotoksynę zażywam razem z jedzeniem. Na posiłki poświęcam godzinę lub dwie w ciągu doby.

Wszystko to było tak niezwykłe, że Goriew siedział dalej w milczeniu i słuchał uważnie profesora.

— Ale jak się pan czuł ma początku? — zapytał w końcu.

— Tak, musiałem trochę powalczyć z nawykiem — snu. Spać mi się absolutnie nie chciało. Ale ten nieprzerwany, nie kończący się dzień pracy

— to ze słońcem za oknem, to z czarną zasłoną nocy — działał na mnie jakoś dziwnie. Do tego się jednak szybko przyzwyczaiłem. Za to jak się wspaniale pracuje w nocnej ciszy! Nie ukrywam egoistycznej myśli: boję się, że kiedy wszyscy ludzie zaczną prowadzić bezsenny tryb życia, nie będzie już tak cicho po nocach.

— A nie wydaje się panu, że nie wszystkim może się spodobać perspektywa życia bez snu?

— Jestem przekonany także o tym — profesor uśmiechnął się. — Kiedyś zimą, na zapadłej wsi, zaproponowałem pewnemu parobczakowi, dziwiącemu się bardzo, że ja nie śpię, aby wypróbował na sobie mój środek. Zgodził się. Nazajutrz pytam go, jak się czuje. „Paskudztwo! — powiada chłopak. — Z nudów omal — nie skonałem! Cała wieś śpi. Tylko psy szczekają. Chodziłem, chodziłem — niebożę! Na piec wlazłem — ani oka zmrużyć. Myślałem, że ta noc nigdy się nie skończy!”

— Uwolnijcie ludzi od codziennego mozołu — kontynuował profesor — też będą tęsknić. Ale to wszystko tylko na niższych stopniach kultury. Jednak sama ta kultura szybko się podniesie przy rozumnym wykorzystaniu

— Jeszcze jedno pytanie. Mówi pan, że nie śpi pan prawie całe dwadzieścia cztery godziny. Jak to się dzieje, że wcale nie odczuwa pan zmęczenia?

— To bardzo proste. Zmęczenie to także objaw chorobowy. Pracujący mózg wydziela hipnotoksyny, pracujące mięśnie wydzielają kemotoksyny — jady, które wywołują uczucie zmęczenia. Ja wprowadzam do organizmu przeciwjad — retardin, i zmęczenie mija, jak ręką odjął. Mój retardim tak samo radykalnie przerywa trwanie choroby, którą nazywamy zmęczeniem, jak radykalnie likwiduje się teraz tyfus, wprowadzając do organizmu diaksydiaminoarsenobeinzealdichlarhydrat — wyrecytował szybko Wagner.

Goriewowi aż dech zaparło od tego długiego słowa. Poprosił — profesora, aby powtórzył sylabami tę niezwykłą nazwę i zapisał ją sobie w notatniku. „Takie słowa dodadzą artykułowi wagi naukowej” — pomyślał.

— A teraz miech pan policzy — powiedział Wagner. — Pracując obydwiema połówkami mózgu równocześnie, podwajam swoją wydajność. Pracując dwadzieścia cztery godziny zamiast ośmiu, potrajam czas pracy. To znaczy, że pracuję za sześciu, i to bez żadnej szkody dla zdrowia. Innymi słowy, przez trzydzieści lat pracy człowiek będzie w stanie wykonać robotę stu osiemdziesięciu lat. Jeszcze inaczej mówiąc, w ciągu każdego pięćdziesięciolecia ludzkość będzie posuwać się naprzód na drodze postępu od razu o trzy stulecia.

— Jak pan myśli, czy można to porównywać z wartością kilku psów?… — z uśmiechem zakończył profesor.

4. „DYKTATOR”

Obszerny salon bankiera Goldsacka, który nabył niedawno za pieniądze tytuł barona, urządzony był z ciężkim przepychem. Na ścianach wyłożonych rzeźbioną dębową boazerią pyszniły się rogi jeleni i herby nowo kreowanego artystokraty, w rogu pokoju stał rycerz z XII wieku w zbroi i z mieczem, domniemany przodek barona. Kolorowe szkiełka w oknach układały się również w herb: na żółtej tarczy zgięta w łokciu i zakuta w pancerz ręka ściskała żelazną rękawicą miecz. Nad ręką widniało pięć ciemnobłękitnych gwiazd.

Pośrodku salonu, wokół wielkiego okrągłego stołu z czarnego dębu, na dębowych fotelach z wysokimi rzeźbionymi oparciami, siedzieli członkowie komitetu centralnego niemieckiej organizacji politycznej „Dyktator”. Na honorowym miejscu, ozdobionym niemieckim orłem, siedział przewodniczący organizacji, stary generał, jeden z „bohaterów wojny imperialistycznej, przyjaciel cesarza. Twarz miał toporną, jakby wyciosaną z grubsza z jednego kawałka drewna. Mocno zaciśnięte wargi pod podkręconymi ku górze wąsami mówiły o ogromnej sile woli tego człowieka. Spod obwisłych siwych brwi patrzyły przenikliwie nieruchome oczy. Mundurowy surdut zdobił jeden tylko order — Żelazny Krzyż.

Po prawej stronie generała zasiadł gospodarz — łysy jak kolano baron Goldsack, w czarnym fraku, z moncklem w oku, gładko wygolony. Dalej, w ścisłym porządku, według rang, zasiedli członkowie komitetu. Generał o niskim czole, głęboko osadzonych oczach i wydatnym podbródku. Jeszcze jeden generał… Urzędnicy z ministerstw, posłowie… Potężni fabrykanci i bankierzy zamykali krąg.

Młodo wyglądający człowiek we fraku, z tworzą i manierami dyplomaty — sekretarz komitetu — wygłaszał referat. Na stole obok niego leżał numer „Izwiestii” z artykułem Goriewa „Zwycięstwo profesora Wagnera nad snem i zmęczeniem” oraz przekład artykułu na język niemiecki.

— Nie sprawdziliśmy jeszcze do końca wiarygodności przedstawionych w artykule danych, ale według posiadanych już przez nas informacji, najprawdopodobniej zgodne są one z rzeczywistością. Nie musze chyba mówić o znaczeniu takiego odkrycia. Jeśli zostanie ono wykorzystane przez Rosję Sowiecką, układ sił pomiędzy nią a pozostałymi państwami świata zmieni się generalnie. W ciągu jakichś pięciu lat potęga holszewizmu wzrośnie niebywale.

Równoczesne posługiwanie się obydwiema półkulami mózgowymi wymaga, na szczęście, czasu i treningu i dlatego nie w pełni dostępne jest masom. Ale samo tylko zwycięstwo nad snem i zmęczeniem już potraja siły fizyczne i umysłowe naszych przeciwników politycznych, a co za tym idzie — ich materialne zasoby. Za Mika lat będą dysponowali nowymi kadrami doskonale przygotowanych specjalistów ze wszystkie li dziedzin technika. Jednym słowem, ich potęga będzie rosnąć nieustannie. Będą pracować, kiedy cały świat będzie spał. Będą pracować, kiedy my, zmęczeni, będziemy odpoczywać po znojnym dniu…

— Jest jeszcze inne niebezpieczeństwo — dał się słyszeć ochrypły głos generała. — Myślę o potencjale bojowym Armii Czerwonej. Co będzie, jeśli tylko osiem z szesnastu godzin „dodatkowych” w ciągu doby wykorzystają na szkolenie wojskowe robotników i chłopów? Równa się to powołaniu wielomilionowej armii. W czasie wojny dysponować będą wojskiem, które nie potrzebuje odpoczynku. Nie będą musieli zmieniać żołnierzy w okopach. Zawsze będą rześcy, czujni, świeży, podczas gdy dwie trzecie naszej armii pogrążone będzie we śnie. Ich lotnicy, nie znający zmęczenia, będą w stanie przeprowadzać bardzo dalekie loty… Ich kadra oficerska, ich sztaby będą zdolne kierować operacjami, nie wypuszczając z rąk nici dowodzenia ani na jedną minutę… Jeśli środek ten zastosują również koniom, ich tabory, ich kawaleria nie będą znały zmęczenia… Wszystko to jest zbyt poważne!… Wystąpienie generała wywołało duże poruszenie wśród zebranych, szczególnie wśród wojskowych. Generałowie zasępili się, bębnili nerwowo palcami po stole, głęboko zaciągali się cygarami…

— Ale największe niebezpieczeństwo — podniósł się znowu sekretarz — tkwi w politycznym znaczeniu faktu. Już teraz bolszewizm wstrząsa r światem, trzyma w nerwowym napięciu rządy wszystkich krajów. Środek Wagnera potroi, a nawet zwiększy sześciokrotnie liczbę bolszewików. Tutaj, w swoim gronie, możemy mówić otwarcie. Nie wiemy, jak poradzić sobie z jednym wodzem Komunistycznej Międzynarodówki. Co będzie, jeśli ten wódz zyska możliwość, aby pracować sześć razy więcej? Będziemy mieli sześciu takich wodzów, sześciokrotnie powiększony Komintern, miliomy rosyjskich bolszewików nie znających zmęczenia, agitujących i demoralizujących masy dzień i noc, po dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Te argumenty wywarły piorunujące wrażenie. Drżały ręce zebranym, czoła i łysiny pokryły krople zimnego potu…

— To straszne!…

— Koszmar! — słyszało się wzburzone głosy.

Nastało pełne grozy milczenie. Wydawało się, że jakieś straszliwe upiory przeniknęły znienacka do tego salonu i wypełniły go lodowatym tchnieniem śmierci.

W końcu przewodniczący zebrania potrząsnął głową i uderzył włochatą pięścią w stół.

— Nie wolno nam do tego dopuścić — wykrzyknął ochryple. — Musimy usunąć grożące światu niebezpieczeństwo, bez względu na koszty! Musimy zawładnąć sekretem profesora Wagnera, zanim stanie się on własnością bolszewików!

I podniecone strachem i nienawiścią zgromadzenie zajęło się roztrząsaniem problemu, jak to zrobić.

Jeden tylko baron Goldsack nie brał udziału w obradach. Przed nim rysowały się już wspaniałe plany. Myślał o tym, ile korzyści można by wyciągnąć <z odkrycia profesora Wagnera, jeśli sekret tego odkrycia (znalazłby się w jego rękach.

5. „MIŁOŚNIK NAUK"

Po procesie sądowym cały porządek zajęć profesora legł w gruzy. Przychodzili do niego korespondenci gazet i czasopism, profesorowie, studenci i zwykła ciekawska gawiedź, pragnąca spróbować „przeciwsennego proszku". Profesor Wagner przywykł już do tych wizyt i dlatego nie zdziwił się, kiedy pewnego dnia usłyszał, jak ktoś z niemieckim akcentem prosi za drzwiami o umożliwienie mu wizyty.

Kiedy drzwi się otwarły, profesor ujrzał młodego człowieka o pulchnej różowej twarzy i jasnych, kędzierzawych włosach. Bardzo „modne" szyldkretowe okulary jakoś nie pasowały do tej młodej twarzy. Nienagannie skrojony garnitur nadawał nieznajomemu europejskiego wyglądu.

— Pozwoli pan, że się przedstawię, szanowny panie profesorze!… Herman Taube, członek Berlińskiego Towarzystwa Miłośników Przyrodoznawstwa. Przybywam do pana w imieniu Towarzystwa… Pańskie odkrycie niezwykle nas zainteresowało. I Towarzystwo zwraca się do pana z pokorną prośbą: czy nie zechciałby pan wygłosić w naszym kole kilku wykładów ma temat swoich doświadczeń?

— Niestety, nie dysponuję czasem.

— O, to nie zajmie wiele czasu! — nalegał młodzieniec. Jego kobiecy głos przybrał najwyższa tonację, oczy patrzyły błagalnie spoza szyldkretowych oprawek. — Niech się pan zgodzi!… Niech się pan zgodzi!… To będzie dla nas takie święto. Sam nie jestem naukowcem, ale ogromnym entuzjastą nauki… Mój ojciec jest bogaty… bardzo bogaty… Gdyby pan zechciał, znalazłby pan u nas wszystko, czego potrzeba do prowadzenia doświadczeń… Wyposażylibyśmy panu wspaniałe laboratorium… dziesiątki, setki psów byłyby do pana dyspozycji!…

Wagner uśmiechnął się.

— Jest pan bardzo miły, ale niestety, muszę odrzucić pańską propozycję. Nie zamierzam opuszczać Rosji.

— Jaka szkoda! Jaka szkoda! Wydawało mi się, że pracować tutaj… co tam pracować… Ale nie odmówi mi pan wygłoszenia kilku wykładów! To zajmie raptem kilka — dni. Polecimy samolotem nowego towarzystwa lotniczego „Unschadlich und Beąuemheit — „Bezpieczeństwo i wygoda". W pełni uzasadniona nazwa… Skutecznie konkuruje iż „Deruluem"… Biorę na siebie wszystkie kłopoty związane z załatwianiem wizy i paszportu. O kosztach i honorarium nawet nie mówmy… Wszystko bierzemy na siebie…

— Mógłbym poświęcić na tę sprawę nie więcej niż trzycatery godziny. Zbyt cenię swój czas. Niech pan nie zapomina o tym, że dysponuję sześciokrotną wydajnością. Jeśli stracę tylko dwie doby, to będzie się to dla mnie równało utracie dwunastu. Nie, nie mogę przyjąć tego zaproszenia!

— Ogromnie jestem zmartwiony. A jeszcze bardziej zmartwi się szef naszego laboratorium, profesor Braude. Pracuje nad tym samym zagadnieniem, co pan. Ale jego metoda jest inna nieco…

Profesor Wagner ożywił się.

— Ach to tak! A na czym polega jego metoda?

— Prowadzi doświadczenia… — Taube zaplatał się trochę. Twarz jego wyrażała ogromny wysiłek myśli, jak gdyby chciał sobie coś przypomnieć. — Pracuje nad metodą, która da możliwość samemu organizmowi wytwarzania toksyn przeciw hip… hip…

Ale Wagner już odgadł jego myśl.

— Akurat pracuję teraz nad tym samym! Nasze gazety nieco wyolbrzymiły moje osiągnięcia w tym kierunku…

— Ja nie z gazet — żachnął się Taube i poczerwieniał. — Profesor Braude już od kilku lat prowadzi doświadczenia w tej dziedzinie. Teraz chciałby się z panem nimi podzielić… Bardzo mi przykro, że będę

musiał go zmartwić…

— To zmienia postać rzeczy! Myślę, że strata czasu zostanie wynagrodzona… Profesor Braude?… Że też o nim nie słyszałem.

— Młody i bardzo skromny… nie lubi rozgłosu… Ale niezwykle genialny!…

— Zgadzam się!

Taube rzucił się ku profesorowi i zaczął go ściskać za ręce.

— Stokrotne dzięki! O podróż zatroszczę się sam: Nie straci pan ani minuty ze swego drogocennego czasu!

Kłaniając się szarmancko, Taube zniknął za drzwiami.

„Dziwny młodzieniec. Psami mnie chciał przekupić!” — pomyślał po jego wyjściu profesor Wagner.

6. „UNSCHADLICH UND BEQUEMHEIT”

Wczesnym rankiem samolot pocztowo-pasażerski wzbił się z lotniska i szybko zaczął nabierać wysokości. W przytulnej kabinie, na miękkich skórzanych fotelach rozsiedli się: profesor Wagner, Herman Taube, kurier dyplomatyczny ambasady francuskiej w Moskwie i urzędnik radzieckiego przedstawicielstwa handlowego w Berlinie.

Gdyby nie wyciszony udoskonalonym tłumikiem warkot silnika i płynne kołysanie, można byłoby pomyśleć, że siedzi się w przedziale wagonu. Poprzez zwierciadlane okna było widać w dole panoramę Moskwy przeciętą krętą wstęgą rzeki. Lśniący złotymi kopułami Kreml wyglądał jak zabawka. A przed nimi już się rozpościerał niekończący się dywan pól i lasów, poprzecinany żółtawymi liniami dróg i błękitnymi meandrami rzek. Żółtymi kwadratami wyróżniały się pola dojrzewających zbóż. Gdzieniegdzie jak mrówki przesuwali się po drogach i polach ludzie.

Ale profesor Wagner niedługo rozkoszował się tymi widokami z wysokości ptasiego lotu. Jak sknera trzęsie się nad każda kopiejka, tak on trząsł się nad każdą minutą czasu. Wyciągnął książki, zmontował na kolanach składany pulpit i zabrał się do pracy. Czytając książkę, pisał równocześnie coś w zeszycie znakami stenograficznymi.

Taube patrzył w okno na żywy obraz kraju tak dla niego niepojętego. Tak biednego, a zarazem potężnego. Pokojowego w rozpościerających się przed nim obrazach pracy wieśniaków i strasznego tą siłą, która organizuje miliony tych mocnych rąk…

Minęli Smoleńsk, Kowno, granicę kraju. W pewnym momencie silnik zaczął pracować z przerwami i nagle stanął. Pilot szybko zaczął opuszczać maszynę lotem ślizgowym, wypatrując gorączkowo wygodnego do lądowania miejsca. Aparat drgnął, potoczył się po zżętym polu i stanął.

Pilot i mechanik obejrzeli motor.

— Trzeba się będzie zatrzymać przynajmniej na godzinę — powiedział mechanik.

Pasażerowie wyszli z kabiny, rozprostowując zdrętwiałe nogi.

Samolot zatrzymał się na skraju sosnowego lasu. Pośród prostych jak maszty, czerwonych pni prześwitywało błękitnym srebrem jezioro.

— Jaki malowniczy zakątek! — powiedział Taube, zwracając się do profesora Wagnera. — Zdążymy jeszcze odbyć wspaniały spacer. Zresztą, może spotkamy kogoś z miejscowych i dowiemy się, gdzie jesteśmy. Nie ma pan nic przeciwko temu?

Profesor Wagner przyjął propozycję i zagłębili się w las.

Minęła godzina. Silnik został naprawiony, a Wagnera i Taubego wciąż jeszcze nie było. Nawoływano ich, szukano po lesie, ale zniknęli bez śladu. Francuz nalegał, aby lecieć dalej.

— Wiozę, pilną pocztę dyplomatyczna do ministerstwa, jeśli nie przylecimy do Królewca przed odlotem samolotu do Paryża, spóźnię się wiele godzin… To niedopuszczalne!…

Urzędnik przedstawicielstwa handlowego sprzeciwiał się, prosił, aby odłożono lot jeszcze o pół godziny, kontynuował poszukiwania, ale bez powodzenia.

— Przecież nie możemy tutaj nocować! — mówił Francuz. — Nie są dziećmi. Dojadą koleją. Płacę za punktualność i wymagam punktualności.

Pilot wzruszył ramionami i siadł na swoje miejsce. Pasażerowie podążyli za nim.

7. W NIEWOLI

Profesor Wagner przepadł bez wieści.

Kiedy dowiedziano się o tym w Moskwie, Ludowa Komisja Spraw Zagranicznych wystosowała interpelację do rządu niemieckiego w sprawie tego tajemniczego zaginięcia.

Z niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych otrzymano notę z odpowiedzią, w której wyrażano ubolewanie z powodu bolesnego przypadku. „Podjęliśmy wszelkie możliwe działania, aby odnaleźć zaginionego, ale niestety, do dnia dzisiejszego nie dały one rezultatów. Uważamy za stosowne zwrócić wasza uwagę na fakt, że razem z profesorem Wagnerem zaginął niemiecki poddany Herman Taube. Wyrażamy przekonanie, że okoliczność ta uwalnia rząd niemiecki od wszelkich podejrzeń o to, że w danym wypadku mógł mieć miejsce wrogi akt wobec profesora Wagnera, jako obywatela Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Przyjmijcie nasze wyrazy szacunku… „

Taka odpowiedź, rzecz jasna, nie mogła zadowolić Narkomindieła, ale ponieważ nie można było ustalić faktów towarzyszących zniknięciu profesora, pozostawało tylko czekać, aż tajemnica tak czy inaczej sama się wyjaśni.

A oto co przydarzyło się profesorowi Wagnerowi.

Kiedy weszli w głąb lasu, Taube zaproponował mu zwiedzenie ruin zamku stojącego nad jeziorem. Niczego nie podejrzewając, profesor ruszył w jego ślady. Tam czekała już na nich zasadzka. Trzech zamaskowanych mężczyzn rzuciło się na profesora, zawiązując mu oczy i usta. Taube wyrwał z jego rąk teczkę z papierami, z fetor ą Wagner nie rozstawał się nigdy. Silne race wsadziły go do oczekującego samochodu. Ruszyli w drogę. Po godzinie samochód zatrzymał się — Wagnera wprowadzono do domu.

Profesor był wściekły.

— Co to wszystko znaczy? — zapytał, szukając wzrokiem Taubego, kiedy zdjęto mu opaskę z oczu. Ale Taubego nie było. Nie było także ludzi, którzy go uprowadzili. Stał przed nim wytworny młody człowiek w cywilnym ubraniu, ale z ruchami i manierami wojskowego. Uśmiechał się najuprzejmiej, jak tylko potrafił.

— Drogi panie profesorze, jeśli się pan nie zmęczył, to na pewno jest pan głodny. Porozmawiać jeszcze zdążymy. Proszę czuć się jak u siebie w domu. Nie odmówi mi pan przyjemności podzielenia się z nim kolacją. Łóżka panu nie postawiono, pan przecież nie śpi?

I wskazał na suto zastawiony stół, z butelkami drogiego wina.

— Dziękuję! Nie jestem głodny — odpowiedział Wagner, chociaż bardzo chciało mu się jeść. — Najpierw chciałbym się dowiedzieć, jak i po co się tu znalazłem?

— Jaka szkoda! — odpowiedział z tym samym uprzejmym uśmiechem młody człowiek. — Przygotowaliśmy dla pana jego ulubione dania. Nie będę przeszkadzał. Niestety, nie mogę panu życzyć dobrej nocy, nie wypada.

Wyszedł ze swoim niezmiennym uśmiechem na ustach.

Profesor Wagner rozejrzał się wokół. Pokój w niczym nie przypominał meliny bandytów. Rzucił okiem na stół, zobaczył dymiące szparagi, zielony groszek, sałatę. Przełykając ślinę, odwrócił się i usiadł zrezygnowany w fotelu. Na domiar złego utracił teczkę i nie miał się czym zająć. Od czasu do czasu wstawał i podchodził do drzwi — były zamknięte. Podniósł zasłonę na oknie i ujrzał gęstą żelazną kratę. Ucieczka była niemożliwa.

— Co za absurd! — westchnął i, ponury, znów opadł na fotel. Tak przesiedział do rana.

Wczesnym rankiem zjawili się ci sami zamaskowani osobnicy, znowu zawiązano mu oczy i usta, wyprowadzono go i posadzono do samolotu. Zaterkotał silnik. Profesor poczuł, jak mc szyna odrywa się od ziemi. Lot trwał około trzech godzin.

Kiedy na nowo rozwiązano mu oczy, zobaczył przed sobą znanego już młodego człowieka.

— Witam, drogi profesorze! Pozdrawiam pana w nowym mieszkaniu! Ponieważ przyjdzie nam spędzać czas razem, pozwoli pan, że się przedstawię: Henryk Braude.

— Profesor?

— Niezupełnie — uśmiechnął się Braude.

— A pańskie badania nad zmęczeniem?… Opowiadał mi Taube…

— Aha! To widocznie inny Braude. Pozwoli pan, że oprowadzę go, że tak powiem, po włościach. Oto pański gabinet — zrobił ręką kolisty ruch, pokazując obszerny pokój z ogromnym biurkiem, dębowymi meblami i biblioteką. Okna z matowymi szybami były zakratowane. — Znajdzie pan tutaj wszystko, co napisano na temat snu i zmęczenia.

Nie bacząc na całą niezwykłość położenia, Wagner nie mógł się powstrzymać i podszedł do szaf z książkami.

— Preier… Herrer… Bouchard… Claparede — czytał na grzbietach książek. — Wszystko to przestarzałe… Legendre, Pieron… Tym co nieco zawdzięczam…

— Oczywiście pan zaszedł dalej niż oni! A teraz, drogi profesorze, nie zechciałby pan przejść do laboratorium?…

Przeszli do drugiego pokoju.

8. ROZSTRZYGAJĄ SIĘ LOSY PROFESORA WAGNERA

W tym samym czasie, kiedy Braude z wyszukaną uprzejmością „oprowadzał” profesora Wagnera po jego „włościach”, członkowie centralnego komitetu organizacji pod nazwą „Dyktator” rozstrzygali o losach jeńca. Większość członków komitetu skłaniała się do zdania, że Wagnera należy „sprzątnąć”.

— W teczce odnajdziemy niewątpliwie sekret jego wynalazku. Porwanie udało się wspaniale, ale istnieje niebezpieczeństwo, że prędzej czy później sprawa się wyda, jeśli nie unicestwimy głównego dowodu rzeczowego przeciwko nam.

Tym „dowodem rzeczowym” był sam profesor. Nikt oczywiście nie mówił, że należy „zabić Wagnera”, w tym towarzystwie, uważającym się za kwiat kultury europejskiej. Ale wszyscy rozumieli się bez słów.

Przeciwko „unicestwieniu dowodu” występował tylko baron Goldsack, który miał nadzieję zrobić na wynalazkach Wagnera niezły interes.

Decyzja została odłożona na parę dni. Tymczasem specjaliści od szyfrów przystąpili do odczytywania notatek profesora, sporządzonych przy pomocy jemu tylko znanego systemu stenograficznego.

Członków komitetu czekało jednak rozczarowanie. Kiedy udało się przeczytać i przetłumaczyć notatki, okazało się, że zawierają one cały szereg cennych materiałów naukowych z najrozmaitszych dziedzin. W skondensowanych zdaniach, niekiedy aluzjach i napomknieniach, w krótkich formułach kryło się takie bogactwo myśli, że starczyło by ich na wiele tomów druku. Niektóre fragmenty nawet dla specjalistów okazały się niezrozumiałe. Wszystko to potwierdzało przypuszczenia Goldsacka, że prace Wagnera przedstawiają kolosalną wartość. Ale w notatkach nie było ani słowa o tym, co najbardziej interesowało komitet — o środkach walki ze snem i zmęczeniem.

Tak czy inaczej, należało wydrzeć sekret profesorowi. Zadanie to powierzono Braudemu. W celu zachowania pełnej tajemnicy był on jedyną osobą, która kontaktowała się z Wagnerem.

— Drogi profesorze! — zwrócił się Braude do Wagnera. — Pragnie pan zapewne wiedzieć, jakie przyczyny sprawiły, że znalazł się pan tutaj. Obecnie mogę już zaspokoić pańską zrozumiałą ciekawość. Tylko nieuchronna konieczność zmusiła nas do posłużenia się metodą…

— Bandytów! — nie wytrzymał Wagner.

Braude uśmiechnął się, jakby usłyszał miły komplement, i ani trochę nie zmieszany, kontynuował:

— Moi przyjaciele reprezentują potężną organizację, która stoi na straży europejskiej kultury. Niestety! Nad kulturą tą zawisło śmiertelne niebezpieczeństwo, któremu na imię bolszewizm. Pan jest człowiekiem dalekim od polityki i, być może, nie zdaje pan sobie sprawy z tego, jak potężną broń dałby do ręki tym wrogom kultury pański wynalazek. Oto co skłoniło nas do zamachu na pańską wolność osobistą — w imię cywilizacji, dla dobra całej ludzkości. Panu, jako człowiekowi nauki, także powinna być droga nasza stara europejska kultura. Niech pan ofiaruje jej ten cenny dar! Proszę uwierzyć, że będzie on wykorzystany w najlepszy z możliwych sposobów.

Profesor odchylił się do tyłu w swoim fotelu i słuchał, skierowawszy obydwoje oczu na swego rozmówcę, co zdarzało mu się niezmiernie rzadko.

— Tak, jestem dalekim od polityki człowiekiem nauki — odpowiedział. — Ale myli się pan szalenie, jeśli pan sądzi, że jestem przeciwnikiem władzy radzieckiej. Zresztą, pańska pomyłka jest zrozumiała. Pan zna bolszewizm tylko od strony destrukcyjnej. Ja mam ten okres już za sobą, jak również okres — czego nie ukrywam — zwątpień. W ostatnich latach mogłem jednak obserwować i drugą stronę tego samego „strasznego bolszewizmu” — stronę twórczą. Pan jej nie widzi albo nie chce widzieć.

Zadziwia mnie i porywa ten potężny rozmach twórczej energii, rozległość planów, wytężona praca… Nigdy jeszcze tyle ekspedycji naukowych nie przemierzało wzdłuż i wszerz naszego wielkiego kraju w poszukiwaniu bogactw naturalnych. Nigdy nie było w naszym kraju takiego postępu w technice, takiej mechanizacji pracy. Nigdy najbardziej śmiała twórcza myśl nie cieszyła się takim uznaniem i poparciem…

A poza tym, co potrzebne jest uczonym? Przede wszystkim warunki do spokojnej pracy. Kraj mój przeszedł już burzę rewolucji i konwulsje kontrrewolucji. Przed nami już tylko spokojne budowanie. A wy?… Czyż to nie strach przed przyszłymi wstrząsami zmusił was do sprowadzenia mnie tutaj w tak., niedelikatny sposób? Nie, panie Braude, pragnę żyć i pracować w Rosji. Do niej należą moje wynalazki. Nie zdradzę wam sekretu!

Odpowiedź Wagnera została przekazana komitetowi.

— To prawdziwy bolszewik! — wykrzyknął generał z niskim czołem.

— Nie ma się co z nim cackać! — słyszało się głosy.

Tym razem nawet i Goldsack nie odważył się wystąpić przeciwko powszechnym nastrojom.

Nie podjęto żadnej rezolucji, ale wszystko było jasne bez słów: na profesora Wagnera wydano wyrok śmierci.

I Braude miał go wykonać.

Nie bez zmieszania wszedł do gabinetu profesora, czując ciężar browninga w prawej kieszeni. Ale, doskonale panując nad sobą, przywitał się z profesorem ze swoim zwykłym uprzejmym uśmiechem i usiadł w fotelu naprzeciwko, kładąc ręce do kieszeni.

— No i jak, drogi profesorze, nie zmienił pan jeszcze zdania? — zapytał, odnajdując w kieszeni kolbę rewolweru. — Uprzedzam pana, że odmowa może mieć dla pana bardzo przykre konsekwencje!

— Nie, panie Braude, nie zmieniłem i nie zmienią!

Braude położył palec na spuście, wciąż jeszcze nie wyjmując broni z kieszeni.

— Ale mam jedną prośbę, panie Braude.

„Nie spieszy się — pomyślał Braude — zobaczymy, co to za prośba” — i zatrzymał w kieszeni rękę z rewolwerem.

— Do pańskich usług, drogi profesorze.

Profesor był jakiś nieswój. Braudego uderzyło to, że wyglądał na zmęczonego i jego zawsze rumiane policzki pobladły.

— Rzecz w tym — zaczął Wagner jąkając się — że pańscy przyjaciele nie zauważyli podczas rewizji w kieszeni mojej marynarki niewielkiego pudełeczka z pigułkami. To znaczy, może i zauważyli, ale nie zwrócili na nie uwagi, ponieważ na pudełku była niewinna etykietka z napisem „Purgen”. Zwykłe lekarstwo dla ludzi prowadzących siedzący tryb życia. W pudełku tym miałem zapas pigułek przeciwsennych. Niestety, jest puste! Wczoraj zażyłem ostatnią. Jeśli dziś nie ponowią dawki, zasnę. Byłoby to dla mnie straszne… I to zmęczenie… Byłbym panu… bardzo zobowiązany… — profesor mówił coraz wolniej — jeśliby pan dostarczył mi kilka substancji chemicznych według moich wskazówek, i to, jeśli można… j ak naj szyb…

Głowa profesora opadła do tyłu, powieki zamknęły się, zasnął twardym, głębokim snem.

— To ułatwia zadanie! — powiedział głośno Braude, wyjął spokojnie rewolwer i wycelował w pierś profesora.

Ale nie wystrzelił, jakaś myśl powstrzymała go. Szybko wsunął rewolwer do kieszeni i wybiegł z pokoju.

9. SPÓŁKA AKCYJNA „ENERGIA”

— Profesor Wagner śpi! Jest w naszych rękach! — wykrzyknął pospiesznie Braude, wpadając do biura sekretarza komitetu.

— Proszę mówić jaśniej, Braude, o co chodzi?

— Chodzi o to, że Wagnerowi wyczerpał się zapas pigułek przeciwsennych i potrzebuje on surowców do ich produkcji, inaczej mówiąc, potrzebuje nas! Możemy mu dostarczyć wszystkiego, co potrzebuje, ale pod warunkiem ujawnienia sekretu. Wziąłem na siebie decyzję o odłożeniu wykonania wyroku.

— Ma pan rację! Kilka dni nie ma znaczenia. Niech pan spróbuje z nim pertraktować, kiedy się obudzi.

Pertraktować z profesorem Wagnerem nie było łatwo. Jednak Braude nie tracił nadziei. Podejmował on z profesorem wyrafinowaną grę psychologiczną w ciężkich dla niego chwilach — kiedy ogarniała go senność i zmęczenie. Profesor rozpaczał.

— Ile bezpożytecznie straconego czasu! Sen równa się dla mnie śmierci, a śmierć straszna jest tylko dlatego, że to wieczny sen, który przerwie moją prace! Ileż niezakończonych spraw! Ile przepadnie pomysłów!…

Na trzeci dzień osiągnięte zostało porozumienie: „przyjaciele Braudego” dostarcza profesorowi Wagnerowi wszystkich niezbędnych materiałów, a profesor będzie wytwarzał w laboratorium swój cudowny preparat. Nikt nie może być obecny przy tej czynności.

Z ostrożności Braude postawił warunek, aby jedną pigułkę z każdorazowo przygotowanej porcji Wagner połykał pierwszy. Członkowie „Dyktatora” mieli nadzieję, że jeśli staną im się znane składowe elementy preparatu i sam preparat w gotowej postaci, to niemieckim chemikom nie sprawi specjalnego trudu rozwiązanie zagadki jego składu.

Jednak profesor Wagner wyraźnie utrudniał im pracę. Sporządził bardzo długi spis rozmaitych związków chemicznych. Było oczywiste, że wiele spośród nich nie wchodzi w skład jego lamtytoksyny.

Kiedy powstał gotowy preparat, chemicy wykryli w nim polipeptydy i aminokwasy. Odnaleziono też substancje zawierające grupo. C: NH. Ale w preparacie musiała się widocznie znajdować jeszcze jakaś nierozkładalna pozostałość — doświadczenia uczonych nie dawały rezultatów.

Żadne praktyczne kłopoty jednak z tego powodu nie wynikały. Pigułki Wagnera, przyjmowane raz dziennie w czasie posiłku, zawierały w sobie około 0,05 grama czystego preparatu. Kilkoma kilogramami można było zaspokoić zapotrzebowanie całej ludności kraju.

Laboratorium profesora zupełnie dobrze dawało sobie radę z tą produkcją.

Profesor Wagner na jakiś czas pogodził się ze swoim losem. Kiedy produkcja unormowała się, znowu potoczyły się dla niego dni i noce zwyczajnej pracy. Przygotowanie pigułek zajmowało mu nie więcej niż cztery godziny na dobę. Odrobiwszy te „pańszczyznę” pogrążał się w naukowych dociekaniach, nie myśląc więcej o losie „produkcji”.

A tymczasem eksploatacja jego preparatu miała ogromny wpływ na całe życie Niemiec.

Gdy tylko ruszyła produkcja pigułek, na scenę wystąpił baron Goldsack. Powołał spółkę akcyjną pod nazwą „Energia”, która prowadziła handel cudownym preparatem. Wypuszczone w ogromnej ilości akcje znalazły się wyłącznie w rękach członków komitetu.

Szeroka kampania reklamowa obwieściła światu o nowym preparacie.

— Precz ze snem! Precz ze zmęczeniem! Przedłużajcie swoje życie! — krzyczały wielkimi literami plakaty i ogłoszenia gazet.

W odpowiedzi na reklamę, w radzieckiej prasie pojawiło się szereg artykułów o profesorze Wagnerze, który już wcześniej odkrył sekret walki ze snem i w tak dziwnych okolicznościach zaginął na

terytorium Niemiec.

Ale niemieckie gazety, będące na utrzymaniu „Energii”, wybuchnęły oburzeniem z powodu tych „insynuacji” i próbowały udowodnić, że „Energia” zakupiła swój preparat u profesora Fiszera, który wcześniej aniżeli Wagner rozwiązał ten problem. Taki profesor rzeczywiście istniał, ale koledzy, znający jego miernotę umysłową, tylko ręce rozkładali. Żaden z nich nie wierzył w nieoczekiwanie odkrytą „genialność” Fiszera. Nie przekonywało ich nawet bogactwo, które zwaliło się nagle na Fiszera. Ale woleli milczeć.

Spółka akcyjna „Energia” stawiała przed sobą merkantylne i polityczne cele.

Preparat Wagnera był prawdziwą złota żyła. Pieniądze płynęły rzeką i w znacznej części użytkowane były przez komitet „Dyktator” do przekupywania przeciwników politycznych, prasy, wyborców, socjaldemokratycznych przywódców proletariatu, ministrów. Kolosalne środki szły na propagandę. Dzięki temu wszystkiemu „Dyktator” szybko stał się rzeczywistym władcą kraju.

Pierwszym nabywcą preparatu była arystokracja finansowa: kapitaliści, rentierzy, przedstawiciele wolnych zawodów. Spośród tych wszystkich grup tylko przedstawiciele wolnych zawodów wykorzystywali preparat z pożytkiem dla siebie i społeczeństwa. Kupiony za pieniądze „czas dodatkowy” procentował nieźle: profesorowie wydawali drukiem potrójną ilość rozpraw naukowych, prawnicy mieli potrójne praktyki, chirurdzy mogli przeprowadzać ogromną ilość operacji.

Jeśli chodzi o rentierów i w szczególności „złotą młodzież”, to dla nich „czas dodatkowy” posiadał wartość jako suma dodatkowych rozkoszy. Wspaniałym, bujnym kwiatem zakwitły nocne rozrywki. Kabarety, restauracje, teatry wyrastały jak grzyby po deszczu. Całe noce, aż do świtu, płonęły światłami te miejsca niewybrednych uciech, przyciągając gości nie potrzebujących snu ani odpoczynku. Wino lało się rzeką. Wszystkie odmiany hazardu i rozpusty nadwerężały system nerwowy kapitalistycznej „zmiany”. Pigułki szybko znalazły powszechne zastosowanie. Cała ludność miast zapomniała, co to sen. Wyłączając oczywiście biedaków i bezrobotnych, nie posiadających środków na zakup cudownego preparatu.

Ale szczególnie mocne piętno wycisnął wynalazek profesora Wagnera na życiu przemysłowym kraju. Kapitaliści bardzo szybko zdali sobie sprawę ze wszystkich korzyści płynących z jego zastosowania w produkcji przemysłowej. Wszyscy wielcy fabrykanci i tuzy finansowe byli członkami organizacji „Dyktator”, odstępującej im preparat po kosztach produkcji. Wśród robotników przeprowadzono selekcję. „Nieprawomyślnych” zwolniono, „prawomyślni” otrzymali podwójne wynagrodzenie, „bezpłatny” przydział pigułek i pracowali nieprzerwanie przez dwie zmiany.

Osiem godzin pozostawało wolnych od pracy.

„Niech robotnicy zasmakują w wydawaniu pieniędzy. Jeśli będą pracować dwadzieścia cztery godziny, mogą zgromadzić oszczędności, a to nie jest pożądane. Lepiej będzie, jeśli „dodatkowe” pieniądze wrócą do nas poprzez nasze szynki i knajpy”.

Rosło bezrobocie. Bezrobotni podnieśli bunt, który został okrutnie stłumiony.

Wszystko to działo się za plecami profesora Wagnera, pochłoniętego zajęciami naukowymi.

Od czasu do czasu Wagner nagabywał Braudego:

— No i co, jakie rezultaty daje mój preparat?

— Wspaniałe, drogi profesorze! Osiem godzin pracy, osiem na naukę i uprawianie sztuk pięknych i osiem godzin ruchu na świeżym powietrzu. Rozwija się przemysł, kwitną nauki, nasza młodzież tryska zdrowiem!

Łatwowierny profesor był zachwycony. Ale w głębi jego świadomości odzywała się czasami nuta niepokoju, która nie zdążyła się jeszcze uformować w myśl. Coraz częściej nawiedzała go i dręczyła swoją nieokreślonością. Stłumił ją w sobie.

— I osiągnięto to przy pracy tylko jednej półkuli mózgowej! Trzeba nauczyć młodzież posługiwania się dwiema półkulami. To jeszcze podwoi jej siły!

Braude speszył się.

— Pańska metoda wymaga zbyt wielkiego treningu. Musiałby pan stracić wiele czasu na osobistą instrukcję… Ale gdyby pan mógł napisać na ten temat książkę…

Za oknem w dali dał się słyszeć zgiełk, krzyki tłumów, kilka wystrzałów i jęki…

Wagner podszedł do okna, ale matowe szyby nie pozwalały zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz.

— Co to? — zapytał.

— Pewnie świąteczny karnawał!

— Te krzyki nie przypominają zgiełku rozbawionego tłumu — powiedział zamyślony Wagner i poczuł, że nuta niepokoju odezwała się znowu w jego duszy.

Mimo całego zainteresowania pracą, czuł się jednak niewolnikiem. Nie wiedział, co dzieje się tam, za oknem. Nie wiedział, co dzieje się w jego ojczyźnie. Rosja!… Czyż nie do niej tęsknił przez cały czas? Tak dalej być nie może! Musi wyrwać się na wolność. A przede wszystkim, musi się dowiedzieć, co się dzieje za oknem.

10. CO DZIAŁO SIĘ ZA OKNEM

— Panie Braude, potrzeba mi do nowych doświadczeń trochę części i przyrządów. Oto wykaz. Niech pan będzie łaskaw dostarczyć mi je jak najszybciej.

— Można wiedzieć, co to za doświadczenia, drogi profesorze?

— Przemiana fal świetlnych w dźwiękowe. Wie pan zapewne, że dla wielu muzyków każda gama czy ton wydają się być obdarzone określonym kolorem. Na przykład: Cdur — białym, amoll — błękitnym, Ddur — różowym… Chcę ustalić współzależności pomiędzy falami dźwiękowymi i świetlnymi.

Wagner złożył duże zamówienie. Pośród rozmaitych i często nie mających ze sobą nic wspólnego części i materiałów znalazło się wszystko, co niezbędne jest do budowy radioodbiornika.

Kiedy zamówienie zostało zrealizowane, profesor zabrał się do pracy. Zadanie okazało się tym łatwiejsze, że Braude nic a nic nie znał się na radiotechnice.

Dość masywny aparat był niebawem gotów. Było to połączenie dobrze ukrytego w środku radioodbiornika i transformatora światłodźwiękowego.

Z aparatu wychodziły dwie słuchawki telefoniczne: jedna — z ukrytego radioodbiornika, druga — ze świetlnodźwiękowej części aparatu. Słuchawkę od radioodbiornika wziął do ręki Wagner. Po drugą słuchawkę z uprzejmym uśmiechem, ale zdecydowanie, sięgnął Braude.

— Pozwoli pan spróbować?

— Proszę bardzo.

Prawe oko i prawa ręka profesora były na usługi Braudego, lewymi manipulował przy radioodbiorniku. Prawa ręka przekręciła dźwigienkę i na ekranie pojawiła się różowa plama. W tym samym czasie Wagner regulował dokładnie ukrytą cewkę indukcyjną, która gwizdała w słuchawkę Braudego, zmieniając tonację.

— Słyszy pan? D-dur!

Ale tutaj wyniknęła komplikacja: Braude okazał się posiadaczem absolutnego słuchu.

— To nie D-dur! Zapewniam pana, to C-dur! — powiedział.

— Hmm… nie jestem muzykiem… Ale to świadczy tylko o tym, że nasze subiektywne skojarzenia dźwięku i światła są błędne! — powiedział, nie tracąc przytomności umysłu, profesor.

W tym samym czasie stroił lewą ręką swój radioodbiornik. Pośród zabawiających Europę fokstrotów i wystukiwania radiotelegrafu schwycił nagle rosyjskie słowa.

„…już na tym przykładzie możecie się, towarzysze, przekonać, jak najbardziej wartościowe osiągnięcia nauki wypaczają się na gruncie kapitalistycznym. To, co mogło przynieść ogromny pożytek masom pracującym, podnieść ich kulturę, przeobraża się w narzędzie eksploatacji proletariatu… Wynalazek rosyjskiego profesora Wagnera, który w tak dziwnych okolicznościach zginął bez wieści w Niem…”

— Ależ to niezwykle interesujące! — powiedział głośno Braude. — Pasjonujące! Bardzo ranie to intryguje! Trzeba tu wstawić fortepian… Niech pan sobie wyobrazi wielkie dzieła malarskie zamienione w dźwięki… Może usłyszymy nowe symfonie… Albo Schumanowski świetlny „Karnawał”…

„…środek przeciwsenny — mówiono dalej w radiu — spowodował straszliwe bezrobocie… Nędzy robotników nie da się opisać…”

„A mnie Braude przekonywał…” pomyślał Wagner i nie mogąc powstrzymać wzburzenia, wykrzyknął:

— Co za fałsz!

— Fałsz? Jaki fałsz? — zapytał zdziwiony Braude.

— Ddur przybrać różowym kolorem! — odpowiedział zirytowany Wagner.

— Ależ to przecież subiektywne!…

11. KRÓLESTWO SNU

Jeden cel został osiągnięty. Profesor Wagner wiedział, co dzieje się za oknem. Pozostawało teraz wydostać się tam, na wolność, samemu. Plan był już gotowy.

Profesor uśmiechnął się pod wąsem i popatrzył badawczo w twarz Braudemu.

Jego strażnik robił wrażenie śmiertelnie zmęczonego, przeciągał się, ziewał.

— Co to znaczy, profesorze? Skąd ta senność?

— Niech pan sobie wyobrazi, że ja także jestem senny — powiedział Wagner, udając ziewanie. — Obawiam się, że wczoraj przysłano nam surowiec chemiczny o niezbyt dobrej jakości…

— Dziwne… kompletnie zasypiam… Trzeba na wszelki wypadek… a-a— a… uprzedzić…

Spróbował się podnieść, ale natychmiast zwalił się na fotel i zachrapał.

— Gotowe! — zawołał Wagner z radosnym uśmiechem na ustach. — Teraz ten mór pójdzie po całym kraju! Nie obudzą się wcześnie. Jakie to proste! Trzeba było tylko zmienić skład preparatu. Zamiast antytoksyny łykali zwykły, nieszkodliwy proszek magnezji. Działanie wczorajszej dawki pigułek przeciwsennych ustało i teraz śpią jak zabici „naturalnym snem”. Cały Berlin, całe Niemcy pogrążyły się we śnie!

— Wolność! Wolność! — wołał Wagner, nie obawiając się, że obudzi śpiącego Braudego.

Ale jego radość była przedwczesna. Masywne, dębowe drzwi gabinetu były zamknięte z zewnątrz. Trzeba było je rozbić. Obszedł całe laboratorium, szukając odpowiedniego narzędzia. Znajdowały się tutaj tylko lekkie precyzyjne instrumenty i szklane naczynia chemiczne… Pozostawały ciężkie dębowe meble. Profesor chwycił za nie, pracując jak taranem. Meble łamały się, drzazgi pryskały na lewo i prawo, ale drzwi nie poddawały się.

Braude spał tak twardo, że nie rozbudziłyby go nawet armatnie wystrzały.

Z takim wysiłkiem fizycznym profesor Wagner nie pracował jeszcze nigdy. Musiał kilka razy zażywać retardin, środek usuwający zmęczenie, aby zebrać siły. Ale co najważniejsze — upływał drogocenny czas. Minęło już kilka godzin tej szaleńczej pracy. W końcu jedna połowa drzwi poddała się. Profesor odetchnął z ulgą i wygramolił się przez powstały wyłom.

Tutaj mógł się przekonać, jak dobrze go strzeżono: w sąsiednim pokoju znalazł całą świtę strażników. Wszyscy spali twardo, siedząc na fotelach albo leżąc na podłodze. Potężne chrapanie wstrząsało powietrzem. Prosto przed sobą profesor ujrzał gładkie stalowe drzwi, jakie spotyka się w skarbcach bankowych.

Z rozpaczy opadły mu ręce. O tym, żeby rozbić takie drzwi, nie było nawet co myśleć. Można je było tylko wysadzić.

„A dlaczegóżby nie wysadzić?” — przemknęło mu przez myśl.

Naprędce sporządzony środek wybuchowy okazał się niezawodny. Stalowe drzwi ustąpiły. Przeskakując zwały gruzu, błądząc po omacku wśród kłębów gryzącego dymu, profesor Wagner wybiegł do ogrodu. Stamtąd, pokonawszy przy pomocy szczęśliwie znalezionej w ogrodowej altanie drabiny wysoki murowany parkan, wydostał się na ulicę… i natychmiast znalazł się w samym środku uśpionego miasta.

Panowała tutaj martwa cisza. Nic nie zakłócało sennego spokoju. Ulica przedstawiała niezwykły widok. Cała zawalona była stertami ciał śpiących ludzi. Co chwilę trzeba było przez nie przestępować, i Wagner, aby iść szybciej, zszedł na jezdnię. Tutaj stały auta, których pasażerowie także pogrążeni byli we śnie.

Podążył ku skrzyżowaniu, rozglądając się wokół.

Oto na chodniku leży korpulentna dama, głowę ułożyła na nogach listonosza. Kapelusz spadł jej z głowy, parasolka leży nie opodal. Kawałek dalej stoi polewaczka ze śpiącym szoferem. Woda leje się

jeszcze z cysterny, podmywając śpiących na ulicy. Niektórzy z nich wzdragało sio, odwracają powoli, ale śpią dalej. Wszędzie walają się cylindry, damskie kapelusze, paczki, węzełki, kartoniki… Na niektórych twarzach zastygł strach. Widocznie ich właściciele dłużej niż inni walczyli ze snem: na ich oczach padali i zasypiali ludzie, i wydawało im się, że miasto i ich samych ogarnia epidemia jakiejś strasznej, nieznanej choroby. Zasypiali ze straszliwą myślą, że, być może, nigdy się już nie obudzą. Innych, na odwrót, sen zwalił prawie w okamgnieniu. Ci mieli twarze pogodne.

Im bliżej skrzyżowania, tym gęściej leżały ciała na trotuarach.

A oto skrzyżowanie.

Wagner zatrzymał się i odczytał na rogu domu nazwę ulicy:.K6nigstrasse”.

„Więc tutaj mnie więziono! Prawie w centrum Berlina”.

Na samym skrzyżowaniu leżał opasły schutzmann, rozłożywszy nogi w poprzek torów tramwajowych. Nawet we śnie nie wypuścił z ręki swojej pałki. O dwa kroki od jego nóg stał tramwaj, zatrzymany widocznie przez motorniczego w ostatnich chwilach walki ze snem.

Dalej widać było dwa tramwaje, które się zderzyły. Jeden wagon był na wpół rozbity. Część ludzi wypadła na jezdnię. Byli wśród nich zabici i ranni. Okrwawione trupy leżały na przemian ze śpiącymi, pozostałymi przy życiu. Obok dziewczynki ze zgruchotaną ręka leżała spokojnie śpiąca kobieta, widocznie matka… Jak będzie wyglądało ich przebudzenie?… „Pogrążenie miasta w niespodziewany sen pociągnęło jednak za sobą ofiary! — pomyślał Wagner. — To bardzo przykre, ale nie mogłem tego uniknąć”.

Z otwartych okien i drzwi wielopiętrowego budynku buchał czarny dym. Profesor westchnął i mimowolnie zasępił się. Ratować? Co może zrobić sam? Nie ma zresztą czasu. Odwróciwszy się od domu, szybko pomaszerował w dół Konigstrasse, obok znanych budynków Muzeum Higieny i Muzeum Strojów Narodowych, w stronę mostu Kurflirsta.

Tutaj zdziwiło go pojawienie się kilku ludzi, którzy nie spali. Byli to nędznie odziani biedacy z przedmieścia — bezrobotni albo włóczędzy. Niesamowicie rozbrzmiewały ich krzyki w martwej ciszy śpiącego miasta. Nie otrzymywali oni służbowego „przeciwsennego przydziału”, nie mieli także pieniędzy na zakup cudownych pigułek. A jeśliby i mieli, to wątpliwe, czy by kupili: sen to jedyny przyjaciel biednych i pokrzywdzonych… I dlatego, wyspawszy się w nocy, zjawili się tutaj, zwabieni wieścią o sennym mieście.

Poprzez ogromne witryny kawiarń i sklepów widać było, jak ci mieszkańcy suteren i przedmieść dojadali resztki z talerzy, pili wino prosto z butelek. Zrzucali swoje łachmany w sklepach z gotową odzieżą, ubierali się w modne garnitury, nie pasujące do ich wychudłych, zniszczonych nędzą twarzy, zarzucali tobołki na plecy i, zapinając w pośpiechu guziki, biegli do innych sklepów.

Ciągnęły ich tam następne pokusy. Porzucając węzełki z odzieżą, chwytali za cukierki, ciastka, konserwy, aby porzucić i to dla złota i drogocennych kamieni w sklepach jubilerskich.

Nikt ich nie zatrzymywał. Spotykając rozwalone ciała śpiących schutzmanów, swoich odwiecznych wrogów, nie mogli sobie odmówić przyjemności zabawienia się — nakładali śpiącym na głowy damskie kapelusze, przywiązywali do nóg bezpańskie psy, wkładali do rąk puste butelki…

Przy pałacowej fontannie Wagner ujrzał coś w rodzaju wiecu biedoty. Jakiś robotnik, wdrapawszy się na podwyższenie, zwracał się do tłumu:

— Towarzysze! Zaczekajcie! Co robicie? Obudzą się nasi wrogowie: fabrykanci, bankierzy, wielcy posiadacze, obudzi się policja, zabiorą wam wszystko i pozamykają do więzień! Bezbronny wróg leży przed nami! Znajduje się w naszych rękach! Trzeba pójść do arsenału, chwycić za broń!… Należy uwięzić członków rządu, generałów, policjantów… Należy działać niezwłocznie, a władza znajdzie się w naszych rękach!

Dały się słyszeć pojedyncze głosy aplauzu.

Ale kiedy zaczęli układać plan działania, okazało się, że przechwycić władze nie jest tak łatwo.

Przede wszystkim nikt nie wiedział, jak długo potrwa ten dziwny sen. Większość tych, którzy nie spali, stanowili lumpenproletariat, wygłodniała biedota, która ujrzała nagle w swoich rękach nieprzebrane bogactwa miasta. Trudno było oderwać tłum od pokus grabieży i w kilka zaledwie godzin zorganizować, zmusić do działania według określonego planu.

— Pozwólcie, że się wtrącę w waszą rozmowę! — powiedział profesor Wagner. — Interesuje was, kiedy obudzi się miasto. Mogę wam przekazać dosyć dokładną informację. Wszyscy, którzy zasnęli, powinni przespać nie mniej niż osiem do dziesięć godzin. Zasnęli około dziesiątej rano. Teraz jest za dwadzieścia druga. Należy oczekiwać, że między piątą a siódma wieczorem zaczną się budzić. Macie do dyspozycji około czterech godzin.

Cztery godziny! W tym czasie trzeba znaleźć ciężarówki, oswobodzić więzienia, przenieść tam śpiących wrogów… Czy aby Moabit wszystkich pomieści? Przypuśćmy, że miejsce dla aresztowanych w Berlinie się znajdzie, ale kierowcy ciężarówek prawdopodobnie także śpią. Gdzie znaleźć innych, ilu ich się znajdzie?…

— Posłuchaj, Karl, a może by się zwrócić o pomoc do naszych moskiewskich towarzyszy? Kto wie, może miasto pośpi jeszcze parę dni?

— Miasto niedługo się obudzi! — wtrącił się znowu do rozmowy profesor. — O pomocy z Moskwy nie może być mowy w tak krótkim czasie.

— Skąd pan to wie?

— Z pierwszej ręki, sam jestem przyczyną tego snu. Ale sam lot do Moskwy bardzo mnie interesuje. Nie mogę tutaj pozostać. „Uśpiłem” miasto, aby wyrwać się z niewoli jednej z waszych reakcyjnych organizacji. Byłbym wam bardzo wdzięczny, gdybyście mi w tym pornogli. Robotnik Karl zamyślił się, potem klepnął po ramieniu, swego przyjaciela i wskazawszy na Wagnera, zawołał:

— Lecimy z nim, Adolf! Jeśli pomoc z Moskwy nadejdzie za późno, to przynajmniej my się stąd wyrwiemy. Druga taka okazja nieprędko się nadarzy! Nie mam najmniejszej ochoty zostać tutaj i czekać, aż się obudzą. Umiesz prowadzić auto. Wieź nas na lotnisko!

Szybko podeszli do nowiutkiego automobilu.

— No, przyjacielu, zrób nam miejsce! — powiedział Karl, wyciągając śpiącego szofera zza kółka kierownicy.

— Tego wieprzka także precz! — zabrał się za pasażera. — Nigdy jeszcze nie miał przyjemności spać na gołej ziemi. Nich popróbuje naszych piernatów!

— Zaczekajcie! — krzyknął Wagner. — Przecież to Taube!

— Jaki Taube?

— Teraz nie czas na opowiadanie! Ale wiecie co? Weźmy go z sobą, proszę was!

— A to po kiego licha?

— Opowiem wam po drodze.

Samochód ruszył na lotnisko. Wagner, podtrzymując opadającą głowę śpiącego, śmiał się w duchu, wyobrażając sobie, jakie oczy zrobi Taube, kiedy profesor w swoim moskiewskim gabinecie podziękuje mu za przyjemną wycieczkę do Niemiec.

W hangarze stało kilka samolotów pasażerskich. Jeden z nich był wyprowadzony i gotowy do lotu. Wagner wlał w usta pilotowi i mechanikowi rozcieńczony preparat przeciwsenny. Obudzili się szybko, rozglądając ze zdziwieniem wokół.

— Zapuszczajcie natychmiast motor i ruszamy w drogę! — powiedział rozkazującym tonem Karl.

— Dokąd? — zapytał pilot.

— Do Moskwy!

Pilot przecząco pokręcił głową.

— To linia na Królewiec. I miałem innych pasażerów. Macie bilety?

— Oto nasze bilety! — odrzekł Karl, wyciągając z kieszeni staroświecki rewolwer.

— To gwałt! Będę wzywał pomocy!

— Wezwij! Tych wezwij! — I Karl wskazał na śpiących rządkiem na ziemi pasażerów. — Albo tych…

Pilot i mechanik ze zdumieniem oglądali śpiących ludzi.

— Lecimy!… — powiedział mechanik, wzruszając ramionami. Szybko zajęli miejsca. Motor zawył…

I znów przed Wagnerem rozpostarł się w dole różnobarwny dywan z prostymi liniami dróg żelaznych, błękitnym wzorem krętych rzek i pstrokatymi plamami miast.

Pół godziny upłynęło w milczeniu. Nagle Karl, popatrzywszy w okno, zerwał się i zaczął krzyczeć. Szum motoru zagłuszył jego głos, ale kiedy Karl wskazał na zegarek i na słońce, Wagner zrozumiał: ukośny promień słońca oświetlał kabinę z lewej strony. O tej godzinie, gdyby lecieli prosto na wschód, słońce winno znajdować się z prawej strony.

Karl przedostał się do pilota i zaczął go szarpać za ramię, pokazując na Słońce. Pilot pokazywał na mapę i próbował się tłumaczyć: leci znaną sobie drogą na Królewiec, a stamtąd według marszruty Kowno-Smoleńsk— Moskwa. Lecieć prosto na wschód nie może, nie zna drogi ani miejsc lądowania.

Karl nie przyjmował żadnych tłumaczeń. Wyciągnął swój staruteńki rewolwer, potrząsnął nim groźnie przed nosem pilota i wykreślił lufą na mapie linię biegnącą prosto na wschód. Pilot wzruszył ramionami i gestem ręki zaproponował Karłowi, aby zajął jego miejsce. Tutaj, na wysokości pięciuset metrów, trzymając ster maszyny w rękach, nie bardzo bał się gróźb Karla.

Ale Karl krzyknął mu do ucha:

— Zabiję ciebie nie teraz, a w momencie, kiedy samolot dotknie ziemi!

Pilot skulił się, zacisnął wargi i przekręcił ster. Samolot przechylił się na bok, zrobił gwałtowny zwrot i pomknął na północny wschód.

Przelatując nad Fromborkiem, pasażerowie dostrzegli na jego ulicach ruch.

Karl popatrzył na Wagnera i wymownie skinął głową.

— Budzą się.

Profesor chciał wyjaśnić, że jeśli Frombork budzi się już ze snu, to widocznie wcześniej przyjmowano tam pigułki. Berlin zapewne jeszcze śpi, chociaż niebawem też się obudzi. Ale warkot motoru przeszkadzał w rozmowie i Wagner tylko w milczeniu wskazywał ręką na śpiącego Taube.

Znowu zapadło milczenie. Chwilami wydawało się, że samolot stoi w miejscu, a Ziemia pełznie powoli. Karl zdrzemnął się…

Nagle obudził go szturchaniec w bok. Podniecony Adolf pokazuje mu coś w oknie.

Karl patrzy w dal, ale nie rozumie, o co chodzi. Wagner podaje mu lornetkę znalezioną w kabinie i wskazuje biały domek na skraju lasu. Karl kieruje lornetkę w tę stronę i nagle jego pierś rozpiera radość.

Na granicznym słupie powiewa czerwona aga.

— Ocaleni! — krzyczy i wymachuje lornetką.

Przetłumaczył Jerzy Kaczmarek

Iwan Jefriemow
Jezioro Ducha Gór

Kilka lat temu przeprowadzałem zwiad geologiczny grzbietu Listwiaga, leżącego w środkowej części Ałtaju, w rejonie górnego biegu rzeki Katuń. Moim celem było wówczas złoto. Nie znalazłem wprawdzie żadnych bogatszych pokładów tego kruszczu, ale nie żałowałem straconego czasu, gdyż uwielbiam wręcz cudowne krajobrazy Ałtaju.

Na trasie mojego zwiadu nie było niczego szczególnego. Listwiaga jest grzbietem stosunkowo niskim, pozbawionym wiecznych śniegów, a więc i roziskrzonych cudownie lodowców, wysokogórskich jezior, groźnych turni i całego tego alpejskiego piękna, które działa na wyobraźnię w wyższych pasmach górskich. Jednak surowy urok masywnych kamiennych wzgórz, prężących swe grzbiety nad kędzierzawą tajgą, i góry, rozfalowane za nimi jak morze, były mi wystarczającą nagrodą za dość w gruncie rzeczy uciążliwą pracę w rozległych dolinach błotnistych strumieni, gdzie przede wszystkim szukałem swojego złota.

Lubię przyrodę północy za jej chmurna milkliwość, monotonię barw i pierwotna dziewiczość. Lubię samotność w miejscach, których do tej pory nie dotknęła pewnie stopa człowieka i nie zamienię jej na pocztówkową jaskrawość Południa, pchającą się natrętnie w oczy. W momentach nostalgii, tęsknoty za naturą, za swobodą, które zdarzają się każdemu terenowcowi znudzonemu życiem w wielkim mieście, przed oczyma stają mi szare skały, ołowiane morze, pozbawione wierzchołków potężne modrzewie i chmurne mateczniki wilgotnych świerkowych lasów…

Krótko mówiąc byłem zadowolony z otaczającej mnie monotonii i z przyjemnością wykonywałem swoją pracę. Chciałem ją zakończyć jak najszybciej, bo miałem do załatwienia jeszcze jedną sprawę — musiałem spenetrować pokłady pierwszorzędnego azbestu w środkowym biegu Katunia, opodal dużej wsi Czemał. Najkrótsza droga w tym kierunku biegła obok najwyższego na Ałtaju Grzbietu Katuńskiego, dolinami Górnego Katunia. Po dojściu do wsi Ujmon musiałem przekroczyć dość wysoki Grzbiet Terektyński i przez Ondugaj ponownie zejść w dolinę

Katunia. Mimo pośpiechu, zmuszającego mnie do codziennego pokonywania wielkich odległości, dopiero na tej trasie poznałem prawdziwe piękno Ałtaju.

Doskonale pamiętam moment, kiedy wraz ze swą niewielką karawaną po długiej wędrówce przez mieszany las iglasty zszedłem do doliny Katunia. W tym miejscu napotkaliśmy rozległe, gładkie jak stół trzęsawisko, którego pokonanie zajęło nam bardzo wiele czasu. Konie zapadały się po brzuchy w brunatne błocko ukryte pod kożuchem traw i każdy metr drogi kosztował nas wiele wysiłku. Nie zatrzymałem jednak karawany na nocleg, gdyż postanowiłem jeszcze tego samego dnia przeprawić się na prawy brzeg Katunia.

Księżyc zabłysnął nad górami i w jego świetle bez trudu można było posuwać się dalej. Równy łoskot wartkiej rzeki powitał nas na brzegu Katunia, który w księżycowym blasku wydawał się bardzo szeroki. Kiedy jednak przewodnik wjechał na swym dereszowatym koniu w jego nurt, a za nam ruszyli pozostali, okazało się, że woda sięga koniom zaledwie do kolan. Bez trudu przeprawiliśmy się na drugi brzeg. Po wydostaniu się z nadbrzeżnej łąki znów trafiliśmy na bagno, które Sybiracy nazywają karagajmikiem. Z miękkiego dywanu mchów sterczały tu i ówdzie cherlawe świerki, a między nimi mnóstwo wysokich kępek porośniętych suchą, ostrą turzycą. W takim miejscu konie musiałyby przez całą noc „czytać gazetę”, to znaczy zostać do rana bez paszy, postanowiłem więc jechać dalej.

Teren wznosił się ku górze, więc była nadzieja, że niedługo wydostaniemy się na suche miejsce. Ścieżka tonęła w mrocznej czerni lasu świerkowego, a nogi koni w miękkim dywanie mchów. Szliśmy tak chyba z półtorej godziny, zanim las nie zaczął rzednąć. Pojawiły się jodły i limby, mech prawie zniknął,

ale podejście zamiast się skończyć, stawało się coraz bardziej strome. Każdy z nas udawał zucha, ale po całodziennym marszu dwie godziny stromego podejścia w nikim nie wzbudzały entuzjazmu. Dlatego wszyscy ucieszyli się, kiedy kopyta koni zatętniły na twardym grunede, krzesząc podkowami iskry z kamieni i ukazał się niemal płaski szczyt wzgórza. Była tu i trawa dla koni, i suche miejsce odpowiednie do rozbicia namiotów. Konie błyskawicznie zostały rozjuczone, namioty ustawione pod gigantycznymi limbami i po codziennej ceremonii wypicia wiadra herbaty i wypalenia fajek zapadliśmy w głęboki sen.

Obudziło mnie jaskrawe światło. Wyskoczyłem z namiotu. Dość silny wiatr kołysał ciemnozielonymi gałęziami limb, wznoszących się tuż przed wejściem do namiotu. Między dwoma drzewami z lewej strony był szeroki prześwit, a w nim, jak w czarnej ramie, wisiały w różowawyrn świetle zarysy czterech białych turni. Powietrze było zdumiewająco przejrzyste. Po stromych ośnieżonych zboczach spływały wszystkie możliwe odcienie jasnej czerwieni. Nieco niżej, na wypukłej powierzchni błękitnego lodowca, leżały ogromne, skośne pasma granatowych cieni. Ten niebieski fundament jeszcze bardziej wzmagał lekkość górskich olbrzymów świecących własnym światłem, podczas gdy rozpościerające się za nimi niebo wyglądało jak morze czystego złota.

Minęło kalka minut. Słońce wzniosło się wyżej, złoto nabrało barwy purpury, ze szczytów spłynęła różowość i ustąpiła miejsca czystemu błękitowi, a lodowiec zabłyszczał jak szczere srebro.

Dźwięczały dzwonki, pod drzewami rozlegały się nawoływania robotników spędzających konie do judzenia, (zwijano obóz i wiązano juki, a ja wciąż wpatrywałem się, w triumfalny marsz światła. Po ciasnocie leśnych ścieżek, po horyzoncie zamkniętym linią surowych, kamiennych wzgórz otaczających tundrę ukazał mi się nowy świat blasku i delikatnej gry rozmigotanych słonecznych promieni.

Jak więc widzicie, moja miłość do ośnieżonych szczytów wysokiego Ałtaju była namiętnością od pierwszego wejrzenia. Mdłość ta nigdy potem nie sprawiła mi zawodu, lecz zawsze ofiarowywała mii wciąż nawę doznania. Nie podejmuję się opisać wrażenia, jakie sprawiał na mnie widok nieprawdopodobnie przezroczystej wody błękitnych lub szmaragdowych wysokogórskich jezior czy iskrzącego się niebiesko lodu. Chcę tylko powiedzieć, że ośnieżane szczyty zawsze sprawiały mi niemal fizyczną rozkosz, wzbudzały dojmującą świadomość piękna natury. Te niemal muzyczne akordy światła, cienia i barw głosiły światu radość płynącą z harmonii. I ja, człowiek nader przyziemny, w tym świecie gór zupełnie zmieniłem swój stosunek do rzeczywistości i bez wątpienia temu nowemu spojrzeniu na świat zawdzięczam w jakiejś mierze moje odkrycia, o których zaraz opowiem.

Po przekroczeniu najwyższego punktu trasy zszedłem ponownie do doliny Katunia, po czym znalazłem się na Ujmońskim Stepie, w płaskiej kotlinie ze znakomitymi pastwiskami dla koni. Na Grzbiecie Terektyńskim nie poczyniłem żadnych interesujących obserwacji geologicznych. Dotarłem do Ondugaju i stamtąd wysłałem swego pomocnika do Bijska z kolekcją minerałów i wyposażeniem wyprawy, gdyż pokłady azbestu mogłem zbadać bez ciężkiego sprzętu ii bez pomocy robotników. We dwójkę z przewodnikiem na świeżych kaniach dotarliśmy niebawem do Katunia i zatrzymaliśmy się na wypoczynek w osiedlu Kajancza.

Herbata z wonnym miodem bardzo nam smakowała, długo więc siedzieliśmy przy gładko heblowanym stole w ogródku. Mój przewodnik, małomówny i dość ponury z usposobienia Ojrota, ssał swoją okutą miedzią fajkę, ja zaś wypytywałem gospodarza o rzeczy godne obejrzenia w dalszej drodze do Czamału. Gospodarz, młody nauczyciel o szczerej, mocno opalonej twarzy, chętnie zaspokajał moją ciekawość.

— A poza tym, towarzyszu inżynierze — powiedział między innymi — niedaleko Czamału natkniecie się na małą wioszczynę. Mieszka w niej nasz sławmy artysta, Czorosow, pewnieście o nim słyszeli. Dziadek jest wprawdzie dość przykry w obejściu, ale jak mu ktoś przypadnie do serca, to wszystko pokaże, a pięknych obrazów ma całe fury.

Przypomniałem sobie obrazy Czorosowa, które oglądałem w Tomsku i w Bijsku, zwłaszcza „Koronę Ałtaju” i „Chan-Ałtaja”. Obejrzenie dzieł Czorosowa w jego własnej pracowni, kupienie

jakiegoś szkicu mogłoby stać się niezłym ukoronowaniem mojej poroży po Ałtaju.

W połowie następnego dnia ujrzałem z prawej strony szeroki jar wskazany mi przez przewodnika. Kilka nowych domów z jasnożółtego modrzewia rozsiadło się na zboczu pod drzewami. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak mi to opisał młody nauczyciel, wiec bez wahania skierowałem konia do domu malarza Czorosowa.

Spodziewałem się zobaczyć opryskliwego starca, więc zdziwiłem się, gdy na ganek wyszedł ruchliwy, szczupły mężczyzna o bystrych oczach. Dopiero gdy przyjrzałem się uważniej jego żółtawej mongolskiej twarzy, zauważyłem wyraźną siwiznę w ostrzyżonych na jeża włosach i krótkich wąsach. Głębokie zmarszczki pokrywały zapadłe policzki i wypukłe wysokie czoło. Zostałem powitany uprzejmie, ale niezbyt serdecznie i nieco zażenowany wszedłem za gospodarzem do domu.

Prawdopodobnie mój szczery zachwyt pięknem Ałtaju sprawił, że Czorosow stał się przystępniejszy. Do dziś pamiętam jego lapidarne opowieści o szczególnie godnych uwagi okolicach jego ukochanych gór, stanowiące dowód niezwykłego wręcz zmysłu obserwacyjnego.

Pracownia, wielka izba pozostawiona w surowym drewnie z ogromnymi oknami, zajmowała połowę domu. Wśród mnóstwa szkiców i niewielkich obrazów wyróżniał się jeden, który od razu mnie zainteresował. Czorosow wyjaśnił mi, że jest to niewielka replika wielkiego płótna „Deny-Der” (Jezioro Ducha — Gór), które znajduje się w jednym z syberyjskich muzeów.

Opiszę ten niewielki obraz szczegółowo, gdyż jest to konieczne dla zrozumienia dalszego ciągu mojej relacji.

Obraz błyszczał w promieniach wieczornego słońca swymi nasyconymi barwami. Błękitnoszara taa jeziora, znajdująca się w centrum płótna, tchnie chłodem i milczącym spokojem. Na pierwszym planie, obok kamieni na płaskim brzegu, gdzie zielone spłachetki trawy sąsiadują z płatami czystego śniegu, leży pień limby. Wielka błękitna kra zaczepiła się o brzeg tuż przy korzeniach powalonego drzewa. Drobne odłamki lodu i wielkie szare kamienie rzucają na powierzchnię wody zielonkawe i szarobłękitne cienie. Dwie niskie, wysmagane wichrem limby unoszą swe gęste gałęzie niczym ręce wyciągnięte ku niebu. Na dalekim planie wprost do jeziora spadają śnieżnobiałe urwiska zębatych gór, poprzecinane fioletowymi i słomkowymi żebrami obnażonego kamienia. W środku obrazu wpada do jeziora jęzor niebieskawego lodowca, a nad nim na ogromnej wysokości wznosi się trójgraniasta piramida z brylantów, od której w lewo ciągnie się wstęga różowych obłoków. Dolinę zamyka z lewej strony góra o kształcie prawidłowego stożka, również niemal cała pokryta płaszczem śniegu. Góra stoi na szerokim fundamencie, który gigantycznymi skalnymi tarasami opada ku przeciwległemu brzegowi j eziora…

Cały obraz tchnął tym samym majestatem i zimną, roziskrzoną czystością, która urzekła mnie podczas wędrówki przez Grzbiet Katuński. Długo wpatrywałem się w obraz, podziwiając prawdziwe oblicze Wysokiego Ałtaju i zachwycając się poetyckim darem narodu, który nadał temu miejscu nazwę Jeziora Ducha Gór. t — Gdzie pan znalazł takie jezioro? — zapytałem. — I czy ono naprawdę istnieje?

— Jezioro istnieje i w rzeczywistości jest c wiele piękniejsze. Moja zasługa polega tu jedynie na właściwym oddaniu nastroju tego miejsca — odparł Czorosow. — Wiele mnie to zresztą kosztowało… No, jezioro to odnaleźć nie jest wcale łatwo, chociaż, naturalnie, można tam dotrzeć. A po co ono panu?

— Po prostu chciałbym na własne oczy zobaczyć to cudowne miejsce. Gdy się coś takiego zobaczy, to i śmierć przestaje być straszna.

Malarz popatrzył na mnie uważnie.

— Dobrze pan to ujął: „śmierć przestaje być straszna”. Ale nie wie pan, jakie legendy stworzyli Ojrotowie na temat tego jeziora.

— Są z pewnością bardzo interesujące, skoro nadali jezioru taką piękną nazwę.

Czorosow przeniósł wzrok na obraz:

— Nie zauważył tu pan nic szczególnego?

— Zauważyłem. Tutaj, w lewym rogu, przy stożkowatej górze — powiedziałem. — Przepraszam,

ale wydaje mi się, że tam nie może być takich barw.

— Niech się pan przyjrzy jeszcze raz, tylko uważniej…

Posłuchałem go. Obraz był namalowany tak kunsztownie, że im dłużej patrzyłem, tym więcej szczegółów zdawało się wypływać z głębi malowidła. Od podnóża stożkowej góry unosiła się zielonkawobiała chmura promieniująca słabym światłem. Krzyżujące się odbicia tego światła i blasku białych śniegów tworzyły na wodzie smugi cieni, zabarwionych nie wiedzieć czemu na czerwonawo. Takie same, tylko ciemniejsze, niemal krwawe plamy leżały w załamaniach skalistych urwisk. A w tych miejscach, gdzie zza białej ściany grzbietu górskiego przebijały bezpośrednie promienie słońca, nad lodami i kamieniami chybotały się długie słupy zielonkawoszarego dymu czy pary, podobne do gigantycznych postaci ludzkich…

— Nie rozumiem — wskazałem szarozielone słupy.

— Niech pan nawet nie próbuje zrozumieć — uśmiechnął się Czorosow. — Kocha pan i rozumie naturę, ale jej pan nie wierzy.

— A jak pan tłumaczy te czerwone odblaski na skałach, szarozielone słupy, świecące chmury?

— Wyjaśnienie jest proste: są to duchy gór — odparł malarz beznamiętnym tonem.

Spojrzałem na niego, ale w spokojnej twarzy nie dostrzegłem nawet cienia uśmiechu.

— Nie żartuję — kontynuował Czorosow tym samym tonem. — Sądzi pan, że jezioro dostało swoją nazwę tylko za niezwykłe piękno. Miejsce jest istotnie piękne, ale cieszy się bardzo złą sława. Ja na przykład namalowałem obraz, ale ledwie uszedłem z życiem. Byłem tam w dziewięćset dziewiątym i aż do trzydziestego ciągle chorowałem…

Poprosiłem go, aby opowiedział mi legendę związaną z jeziorem. Usiedliśmy w kacie na szerokim tapczanie pokrytym szorstkim, żółtoniebieskim mongolskim dywanem. Z tego miejsca widać było „Jezioro Ducha Gór”.

— Piękno tego miejsca — zaczął Czorosow — od dawna pociągało ludzi, ale jakieś nieznane siły często sprowadzały śmierć na wędrowców, którzy zatrzymali się na jego brzegach. Ja również odczułem na własnej skórze jego złowieszczy wpływ, ale o tym potem. Ciekawe, że jezioro jest najpiękniejsze w ciepłe, letnie dni i że wtedy również najwyraźniej przejawia się jego zgubna siła. Gdy tylko ludzie dostrzegali krwawe ognie na otaczających je skałach i migotanie przezroczystych szarozielonych słupów, zaczynali odczuwać jakieś dziwne dolegliwości. Dalekie ośnieżone szczyty zdawały się przytłaczać ich całym swym ogromnym ciężarem, w głowie huczało, a w oczach migotały jaskrawe światełka. Ludzi coś nieprzeparcie ciągnęło ku stożkowej górze, gdzie zjawy górskich duchów tańczyły wokół świecącej zielonkawym światłem chmury. Gdy jednak tam docierało, wszystko znikało i zostawały tylko ponure, nagie skały. Nieszczęśnicy tracąc oddech, ledwie powłócząc nogami od gwałtownego osłabienia, uciekali i przeklętego miejsca, ale w drodze najczęściej dopadała ich śmierć. Tylko kilku silnych myśliwych po niesłychanych męczarniach dotarło do najbliższej jurty. Któryś z nich umarł, pozostali długo chorowali i na zawsze utracili dawną siłę i odwagę. Od tej pory ludzie, wypłoszeni złą sławą Deny-Der, prawie nad nim nie bywali. Nie ma tam ani zwierząt, ani ptaków, a na lewym brzegu, gdzie odbywają się sabaty duchów nie rośnie nawet trawa. Słyszałem te legendę w dzieciństwie i już wtedy postanowiłem odwiedzić królestwo Ducha Gór. Dwadzieścia lat temu spędziłem tam zupełnie samotnie dwa dni. Pierwszego dnia nie zauważyłem nic nadzwyczajnego i długo szkicowałem jezioro. Po niebie płynęły jednak gęste chmury i wciąż nie udawało mi się oddać na płótnie przejrzystości górskiego powietrza. Postanowiłem zostać do następnego dnia i zanocowałem w lesie o pół wiorsty od jeziora. Pod wieczór poczułem dziwne pieczenie w ustach, zmuszające mnie do ciągłego odpluwania. Zazwyczaj dobrze znosiłem pobyt na dużych wysokościach, więc zdziwiłem się, że tym razem rozrzedzone powietrze tak na mnie działa.

Wspaniały ranek następnego dnia zapowiadał piękną pogodę. Powlokłem się nad jezioro z ciężką głową, słaniając się ze zmęczenia, ale wkrótce pochłonęła mnie praca i zapomniałem o wszystkich

dolegliwościach. Słońce już nieźle przygrzewało, kiedy skończyłem szkic do tego właśnie obrazu i uniosłem głowę, żeby rzucić po raz ostatni wzrokiem na jezioro.

Byłem bardzo zmęczony, ręce mi się trzęsły, czułem zawroty głowy i lekkie mdłości… Ale zobaczyłem duchy jeziora. Nad przejrzystą taą wody przesunął się cień lekkiego obłoczka. Promienie słońca, przebijające na ukos wodę, po tym chwilowym zaćmieniu stały się jakby jeszcze jaskrawsze. Na oddalającej się granicy światła i cienia spostrzegłem nagle kilka słupów widmowego szarozielonego blasku, przypominających gigantyczne ludzkie postacie w obszernych płaszczach. Słupy stały w miejscu lub szybko przesuwały się, aby po chwili rozpłynąć się w powietrzu. Oglądałem to niebywałe widowisko z uczuciem przytłaczającego lęku.

Bezszelestny taniec zjaw trwał przez kilka minut, potem pojawiły się w skałach iskry krwawego światła. A nad tym wszystkim wisiała jarząca się zielonkawo chmura w kształcie grzyba…

Poczułem nagły przypływ sił, wzrok mi się zaostrzył, dalekie skały jakby przysunęły się do mnie, tak że widziałem najdrobniejsze załamania ich urwistych stoków. Chwyciłem pędzel i ze wściekłą energią zacząłem mieszać farby, starając się pospiesznym pociągnięciami utrwalić niezwykły widok.

Słaby wietrzyk przemknął nad jeziorem i momentalnie zdmuchnął chmurę i szarozielone zjawy. Tylko nadal ponuro płonęły w skałach krwawe ognie, odbijając się w rozfalowanej wodzie. W jednej chwili opadło ze mnie podniecenie, natomiast gwałtownie wzmogły się dolegliwości. Czułem się tak, jakby siła życiowa wyciekała ani z palców trzymających paletę i pędzel. Przeczucie jakiegoś nieszczęścia skłócało mnie do pospiesznego spakowania szkicownika… Straszliwy ciężar zwalił mi się na pierś i głowę. Omal nie upadłem.

Wiatr nad jeziorem wciąż się wzmagał. Przezroczysta tafla wody zmarszczyła się i zmętniała. Chmury zakryły szczyty gór, i jaskrawe barwy, jeszcze przed chwilą zalewające całą okolicę, teraz zaczęły szybko blaknąć i znikać. Uduchowione piękno jeziora ustąpiło miejsca ponurej brzydocie, czerwone odblaski zgasły i na ich miejscu zostały jedynie ciemne złomy skalne sterczące wśród płatów śniegu. Ciężko dysząc, walcząc z niemocą i przytłaczającym mnie ciężarem, odwróciłem się placami do jeziora. Drogę do miejsca, gdzie oczekiwali na mnie przewodnicy, którzy za żadne skarby świata nie chcieli towarzyszyć mi nad Deny-Der, przebyłem jak w koszmarnym śnie. Góry kołysały mi się w oczach, a ciągłe wymioty zdawały się wypruwać ze mnie żyły. Czasami przewracałem się i długo leżałem, nie mając siły wstać. Nie wiem, jak dotarłem do swoich przewodników, ale mało mnie to wzrusza. Najważniejsze, że ocalał szkicownik, który przezornie przywiązałem sobie na plecach.

Przewodnicy zobaczyli z daleka, co się ze mną dzieje. Przynieśli mnie do obozu i tam ułożyli na plecach z siodłem pod głową.

„Ty konasz, Czoros” — tonem beznamiętnego obserwatora zauważył najstarszy z przewodników.

Jak pan widzi, nie umarłem, ale długo czułem się bardzo źle. Osłabienie i przytępiony wzrok przeszkadzały w życiu i pracy. Wielkie płótno „Deny-Der” namalowałem dopiero w rok później, a tę małą replikę kończyłem powoli, kiedy trochę wróciłem do zdrowia. Jak pan widzi, prawda o jeziorze Deny-Der i zamieszkujących je duchach kosztowała mnie dość drogo.

Czorosow umilkł. Perzem małe szybki wielkiego okna widać było zmierzch zapadający nad doliną. Opowieść — malarza mocno mnie zaintrygowała. Nie miałem podstaw do powątpiewania w słowa gospodarza, ale nie potrafiłem znaleźć żadnego wytłumaczenia cudownych zjawisk, utrwalonych jego pędzlem. Przeszliśmy do jadalni. Jasna lampa naftowa zawieszona nad stołem przegnała nastrój pewnej nierealności, wywołany dziwną opowieścią. Nie wytrzymałem i zapytałem po chwili, jak odnaleźć Jezioro Ducha Gór w wypadku, gdybym jeszcze kiedyś znalazł się w tych okolicach.

— Jednak zainteresowało pana to jezioro! — uśmiechnął się Czorosow.

— No cóż, można je znaleźć, jeśli się pan nie boi. Proszę notować.

Wyjąłem z raportówki notes i ołówek.

— To jezioro leży na wschodnim skraju Grzbietu Katuńskiego, w głębokim wąwozie. O jakieś

czterdzieści kilometrów od ujścia Argutu wpada do niego rzeczka Juneur. To miejsce łatwo zidentyfikować, bo Argut zatacza tam półkole. Tam właśnie wpada Juneur. Od jego ujścia musi pan przejść w górę Argut u jakieś sześć kilometrów jego lewym, przeciwległym do ujścia brzegiem i wtedy napotka pan z prawej strony niewielki strumyk. Rzeczka jest mała, ale za to dolina bardzo rozległa i głęboko wrzyna się w Grzbiet Katuński. W tę właśnie dolinę musi pan wjechać. Miejsce jest suche, modrzewie ogromne, rozłożyste. Już na dużej wysokości natknie się pan na wysoki, stromy próg z małym wodospadem. Tam dolina skręci w prawo. Dno doliny będzie zupełnie płaskie, szerokie, a na nim łańcuszek pięciu jezior, leżących o jakąś wiorstę jedno od drugiego. Ostatnie, piąte jezioro, przy którym kończy się droga, to właśnie Deny-Der… To wszystko. Tylko niech pan nie pomyli wąwozów, bo tam dolin i jezior jest całe mnóstwo… Aha, byłbym zapomniał. Przy ujściu strumienia, u wylotu doliny, będzie niewielkie bagienko. Na jego lewym brzegu stał ogromny suchy modrzew bez gałęzi i z podwójnym wierzchołkiem. Wyglądał jak diabelskie widły. Jeśli ocalał, to po nim najłatwiej rozpoznać drogę.

Zapisałem wskazówki Czorosowa, nie przypuszczając nawet, jakiego wkrótce nabiorą znaczenia.

Rano oglądałem prace Czorosowa, ale żadna z nich nie dorównywała „Deny-Der". Zdając sobie sprawę z wielkiej wartości obrazu i z moich nader skromnych możliwości finansowych, nawet nie próbowałem rozmawiać o jego kupnie. Kupiłem dwa olejne szkice ośnieżonych gór, a poza tym dostałem w podarunku niewielki rysunek piórkiem, przedstawiający moje ulubione drzewa — modrzewie.

Żegnając się ze mną, Czorosow powiedział: — Widzę, jak pan wpatruje się w „Deny-Der", ale tego obrazu nie mogę panu podarować. Dostanie pan ode mnie szkic, który zrobiłem nad jeziorem. Ale — zamilkł na chwilę — to będzie dopiero po mojej śmierci, bo teraz trudno byłoby mi się z nim rozstać. No, proszę się nie martwić, długo nie będzie pan czekał… Prześlą go panu — dodał poważnie, z przerażającą wręcz, obojętnością w głosie.

Życząc Czorosowowi jak najdłuższego życia, a sobie jak najszybszego z nim spotkania, wsiadłem na konia, i los, jak się okazało, rozłączył nas na zawsze.

Długo trwało; zanim ponownie trafiłem na Ałtaj. Cztery lata upłynęły na — wytężonej pracy, a na piąty dopadł mnie ostry reumatyzm, choroba zawodowa ludzi pracujących w tajdze. Leżałem chyba z pół roku, a potem musiałem jeszcze leczyć nadwątlone serce.

Znudzony przymusową bezczynnością, uciekłem z czarnomorskiego kurortu do pochmurnego, lecz sympatycznego Leningradu, a potem zaproponowano mi udokumentowanie pokładów rtęci Sefidkan w Azji Środkowej. Miałem nadzieję, że słoneczny i suchy Turkiestan wypędzi ze mnie resztki choroby i pozwoli wrócić na monotonną w swej pierwotnej dzikości Północ, która na zawsze podbiła moje serce. Ta moja miłość była tak silna, że z najwyższym trudem zwalczałem w sobie Ostre ataki nostalgii, tęsknoty za Syberią.

Pewnego ciepłego wiosennego wieczoru, gdy siedziałem w domu przy mikroskopie, otrzymałem przesyłkę, która bardziej zmartwiła mnie, niż ucieszyła. W płaskiej skrzyneczce z heblowanych limbowych desek leżał szkic „Dany-Der", znak, że malarz Czorosow zakończył swe pracowite życie. Wystarczyło, abym ponownie zobaczył „Jezioro Ducha Gór", i znów ogarnęły mnie wspomnienia.

Dalekie i niedostępne piękno Dany-Der wzbudziło we mnie pełen smutku niepokój. Starając się go przełamać,znów zabrałem się do pracy. Umocowałem pod mikroskopem nowy szlif rudy z Sefidkanu i włączyłem świetlówkę, gdyż światło żarowe ze względu na swą żółtawą barwę tłumiło subtelne odcienie czerwieni, przeważające w badanej próbce.

Jezioro Ducha Gór nadal stało mi przed oczami, wiec z początku nawet się nie zdziwiłem, gdy w okularze mikroskopu dostrzegłem krwawe odblaski ma tle niebieskawej stali, które tak zdumiały mnie kiedyś w obrazie Czorosowa. W chwilę później zorientowałem się, iż patrzę nie na obraz tylko na wewnętrzne refleksy w rudzie rtęci. Obróciłem stolik mikroskopu i krwawe odbłyski zamigotały, niknąc lub nabierając ciemniejszej, brunatnawej barwy, podczas gdy cały minerał nadal lśnił jak zimna stal.

Podniecony przeczuciem jeszcze nie dokonanego odkrycia, skierowałem promień oświetlacza na szkic „Jeziora Ducha Gór” i w skalach u podnóża stożkowatej góry dostrzegłem dokładnie takie same barwy, jakie przed chwilą obserwowałem pod mikroskopem.

Pospiesznie chwyciłem tablice barw. Nie wdając się w szczegóły, powiem, że mineralografia posługuje się tablicami barw i odcieni, których skatalogowano około siedmiuset. Każdy odcień ma odpowiedni symbol, a suma tych symboli daje wzór kolorystyczny minerału. Okazało się, że kolory na obrazie Czorosowa odwzorowane według tych tablic odpowiadają dokładnie kolorowi cynobru, siarczku rtęci! Zagadka Deny— Der przestała być dla mnie zagadką. Dziwiłem się tylko, dlaczego nie rozwiązałem jej już tam, na Ałtaju.

Zamówiłem przez telefon taksówkę i wkrótce znalazłem się pod oknami wielkiego laboratorium chemicznego. Mój znajomy, chemik i metalurg, jeszcze tam był.

— Kogo widzę! — powitał mnie znajomy. — Czemu mam zawdzięczać pańską wizytę? Znów jakaś pilna analiza?

— Nie, Dymitrze Michajłowiczu, tym razem chodzi tylko o konsultację. Co mi pan może opowiedzieć ciekawego o rtęci?

— O, rtęć jest metalem tak interesującym, że można o niej — napisać całą książkę! A o co panu konkretnie chodzi?

— Proszę mi powiedzieć, rtęć wrze w temperaturze trzystu siedemdziesięciu stopni, a w jakiej paruje?

— Paruje zawsze, drogi inżynierze, z wyjątkiem silnego mrozu.

— To znaczy, że jest lotna?

— Niezwykle, jak na swój ciężar właściwy. Proszę zapamiętać: przy dwudziestu stopniach ciepła metr sześcienny powietrza może zawierać do piętnastu setnych grama par rtęci, a przy stu — już niemal dwa i pół grama.

— Jeszcze jedno pytanie: pary rtęci same świecą, a jeśli tak, to w jakim kolorze?

— Same nie świecą, ale czasem przy silnym stężeniu i przechodzącym świetle bywają zielonkawoniebieskie, a przy wyładowaniach elektrycznych w rozrzedzonym powietrzu świecą bladozielone…

— Dziękuję! To mi wystarczy…

Pięć minut później dzwoniłem do drzwi mojego lekarza.

Zaniepokojony staruszek usłyszał mój podniecony głos i sam wyszedł do przedpokoju.

— Co się stało? Znów serce panu dokucza?

— Nie, serce mam w porządku. Proszę mi powiedzieć, jakie są najważniejsze objawy zatrucia parami rtęci?

— Zatrucie rtęciowe w ogóle przejawia się ślinotokiem, wymiotami, a co do par, to muszę zobaczyć… Niech pan wejdzie.

— Nie, wpadłem tylko na chwilę. Proszę to łaskawie sprawdzić, drogi Pawle Nikołajewiczu!

Staruszek poszedł do swego gabinetu i za moment wrócił z otwartą książką w rękach.

— Widzi pan, pary rtęci: spadek ciśnienia krwi, silne podniecenie, przyspieszony, urywany oddech, a następnie śmierć spowodowana paraliżem serca.

— To wspaniałe! — wykrzyknąłem.

— Co jest wspaniałe? Taka śmierć?

Ale ja tylko roześmiałem się, rozbawiony Jak dzieciak zdumieniem doktora i wybiegłem na schody. Teraz już wiedziałem na pewno, że rozumowałem prawidłowo.

Po powrocie do domu zadzwoniłem do swego zwierzchnika w zjednoczeniu i zawiadomiłem go, że dla dobra służby muszę natychmiast wyjechać na Ałtaj. Poprosiłem też, aby pozwolił mi zabrać ze sobą Krasulina, młodego dyplomanta, którego siła fizyczna i otwarta głowa przyda mi się przy niezbyt jeszcze

dobrym stanie mojego zdrowia.

W połowie maja można już było bez przeszkód dotrzeć do jeziora. Akurat wtedy wyszedłem z osiedla Inia przy Trakcie Galijskim wraz z Krasulinem i dwoma doświadczonymi robotnikami, znającymi tajgę jak własną kieszeń.

Pamiętałem dokładnie wszystkie wskazówki zmarłego malarza, a poza tym w bocznej kieszeni kurtki miałem stary notes z podyktowaną mi przez niego trasą.

Kiedy wieczorem rozbiliśmy namiot w ujściu doliny przy suchym, rozwidlonym u wierzchołka modrzewiu, stwierdziłem nie bez podniecenia, że trochę się lękam jutra, kiedy okaże się, iż ścisłe rozumowanie kroczące śladami legendy było prawidłowe lub wręcz przeciwnie: że wymyśliłem coś jeszcze bardziej fantastycznego niż baśniowe duchy starego Ojroty. Krasulin owi udzieliło się — moje zdenerwowanie, przysiadł się więc do mnie na kępę, z której jak zaczarowany gapiłem się na widlasty modrzew.

— Włodzimierzu Eugeniewiczu — zaczął cicho — obiecał pan zdradzić cel naszej wyprawy, kiedy znajdziemy się w górach.

— Spodziewam się najdalej jutro odkryć wielkie złoża rtęci, częściowo nawet samorodnej. Jutro okaże się, czy mam rację. Wie pan, że rtęć występuje zazwyczaj w stanie rozproszonym, w małych koncentracjach. Na świecie jest jedno tylko znane dotychczas złoże rud o dużych zawartościach rtęci. Mam na myśli…

— … Almadenę w Hiszpanii — podpowiedział Krasulin.

— Tak, od wielu już wieków Almadena zaopatruje w rtęć co najmniej pół świata. Kiedyś znaleziono tam mikroskopijne jeziorko czystej rtęci. Mani nadzieję odkryć tutaj coś podobnego. Że tutaj całe góry składają się z czystego cynobru, tego jestem pewien, jeśli tylko…

— Ależ Włodzimierzu Eugeniewiczu, jeśli odkryjemy takie pokłady, to wywołamy przewrót w gospodarce rtęcią!

— Naturalnie! Rtęć, jak pan wie, jest niezbędna między innymi w elektrotechnice i w medycynie. Ale teraz spać! Jutro wstaniemy jeszcze przed wschodem słońca. Zdaje się, że dzień będzie pochmurny, a tego nam właśnie trzeba.

— Dlaczego? — zapytał Krasulin.

— Dlatego, że nie chcę otruć was wszystkich i siebie przy okazji. Z parami rtęci nie ma żartów. Świadczy o tym chociażby fakt, że te pokłady tak długo nie — zostały odkryte… Jutro stoczymy walkę z duchami Deny— Der i zobaczymy, co z tego wyjdzie…

Różowawa mgiełka otuliła okoliczne grzbiety. W dolinie ściemniało i tylko ostre ośnieżone turnie długo jeszcze błyszczały w niewidocznych promieniach słońca. Potem i one zgasły i popielata opona pokryła góry. Zabłysły pierwsze, zamglone jeszcze gwiazdy, a ja wciąż siedziałem z fajką przy ognisku. Wreszcie przemogłem zdenerwowanie i poszedłem spać.

Wszystkie wydarzenia następnego dnia, nie wiedzieć czemu, zapamiętałem jako ciąg oderwanych od siebie obrazów.

Dokładnie wryło się w pamięć rozległe, zupełnie płaskie dno doliny między trzecim a czwartym jeziorem. Jej środek pokrywał równy, zielony dywan mszaru, na którego brzegach wznosiły się wysokie limby. Były z jednej strony zupełnie pozbawione gałęzi i wyciągały potężne konary w stronę Jeziora Ducha Gór, niczym żałobne chorągwie na strzelistych drzewcach. Niskie, ciemne chmury przemykały nad wierzchołkami limb, jakby spieszyły nad tajemnicze jezioro.

Czwarte jezioro było niewielkie i okrągłe. Z błękitnawoszarej wody wyłaniała się grobla usypana z ostrych kamieni. Przedostaliśmy się przez nią i weszliśmy w gęste zarośla kosodrzewiny, a po dalszych dziesięciu minutach stanęliśmy na brzegu Jeziora Ducha Gór. Smętna popielata mgła pokrywała wodę i ośnieżone zbocza gór, ale od razu rozpoznałem siedlisko górskich duchów, które tak przemówiło do

mojej wyobraźni w pracowni Czorosowa.

Dotrzeć do polśniewających stalą skał u podnóża stożkowatej góry nie było wcale łatwo, ale natychmiast zapomnieliśmy o wszelkich trudnościach, gdy młotek geologiczny odbił ód skalnego złomu pierwszy ciężki kawał cynobru. Dalej skały opadały skośnymi tarasami ku niewielkiemu zapadlisku, nad którym unosiła się lekka para. Zapadlisko było wypełnione mętną, gorącą wodą, gdyż z okolicznych skał tryskały liczne gorące źródła.

Poleciłem Krasulinowi sporządzenie szkicu złoża, a sam ruszyłem z robotnikami przez ciepłą mgłę do podnóża góry.

— Co to jest? — zapytał nagle jeden z robotników.

Spojrzałem we wskazanym kierunku. Ukryte do połowy za skalnym wybrzuszeniem, lśniło mętnym, złowieszczym blaskiem jezioro rtęci, moja urzeczywistniona fantazja. Powierzchnia jeziorka wydawała się wypukła. Z niemożliwym do opisania podnieceniem pochyliłem się nad nią, zanurzyłem ręce w gęsty, umykający płyn i pomyślałem, że oto jest mój podarek dla kraju — kalka tysięcy ton płynnego metalu.

Przybiegł zawołany przeze mnie Krasulin i zamarł w niemym zachwycie. Trzeba jednak było opanować emocje i szybko zabrać się do roboty. Już głowa zaczynała się robić ciężka i piekło mnie w ustach — następowały pierwsze złowieszcze objawy zatrucia. Wziąłem „Leicę” i szybko wytrzaskałem całą błonę. Jeden z robotników napełnił manierkę rtęcią, a Krasulin z drugim robotnikiem mierzył grubość pokładów cynobru i wielkość jeziorka. Wydawać by się mogło, że zajęło nam to wszystko zaledwie parę chwil, ale z powrotem szliśmy bardzo wolno, sennie, walcząc z narastającym przygnębieniem i strachem. Kiedy wolno, z trudem okrążaliśmy jezioro z lewej strony, chmury rozpierzchły się i naszym oczom ukazał się graniasty, brylantowy szczyt. Skośne promienie słońca przedarły się przez wrota odległego wąwozu i cała dolina Deny-Der wypełniła się przezroczystym, roziskrzanym światłem. Obróciwszy się, zobaczyłem przez ramię niebieskozielone zjawy pląsające w miejscu, które niedawno opuściliśmy. Na szczęście brzeg stopniowo wyrównywał się i wkrótce dotarliśmy do koni.

— W nogi! — krzyknąłem, wskakując na swego konia.

Tego samego dnia zeszliśmy doliną do drugiego jeziora. Rozbiliśmy nad nim namiot. W nocy czuliśmy się nie najlepiej, ale poza tym wszystko skończyło się dobrze.

Niewiele już mam do opowiedzenia. Czarodziejskie jezioro dało i daje nadal mojemu krajowi takie ilości rtęci, że pokrywa ona całe zapotrzebowanie jego przemysłu. A ja zawsze wspominam z wdzięcznością wspaniałego artystę, nieustraszonego poszukiwacza ducha gór.

Przetłumaczył Tadeusz Gosk

Sewer Gansowski
Dzień gniewu

Przewodniczący Komisji: Posługujecie się. kilkoma językami, znacie matematykę wyższą i możecie wykonywać niektóre prace. Czy uważacie, że czyni to was Człowiekiem?

Otark: Oczywiście. Czyż ludzie wiedzą jeszcze cokolwiek?

(Z przesłuchań otarka. Materiały Komisji Państwowej)

Dwóch jeźdźców wyjechało z doliny porośniętej gęstą trawą i zaczęło się wspinać w górę. Na przedzie leśniczy na garbatonosym, dereszowatym ogierze, a za nim Donald Betly na kasztanowatej klaczy. Klacz potknęła się na kamienistej ścieżce i upadła na kolana. Zamyślony Betly nieomal nie spadł, ponieważ siodło — angielskie siodło wyścigowe z pojedynczym popręgiem — zsunęło się na szyję zwierzęcia.

Leśniczy czekał na niego na górze.

— Niech pan jej nie pozwala opuszczać głowy, ona się potyka.

Zagryzłszy wargi, Betly rzucił na niego niezadowolone spojrzenie. Do diabła, można było o tym powiedzieć wcześniej! Złościł się także na siebie, ponieważ klacz oszukała go. Gdy Betly ją siodłał, wzdęła brzuch, żeby później popręg był zupełnie luźny. r

Ściągnął tak silnie cugle, że klacz zatańczyła i cofnęła się.

Ścieżka znowu biegła poziomo. Jechali płaskowyżem, a przed nimi wznosiły się wierzchołki wzgórz pokrytych iglastymi lasami.

Konie biegły wydłużonym krokiem, niekiedy same przechodząc w kłus i starając się wzajemnie prześcignąć. Kiedy klacz wysuwała się naprzód, Betly mógł dostrzec ogorzałe, dokładnie ogolone, chude policzki leśniczego i jego posępne oczy skierowane na drogę. Wydawało się, że w ogóle nie dostrzega swego towarzysza.

„Jestem zbyt bezpośredni — rozmyślał Betly. — I to mi przeszkadza. Nagabywałem go już pięć razy, a on bądź to odpowiada mi półsłówkami, bądź w ogóle milczy. Ma mnie za nic. Wydaje mu się, że jeżeli człowiek jest rozmowny, to jest pleciuchem i nie należy go szanować. Po prostu ci z tej głuszy nie maja wyczucia wartości. Myślą, że być dziennikarzem to nic nie znaczy. Nawet takim dziennikarzem, jak… Dobrze, w takim razie ja także przestanę się do niego odzywać. Gwiżdżę!…”

Stopniowo jednak jego nastrój poprawiał się. Betly był szczęściarzem i uważał, że podobnie jak jemu, życie powinno się podobać wszystkim pozostałym. Dziwiła go skrytość leśniczego, ale nie czuł do niego wrogości.

Pogoda nieprzyjemna rankiem, teraz się poprawiła. Zniknęła mgła, a mętny całun na niebie zmienił się w oddzielne chmury. Ogromne cienie szybko przepływały po ciemnych lasach i wąwozach, co podkreślało surowy, dziki i jakiś swobodny charakter tych obszarów.

Betly poklepał klacz po wilgotnej, pachnącej potem szyi.

— Widocznie pętano ci przednie nogi przed wypuszczeniem na pastwisko i dlatego się potykasz. Dobrze, jeszcze się dogadamy.

Popuścił cugle i dogonił leśniczego.

— Panie Meller, czy pan się też urodził w tym kraju?

— Nie — odrzekł leśniczy nie odwracając się.

— A gdzie?

— Daleko.

— A tutaj od dawna?

— Dawno. — Meller odwrócił się do dziennikarza: — Lepiej by pan ciszej mówił, bo one mogą

usłyszeć.

— Jakie one?

— Oczywiście otarki. Jeden usłyszy i powiadomi innych. Może się też po prostu zaczaić, skoczyć z tyłu i rozerwać… A w ogóle najlepiej, jeżeli nie będą wiedziały, po co tu jedziemy.

— Czy one często napadają? Gazety podają, że przypadki takie prawie się nie zdarzają.

Leśniczy przemilczał.

— Czy one same napadają? — Betly mimo woli obejrzał się. — Czy także strzelają? Mają w ogóle broń? Karabiny bądź automaty?

— Strzelają bardzo rzadko. Ich ręce nie są przecież odpowiednio zbudowane… Tfu, nie ręce, a łapy! Niewygodnie im korzystać z broni.

— Łapy — powtórzył Betly. — Oznacza to, że nie uważacie ich tu za ludzi?

— Kto? My?

— Tak, wy. Miejscowa ludność.

Leśniczy splunął.

— Oczywiście, że nie uważamy. Tutaj ani jeden człowiek nie uważa ich za ludzi.

Mówił z przerwami, ale Betly zapomniał już o swoim postanowieniu nieodzywania się.

— Proszę powiedzieć, czy pan z nimi rozmawiał? Czy jest prawdą, że one dobrze mówią?

— Stare dobrze. Te, które były jeszcze w laboratorium… A młode gorzej. Ale to nieważne, młode są jeszcze niebezpieczniejsze. Mądrzejsze i mają dwukrotnie większe głowy. — Leśniczy nagle zatrzymał konia. W jego głosie brzmiała gorycz. — Niepotrzebnie to wszystko rozstrząsamy. Zupełnie na próżno. Już dziesiątki razy odpowiadałem na takie pytania.

— Co na próżno?

— Cała nasza wyprawa. Nic z niej nie wyniknie. Wszystko pozostanie jak dawniej.

— Dlaczego pozostanie? Przyjechałem z wpływowej gazety. Mamy rozległe uprawnienia. Przygotowujemy materiał dla komisji senackiej. Jeśli okaże się, że otarki rzeczywiście są takim niebezpieczeństwem, zostaną podjęte odpowiednie kroki. Wszak pan wie, że tym razem zamierza się posłać przeciw nim wojsko.

— Mimo wszystko nic z tego nie będzie — westchnął leśniczy. — Przecież nie pierwszy raz tu przyjeżdżacie. Każdego roku ktoś tutaj bywa i wszyscy interesują się tylko otarkami. Ale nie ludźmi, którzy muszą z otarkami współżyć. Każdy pyta: „Czy jest prawdą, że mogą one nauczyć się geometrii?… Czy rzeczywiście są otarki, które rozumieją teorię względności?” Jakby to miało jakiekolwiek znaczenie! Jakby z tego powodu nie należało ich niszczyć!

— Przecież dlatego przyjechałem — zaczął Betly — żeby przygotować materiał dla komisji. Wówczas całe państwo dowie się, że…

— A inni, myśli pan, nie przygotowywali materiałów? — przerwał mu Meller. — Tak, a poza tym… Poza tym, jak pan zrozumie tutejszą sytuację? Trzeba tu żyć, żeby ją pojąć. Co innego zwiedzić, a co innego mieszkać cały czas. Ech!… Co tu mówić! Jedźmy. — Ruszył konia. — Odtąd zaczynają się już miejsca, które one odwiedzają. Od tej doliny.

Dziennikarz i leśniczy znajdowali się teraz na zboczu. Ścieżka, wijąc się, umykała spod końskich kopyt wciąż niżej i niżej.

Daleko w dole rozpościerała się porośnięta krzewami dolina, przecięta wzdłuż wąską, kamienistą rzeczką. Tuż nad nią wznosiła się ściana lasu, a za nią, w bezkresnej dali, bielejące śniegami odgałęzienia Gór Centralnych.

Wzrok sięgał na dziesiątki kilometrów w głąb tej krainy, ale Betly nie mógł nigdzie dostrzec nawet oznaki życia — ni dymu z komina, ni stogu siana. Wydawało się, że kraj ten zamarł.

Słońce skryło się za chmurą, nagle się ochłodziło i dziennikarz poczuł, że nie chce mu się zjeżdżać w dół za leśniczym. Jego plecami wstrząsnął dreszcz. Przypomniał sobie ciepłe, ogrzane powietrze

swojego miejskiego mieszkania, jasne i równie ciepłe pokoje redakcji. Potem jednak wziął się w garść. „Bzdura! Bywałem nie w takich opałach. Czego mam się bać? Jestem doskonałym strzelcem, mam wspaniały refleks. Kogóż mogliby oni posłać poza mną?” Ujrzał, że Meller zdjął z pleców broń, więc uczynił to samo ze swoją.

Klacz ostrożnie stawiała nogi na wąskiej ścieżce.

Kiedy byli na dole, Meller powiedział:

— Starajmy się jechać blisko siebie. Lepiej nie rozmawiać. Do ósmej godziny musimy dotrzeć do fermy Steglika. Tam przenocujemy.

Ruszyli i jechali około dwóch godzin milcząc. Udali się w górę, omijając Mount Bear. W ten sposób przez cały czas mieli z prawej strony ścianę lasu, a z lewej urwisko zarośnięte krzewami, ale tak drobnymi i rzadkimi, że nikt nie mógł się w nich ukryć. Zjechali ku rzece i przez jej kamieniste dno wydostali się na asfaltową zaniedbaną drogę o spękanej nawierzchni, której szczeliny zarosły trawą.

Gdy wjechali na asfalt, Meller zatrzymał nagle konia i zaczął się przysłuchiwać. Następnie zsiadł, klęknął i przyłożył ucho do drogi — Coś nie w porządku — powiedział podnosząc się. — Ktoś za nami galopuje. Zejdźmy z drogi.

Betly również zsiadł i odprowadzili konie za rów, w zarośla olchy.

Po dwóch minutach dziennikarz usłyszał stukot kopyt. Zbliżał się. Wyczuwało się, że jeździec pędzi co sił.

Później dostrzegli przez zwiędłe liście szarego konia pędzącego w spiesznym galopie. Siedział na nim nieumiejętnie mężczyzna w żółtych bryczesach i w pelerynie. Przejechał tak blisko, że Betly dobrze przyjrzał się jego twarzy i stwierdził, że widział już tego mężczyznę. Nawet przypomniał sobie gdzie. W miasteczku, koło baru stało towarzystwo. Pięć lub sześć osób, barczystych, krzykliwie ubranych. Wszyscy mieli jednakowe oczy. Leniwe, przymrużone, bezczelne. Dziennikarz znał te oczy — oczy gangsterów.

Zaledwie jeździec przejechał, Meller wyskoczył na drogę.

— Hej!

Mężczyzna zaczął wstrzymywać konia i stanął.

— Hej, poczekaj!

Jeździec obejrzał się, oczywiście poznał leśniczego. Przez chwilę patrzyli na siebie. Potem mężczyzna machnął ręką, zawrócił konia i pognał dalej. Leśniczy patrzył w ślad za nim, dopóki dźwięk kopyt nie ucichł w oddali. Później z jękiem uderzył się nagle dłonią w czoło.

— Teraz już nic nie wyjdzie! Na pewno.

— Co takiego? — zapytał Betly, który również wyszedł z zarośli.

— Nic… Po prostu jest to koniec naszego przedsięwzięcia.

— Ale dlaczego? — dziennikarz popatrzył na leśniczego i ze zdziwieniem dojrzał w jego oczach łzy.

— Teraz już wszystko skończone — powiedział Meller, odwrócił się i wierzchem dłoni wytarł oczy. — Co za dranie! — Dranie!

— Proszę posłuchać! — Betly zaczął tracić cierpliwość. — Jeżeli będzie się pan tak denerwował, to chyba rzeczywiście nie powinniśmy jechać.

— Denerwował! — krzyknął leśniczy. — Pana zdaniem denerwuję się? Proszę więc popatrzeć!

Ruchem ręki pokazał gałązkę świerkową z czerwonymi szyszkami, zwisającą nad drogą w odległości trzydziestu kroków.

Betly nie zdążył zrozumieć, dlaczego powinien na nią patrzeć, gdy huknął strzał, w jego twarz wionął dymek spalonego prochu, a szyszka, samotnie wisząca na skraju, upadła na asfalt.

— Oto, jak jestem zdenerwowany. — Meller poszedł w głąb olszyny po konia.

Do fermy przyjechali akurat, gdy zaczęło się ściemniać.

Z nie wykończonego domu, zbudowanego z okrąglaków, wyszedł wysoki, czarnobrody mężczyzna ze

zwichrzonymi włosami i w milczeniu zaczął się przyglądać, jak leśniczy i Betly rozsiodłują konie. Później na ganku pojawiła się kobieta, ruda, z płaską twarzą bez wyrazu, również nie uczesana. Za nią wyszło troje dzieci. Dwóch chłopców ośmio — lub dziewięcioletnich i dziewczynka trzynastoletnia, szczuplutką, jakby nakreślona niepewną kreską.

Cała ta piątka nie była zaskoczona przyjazdem Mellera i dziennikarza, ani ją on radował, ani martwił. Ludzie ci po prostu stali i milcząc przyglądali się. Betly emu milczenie to nie spodobało się.

Po kolacji spróbował nawiązać rozmowę.

— Jak sobie tutaj radzicie z otarkami? Mocno wam dokuczają?

— Co? — czarnobrody farmer przyłożył dłoń do ucha i nachylił się nad stołem. — Co? — krzyknął. — Proszę mówić głośniej. Słabo słyszę.

Powtarzało się to przez kilka minut i farmer z uporem nie chciał zrozumieć, czego od niego żądają. Wreszcie rozłożył ręce. Tak, otarki tu bywają. Czy mu przeszkadzają? Nie, jemu osobiście nie. przeszkadzają. A o innych nic nie wie. Nie może nic powiedzieć.

W połowie tej rozmowy szczupła dziewczynka wstała, okryła się chustą i nie mówiąc nikomu słowa, wyszła.

Gdy tylko opróżniono talerze, żona farmera przyniosła z drugiej izby dwa materace i zaczęła je ścielić dla przyjezdnych.

Meller jednak powstrzymał ją:

— Może lepiej przenocujemy w szopie.

Kobieta bez słowa wyprostowała się. Farmer wstał gwałtownie zza stołu.

— Dlaczego? Nocujcie tutaj.

Leśniczy brał już jednak materace.

Do szopy zaprowadził ich wysoki farmer świecąc latarnią. Z minutę patrzył, jak się urządzają, i przez chwilę miał taki wyraz twarzy, jakby chciał coś powiedzieć. Jednak uniósł tylko rękę i przygładził włosy, po czym odszedł.

— Po co to wszystko? — zapytał Betly. — Czyżby otarki włamywały się do domów?

Meller podniósł z ziemi grubą deskę i zaparł nią mocne, ciężkie drzwi, sprawdzając, czy deska się nie odsunie.

— Kładźmy się — powiedział. — Różnie bywa. One wchodzą także do domów.

Dziennikarz siadł na materac i zaczął rozsznurowywać buty.

— A proszę powiedzieć, czy pozostały tu prawdziwe niedźwiedzie? Nie otarki, a prawdziwe, dzikie niedźwiedzie. Przecież tutaj, w tych lasach było w ogóle wiele niedźwiedzi.

— Ani jeden — odpowiedział Meller. — Pierwsze, co zrobiły otarki, kiedy wydostały się z laboratorium, z wyspy, to zlikwidowały prawdziwe niedźwiedzie. Również wilki. Były tu jenoty, lisy — wszystko zginęło. Ze zniszczonego laboratorium wzięły truciznę i tępiły nią drobną zwierzynę. Wszędzie wokół leżały tutaj zdechłe wilki, z jakiegoś powodu wilków one nie zjadały. A wszystkie niedźwiedzie poznikały. Niekiedy zjadają One przecież nawet swoich.

— Swoich?

— Oczywiście, przecież to nie ludzie. Nie wiadomo, czego można się po nich spodziewać.

— A więc uważacie je po prostu za zwierzęta?

— Nie. — Leśniczy zaprzeczył ruchem głowy. — Nie uważamy ich za zwierzęta. To tylko w miastach toczą się spory, czy one są ludźmi, czy zwierzętami. My to tutaj wiemy, że one są ni tym, ni tamtym. Rozumie pan, niegdyś było tak: byli ludzie i były zwierzęta. I na tym koniec. A teraz jest coś trzeciego — otarki. Coś takiego zjawiło się po raz pierwszy od powstania świata. Otarki nie są zwierzętami, dobrze byłoby, gdyby były tylko zwierzętami. Ale nie są też oczywiście ludźmi.

— Proszę powiedzieć — Betly mimo wszystko nie mógł się pohamować z zadaniem pytania, którego banalność rozumiał — czy jest prawdą, że one bez trudności opanowują matematykę wyższą?

Leśniczy gwałtownie zwrócił się ku niemu.

— Niech się pan wreszcie zamknie z tą matematyką! Proszę się zamknąć. Osobiście nie dam złamanego grosza za tego, który zna ma. tematykę wyższą. Tak, dla otarków matematyka to drobiazg! I co z tego?… Trzeba być człowiekiem, w tym cała rzecz.

Odwrócił się i zacisnął usta.

„On ma nerwicę — pomyślał Betly. — I to bardzo silną. To chory człowiek."

Leśniczy jednak już się uspokajał. Było mu przykro, że tak wybuchnął. Po krótkim milczeniu zapytał więc:

— Przepraszam, a czy pan go widział?

— Kogo?

— No, tego geniusza Fiedlera.

— Fiedlera?… Widziałem. Rozmawiałem z nim przed samym wyjazdem tutaj. Z polecenia redakcji.

— Na pewno trzymają go tam w celofanowym opakowaniu? Żeby nie spadła na niego nawet kropelka deszczu.

— Tak, chronią go. — Betly przypomniał sobie, jak kontrolowano jego przepustkę i rewidowano go po raz pierwszy pod murem otaczającym Centrum Naukowe. Potem jeszcze jedna kontrola i ponowna rewizja przed wjazdem do instytutu. I trzecia rewizja — zanim wpuszczono go do ogrodu, w którym wyszedł do niego sam Fiedler. — Chronią go. Ale on jest rzeczywiście genialnym matematykiem. Miał trzynaście lat, kiedy opracował swoje „Poprawki do ogólnej teorii względności". Oczywiście, jest on człowiekiem niezwykłym, nieprawda?

— A jak on wygląda?

— Jak wygląda?

Dziennikarz zawahał się. Przypomniał sobie Fiedlera, jak ubrany w biały, luźny garnitur wychodził do ogrodu. W jego postaci było coś nieuchwytnego. Szeroki w biodrach, a wąski w ramionach. Krótka szyja… Był to dziwny wywiad, ponieważ Betly czuł, że to raczej przepytano jego. To znaczy, Fiedler odpowiadał na jego pytania, ale jakoś niepoważnie. Jakby naigrawał się z dziennikarza i w ogóle z całego świata zwykłych ludzi spoza murów Centrum Naukowego. Zadawał także pytania, ale jakże niedorzeczne. Pytał o bzdury, na przykład w rodzaju, czy Betly lubi sok z marchwi. Jakby rozmowa ta była eksperymentem, podczas którego on, Fdedler bada zwyczajnego człowieka.

— Jest średniego wzrostu — powiedział Betly. — Ma małe oczy… Czyżby pan go nie widział? Przecież on tu bywał, nad jeziorem i w laboratorium.

— Przyjeżdżał dwa razy — odpowiedział Meller. — Ale miał taką ochronę, że zwykłych śmiertelników nie dopuszczano do niego nawet na odległość jednego kilometra. Otarki trzymano jeszcze wtedy za ogrodzeniem, a z nim pracowali Richard i Klein. Kleina one później zjadły. A kiedy otarki się rozprzestrzeniły, Fiedler już się tu nie pokazał… Co on teraz mówi na temat otarków?

— Na temat otarków?… Powiedział, że był to bardzo interesujący eksperyment naukowy. Bardzo perspektywiczny. Ale teraz on się tym nie zajmuje. Pracuje nad czymś, co ma związek z promieniowaniem kosmicznym… Mówił jeszcze, że żal mu ofiar, które były.

— Po co to wszystko robiono? Dlaczego?

— Jak by tu powiedzieć?… — Betly zamyślił się. — Rozumie pan, przecież w nauce tak bywa: „Co się stanie, jeżeli?…" Zrodziło się z tego wiele odkryć.

— W jakim znaczeniu: „Co się stanie, jeżeli?"

— No, na przykład: „Co będzie, jeżeli w polu magnetycznym umieścimy przewodnik, przez który płynie prąd elektryczny?" Otrzymaliśmy silnik elektryczny… Mówiąc krócej, jest to autentyczny eksperyment.

— Eksperyment — Meller zazgrzytał zębami. — Zrobili eksperyment: wypuścili ludożerców na ludzi. A teraz nikt o nas nie myśli. Rządźcie się sami, jak umiecie. Fiedler splunął już na otarki i na nas

także. Tymczasem rozmnożyły się ich tu setki i nikt nie wie, co one zamierzają przeciw ludziom. — Zamilkł i westchnął. — Ech, pomyśleć, co komu przyszło do głowy! Stworzyć zwierzęta, żeby były mądrzejsze od człowieka. Tam w miastach już zupełnie zgłupieli. Bomby atomowe, a teraz to. Na pewno chcą, żeby rodzaj ludzki zupełnie się wykończył.

Wstał, wziął nabitą broń i położył obok siebie na ziemi.

— Proszę posłuchać, panie Betly. Jeżeli będzie niespokojnie, jeśli ktoś zacznie się do nas dobijać albo włamywać, niech pan leży na swoim miejscu. Pan leży, a ja już wiem, co robić. Już się tak wyćwiczyłem, że jak pies budzę się pod wpływem zwykłego przeczucia.

Rankiem, kiedy Betly wyszedł z szopy, słońce świeciło tak jasno, a spłukana przez deszcz zieleń była taka świeża, że wszystkie nocne rozmowy wydały mu się tylko strasznymi bajkami.

Czarnobrody farmer już był na swoim polu — jego koszula bielała maleńką plamką z tej strony rzeczki. Przez chwilę dziennikarz pomyślał, że być może to właśnie jest szczęście — wstawać wraz ze słońcem, nie znając niepokojów i kłopotów skomplikowanego życia miejskiego, mieć do czynienia tylko z rękojeścią łopaty, z grudami brunatnej ziemi.

Leśniczy przywołał go jednak szybko do rzeczywistości. Wyszedł on spoza szopy z bronią w ręce.

— Chodźmy, pokażę panu coś.

Obeszli szopę i weszli do ogrodu na tyłach domu. Odtąd Meller zaczął się dziwacznie zachowywać. Schyliwszy się przebiegł przez krzaki i przysiadł w rowie przy kartoisku. Potem dał dziennikarzowi znak, żeby uczynił to samo.

Zaczęli rowem obchodzić ogród. Z domu jeden raz dobiegł głos kobiety, ale nie można było zrozumieć, co mówiła.

Meller zatrzymał się.

— Proszę popatrzeć.

— Na co?

— Przecież pan mówił, że jest myśliwym. Proszę spojrzeć!

Miedzy kępami trawy, na ziemi, znajdował się wyraźny, pieciopalczasty ślad.

— Niedźwiedź? — z nadzielą zapytał Betly.

— Jaki niedźwiedź? Niedźwiedzi już dawno nie ma.

— A zatem otark?

Leśniczy skinął głową.

— Całkiem świeży — powiedział Meller. — Widzi pan, zwilgotniały. A wiec do deszczu był jeszcze w domu.

— W domu? — Betly poczuł na plecach chłód, jakby dotknięto go czymś metalowym. — Wewnątrz domu?

Leśniczy nie odpowiedział, kiwnięciem wskazał dziennikarzowi rów i milcząc ruszyli w powrotną drogę.

Przy szopie Meller poczekał, aż Betly przyjdzie do siebie.

— Tak też wczoraj myślałem. Już kiedy przyjechaliśmy wieczorem i Steglik zaczął udawać, że słabo słyszy. Po prostu chodziło mu o to, żebyśmy głośniej mówili i żeby otark wszystko słyszał. A otark siedział w sąsiednim pokoju.

Dziennikarz poczuł, że chrypnie mu głos.

— Co pan mówi? Stąd wynika, że tutejsi ludzie bratają się z otarkami? Przecież przeciw ludziom!

— Proszę ciszej — powiedział leśniczy. — Co znaczy „bratają się”? Steglik nic nie mógł zrobić. Otark przyszedł i został. Często tak bywa. Otark przychodzi i kładzie się, na przykład, na przygotowane łóżko w sypialni. Albo po prostu wygania ludzi z domu i zajmuje go na dobę lub na dwie.

— A co ludzie na to? Poddają się temu? Dlaczego do nich nie strzelają?

— Jak tu strzelać, kiedy w lesie są inne otarki? A farmer ma dzieci, i pasące się na łące bydło, i

dom, który można podpalić… Najważniejsze to jednak dzieci. Otarki przecież mogą porwać dziecko. Czy malców się upilnuje? Poza tym, tutaj odebrały one wszystkim broń. Już na samym początku. W pierwszym roku.

— I ludzie oddali?

— A co mogli zrobić? Kto nie oddawał, później się spalił…

Nie dokończył i zaczął się nagle wpatrywać w zarośla wikliny, znajdujące się piętnaście kroków od nich.

Dalsze wypadki potoczyły się” w ciągu dwóch, trzech sekund.

Meller poderwał broń i odwiódł kurek. Jednocześnie w krzakach podniosła się brunatna masa, błysnęły wielkie, złe i wystraszone oczy i rozległ się głos:

— Hej, nie strzelajcie! Nie strzelajcie!

Dziennikarz chwycił odruchowo Mellera za ramię. Huknął strzał, ale pocisk strącił tylko gałąź. Brunatna masa zgięła się w pół, skulona potoczyła się w las i zniknęła wśród drzew. Przez kilka chwil słychać było trzask łamanych gałęzi, a później zapadła cisza.

— Do diabła! — Leśniczy wściekły odwrócił się. — Dlaczego pan to zrobił?

Pobladły dziennikarz wyszeptał:

— On mówił jak człowiek… Prosił, żeby nie strzelać.

Leśniczy patrzył na niego przez chwilę, po czym jego gniew przeszedł w znużone zobojętnienie. Opuścił broń.

— Tak, oczywiście… Za pierwszym razem czyni to wrażenie.

Coś zaszeleściło za ich plecami. Odwrócili się.

Żona farmera powiedziała:

— Chodźmy do domu. Nakryłam już do stołu.

Podczas jedzenia wszyscy zachowywali się, jakby nic nie zaszło.

Po śniadaniu farmer pomógł im osiodłać konie i w milczeniu pożegnali się.

Kiedy ruszyli, Meller zapytał:

— Jaki pan ma właściwie plan? Nie zrozumiałem go dokładnie. Powiedziano mi, że powinienem oprowadzić pana po tutejszych górach i to wszystko.

— Jaki plan?… Tak, po prostu pojeździć po górach. Spotykać się z ludźmi — czym więcej, tym lepiej. Jeżeli się uda, poznać otarki. Słowem, poczuć atmosferę.

— Czy na tej fermie już pan ją wyczul?

Betly wzruszył ramionami.

Nagle leśniczy zatrzymał konia.

— Cicho…

Nasłuchiwał.

— Gonią nas… Coś się stało na fermie.

Betly nie zdążył nadziwić się słuchem leśniczego, gdy z tyłu rozległo się wołanie:

— Halo, Meller, halo!

Zawrócili konie. Ku nim, ciężko dysząc, biegł farmer. Nieomal upadł chwytając łęg siodła Mellera.

— Otark porwał Tinę. Poniósł do Łosiowego Parowu.

Chwytał ustami powietrze, a z jego czoła spadały krople potu.

Leśniczy jednym ruchem poderwał farmera na siodło. Jego ogier ostro ruszył naprzód, a spod jego kopyt wysoko bryznęło błoto.

Dotąd Betly nigdy nie przypuszczał, że potrafi tak szybko mknąć na koniu. Doły, pnie zwalonych drzew, krzewy i rowy przemykały pod nim, zlewając się w swoistą mozaikę pasm. Jakaś gałąź strąciła mu czapkę, ale nawet tego nie zauważył.

Było to zresztą niezależne od niego. Jego koń, w zażartym współzawodnictwie, starał się nie

pozostać w tyle za ogierem. Betly objął jego szyję. W każdej sekundzie zdawało mu się, że już teraz zginie.

Przemknęli przez las i wielką polanę, zboczem, prześcignęli żonę farmera i zjechali w rozległy wąwóz.

Tutaj leśniczy zeskoczył z konia i prowadzony przez farmera poszedł wąską ścieżką w gąszcz rzadkiego, młodego, prześwietlonego zagajnika sosnowego.

Dziennikarz także pozostawił klacz, zarzuciwszy jej cugle na szyję, i ruszył za Mellerem. Zdążał za leśniczym i w myśli automatycznie rejestrował, jaka zadziwiająca nastąpiła w nim zmiana. W Mellerze nie pozostało nic z jego uprzedniej niepewności i apatii. Jego ruchy były lekkie i skoordynowane, nie zastanawiał się ani chwili, zmieniał kierunek, przeskakiwał doły, czołgał się pod niskimi konarami. Zdążał naprzód, jakby ślad otarka był przed nim wykreślony grubą linią.

Przez jakiś czas Betly wytrzymał tempo biegu, ale potem zaczął pozostawać w tyle. Serce tłukło mu się w piersi, brakło mu tchu i czuł suchość w gardle. Przeszedł w marsz i przez kilka minut przebijał się przez gęstwinę sam, a potem usłyszał przed sobą głosy.

W najwęższym miejscu wąwozu, przed gęstymi zaroślami leszczyny stał leśniczy z bronią gotową do strzału. Obok był ojciec dziewczynki.

Leśniczy powiedział akcentując:

— Puść ją, bo ciebie zabiję. Zwracał się przy tym w stronę zarośli. W odpowiedzi rozległ się ryk połączony z płaczem dziecka. Leśniczy powtórzył:

— Jeżeli nie, to ciebie zabiję. Życie poświęcę, żeby ciebie dojść i zabić. Znasz mnie.

Ponownie rozległ się ryk, a potem głos, ale nie ludzki, jakiś gramofonowy, łączący poszczególne słowa, zapytał:

— A jak zrobię, co chcesz, to mnie nie zabijesz?

— Nie — powiedział Meller. — Wtedy odejdziesz żywy.

W gęstwinie zapadła cisza. Słychać było tylko pochlipywanie.

Potem rozległ się trzask gałęzi i w zaroślach mignęło bielą, po czym wyszła z nich szczupła dziewczynka. Jedną ręką przytrzymywała okrwawione ramię.

Pochlipując przeszła obok trzech mężczyzn nie patrząc na nich i chwiejnie powlokła się do domu.

Wszyscy trzej odprowadzili ją wzrokiem.

Czarnobrody farmer popatrzył na Mellera i Betly. W jego szeroko rozwartych oczach był taki wyrzut, że dziennikarz nie wytrzymał i spuścił głowę.

— Otóż tak — powiedział farmer.

* * *

Na nocleg zatrzymali się w maleńkiej, pustej stróżówce w lesie. Do jeziora z wyspą, na której kiedyś znajdowało się laboratorium, było co prawda zaledwie kilka godzin podróży, ale Meller odmówił jazdy po ciemku.

Był to już czwarty dzień ich wyprawy i dziennikarz czuł, że jego wypróbowany optymizm zaczyna się chwiać. Dawniej na wszelkie zdarzające się niepowodzenia miał w pogotowiu utarty zwrot: „Mimo wszystko życie jest jednak diablo piękną rzeczą!” Teraz jednak rozumiał, że ta czekająca w pogotowiu maksyma, w pełni przydatna podczas jazdy komfortowym wagonem z jednego miasta do drugiego lub wchodzenia przez szklane drzwi do westybulu hotelu, żeby spotkać się z jakąś znakomitością — że maksyma ta jest zupełnie nieprzydatna dla przypadku, na przykład, Steglika.

Cała kraina była jakby porażona chorobą. Ludzie byli apatyczni, małomówni. Nawet dzieci się nie śmiały.

Pewnego razu spytał Mellera, dlaczego farmerzy stąd nie wyjeżdżają, a ten wyjaśnił, że wszystko co posiadają tutejsi mieszkańcy — to ziemia. Teraz jednak nie można jej sprzedać, ponieważ z powodu otarków straciła na wartości.

Betly zapytał:

— Dlaczego pan nie wyjeżdża? Leśniczy zamyślił się. Zacisnął usta, pomilczał, a potem odpowiedział:

— Jestem w jakimś stopniu pożyteczny. Otarki boją się mnie. Nie mam tu niczego. Ani rodziny, ani domu. Nie można mnie niczym zastraszyć. Ze mną można tylko walczyć. Ale to jest ryzykowne.

— A zatem otarki pana szanują?

Meller zaskoczony podniósł głowę.

— Otarki?… Nie, co też pan! Szanować one też nie mogą. Przecież nie są ludźmi. Tylko się boją. I słusznie. Przecież je zabijam.

Otarki decydowały się jednak na pewne ryzyko. Czuli to zarówno leśniczy, jak i dziennikarz. Odnosili wrażenie, że stopniowo są coraz ciaśniej otaczani. Trzykrotnie strzelano do nich. Jeden strzał oddano z okna opuszczonego domu, dwa — po prostu z lasu. Po wszystkich trzech nieudanych strzałach znajdowali świeże ślady. A w ogóle, z każdym dniem napotykali wciąż więcej i więcej śladów otarków.

W stróżówce rozpalili ogień w maleńkim, zbudowanym z kamieni palenisku i przygotowali kolację. Leśniczy zapalił fajkę i smętnie patrzył przed siebie.

Na wprost otwartych drzwi stróżówki stały ich konie.

Dziennikarz spoglądał na leśniczego. Od czasu, jak byli razem, z każdym dniem wzrastał jego szacunek dla tego człowieka. Meller był niewykształcony, całe życie spędził w lasach, prawie nic nie czytał i nawet przez dwie minuty nie można było z nim podtrzymać rozmowy na temat sztuki. Mimo to dziennikarz czuł, że nie życzyłby sobie lepszego przyjaciela. Sądy leśniczego były zawsze zdrowe i niezależne; gdy nie miał nic do powiedzenia, milczał. Początkowo wydawał się dziennikarzowi jakiś roztrzęsiony i łatwo popadający w rozdrażnienie, ale teraz Betly rozumiał, że była to zadawniona gorycz spowodowana dolą mieszkańców wielkiej, zapomnianej krainy, którą dzięki uczonym dotknęło nieszczęście.

Przez ostatnie dwa dni Meller czuł się chory. Męczyła go gorączka bagienna. Od wysokiej temperatury jego twarz pokryły czerwone plamy.

Ogień w palenisku już się wypalił, gdy leśniczy nagle zapytał:

— Proszę powiedzieć, czy on jest młody?

— Kto?

— Ten uczony. Fiedler.

— Młody — odpowiedział dziennikarz. — Ma trzydzieści lat. Najwyżej.

A co?

— To niedobrze, że on jest młody — powiedział leśniczy.

— Dlaczego?

Meller jakiś czas milczał.

— Oni są zdolni, ich od razu biorą i umieszczają w zamkniętym środowisku. I cackają się z nimi. A oni zupełnie nie znają życia. Dlatego nie współczują ludziom. — Westchnął. — Najpierw trzeba być człowiekiem.

A dopiero potem uczonym.

Wstał.

— Pora się położyć. Trzeba będzie spać kolejno, bo otarki zabiją nam konie.

Pierwszy dyżur wypadł na dziennikarza.

Konie pochrupywały siano z niewielkiego, zeszłorocznego stogu.

Usadowił się koło progu chatki, kładąc broń na kolanach.

Szybko opadła zasłona mroku. Później jego oczy stopniowo przywykły do ciemności. Wzeszedł księżyc. Niebo było czyste, rozgwieżdżone. Gdzieś w górze, nawołując się, przeleciało stadko maleńkich ptaszków, które w odróżnieniu od dużych ptaków, bojąc się drapieżników, wykonują swoje jesienne przeloty nocą.

Betly wstał i obszedł stróżówkę. Polanę, na której stał domek, otaczał zawarty las, co było niebezpieczne. Dziennikarz sprawdził, czy kurki jego broni są odwiedzione.

Zaczął odtwarzać w pamięci wydarzenia ostatnich dni, rozmowy, twarze i pomyślał, jak będzie opowiadać — o otarkach po powrocie do redakcji. Potem przyszło mu na myśl, że w jego świadomości stałe tkwiła właśnie sprawa powrotu i krasiła w zupełnie szczególny sposób wszystko, z czym miał okazję się spotkać. Nawet gdy pędzili za otarkiem, który porwał dziewczynkę, on, Betly, nie zapomniał, że jakkolwiek byłoby tu strasznie, może zawrócić i odejść stąd.

„Ja to wrócę — powiedział do siebie. — A Meller? A inni?”

Temat ten był jednak zbyt przygnębiający, żeby się zdecydował przemyśleć go do końca.

Siadł w cieniu stróżówki i zaczął rozmyślać o otarkach. Przypomniał sobie tytuł artykułu w jakiejś gazecie: „Rozum bez dobroci”. Było to podobne do tego, co mówił leśniczy. Dla niego otarki nie są ludźmi, ponieważ nie mają „życzliwości”. Rozum bez dobroci. Czy jest to jednak możliwe? Czy rozum może w ogóle istnieć bez życzliwości? Co jest główne? Czyżby ta życzliwość nie była pochodną rozumu? Czy na odwrót?… Rzeczywiście, stwierdzono już, że otarki mają większe niż ludzie zdolności logicznego myślenia, że lepiej rozumieją abstrakcję i mają lepszą pamięć. Chodziły już słuchy, że kilka otarków z pierwszej partii pracuje w ministerstwie wojny nad rozwiązywaniem jakichś zadań specjalnych. Ale do rozwiązania wszelkich zadań specjalnych wykorzystuje się przecież także „maszyny myślące”. I jaka tu różnica?

Przypomniał sobie, jak jeden z farmerów opowiadał jemu i Hellenowi, że niedawno widział ot arka prawie całkowicie nieowłosionego, na co leśniczy odrzekł, że w ostatnim czasie otarki coraz bardziej upodabniają się do ludzi. Czyżby one miały zawojować świat? Czyżby rozum bez dobroci był silniejszy od rozumu ludzkiego?

„Nie będzie to jednak szybko — powiedział do siebie. — A nawet jeśli będzie. Ja zdążę w każdym razie przeżyć i umrzeć.”

Zaraz potem jednak poraziło go: dzieci! W jakim świecie będą żyć — w świecie otarków, czy w świecie cybernetycznych robotów, które również nie są humanitarne, i także, jak twierdzą niektórzy, są mądrzejsze od ludzi?

Niespodziewanie zjawił się przed nim jego syneczek i odezwał się:

„Tatusiu, posłuchaj. Przecież my — to my, tak? A oni — to oni? Ale oni myślą też o sobie — my.”

„Wy coś za wcześnie dojrzewacie — pomyślał Betly. — Mając siedem lat nie zadawałem takich pytań.”

Gdzieś z tyłu trzasnęła gałązka. Chłopczyk zniknął.

Dziennikarz z lękiem obejrzał się i przysłuchiwał. Nie, wszystko w porządku.

Trzepocząc w locie, ukośnie przeciął polanę nietoperz.

Betly wyprostował się. Przyszło mu na myśl, że leśniczy coś przed nim ukrywa. Na przykład, nie powiedział dotąd, co to był za jeździec, który pierwszego dnia wyprzedził ich na zaniedbanej drodze.

Ponownie oparł się plecami o ścianę domku. Jeszcze raz zjawił się przed nim syn i znów z pytaniem:

„Tatusiu, a skąd jest wszystko? Drzewa, domy, powietrze, ludzie? Skąd się to wszystko wzięło?”

Zaczął opowiadać chłopcu o ewolucji świata, potem coś ostro zakłuło go w serce i Betly ocknął się.

Księżyc zaszedł, ale niebo już się nieco rozjaśniło.

Na polanie nie było kani. Dokładniej, nie było jednego, a drugi leżał na trawie i nad nim kłębiły się trzy szare cienie. Jeden z nich wyprostował się i dziennikarz ujrzał ogromnego otarka z wielką, grubo

ciosaną głową, rozwartą paszczą i dużymi, błyszczącymi w półmroku oczami.

Potem w pobliżu rozległ się szept:

— On śpi.

— Nie, już się zbudził.

— Podejdź do niego.

— On wystrzeli.

— Strzeliłby wcześniej, gdyby mógł. Albo śpi, albo zamarł ze strachu. Podejdź do niego.

— Podejdź sam.

A dziennikarz rzeczywiście zamarł. Było to jak we śnie. Rozumiał, że wydarzyło się coś nieodwracalnego, stało się nieszczęście, ale nie mógł ruszyć ni ręką, ni nogą.

Szept trwał nadal:

— Ale ten drugi? On wystrzeli.

— On jest chory. Nie zbudzi się… No idź, słyszysz!

Betly z ogromnym trudem spojrzał w bok. Zza węgła stróżówki ukazał się otark. Ale ten był maleńki, podobny do świni.

Przezwyciężając odrętwienie, dziennikarz nacisnął spust broni. Jeden za drugim zagrzmiały dwa wystrzały, w niebo wabiły się loftki z dwóch nabojów.

Betly zerwał się, broń wypadła mu z rak. Rzucił się do stróżówki, drżąc zatrzasnął za sobą drzwi i zasunął zasuwę.

Leśniczy stał z przygotowaną bronią. Jego usta poruszyły się i dziennikarz raczej domyślił się, niż usłyszał pytanie:

— Konie?

Kiwnął głową.

Zza drzwi doszedł szmer. Otarki podpierały je czymś z zewnątrz.

Rozległ się głos:

— Hej, Meller! Hej!

Leśniczy rzucił się do okienka. Już wysuwał broń, gdy na tle rozjaśniającego się nieba mignęła czarna łapa; ledwie zdążył wciągnąć dwururkę.

Na zewnątrz z satysfakcja zasiniano się.

Gramofonowy, rozciągający dźwięki głos powiedział:

— Oto i skończyło się, Meller.

Zagłuszając go, odezwały się też inne głosy:

— Meller, Meller, porozmawiaj z nami…

— Hej, leśniczy, opowiedz coś treściwego. Jesteś przecież człowiekiem, powinieneś być mądry…

— Meller, wypowiedz się, a ja ciebie sprostuję….

— Porozmawiaj ze mną, Meller. Mów mi po imieniu. Jestem Fllipp…

Leśniczy milczał.

Dziennikarz niepewnym krokiem podszedł do okienka.

Głosy rozlegały się tuż obok, za bierwionową ścianą. Czuć było zapach zwierząt — krew, pomiot i jeszcze coś.

Otark, który nazwał się Filippem, odezwał się spod samego okienka:

— Jesteś dziennikarzem, tak? Ty, kto podszedł?…

Dziennikarz chrząknął. Miał sucho w gardle. Ten sam głos zapytał:

— Po co tu przyjechałeś?

Zapadła cisza.

— Przyjechałeś, żeby nas zniszczyli?

Przez chwilę znowu była cisza, a potem odezwały się wzburzone głosy:

— Oczywiście, oczywiście, oni chcą nas wytępić… Najpierw nas stworzyli, a teraz chcą zniszczyć…

Rozległ się ryk, a potem wrzawa. Dziennikarz odniósł wrażenie, że otarki się pobiły.

Zagłuszając wszystkich przemówił ten, który nazwał siebie Filippem:

— Halo, leśniczy, dlaczego nie strzelasz? Przecież zawsze strzelasz. Porozmawiaj teraz ze mną.

Nieoczekiwanie gdzieś z góry rozległ się nagle strzał.

Betly odwrócił się.

Leśniczy wdrapał się na palenisko, rozsunął żerdzie, z których zbudowany był dach kryty od góry słomą, i strzelał.

Wystrzelił dwukrotnie, błyskawicznie załadował broń i ponownie wystrzelił.

Otarki rozbiegły się.

Meller zeskoczył z paleniska.

— Trzeba teraz zdobyć konie, bo będzie z nami krucho.

Obejrzeli trzy zabite otarki.

Jeden, młody, był rzeczywiście prawie nagi, a sierść rosła mu tylko na karku.

Betly omal nie zwymiotował, gdy Meller odwrócił otarka na trawie. Wstrzymał się zakrywając usta.

Leśniczy powiedział:

— Pamięta pan, że to nie ludzie. Nawet jeżeli rozmawiają. One ludzi zjadają. Swoich także.

Dziennikarz obejrzał się. Już się rozjaśniło. Polana, las, zabite otarki — wszystko wydawało mu się przez moment nierealne.

Czy to możliwe?… Czy to on stoi tutaj, Donald Betly?…

— O, tutaj otark zjadł Kleina — powiedział Meller. — Opowiadał o tym jeden z naszych, z tutejszych. Przyjęli go tu do sprzątania, kiedy było laboratorium. Tego wieczora przypadkowo znalazł się w sąsiednim pokoju. I wszystko słyszał…

Dziennikarz i leśniczy znajdowali się teraz na wyspie, w głównym korpusie Centrum Naukowego. Rankiem zdjęli siodła z zabitych koni i groblą przedostali się na wyspę. — Pozostał im teraz tylko jeden karabin, ponieważ uciekając otarki zabrały z sobą dubeltówkę Betly ego. Plan Mellera sprowadzał się do tego, żeby w porze dziennej dotrzeć do najbliższej farmy, gdzie otrzymają konie. Dziennikarz wymógł jednak na nim pół godziny, przeznaczone na obejrzenie opuszczonego laboratorium.

— On wszystko słyszał — opowiadał leśniczy. — Było to wieczorem, około godziny dziesiątej. Klein miał jakieś urządzenie, które rozbierał męcząc się z przewodami elektrycznymi, a otark siedział na podłodze i rozmawiali. Dyskutowali o czymś z fizyki. Był to jeden z pierwszych wyhodowanych tu otarków i uważał się za najmądrzejszego. On mógł nawet mówić w obcych językach… Nasz chłopak zmywał. obok podłogę i słyszał ich rozmowę. Potem nastąpiła cisza i coś grzmotnęło. Nagle sprzątacz usłyszał słowa: „O Boże!…” To mówił Klein, a w jego głosie było takie przerażenie, że pod chłopakiem ugięły się nogi. Potem rozległ się przenikliwy krzyk: „Pomocy!” Sprzątacz zajrzał do tego pokoju i zobaczył, że Klein leży wijąc się na podłodze, a otark go ogryza. Ze strachu chłopak nie mógł zrobić nic i po prostu stał. Dopiero kiedy otark ruszył na niego, zatrzasnął — drzwi.

— A potem?

— Potem zabiły jeszcze dwóch laborantów i uciekły. A pięć albo sześć otarków zostało, jakby się nic nie zdarzyło. I kiedy ze stolicy przyjechała komisja, one rozmawiały z nią. Te wywieziono. Później jednak okazało się, że w pociągu zjadły — one jeszcze jednego człowieka.

W dużej sali laboratorium wszystko pozostało jak dawniej. Na długich stołach stały naczynia pokryte warstwą pyłu, wśród przewodów urządzenia rentgenowskiego zaplotły swoje sieci pająki. Tylko w oknach wybite były szyby i w otwory wdzierały się gałęzie rozrośniętej, zdziczałej akacji.

Meller i dziennikarz wyszli z głównego korpusu.

Betly bardzo chciał obejrzeć urządzenie do naświetlań i wyprosił u leśniczego jeszcze pięć minut.

Na głównej uliczce opuszczonej osady asfalt przerósł trawą i młodymi, ale już silnymi krzewami. Jak zwykle jesienią była doskonała widoczność. Pachniało zbutwiałymi liśćmi i mokrym drzewem.

Na placu Meller nagle się zatrzymał.

— Pan nic nie słyszał?

— Nie — odpowiedział Betly.

— Wciąż myślę, że w stróżówce zaczęły nas one osaczać wszystkie razem — powiedział leśniczy. — Przedtem to się nigdy nie zdarzyło. One zawsze działały w pojedynkę.

Zaczął się ponownie przysłuchiwać.

— Żeby tylko nie sprawiły nam niespodzianki. Lepiej jak najszybciej się stąd zabrać.

Doszli do niskiej, okrągłej budowli z wąskimi, zakratowanymi oknami. Masywne drzwi były uchylone, betonową podłogę i próg pokrywała cienka warstewka śmieci — rudych igiełek świerkowych, pyłu, skrzydełek owadów.

Ostrożnie weszli do pierwszego pomieszczenia z nawisłym pułapem. Jeszcze jedne masywne drzwi wiodły do niskiej sali.

Zajrzeli do niej. Wiewiórka z puszystym ogonem, jak płomyk, przemknęła po drewnianym stole i skoczyła oknem przez pręty kraty.

Przez chwilę leśniczy patrzył w ślad za nią. Przysłuchiwał się w napięciu, ściskając broń, po czym powiedział:

— Nie, to się nie uda.

I pospiesznie ruszył z powrotem.

Było jednak za późno.

Z zewnątrz dobiegł szmer i drzwi wejściowe, plasnąwszy, zamknęły się. Rozległ się hałas, jakby je przywalono czymś ciężkim.

Przez sekundę Meller i dziennikarz patrzyli na siebie, po czym rzucili się do okna.

Betley wyjrzał na zewnątrz i cofnął się.

Plac i rozległy, wyschnięty basen, nie wiadomo w jakim celu kiedyś tu zbudowany, zapełniały się otarkami. Było ich wiele dziesiątek, a dalsze wyrastały jakby spod ziemi. Nad tym tłumem ni to ludzi, ni to zwierząt rozlegał się już gwar, niosły się krzyki i porykiwanie.

Oszołomieni, leśniczy i Betly milczeli.

Znajdujący się w pobliżu nich młody otark stanął na tylnych łapach. W przednich trzymał coś okrągłego.

— Kamień — wyszeptał dziennikarz, wciąż jeszcze nie wierząc w to, co się stało. — On chce rzucić kamieniem…

Nie był to jednak kamień.

Okrągły przedmiot został rzucony, koło kraty oślepiająco błysnęło i wokół wionęło gorzko pachnącym dymem.

Leśniczy zrobił krok do tyłu. Na jego twarzy malowało się niedowierzanie. Broń wypadła mu z rąk i chwycił się za pierś.

— Och, ty czarcie! — powiedział i podniósł rękę, patrząc na zakrwawione palce. — Och, ty diable! Oni mnie wykończyli.

Blednąc, wykonał dwa niepewne kroki, przykucnął, a potem siadł pod ścianą.

— Oni mnie wykończyli.

— Nie! — krzyknął Betly. — Nie! — Dygotał, jak w gorączce.

Zacisnąwszy usta, Meller podniósł ku niemu pobladłą twarz.

— Drzwi!

Dziennikarz pobiegł do wyjścia. Tutaj ponownie przesuwano na zewnątrz coś ciężkiego.

Betly zasunął jedną zasuwę, a potem drugą. Na szczęście wszystko tu było tak urządzone, że od

środka drzwi miały mocne zamknięcie.

Wrócił do leśniczego.

Meller leżał już pod ścianą, przyciskając dłonie do piersi. Na jego koszuli zwiększała się mokra plama. Nie pozwolił się opatrzyć.

— Wszystko jedno — powiedział. — Przecież czuję, że to koniec. Nie chcę się męczyć. Proszę nie ruszać.

— Przecież przyjdą nam na pomoc! — zawołał Betly.

— Kto?

Pytanie zabrzmiało tak przykro, tak otwarcie i beznadziejnie, że dziennikarza zmroziło.

Milczeli przez jakiś czas, a potem leśniczy zapytał:

— Przypomina pan sobie, że pierwszego dnia widzieliśmy jeźdźca?

— Tak.

— Najprawdopodobniej to on spieszył uprzedzić otarki, że pan przyjechał. Mają tu oni związki: bandyci z miasta i otarki. Dlatego otarki połączyły się. Proszę się temu nie dziwić. Ja wiem, że nawet gdyby z Marsa przyleciały do nas jakieś ośmionogi, i wówczas znaleźliby się ludzie, którzy zaczęliby zawierać porozumienia.

— Tak — wyszeptał dziennikarz.

Do wieczora w ich sytuacji nic się nie zmieniło. Meller szybko opadał z sił. Krwotok skończył się, ale mimo to nie pozwolił się dotknąć. Dziennikarz siedział obok niego na kamiennej posadzce.

Otarki nie zaczepiały ich. Nie próbowały ani włamać się przez drzwi, ani rzucić ponownie granatem. Gwar za oknami to cichnął, to wzmagał się.

Po zachodzie słońca, kiedy ochłodziło się, leśniczy poprosił o picie. Dziennikarz napoił go z manierki i przetarł mu twarz wodą. Leśniczy powiedział:

— Może to i dobrze, że zjawiły się otarki. Teraz wyjaśni się, co to jest Człowiek. Teraz będziemy wiedzieli, że człowiek to nie istota, która może rachować i nauczyć się geometrii, ale coś innego. Uczeni już bardzo zhardzieli od swojej nauki. A ona to jeszcze nie wszystko.

* * *

Meller umarł w nocy, a dziennikarz żył jeszcze trzy dni. Pierwszego dnia — myślał tylko o uratowaniu się, przechodził od rozpaczy do nadziei, kilka razy strzelał przez okna — licząc, że ktoś usłyszy wystrzały i przyjdzie mu na pomoc.

Pod wieczór zrozumiał, że nadzieje te są iluzoryczne. Jego życie wydało mu się podzielone na dwie, zupełnie z sobą nie związane części. Najbardziej dręczyło go to, że nie było między nimi żadnych związków logicznych i przyczynowych. Jedno było szczęśliwym, mądrym życiem wybijającego się dziennikarza i kończyło się Ono, gdy wraz z Mellerem wyjechał z miasta ku pokrytym lasami Górom Centralnym. To pierwsze życie w ogóle nie zapowiadało, że przyjdzie mu tutaj zginąć na wyspie, w budynku zaniedbanego laboratorium.

W drugim życiu wszystko mogło się zdarzyć lub nie. Składało się ono wyłącznie — z przypadków, a w ogóle mogło go nie być. Mógł tu nie przyjeżdżać, wymawiając się od tego zadania redakcyjnego i wybierając inne. Zamiast zajmować się otarkami, mógł polecieć do Nubii, gdzie wykonywano prace nad ratowaniem zabytkowych pamiątek sztuki egipskiej.

Dziwaczny przypadek przywiódł go tutaj. I to było najstraszniejsze. Kilkakrotnie nieomal przestawał wierzyć w to, co mu się przytrafiło, zaczynał chodzić po sali, dotykać oświetlonych słońcem ścian i pokrytych pyłem stołów.

Nie wiadomo dlaczego, otarki zupełnie przestały nim się interesować. Na placu i w zbiorniku

pozostało ich niewiele. Od czasu do czasu wszczynały między sobą bójki, a raz Betly z zamierającym sercem ujrzał, jak rzuciły się na jednego spośród siebie, rozerwały go i zaczęły zjadać.

Nocą nagle stwierdził, że jego śmierci winien będzie Meller. Poczuł odrazą do martwego leśniczego i przeciągnął jego ciało dc pierwszego pomieszczenia, ku samym drzwiom.

Przez godzinę lub dwie siedział na posadzce, powtarzając bez nadziei:

— Boże, ale dlaczego ja?… Dlaczego właśnie ja?…

Na drugi dzień skończyła mu się woda i zaczęło go męczyć pragnienie. Wtedy już ostatecznie zrozumiał, że nie może się uratować, uspokoił się i ponownie zaczął rozmyślać nad swoim życiem, ale już inaczej. Przypomniał sobie, jak jeszcze na samym początku tej wyprawy miał spór z leśniczym. Meller powiedział, że farmerzy nie będą chcieli z nim rozmawiać. „Dlaczego?” — zapytał Betly. „Dlatego, że pan jest z góry. Z tych, którzy ich sprzedali.” — „Niby dlaczego jestem z góry? — nie zgodził się Betly. — Zarabiam niewiele więcej niż oni.” — „I co z tego? — zaoponował leśniczy. — Ma pan lekką, świąteczną pracę. Przez te wszystkie lata oni tu ginęli, a pan pisał swoje reportażyki, chodził po restauracjach, wiódł dowcipne rozmowy…”

Zrozumiał, że wszystko to była prawda. Optymizm, którym się tak chlubił, był ostatecznie optymizmem strusia. Po prostu chował głowę przed złem. Czytał w gazetach o egzekucjach w Paragwaju i o głodzie w Indiach, a myślał o tym, jak zdobyć pieniądze i wymienić meble w swoim dużym, pięciopokojowym mieszkaniu, w jaki sposób jeszcze bardziej podnieść dobre mniemanie o sobie u tej lub innej wpływowej osoby. Otarki — otarki-ludzie — strzelały do protestujących tłumów, spekulowały zbożem, potajemnie przygotowywały wojny, a on odwracał się i udawał, że tego nie ma.

W tym kontekście jego całe minione życie jawiło mu się nagle jako silnie związane z tym, co się stało teraz. Nigdy nie występował przeciw złu i teraz nadszedł odwet…

Drugiego dnia otarki kilkakrotnie zagadywały go spod okna. Nie odpowiadał. Jeden z otarków powiedział:

— Hej, dziennikarzu, wychodź. Nic ci nie zrobimy.

A jednocześnie drugi roześmiał się.

Betly wrócił do rozmyślań o leśniczym. Teraz jednak myśli te były już inne. Przyszło mu do głowy, że leśniczy był bohaterem. Szczerze mówiąc, jedynym prawdziwym bohaterem, którego on, Betly, spotkał. W pojedynkę, bez żadnej pomocy wystąpił on przeciw otarkom, walczył z nimi i umarł niepokonany.

Trzeciego dnia dziennikarz zaczął majaczyć. Zdawało mu się, że wrócił do redakcji swojej gazety i dyktuje stenografce artykuł.

Artykuł nosił tytuł „Czym jest człowiek?”

Głośno dyktował:

— W naszym wieku zadziwiającego rozwoju nauki może się wydawać, że w istocie jest ona wszechmocna. Spróbujmy jednak wyobrazić sobie, że stworzono sztuczny mózg, dwukrotnie przewyższający ludzki, i — zdolny do pracy. Czy istota obdarzona takim — mózgiem będzie miała pełne prawo uważać się za Człowieka? Co właściwie czyni nas tym, czym jesteśmy? Umiejętność liczenia, analizowania, opracowywania wykładni logicznych, czy coś, co wpoiło nam społeczeństwo i ma związek ze stosunkiem jednego człowieka do drugiego, ze stosunkiem jednostki do kolektywu? Na przykładzie otarków…

Mąciło mu się jednak w głowie.

Rankiem trzeciego dnia rozległ się wybuch. Betly obudził się. Wydawało mu się, że się zerwał i trzyma broń w pogotowiu. W rzeczywistości jednak leżał bezsilny pod ścianą.

Nad nim pojawiła się morda zwierzęcia. Z trudem wytężając pamięć skojarzył sobie, do kogo podobny był Fiedler. Do otarka!

Myśli te jednak szybko zmąciły się. Nie czując już, jak go rozszarpują, w ułamku sekundy Betly

zdążył pomyśleć, że właściwie otarki nie są takie straszne, że w tej zaniedbanej krainie jest ich zaledwie setka lub dwie. Że poradzą sobie iż nimi. Ale ludzie!… Ludzie!…

Nie wiedział, że wieść o zaginięciu Mellera rozniosła się już po całej okolicy i doprowadzeni do rozpaczy farmerzy wykopują ukrytą bron.

Przetłumaczył Ryszard Ciszewski

Arkadij i Borys Strugaccy
Piknik na skraju drogi
(fragment powieści)

— A więc co zdaniem pana należy uznać za najważniejsze odkrycie ostatnich trzynastu lat?

— Sam fakt Lądowania.

— Przepraszam?

— Sam fakt Lądowania stanowi najważniejsze odkrycie nie tylko na przestrzeni ostatnich trzynastu lat, ale w całej historii ludzkości. Nie jest takie ważne, kim oni byli, skąd i po co przybyli, dlaczego tak krótko gościli u nas i co się z nimi stało później. Najważniejsze, że teraz ludzkość z całą pewnością wie, że nie jest samotna we Wszechświecie.

1. Red Shoehart, lat 23, kawaler, laborant Międzynarodowego Instytutu Cywilizacji Pozaziemskich, Filia w Harmont

Poprzedniego dnia wieczorem stoimy sobie z nim w przechowalni. Wystarczy zrzucić kombinezony i można iść w miasto, zajrzeć do „Barge" i wypić coś stosownego dla wzmocnienia duszy i ciała. Ja stoję ot, tak sobie, podpieram ścianę, swoje zrobiłem i już trzymam w pogotowiu papierosa, palić mi się chce wściekle — od dwóch godzin nie miałem papierosa w ustach. A on jakoś nie może rozstać się ze swoimi skarbami. Załadował jeden sejf, zamknął, opieczętował, teraz załadowuje drugi: zdejmuje z transportera „pustaki", ogląda każdy ze wszystkich stron (a ciężkie są ścierwa jak wielkie nieszczęście, każdy waży sześć i pół kilo) i starannie ustawia na półkach.

Okropnie długo już wojuje z tymi „pustakami" i moim skromnym zdaniem bez żadnego pożytku dla ludzkości. Na jego miejscu ja bym już dawno olał sprawę i za te same pieniądze zająłbym się czymś innym. Chociaż z drugiej strony, jeśli się zastanowić, taki „pustak" rzeczywiście jest niezmiernie zagadkowy, i można powiedzieć — szemrany. Ile to ja się ich nadźwigałem, a wszystko jedno, za każdym razem jak je zobaczę, od nowa nie mogę się nadziwić. Dwie miedziane okrągłe płytki wielkości spodeczka, grube na pięć milimetrów, odległość między płytkami czterysta milimetrów, i oprócz tej odległości niczego między płytkami nie ma. Można tam wsadzić rękę, można i głowę, jeżeli kompletnie zgłupiałeś ze zdziwienia — pustka, pustka, powietrze. Pomimo to coś miedzy nimi oczywiście być musi, siła jakaś, tak ja to rozumiem, ponieważ ani ścisnąć tych płytek, ani rozerwać nikomu się jeszcze nie udało.

No chłopaki, trudno opisać coś podobnego komuś, kto tego nie widział. Jakoś to zbyt proste, szczególnie jeśli się dobrze przyjrzeć i uwierzyć wreszcie własnym oczom. To zupełnie tak samo, jakby komuś opisywać szklankę, albo nie daj Boże kieliszek — tylko palcami wodzisz i klniesz w poczuciu absolutnej bezsilności. Dobra, zakładamy, żeście wszystko zrozumieli, a jeżeli ktoś nie zrozumiał, niech weźmie „Biuletyn" naszego instytutu — w każdym numerze znajdzie artykuły o „pustakach" z fotografiami…

Jednym słowem Kirył już prawie od roku wojuje z tymi „pustakami". Jestem u niego od samego początku i skarz mnie Bóg, jeżeli rozumiem, czego on się po nich spodziewa, zresztą, jeśli mam być szczery, nadmiernie nie wysilam swego umysłu. Niech najpierw on sam zrozumie, niech sam rozwiąże tę łamigłówkę, a wtedy, być może, posłucham, co będzie miał do powiedzenia. Na razie natomiast jasne jest dla mnie jedno — Kirył musi za wszelką cenę chociaż jednego „pustaka" wypatroszyć, nadgryźć kwasami, zgnieść pod prasą, stopić w piecu. I wtedy wszystko stanie się dla niego jasne, zdobędzie sławę i chwałę, a cała światowa nauka zapłacze z zachwytu rzewnymi łzami. Ale chwilowo, o ile się orientuję, do tego bardzo jeszcze daleko. Niczego do tej pory nie osiągnął, uszarpał się tylko nieprzytomnie, pozieleniał nawet, zrobił się milczący, wygląda jak chory pies i chyba oczy mu łzawią.

Gdyby to był ktoś inny, zaprowadziłbym go na wódkę, a potem na dziwki, żeby go rozruszały, a rano znowu na wódkę i znowu na dziwki, tylko inne, i po tygodniu czułby się jak świeżo narodzony — uszy do góry, gęba od ucha do ucha. Tylko, że nie dla Kiryła takie lekarstwo — nawet proponować nie warto.

A więc stoimy, znaczy się, w przechowalni, patrzę na Kiryła, widzę, co się z nim dzieje, jakie ma zapadnięte oczy, i tak mi się go żal robi, że nie macie pojęcia. I właśnie wtedy zdecydowałem. To znaczy nie tyle nawet zdecydowałem, tylko jakby mnie ktoś pociągnął za język.

— Słuchaj — mówię — Kirył…

A Kirył właśnie stoi i trzyma w ręku ostatniego „pustaka" i wpatruje się w niego jakby chciał wleźć do środka.

— Słuchaj — mówię — Kirył. A gdybyś miał pełnego „pustaka", to co?

— Pełny „pustak"? — powtarza i marszczy brwi, jakbym z nim nagle zaczął rozmawiać po chińsku.

— No tak — mówię. — Ta twoja hydromagnetyczna pułapka, jak jej tam… obiekt 77-b. Tylko z jakimś niebieskawym paskudztwem w środku.

Widzę, że zaczyna do niego docierać. Podniósł na mnie oczy, przymrużył powieki i widzę, że gdzieś tam, za psimi łzami pojawia się jakiś przebłysk rozumu, jak on sam uwielbia się wyrażać.

— Poczekaj — mówi. — Jak to pełny? Taki sam jak ten, tylko pełny?

— Aha.

— Gdzie?

Nareszcie. Dotarło. Nadstawił uszu. gęba od ucha do ucha.

— Chodź — mówię — zapalimy.

Kirył żywo wepchnął „pustaka" do sejfu, zatrzasnął drzwiczki, przekręcił klucz trzy i pół raza i poszliśmy z powrotem do laboratorium. Za zwyczajnego „pustaka" Ernest daje czterysta na rękę, a za pełnego — ja bym z niego, sukinsyna, siedem skór zdarł, ale możecie mi wierzyć albo nie, wtedy nawet o tym nie pomyślałem, bo mój Kirył, jakby mu kto w kieszeń napluł biegnie po dwa schodki na górę, nawet zapalić człowiekowi nie da. Jednym słowem, wszystko mu opowiedziałem — Jak wygląda, gdzie leży i jak się do niego najłatwiej dostać. Kirył od razu wyciągnął plan, znalazł ten garaż, zaznaczył go palcem, spojrzał na mnie i, rzecz jasna, od razu wszystko zrozumiał, zresztą niewiele tu było do rozumienia!

— Ach, ty! — mówi i uśmiecha się. — Ho cóż, trzeba iść, najlepiej od razu jutro rano. O dziewiątej zamówię przepustki i „kalosz", a o dziesiątej zmówimy paciorek i pójdziemy. Co ty na to?

— Można — odpowiadam. — A kto na trzeciego?

— A po co trzeci?

— E, nie — mówię — to nie piknik z dziewczynami. A jeśli coś ci się stanie? To jest Strefa — mówię — porządek musi być.

Kirył lekko się uśmiechnął, wzruszył ramionami.

— Jak sobie chcesz! Ty się lepiej na tym znasz. Pewnie że lepiej! Kirył, rzecz jasna, przejawiał troskę o człowieka, to znaczy pomyślał o mnie — obejdziemy się bez trzeciego, pojedziemy we dwójkę, cisza, spokój, i ja będę czysty jak kryształ. Tylko że dobrze wiem — ludzie z instytutu we dwójkę do Strefy nie chodzą. U nich jest taki obyczaj: dwaj robią, co do nich należy, trzeci zaś się przygląda, a kiedy go potem zapytają — opowie.

— Gdyby to ode mnie zależało, wziąłbym Austina — mówi Kirył. — Ale ty się pewnie nie zgodzisz. A może jednak?

— Nie — mówię. — Tylko nie Austina. Austina weźmiesz innym razem.

Austin to niezły chłopak, strach i odwaga są w nim wymieszane w odpowiednich proporcjach, ale moim zdaniem jest już trefny. Kiryłowi tego nie wytłumaczysz, ale ja takie rzeczy widzę — wyobraził sobie, że Strefę zna i że już wszystko jest w niej dla niego jasne — a to znaczy, że niedługo będziemy mieli znajomy pogrzeb. No i na zdrowie. Tylko że ja nie reflektuję. — No dobrze — mówi Kirył — A Tender? Tender to jego drugi laborant. Niczego sobie chłop. Spokojny.

— Trochę za stary — mówię. — A poza tym ma dzieci…

— To nic. On już chodził do Strefy.

— Dobrze — mówię. — niech będzie Tender… Jednym słowem zostawiłem Kiryła siedzącego nad planem, a sam poszedłem prościutko do „Barge", bo żreć mi się chciało nieprzytomnie, a i w gardle mi zaschło.

Dobra. Przychodzę następnego dnia jak zwykle o dziewiątej, pokazuję przepustkę, a na portierni dyżuruje ten sam tyczkowaty sierżant, którego w zeszłym roku nieźle obsłużyłem, kiedy po pijaku zaczął się dowalać do Guty.

— Cześć — mówi do mnie. — Ciebie — mówi — Rudy, szukają po całym instytucie… W tym momencie przerywam mu grzecznie.

— Dla ciebie nie jestem żaden Rudy — mówię. — I nie staraj się mi podlizać, szwedzka kłonico.

— Na miłość boską. Rudy! — mówi sierżant zdumiony. — Przecież wszyscy tak cię nazywają.

Przed Strefą zawsze jestem roztrzęsiony i jeszcze trzeźwy na dodatek — złapałem go za pas i ze wszystkimi szczegółami opowiedziałem mu, kim jest i dlaczego matka go zrodziła. On splunął, zwrócił mi przepustkę i już bez tych wszystkich czułości mówi:

— Obywatel Red Shoehart ma niezwłocznie stawić się u kapitana Herzoga. Pełnomocnika do Spraw Bezpieczeństwa.

— O właśnie — mówię — to co innego. Ucz się, sierżancie, a zostaniesz lejtnantem.

A sam myślę: co to znowu? Czego też może chcieć ode mnie kapitan Herzog w godzinach pracy? Dobra, idę się stawić. Kapitan ma gabinet na trzecim piętrze, luksusowy gabinet, i kraty w oknach jak na policji. Sam Willy siedzi za swoim biurkiem, pyka fajkę i uprawia biurokrację za pomocą maszyny do pisania, a w kącie grzebie w stalowym sejfie jakiś sierżancina, nowy chyba, nie znam go. W naszym instytucie tych sierżantów jest więcej niż w przeciętnej dywizji i wszyscy tacy dorodni, krew z mlekiem — do Strefy nie muszą chodzić, a na wszelkie zmartwienia naszego świata plują z trzeciego piętra.

— Dzień dobry — mówię. — Pan mnie wzywał? Willy patrzy na mnie jak na ropuchę, odsuwa maszynę, kładzie przed sobą grubą tekturową teczkę i zaczyna przeglądać papiery.

— Red Shoehart? — pyta.

— We własnej osobie — odpowiadam, a śmiać mi się chce, że ledwie mogę wytrzymać. Taki nerwowy chichot mną trzęsie.

— Od jak dawna pracujecie w instytucie?

— Dwa lata, trzeci rok właściwie.

— Stan cywilny?

— Samotny — odpowiadam. — Sierota. Na to kapitan odwraca się do swojego sierżanta i rozkazuje mu surowym głosem:

— Sierżancie Lummer, proszę iść do archiwum i przynieść akta sprawy numer sto pięćdziesiąt.

Sierżant zasalutował i zniknął, a Willy zamknął teczkę i tak posępnie pyta:

— Znowu to samo?

— Co znowu?

— Sam dobrze wiesz. Mowę materiały przyszły w twojej sprawie. Tak, myślę.

— A skąd te materiały?

Willy zasępił się i ze złością zaczął tłuc swoją fajką o popielniczkę.

— To nie twoja rzecz — mówi. — Ostrzegam cię, bo znamy się nie od dzisiaj — rzuć to wszystko i to raz na zawsze. Jak cię drugi raz złapią, sześcioma miesiącami się nie wymigasz. A z Instytutu wylecisz natychmiast i to na wieki wieków, rozumiesz?

— Rozumiem — mówię — to akurat rozumiem dobrze, nie rozumiem tylko, co za ścierwo na mnie doniosło…

Ale kapitan znowu patrzy na mnie ołowianym spojrzeniem, pogwizduje pustą fajką i grzebie w

swoich papierach. To znaczy, że wrócił sierżant Lummer z aktami sprawy numer sto pięćdziesiąt.

— Dziękuję, Shoehart — mówi kapitan Willy Herzog o przezwisku Tucznik. — To wszystko, co chciałem usłyszeć.

No a ja poszedłem do szatni, przebrałem się w kombinezon, zapaliłem, przez cały czas myślę — skąd ten swąd? Jeżeli z instytutu, to przecież lipa, nikt tu o mnie nic nie wie i wiedzieć nie może. A jeżeli przyszedł papier z policji… to o czym oni mogą tam wiedzieć, prócz moich r starych spraw? A może Scierwnik wpadł? To bydlę, żeby samemu się wykręcić, rodzoną matkę sprzeda. Ale przecież i Scierwnik nic o mnie teraz nie wie. Myślałem, myślałem, nic mądrego nie wymyśliłem i postanowiłem nie zawracać sobie głowy! Ostatni raz byłem w Strefie nocą trzy miesiące temu, prawie cały towar już opyliłem i prawie wszystkie pieniądze wydałem, teraz mogą mnie łapać do sądnego dnia. Ale kiedy już szedłem po schodach na górę, nagle spłynęło na mnie olśnienie, i to takie, że wróciłem do szatni, usiadłem i znowu zapaliłem. Wychodziło na to, że do Strefy dzisiaj iść nie mogę, i to pod żadnym pozorem. Ani jutro nie mogę, ani pojutrze. Wychodziło na to, że gliny znowu mnie mają na oku, że nie zapomnieli o mnie, a jeżeli nawet zapomnieli, to ktoś im właśnie przypomniał. Obecnie to już zresztą nieważne, kto mianowicie. Każdy stalker, jeżeli tylko nie upadł na głowę, wie, że go śledzą. Teraz muszę siedzieć cicho w najciemniejszym kącie, jaki uda mi się znaleźć. Jaka znowu Strefa? Ja tam nawet z przepustką od ilu już miesięcy nie byłem! Czego się czepiacie uczciwego laboranta?

Obmyśliłem to wszystko i nawet jakby pewną ulgę uczułem, że nie muszę dzisiaj iść do Strefy. Tylko jakby o tym możliwie delikatnie zawiadomić Kiryła? Powiedziałem mu wprost:

— Do Strefy nie idę. Jakie będą dalsze polecenia?

Na te słowa Kirył oczywiście wybałuszył na mnie oczy. Potem widocznie dotarło do niego, bo wziął mnie za łokieć, zaprowadził do swojego gabineciku, posadził przy swoim biurku, a sam usiadł obok na parapecie. Zapaliliśmy. Milczymy, następnie Kirył pyta mnie ostrożnie:

— Czy coś się stało. Red? No i co ja mam powiedzieć.

— Nie — mówię — nic się nie stało. A wiesz, przerżnąłem wczoraj w pokera dwadzieścia zielonych — ten Nunnun gra jak stary…

— Poczekaj — mówi Kirył. — Ty co, rozmyśliłeś się?

Aż stęknąłem z wysiłku.

— Nie mogę — mówię do niego, a sam aż zęby zaciskam. — Nie mogę, rozumiesz? Przed chwilą wezwał mnie do siebie Herzog.

Kirył oklapł. Znowu wyglądał jak półtora nieszczęścia, i znowu miał oczy chorego pudla. Westchnął tak jakoś spazmatycznie, zapalił nowego papierosa od starego niedopałka i mówi cicho:

— Możesz mi wierzyć. Red, że ja nikomu słowa nie powiedziałem.

— Daj spokój — mówię. — To nie o ciebie chodzi.

— Ja nawet Tenderowi jeszcze nie powiedziałem. Wypisałem mu przepustkę i nawet nie zapytałem go, czy pójdzie z nami, czy nie…

Ja milczę, siedzę i palę. I śmiać mi się chce i płakać, nic biedak nie rozumie.

— A czego chciał od ciebie Herzog?

— Nic specjalnego — mówię. — Ktoś na mnie doniósł i to wszystko.

Popatrzył na mnie jakoś dziwnie, zeskoczył z parapetu i zaczął chodzić po swoim gabineciku tam i z powrotem. Kirył biega po gabinecie, a ja siedzę, dmucham dymem i milczę, głupio mi, że tak idiotycznie to wszystko wyszło — ślicznie go wyleczyłem z melancholii, szkoda gadać. A czyja to wina? Wyłącznie moja. Pokazałem dziecku czekoladkę, a czekoladka jest schowana w zaczarowanej skrzyni, a skrzyni pilnuje zły czarodziej… W tym momencie Kirył przestaje biegać, staje obok mnie, patrzy gdzieś w bok, widać, że mu głupio, i pyta:

— Słuchaj, Red, a ile może kosztować taki pełny „pustak”?

Z początku nie zrozumiałem, z początku pomyślałem, że on liczy na kupienie gdzieś takiego

„pustaka", tylko że gdzie tam coś podobnego kupisz, być może jeden jedyny na całym świecie stoi w tamtym garażu, zresztą tak czy tak, pieniędzy by mu nie starczyło, skąd u niego pieniądze — zagraniczny specjalista i to jeszcze z Rosji. A potem raptem jakby we mnie piorun strzelił — to znaczy że on, drań, myśli, że ja dla forsy?! Ach ty, myślę, sukinsynu, za kogo ty mnie bierzesz?! Już nawet usta otworzyłem, żeby mu to wszystko powiedzieć. I zająknąłem się. Bo co innego, mówiąc otwarcie, miał o mnie myśleć? Stalker to stalker, nie ma co robić błękitnych oczu, pokażcie mu tylko forsę, za forsę stalker własnym życiem zahandluje. Tak to właśnie teraz wygląda, że wczoraj zarzuciłem przynętę, a dzisiaj zabieram mu ją sprzed nosa, cenę podbijam. Aż mi język stanął kołkiem od tych myśli, a Kirył patrzy na mnie badawczo, oczu ze mnie nie spuszcza i widzę w tych oczach nawet nie pogardę, a jakby nawet jakieś zrozumienie. I wtedy spokojnie mu wszystko wytłumaczyłem.

— Do garażu — mówię — jeszcze nikt z przepustką nie chodził. Droga do niego nie jest jeszcze oznakowana, wiesz o tym. Teraz pomyśl, wracamy stamtąd i twój Tender zaczyna wszystkim opowiadać, jak to zasunęliśmy prosto do garażu, zabraliśmy co trzeba i z powrotem do domu. Jakbyśmy skoczyli do sklepu naprzeciwko. I dla każdego będzie jasne — mówię — że z góry wiedzieliśmy, dokąd i po co idziemy. A to znaczy, że ktoś nam dał cynk. A już kto z nas trzech — komentarze chyba zbyteczne. Rozumiesz, czym to dla mnie pachnie?

Skończyłem swoje przemówienie, spojrzeliśmy sobie głęboko w oczy i milczymy. Potem nagle Kirył klasnął w ręce, zatarł dłonie i niby raźno oznajmia:

— No cóż, jak nie to nie. Rozumiem cię. Red, i nie potępiam. Pójdę sam. A nuż wszystko dobrze się skończy… nie pierwszy raz.

Rozłożył plan na parapecie oparł się o niego łokciami, przygarbił, i cała jego dziarskość z miejsca wyparowała. Słyszę, jak mruczy do siebie:

— Sto dwadzieścia metrów… nawet sto dwadzieścia dwa… i jeszcze w samym garażu… Nie, nie wezmę Tendera. Jak myślisz. Red może nie warto brać Tendera? Jak by nie było, ma dwoje dzieci…

— Samego cię nie puszczą — mówię.

— Wpuszczą — mruczy — znam wszystkich sierżantów… i lejtnantów też znam… nie podobają mi się te ciężarówki! Trzynaście lat pod gołym niebem i ciągle jak nowe… Dwadzieścia kroków dalej cysterna — zardzewiała, dziurawa jak sito, a one jakby prosto z fabryki… Och, ta Strefa!

Uniósł głowę znad planu i zapatrzył się w okno. I ja też spojrzałem w okno. Szyby w naszych oknach są grube, solidne, a za szybą Strefa — matula, oto ona, dwa kroki stąd, z dwunastego piętra widać ją jak na dłoni…

Tak popatrzeć na nią — niby ziemia jak ziemia. Słońce ją ogrzewa tak, jak ogrzewa całą resztę ziemi i niby nic się nie zmieniło, niby wszystko wygląda tak samo, jak trzynaście lat temu. Gdyby nieboszczyk tatuś popatrzył, to by nic specjalnego nie zauważył, może tylko by zapytał, dlaczego fabryka nie dymi. strajkują czy co? Stożkowate hałdy żółtej ziemi, nagrzewnice połyskują w słońcu, szyny, szyny, szyny, na szynach lokomotywa, za nią wagoniki, platformy… Przemysłowy krajobraz, jednym słowem. Tylko ludzi nie ma. Ani żywych, ani martwych. A oto i garaż widać — długa szara gąsienica, brama na oścież, na parkingu stoją ciężarówki. Trzynaście lat stoją i nic się z nimi nie dzieje. To Kirył bystrze zauważył — główka pracuje. Nie daj Boże między dwa samochody się pchać, samochody trzeba z daleka obchodzić… tam jest jedna taka szczelinka w asfalcie, jeśli oczywiście od tamtego czasu cierniem nie zarosła… Sto dwadzieścia metrów — odkąd on liczy? A, chyba od ostatniego znaku. Słusznie, stamtąd więcej nie będzie. Brawo okularnicy, nie na darmo chleb jedzą… Patrzcie, oznakowali drogę do samego wysypiska, i to jak chytrze! O, tu jest rozpadlina, w której Zgnilec znalazł wieczny spoczynek, wszystkiego dwa metry od ich drogi… A przecież ostrzegał wtedy Kosmaty Zgnilca — trzymaj się, idioto, z daleka od dołów, bo nie będzie czego do trumny włożyć… I miał świętą rację, nawet żadna trumna nie była potrzebna… Kiedy idziesz do Strefy, to sobie zakonotuj: z towarem wróciłeś — cud boski, z życiem uszedłeś — daj na mszę, kula patrolu — fart, a cała reszta — jak los zdarzy.

Spojrzałem na Kiryła i widzę, że mnie spod oka obserwuje. I twarz ma taką, że w tym momencie wszystkie moje mocne postanowienia diabli wzięli. A niech ich wszystkich, myślę, szlag trafi, co właściwie mogą mi zrobić? Kirył już w ogóle mógł nic nie mówić, ale powiedział.

— Shoehart — mówi. — Z oficjalnych, podkreślam, z oficjalnych źródeł otrzymałem informację, że zbadanie garażu może przynieść nauce ogromną korzyść. W związku z tym powstał projekt wyprawy do garażu. Premię gwarantuję. — I uśmiecha się, jakby wygrał sto tysięcy.

— A z jakich to oficjalnych źródeł pochodzi ta informacja? — pytam i też uśmiecham się jak idiota.

— Z poufnych źródeł — odpowiada. — Ale panu mogę powiedzieć… — przestał się uśmiechać i zasępił się. — Powiedzmy od doktora Douglasa.

— Aha — mówię — od doktora Douglasa… A od którego to Douglasa?

— Od Sama Douglasa — odpowiada sucho. — Od tego, który zginął w ubiegłym roku.

Aż mnie dreszcz przeszedł. A żeby cię! Kto przed wyjściem mówi o takich rzeczach? Możesz tym okularnikom kołki na głowie ciosać — nic do nich nie dociera… Złamałem niedopałek w popielniczce i mówię:

— Dobra. Gdzie twój Tender? Długo jeszcze będziemy na niego czekać?

Jednym słowem na ten temat więcej nie rozmawialiśmy. Kirył zadzwonił na bazę transportową, zamówił „latający kalosz", a ja wziąłem plan, żeby zobaczyć, co oni tam narysowali. Zupełnie nieźle narysowali, w normie. Na podstawie fotografii z lotu ptaka, w dużym powiększeniu. Widać nawet bieżnik na oponie, która leży pod bramą garażu. Ech, ile by każdy stalker dał za taki plan… a zresztą, na jaką cholerę zda się plan po nocy, kiedy pokazujesz gwiazdom zadek i własnych rąk nie możesz zobaczyć.

A tymczasem objawił się i Tender. Czerwony, zadyszany. Córka mu zachorowała, musiał lecieć po lekarza, no a my uraczyliśmy go radosną wiadomością — idziemy do Strefy. Z początku nawet o sapaniu zapomniał, biedactwo. „Jak to do Strefy? — mówi — Dlaczego właśnie ja?" Jednakże kiedy usłyszał o podwójnej premii i o tym, że Red Shoehart również idzie, oprzytomniał i znowu zaczął sapać.

Jednym słowem zeszliśmy we trójkę do „buduaru". Kirył poleciał po przepustki, pokazaliśmy je jeszcze jednemu sierżantowi, a ten sierżant wydał nam skafandry. Trzeba przyznać, że to wyjątkowo pożyteczny wynalazek. Gdyby go tak jeszcze przefarbować z czerwonego na jakiś inny bardziej odpowiedni kolor.

Każdy stalker wyłoży za taki skafander pięćset zielonych bez zmrużenia oka. Już dawno przysiągłem sobie, że stanę na uszach i gwizdnę chociażby jeden. Ma pierwszy rzut oka niby nic specjalnego, skafander jak dla nurka i hełm jak dla nurka, z przodu przezroczysty. Może nawet nie jak u nurka, a raczej jak u lotnika w samolotach naddźwiękowych albo jak u kosmonauty. Lekki, wygodny, nigdzie nie ciśnie i nie pocisz się w nim z gorąca. W takim skafandrze można iść choćby w ogień i też żaden gaz do środka nie przeniknie, nawet kula. jak mówią, go nie przebije. Oczywiście i ogień, i jakiś tam iperyt, i kula karabinowa — to wszystko jest nasze, ziemskie, ludzkie. W Strefie niczego takiego nie ma, w Strefie nie tego trzeba się bać. Zresztą, co tu gadać, i w tych skafandrach ludzie też giną jak muchy. Inna sprawa, że bez skafandrów może byłoby jeszcze gorzej. Od „ognistego puchu" na przykład skafandry zabezpieczają na sto procent, i od plunięć „diabelskiej kapusty"… no, dobra.

Wleźliśmy w skafandry, przesypałem mutry z woreczka do bocznej kieszeni i przemaszerowaliśmy przez cały teren instytutu do wyjścia w

Strefę. Taki jest u nich obyczaj! niech widzą — oto żołnierze nauki idą r składać swoje życie na ołtarzu wiedzy, ludzkości i Ducha Świętego, amen. I rzeczywiście we wszystkich oknach aż do czternastego piętra stoją, współczują, tylko jeszcze brakuje powiewających chusteczek i orkiestry.

— Równaj krok — mówię do Tendera. — Kałdun wciągnij, nieszczęsny łamago! Wdzięczna ludzkość nie zapomni o tobie!

Spojrzał na mnie i widzę, że mu nie w głowie żarty. I słusznie — jakie tam żarty! Ale kiedy idziesz do Strefy, to już jedno z dwojga: albo płakać, albo się śmiać, a ja jeszcze nigdy w życiu nie płakałem.

Spojrzałem na Kiryła. nie powiem, trzyma się nieźle, tylko wargami porusza, jakby się modlił.

— Modlisz się? — pytam. — Módl się — mówię — módl! Im dalej w Strefę, tym bliżej do nieba…

— Co? — pyta, bo nie dosłyszał.

— Módl się! — krzyczę. — Stalkerów wpuszczają do nieba bez kolejki!

Wtedy Kirył się uśmiechnął i poklepał mnie po plecach, niby — nie bój się nic, ze mną nie zginiesz, a w ogóle raz kozie śmierć. Zabawny facet, jak Boga kocham.

Oddaliśmy przepustki ostatniemu sierżantowi. Tym razem w drodze wyjątku okazał się lejtnantem, znam go zresztą, jego ojciec handluje w Rexopolu nagrobkami. „Latający kalosz" już na nas czeka, chłopcy z bazy podstawili go pod samą wartownię. Wszystko już jest na miejscu — i „pogotowie ratunkowe", i straż pożarna, i nasza waleczna gwardia, nieustraszeni ratownicy, kupa spasionych darmozjadów ze swym helikopterem. Patrzeć na nich nie mogę!

Wleźliśmy do „kalosza", Kirył usiadł przy sterach i mówi do mnie:

— No, Red, obejmuj dowodzenie.

Bez zbędnego pośpiechu rozpiąłem zamek błyskawiczny na piersi, wyjąłem zza pazuchy manierkę, golnąłem jak należy, zakręciłem zakrętkę i schowałem manierkę z powrotem. Bez tego nie potrafię. Który to już raz idę do Strefy, a bez tego nie mogę. Tamci dwaj patrzą na mnie, czekają.

— A więc tak — mówię. — Wam nie proponuję, dlatego że idziemy razem pierwszy raz i nie wiem, jak na was działa alkohol. Regulamin będzie taki: wszystko, co powiem, wykonywać natychmiast i bez gadania. Jeżeli ktoś zagapi się albo zacznie jakieś tam pytania zadawać — będę prał czym popadnie, za co z góry przepraszam, na przykład tobie, panie Tender, powiem: stań na rękach i idź naprzód. I w tejże chwili pan Tender musi zadrzeć swoją ciężką dupę do góry i robić, co mu kazano. A nie posłuchasz, to, być może, swojej chorej córeczki nigdy więcej w życiu nie zobaczysz. Rozumiesz? Ale już ja się zatroszczę, żebyś ją zobaczył.

— Ty, Red, tylko nie zapomnij powiedzieć — chrypi Tender, a już jest cały czerwony, widzę, jak się poci i wargi mu kłapią. — Ja nie tylko na rękach, na zębach pójdę, gdzie każesz, nie jestem nowicjuszem, wiesz o tym.

— Dla mnie obaj jesteście nowicjusze — mówię — a powiedzieć nie zapomnę, spokojna głowa. Aha, umiesz prowadzić „kalosz"?

— Umie — odpowiada Kirył — dobrze prowadzi.

— Jak dobrze, to dobrze — mówię. — W takim razie — z Bogiem! Opuścić przyłbice! Mała naprzód, ściśle według znaków, wysokość trzy metry. Przy dwudziestym siódmym słupku — przystanek.

„Kalosz" wystartował i Kirył na wysokości trzech metrów dał „mała naprzód", a ja nieznacznie odwróciłem głowę i leciutko dmuchnąłem przez lewe ramię. Widzę — gwardziści — ratownicy wsiedli do swojego helikoptera, strażacy z szacunkiem stanęli na baczność, lejtnant w drzwiach wartowni salutuje nam, idiota nieszczęsny — a nad nimi wszystkimi wisi wielki plakat, już dobrze wypłowiały: „Serdecznie witamy, szanowni Przybysze"! Tender już zebrał się w sobie, żeby im wszystkim pomachać ręką na pożegnanie, ale ja mu tak przysunąłem pięścią w bok, że od razu zapomniał o swoich arystokratycznych manierach. Ja Ci pokażę, durniu, pożegnań mu się zachciało!

Popłynęliśmy.

Po lewej mieliśmy instytut, po prawej Kwartał Zadżumionych i posuwaliśmy się od znaku do znaku, samym środkiem ulicy. Och, dawno Już nikt po tej ulicy nie jeździł ani nie chodził! Asfalt popękał, pęknięcia zarosty trawą, ale to jeszcze była nasza, zwykła trawa, ludzka i normalna. A tam, na chodniku, po lewej ręce, rosły już czarne ciernie, i po tych cierniach było widać, jak precyzyjnie Strefa sama siebie wyznacza — czarne zarośla przy samej jezdni, jakby kto nożem uciął nie, jednak ci przybysze to byli przyzwoici faceci, narozrabiali paskudnie, to prawda, ale sami wyznaczyli sobie granicę. Przecież nawet „ognisty puch" na naszą stronę ze Strefy nie leci, chociaż, zdawałoby się, wiatr go nosi we wszystkie strony…

Domy w Kwartale Zadżumionych są oblazłe, martwe, ale szyby w oknach prawie wszędzie ocalały, tylko zarosły brudem i dlatego wyglądają jak oślepłe. Ale nocą, kiedy czołgasz się tamtędy, widać dobrze światełka w mieszkaniach, jakby ktoś palił suchy spirytus. Takie niebieskawe języki płomyczków. To „czarci pudding" zieje z piwnic. Ale jeżeli patrzeć ot tak — bloki jak bloki, wymagają, rzecz jasna, remontu, ale nic nadzwyczajnego, tylko ludzi nie widać. W tym domu z czerwonej cegły mieszkał, nawiasem mówiąc, nasz nauczyciel rachunków o dźwięcznym przezwisku Przecinek. Był koszmarnym nudziarzem i w życiu mu się nie powiodło, druga żona odeszła od niego przed samym Lądowaniem, a córka miała bielmo na jednym oku, pamiętam, że dokuczaliśmy jej bez miłosierdzia. Kiedy się zaczęła panika. Przecinek ze wszystkimi z tego kwartału w samych gaciach biegł aż do mostu — dziesięć kilometrów bez zatrzymywania. Potem długo chorował, skóra mu zlazła i paznokcie. Wszyscy, którzy mieszkali w Kwartale, no powiedzmy, prawie wszyscy, identycznie chorowali i dlatego teraz tak się właśnie nazywa — Kwartał Zadżumionych. niektórzy umarli, ale przeważnie starsi, i to też nie wszyscy. Ja na przykład myślę, że oni umarli przede wszystkim ze strachu, a nie z powodu choroby. To było straszne. Kto mieszkał w tym kwartale, ten chorował. A w tamtych trzech — ludzie ślepli. Teraz te kwartały tak właśnie się nazywają — Pierwszy Ociemniały, Drugi Ociemniały… Ślepli zresztą nie do końca, a tylko tak trochę, coś w rodzaju kurzej ślepoty. Co ciekawe, opowiadają, że nie oślepli od jakiegoś błysku czy wybuchu, chociaż mówią, że wybuchy też były, ale od strasznego łoskotu. Zagrzmiało, mówią, z taką siłą, że od razu nas oślepiło. Lekarze tłumaczą im, jak komu dobremu — to niemożliwe, przypomnicie sobie dobrze! Nie, uparli się, to był wyjątkowo silny grzmot i od niego właśnie oślepliśmy. A żeby było śmieszniej, nikt prócz nich żadnego grzmotu nie słyszał.

Tak. wygląda tu, jakby nic się nie stało. O, tam stoi szklany kiosk, caluteńki. Dziecinny wózek w bramie, nawet pościel zdaje się, jest jeszcze czysta… Tylko te anteny zarosły jakimiś wiechciami na podobieństwo morskiej trawy. Okularnicy na tę trawę dawno zęby sobie ostrzą.

Ciekawość, rozumiecie, co to za trawa — nigdzie indziej czegoś podobnego nie ma, tylko w Kwartale Zadżumionych i tylko na antenach. A co najważniejsze — tuż obok instytutu, pod samymi oknami. W zeszłym roku wpadli na świetny pomysł, z helikoptera opuścili kotwiczkę na stalowej linie, zaczepili jeden wiecheć. Tylko pociągnęli, nagle psz-sz-sz! Patrzymy — antena dymi, kotwiczka dymi i lina też dymi, i to zdrowo. I dymi się to wszystko nie normalnie, tylko z takim jakimś jadowitym sykiem — wypisz, wymaluj grzechotnik. No a pilot, chociaż lejtnant, szybko pokapował, co i jak, rzucił linę, a sam dał dęba… O, tam właśnie wisi ta lina, prawie do samej ziemi zwisa i cała trawą zarosła… I tak powolutku, powolutku dopłynęliśmy do końca ulicy, do zakrętu. Kirył spojrzał na mnie — skręcać? Machnąłem mu ręką — na pierwszym biegu! Nasz „kalosz" skręcił i wolniutko popłynął nad ostatnimi metrami ludzkiej ziemi. Trotuar zbliża się, zbliża i już cień naszego „kalosza" padł na czarne ciemię… Koniec. To już Strefa! I od razu mróz po skórze… Za każdym razem tak mnie trzęsie i do tej pory nie wiem, czy to Strefa mnie tak wita, czy nerwy stalkera wysiadają. Za każdym razem obiecuję sobie, że jak wrócę, to zapytam, czy z innymi dzieje się podobnie, i za każdym razem zapominam.

No dobra, pełzniemy sobie wolniutko nad byłymi ogródkami, silnik pod stopami huczy równo, spokojnie — no, myślę, on ma najmniej powodów do niepokoju. I w tej właśnie chwili mój Tender nie wytrzymał. Nie zdążyliśmy nawet dotrzeć do pierwszego słupka, jak nagle zaczął gadać. Ho tak, jak zwykle żółtodzioby gadają w Strefie — ząb na ząb facetowi nie trafia, serce zamiera, człowiek nie wie, co się z nim dzieje, wstydzi się okropnie i nie może się opanować. Moim zdaniem to coś w rodzaju kataru: choć się powieś, z nosa leje się i leje. Czego to oni nie wygadują! To jeden z drugim zacznie się zachwycać krajobrazem, to zacznie wykładać swoje teorie na temat przybyszów albo w ogóle truje coś bez sensu i już nie jest w stanie się zatrzymać, tak jak teraz Tender o swoim nowym garniturze. Ile za niego zapłacił i jaka cienka wełna, i jak mu krawiec guziki zmieniał…

— Zamknij się — mówię.

Tender popatrzył na mnie baranim wzrokiem, bezgłośnie poruszył wargami, i znowu: ile jedwabiu

poszło na podszewkę. A ogródki już się kończą, pod nami gliniaste pole, gdzie dawniej było wysypisko śmieci, i czuję, jakby jakiś wiaterek powiał. Przed chwilą żadnego wiatru nie było, a teraz nagle powiało, kurz się unosi i zdaje mi się, że coś słyszę.

— Milcz, ścierwo — mówię do Tendera. nie, w żaden sposób nie może przestać. Teraz znowu o włosiance zaczyna, no jeżeli tak, to przepraszam.

— Stój — mówię do Kiryła.

Kirył natychmiast hamuje. Zuch, ma szybki reeks. Biorę Tendera za ramię, obracam go do siebie i z całej siły w przyłbicę. Rąbnął, biedak nosem w szybę, oczy zamknął i zamilkł. I jak tylko zamilkł, usłyszałem: tr-r-r… tr-r-r… tr-r-r… Kirył popatrzył na mnie, zacisnął szczęki, wyszczerzył zęby. Pokazuję mu ręką, stój, stój, na miłość boską, nie ruszaj się. Ale przecież on też słyszy to trzeszczenie i jak każdego nowicjusza natychmiast korci go, żeby coś robić, żeby działać. „Tylny bieg?” — szepce. Rozpaczliwie kręcę głową, potrząsam pięścią przed samym jego hełmem — uspokój się, do cholery. Ech, mamo kochana, z tymi nowymi nie wiadomo co począć, czy na pole uważać, czy na nich. I w tym momencie zapomniałem o wszystkim. Nad kupą wiekowych śmieci, nad potłuczonym szkłem, nad strzępami starych szmat zafalowało takie jakieś drżenie, migotanie takie, no prawie tak, jak drga gorące powietrze latem nad pokrytym blachą dachem, przepełzło przez wzniesienie i szło, szło, prosto na nas, tuż obok słupka, nad drogą zatrzymało się, postało z pół sekundy — czy może mi się tak tylko wydało — i pociągnęło w pole, za krzaki, za zgniłe parkany, tam, na cmentarz starych samochodów.

Niech ich diabli wezmą, okularników! Musieli długo myśleć, żeby wyznaczyć drogę wprost nad wykopem! A ja też jestem dobry. Gdzie miałem oczy, kiedy zachwycałem się ich kretyńską mapą?

— Teraz mała naprzód — mówię do Kiryła.

— A co to było?

— Diabeł go tam wie! Było i nie ma, i Bogu dzięki. A ty się zamknij, jeżeli cię mogę o coś prosić. Teraz nie jesteś człowiekiem, rozumiesz? Teraz jesteś maszyną, moim sterem…

Tu się tropnąłem, że i u mnie chyba zaczyna się słowny katar.

— Dosyć tego — mówię. — Ani słowa więcej. Królestwo za jeden łyk. Do chrzanu te wszystkie skafandry, tyle wam powiem. Bez skafandra dzięki Bogu, parę lat przeżyłem i mam nadzieję przeżyć drugie tyle, a bez solidnego łyku czegoś mocniejszego w takiej chwili… No, trudno!

Wietrzyk jakby ucichł, nic podejrzanego nie słychać, tylko silnik huczy tak monotonnie, spokojnie. A dookoła słonce, a dookoła upał… odblaski światła… wszystko jakby szło normalnie, słupki na dole przepływają jeden za drugim. Tender milczy, Kirył milczy, wyrabiają się chłopcy, nie martwcie się, kochani, w Strefie też można żyć przy odrobinie wprawy. A oto i słupek z numerem dwadzieścia siedem — żelazny pręt, a na nim czerwone koło z dwójką i siódemką. Kirył spojrzał na mnie, skinąłem mu głową i nasz „kalosz” stanął.

Wszystko do tej pory to było małe piwo. Teraz nic, tylko spokój. r

Śpieszyć się nie mamy dokąd, wiatru nie ma, widoczność dobra, wszystko jak na dłoni. Widać wykop, w którym Zgnilec znalazł zasłużony spoczynek — coś kolorowego jakby tam leży, może to jego łachy. Parszywy był typ. Panie, zmiłuj się nad jego grzeszną duszą, chciwy, głupi, niechlujny, tylko takich Ścierwnik Barbridge widzi na kilometr i zgarnia pod swoje skrzydła… a w ogóle to Strefa nie pyta, dobry jesteś czy zly, i wychodzi na to, że trzeba ci podziękować, Zgnilec, głupi byłeś, nawet twego prawdziwego imienia nikt nie pamięta, a mądrym ludziom pokazałeś drogę… Tak. Oczywiście najlepiej byłoby teraz dotrzeć do asfaltu. Asfalt jest równy, gładki, wszystko na nim widać i tam jest ta znajoma szczelina. Tylko że bardzo mi się nie podobają te pagóreczki! Gdyby lecieć prosto nad asfaltem, trzeba by przejść jak raz nad nimi. Widzisz je, stoją, zapraszają. Nie, moje drogie, między wami ja nie przejdę. Drugie przykazanie stalkera — albo z lewej, albo z prawej musi być czysto co najmniej na sto kroków. A nad tym lewym pagóreczkiem przelecieć można… Co prawda nie wiem, co tam za nim się kryje. Na ich planie, jak sobie przypominam, niczego nie było. Ale kto wierzy planom?

— Słuchaj, Red — szepcze Kirył. — Może skoczymy, co? Na dwadzieścia metrów w górę, potem od razu w dół i już jesteśmy nad garażem, no?

— Milcz, durniu — mówię. — Nie przeszkadzaj, siedź cicho.

W górę mu się zachciało. A jak ci przysunie tam na wysokości dwudziestu metrów? Mokra plama zostanie. Albo nagle objawi się „łysica" — wtedy nawet plamy nikt z mikroskopem nie wypatrzy. Och, ci ryzykanci, niecierpliwią się, widzicie, skakać mu się zachciało… Jednym słowem, jak iść do pagórka — wiadomo, a przy nim zatrzymamy się i zobaczymy, co dalej. Wsadziłem rękę do kieszeni, wyciągnąłem garść muterek. Pokazałem je Kiryłowi i mówię:

— Pamiętasz bajkę o Tomciu Paluchu? Czytałeś ją w szkole? No to teraz wszystko będzie na odwrót. Patrz! — rzuciłem pierwszą muterkę, niedaleko rzuciłem, jak należy, mniej więcej na dziesięć metrów. Muterka poleciała normalnie. — Widziałeś?

— No? — mówi.

— Nie „no", tylko pytam, czy widziałeś?

— Widziałem.

— Teraz najwolniej jak potrafisz, prowadź „kalosz" prosto do muterki i na dwa kroki przed nią zatrzymaj się. Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem. Szukasz stref wzmożonej grawitacji?

— Czego trzeba, tego szukam. Poczekaj, rzucę jeszcze jedną. Patrz, gdzie upadnie, i oczu z niej więcej nie spuszczaj.

Rzuciłem jeszcze jedną mutrę. Oczywiście też poleciała normalnie i upadła obok pierwszej.

— Jedziemy — powiedziałem.

„Kalosz" ruszył. Twarz Kiryła stała się spokojna i jasna. Widocznie już zrozumiał. Ci okularnicy wszyscy są tacy sami. Dla nich najważniejsze — wymyśleć nazwę. Póki nazwy nie wymyśli, aż litość bierze patrzeć na takiego, wygląda jak kto głupi. no a jak wymyśli! Jakąś tam wzmożoną grawitację — od razu spływa na niego spokój i zaraz lżej mu żyć na świecie.

Przelecieliśmy nad pierwszą mutrą, nad drugą i trzecią. Tender wzdycha, przestępuje z nogi na nogę i co chwila ziewa ze zdenerwowania, z takim psim skomleniem — kiepsko się czuje, biedak. Nie szkodzi, to mu tylko na zdrowie wyjdzie. Pięć kilo co najmniej dzisiaj zrzuci, to lepsze od najlepszej diety… Rzuciłem czwartą mutrę. Jakoś nie tak poleciała. Nie umiem wytłumaczyć, na czym to polega, ale czuję, że coś tu nie tak, i natychmiast łaps Kiryła za rękę.

— Stój — powiadam — i ani kroku dalej. A sam wziąłem piątą i rzuciłem ją wyżej i dalej. Jest zaraza! Oto ona, „łysica" I Mutra w górę poleciała normalnie, w dół też prawie normalnie, ale w połowie drogi jakby ją ktoś w bok szarpnął, i to tak szarpnął, że wbiła się w glinę i znikła nam z oczu.

— Widziałeś? — pytam szeptem.

— Tylko w kinie widziałem — mówi Kirył i tak się wychylił do przodu, że tylko patrzeć, jak z „kalosza" wypadnie. — Rzuć jeszcze jedną, co?

Ręce mi opadły. Jedną? Czy tu jedna wystarczy? Ech, ci uczeni!… No dobra, rzuciłem jeszcze osiem muterek, póki „łysicy" nie oznaczyłem. Uczciwie mówiąc starczyłoby i siedem, ale jedną specjalnie dla Kiryła rzuciłem, w sam środek — niech się napatrzy na swoją grawitację. Plasnęła mutra w glinę, jakby to nie była mutra tylko stukilowy odważnik. Plasnęła i tylko dziurka w glinie po niej została. Kirył aż cmoknął ze szczęścia.

— No dobrze — mówię — zabawiliśmy się i wystarczy. Teraz patrz. Rzucam tam, gdzie będziemy lecieć, i nie spuszaj z niej oczu.

Krótko mówiąc objechaliśmy „łysicę" i znaleźliśmy się nad pagórkiem. Właściwie pagórek był mały, jakby kot napaskudził, i do dzisiaj w ogóle go nie zauważałem. Tak… Wisimy nad pagórkiem, do asfaltu jak ręką sięgnąć, ze dwadzieścia kroków. Miejsce czyściutkie, każdą trawkę widać, każde pęknięcie. Wydawałoby się, o co chodzi? Rzucaj mutrę i z Bogiem.

Nie mogę rzucić mutry.

Sam nie rozumiem, co się ze mną dzieje, ale w żaden sposób nie mogę się zdecydować, żeby ją rzucić.

— Co z tobą? — pyta Kirył. — Dlaczego stoimy?

— Poczekaj — mówię. — I zamknij twarz, na miłość boską.

Zaraz, myślę, zaraz rzucę muterkę, przelecimy sobie spokojnie, jak po maśle przejdziemy, nawet trawka nie drgnie — pół minuty i jesteśmy nad asfaltem… I nagle spociłem się jak ruda mysz! Aż mi oczy zalało i już wiem, żadnej mutry tam nie rzucę. Na lewo, proszę bardzo, choćby dwie. Chociaż tamtędy dalej jakieś kamyki widać niezbyt przyjemne, ale tam mogę rzucać mutrę, a prosto przed siebie — za nic. I rzuciłem muterkę w lewo. Kirył nic nie powiedział, podprowadził „kalosz" do mutry i dopiero wtedy popatrzył na mnie. Wyglądałem chyba paskudnie, bo zaraz odwrócił oczy.

— To nic — mówię do niego — prosta droga nie zawsze prowadzi do celu. — I rzuciłem na asfalt ostatnią mutrę.

Dalej już było łatwiej. Znalazłem swoją szczelinę. Była czyściutka, żadnym drańśtwem nie zarosła, moja najmilsza, koloru nie zmieniła. Patrzyłem na nią i promieniałem ze szczęścia. I doprowadziła nas ta szczelina do bramy garażu lepiej niż wszelkie znaki.

Poleciłem Kiryłowi, żeby zszedł na wysokość półtora metra, położyłem się na brzuchu i zacząłem patrzyć w otwartą bramę garażu. Na początku, ze słońca, nic nie było widać — ciemno choć oko wykol, potem wzrok przywykł i widzę, że w garażu od tamtego czasu jakby się nic nie zmieniło. Wywrotka jak stała na kanale, tak stoi, caluteńka, bez dziur, bez plamki i na cementowej podłodze też wszystko jak przedtem, pewnie dlatego, że w kanale mało zebrało się „czarciego puddingu" i od tamtej pory ani razu nie wykipiał. Jedno mi się tylko nie spodobało — w samym końcu garażu, tam gdzie stoją kanistry, coś się srebrzy. Poprzednim razem tego nie było. No, trudno, srebrzy się, to się srebrzy, nie będziemy przecież z tego powodu wracać! A i srebrzy się, nie tak, żeby mocno, tylko odrobinkę i tak spokojnie, powiedziałbym, nawet sympatycznie… Wstałem, otrzepałem skafander i rozejrzałem się dookoła. Tam na parkingu stoją ciężarówki, rzeczywiście jak nowe — od tamtego czasu, kiedy tu byłem ostatni raz według mnie zrobiły się jeszcze nowsze, za to cysterna zupełnie biedaczka zardzewiała, niedługo się rozsypie. A tam leży opona, ta, którą widać na ich planie…

Nie spodobała mi się ta opona. Cień rzuca, jakiś taki nienormalny. Słońce nam świeci w plecy, a cień pada w naszą stronę. No dobra, do opony daleko. Właściwie wygląda wszystko nieźle, można pracować. Tylko co się tam srebrzy? A może mi się tylko zwidziało? Teraz warto by zapalić, usiąść na chwilę, pomyśleć spokojnie — dlaczego właściwie srebrzy się tylko nad kanistrami, a dalej już się nie srebrzy… dlaczego taki dziwny cień od tej opony… Ścierwnik Barbridge coś opowiadał o cieniach, coś cudacznego, ale niegroźnego… Z cieniami tu różnie bywa. Ale co się tam tak srebrzy? No wypisz, wymaluj, jak pajęczyna na drzewach w lesie. Jakiż to pająk ją uprządł? Och, ani razu jeszcze nie widziałem w Strefie pajączków, czy innych bożych krówek. I co najgorsze, „pustak" leży jak raz tam, dwa kroki od kanistrów. Powinienem od razu wtedy go zabrać, nie miałbym teraz kłopotów. Ale to ścierwo jest okropnie ciężkie — udźwignąć go mogłem, ale potem targać toto na plecach i to jeszcze po nocy, i jeszcze na czworakach… a kto „pustaków" nigdy nie dźwigał, niech spróbuje. Równie wygodnie można pud wody nieść bez wiader… A więc iść, czy co? Golnąłbym sobie teraz… Odwróciłem się do Tendera i mówię:

— Teraz my z Kiryłem pójdziemy do garażu. Ty zostaniesz tu jako kierowca. Steru bez mojego rozkazu nie waż się tknąć, cokolwiek by się działo, nawet gdyby ziemia się pod tobą rozstąpiła. Jeżeli stchórzysz — na tamtym świecie cię odnajdę.

Poważnie skinął mi głową — za nic, znaczy, nie stchórzę. Nos ma jak pomidor, zdrowo mu przysunąłem… no cóż, spuściłem ostrożnie awaryjne liny, popatrzyłem jeszcze raz na to srebrne migotanie, machnąłem ręką Kiryłowi i zacząłem schodzić. Stanąłem na asfalcie i czekam, póki Kirył nie

zejdzie z drugiej strony.

— Spokojnie. — mówię — nie spiesz się. Bez zbędnego zamieszania.

Stoimy na asfalcie. „Kalosz” kołysze się obok nas, liny szurają pod stopniami. Tender wychylił łeb przez poręcze, patrzy na nas, a w oczach ma rozpacz. Trzeba iść. Mówię do Kiryła:

— Masz iść za mną, krok w krok, dwa kroki z tyłu, patrz mi w plecy i uważaj.

I ruszyłem. Stanąłem w progu, rozejrzałem się. A jednak o ileż łatwiej pracować w dzień niż w nocy! Pamiętam, jak leżałem na tym samym progu. Ciemno jak w brzuchu u Murzyna, z kanału „czarci pudding” wysuwa języki, błękitne jak płomyki spirytusu, i jak na złość niczego nie rozjaśnia, jeszcze ciemniej się wydaje od tych języków. A teraz — żyć nie umierać! Oczy przywykłe do mroku, wszystko jak na dłoni, nawet kurz widać w najciemniejszych kątach. I rzeczywiście coś tam błyszczy, jakieś srebrzyste nici ciągną się od kanistrów do sufitu — bardzo podobne do pajęczyny. Może to zresztą pajęczyna, ale lepiej się trzymać od niej z daleka. I wtedy sknociłem sprawę. Powinienem Kiryła postawić obok siebie, poczekać aż jego oczy przywykną do ciemności i pokazać mu tę pajęczynę, palcem pokazać. A ja przywykłem pracować samotnie — sam już oswoiłem się z mrokiem, a o Kiryle nie pomyślałem. Przekroczyłem próg i prosto do kanistrów. Przykucnąłem nad „pustakiem”, pajęczyny na nim jakby nie widać. Wziąłem za jeden koniec i mówię do Kiryła:

— Bierz, tylko nie upuść, ciężki jak cholera. Podniosłem oczy i aż mi dech zaparło — słowa nie mogę wydusić. Chcę krzyknąć: stój, ani kroku! — i nie mogę. Chyba zresztą i tak bym nie zdążył, zbyt szybko to wszystko poszło. Kirył przeskakuje przez „pustaka”, odwraca się tyłem do kanistrów i całymi plecami w te srebrne nici. Ja tylko oczy zamknąłem. Wszystko we mnie zamarło, nic nie słyszę, słyszę tylko, jak rwie się ta pajęczyna. Z takim słabym cichym trzaskiem, jakby pękała zwyczajna pajęczyna, tylko oczywiście głośniej. Siedzę w kucki z zamkniętymi oczami, ani rąk, ani nóg nie czuję, a Kirył mówi:

— No co, bierzemy go?

— Bierzemy — mówię.

Podnieśliśmy „pustaka” i niesiemy do wyjścia, bokiem idziemy. Ciężkie ścierwo, nawet we dwóch niełatwo go targać. Wyszliśmy na słoneczko i stoimy przy „kaloszu”. Tender już do nas łapy wyciąga.

— No — mówi Kirył — raz, dwa…

— Nie — mówię — poczekaj. Na początek go postawimy. Postawiliśmy.

— Odwróć się — mówię — plecami. Odwrócił się bez słowa. Ja patrzę — na plecach nic nie ma. Z tej i z tamtej strony go oglądam — nic nie widzę. Wtedy odwracam się i patrzę na kanistry. Tam też niczego nie ma.

— Słuchaj — mówię do Kiryła, ale patrzę ciągle na kanistry. — Widziałeś tę pajęczynę?

— Jaką pajęczynę? Gdzie?

— Dobra — mówię. — Żebyśmy tylko zdrowi byli. A sam myślę: to się dopiero okaże.

— No co — mówię. — Ładujemy?

Władowaliśmy „pustaka” do „kalosza”, postawiliśmy go na sztorc, żeby się nie turlał, stoi teraz sobie jak aniołeczek, czyściutki, nowiutki, w miedzi słoneczko się odbija i niebieskawe pasma mgliście bełtają się między dyskami. I teraz widać, że to nie „pustak”, a coś w rodzaju naczynia, szklanego słoika z niebieskim syropem. Podziwialiśmy go przez chwilę, potem wdrapaliśmy się do „kalosza” i bez zbędnych słów — w powrotną drogę.

Dobrze tym uczonym! Po pierwsze, pracują w dzień. A po drugie, ciężko im tylko wtedy, kiedy idą do Strefy, a ze Strefy „kalosz” sam wraca — jest na nim zainstalowana taka aparatura, kursograf, czy jak mu tam, który prowadzi „kalosz” dokładnie tym samym kursem, jakim szedł poprzednio. Płyniemy z powrotem i powtarzamy wszystkie manewry, przystajemy, powisimy chwilę — i dalej nad wszystkimi moimi mutrami przechodzimy, moglibyśmy zbierać je z powrotem do woreczka.

Moi chłopcy oczywiście od razu odzyskali humor. Kręcą głowami na cały regulator, prawie wszystek strach z nich wyparował — została tylko ciekawość i radość, że wszystko tak dobrze się

skończyło. Zaczęli gadać. Tender macha rękami i grozi, że jak tylko zje obiad, natychmiast wraca do Strefy znakować drogę do garażu, a Kirył wziął mnie za rękaw i zaczął mi coś opowiadać o tej swojej wzmożonej grawitacji, to znaczy o „łysicy”. No, nie od razu co prawda, ale jednak ich usadziłem. Tak spokojniutko opowiedziałem im, ilu idiotów skończyło fatalnie w powrotnej drodze na skutek własnej głupoty. Milczcie, mówię, i uważnie rozglądajcie się dookoła, bo inaczej stanie się z wami to, co się stało z Lyndonem — Kruszynką. Poskutkowało. Mawet, nie zapytali, co się właściwie stało z Lyndonem — Kruszynką. Płyniemy w ciszy, a ja myślę tylko o jednym: jak będę odkręcać manierkę, na różne sposoby wyobrażam sobie pierwszy łyk, a przed oczyma coraz to mi błyska srebrna pajęczynka.

Krótko mówiąc, wydostaliśmy się ze Strefy, zapędzili nas razem z „kaloszem” do odwszalni, czyli, wyrażając się naukowym językiem, do hangaru sanitarnego. Szorowali nas do upojenia, napromieniowywali jakimś paskudztwem, obsypywali czymś i znowu płukali, potem wysuszyli i powiedzieli: jesteście wolni, koledzy! Tender z Kiryłem wytaszczyli „pustaka”. Zleciały się nieprzebrane tłumy, żeby się napatrzeć, i co charakterystyczne — wszyscy tylko patrzą, wydają z siebie entuzjastyczne okrzyki, ale żeby pomóc zmęczonym ludziom dźwigać — na to nie było odważnych… Dobra, mnie to wszystko nie obchodzi. Mnie już teraz nic nie obchodzi…

Ściągnąłem z siebie skafander, rzuciłem na podłogę — sierżanci sprzątną — a sam prosto pod prysznic, bo cały mokry byłem od stóp do głów. Zamknąłem się w kabinie, wyciągnąłem manierkę, odkręciłem i przyssałem się do niej jak pijawka. Siedzę na ławeczce, w kolanach miękko, w głowie pusto i ciągnę gorzałkę. Jak wodę. Żyję. Zlitowała się Strefa. Wypuściła, wiedźma. Zaraza najmilsza. Podła. Żyję. Te żółtodzioby nigdy tego nie zrozumieją, nikt prócz stalkera tego nie zrozumie. I łzy spływają mi po twarzy ni to od wody, ni to sam nie wiem od czego. Wydoiłem manierkę do dna, sam jestem mokry, a manierka sucha. Oczywiście jak zwykle zabrakło jeszcze jednego ostatniego łyczka. To nic, to jest do naprawienia. Teraz wszystko jest do naprawienia. Żyję. Zapaliłem papierosa, siedzę. Czuję, jak powoli się uspokajam. Przypomniałem sobie o premii. W naszym instytucie zorganizowano to na sto dwa. Choćby w tej chwili mogę iść po swoją kopertę. A może sami przyniosą, prosto tutaj.

Powolutku zacząłem się rozbierać. Zdjąłem zegarek, patrzę: byliśmy w Strefie pięć godzin z minutami, moi państwo! Pięć godzin. Aż mi się słabo zrobiło. Koledzy, w Strefie czas nie istnieje. Pięć godzin… A właściwie, jeżeli się dobrze zastanowić, to co to jest dla stalkera pięć godzin? nawet mówić nie warto. A dwanaście godzin nie łaska? A dwie doby nie łaska? Nie zdążyłeś przez noc, leżysz cały dzień w Strefie z mordą przy ziemi i nawet już się nie modlisz, tylko majaczysz i sam nie wiesz, żyjesz jeszcze czy już jesteś trupem. A następnej nocy zrobisz co do ciebie należy, jesteś z towarem na granicy, a tam czekają patrole z karabinami maszynowymi, ścierwa, które cię nienawidzą, wcale nie chcą clę aresztować, to dla nich żaden interes, boją się śmiertelnie, że jesteś skażony, chcą cię za wszelką cenę rozwalić i mają wszystkie atuty, możesz potem długo udowadniać, że cię bezprawnie zastrzelili. A to znaczy, że znowu z mordą przy ziemi modlisz się do świtu, a potem do zmierzchu, a towar leży obok ciebie i nawet nie wiesz, czy zwyczajnie sobie leży, czy cię powoli zabija. Albo jak Kosmaty Icchok — utknął o świcie w pustym polu miedzy dwoma wykopami — ani w prawo, ani w lewo. Dwie godziny udawał nieboszczyka. Bogu dzięki uwierzyli i wreszcie zostawili go w spokoju. Widziałem Icchoka potem, nie ten sam człowiek, nawet go nie poznałem…

Wytarłem łzy i puściłem wodę. Myłem się długo. Gorącą, potem zimną, potem znowu gorącą. Cały kawał mydła wymydliłem. W końcu mi zbrzydło. Zamknąłem prysznic, i słyszę — ktoś się dobija do drzwi i głosem Kiryła wrzeszczy wesoło:

— Ej, stalker, wyłaź! Forsa ante portas! O forsie zawsze miło słyszeć. Otworzyłem drzwi, Kirył stoi goły, w samych kąpielówkach, wesoły, bez śladu melancholii i podaje mi kopertę.

— Trzymaj — mówi — to od wdzięcznej ludzkości.

— Kicham na twoją ludzkość! Ile tu jest?

— W drodze wyjątku, za bohaterską postawę w obliczu niebezpieczeństwa — dwie pensje!

Tak. Można wytrzymać. Gdyby mi tu za każdego „pustaka” płacili po dwie pensje, dawno posłałbym Ernesta do wszystkich diabłów.

— No i co, jesteś zadowolony? — pyta Kirył, a promienieje jaśniej słońca.

— Owszem — mówię. — A ty? Kir nie odpowiedział. Objął mnie za szyję, przycisnął do swojej spoconej piersi, odepchnął i zniknął w swojej kabinie.

— Ej! — krzyczę za Kiryłem. — A co z Tenderem? Gacie pierze?

— Chyba żartujesz! Tendera opadli korespondenci. Żebyś zobaczył, jaki jest nadęty… Teraz im kompetentnie referuje…

— Jak — powiadam — referuje?

— Kompetentnie.

— Dobra — mówię — sir. następnym razem zaopatrzę się w słownik wyrazów obcych, sir. — I w tym momencie jakby mnie prąd poraził. — Poczekaj. Kirył — mówię. — Wyjdź no na chwilę.

— Kiedy jestem już goły odpowiada.

— Nie szkodzi, nie jestem babą.

No więc wyszedł. Wziąłem go za ramiona, odwróciłem plecami, do siebie, nie, przywidziało mi się. Plecy ma czyste. Tylko zaschnięte strużki potu, a skóra jak skóra.

— Czego ty chcesz od moich pleców? — pyta Kirył. Dałem mu lekkiego kopniaka, uciekłem do swojej kabiny, zamknąłem się. Nerwy, cholera by je wzięła. Tam mi się zwidywało, tu mi się zwiduje… Miech to jasny piorun spali!… Spiję się dzisiaj jak świnia, nieźle byłoby oskubać Richarda. To jest myśli gra, ścierwo, jak stary… Z najlepszą kartą nic mu nie można zrobić. Już nawet karty znaczyłem i na inne różne sposoby próbowałem, no i ucho…

— Kirył! — krzyczę. — Będziesz dzisiaj w „Barge”

— Nie w „Barge”, a w „Barszczu”, ile razy mam ci powtarzać?

— Przestań! napisane jest „Barge”, to ma być „Barge”. Lepiej nie wprowadzaj u nas swoich porządków. Więc przyjdziesz, czy nie? nieźle byłoby ograć Richarda…

— Och, nie wiem. Red, jak to będzie. Ty przecież nie masz najmniejszego pojęcia, cośmy przywieźli…

— A ty masz pojęcie?

— Też nie mam. Co prawda, to prawda. Ale teraz po pierwsze, wiadomo, do czego te „pustaki” służyły. A po drugie, jeśli potwierdzi się jedna moja teoria… napiszę artykuł i poświęcę go tobie osobiście — Redowi Shoehartowi, honorowemu stalkerowi, z wyrazami wdzięczności i uwielbienia.

— I wtedy mnie wsadzą do pudła. Minimum dwa lata.

— Za to wejdziesz do historii nauki. Tę sztuczkę tak właśnie nazwiemy: „puszka Shoeharta”. To brzmi dumnie, prawda?

Tak sobie gadaliśmy, a ja się tymczasem ubrałem, wsadziłem pustą manierkę do kieszeni, przeliczyłem gotówkę i poszedłem sobie.

— Wszystkiego najlepszego, nadziejo światowej nauki…

Nie odpowiedział. Bardzo głośno szumiała woda. Patrzę, a w korytarzu pan Tender we własnej postaci, czerwony i nadęty niczym ropucha. Wokół niego — tłumy, i pracownicy, i korespondenci, i nawet dwaj sierżanci się przyplątali (prosto z obiadu, jeszcze w zębach dłubią), a Tender nic, tylko gada. „Ta technika, którą dysponujemy — truje — daje prawie stuprocentową gwarancję bezpieczeństwa i osiągnięcia zaplanowanych rezultatów…” W tym momencie zobaczył mnie i nieco przywiądł — uśmiecha się macha do mnie ręką. No, myślę, trzeba wiać. Wystartowałem, ale niestety za późno. Słyszę, gonią mnie.

— Panie Shoehart! Panie Shoehart! Dwa słowa o garażu!

— Odmawiam komentarza — mówię i przechodzę w kłus. Ale diabła tam uciekniesz przed nimi. Jeden z mikrofonem zabiega drogę z lewej, drugi z aparatem fotograficznym — z prawej.

— Dosłownie jedno zdanie! Czy zauważył pan w garażu coś niezwykłego?

— Nie mam nic do powiedzenia! — mówię i staram się kłusować plecami do obiektywu. — Garaż jak garaż…

— Dziękuję panu. Co pan sądzi o turboplatformach?

— Są cudowne — mówię i ostrożnie przymierzam się do toalety.

— Co pan myśli o celach Lądowania?

— Miech się pan zwróci do uczonych — mówię i już jestem za drzwiami. Pukają. Wtedy mówię przez drzwi:

— Dobrze panom radzę, zapytajcie pana Tendera, dlaczego ma nos jak pomidor. Pan Tender milczy z wrodzonej skromności, a to była nasza najwspanialsza przygoda.

Ależ zrobili stumetrówkę korytarzem! Złoty medal gwarantowany. Jak Boga kocham. Poczekałem minutę — cicho. Wyjrzałem — nie ma nikogo. No i poszedłem sobie, pogwizdując. Zszedłem do portierni, pokazałem tyczkowatemu przepustkę, patrzę, a on mi salutuje. Jako bohaterowi dnia, rzecz jasna.

— Spocznij — mówię. — Jestem z was zadowolony, sierżancie.

Wyszczerzył zęby, jakby mu sam generał pożyczył stówę.

— Brawo, Rudy — mówi. — Jestem dumny — mówi — że mam takich znajomych.

— Co — mówię — będziesz teraz miał o czym opowiadać dziewczynom w swojej Szwecji?

— Pytanie! — mówi. — Żadna mi się nie oprze!

Jak się mu przyjrzeć, to zupełnie przyzwoity chłopak. Jeśli mam być szczery, nie lubię takich rumianych i rosłych facetów. Dziewczyny latają za nimi jak wściekłe, właściwie dlaczego? nie o wzrost przecież chodzi. Słońce świeci, na ulicy bezludnie. I nagle zapragnąłem teraz, natychmiast, zobaczyć Gutę. Po prostu. Popatrzeć na nią, potrzymać za rękę. Po Strefie tylko to jedno pozostaje człowiekowi — potrzymać dziewczynę za rękę. Szczególnie kiedy sobie przypomnę te wszystkie plotki o dzieciach stalkerów — te dzieci wyglądają… Tak, co tu myśleć o Gucie, teraz na początek przydałaby się butelka czegoś mocniejszego, i to jako program minimum, a dalej się zobaczy. Minąłem parking i już niedaleko granica Strefy. Stoją dwa samochody patrolowe. Stoją w całej swej krasie, żółte, rozłożyste, z reflektorami i karabinami maszynowymi, dranie, no i rzecz jasna obok bohaterowie w błękitnych hełmach, całą ulicę zakorkowali, przepchnąć się nie można. Idę, oczy spuściłem, lepiej, żebym teraz ich nie widział, lepiej, żebym w ogóle na nich nie patrzył, zwłaszcza w dzień — są tam między nimi dwa, trzy typki i boję się, że mi się teraz napatoczą, straszna chryja wyniknie, jeśli mi się napatoczą. Mieli szczęście, przysięgam na Boga, że Kirył mnie ściągnął do instytutu, bo tych drani wtedy właśnie szukałem i ręka by mi nie zadrżała.

Przedzieram się przez ten tłum bokiem, już się prawie przedarłem, kiedy nagle słyszę: „Ej, stalker!" No, mnie to nie dotyczy, idę sobie dalej, wyciągam z paczki papierosa. Ktoś mnie dogania z tyłu i łapie za rękaw. Strzasnąłem tę rękę z siebie, odwracam głowę i bardzo grzecznie pytam: — Po kiego diabła pan się czepiasz?

— Poczekaj, stalker — mówi tamten. — Dwa pytania.

Podniosłem oczy — kapitan Quarterblood. Stary znajomy. Wysechł na wiór, zżółkł.

— A — mówię — wszystkiego najlepszego, panie kapitanie. Jak tam wątroba?

— Ty mnie nie zagaduj — mówi kapitan gniewnie i świdruje mnie spojrzeniem na wylot. — Lepiej mi powiedz, dlaczego nie zatrzymujesz się, kiedy cię wołają?

I już dwa błękitne hełmy stoją za jego plecami, łapy na kaburach, oczu nie widać tylko szczęki chodzą pod hełmami. I gdzie w tej ich Kanadzie takich wygrzebują? Na zarybek ich do nas przysyłają, czy co? W dzień w ogóle się nie boję patroli, ale zrewidować kanalie mogą, a to mi bardzo nie na rękę w tej chwili.

— A czy to mnie pan wołał, panie kapitanie? — mówię. — Słyszałem, że jakiegoś stalkera.

— A ty, jak się okazuje, już nie jesteś stalkerem?

— Od czasu, jak z pańskiej lekkiej ręki odsiedziałem swoje — skończyłem z tym. Na amen. Dzięki panu, panie kapitanie, otworzyły mi się wtedy oczy. Gdyby nie pan…

— Co robiłeś koło Strefy?

— Jak to co? Przecież pracuję w instytucie. Już ze dwa lata.

I żeby zakończyć tę niemiłą rozmowę, wyjmuję swoją legitymację i okazuję ją kapitanowi. Quarterblood wziął moją legitymację, przekartkował, każdy stempelek, każdą stroniczkę dosłownie obwąchał, omal nie oblizał. Zwraca mi legitymację, zadowolony niewypowiedzianie, oczy mu płoną, nawet poróżowiał.

— Przepraszam cię — mówi — Shoehart. Tego się nie spodziewałem. To znaczy, że nienadaremnie słuchałeś moich rad. No cóż, bardzo się cieszę. Chcesz, możesz mi wierzyć lub nie, ale już wtedy przypuszczałem, że jeszcze będą z ciebie ludzie. Nie mogłem dopuścić do siebie myśli, że taki chłopak jak ty…

I zaczęło się. No, myślę sobie, wyleczyłem jeszcze jednego melancholika na swoje nieszczęście, a sam oczywiście słucham, oczy spuściłem, potakuję, rozkładam ręce i nawet, o ile pamiętam, tak nieśmiało, noskiem buta rysuję esy Moresy na trotuarze. Bojówkarze za plecami kapitana posłuchali czas jakiś, zemdliło ich widać, bo patrzę, pomaszerowali w weselsze miejsce. A kapitan teraz mi o radosnych perspektywach opowiada — nauka to wielka rzecz, na naukę, okazuje się, nigdy nie jest za późno. Pan Bóg powiada, lubi i ceni uczciwą pracę — no i w ogóle drętwa mowa w najlepszym gatunku, ta sama, którą nas co niedziela raczył w więzieniu nasz ojciec duchowny. A ja mam taką ochotę wypić, że aż mnie skręca. To nic, myślę. Red, to nic, bracie, i to też musisz znieść. Cierp, Red, tak trzeba! Długo on tego tempa nie wytrzyma, już dostał zadyszki… wtedy na moje szczęście zaczął trąbić jeden z samochodów patrolowych. Kapitan Quarterblood obejrzał się, odkaszlnął z niezadowoleniem i wyciąga do mnie rękę.

— No cóż — mówi — cieszę się, że poznałem uczciwego człowieka. Reda Shoeharta. Z przyjemnością wypiłbym z tobą butelczynę na cześć naszej nowej znajomości. Wódki wprawdzie nie mogę pić, lekarz mi zakazał, ale na piwo chętnie bym z tobą poszedł. Tylko sam widzisz — służba! Ale nic straconego — mówi — na pewno się jeszcze spotkamy.

Nie daj Boże, myślę. Ale rękę mu ściskam, nadal się czerwienię i szuram nóżką — wszystko jak pan kapitan lubi. Potem Quarterblood poszedł sobie nareszcie, a ja lotem strzały do „Barge”.

W „Barge” o tej porze jest pusto. Ernest stoi za ladą baru, przeciera kieliszki i ogląda je pod światło. To zdumiewające, nawiasem mówiąc, zjawisko — gdzie i kiedy byś nie przyszedł, wiecznie ci barmani przecierają kieliszki, jakby akurat od tego zależało zbawienie ich duszy. Tak właśnie będzie stał choćby cały dzień — weźmie kieliszek, przymróży oczy, spojrzy pod światło, chuchnie na szkło i zaczyna trzeć. Wyciera, wyciera, znowu spojrzy, tym razem dla odmiany od spodu, i znowu…

— Cześć Ernie! — mówię. — Nie męcz go dłużej, bo przetrzesz na wylot!

Spojrzał na mnie przez kieliszek, wymamrotał coś głosem brzuchomówcy i bez zbędnych słów nalał mi na cztery palce. Wdrapałem się na stołek pociągnąłem, zmrużyłem oczy, potrząsnąłem głową i powtórzyłem zabieg. Mruczy lodówka, szafa grającą tirlika cichutko. Ernest posapuje w kolejny kieliszek — cisza, spokój… Dopiłem, postawiłem szklaneczkę na ladzie i Ernest w mgnieniu oka nalewa mi ponownie.

— Ho co, już cl lepiej? — burczy. — Przyszedłeś do siebie?

— Ty lepiej pilnuj swoich kieliszków — mówię. — A wiesz był jeden taki, też tak tarł, tarł i wywołał złego ducha. Potem żył sobie jak pączek w maśle.

— Znałeś go? — pyta Ernie z niedowierzaniem.

— A był tu jeden taki barman — opowiadam. — Jeszcze przed tobą.

— No i co?

— Ano nic. Jak myślisz, dlaczego oni tu przylecieli? Wszystko dlatego, że tamten bez przerwy tarł i

tarł… Jak sądzisz, kto do nas przyleciał?

— A idź ty — mówi Ernie z uznaniem.

Potem poszedł do kuchni i wrócił z talerzem — przyniósł opiekane parówki. Postawił przede mną talerz, podsunął keczup, a sam ponownie zabrał się do kieliszków.

Ernest zna się na swojej robocie. Ma bezbłędne wyczucie, od razu widzi, że stalker wrócił ze Strefy, że towar będzie i Ernie wie, czego stalkerowi w takiej chwili potrzeba. To swój chłop ten Ernie! Dobroczyńca.

Zjadłem parówki, zapaliłem i zacząłem obliczać, ile też Ernie na nas zarabia. Jakie ceny płacą za towar w Europie tego nie wiem, ale tak kątem ucha słyszałem, że na przykład za „pustaka” dają tam około dwa i pół tysiąca, a Ernie płaci wszystkiego czterysta. Za „bateryjkę” można tam wyciągnąć co najmniej setkę, a my dostajemy w najlepszym razie dwie dychy. Da pewno z całą resztą sprawa wygląda podobnie. Co prawda przeszmuglowanie towaru do Europy również coś niecoś musi kosztować. Temu w łapę, tamtemu w łapę, komendant stacji też jest na pewno na ich utrzymaniu… Tak że jeśli się zastanowić, Ernest nie tak wiele wyciąga — około pięćdziesięciu procent, nie więcej, jeżeli wpadnie, to dziesięć lat katorgi ma jak w banku…

W tym momencie moje bogobojne rozważania przerywa jakiś ugrzeczniony typek, nawet nie usłyszałem, kiedy wszedł. Wykwitł obok mojego prawego łokcia i pyta:

— Czy można?

— Co za pytanie! — mówię. — Oczywiście!

Taki nieduży, szczuplutki, z zadartym noskiem i w czarnej muszce. Jakbym go gdzieś widział, ale gdzie — pojęcia nie mam. Włazi na stołek obok mnie i mówi do Ernesta:

— Poproszę whisky! — I od razu do mnie:

— Przepraszam, ale my się chyba znamy. Pan pracuje w Instytucie Międzynarodowym, prawda?

— Tak — mówię — A pan?

Typek zręcznie wyciąga z kieszeni wizytówkę i kładzie przede mną. Czytam: „Alois Machno, agent Biura Emigracyjnego”. Oczywiście, że go znam. Czepia się ludzi, żeby wyjeżdżali z miasta. Widzicie ich, nas i tak ledwie połowa została w Harmont, a oni chcą, żebyśmy wszyscy się wynieśli. Odsunąłem wizytówkę paznokciem.

— Nie — mówię — serdeczne dzięki. To nie dla mnie. Marzę, wie pan, żeby moje kości spoczęły w ojczystej ziemi.

— A dlaczego? — pyta z ożywieniem. — Proszę mi wybaczyć niedyskrecję, ale co pana tu trzyma?

Już się rozpędziłem, żeby mu powiedzieć, co mnie tu trzyma.

— Głupie pytanie! — odpowiadam. Słodkie wspomnienia dzieciństwa. Pierwszy pocałunek w miejskim parku. Tatuś, mamusia. Jak pierwszy raz urżnąłem się w trupa w tym oto barze. Drogi sercu komisariat policji… — Tu wyjmuję z kieszeni zasmarkaną chusteczkę i ocieram oczy — nie — mówię. — Za nic!

Alois pośmiał się, wypił łyczek whisky i z zadumą powiada:

— Nie mogę zrozumieć was, mieszkańców Harmont. Życie w mieście jest bardzo ciężkie. Władza należy do armii. Zaopatrzenie paskudne. Pod bokiem Strefa, żyjecie jak na wulkanie. W każdej chwili może wybuchnąć epidemia albo coś jeszcze gorszego. Jeszcze rozumiem starszych ludzi. Na stare lata trudno się ruszyć z miejsca. Ale pan… Ile pan ma lat? Dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy, nie więcej… niechże pan zrozumie, że nasze biuro jest organizacją filantropijną, nasza działalność nie przynosi nam żadnego zysku. Po prostu chcemy, żeby ludzie opuścili to przeklęte miasto i zaczęli żyć normalnie. Przecież dajemy pewną sumę na początek, zapewniamy pracę na nowym miejscu… młodym, takim jak pan, umożliwiamy naukę… Nie, nie rozumiem!

— A co? — pytam — nikt nie chce wyjeżdżać?

— Nie tak znowu, żeby nikt… niektórzy dają się namówić, zwłaszcza jeżeli mają rodziny. Ale

młodzież i starcy… No co was trzyma w Harmont? To przecież dziura, prowincja…

Teraz pokazalem mu na co mnie stać.

— Panie Machnol — mówię. — Ma pan świętą rację. Nasze miasteczko to dziura. Zawsze dziurą było i dziurą pozostało. Tylko że obecnie — mówię — to dziura w przyszłość. Przez tę dziurę my napompujemy wasz parszywy świat takimi rzeczami, że wszystko się zmieni. Życie stanie się inne, lepsze, i każdy będzie miał wszystko, czego mu trzeba. Podoba się panu taka dziura? Przez tę dziurę płynie wiedza. A kiedy już będziemy wiedzieli, co należy i wszyscy będą bogaci, polecimy do gwiazd i gdzie tylko zechcemy. Teraz już pan wie, co to za dziura…

W tym momencie przerwałem, ponieważ zauważyłem, że Ernest patrzy na mnie z ogromnym zdumieniem, i zrobiło mi się głupio. W ogóle nie lubię powtarzać cudzych słów, nawet jeżeli dajmy na to podobają mi się. Tym bardziej, że wychodzi mi to jakoś koślawo. Kiedy opowiada Kirył, człowiek słucha z otwartą gębą. A ja niby mówię to samo, a efekt jest zupełnie inny. Może dlatego, że Kirył nigdy Ernestowi na ladę towaru nie wykładał. No i dobrze…

Tu mój Ernest połapał się i szybko nalał mi tak na sześć palców od razu — opamiętaj się chłopcze, co się z tobą dzisiaj dzieje? A ostronosy pan Machno znowu delikatnie pociągnął swoją whisky i mówi:

— Tak, oczywiście… Wieczne akumulatory, „błękitne panaceum"… Ale czy pan naprawdę wierzy, że stanie się tak, jak pan powiedział?

— To nie pański interes, w co ja wierzę naprawdę a w co na niby — mówię. — Mówiłem panu o mieszkańcach miasta. A o sobie powiem tak: czego ja mam szukać w tej waszej Europie? Waszej śmiertelnej nudy? Cały dzień mam orać jak głupi, a wieczorem patrzeć w telewizor?

— No, niekoniecznie trzeba zaraz do Europy…

— A tam — mówię — wszędzie to samo, a na Antarktydzie jeszcze w dodatku zimno.

I co najdziwniejsze: mówiłem do niego i ze wszystkich sił wierzyłem w to, co mówię. I nasza Strefa, wiedźma przeklęta, zaraza morowa, w tym momencie była mi sto razy milsza niż ich wszystkie Europy i Afryki. A przecież nawet jeszcze nie byłem pijany, po prostu wyobraziłem sobie przez sekundę, jak wracam z pracy doszczętnie wypompowany, w tłumie podobnych mi kretynów, jak w tym ich metro gniotą mnie, depczą mi po nogach, jak mi wszystko obrzydło i jak już nic mi się nie chce.

— A co pan na to? — zwraca się ostronosy do Ernesta.

— Ja mam swój byznes — wyniośle odpowiada Brnie. — nie jestem byle kim! Ja wszystkie swoje pieniądze włożyłem w ten bar. Do mnie czasami nawet sam komendant zagląda, generał, jasne? Z jakiej racji mam stąd wyjeżdżać?

Pan Alois Machno zaczął mu coś wyjaśniać przy pomocy liczb, ale ja już nie słuchałem. Golnąłem sobie zdrowo, wygrzebałem z kieszeni garść bilonu, zlazłem ze stołka i na początek uruchomiłem na cały regulator grającą szafę. Jest tam taka jedna piosenka „Nie wracaj, jeżeli nie jesteś pewien". Bardzo dobrze na mnie wpływa po Strefie… No więc szafa grzmi i zawodzi, a ja zabrałem swoją szklaneczkę i poszedłem w kąt, wyrównać stare rachunki z „jednorękim bandytą", no i czas jak ptak poleciał… Przepuszczam ostatni bilon, a tu pojawiają się pod gościnnym dachem baru Richard Nunnun z Szuwaksem. Szuwaks już chodzi na rzęsach, przewraca oczami i szuka, komu by dać w mordę. A Richard Nunnun czule trzyma go pod ramię i odwraca jego uwagę dowcipami. Piękna para! Szuwaks, chłop jak byk, czarny jak noc, kędzierzawy, łapy do kolan, a Dick maleńki, zażywny i różowy, wcielenie bogobojności, brak mu tylko aureoli.

— O! — krzyczy Dick na mój widok. — I Red tu jestl Chodź do nas.

Red!

— Słusznie! — ryczy Szuwaks. — W całym tym mieście jest tylko dwóch ludzi: Red i ja! Wszyscy inni to wieprze, dzieci szatana. Red! Ty też służysz szatanowi, ale jednak jesteś człowiekiem…

Podchodzę do nich ze swoja szklanką. Szuwaks łapie mnie za kurtkę, sadza przy stoliku i mówi:

— Siadaj, Rudy! Siadaj, sługo szatana! Kocham cię. Będziemy opłakiwać grzechy ludzkości.

Gorzko opłakiwać!

— Zapłaczemy — mówię. — Łykniemy sobie grzesznych łez.

— Zaprawdę powiadam wam — prorokuje Szuwaks. — Zaprawdę osiodłany już jest koń blady, a jeździec jego już trzyma nogę na strzemieniu. I daremne są modły tych, co się zaprzedali szatanowi. Ostaną się tylko ci, którzy wydali mu wojnę. Wy, synowie człowieczy, skuszeni przez szatana, szatańskimi igrający cackami, szatańskich skarbów złaknieni — do was mówię, o ślepi! Opamiętajcie się, bydlaki, póki czas! Podepczcie błyskotki szatańskie! — Tu zamilkł nagle, jakby zapomniał, co ma być dalej. — A czy mi tu dadzą wreszcie czegoś do picia? — zapytał nagle zupełnie innym głosem. — Cudzie ja właściwie jestem?… Wiesz, Rudy, znowu mnie pogonili z roboty. Od agitatorów mnie wyzwali. Ja im tłumaczę — opamiętajcie się ślepcy, sami lecicie w przepaść i innych r ślepców ciągnięcie za sobą! Śmieją się. No więc dałem w mordę kierownikowi i poszedłem sobie. Teraz mnie posadzą. I za co? Wrócił Dick, postawił na stoliku butelkę.

— Dzisiaj ja płacę! — krzyknąłem do Ernesta. Dick spojrzał na mnie zezem.

— Wszystko legalnie — mówię. — Będziemy moją premię przepijać.

— Byliście w Strefie? — pyta Dick. — Przynieśliście coś ciekawego?

— Pełnego „pustaka” — mówię. — Złożyliśmy go na ołtarzu nauki, nalejesz nam wreszcie, czy nie?

— „Pustaka” — buczy z goryczą Szuwaks. — Dla jakiegoś „pustaka” ryzykowałeś życiem! Uszedłeś z życiem, ale przez ciebie pojawił się na świecie jeszcze jeden diabelski przedmiot… A skąd możesz wiedzieć. Rudy, ile grzechów i nieszczęść…

— Przymknij się. Szuwaks — mówię do niego surowo. — Pij i raduj się, że wróciłem żywy. Za mój fart, chłopcy!

Dobrze nam się piło za mój fart. Szuwaks całkiem się rozkleił, siedzi i płacze, z oczu mu kapie jak z zepsutego kranu. To nic, znam go dobrze. Musi przejść przez takie stadium — zalewa się łzami i wrzeszczy, że Strefa to dzieło szatana i że nic z niej nie wolno wynosić, a co już wyniesiono, trzeba odnieść z powrotem i żyć tak, jakby Strefy w ogóle nie było. Że niby co szatańskie — szatanowi. Bardzo lubię Szuwaksa. W ogóle lubię dziwaków. Kiedy Szuwaks jest przy forsie, skupuje od wszystkich towar, nie targuje się, płaci, ile żądają, a potem w nocy targa wszystko z powrotem do Strefy i tam zakopuje… Ależ szlocha. Boże kochany! Ale to nic, on jeszcze pokaże, co potrafi.

— A jak wygląda taki pełny „pustak”? — pyta Dick. — Zwyczajne „pustaki” widziałem, ale pełne? Co to właściwie takiego? Pierwszy raz słyszę.

Wytłumaczyłem, Dick pokiwał głową i nawet cmoknął parę razy.

— Tak — mówi — to ciekawe. To — mówi — coś nowego. A z kim byłeś? Z Rosjaninem?

— Tak — odpowiadam. — Z Kiryłem i z Tenderem. Wiesz, z tym naszym laborantem.

— Uszarpałeś się pewnie z nimi…

— Nic podobnego. Chłopcy trzymali się zupełnie przyzwoicie. Szczególnie Kirył. Urodzony stalker — mówię. — Gdyby miał trochę więcej doświadczenia i pozbył się tej swojej dziecinnej niecierpliwości, mógłbym z nim co dzień chodzić do Strefy.

— I po co? — pyta Dick z pijackim śmieszkiem.

— Uspokój się — mówię. — Żarty żartami…

— Wiem — mówi. — Żarty żartami, a za takie gadanie można zarobić w ucho. Możesz uważać, że jestem twoim dłużnikiem…

— Komu trzeba dać w ucho? — ocknął się Szuwaks. — Gdzie on jest?

Złapaliśmy go za ręce i z trudem posadziliśmy na krześle. Dick wetknął mu w zęby papierosa i podsunął zapalniczkę. Uspokoił się. A tymczasem tłok robi się coraz większy. Bar już oblepiony, prawie wszystkie stoliki zajęte. Ernest zwołał swoje dziewczyny. Biegają, roznoszą, co komu trzeba — jednym piwo, innym koktajle, jeszcze innym czystą. Patrzę i jakoś mi się zdaje, że w mieście widać coraz więcej nowych twarzy, i to głównie jacyś smarkacze w kolorowych szalikach do ziemi. Powiedziałem o tym

Dickowi. Dick potwierdził.

— No a jakże inaczej — mówi. — Zaczyna się wielki sezon budowlany. Kładą już fundamenty pod trzy nowe budynki dla instytutu, a oprócz tego planują budowę wielkiego muru wokół Strefy — od cmentarza do starego ranczo. Kończą się dobre czasy dla stalkerów…

— A kiedy czasy były dobre dla stalkerów? — pytam. A sam myślę: masz babo placek, a to co znowu? Koniec, teraz już się nie zarobi. Cóż, może to i lepiej, mniejsza pokusa. Będę chodzić do Strefy w dzień, jak przystało na porządnego człowieka. Forsa wprawdzie już nie taka, ale za to o ileż bezpieczniej — „kalosz", skafandry i tak dalej, i patrole mogą cię pocałować… Żyć będę z pensji, a pić za premie. I taka straszna chandra mnie napadła! Znowu liczyć każdy grosz — na to mogę sobie pozwolić, na tamto już nie mogę, na każdą szmatkę dla Guty odkładaj pieniądze do skarbonki, do baru nie zaglądaj, kino jest tańsze… Wszystko szare, nudne, szare dnie, szare noce…

Tak sobie siedzę i myślę a Dick buczy mi nad uchem:

— Wczoraj w hotelu wpadłem wieczorem do baru, żeby wypić na sen coś mocniejszego. Patrzę — siedzą jacyś nieznani faceci, nie spodobali mi się od pierwszej chwili. Przysiada się jeden taki do mnie i zaczyna rozmowę z daleka, daje do zrozumienia, że mnie zna, wie, kim jestem i gdzie pracuję, że gotów jest dobrze zapłacić za pewne przysługi…

— Szpicel — mówię, niezbyt mnie to zainteresowało, niejednego szpicla widziałem w życiu i słyszałem niejedną rozmowę o przysługach.

— Nie, mój miły, to nie był szpicel. Lepiej posłuchaj. Chwilę z nim pogadałem, ostrożnie, rzecz jasna, udałem takiego skromnego przygłupka. Interesują go pewne przedmioty w Strefie i to nie byle śmiecie, ale raczej rzeczy wartościowe. Na akumulatory, „świerzby", „czarne bryzgi" i podobną biżuterię nie reektuje. A o tym, na co reflektuje, wspomniał raczej aluzyjnie.

— Więc o co mu chodzi? — pytam.

— O „czarci pudding", o ile dobrze zrozumiałem — mówi Dick i jakoś dziwnie na mnie patrzy.

— Ach, „czarci pudding" jest mu potrzebny! — mówię. — A „lampa śmierci" przypadkiem nie jest mu potrzebna?

— Też go o to zapytałem.

— No i?

— Wyobraź sobie, potrzebna.

— Tak? — mówię. — No, Jeśli tak, niech sobie sam przyniesie. To przecież drobnostka! „Czarciego puddingu" pełne piwnice, tylko brać wiadro i ładować. Pogrzeb na koszt własny.

Dick milczy, patrzy na mnie spode łba i nawet się nie uśmiecha. Co u diabła, chce mnie wynająć, czy co? I dopiero w tym momencie do mnie dotarło.

— Poczekaj — mówię. — A kto to mógł być? Z „puddingiem" nawet w Instytucie nie wolno robić doświadczeń…

— Słusznie — mówi Dick bez pośpiechu i patrzy na mnie bez przerwy. — Doświadczenia stanowiące potencjalne niebezpieczeństwo dla ludzkości. Teraz już rozumiesz, kto to był?

Nadal nie rozumiałem.

— Przybysze z Kosmosu? — pytam. Dick roześmiał się, poklepał mnie po ramieniu i mówi:

— Piję za twoje zdrowie, o święta naiwności!

— Zgoda — mówię, ale krew mnie zalewa. Znalazł sobie naiwnego, sukinsyn! — Ej! — mówię. — Szuwaks! Dosyć tego spania, lepiej napij się z nami.

Nie, Szuwaks nie będzie pił. Szuwaks śpi. Położył swój czarny łeb na czarnym stoliku i śpi, ręce zwiesił do podłogi. Wypiliśmy z Dickiem bez Szuwaksa.

— No dobra — mówię. — Może jestem naiwny, a może nie jestem, ale na tego typa doniósłbym gdzie należy. Mało kto kocha policję tak, jak ja, ale sam bym poszedł i doniósł.

— Aha — mówi Dick. — A na policji zadaliby ci pytanie: A dlaczego właściwie ten typ zwrócił

się akurat do ciebie ze swoją propozycją? No?

Pokręciłem głową.

— Wszystko jedno. Ty tłusty wieprzu, trzeci rok jesteś w mieście, ani razu w Strefie nie byłeś, „czarci pudding" widziałeś tylko w kinie, ale gdybyś tak zobaczył w naturze co on potrafi zrobić z człowiekiem… To, mój kochany, straszna rzecz, nie trzeba jej wynosić ze Strefy… Wiesz sam dobrze — stalkerzy to ludzie brutalni, sumienia mają niezbyt delikatne, ale na coś takiego nawet nieboszczyk Zgnilec by nie poszedł. Ścierwnik Barbridge też na to nie pójdzie… Nawet boję się pomyśleć, komu i po co może być potrzebny „czarci pudding".

— No cóż — mówi Dick — masz zupełną rację. Tylko ja, rozumiesz, okropnie nie mam ochoty, żeby pewnego pięknego poranka znaleziono mnie w łóżeczku i stwierdzono, że zginąłem śmiercią samobójczą, nie jestem stalkerem, ale również jestem trzeźwym i brutalnym człowiekiem i życie mi się raczej podoba. Żyję już od dość dawna i, widzisz, przywykłem…

W tym momencie Ernest krzyknął od baru:

— Panie Nunnun! Telefon do pana!

— O psiakrew — mówi Dick z nienawiścią w głosie. — Pewnie znowu reklamacja. Wszędzie znajdą. Przepraszam cię, Red.

Wstaje i idzie do telefonu. A ja zostaję z Szuwaksem i z butelką, i ponieważ z Szuwaksa nie ma żadnego pożytku, bardzo troskliwie opiekuję się butelką. Diabli by wzięli tę Strefę, nigdzie nie ma przed nią ucieczki.

Gdzie byś nie poszedł, z kim byś nie mówił — Strefa, Strefa, Strefa… Dobrze Kiryłowi gadać, że dzięki Strefie zapanuje wieczny pokój i nieziemska szczęśliwość. Kirył to fajny chłopak, nikt go głupim nie nazwie, przeciwnie, głowę ma, że daj Boże każdemu, ale przecież nie ma zielonego pojęcia o życiu. On nawet wyobrazić sobie nie może, ile wszelakiego draństwa kręci się koło Strefy. Teraz na przykład „czarci pudding" komuś jest koniecznie potrzebny. Ten Szuwaks chociaż i pijanica, chociaż ma fioła na tle religijnym, ale czasami, kiedy człowiek dobrze się zastanowi, rzeczywiście przychodzi mu do głowy — może naprawdę należy zostawić szatanowi co szatańskie?

Nie rusz gówna…

W tym momencie na krześle Dicka siada jakiś smarkacz w kolorowym szaliku.

— Czy pan Shoehart? — pyta.

— No? — mówię.

— Nazywam się Kreon — mówi. — Jestem z Malty.

— No — mówię — i co słychać na Malcie?

— Na Malcie dobrze słychać, ale ja nie o tym chciałem z panem mówić. Przysłał mnie Ernest.

Tak, myślę. To jednak bydlak ten Ernest. Ani krzty litości, ani odrobiny sumienia. Siedzi przede mną chłopiec — smagły, schludny, wesoły, pewnie jeszcze ani razu się nie golił, jeszcze ani razu nie całował dziewczyny, a Ernestowi to zwisa, on tylko o jednym myśli: żeby jak najwięcej ludzi zagonić do Strefy, a jak jeden na trzech wróci z towarem — też będzie dobrze…

— No i jak się czuje nasz dobry stary Ernest? — pytam. Kreon obejrzał się na bar i mówi:

— Moim zdaniem nieźle. Chętnie bym się z nim zamienił.

— A ja nie — mówię. — Napijesz się?

— Dziękuję, nie piję.

— No to zapal — mówię.

— Przepraszam pana, ale nie palę również.

— Niech Cię diabli — mówię — Więc po co ci w takim razie pieniądze?

Poczerwieniał, przestał się uśmiechać i cicho tak odpowiada:

— Chyba to jest tylko moja sprawa, prawda, panie Shoehart?

— Co racja, to racja — mówię i nalewam sobie na cztery palce. W głowie mi, należy zaznaczyć, już

trochę szumi i ciało przenika taka przyjemna słabość, wypuściła mnie wreszcie Strefa. — Teraz jestem pijany — mówię. — Jak widzisz, bawię się. Chodziłem do Strefy, wróciłem żywy i z forsą. To nieczęsto bywa żeby żywy, i już niezmiernie rzadko, żeby z forsą. A więc na razie odłóżmy poważne rozmowy na kiedy indziej…

Tu Kreon zrywa się z krzesła, mówi „przepraszam", okazuje się, że Dick wrócił. Stoi obok swojego krzesła i po jego twarzy widzę, że coś się stało.

— No — mówię — znowu twoje komory próżniowe są nieszczelne?

— Tak — mówi Dick. — Znowu.

Siada, nalewa sobie, dolewa mnie i widzę ja, że nie w reklamacji rzecz. Na reklamacje, powiedzmy to sobie wprost, Dick pluje z trzeciego piętra, nie na głupiego trafili!

— Wypijmy — mówi — Red. — I nie czekając na mnie wypija haustem całą swoją porcję i nalewa nową. — Ty wiesz — mówi — umarł Kirył Fanow.

W zamroczeniu nie od razu go zrozumiałem. Ktoś tam umarł, no to umarł.

— No cóż — mówię — wypijmy za spokój jego duszy…

Dick spojrzał na mnie, oczy mu się zrobiły okrągłe jak spodki, i dopiero wtedy poczułem jakby mi ktoś wymierzył cios w żołądek. Pamiętam, że wstałem, oparłem się o blat i patrzę na Dicka z góry na dół.

— Kirył?! — A przed oczami mam srebrną pajęczynę, znowu słyszę, jak ona rwie się i trzeszczy. I przez to okropne trzeszczenie głos Dicka dochodzi do mnie jak z drugiego pokoju.

— Zawał serca. Znaleźli go nagiego pod prysznicem, nikt nic nie rozumie. Pytali o ciebie, powiedziałem, że z tobą wszystko w porządku…

— A co tu jest do rozumienia? — mówię. — Strefa…

— Usiądź, Red — mówi Dick. — Usiądź i napij się.

— Strefa… — powtarzam i nie mogę przestać. — Strefa… Strefa…

Niczego nie widzę dokoła oprócz tej srebrnej pajęczyny. Cały bar zaplątał się w pajęczynę, ludzie poruszają się, pajęczyna cichutko potrzaskuje kiedy ktoś się o nią oprze. A w samym środku stoi Maltańczyk, twarz ma dziecinną, zdziwioną — nic nie pojmuje.

— Chłopcze — mówię do niego serdecznie. — Ile chcesz pieniędzy? Tysiąc wystarczy? Na! Bierz, bierz! — wpycham mu pieniądze i już krzyczę: — Idź do Ernesta i powiedz mu, że jest łajdakiem i kanalią, nie bój się, powiedz mu! Przecież to tchórz! Powiedz mu i natychmiast idź na dworzec, kup sobie bilet i wracaj na swoją Maltę! Nigdzie się nie zatrzymuj po drodze, jedź prosto do domu!

Nie pamiętam, co tam jeszcze krzyczałem. Pamiętam, jak znalazłem się przed ladą baru, Ernest postawił przede mną szklaneczkę na orzeźwienie i pyta:

— Zdaje się, że jesteś dzisiaj przy forsie?

— Tak — mówię — przy forsie…

— To może dług mi zwrócisz? Jak raz jutro miałbym na podatki. Teraz dopiero widzę — ściskam w pięści paczkę banknotów. Patrzę na tę zieloną trawę i mamroczę:

— Okazuje się, nie wziął Kreon Maltański… Z charakterem, okazuje się… No, a cała reszta — los tak chciał.

— Co z tobą — pyta mój przyjaciel Ernie. — Przesadziłeś kapkę?

— Nie — mówię. — Ze mną — mówię — wszystko w najlepszym porządku. Choćby w tej chwili mogę iść pod prysznic.

— Poszedłbyś lepiej do domu — mówi mój przyjaciel Ernie. — Jednak trochę przesadziłeś.

— Kirył umarł — mówię mu.

— Który to Kirył? Ten jednoręki?

— Sam jesteś jednoręki, bydlaku — mówię mu. — Z tysiąca takich jak ty r nie zrobią jednego Kiryła. Ścierwo cuchnące — mówię. — Handlarz. Śmiercią handlujesz, kanalio. Kupiłeś nas wszystkich za zielone… Chcesz, zaraz twój parszywy stragan rozwalę w drobny mak?

Ledwie zdążyłem zamachnąć się jak trzeba, kiedy już mnie łapią i gdzieś ciągną. A ja już nic nie kombinuję i kombinować nie mogę. Coś krzyczę, wyrywam się, kogoś kopię, potem oprzytomniałem — siedzę w toalecie cały mokry, morda rozbita. Patrzę w lustro i nie poznaję sam siebie, jeden policzek mi drga, nigdy przedtem czegoś takiego nie było. A na sali hałas, coś trzeszczy, talerze lecą na podłogę, dziewczyny piszczą i słyszę — Szuwaks ryczy niczym grizzly:

— Żałujcie za grzechy, dranie! Gdzie jest Rudy? Coście zrobili z

Rudym, szatańskie pomiotła? I wyje policyjna syrena.

Kiedy tylko zawyła, spłynęło na mnie olśnienie. Wszystko już wiem, wszystko pamiętam. I nic we mnie nie zostało — tylko lodowata furia. Tak, myślę, ja ci tu zaraz urządzę zabawę! Ja ci pokażę, co potrafi stalker, ścierwo! Wyciągnąłem z kieszeni na klucze „świerzba", nowiutki, jeszcze ani razu nie używany, parę razy zgniotłem go palcami, żeby się rozgrzał, uchyliłem drzwi do sali i ostrożnie wrzuciłem go do spluwaczki. A sam otworzyłem okno — i na ulicę. Miałem, rzecz jasna, ogromną ochotę zobaczyć, co z tego wyjdzie, ale musiałem zwiewać jak najszybciej. Ja bardzo źle znoszę „świerzby", od razu mi leci krew z nosa.

Przebiegiem przez podwórko i słyszę — „świerzb" już działa, najpierw zawyły i zaszczekały wszystkie psy w całej okolicy, zawsze pierwsze czują „świerzb". Potem ktoś wrzasnął w knajpie — aż mnie uszy zabolały, chociaż byłem daleko. Wyobraziłem sobie, jak tam publika zaczęła szaleć. Jeden wpada w melancholię, drugi dostaje ataku szału, trzeci ze strachu nie wie, gdzie uciekać… To straszna rzecz „świerzb". Teraz Ernest nieprędko zbierze pełen bar gości. On, gnida, rzecz jasna, domyśla się, kto go tak urządził, tylko że ja na to gwiżdżę. Koniec. Nie ma już więcej stalkera Reda. Ja już mam dość. Nie chcę ani sam szukać śmierci, ani innych dam na to namawiać, nie miałeś racji, Kirył, kochany chłopcze. Nie gniewaj się, ale wygląda na to, że to nie ty, ale Szuwaks ma słuszność. Nie mają czego ludzie szukać w Strefie, nie przyniesie nam Strefa szczęścia.

Przelazłem przez płot i powolutku ruszyłem do domu. Gryzę wargi, chce mi się płakać i nie mogę. Przede mną pustka. Przede mną nie ma nic. Monotonny smutek. Kirył, mój jedyny przyjacielu, jak mogliśmy dopuścić do tego? Rysowałeś przede mną perspektywy, opowiadałeś o nowym, wspaniałym świecie… a teraz co? Ktoś zapłacze po tobie w dalekiej Rosji, a ja nawet zapłakać nie mogę. Przecież to ja, głupie bydle, jestem wszystkiemu winien, właśnie ja, a nikt inny! Jak ja, kretyn nieszczęsny, śmiałem go wprowadzić do garażu, kiedy jego oczy jeszcze nie przywykły do ciemności? Całe życie żyłem jak wilk, całe życie tylko o sobie myślałem… I nagle postanowiłem pokazać, jaki jestem szlachetny, postanowiłem uszczęśliwić człowieka. Po diabła mu w ogóle powiedziałem o tym „pustaku"? I jak tylko sobie o tym przypomniałem, tak mnie coś ścisnęło za gardło, że nic — tylko rzeczywiście zawyć jak wilk. I chyba naprawdę zawyłem, ludzie jakby zaczęli ustępować mi z drogi, a potem nagle zrobiło mi się lżej — patrzę, idzie Guta. Idzie mi na spotkanie, moja dziewczyna, moja prześliczna, idzie, stąpa swoimi cudownymi nogami, spódniczka kołysze się nad kolanami, ze wszystkich bram gapią się na nią, a ona idzie prościutko, nie patrzy na nikogo i nie wiem dlaczego, ale od razu wiedziałem, że szuka właśnie mnie.

— Serwus — mówię — Guta. Dokąd idziesz? Guta spojrzała na mnie i w ciągu sekundy zobaczyła wszystko: i mordę rozbitą, i mokrą kurtkę, i posiniaczone ręce, ale nic na ten temat nie powiedziała, tylko mówi:

— Cześć, Red. A ja właśnie cię szukam.

— Wiem — mówię. — Chodźmy do mnie. Guta milczy, odwróciła się i patrzy w bok. Ach, jak pięknie osadzona jest jej głowa, a jaka szyja — jak u młodej narowistej klaczy, już pokornej swemu jeźdźcowi. Potem mówi:

— Ja nie wiem. Red. Może już wcale nie będziesz chciał się ze mną spotykać?

Jakby mi ktoś kamień położył na sercu. Co jeszcze? Ale tak spokojnie do niej mówię:

— Nie bardzo cię rozumiem, Guta. Wybacz mi, ale ja dzisiaj jestem trochę tego i może z tego

powodu słabo kombinuję… Dlaczego miałbym nie chcieć spotykać się z tobą?

Biorę ją pod rękę, idziemy niespiesznie w stronę mojego domu i wszyscy, którzy dopiero co gapili się na nią, szybko odwracają mordy. Ja na tej ulicy całe życie mieszkam, i Rudego Reda wszyscy tu pierwszorzędnie znają. A kto nie zna, ten bardzo szybko pozna.

— Matka mówi, żebym zrobiła skrobankę — nagle odzywa się Guta. — A ja nie chcę.

Uszedłem jeszcze kilka kroków, zanim zrozumiałem, a Guta mówi dalej:

— Nie chcę żadnej skrobanki, chcę mieć z tobą dziecko. A ty — jak tam sobie życzysz. Możesz się wynosić na wszystkie cztery strony świata, ja cię nie trzymam.

Słucham, jak ona sama siebie podkręca, jak się rozpala, słucham i powolutku bałwanieję. Nic w miarę rozsądnego nie przychodzi mi do głowy. Tylko jak refren chodzi mi w kółko po głowie — o jednego człowieka mniej, o jednego człowieka więcej.

— Ona mi tłumaczy — mówi Guta — że to dziecko stalkera i niby po co mam wydawać na świat potwora… ona mówi, to przecież kryminalista, nie będziesz miała rodziny, ani nic. Dzisiaj jest na wolności, mówi, a jutro w więzieniu. Tylko że mnie to nic nie obchodzi, jestem na wszystko przygotowana. I sama też mogę zostać, dam sobie radę. Sama urodzę, sama wychowam, sama zrobię z niego człowieka. Obejdę się bez ciebie. Tylko ty się do mnie więcej nie zbliżaj, bo na próg nie wpuszczę.

— Guta — mówię — dziewczyno moja! Poczekaj choć chwileczkę… — I nie mogę, jakiś śmiech mnie ogarnia, nerwowy. Idiotyczny. — Jaskółeczko moja, dlaczego mnie chcesz przepędzić, powiedz mi?

Chichoczę jak ostatni kretyn, a ona stanęła, przytuliła się do mojej piersi i szlocha.

Przełożyła Irena Lewandowska

Igor Rosochowatski
Tor

Przenieśliśmy dzisiaj Wołodię Juriewa do innego wydziału i zamiast niego postawiliśmy MLRP — maszynę liczącą o rozległym profilu. Niegdyś uważano, (lepiej byłoby, gdyby i dzisiaj tak uważano) że na tym miejscu może pracować tylko człowiek. Ale oto zamieniliśmy Wołodię na maszynę i nic się na to nie poradzi. Potrzebna nam jest szybkość i precyzja, bez których nie do pomyślenia są prace nad zmianą włókna nerwowego.

Szybkość i precyzja — choroba naszego wieku. Mówię „choroba" dlatego, że „tworząc" człowieka przyroda nie przewidziała wielu rzeczy. Wyposażyła go w nerwy, którymi impulsy przemieszczają się z prędkością kilkudziesięciu metrów na sekundę. Wystarczało to, żeby natychmiast poczuć oparzenie i cofnąć rękę lub zawczasu dostrzec bursztynowe oczy drapieżnika. Kiedy jednak człowiek zajmuje się procesami przebiegającymi w milionowej części sekundy… Lub kiedy wsiada do rakiety… Albo gdy musi jednocześnie przyjąć tysiąc informacji, tyle samo wydobyć z pamięci i porównać je chociażby w ciągu godziny…

Za każdym razem, wycofując się, jak niegdyś mówili wojskowi, „na z góry upatrzone pozycje", szeptałem maszynom z pogróżka:

— Czekajcie, on jednak przyjdzie!

Myślałem przy tym o człowieku przyszłości, którego stworzymy nauczywszy się zmieniać strukturę włókna nerwowego. Będzie to Homo celeris ingenii — człowiek bystrego umysłu, człowiek szybko myślący, władca epoki wielkich prędkości. Często o nim marzyłem, chciałem dożyć i ujrzeć go, zajrzeć w jego oczy, zetknąć się z nim… Będzie szlachetny i doskonały, a jego siła — szczodra i dobra. Łatwo i przyjemnie będzie z nim współżyć i pracować, bo natychmiast będzie znał nasz nastrój i to, czego pragniemy, i co trzeba zrobić dla załatwienia sprawy, i jak rozwiązać trudny problem.

Jednak na pojawienie się Homo celeris ingenii trzeba było jeszcze długo czekać — jak mi się wówczas wydawało, a tymczasem oczekiwaliśmy w instytucie nowego dyrektora (w ostatnim czasie zmieniali się oni u nas coś nazbyt często).

Kruczowłosy, zuchwały Sasza Mitrofanow przygotowywał się do przeprowadzenia z nim „rozmowy od serca" i wyjaśnienia, co sobą reprezentuje. Ja natomiast chciałem od razu porozmawiać o tych sześciu tysiącach, które potrzebne są na zakup ultrawirówek. Luda miała nadzieje, że wyprosi urlop bezpłatny (oficjalnie — żeby pomóc chorej mamie, a w rzeczywistości — żeby być ze swoim Griszą).

Zjawił się równo pięć minut przed dzwonkiem, kłapouchy, chudy, z kędzierzawą czupryna, z zapadniętymi surowymi oczyma, szybki i gwałtowny w ruchach. Saszy Mitrofanowi, który pospieszył się z przeprowadzeniem „rozmowy od serca", tak sucho rzucił „do widzenia", że ten od razu poszedł do swojego laboratorium i na korytarzu pokłócił się z poczciwym Mich-Michem.

W gabinecie dyrektora spotkała Mich-Micha nowa przykrość.

— Zabierzcie z korytarzy te wszystkie wytarte kanapy — powiedział dyrektor. — Poza tymi dwiema, które nazywacie problemową i dyskusyjna.

— Zamówić zamiast nich nowe? — z właściwą sobie dobrodusznością zapytał Mich-Mich.

Dyrektorowi niecierpliwie drgnęła szczęka.

— A co, na stojąco niewygodnie kobietom plotkować? — zapytał i odebrał Mich-Michowi chęć do jakichkolwiek pytań.

Było to pierwsze polecenie nowego szefa i okazało się, że wystarczało ono, żeby dyrektora przestały lubić maszynistki, sprzątaczki i laborantki, spędzające na kanapach najlepsze godziny pracy.

— Nazywam się Tor Wieniaminowicz — powiedział na naradzie kierowników laboratoriów. —

Pracownicy naukowi (zaakcentował to) mogą dla wygody nazywać mnie, jak poprzedniego dyrektora, inicjałami TW lub po imieniu.

Wielu z nas poczuło wówczas do niego niechęć. Nie powinien mówić, jak mamy go nazywać. Zawsze rozstrzygaliśmy to sami. Tak stało się i teraz. Po naradzie nazwaliśmy go „Tor”, a między sobą — „Tor I”, dla podkreślenia, że nie utrzyma się u nas długo.

Ludę, która przyszła prosić o urlop bezpłatny, przyjął życzliwie, zapytał o chorą mamę. Na jego twarzy widoczne było współczucie, ale dziewczynie wydawało się, że jej nie słucha, ponieważ wzrokiem przeglądał papiery na stole i od czasu do czasu robił jakieś notatki na marginesie. Luda denerwowała się, plątała, milkła i wówczas kiwał głową: „proszę mówić dalej”.

„Po co mówić, jeżeli on i tak nie słucha?” — złościła się.

— Mama pozostała zupełnie sama, nie ma jej kto doglądnąć. Nawet podać wody — żałośnie powiedziała dziewczyna, myśląc o Griszy, który zatęsknił za nią i śle płomienne listy.

— No tak, poza tym, jak powiedziała pani wcześniej, musi ona wychowywać pani piętnastoletnią siostrę — zauważył dyrektor, nie patrząc na Ludę, i dziewczyna wyczuła, że on już wszystko zrozumiał i że nie ma sensu dalej kłamać.

— Do widzenia — powiedziała czerwieniąc się ze wstydu i złości.

Tak wiec Luda nie pojechała do Griszy, co uchroniło ją zresztą od wielu nieprzyjemności w przyszłości, ale dyrektorowi tego nie wybaczyła.

Później Tor I zasłynął tym, że odzwyczaił Saszę Mitrofanowa od zostawania po pracy w laboratorium.

Któregoś razu mimochodem powiedział do Saszy:

— Jeżeli będziesz pan wciąż pracował, to kiedy znajdzie pan czas na myślenie?

Po powrocie ze wsi, gdzie na próżno oczekiwał Ludy, Grisza Ostapienko poszedł do dyrektora z prośbą o delegację do Odessy. Twarz Tora I wydawała się dobrotliwa. Dosłownie, jakby za chwilę promienie słońca, załamujące się na szkle biurka, miały trysnąć w jego oczy, zapalając w nich wesołe iskierki. Ale „chwila” ta nie nastąpiła…

Ostapienko opowiadał o ostatnich pracach w Instytucie Fiłatowa, z którymi koniecznie musi się zaznajomić.

Dyrektor ze zrozumieniem kiwał głową.

— Będziemy mogli szybciej podjąć doświadczenia nad odtworzeniem inerwacji oka.

Dyrektor ponownie kiwnął zachęcająco głową, a Ostapienko zamilkł. „Zdaje się, że uwertura trwała dostatecznie długo” — pomyślał, czekając, kiedy dyrektor wezwie Mich-Micha, żeby zlecić delegowanie go nad morze, ku słońcu.

Tor I popatrzył na niego badawczo, a potem powiedział bez cienia humoru:

— Poza tym nieźle też zanurzyć się w morzu. Odświeża umysł…

Ostapienko próbował coś mówić, zwiedziony poważnym tonem dyrektora, nie wiedząc, jak przyjąć jego ostatnie słowa. Tymczasem Tor I wezwał Mich-Micha i zlecił wystawienie Ostapience delegacji do Doniecka.

— Sfinks! — powiedział do siebie w korytarzu Grisza Ostapienko. — Bezduszny sfinks!

Musieliśmy zapomnieć o „starych, dobrych czasach”. Gdzieś leniwie i pieszczotliwie pluskało sine morze, szumiały sady, zapraszała rodzina do „odwiedzenia przy okazji”, ale odtąd nikomu w Instytucie nie udało się jechać w delegację zgodnie — z życzeniem. Teraz jeździliśmy tylko tam, gdzie Tor I uważał za konieczne (żeby być do końca uczciwym, trzeba przyznać, że było to zawsze podyktowane potrzebami badań).

A zatem, rozumiecie już, że wielu — od portiera do sekretarza naukowego — żywiło do niego jednakowe uczucia i jeżeli mimo to uchował się on na swoim miejscu, to nie ż powodu płomiennej miłości kolektywu.

Nasz szacunek zdobył on zupełnie nieoczekiwanie.

Każdego miesiąca urządzaliśmy błyskawiczny turniej szachowy. Zwycięzca musiał zagrać z MLRP. W ten sposób odgrywaliśmy się na nim, ponieważ gdyby nawet mistrz świata grał z MLRP, to byłoby to podobne do jednoczesnej gry jednego przeciw milionowi precyzyjnych szachistów.

Tym razem zwycięzcą został Sasza Mitrofanow. Objął on ostatnim, uroczystym spojrzeniem przygnębione twarze przeciwników, potem spojrzał na MLRP, beznadziejnie westchnął i jego twarz wyciągnęła się.

Przegrał w dziewiętnastym posunięciu.

Nawet „ofiary" Saszy nie radowały się jego porażką. W ogrywaniu każdego z naszych mistrzów przez MLRP była żelazna prawidłowość i jednocześnie coś poniżającego dla nas wszystkich. I wiedząc, że to niemożliwe, marzyliśmy żeby MLRP przegrała chociaż jeden raz, i to nie w wyniku uszkodzenia.

Sasza Mitrofanow wstał z wymuszonym uśmiechem z krzesła i rozłożył ręce. Ktoś zażartował, ktoś zaczął opowiadać dowcip. W tym momencie do szachownicy podszedł Tor I. Zanim zdążyliśmy się zdziwić, wykonał pierwsze posunięcie. MLRP odpowiedziała. Rozgrywano gambit królewski.

Po wymianie hetmanów Tor I przeszedł do ataku na skrzydle królewskim. Z początku tracił na każdy ruch około dziesięciu sekund, potem — pięć, potem jedną, potem — części sekundy. Było to niebywałe tempo.

Początkowo myślałem, że on po prostu żartuje, że przesuwa figury jak popadło, żeby wybić maszynę z uderzenia. Przecież w ciągu ułamka sekundy nie mógł przemyśleć posunięcia. Potem rozległo się świszczące buczenie. Oznaczało to, że MLRP pracuje pod nadmiernym obciążeniem. Kiedy jednak maszyna nie wytrzymała zaproponowanego tempa i zaczęła się mylić, ja i wszyscy pozostali zrozumieliśmy, że w jakiś niepojęty sposób nasz dyrektor wykonuje posunięcia przemyślane i odważne. Bil maszynę jej własną brania.

— Mat — powiedział Tor I nie podnosząc głosu i wszyscy ujrzeliśmy, jak na bocznej tablicy MLRP po raz pierwszy w jej całej historii zapaliła się czerwona lampka — znak przegranej.

Krzyczeliśmy w uniesieniu jak dzikusy. Kilka osób podbiegło do dyrektora, wzięło go na ręce i zaczęło podrzucać. Tor I wzlatywał wysoko nad naszymi głowami, ale na jego twarzy nie było ani radości, ani triumfu. Rysowała się na niej troska. Najprawdopodobniej obmyślał on w tym czasie plan prac na jutro. Kiedy podrzucano go wyżej, obserwował otoczenie i uśmiechał się zmieszany. Któraś z laborantek pokazała maszynie język.

Nieomal już pojednaliśmy się z nim, byliśmy gotowi poważać go i zachwycać się jego niezwykłymi zdolnościami. Minęły zaledwie trzy dni i niechęć wybuchła z nową siłą.

Wala Szonczuk była słusznie uważana za najpiękniejszą i najdumniejszą kobietę Instytutu. Ja uważałem ją także za najbardziej tajemniczą. W przekonaniu tym utwierdziła mnie ona dostatecznie podczas uroczystego wieczoru przed Pierwszym Majem.

Stałem z Wala, kiedy do sali szybkim krokiem wszedł Tor I, prowadząc pod rękę zdyszanego Mich-Micha i coś mu wyjaśniając. Widziałem, jak Wala drgnęła, nieznacznie się skuliła, dosłownie nagle się zmniejszyła, stała się bezbronna. Podtrzymywała rozmowę ze mną w sposób roztargniony i bez sensu, a kiedy ogłoszono biały walc, rzuciła się przez całą salę ku Torowi I.

— Proszę do tańca, TW!

„TW"!… Sprzedała nas nazywając go tak, jak nam niegdyś proponował. Patrzyła na niego rozpromienionym, wyraźnie zachwyconym wzrokiem. Odsłoniła się przed nim tak gwałtownie, jak nurt rzeki na zakręcie. Było nam przykro patrzeć w tej chwili na Walę. Patrzyliśmy na dyrektora.

W jego twarzy coś drgnęło. W chłodnych, opanowanych oczach pojawiły się dwie głębie z czystą błękitną wodą. Jakby delikatne dziewczęce paluszki zapukały w tę nie wiadomo dlaczego zamkniętą duszę i w drzwiach na chwilę ukazał się człowiek. Wyjrzał i schował się. Drzwi zatrzasnęły się — jak maskę wciągnął na swoją twarz opanowanie. Wzruszył ramionami.

— Słabo tańczę.

— Niekiedy ludzie tańczą, żeby porozmawiać.

Wala była zbyt otwarta. Ujawniała się jej pewność siebie. Nigdy żaden z mężczyzn jej niczego nie odmawiał.

Tor I zachował się w najmniej oczekiwany sposób…

— O czym rozmawiać? — powiedział lekceważąco. — Jeżeli chce się pani wytłumaczyć z niedbalstwa w ostatniej pracy, to na próżno. Polecenie upomnienia już oddałem.

Mówił głośno i nie martwił się, że wszyscy słyszą jego słowa. Później zwrócił się do współtowarzysza, kontynuując przerwaną przez Walę rozmowę.

Wala szybko przeszła przez całą salę do drzwi. Na pewno tak chodzą ranni. Poszedłem za nią i zawołałem. Popatrzyła na mnie, jakby nie poznając. To, co zaszło, dla innej byłoby po prostu gorzkimi chwilami obrazy, a dla Wali stanowiło okrutną lekcję.

Pobiegła schodami nie patrząc pod nogi. Bałem się, że za chwilę się potknie i upadnie.

Dogoniłem ją przy samych drzwiach. Włożyłem w swój glos wszystko, co czułem w tej minucie.

— Wala, nie trzeba z jego powodu… To zepsuty egoista. Wszyscy jesteśmy za tobą. Popatrzyła ze złością na mnie:

— Jest lepszy od wszystkich. Mądrzejszy i uczciwszy od was.

Pozostawała sobą. Zrozumiałem, że nie ma na to rady. Zrozumiałem także, że nigdy tego Torowi nie wybaczę.

Od tego wieczoru przestałem dostrzegać dyrektora. Przychodziłem tylko na jego wezwanie. Wyraźnie odpowiadałem w sposób oficjalny. Podobnie postępowali moi przyjaciele.

Tor I nie zwracał jednak na to uwagi. Zachowywał się wobec wszystkich i Wali tak, jakby nic nie zaszło, nadal wtrącał się do wszystkich drobiazgów.

W naszym Instytucie od dawna panowała tradycja, że wczesną wiosną zakochani rycerze wręczali dziewczętom mimozę, a one, nie pozbawione pychy, stawiały bukiety w laboratoriach, tak że silny zapach przenikał nawet na korytarze. Tor I polecił zastąpić mimozę pierwiosnkami i poczciwy Mich-Mich najpierw poznał błogosławiące go staruszki sprzedające pierwiosnki, a potem, przepraszając tysiące razy, zaczął wykonywać polecenie dyrektora w laboratoriach — zmienić kwiaty w wazonach. Tutaj, zamiast dobrych życzeń, spotkał się ze zjadliwymi żartami typu:

— Jaki udział ze sprzedanych pierwiosnków ma dyrektor?

Lub niewinnym głosem:

— Czy prawdą jest, że od silnych zapachów dyrektor ma bóle głowy?

Spośród wszystkich najbardziej starał się

Sasza Mitrofanow.

Trwało to dopóty, dopóki dyrektor nie wyjaśnił:

— Fitoncydy mimozy wpływają na niektóre doświadczenia.

W tym momencie Sasza zrozumiał, dlaczego dwa dni temu nieoczekiwanie nie udało się sprawdzone doświadczenie z zakażeniem świnek morskich grypą.

Ostatecznie zrozumieliśmy wartość dyrektora na posiedzeniu rady naukowej. Referaty z prac laboratoriów rozpoczął Sasza Mitrofanow. Informował o obserwacjach nad przemieszczaniem się impulsu nerwowego we włóknach o różnej średnicy. Wiadomo na przykład, że do długich ramion ośmiornicy dochodzą grubsze włókna nerwowe, niż do krótkich. Im grubsze jest włókno, tym szybciej przebiega w nim impuls. Dzięki temu sygnał wysłany z mózgu ośmiornicy może jednocześnie dotrzeć do końcówek ramion krótkich i długich, co zapewnia jednoczesność ich reakcji.

Sasza opowiedział o serii delikatnych, błyskotliwych doświadczeń wykonanych w jego laboratorium, o tym, jak uściślono zależność między grubością włókna a prędkością impulsu, o przygotowaniach do nowych doświadczeń.

Dyrektor wysłuchał referatu Saszy bardzo uważnie. Wydawało się, że pragnie zapamiętać każde słowo, a nawet gorliwie je powtarza. Chwilami jednak jego spojrzenie powoli gasło, a kąciki ust opadały. Później jednak wracał do rzeczywistości i ponownie nadawał twarzy wyraz pełen zainteresowania. Gdy Sasza zakończył referat, wszyscy popatrzyli na dyrektora. Od tego, co powie Tor I, zależy ostateczny pogląd na jego temat.

W ciszy wyraźnie zabrzmiał beznamiętny głos:

— Niech wypowiedzą się pozostali.

Słuchał ich tak samo, jak Saszę, a potem wstał i zadał Mitrofanowowi kilka pytań:

— Jaką otoczkę mają włókna o różnej grubości i jaka jest zależność między grubością otoczki a średnicą włókna? Czy uwzględniano nasycenie różnych fragmentów włókna mikroelementami? Dlaczego nie mielibyście stworzyć modelu nerwu z białek syntetycznych i stopniowo komplikować jego fragmenty?

Pytania te nie przekreślały prac wykonanych w laboratorium Mitrofanowa. Nie pretendowały one nawet do tego, szczególnie pod względem formy. Tor I nakreślił jednak zupełnie nową drogę badań i gdyby laboratorium Mitrofanowa szło tą drogą od początku, to prace trwałyby kilkakrotnie krócej.

Od tego czasu zacząłem uważnie przypatrywać się dyrektorowi, uczyć się od niego.

Zawsze interesowali mnie ludzie z niezwykłymi właściwościami umysłowymi. Dochodziło do tego zainteresowanie zawodowe. Sukces w mojej pracy pomógłby nam udoskonalić system nerwowy.

Przyroda nałożyła na nas nieprzekraczalne ograniczenia: nabywając coś nowego tracimy część tego, co zdobyliśmy wcześniej. Późniejsze warstwy mózgu nakładają się na wcześniejsze tłumiąc ich czynność. Przytłumione zostają instynkty, gasną i „pokrywają się pyłem” nie używane ośrodki komunikacji. Ale jest to tylko połowa zła.

Fragmenty czołowe nie zdążają z analizą wszystkiego, co dociera do mózgu: jak w przytulnych zatokach stoją zapomniane całe flotylle niezbędnych wiadomości, kołyszą się jak łodzie podwodne, starając się wypłynąć, interesujące pomysły; gigantyczne idee, których miejsca pobytu nie zaznaczono na mapach, rdzewieją i stają się nieprzydatne.

Czy możemy to uznać jako właściwe nam? Uznać i pogodzić się z tym?

Przywykliśmy uważać organizm człowieka, a szczególnie jego mózg, za ukoronowanie dzieła tworzenia. Wielu przywykło także do bardziej niebezpiecznej myśli, że nie może być niczego lepszego i doskonalszego. Tak jest wygodniej. Ale przecież wygoda nie była nigdy motorem postępu.

W rzeczywistości organizmy nasze są bezwładne, jak informacje dziedziczne, i nie zawsze nadążają za zmianami środowiska. Impulsy w naszych nerwach przepływają diablo powoli. Przyroda-matka nie rośnie wraz z nami i nie nadąża za naszym rozwojem. Daje nam ona obecnie to samo, co dwieście, i pięćset, i tysiąc lat wstecz. Dla nas jest to jednak za mało. Wyrośliśmy z pieluszek przewidzianych dla zwierząt. Zaczęliśmy samodzielne życie. Możemy być z siebie dumni, ponieważ wytwory naszych rąk są w wielu przypadkach nowocześniejsze od nas samych; stalowe dźwigi są silniejsze od naszych mięśni, koła i skrzydła szybsze od nóg, automaty pewniejsze od nerwów, a maszyna licząca działa szybciej od mózgu. Oznacza to, że możemy tworzyć lepiej od przyrody.

Nadszedł czas pracy nad własnymi organizmami.

Próbuję wyobrazić sobie nowego człowieka Będzie on myślał stokrotnie szybciej i już ta jedna właściwość uczyni go tysiąckrotnie silniejszym. Dlatego pracuje masz Instytut. Dlatego badamy średnice nerwów i udział w nich różnych substancji. Jaki więc będzie nowy człowiek? Jaki byłby nasz stosunek do niego, gdy pojawi się wśród nas?

Mam ubogą fantazję i nie mogę stworzyć jego wizerunku, wyobrazić sobie jego czynów. Przestaję wiać fantazjować i zaczynam myśleć o pracy, o swoim laboratorium.

Zrobiliśmy niemało. Jednak w badaniach wpływu niektórych mikroelementów na przewodność zabrnęliśmy w ślepy zaułek. Nasycenie włókna kobaltem powodowało w jednych przypadkach przyspieszenie impulsu, a w innych — jego spowolnienie. Nikiel wpływał zupełnie inaczej, niż

przewidywała teoria i nasze przypuszczenia. Jedne doświadczenia przeczyły drugim.

Wreszcie zdecydowałem się poradzić u dyrektora. Kilka razy chodziłem do jego gabinetu, ale zawsze nam przeszkadzano. Dlatego, że chociaż tych, którzy go nie lubili, było sporo, ale nie brakowało też tych, którzy go szanowali. Ponieważ i jedni, i drudzy potrzebowali jego rad, więc drzwi gabinetu dyrektorskiego nieomal nigdy się nie zamykały. Dziwiłem się, jak zdążał orientować się we wszystkich zróżnicowanych problemach i porównywałem to do zawodów z maszyną.

Po ostatniej nieudanej wizycie Tor I zaproponował:

— Proszę przyjść dzisiaj do mnie do domu.

Przyznaję, że szedłem do niego z mieszanymi uczuciami, które trudno było określić: ze sobą mieszały się niepokój, ciekawość, niechęć i zachwyt.

Drzwi otworzyła mi starsza kobieta z łagodnym, zatroskanym obliczem. Na twarzach takich wyraz troski nie bywa krótkotrwały, a kładzie się piętnem na całe życie.

Zapytałem o dyrektora.

— Torij jest w swoim pokoju.

Tak wymówiła imię „Torij”, że zrozumiałem: to jego matka.

— Proszę pójść do niego.

Przeszedłem korytarzykiem i zatrzymałem się. Za oszklonymi drzwiami ujrzałem dyrektora. Siedział przy stole pod oknem, jedną ręką podparł podbródek, a w drugiej trzymał odwrócony kieliszek. Miał skupiony i napięty wyraz twarzy. Nieco chrypliwie brzmiało z radioodbiornika: „pisarz kompanijny napisze pismo…”.

Tor I twardo opuścił kieliszek na stół, jakby przystawiał pieczęć. Następnie podniósł drugi odwrócony kieliszek.

Zrobiło mi się nieswojo. Przez myśl przemknęło przypuszczenie: zaniknął się w pokoju i pije. Przez moment otarł się o mnie chłód cudzego osamotnienia. Dlaczego matka nie uprzedziła go w takim razie o moim przybyciu?

Otworzyłem drzwi.

Dyrektor odwrócił się i przyjaźnie powiedział:

— A, to pan? Bardzo dobrze pan zrobił, że przyszedł.

Postawił kieliszek na… szachownicy. Wówczas ujrzałem, że to nie odwrócony kieliszek, a pionek. Tor I grał w szachy przeciw sobie.

— Proszę opowiadać, póki nikogo nie ma — zaproponował i usadowił się wygodniej, przygotowując się do słuchania. Ale już po minucie przerwał mi pytaniem: — A czy zawsze uwzględnia pan stan systemu?

Zerwał się, nieomal wyrwał mi z rąk rentgenogramy, zaczął chodzić po pokoju z kąta w kąt i przemówił tak szybko, że zlewały się słowa:

— Pyta pan, czym jest tutaj ta plama — żelazem czy niklem? Trzeba jednak uwzględnić, że przedtem nerw znajdował się w stanie długotrwałego pobudzenia. Będzie wówczas jasne, że plama to kobalt. A tutaj ten ząbek, to żelazo, dlatego, że w tej części może, po pierwsze, również tak wyglądać na taśmie, po drugie, zawartość żelaza w tkankach zaczęła już wzrastać, po trzecie, zmieniła się funkcja, a po czwarte, przy zmianie funkcji i wzroście zawartości żelaza w tkance ząbek z takim nachyleniem może oznaczać tylko żelazo.

Stał przede mną na palcach, rozstawiwszy długie, silne nogi i lekko kołysał się z boku na bok.

Wydawało mi się, że mogę dać dokładną definicję geniusza. Geniusz to ten, kto może uwzględnić i porównać fakty, które innym wydają się rozproszone. Pomyślałem, że spotkało mnie wielkie szczęście, że mogę pracować razem z Torem. Bojąc się ujawnić nieostrożnym słowem swój zachwyt, zacząłem mówić o potrzebach laboratorium, uzasadniać konieczność zwrócenia szczególnej uwagi właśnie na nasze prace. Od tego wreszcie zależy przyszłość…

— Czyja? — zapytał dyrektor, siadł na krześle i” na jego ustach pojawił się kpiący uśmiech.

Nie zdążyłem dostrzec go w odpowiednim czasie.

— Wszystkich prac Instytutu… Tego, do czego zdążamy… — speszyłem się pod jego spojrzeniem. — Wszystkich ludzi…

— Zamiast „przyszłość” mógłby pan powiedzieć „losy”! Na przykład, „od naszej pracy zależą losy ludzkości”.

W kącikach ust nie czaiła się już kpina. Wygięła ona wargi i błyszczała w oczach. Zachowywał się tak, jakby nie wiedział o znaczeniu naszych prac lub nie przywiązywał do nich wagi. Ale więcej nie mógł już mnie oszukać.

Wyszedłem od niego upojony wiarą we własne siły. Długo nie mogłem zasnąć. Słuchałem śpiewu ptaków za oknem, szelestu liści, głosów dzieci i próbowałem wszystko to uporządkować.

Potem przyśniły mi się góry. W ich doliny spływała mgła, sinozielona jak las w porze kwitnienia i chłodna jak strumienie górskie…

Obudziłem się z uczuciem radości. Nocą przeszedł deszcz, przemyte powietrze było świeże, a przeniknięty promieniami błękit lekko oślepiał i wydawał się wyjątkowo odświętny. Kilkakrotnie poćwiczyłem hantlami, szybko się umyłem i w biegu zjadając kanapki, wyszedłem z domu.

Szedłem machając teczką jak uczniak i wydawało mi się, że przyszłość to otwarta książka, którą można przeczytać bez błędów.

Lekko wbiegłem po stopniach głównego wejścia, chwyciłem za uchwyt drzwi, kiedy rozległ się pierwszy wybuch, za nim drugi i szczególnie silny — trzeci, od którego wyleciały szyby. Jakieś opalone papiery szybowały w powietrzu jak nietoperze. Podbiegł do mnie Sasza Mitrofanow, chwycił za rękaw i gdzieś pociągnął. Ujrzeliśmy dwa purpurowe słupy nad korpusem, w którym mieściło się laboratorium Saszy i reaktor. Z okien wydobywał się gęsty dym. Na wskroś niego, jak węże gwałtownie wystrzeliwały i cofały się języki płomieni. Nastąpiła seria niezbyt głośnych wybuchów, jakby strzałów z karabinu maszynowego.

„Ogień obejmuje probówki z roztworami. Zbliża się do magazynu odczynników — myślałem z przerażeniem. — A tam…”

O tym samym myślał również Sasza. Nie umawiając się rzuciliśmy się ku bulgocącemu otworowi wejścia. Było to szaleństwo. I tak nie zdążymy, nie zagrodzimy drogi ogniowi. Zginiemy! Ale nie myśleliśmy o tym.

Mieliśmy jeszcze kilka kroków do wejścia, a już nie było czym oddychać. Żar nie do wytrzymania parzył twarz i ręce. Z tyłu rozległ się krzyk:

— To ja jestem winna! Ja sama… Puśćcie mnie!

Wala biegła prosto w ogień.

Zdążyłem chwycić ją za rękę. Po twarzy Wali spływały łzy pozostawiając na policzkach dwa ciemne pasy.

Znowu szarpnęła się do wejścia. Nie utrzymałem jej, nie miałem sił. Dokąd biegnie? Ogień…

Nie słyszałem, jak podjechał samochód dyrektora. Tor I pojawił się naglą na tle szkarłatnej plamy obok Wali. Odrzucił ją do tyłu, powiedział „przepraszam” i zniknął w buchającym ogniu.

Teraz trzymaliśmy Walę razem z Saszą. Stała stosunkowo spokojnie, wyczerpawszy wszystkie siły. Powtarzała przez łzy:

— Moja wina. Zapomniałam sprzątnąć saletrę. To ja…

Patrzyłem w miejsce, w którym zniknął Tor I, i przypomniałem sobie jego słowa: „Człowiek ma prawo tylko do tych pomyłek, za które może sam zapłacić. Tylko sam”.

Zrobił pierwsze odstępstwo od swoich słów. Co zmusiło go do rzucenia się w ogień, jaka siła? Poświęcenie? Litość? Nie pasuje to do niego. Współczucie? Szlachetność i odwaga?

Dlaczego nie pobiegłem wówczas za nim? Dręczy to mnie do tej pory.

Po dwóch, trzech minutach ujrzeliśmy dyrektora. Wyszedł chwiejąc się, odzież zwisała na nim w czarnych strzępach. Zrobił dwa kroki i upadł. Rzuciliśmy się ku niemu. Leżał na boku skulony i patrzył na nas.

— Nie ruszajcie — jęknął, i patrząc na Walę tak, że nie śmiała odmówić, polecił:

— Proszę sprawdzić, czy wyłączono gaz w centralnym korpusie! Pan — przeniósł wzrok na Saszę — powie strażakom, żeby zaczęli gasić od prawego skrzydła.

Popatrzył na mnie, ale wzrokiem biegał, jakby jeszcze kogoś szukał:

— W lewej górnej szuadzie mojego biurka jest teczka. Matka ją panu wyda. Są tam notatki z doświadczeń. Tak, zdołałem zmienić tkanki nerwowe i przyspieszyć przebieg impulsu o siedemdziesiąt sześć razy. Średnica włókna, nasycenie mikroelementami… najważniejsze to kod. Kod sygnałów — więcej krótkich niż długich…

Jego stan się pogarszał. Twarz szarzała, jakby pokrywał ją popiół. Usta tak spękały, że żal było patrzeć.

— Dowie się pan, jak przeczyta… Proszę tylko uwzględnić moją pomyłkę. Przyspieszenie impulsu wpływa na przysadkę mózgową i inne gruczoły. Sprawdziłem to na sobie. Dowie się pan o tym z dziennika.

— Dlaczego pobiegł pan w ogień? — krzyknąłem. — Przecież każdy z nas…

— Tam trzeba było szybko… Zbyt szybko dla normalnego człowieka. Znaczy się, zwykłe obliczenie. Nie szlachetność, nie poświęcenie…

Nie uwierzyłem mu i on zrozumiał to patrząc na moją twarz. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie mógł. Jego rozbiegany wzrok zatrzymał się jak wahadło zegara.

Skądś zjawili się sanitariusze. Ostrożnie położyli go na noszach. Nie jęczał i nie ruszał się. Torij Wieniarninowicz umarł w drodze do szpitala.

Porządkuję jego papiery. Żywiołowy charakter pisma, litery podobne do znaków stenograficznych. Stronice upstrzone kleksami. Bardzo dużo poprawek różnokolorowymi ołówkami: czerwony poprawia atrament, niebieski ołówek poprawia czerwony, zielony poprawia niebieski, W ten sposób oddzielał on prawdopodobnie późniejsze poprawki od wcześniejszych. Zapisane karty sucho szeleszczą, mówiąc do mnie jego głosem. Jako pierwszy zdecydował się przeprowadzić na sobie doświadczenie, które na razie wykonywaliśmy na zwierzętach — modelach. I jeśli nie obawiamy się goryczy, to musimy stwierdzić, że był on tym człowiekiem, o którym marzyliśmy — Homo celeris ingenii. Przyszedł do nas z przyszłości. Dlaczego było nam z nim tak trudno?…

Przetłumaczył Ryszard Ciszewski

Kirył Bułyczow
Konsekracja

Nasza stacja, tak w gruncie rzeczy obszerna — rury korytarzy, ogromne kule laboratoriów i magazynów paliwowych, ażurowe konstrukcje pomostów grawitacyjnych i plątanina lin — otóż nasza stacja wydaje się pasażerowi zbliżającego się statku malutką zieloną iskierką na ekranie radiolokatora. A ja przecież w ciągu swego trzytygodniowego pobytu nie zdążyłem odwiedzić wszystkich laboratoriów ani poznać wszystkich mieszkańców stacji.

— Profesorze, nie śpi pan?

Poznałem głos Sylwii Haugh.

— Nie. Po prostu myślę. Zgasiłem światło, gdyż tak lepiej mi się myśli.

— Czyżby myślenie wymagało specjalnego zachodu? Ja na przykład chodzę i myślę, jem i myślę, rozmawiam i myślę…

— Dawniej również nie zauważałem, czy akurat myślę, czy nie i dopiero teraz, po przekroczeniu sześćdziesiątki, wpadłem na to, iż myślenie zasługuje na wyodrębnienie spośród innych procesów życiowych.

— Żartuje pan, profesorze. A ja tylko chciałam na prośbę kapitana przypomnieć panu, że za pół godziny włączamy ekran.

— Dziękuję. Już idę.

Usiadłem na koi i nie zdążyłem uchwycić klamry. Od samego rana na pokładzie panowała nieważkość. Przed doświadczeniami z ekranem stacja przestawała wirować i ustawiano jej oś w odpowiednim kierunku z dokładnością do mikrona. Nie lubię nieważkości, która daje przelotne, dziecinne zadowolenie z możliwości swego ciała, a potem szybko zaczyna doskwierać, męczyć i dokuczać. Wywołuje lekkie mdłości i utrudnia sen.

— Profesorze, nie śpi pan?

— Nie. To ty, Ticke?

— Nie zapomniał pan, że za pół godziny włączamy ekran?

— Idę już, idę.

Wyciągnąłem spod koi kamasze na magnetycznych podeszwach. Te buty zbyt lekko ślizgają się po podłodze i wymagają zbyt wiele siły, żeby je od niej oderwać. Stacyjni weterani przypominali mi łyżwiarzy, a ja wyglądałem jak nowicjusz, który po raz pierwszy wszedł na lodowisko.

— Profesorze, nie śpi pan?

— Dziękuję. Pamiętam. Wiem, że za pół godziny włączamy ekran.

— Przechodziłem w pobliżu i pomyślałem… Dziś jest pański dzień, profesorze.

Posiedziałem chwilę, wsłuchując się w ciche szumy i szmery wypełniające stację. Te dźwięki, choć wydawały się bardzo słabe, były zdumiewającym dowodem życia, stanowiły kontrast z beznadziejną pustką przestrzeni. Oto brzęknął rondel w kambuzie, zaterkotał robot, zaszeleściło powietrze w przewodach klimatyzatora, rozbuczał się jakiś aparat w laboratorium, pisnął kociak… Kociąt jest, tak mi się przynajmniej wydaje, co najmniej osiem. Wyfruwają z każdych drzwi, stroszą sierść, pływają przed oczami i usiłują wczepić się pazurkami w jakiś solidny, najlepiej nieruchomy przedmiot.

— Jest pan już, profesorze? Dziś jest pański dzień.

To rosyjski fizyk. Fizycy odwalili już swoja robotę i teraz mogli jedynie czekać i denerwować się razem z nami.

— Nie. Dziś jest nasz wspólny dzień — odpowiadam. — Ale przede wszystkim dzień Sylwii.

Sylwia siedzi pod ścianą naprzeciw ekranu. Na kolanach trzyma notes. Uśmiecha się do mnie z

nieśmiałą wdzięcznością. Nie obawiaj się, myszko, nikt cię stąd nie wypędzi. Dziś naprawdę jest nasz dzień przecież ekran będzie na razie pracował tylko dla nas, jedynych tutaj specjalistów. Pozostali projektowali go, obliczali, montowali, regulowali i dostrajali. My będziemy patrzeć. Sylwia jest antropologiem, a ja historykiem.

— Gorąco panu, profesorze? — zapytał Ticke spod otwartej pokrywy pulpitu sterowniczego.

— Pewnie, że gorąco — powiedział rosyjski fizyk. — Chciałoby się otworzyć lufcik w kosmos.

— Przeziębisz się — powiedział kapitan. — Dziś jest pański dzień, profesorze, jeśli tylko fizycy nie nałgali.

Kapitan zasiadł w fotelu tuż pod ekranem, ogromnym, na całą ścianę, czarnym i dlatego bezdennie głębokim.

Rosyjski fizyk wyjął z kieszeni miniaturowe szachy, ale nie utrzymał ich w ręku. Pudełko otworzyło się i pionki wachlarzowato, niczym stado spłoszonych wróbli, rozleciały się po laboratorium.

— Piętnaście minut — powiedział Richard Tempest.

Wszyscy obecni byli spokojni, może nazbyt spokojni. Bezszelestnie wślizgiwali się do laboratorium technicy, coś tam robili przy pulpicie i porozumiewali się krótkimi, urywanymi, najczęściej zupełnie niezrozumiałymi zdaniami. Sala z wolna wypełniała się widzami. Zrobiło się ciemno. Jakiś młodzieniec zdjął kamasze i zawisnął na klamrze pod sufitem.

— Niech pan siądzie tu, bliżej — powiedział kapitan. — A gdzie jest Sylwia?

Paraswati ustąpił mi miejsca. Zacisnąwszy palce na poręczach fotela, poczułem się znacznie pewniej.

— A ja wciąż nie mogę uwierzyć — powiedziała Sylwia patrząc na Ticke'a, który pochylony nad mikrofonem przekazywał do sterówki jakieś liczby.

Ticke wyprostował się, spojrzał na nas niczym dowódca na swych żołnierzy przed decydującą bitwą, zerknął na ekran i powiedział:

— Światło.

— Niech się stanie światło — szepnął rosyjski fizyk, który dawno już zrezygnował z łowienia swoich pionków.

Lampy w laboratorium przygasły, dzięki czemu wyraźniej rozjarzyły się indykatory na pulpicie.

— Zaczynajcie — oderwała się sterówka.

Na czarnej elipsie ekranu pojawiła się jasna chmurka. Zrodziła się ona gdzieś w jego głębi, ale stopniowo jaśniała, zbliżała się i rozlewała coraz szerzej. Przebiegały po niej zielone iskry. Trwało to około minuty, a potem ekran nagle zniebieszczał, a w jego dolnej części ukazały się rude i białe plamy, tworzące jakiś bardzo nieostry obraz.

— Jest — powiedział Paraswati. — Znacznie lepszy niż wczoraj.

— Znakomity! — mruknął z rozczarowaniem w głosie któryś z widzów.

— Ach! — wykrzyknęła Sylwia.

Czarodziej zdarł bielmo z ekranu, nastawił dokładnie ostrość i naszym oczom ukazał się zwyczajny ziemski krajobraz, tak realny i plastyczny, jakby ekran był oknem wychodzącym na sąsiedni świat, zalany gorącym słońcem, przesycony kurzem i świeżym wiatrem. Szeroki błękitny pas przekształcił się w niebo, a na brunatnawym piasku zarysowały się domy, głębokie koleiny na wąskiej drodze i rzadko rozrzucone palmy.

— Wszystko w porządku — powiedział Ticke. — Jesteśmy na miejscu.

— Zgadza się? — zapytał kapitan.

— Chwileczkę — powiedziałem.

Było południe. Delikatny pył wirował nad ziemią, zrytą i zdeptaną kopytami bawołów. W samym środku obrazu wznosił się nie wykończony gmach opleciony bambusowymi rusztowaniami i pokryty trzcinowymi matami — logiczne centrum sceny, którą obserwowaliśmy. Niezliczone zaprzęgi wołów i

bawołów ciągnęły w jego stronę ze stosami żółtych cegieł. Balansując na giętkich bambusowych żerdziach, wspinały się na rusztowania całe tłumy prawie nagich ludzi. Na samej górze pracowali murarze. W lewej części ekranu widach było werandę z kolumienkami obficie zdobionymi delikatną snycerką. Przed nią drzemali dwaj wojownicy z dzidami w rękach…

— No i jak, profesorze?

Wszyscy czekali na moją odpowiedź.

— To jest Pagan — odparłem. — Koniec jedenastego stulecia.

— Hura! — wykrzyknął ktoś półgłosem.

— Udało się? — zapytał głośnik podnieconym tonem.

— Hura! — odpowiedział mu rosyjski fizyk. — Ale z nas zuchy!

— Do góry profesora — zaproponował podstępny Ticke.

— Dlaczego mnie? Mogliście przecież pokazać ten obraz co najmniej kilkudziesięciu innym historykom, i każdy z nich powiedziałby to samo.

— Ale profesor powiedział pierwszy!

Musieli się w jakiś sposób odprężyć, niech więc już lepiej podrzucają mnie niż Sylwie. Starałem się jedynie nie zahaczyć o jakiś aparat, chociaż nie musiałem zupełnie tego robić, gdyż latałem wolno i godnie, niczym wielki balon. Moi prześladowcy również odrywali się od podłogi i wzlatywali wraz ze mną, przez co w półmroku laboratorium, oświetlonego jedynie słońcem dalekiego świata, zdawał się kłębić jeden wieloręki i wielogłowy potwór. Nie daj Boże, aby ludzie z tamtej strony ekranu zdołali zajrzeć na naszą stronę, gdyż z pewnością umarliby ze strachu.

— Patrzcie! — powiedziała Sylwia, która zdołała ukryć się w kącie i w ten sposób uniknąć udziału w powszechnej zabawie. — Patrzcie, człowiek!

Pomarszczony, wyschnięty na wiór starzec niósł wysoki gliniasty garnek, przyciskając go do piersi. Szedł tak blisko i był widoczny tak wyraźnie, że można było policzyć wszystkie zmarszczki na jego twarzy, i najdziwniejsze dla nas było to, że nas nie widzi. Zatrzymał się na moment, obrócił głowę w naszą stronę, westchnął i ruszył dalej. To jego spojrzenie natychmiast stłumiło rozhukaną zabawę. Ludzie opadali w dół niczym jesienne liście.

— Chciał nam powiedzieć: „Dlaczego podglądacie?”, ale nie wiedział, w jakim języku powinien do nas przemówić.

— Szkoda, że film jest niemy.

— A profesor potrafiłby go zrozumieć?

— Z trudem. Upłynęło prawie tysiąc lat.

— Cóż za znakomita rozdzielczość!

— Profesorze, proszę nam o nich opowiedzieć.

— Nie zanudzę was?

— Nigdy!

— Niech pan nam opowie!

— Nie wiem, od czego zacząć — powiedziałem. Bardzo nie lubię znajdować się w centrum uwagi. W dodatku nie mogłem wyzwolić się spod wrażenia, że właściwie jestem uzurpatorem, samozwańcem. Bo przecież dziś najważniejsza wcale nie była historia, lecz to, że ludziom udało się wreszcie zajrzeć w swoja przeszłość.

Czarnymi błyskawicami przemknęły przez ekran zakłócenia, ziemia zakołysała się.

— Zwiększ natężenie pola — zwrócił się kapitan, do Ticke a.

— Już ucieka — odparł Ticke. — Jeszcze najwyżej cztery minuty.

— Profesorze, proszę nam o nim opowiedzieć!…

— To było wielkie państwo. Jego władza rozciągała się od Himalajów i gór na południu dzisiejszych Chin do Zatoki Bengalskiej. Istniało dwieście pięćdziesiąt lat, a jego stolicą było miasto

Pagan. Gmach opleciony rusztowaniami to świątynia Ananda, pierwsza z gigantycznych świątyń zbudowanych w Paganie za panowania cesarza Czangzitty. Ta świątynia, podobnie jak całe mnóstwo innych świątyń i pagód w łącznej liczbie około pięciu tysięcy, stoi w centrum Birmy, na brzegu rzeki Irawadi.

— Stoi do dziś?

— Do dziś.

Starzec z garnkiem w rękach znów przeszedł przez ekran. Było mu ciężko i gorąco. Patrząc na niego zrozumiałem, że w laboratorium też jest bardzo gorąco. Nagłe ekran zmętniał, ale przedtem zdążyliśmy zobaczyć, jak do starca podbiegła dziewczynka i wyjęła mu garnek z rąk. Czarne błyskawice pokrywały obraz tak gęsta siatką, że twarzy dziewczynki nie zdołaliśmy już rozróżnić.

Zapłonęło sztuczne, martwe światło lamp sufitowych. Kapitan ostrożnie wstał z fotela i powiedział:

— Koniec seansu.

— A może niczego nie było, a to wszystko tylko się nam wydawało? — zapytał Paraswati.

— Wszystko zostało zarejestrowane — odparł Ticke — choćby zaraz można wyświetlić taśmę.

Obecni nie spieszyli się z opuszczaniem sali, która w istocie przypominała widownię kina, w którym przed chwilą wyświetlono niesłychanie piękny, znakomity artystycznie i dziwny film.

— Ticke, przekaż do sterówki, żeby rozpoczęli wirowanie.

Kapitan pomógł mi wydostać się z fotela i dotrzeć do drzwi.

— To było wspaniałe — powiedziałem do niego.

— A pan nie chciał tu przyjechać.

— Wiedział pan o tym?

— Tak.

— Jestem konserwatystą, a w chronoskopie trudno jest uwierzyć nawet człowiekowi świeższej daty.

Naprawdę nie chciałem lecieć na stację. Namawiałem rektora, żeby wybrał kogoś młodszego, mniej zapracowanego, mobilniejszego.

„Dobrze — mówiłem do niego. — Przypuśćmy, że chronoskopia rzeczywiście ma jakieś realne podstawy. Przypuśćmy nawet, że w pewnych warunkach można odnaleźć punkt przestrzeni, którego czas własny opóźniony jest w stosunku do czasu ziemskiego o tysiąc lat lub więcej. Co więcej, przypuśćmy, że z tego punktu będzie można spojrzeć na Ziemię. Ale co my zobaczymy z takiej odległości?” Rektor był cierpliwy i szalenie uprzejmy. Taki sam był dwadzieścia lat temu, kiedy zdawał u mnie egzamin z historii Birmy. Zawsze zachowywał się z uprzejmą pobłażliwością bez względu na to, czy rozmawiał ze swoim nauczycielem, czy z jednym z podległych mu profesorów. „Nie — odpowiedział mi. — Nie ma pan racji, profesorze. Z równym powodzeniem mógłby pan powiedzieć, że parowóz nie ruszy z miejsca, bo nie jest zaprzężony w konia. Nikt nie budowałby przez całe lata stacji, gdyby chronoskopia była mitem. Jeśli fizycy uważają, iż ekran stacji zdoła zajrzeć do jedenastowiecznej Birmy, to znaczy, że tak będzie… — Rektor przygładził na ciemieniu nie istniejące włosy i popatrzył na mnie z wyrzutem, że niby przeżyłem tyle lat i powątpiewam we wszechpotęgę nauki. Potem powiedział zupełnie innym tonem, tonem, któremu winien towarzyszyć serdeczny uśmiech: — W każdym razie zależy nam na tym. żeby na stacji znalazł się najlepszy historyk Birmy. Pan, profesorze, jest najlepszym znawca historii Birmy, o czym jestem przekonany nie tylko jako rektor, ale również jako pański uczeń. I jeśli drogi jest panu prestiż uniwersytetu… „Tu jego głos opadł do niesłyszalnego szeptu, po czym rektor zaproponował mi szklankę zimnego soku pomarańczowego. Wypiłem go i pomyślałem: a dlaczegóż by nie? Przecież nigdy jeszcze nie docierałem dalej niż na Księżyc.

Stacja ukazała mi się najpierw jako zielona iskra na ekranie radiolokatora, wyrosła później w — kłębowisko rur, kuł i lin, aby powitać mnie uściskami rąk młodych przeważnie, nieznajomych ludzi i upałem. Na stacji panował klimat przypominający pogodę w Rangunie w majowy wieczór, wilgotny od tchnienia bliskich monsunowych chmur i duszny dlatego, że promienie słońca zabłąkane w liściach

tamaryszku podgrzewają niebieskawe powietrze.

— Nawaliły nam klimatyzatory — powiedział Ticke, młodzieniec, którego długie rzęsy rzucały powłóczyste cienie na wystające kości policzkowe. — Wczoraj było tylko osiem stopni ciepła. Ale my to dzielnie znosimy.

Kapitan zaprowadził mnie do kajuty.

— Dobrze, że pan przyleciał — powiedział do mnie. — To znaczy, że nie pracujemy na darmo.

— Dlaczego?

— Pan jest człowiekiem bardzo zajętym, a więc skoro pan zdecydował się rzucić wszystko i przylecieć do nas, to znaczy, że chronoskopia jest warta tego, aby się nią poważnie zająć.

Kapitan żartował. Wierzył w chronoskopię, wierzył, że ekran będzie działał, i pragnął, abym ja również w to Uwierzył.

Od tego dnia upłynęły trzy tygodnie i entuzjaści ekranu (innych tu nie było) zyskali we mnie pełnego zapału neofitę. Trzy razy w ciągu tych trzech tygodni ekran rozjaśniał się, wypełniał się różnobarwnymi chmurkami, ukazywał nam przelotnie jakieś niezrozumiałe obrazy, i to wszystko. Aż wreszcie dzisiaj zobaczyliśmy Pagan.

O siódmej czasu pokładowego zebraliśmy się w laboratorium. I tak codziennie. Jeden seans na dobę. Dwadzieścia siedem minut z sekundami. Potem obraz rozpływał się…

Moje pierwotne przypuszczenie, że weranda czy taras z kolumnami stanowi fragment pałacu cesarza Czangzitty, potwierdziło się już następnego dnia, kiedy w połowie seansu w oddali zakłębił się kurz, z którego po chwili wyłonili się jeźdźcy, aby osadzić konie przed stopniami tarasu. Strażnicy wyprężyli się i unieśli dzidy. Do tarasu zbliżył się słoń z kłami okutymi miedzią. Na jego grzbiecie, pod złotym baldachimem, siedział niestary jeszcze mężczyzna o grubo ciosanej twarzy. Poznałem go, bo wielokroć widziałem jego posąg w mrocznej centralnej sali świątyni Ananda. Rzeźbiarz doskonale oddał podobieństwo portretowanego władcy. Teraz już nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że matką cesarza, jak to utrzymywały kraniki, była Hinduska.

— No tak — powiedziałem wówczas. — Miałem rację. Kronikom należy wierzyć głównie w tych fragmentach, których nie można uzasadnić późniejszymi względami natury politycznej.

— Kto to jest? — zapytał Ticke.

— Cesarz Czangzitta — zdziwiłem się. — To przecież oczywiste!

— Profesorze, pan jest wspaniały — powiedział kapitan. — Rzecz jasna, że to jest cesarz Czangzitta, znany nam wszystkim od najmłodszych lat.

Cesarzowi towarzyszył nieodstępnie najwyższy kapłan, postać również doskonale znana ze źródeł pisanych, Szin Arachan, zasuszony starzec o godnym wyglądzie. Starzec nie udał się wraz z cesarzem do pałacu, lecz dawał jakieś cenne wskazówki budowniczemu Anandy, rysując laską na piasku różne szczegóły architektoniczne.

Tego samego dnia zobaczyliśmy, jak nadzorcy katują bambusowymi kijami robotników, którzy coś przewinili. Widok był okropny i wydawało się, że krzyki ludzi przez setki lat i miliardy kilometrów przenikają do laboratorium. W dwie minuty później już cała stacja wiedziała, co się dzieje, i w sali stłoczyli się fizycy, elektronicy i monterzy, a ich ocena okropnego widowiska była tak ostra, że zacząłem wstydzić się średniowiecznej Birmy i chyba dlatego powiedziałem, gdy już zgasł ekran:

— Naturalnie, gdyby nam pokazano wyprawy krzyżowe lub opryczników Iwana Groźnego, nikt z was by się nie oburzał.

— Profesorze, proszę się nie martwić — odpowiedział mi w imieniu wszystkich kapitan. — Bywało znacznie gorzej. I wcale nie musielibyśmy sięgać tak daleko w przeszłość. Ale zobaczyliśmy właśnie Birmę i nie możemy wejść w ekran, aby złapać nadzorcę za rękę.

Następnego dnia na piasku, gdzie wymierzano karę bambusów, widniały brunatne plamy „krwi. Pod koniec seansu zerwał się wiatr i zasypał je kurzem.

Życie moich odległych przodków było ciężkie, brudne i okrutne. Złoty wiek z kronik i legend wyglądał w istocie zupełnie inaczej. Tym bardziej zdumiewała świątynia Ananda, doskonała, lekka, szlachetna w kształcie, zbudowana po to, aby przez wieki całe wysławiać Imperium Pagańskie. Dumnie wynosiła się ponad cierpieniami małych ludzi i stawała się pomnikiem tych właśnie maluczkich, którzy nie darmo jednak przeżyli swoje niezbyt długie lata.

Starzec, który niósł wodę pierwszego dnia, miał córkę, którą znali wszyscy mieszkańcy stacji, a fizycy, ludzie o naturach hazardzistów, przychodząc ma spotkanie z nią zakładali się uprzednio o to, czy pojawi się dziś, czy nie.

Córka (a może wnuczka) starca była niezbyt wysoka, smukła i giętka jak trzcina. Jej czarne włosy związane były rzemykiem na karku i ozdobione drobnymi białymi kwiatuszkami. Skórę miała barwy teakowego drewna, a oczy podobne do górskich jezior. Nie próbujcie zarzucać mi romantycznej przesady, gdyż właśnie taką ją pamiętam, właśnie takie porównania przyszły mi do głowy, kiedy ją po raz pierwszy ujrzałem. I skoro ja, stary człowiek, wyrażam się o niej tak górnolotnie, to o młodych nie ma nawet co mówić. Tylko Sylwia była niezadowolona. Wpatrywała się w Ticke a, a Ticke nie odrywał wzroku od pagańskiej dziewczyny.

Któregoś dnia niechcący podsłuchałem rozmowę Sylwii Haugh z Tickem.

— Wszystko to, co widzimy na ekranie, przypomina spektakl teatralny — powiedziała Sylwia. — Czujesz to, Ticke?

— Chcesz powiedzieć, że to wszystko zostało przez kogoś wymyślone?

— Prawie. Tego nie ma.

— Ale ci ludzie są realni i nie wiemy, co się z nimi stanie jutro.

— Nie, wiemy. Profesor wie. Ci ludzie umarli prawie tysiąc lat temu. Została tylko świątynia.

— Nie, oni są realni. Stąd, ze stacji, widzimy ich prawdziwe życie.

— Oni umarli tysiąc lat temu.

— Przypatrz się, jak ona się uśmiecha.

— Ona nigdy cię nie zobaczy.

— Za to ja ją widzę.

— Ale ona — umarła tysiąc lat temu! Nie można zakochać się w cieniu.

— Sylwio, zastanów się, co mówisz! Skąd ci przyszło do głowy, że się w niej zakochałem?

— W przeciwnym razie tak gorąco byś jej nie bronił.

— Wcale jej nie bronię.

— Chciałbyś, żeby dzisiaj przyszła.

— Chciałbym.

— Szaleniec…

Siedziałem ukryty w głębokim fotelu i do końca mnie nie zauważyli. Uśmiechnąłem się, kiedy Sylwia uciekła korytarzem, przyciskając do piersi teczkę ze zdjęciami i rysunkami Birmańczyków żyjących w okresie pagańskim. Ticke wrócił do pulpitu i zaczął w nim grzebać, pogwizdując cicho jakąś smutną melodię. Przypominał człowieka, który pokochał Nefretete, uwiecznioną w kamieniu piękną chwilę z dalekiej przeszłości.

W trzy dni później znów wydarzyło się coś, co rozpaliło do białości całą stację, gdyż wszyscy jej mieszkańcy szalenie interesowali się życiem Paganu. Przyjechali posłowie khmerscy. Człowiekowi, nie znającemu historii Birmy, trudno chyba będzie zrozumieć moje podniecenie, kiedy rozpoznałem Khmerów w zmęczonych długą drogą, długowłosych, bogato odzianych mężczyznach. Khmerowie schodzili z klękających słoni, a słudzy otwierali nad nimi złote parasole, oznaki szalachectwa i władzy. Tak, to byli Khmerowie, z których imperium graniczył Pagan. I może właśnie teraz, jutro lub pojutrze, zostanie rozstrzygnięty długi spór historyków o to, czy Pagan płacił daninę Angkorowi, czy też rację miała kronika Dhammajan Jazawin, utrzymująca, że królowie khmerscy uznawali zwierzchnictwo Paganu.

Posłowie udali się do pałacu. Za nimi słudzy nieśli skrzynie z podarunkami, naczynia z betelem, tace pełne owoców. Cały pałac ogarnięty był podnieceniem, otoczony tłumem gapiów, a przez tumany wzniesionego przez nich kurzu widać było czasem, jak robotnicy pospiesznie zdzierają rusztowania i maty ze świątyni Ananda, którą najwyraźniej zamierzano pokazać szacownym gościom.

W nocy musiałem zażyć środek nasenny. Sen nie przychodził. Czas stanął w miejscu. Posłowie w każdej chwili mogli odjechać, usunąć się z mego pola widzenia i już na zawsze przepadną dla mnie i historii wszystkie te drobne szczegóły zachowania, które tylko ja potrafiłbym zrozumieć, a wedle których można bezbłędnie określić rzeczywiste stosunki między Birmańczykami a Khmerami — odwiecznymi konkurentami i wielkimi budowniczymi.

… I znów ekran się rozjarzył. Gapie wciąż tłoczyli się wokół pałacu. To znaczy, pomyślałem i nieco ulżyło mi na sercu, to znaczy, że posłowie jeszcze nie odjechali.

Od studni szła z pełnym dzbanem nasza znajoma dziewczyna. Postawiła go na stopniach tarasu i powiedziała coś do strażnika. Widocznie w Paganie panowały dość proste obyczaje, bo strażnik nie odpędził dziewczyny, lecz zaczął z nią z wielkim ożywieniem rozmawiać. Potem przyłączył się do nich mnich w niebieskiej todze braci leśnych, zajrzał przez balustradę do wnętrza pałacu, a drugi strażnik coś wesoło do niego zawołał. Jakiś mężczyzna, gruby i lśniący od oliwy, pewnie któryś ze sług pałacowych, wyszedł na taras, podniósł dzban i napił się z niego.

Ticke zapomniał o pulpicie. Wpatrywał się jak zahipnotyzowany w dziewczynę. Nieznacznie zerknąłem w inną stronę, tam gdzie siedziała Sylwia. Sylwia udawała, że bez reszty pochłaniają ją notatki.

Jeden z khmerskich posłów wolno i uroczyście, jak aktor podrzędnego teatru, wyłonił się spoza krawędzi ekranu i stanął przy balustradzie, patrząc z roztargnieniem na biała świątynię. Za nim lekko, postukując odrobinę laską, kroczył Szin Arahan, najwyższy kapłan.

Zapytał o coś Khmera, a siedzący obok mnie fizyk odgadł jego pytanie:

— No i jak, podoba się wam nasza świątynia?

Khmer odpowiedział, a fizyk znów przetłumaczył:

— Niezła. Mamy lepsze.

Ticke patrzył tylko na dziewczynę. Dziewczyna patrzyła na Khmera, który był dla niej egzotycznym wysłannikiem obcego, niedostępnego świata. Khmer widocznie poczuł jej wzrok, bo obrócił się do Szin Arahana i coś do niego powiedział z uśmiechem. Fizyk natychmiast przetłumaczył:

— Dziewczyny macie tu lepsze niż świątynie.

Ktoś za mną zachichotał. Ticke posmutniał. Szin Arahan kiwnął głową i również zerknął na dziewczynę, która zmieszała się i cofnęła o parę kroków. Strażnicy wybuchnęli gromkim śmiechem. Khmer również się roześmiał i zaczął do czegoś namawiać Szin Arahana, wskazując dziewczynę upierścienionym palcem… Najwyższy kapłan uśmiechał się tylko uprzejmie, ale najwidoczniej nie dawał spodziewanej odpowiedzi.

— „Oddaj ją mnie”, domaga się szacowny gość — powiedział fizyk.

— Przestań! — skarciła go Sylwia.

— Rzeczywiście, daj spokój — poparł ją Paraswati. — Co my bez niej zrobimy?

— Przecież on jest stary — powiedziała Sylwia.

Ticke nie słuchał ich. Patrzył na ekran. Potem przyznał mi się, że wciąż walczył z pragnieniem wyłączenia go, jakby to mogło cokolwiek zmienić, przerwać łańcuch wydarzeń. Ale powiedział to o wiele później.

Khmer odszedł wyraźnie niezadowolony. Powiedziałem:

— To oczywiste, że Pagan nie był wasalem Khmerów, gdyż w przeciwnym Fazie Szin Arahan nie odważyłby się odmówić posłowi. Ten kapłan był wielkim dyplomatą… Inna rzecz, że nie wiemy, czy istotnie Khmer żądał podarowania mu dziewczyny.

— Żeby tylko jakoś to ją ominęło… — powiedział Paraswati.

Jego obawy były niestety uzasadnione. Szin Arahan przez chwilę stał na werandzie i nad — czymś się zastanawiał, ukrywszy oczy w siatce zmarszczek. Wydawało się, że nie widzi nikogo z otaczających go ludzi, ale kiedy dziewczyna podkradła się do tarasu, żeby wziąć dzban, nagle ocknął się, krzyknął coś do strażników, odwrócił się i szybko wszedł do pałacu. Strażnicy podeszli z dwóch stron do znieruchomiałej z przerażenia dziewczyny, a jeden z nich trącił ją w plecy drzewcem dzidy. Dziewczyna pokornie poszła przed nimi przez plac, a tłum gapiów w milczeniu rozstąpił się przed nią. Seans kończył się.

Tym razem nikt nie wyszedł z laboratorium. Kiedy zapłonęły lampy, stwierdziłem, że wszyscy patrzą na mnie, jakbym potrafił wyjaśnić widzianą dopiero co scenę, a najważniejsze, przekonać ich, że dziewczynie nie stanie się żadna krzywda… Powiedziałem więc:

— W najlepszymi razie Szin Arahan kazał ją ukryć przed Khmerem. Może zna jej ojca, a może zwyczajnie zrobiło mu się jej żal.

— A w najgorszym?

— Nie wiem. Najgorszych wariantów jest zawsze znacznie więcej niż najlepszych. Całkiem możliwe, że najwyższy kapłan postanowił jednak zrobić niespodziankę Khmerowi i wręczyć mu podarek przed odjazdem. Możliwe też, że dziewczyna czymś uchybiła posłowi i zostanie za to ukarana…

— Ale przecież ona nic nie powiedziała…

— Tak jeszcze mało wiemy o zwyczajach tamtej epoki!

Ticke wieczorem przyszedł do mojej kabiny.

— Profesorze, ja oszaleję — powiedział.

— Czym ci mogę pomóc? — zapytałem. — Postaraj się zrozumieć, że to jest iluzja, jakimś cudem zachowany film dokumentalny, a my jesteśmy pierwszymi ludźmi, którzy go oglądają.

— W to nie można uwierzyć. Chciałem wyłączyć ekran, bo pomyślałem, że w ciemności ona zdołałaby uciec.

Ticke wyszedł skontrolować aparaturę, upewnić się, że jutrzejszego seansu nie zakłóci żadne przypadkowe uszkodzenie. Ale tego dnia nic szczególnego się nie wydarzyło.

Nieprawda. Widzieliśmy starca, który leżał w kurzu przed stopniami pałacu i błagał strażników, żeby wpuścili go do środka, ale tym razem strażnicy byli surowi i milczący. To znaczy, że dziewczynie nadal groziło niebezpieczeństwo. Ze świątyni robotnicy zdejmowali ostatnie rusztowania i doprowadzali ją do porządku. U jej podnóża wykopali wąski, głęboki dół, od pałacu do głównego wejścia rozłożyli maty, a żołnierze z krótkimi zakrzywionymi mieczami rozpędzali gapiów, żeby nie zadeptali powstałego w ten sposób chodnika.

Główna ceremonia została przeniesiona na jutro.

Człowiek jest bardzo dziwnym stworzeniem. Jeszcze dwa dni temu interesował mnie tylko jeden problem: jakie stosunki zależności łączyły Pagan z Ankgorem, kto komu składał daniny. To była kwestia niezmiernie ważna dla historii Birmy, ale mało interesująca kogokolwiek poza mną. Natomiast w dniu ostatniego seansu, w dniu, na który przypadła konsekracja świątyni Anada, ceremonia niesłychanie uroczysta, szczególnie uroczysta ze względu na obecność zagranicznych gości, zapomniałem o suwerenach, wasalach i w ogóle władcach. Tak samo, jak wszyscy pozostali mieszkańcy stacji, niepokoiłem się o losy dziewczyny, której zdjęcia wisiały chyba w co drugiej kabinie i za której uśmiech gotowi byliśmy popełnić każde szaleństwo. Ale nie mogliśmy popełnić żadnego.

— Pozycja — mówi do mikrofonu Ticke. — Światło. Seans.

— Jest pozycja — odpowiada sterówka.

Gaśnie światło. Na ekranie ukazuje się plac wypełniony po brzegi tłumem ludzi. Wolny jest tylko prowadzący do świątyni chodnik ułożony z mat. W pobliżu świątyni tłum rozpada się na jaskrawe plamy. W niebieskich togach stoją ari, bracia leśni. Bramini są spowici w białe szaty, a prawdziwi buddyści,

współwyznawcy Szina Arahana mają na sobie togi żółte i pomarańczowe. Kurz unosi się nad stłoczonymi ludźmi i przesłania całą scenę lekką mgiełką.

Uroczysta procesja schodzi majestatycznie z werandy. Jako pierwszy wstępuje na chodnik Szin Arahan, prowadzony pod ręce przez mnichów. Zanim pod dwustoma złotymi parasolami kroczy cesarz Czangzitta. Następnie ministrowie, urzędnicy, posłowie Kambodży, posłowie Arakanu, posłowie Cejlonu…

Technicy dają maksymalne powiększenie i dlatego wydaje się nam, że rama ekranu zapada się w głąb, świątynia rośnie i wraz z cesarzem zbliżamy się ku niej, niezwykle dziś pięknej i złowieszczej. Nikt, nawet ja, stary dureń, nie wie, co się może za moment wydarzyć, więc wszyscy czekamy w napięciu.

Czekamy, aż cesarz pokona odległość dzielącą go od świątyni. Spoglądam na zegarek. Do końca seansu zostało dziesięć minut. Niechaj to, myślę małodusznie, co się ma stać, stanie się potem, kiedy już tego nie będziemy widzieć. I w tym samym momencie zaczynam rozumieć, czego się lękam, do czego nie chcę się przyznać nawet samemu sobie i czego nikt nie może wiedzieć.

Istnieje pewna legenda odnotowana w wielu kronikach, w którą wierzy większość historyków. Mówi ona, że w dniu konsekracji świątyni pod jej murami wykopano głęboki dół, w którym pogrzebano najpiękniejsza dziewczynę cesarstwa.

Widzę, jak cesarz wraz z całą procesją zatrzymuje się nad wykopanym wczoraj dołem, i mówię:

— Tak.

— Co? — zapytał Ticke. — Co się stanie?

— Mogę się mylić.

— Profesorze, co się stanie?!

Opowiadam im legendę. Jeszcze nie zdołałem jej skończyć, gdy tłum rozstąpił się i mnisi w żółtych togach przyprowadzili przed oblicze cesarza obnażoną do pasa, zapłakaną, piękną jak nigdy dziewczynę. Naszą dziewczynę. Patrzę na zegarek. Do końca seansu pozostały cztery minuty. Żeby to wszystko już jak najszybciej się skończyło. Niczego już nie zmienimy. Ticke zasłania mi ekran. Stoi tuż przy nim, jakby usiłował na zawsze zapamiętać tę chwilę, jakby chciał zapamiętać twarze mnichów prowadzących dziewczynę i zemścić się na nich za to, jakby chciał zapamiętać twarz kata, barczystego, ciemnoskórego mężczyzny z nożem w ręku, który wychodzi dziewczynie naprzeciw i czeka w półobrocie na znak Szina Arahana.

— Ticke, odejdź — mówi ktoś za moimi plecami.

Ticke nie słyszy. Szin Airahan pochyla głowę.

Znajdujemy się tak blisko ludzi zgromadzonych przed świątynią, że omal słyszymy ich oddechy i urywany jęk dziewczyny, która jak zaczarowana patrzy na lśniący nóż i zaraz krzyknie…

— Aj!… — rozlega się krzyk.

Odwracamy się. Koniec. W drzwiach stoi Sylwia. Spóźniła się. Z pewnością nie zamierzała tu przyjść, ale nie wytrzymała samotności. Sylwia zaciska ręką usta i wpatruje się w ekran. My też wracamy do niego. Za późno. Przegapiliśmy właściwy moment.

Przegapiliśmy moment, w którym Ticke zbliżył się do ekranu i wszedł weń.

Ticke a nie ma na sali.

Ticke jest w Pagnie. W jakiś nieprawdopodobny, niewytłumaczalny sposób znalazł się o tysiąc lat i miliardy kilometrów od nas w tłumie mnichów, wielmożów, żołnierzy, niebieskich ari i białych braminów.

Rozwarte w krzyku usta… Ręka kata, znieruchomiała w powietrzu… Mnisi padający na twarz… Ticke jest już przy dziewczynie. Odpycha osłupiałego kata i chwyta ją na ręce… Dziewczyna, widać zemdlona, zwisa mu przez ręce.

Ticke na moment nieruchomieje. Żyją tylko oczy, źrenice miotające się w poszukiwaniu drogi

ratunku. Zrozumiał już, że do nas nie wróci, że jest sam w dalekiej przeszłości.

Tak go właśnie zapamiętałem: wysoki, barczysty, smagły młodzieniec w srebrzystym, obcisłym kombinezonie i miękkich czerwonych kamaszkach do kostek. Na piersi złota spirala, znak Służby Czasu. Stoi w szerokim rozkroku, a dziewczyna na jego rękach zdaje się być nieważka.

Kadr jest nieruchomy. Tylko kurz wiruje leniwie w gorącym powietrzu.

Ale zaraz ów bezruch wybucha błyskawicznym pędem.

Ticke pędzi po matach w naszą stronę, ale nie ma przed sobą ekranu, tylko zakurzony plac, a za nim urwisty brzeg Irawadi. Znika pod — dolną ramą ekranu, a oprzytomnieli żołnierze, mnisi, urzędnicy rzucają się w pogoń za nim… Ekran mętnieje, pokrywa się czarnymi pasmami i gaśnie.

To wszystko. Nigdy już Ticke a nie zobaczyliśmy. Może zabili się skacząc z urwiska. Może dopędzili ich i zamordowali. Albo ją zamordowali, a jego sprzedali w niewolę. Może udało im, się uciec i ukryć wśród pobliskich wzgórz. Może…

Nie zdołaliśmy więcej schwytać przyzwoicie Paganu. Coś się w układzie łączności rozregulowało i do jego naprawienia potrzeba było kilku miesięcy pracy.

Sylwia i ja odlecieliśmy pierwszym statkiem. Fizycy zostali. Dyskutują i długo jeszcze będą dyskutować o przyczynach dziwnego zjawiska, które usiłują opisać wzorami. Nie znam się na tym, jestem starym historykiem, zwolennikiem konserwatywnych metod badawczych.

Na moim biurku stoi fotografia dziewczyny o oczach jak górskie jeziora.

Przetłumaczył Tadeusz Gosk

Wadim Szefner
Skromny geniusz

1

Sergiusz Kładiezjew urodził się na Wyspie Wasilewskiej. To było dziwne dziecko. Kiedy inne dzieci bawiły się w piasku, budowały z niego zamki i lepiły babki, on kreślił na piasku części jakichś nieznanych, niepojętych maszyn. W drugiej klasie szkoły podstawowej. skonstruował przenośny aparat zasilany bateryjką od latarki. Ten aparat potrafił przepowiedzieć każdemu uczniowi, ile dwójek dostanie w danym tygodniu. Aparat został uznany za niepedagogiczny i dorośli odebrali go dziecku.

Po ukończeniu szkoły Sergiusz poszedł do Technikum Elektrotechnicznego. W tym technikum uczyło się całe mnóstwo ładnych dziewcząt, ale Sergiusz jakoś ma żadną z nich nie zwracał uwagi — może dlatego, że widział je codziennie.

Aż kiedyś w czerwcu wypożyczył łódkę na przystani i spłynął Małą Newa do zatoki. Koło Wyspy Wolnej zauważył łódkę z dwiema nieznajomymi dziewczętami. Dziewczęta ugrzęzły na mieliźnie i w dodatku złamały wiosło, usiłując zepchnąć łódkę z owej mielizny. Pomógł im wrócić na przystań, zaprzyjaźnił się nimi i zaczął chodzić do nich w gościnę. Obie przyjaciółki też mieszkały na Wasilewskiej — Swietłana przy Szóstej linii, a Lusia przy Jedenastej.

Lusia w tym czasie uczęszczała na kursy maszynopisania, a Swieta nigdzie się nie uczyła, gdyż uważała, że dziesięć klas zupełnie jej wystarczy. W dodatku miała zamożnych rodziców, którzy często jej powtarzali, że już najwyższy czas wydać się za mąż. W głębi serca zgadzała się z nimi, ale była zbyt wybredna i nie zamierzała wychodzić za pierwszego lepszego.

Z początku Sergiuszowi bardziej podobała się Lusia, ale nie wiedział, jak ma do niej podejść, jak ją sobie pozyskać. Lusia była tak piękna i skromna, tak bardzo krępowała się i starała pozostawać na uboczu, że i Sergiusz zaczął się jej krępować. Natomiast Swieta była dziewczyną wesołą i pełną radości życia, była co się zowie swoją dziewczyną i Sergiusz czuł się przy niej dobrze i swobodnie, chociaż z natury był nieśmiały.

Kiedy więc następnego roku w lipcu Sergiusz pojechał na wakacje do swego kolegi w Rożdiestwience, okazało się, że Swieta też tam przyjechała w odwiedziny do jakiegoś krewnego. To był szczęśliwy przypadek, ale Sergiuszowi wydało się, że jest to zrządzenie losu. Teraz codziennie chodził ze Świętą do lasu i nad jezioro i wkrótce nabrał przekonania, że bez Święty nie może dłużej żyć.

On sam jednak niezbyt się podobał Swietłanie, która uważała go za człowieka do obrzydliwości zwyczajnego, a marzyła przecież o niezwykłym mężu. Z Sergiuszem chodziła do lasu i nad jezioro ot tak sobie, po prostu dlatego, że trzeba było przecież jakoś zabić czas, a we dwoje zdobić to łatwiej. Dla Sergiusza były to natomiast dni pełne szczęścia, gdyż wydawało mu się, że i on trochę się tej dziewczynie podoba.

Któregoś wieczora stali razem nad brzegiem jeziora. Smuga księżycowego blasku, niczym chodnik utkany przez rusałki, leżała na gładkiej wodzie. Panowała niczym nie zmącona cisza, w której rozlegał się śpiew słowików, buszujących w krzewach dzikiego bzu na przeciwległym brzegu.

— Jak pięknie i cicho! — powiedział Sergiusz.

— Tak, całkiem przyzwoicie — odparła Swietłana. — Bombowy widok. Dobrze byłoby narwać bzu, ale brzegiem za daleko, a łódki nie mamy. Przez jezioro nie da się przejść suchą nogą. Wrócili do osiedla i udali się każde do swego domu. Sergiusz jednak nie spał przez całą noc, tylko coś kreślił i liczył. Rano wyjechał do miasta i spędził tam dwa dni. Z miasta przywiózł jakieś zawiniątko.

Kiedy późnym wieczorem wybierali się nad jezioro, zabrał to zawiniątko ze sobą. Nad samą wodą rozwinął papier i wydobył z niego dwie pary specjalnych łyżew, na których można było ślizgać się po wodzie.

— Masz, włóż te łyżwy wodne — zwrócił się do Swietłany. — Wynalazłem je dla ciebie.

Włożyli te łyżwy i lekko pomknęli na nich po jeziorze w stronę przeciwległego brzegu. Dotarli tam,

nałamali wielkie bukiety bzu i długo i długo ślizgali się z nimi po jeziorze zalanym księżycowym blaskiem.

Od tej pory co wieczór chodzili nad jezioro. Biegali po lustrze wody na posuwistych wodnych łyżwach, które na srebrzystej toni zostawiały szybko rozpływające się wąziutkie ślady.

Kiedyś na samym środku jeziora Sergiusz powstrzymał swój bieg. Swietłana również zahamowała i podjechała do niego.

— Swieta, wiesz co? — powiedział Sergiusz.

— Nie wiem — odparła Swietłana. — O co chodzi?

— Rozumiesz, Swieta, kocham cię.

— No tak, tego tylko brakowało! — powiedziała Swieta.

— To znaczy, że zupełnie ci się nie podobam? — zapytał Sergiusz.

— Nie, dlaczego, jesteś chłopak całkiem do rzeczy, ale ja mam inny ideał. Pokocham tylko człowieka niezwykłego. A ty jesteś zwyczajny, uczciwie ci to mówię.

— Wiem, że mówisz uczciwie — powiedział smutnym tonem Sergiusz.

W milczeniu wrócili na brzeg? a następnego dnia Sergiusz wyjechał do miasta. Przez jakiś czas wyglądał jak z krzyża zdjęty, wychudł i wiele spacerował po ulicach, a czasami wyjeżdżał za miasto i tam włóczył się bez celu. Wieczorami natomiast do późna krzątał się w swoim malutkim warsztaciku-laboratorium.

Pewnego razu na bulwarze koło sfinksów spotkał Lusię, która ucieszyła się na jego widok. Od razu to spostrzegł.

— Sierioża, co ty tu robisz? — zapytała.

— Po prostu spaceruję sobie. Bądź co bądź mamy wakacje.

— Ja też po prostu spaceruję — wyznała Lusia. — Może wybierzemy się razem do Parku Kultury? — dodała i zaczerwieniła się.

Pojechali na Wyspę Jełagina i tam długo spacerowali alejami parku. Potem spotykali się jeszcze kilkakrotnie i włóczyli się razem po mieście. Dobrze im było ze sobą.

Któregoś dnia Lusia wpadła do Sergiusza, bo zamierzali pojechać do Pawłowska.

— Ależ u ciebie bałagan! — powiedziała Lusia. — Tyle rozmaitych kolb, aparatów… Po co ci to wszystko?

— W wolnych chwilach zajmuję się drobną wynalazczością — odparł Sergiusz.

— Tak? Nic mi o tym nie mówiłeś — zdziwiła się Lusia. — A może potrafisz naprawić moją maszynę do pisania? To taki stary grat kupiony w komisie… Czasami taśma się w niej zacina.

— Dobrze, wpadnę do ciebie i zobaczę, co się da zrobić.

— A co to jest? — zapytała Lusia. — Nigdy nie widziałam takiego dziwnego aparatu fotograficznego.

— To zwyczajny FED, tyle że z przystawką, którą niedawno skonstruowałem. Dzięki temu urządzeniu można fotografować przyszłość. Moja przystawka jest jednak bardzo niedoskonała, bo chwyta obraz najwyżej na trzy lata w przód.

— Ale i trzy lata to bardzo wiele! Dokonałeś wielkiego odkrycia!

— Nie przesadzaj! — machnął ręką Sergiusz. — To bardzo prymitywna zabawka.

— A masz już jakieś zdjęcia?

— Mam. Niedawno byłem za miastem i tam fotografowałem.

Sergiusz wyjął z szuflady biurka kilka zdjęć formatu dziewięć na dwanaście.

— Spójrz, tutaj sfotografowałem brzózkę na łące w jej dzisiejszym stanie, bez przystawki. A na tej fotografii masz tę samą brzózkę o dwa lata starszą.

— Trochę podrosła — powiedziała Lusia. — I gałązek jej przybyło.

— A tutaj widzisz ją w trzy lata później — Sergiusz pokazał Lusi kolejne zdjęcie.

— Ależ jej tu nie ma! — zdziwiła się Lusia. — Tylko jakiś pieniek, a obok niego jakiś lejowaty dół. A tam dalej, popatrz, biegną jacyś żołnierze. Są nisko pochyleni i ubrani w dziwne mundury… Nic nie rozumiem!

— Sam się zdziwiłem, kiedy wywołałem to zdjęcie — powiedział Sergiusz. — Prawdopodobnie, tak przynajmniej sądzę, w tym miejscu będą manewry wojskowe.

— Wiesz co, Sergiuszu, spal to zdjęcie. W tym kryje się jakaś tajemnica wojskowa. Co będzie, jeżeli zdjęcie trafi do rąk zagranicznego szpiega?!

— Masz rację, jakoś o tym nie pomyślałem.

Podarł zdjęcie, wrzucił do pieca, gdzie leżało już całe mnóstwo rozmaitych śmieci, i podpalił.

— Teraz będę spokojna — powiedziała Lusia. — A teraz sfotografuj mnie, jaka będę za rok. W tym fotelu pod oknem.

— Przystawka łapie tylko teren i to, co się na nim znajduje. Jeśli za rok nie będziesz siedziała w tym fotelu, to nie wyjdziesz na zdjęciu.

— Jednak spróbuj mnie sfotografować. A nuż za rok, dokładnie tego samego dnia i o tej samej godzinie będę siedziała w tym fotelu.

— Dobrze — odparł Sergiusz. — Mam akurat w aparacie błonę z jedną wolną klatką.

I sfotografował Lusię w fotelu z jednorocznym wyprzedzeniem.

— Wiesz co? — powiedział. — Od razu wywołam błonę i zrobię odbitkę. Dziś nasza łazienka jest wolna, bo nikt nie robi wielkiego prania.

Poszedł do łazienki, przewinął błonę, załadował ją do ebonitowego koreksu i wywołał, po czym przyniósł błonę do pokoju, aby wyschła na sznurku pod oknem.

Lusia wzięła błonę za brzeg i obejrzała pod światło ostatnią klatkę. Na negatywie trudno się rozpoznać, ale mimo to wydało się jej, że na zdjęciu w fotelu nie siedzi ona, a bardzo pragnęła, żeby w fotelu za rok siedziała właśnie ona. „Nie — pomyślała wreszcie — to chyba jednak ja, tylko źle wyszłam na fotografii

Kiedy błona wyschła, poszli oboje do łazienki, gdzie już paliła się czerwona żarówka. Sergiusz włożył błonę do powiększalnika, włączył światło i obraz zogniskowany w obiektywie przyrządu padł na papier fotograficzny. Szybko wrzucił zdjęcie do wywoływacza i na papierze zaczął ukazywać się zarys postaci kobiecej w fotelu. To była zupełnie nieznajoma kobieta, która trzymała na kolanach kawał sukna, na którym wyszywała wielkiego kota. Kot był prawie gotowy. Brakowało mu tylko ogona.

— To nie ja tu siedzę — powiedziała Lusia z rozczarowaniem w głosie. — Jakaś zupełnie inna kobieta!…

— Tak, to nie jesteś ty — powiedział Sergiusz. — Ale nie wiem, kto to jest. Ja tej kobiety nigdy w życiu nie widziałem.

— Wiesz co, Sergiuszu, muszę już iść do domu — powiedziała Lusia. — Możesz do mnie nie przychodzić. Swoją maszynę oddam do naprawy mechanikowi.

— Wobec tego pozwól przynajmniej, żebym cię odprowadził!

— Nie, Sergiuszu, nie trzeba. Nie chcę wtrącać się do twojego życia.

I wyszła.

„Moje wynalazki jakoś nie przynoszą mi szczęścia” — pomyślał Sergiusz, po czym wziął młotek i rozbił pechową przystawkę.

2

W jakieś dwa miesiące później Sergiusz Kładiezjew spacerował Wielkim Bulwarem. W pewnej chwili zobaczył młodą kobietę siedzącą na ławce i rozpoznał w niej tę nieznajomą, która wyszła na jego zdjęciu.

— Przepraszam, która teraz może być godzina? — zwróciła się do niego nieznajoma.

Sergiusz udzielił na to pytanie precyzyjnej odpowiedzi i przysiadł się do młodej kobiety. Nawiązał z nią rozmowę o leningradzkiej pogodzie, a następnie przedstawił się. Dziewczyna też się przedstawiła. Miała na imię Tamara. Zaczęli się spotykać i wkrótce pobrali.

Niebawem urodził się syn, któremu Tamara nadała imię Alfred.

Tamara okazała się niewiastą dość nudną. Właściwie niczym się nie interesowała, tylko wciąż siedziała w fotelu pod oknem i wyszywała na kilimkach koty, łabędzie i jelenie, które potem dumnie rozwieszała na wszystkich ścianach. Sergiusza nie kochała i wyszła za niego za mąż tylko dlatego, że miał własny pokój, a poza tym dlatego, że ukończyła wyższą szkołę hodowli koni i nie chciała jechać na prowincję. Kobiety zamężnej nikt nie miał prawa na prowincję wysłać.

Skoro Tamara była kobietą nudną, to Sergiusza uważała za człowieka nudnego, nieinteresującego i tuzinkowego. Nie podobało się jej, że mąż w wolnych chwilach zajmuje się wynalazczością, co jej zdaniem było zwyczajnym marnotrawieniem czasu. Nieustannie gderała i wymyślała mu za to, że zagraca pokój swoimi aparatami i narzędziami.

Aby rozluźnić pokój, Sergiusz skonstruował AUDL — niewielkie Antygrawitacyjne Urządzenie o Działaniu Lokalnym. Teraz dzięki AUDLowi mógł pracować na suficie. Nakleił na suficie dębowy parkiet, postawił tam swój stolik warsztatowy i umieścił wszystkie narzędzia. Żeby nie brudzić ściany przy wchodzeniu na sufit, Sergiusz zrobił na niej wąski chodniczek z linoleum. Po takim przemeblowaniu dół pokoju należał do żony, a góra stała się pracownią i laboratorium Sergiusza.

Ale Tamara wciąż była niezadowolona. Zaczęła się teraz obawiać, że o wszystkim dowie się kwaterunek i ze względu na zwiększenie powierzchni mieszkalnej podwyższą komorne. Poza tym nie podobało się jej, że Sergiusz jak nigdy nic chodzi sobie po suficie. Uważała to po prostu za nieprzyzwoite.

— Choćby przez szacunek dla mojego wyższego wykształcenia mógłbyś nie chodzić do góry nogami — mówiła do niego z dołu, siedząc na fotelu. — Wszystkie żony mają za mężów normalnych ludzi i tylko mnie taki felerny się trafił!

Po powrocie z pracy (pracował teraz jako technik-rewident w elektrowni) Sergiusz jadł szybko obiad i szedł po ścianie do siebie na górę, do pracowni-laboratorium, a czasami wyruszał na miasto i w okolice, gdzie spacerował, żeby tylko nie wysłuchiwać ciągłego gderania Tamary. Nabrał takiej wprawy w pieszych marszach, że bez najmniejszego trudu docierał do Pawłowska albo do Lisiego Nosa.

Któregoś dnia na rogu Ósmej linii i Średniego Prospektu spotkał Swietłanę.

— A ja wyszłam z mąż za niezwykłego człowieka — oświadczyła bez żadnych wstępów Swietłana. — Mój Pietia jest prawdziwym wynalazcą. Na razie zajmuje stanowisko młodszego wynalazcy w kombinacie naukowo— badawczym „Wszystko dla domu", ale wkrótce awansuje na średniego wynalazcę. Pietia ma już ma swym koncie samodzielny wynalazek. Jest nim mydło „Nie kradnij!".

— A co to za mydło? — zapytał Sergiusz.

— Jest to mydło niezwykle proste w zamyśle, wszak każda genialna idea jest prosta. „Nie kradnij!" jest zwyczajnym mydłem toaletowym, w którego środku znajduje się kostka niezmywalnego tłuszczu. Jeśli ktoś, na przykład sąsiad ze wspólnego mieszkania, ukradnie nam mydło i spróbuje go użyć, to natychmiast zbruka się cały fizycznie i moralnie.

— A jeśli tego mydła nikt nie ukradnie? — zapytał Sergiusz.

— Nie zadawaj głupich pytań! — zirytowała się Swietłana. — Chyba po prostu zazdrościsz Pieti.

— A Lusię widujesz? — zapytał Sergiusz. — Co tam u niej?

— U Lusi wszystko po staremu. Radzę jej, żeby znalazła sobie jakiegoś odpowiedniego niezwykłego człowieka i wyszła za niego za mąż, ale ona na to nic nie odpowiada. Widocznie chce zostać starą panną.

Wkrótce zaczęła się wojna.

Tamara — z synem została ewakuowana, a Sergiusz Kladiezjew poszedł na front. Z początku był młodszym lejtnaintem piechoty, a wojnę zakończył w randze starszego lejtnanta. Był dwukrotnie ranny, ale na szczęście lekko. Również na froncie zastanawiał się nad różnymi wynalazkami, ale nie miał ani materiałów, ani laboratorium, w którym mógłby swoje pomysły zrealizować. Po zakończeniu wojny wrócił do Leningradu, zmienił mundur na cywilne ubranie i ponownie zaczął pracować w elektrowni. Wkrótce też powróciła z ewakuacji Tamara z synem Alfredem, i życie popłynęło po staremu. A lata biegły.

3

Tak, lata biegły.

Syn Alfred dorósł, ukończył szkołę średnią i zapisał się tną przyspieszony kurs hotelarski. Niebawem wyjechał na Południe i znalazł sobie pracę w hotelu.

Tamara nadal wyszywała atłaskiem koty, łabędzie i jelenie. Zrobiła się jeszcze nudniejsza i gderliwsza. Poza tym poznała pewnego emerytowanego dyrektora stanu wolnego i wciąż odgrażała się, że rzuci Sergiusza i odejdzie do tego dyrektora, jeśli Sergiusz nie zmądrzeje i nie przestanie tracić czasu na swoją wynalazczość.

Swietłana nadal była bardzo zadowolona ze swojego Pieti. Pietia awansował i teraz zajmował już stanowisko średniego wynalazcy. Skonstruował nawet czworokątne szprychy rowerowe, które miały zastąpić stosowane dotychczas szprychy okrągłe. Swietłana była z niego bardzo dumna.

Lusia, jak przed wojną, mieszkała na Wyspie Wasilewskiej i pracowała jako maszynistka w instytucji zajmującej się planowaniem produkcji i projektowaniem części zapasowych do fortepianów. Nie wyszła za mąż i często wspominała Sergiusza. Pewnego razu zobaczyła go z daleka na ulicy, kiedy szedł Siódmą linią do kina „Bałtyk” z żoną pod rękę. Lusia od razu poznała tę kobietę z pamiętnej fotografii. Sergiusz też bardzo często wspominał Lusię i żeby myśleć o niej jak najmniej, jeszcze intensywniej zajmował się wynalazczością. Ponieważ nie posiadał żadnego stopnia naukowego, to nikt na jego odkrycia nie zwracał szczególnej uwagi. Sam Sergiusz zresztą nie usiłował forsować własnych wynalazków, bo uważał je za niedojrzałe, niewiele warte, a jak wiadomo — jeśli nie potrafisz, nie pchaj się na afisz. Wynalazł na przykład kłótniomierz-przerywacz i zainstalował go w kuchni wielorodzinnego mieszkania, w którym miał pokój. Przyrząd ten miał dwudziestostopniową skalę i mierzył nastroje mieszkańców oraz intensywność kłótni, jeśli takowa wybuchała. Na dźwięk pierwszego ostrzejszego słowa wskazówka aparatu zaczynała drgać i stopniowo przesuwać się w kierunku czerwonej kreski. Kiedy do niej docierała, włączał się przerywacz kłótni. Rozlegała się cicha, uspokajająca muzyka, automatyczny (rozpylacz wyrzucał z siebie mieszaninę waleriany i perfum „Biała noc”, a na ekranie ukazywał się śmieszny człowieczek, który kłaniał się publiczności i wołał: „Obywatele, żyjcie w zgodzie!”. W ten sposób kłótnie były likwidowane w zarodku, a wszyscy mieszkańcy byli wdzięczni Sergiuszowi za jego skromny wynalazek.

Sergiusz wynalazł też płaską soczewkę. W sobie tylko znany sposób przekonstruował kawałek szyby i nadał jej właściwości niezmiernie silnego teleskopu. Wstawił tę szybę w okno swego pokoju i dzięki temu mógł obserwować kanały na Marsie, kratery na Księżycu i burze na Wenus. Kiedy Tamara zaczynała go piłować, wtedy patrzył na odległe światy i odzyskiwał spokój.

Wszystkie te wynalazki nie przynosiły jednak żadnej korzyści praktycznej. Poza jednym. Sergiusz odkrył sposób przekształcania wody w benzynę, którą to benzyną napełniał zapalniczkę, a ponieważ duto palił, to w ten sposób oszczędzał sobie poważnych wydatków na zapałki. Tak w ogóle, to żyło mu się niezbyt wesoło — ani Tamara, ani syn Alfred nie dawali mu żadnych powodów do radości.

Kiedy Alfred przyjeżdżał do Leningradu, to rozmawiał przede wszystkim z Tamarą.

— No i jak ci się żyje? — pytał ją.

— Co to za życie… — odpowiadała Tamara. — Moją jedyną pociechą jest sztuka. Popatrz, jakiego jelenia wyszywam.

— Jeleń jak trza! — wykrzykiwał Alfred. — Jak żywy! I rogi jak u byka. Gdybym ja miał takie rogi, daleko bym zaszedł!

— A twój ojciec zupełnie nie rozumie sztuki. Ciągle by tylko coś wynajdywał i wynajdywał. Żadnego pożytku z człowieka.

— Za to niepijący, a to trzeba cenić — pocieszał ją syn. — Wprawdzie niewiele w życiu osiągnął,

ale może jeszcze pójdzie po rozum do głowy. Kiedy się popatrzy na tych, co to mieszkają po hotelach, aż przykro się robi, że z ojca taka ciapa. Ten jest kierownikiem zaopatrzenia, tamten cudzoziemcem, ów pracownikiem naukowym. Niedawno pewien docent mieszkał u nas w apartamencie… To jest człowiek! Napisał biografię Puszkina. Ma podmiejską willę, samochód.

— Gdzie mi tam z takim mężem marzyć o willach — narzekała dalej Tamara. — Znudził mi się! Chcę się rozejść.

— A masz kogoś na oku?

— Mam tu jednego emerytowanego dyrektora. Kawaler, który ceni sztukę. Podarowałam mu wyhamowanego łabędzia, to ucieszył się jak dziecko. Z takim człowiek nie zginie.

— A czego on był dyrektorem? Może hotelu?

— On był dyrektorem cmentarza. To człowiek poważny, delikatny.

— Stanowisko zobowiązuje — powiedział ze zrozumieniem syn.

4

Któregoś czerwcowego dnia Sergiusz Kładiezjew przez cały wieczór pracował na swoim suficie nad pewnym nowym wynalazkiem. Nie zdawał sobie sprawy z upływu czasu, a kiedy zerknął wreszcie na zegarek, stwierdził, że jest już późno. Wówczas położył się spać, ale przed snem zapomniał nakręcić budzik i zaspał, postanowił więc tego dnia nie iść do pracy. To była jego pierwsza i ostatnia nieobecność.

— Doigrasz się z tą swoją wynalazczością! — zbeształa go Tamara. — Żebyś przynajmniej zbumelował jak ludzie, dla interesu, dla zarobku! Ale nie, tyle z ciebie pożytku, co z psa gnoju.

— Nie denerwuj się, Tamaro, wszystko będzie dobrze — powiedział miękko Sergiusz. — Niedługo dostanę urlop i pojedziemy nad Wołgę, popłyniemy statkiem.

— A na co mi twoje groszowe podróże! — krzyknęła Tamara. — Lepiej byś się wybrał za swoje plecy i posłuchał, co ludzie o tobie gadają za twoimi plecami! Wszyscy się z ciebie śmieją, wszyscy uważają za kompletnego idiotę.

Ze złością zdarła ze ściany kilimek z wizerunkiem kota i wyszła z domu.

Sergiusz został w pokoju i zaczął się zastanawiać nad jej słowami. Długo tak rozmyślał, a potem postanowił wybrać się w podróż za własne plecy, jak radziła mu żona.

Mógł to zrobić bez najmniejszego trudu, bo dawno już wynalazł Agregat Niewidocznej Obecności — ANO o zasięgu zaledwie trzydziestu pięciu kilometrów. Sergiusz nie używał tego aparatu do obserwacji życia w mieście, gdyż uważał to za nieetyczne — zaglądać do cudzych mieszkań, podpatrywać cudze życie. Czasami jednak dostrajał się do najbliższych okolic podmiejskich i słuchał śpiewu ptaków, patrzył, jak powstają ich gniazda.

A teraz postanowił użyć ANO na terenie miasta. Włączył zasilanie, a następnie delikatnie, o jedną podziałkę, obrócił gałkę odległościomierza, zaś antenę-szperacz skierował w stronę kuchni wielorodzinnego mieszkania, w którym zajmował pokój. Dwie sąsiadki stały przy kuchence gazowej i rozmawiały o różnych obojętnych sprawach. Potem jedna z nich powiedziała:

— A Tamara znów poszła do dyrektora. Nie ma baba wstydu!

— Żal md Sergiusza Władimirowicza! — powiedziała druga sąsiadka. — Taki porządny człowiek i marnuje się przez żonę. On przecież jest bardzo mądry.

— Zgadzam się z panią — odparła na to pierwsza. — Od razu widać, że człowiek porządny i bardzo mądry, tylko życie mu się nie układa.

Sergiusz odstroił się od kuchni i skierował antenę na biura elektrowni. Długo błądził po obcych mieszkaniach, biurach i sklepach, aż wreszcie znalazł swoją instytucję. Na ekranie ukazał się pokój, w którym zazwyczaj pracował. Koledzy z pracy pili akurat herbatę i jedli kanapki, gdyż trwała właśnie przerwa obiadowa.

— Czy aby naszemu Sergiuszowi Władymirowi coś złego się nie stało? — powiedział jeden z kolegów. — Taki porządny i solidny człowiek nie mógł przecież bez powodu zabumelować! Na pewno zachorował. Szkoda, że w jego mieszkaniu nie ma telefonu i nie można do niego zadzwonić.

— Bez niego jakoś tu nas pusto — powiedział drugi. — To bardzo przyzwoity człowiek, nie ma dwóch zdań.

— Bardzo przyzwoity i dobry — zgodził się trzeci. — Szkoda tylko, że trafiła mu się taka paskudna żona. Typowa mieszczanka. A on za nią świata bożego nie widzi.

Sergiusz wyłączył ANO i znów się zamyślił. Wspomniał Lusię i bardzo zapragnął ją zobaczyć, chociaż na moment.

Wtedy znów uruchomił aparat i zaczął szukać Lusi, szukać jej pokoju na piątym piętrze domu przy Jedenastej linii Wyspy Wasilewskiej. „Ale może ona już tam nie mieszka? — zastanawiał się. — Może

już dawno wyszła za mąż i przeprowadziła się? Albo zwyczajnie przeniosła się do innego mieszkania?”

Na ekranie ukazywały się cudze pokoje, nieznajomi ludzie, wyrwane z przestrzeni strzępki cudzego życia… Aż wreszcie odnalazło się mieszkanie Lusi. Nie było jej w pokoju, ale to z pewnością był właśnie jej pokój. Meble były te same i ten sam obraz wisiał na ścianie, a na stoliku stała maszyna do pisania. Sergiusz uspokoił się. Lusia po prostu była w pracy.

Wówczas zaczął nastrajać ANO na dom Swietłany: ciekawe, co tam u niej? Odszukał ją dość szybko. W mieszkaniu było wiele nowych sprzętów, Swietłana zaś zestarzała się i jej promienne — imię zupełnie teraz do niej nie pasowało. Wyglądała jednak na osobę zdrową i zadowoloną z życia.

Nagle rozległ się dzwonek do drzwi. Swietłana poszła otworzyć.

— Witaj, Lusieńko! — wykrzyknęła. — Dawno już u mnie nie byłaś!

— Wpadłam tylko na chwilę, żeby zobaczyć, co u ciebie słychać. Mam akurat przerwę obiadową — powiedziała Lusia, i Sergiusz zobaczył ją wchodzącą do pokoju. Lusia też nie odmłodniała przez te lata, ale nadal była sympatyczna i przystojna.

Kobiety usiadły i zaczęły rozmawiać o różnych sprawach.

— A za mąż nie wychodzisz? — zapytała nagle Swietłana. — Przecież możesz sobie jeszcze znaleźć całkiem niezłego, starszego wiekiem męża.

— Nie, nie mam zamiaru nikogo szukać — odparła smutnym głosem Lusia. — Przecież ten, który mi się podoba, już od dawna jest żonaty.

— Mówisz wciąż o tym Sergiuszu?! — wykrzyknęła Swietłana. — I co ty w nim widzisz? To przecież zupełnie zwyczajny człowiek. Taki prochu nie wymyśli… Inna rzecz, że kiedyś był z niego całkiem miły chłopak. Pamiętam, że podarował mi łyżwy wodne. Jeździłam z nim na tych łyżwach po jeziorze. Na brzegu gwiżdżą słowiki, ludzie chrapią w swoich letniskach, a my pędzimy po wodzie, pokazujemy klasę.

— Nie wiedziałam nawet, że on takie łyżwy wymyślił — powiedziała Lusia w zadumie. — Masz je może jeszcze w domu?

— Nie, coś ty! Mój Pietia dawno już sprzedał je na złom. Powiedział, że to nic nie warte. Pietia jest przecież prawdziwym wynalazcą i zna się na takich rzeczach.

— A jak tam u niego w pracy? — zapytała Lusia.

— Wszystko w najlepszym porządku. Skonstruował niedawno Uniwersalny Aparat do Otwierania Konserw. To niesłychanie błyskotliwy wzlot myśli technicznej. Teraz gospodynie domowe i samotni kawalerowie nie będą musieli się męczyć z otwieraniem puszek.

— Nie masz przypadkiem tego aparatu? — zapytała Lusia. — Ciekawa jestem, jak wygląda.

— Nie mam go i nie będę miała. To urządzenie będzie ważyło pięć ton i musi stać na betonowym fundamencie. A kosztować będzie czterysta tysięcy nowych rubli.

— No to która gospodyni będzie mogła sobie pozwolić na kupno takiego aparatu? — zdziwiła się Lusia.

— Mój Boże, ale ty jesteś nierozgarnięta! — wykrzyknęła Swietłana. -

Żadna gospodyni nie musi kupować tego aparatu, bo jeden wystarczy na całe miasto. Zainstaluje się go gdzieś w śródmieściu, na przykład na Newskim Prospekcie. Powstanie tam OOMOK — Centralny Ośrodek Miejski Otwierania Konserw. To bardzo wygodne rozwiązanie. Powiedzmy, że przyszli do ciebie goście i musisz im otworzyć puszkę szprotek. Nie musisz mieć w domu nożyka do konserw ani żadnego innego narzędzia. Po prostu bierzesz swoją puszkę, szybciutko wychodzisz na ulicę i jedziesz do COMOK-u. Tam oddajesz puszkę rejestratorce, płacisz pięć kopiejek i otrzymujesz pokwitowanie. Rejestratorka nakleja na puszkę etykietkę i stawia ją na przenośniku, a ty idziesz sobie do poczekalni, siadasz w fotelu i oglądasz krótkometrażowy film na tematy konserwowe. Wkrótce wzywają cię do okienka, gdzie po okazaniu pokwitowania otrzymujesz otwartą puszkę i spokojniutko jedziesz do domu na Wyspę Wasilewską. Wygodne, nieprawdaż?

— Czyżby ten projekt naprawdę miał zostać zrealizowany? — zapytała Lusia.

— Pietia bardzo na to liczy — odparła Swietłana. — Ale ostatnio dorobił się wielu wrogów i zawistników, którzy przeszkadzają w urzeczywistnieniu jego wynalazków. Po prostu mu zazdroszczą. A Pietia nikomu nie zazdrości, bo wie, że jest człowiekiem niezwykłym i to w dodatku człowiekiem sprawiedliwym. Przecież niezmiernie szanuje pewnego wynalazcę, tego, który wynalazł i wprowadził do przemysłu korek „Pij do dna".

— A co to za korek?

— Nie widziałaś, jak teraz korkuje się wódkę?! Tak jest, taki kapselek z języczkiem. Wystarczy pociągnąć za języczek, żeby miękki metal rozdarł się — i butelka jest już otwarta. Z powrotem nie da się już zatkać, więc chcąc nie chcąc trzeba ją wypić do dna. To również jest wspaniałe osiągnięcie myśli technicznej.

— A mnie łyżwy wodne bardziej się podobają — powiedziała Lusia. — Jak ja bym chciała białą nocą pomknąć na takich łyżwach przez zatokę!

— Ale ci się nadało z tymi łyżwami — uśmiechnęła się pobłażliwie Swietłana. — Mnie i Pieti coś takiego nie jest potrzebne do szczęścia.

Sergiusz wyłączył ANO i znów się zamyślił. Po chwili powziął pewne postanowienie.

5

Tego samego wieczoru Sergiusz Kładiezjew odnalazł na dnie starej walizki swoją parę łyżew wodnych, a potem nalał wody do wanny i wypróbował w niej ich działanie. Łyżwy nie utraciły swoich cudownych właściwości i ślizgały się po wodzie równie lekko, jak wiele lat temu.

Potem do późna w noc w swojej pracowni-laboratorium na suficie robił drugą parę łyżew wodnych dla Lusi.

Następnego dnia, a była to niedziela, Sergiusz wybrał się na poranny spacer, a gdy z niego wrócił, Tamary już w domu nie było, a na ścianie brakowało następnego kilimka — tym razem z jeleniem, Tamara poszła z nim do emerytowanego dyrektora.

Sergiusz włożył odświętny szary garnitur i zawinął w gazetę obie pary łyżew. Następnie wsunął do kieszeni rozpylacz i flakonik płynu WWNP (Wielokrotny Wzmiacniacz Napięcia Powierzchniowego). Ubranie skropione tym płynem swobodnie utrzymuje człowieka na wodzie.

Wreszcie Sergiusz Kładiezjew otworzył wielką szafę i wydobył z niej SEPOX (Słoneczno-Energetyczmy Przyrząd Optyczny szczególnego przeznaczenia). W swoim czasie przyrząd ten kosztował go wiele wysiłku, ale też był to jego najważniejszy wynalazek. Ukończył go dwa lata temu, ale do tej pory ani razu nie użył. Chodzi o to, że SEPOX mógł przywrócić człowiekowi młodość, a przez wszystkie te lata Sergiusz wcale nie pragnął powrotu młodości, gdyż musiałby przywrócić młodość również i Tamarze i rozpocząć z nią nowe życie. A zupełnie wystarczyło mu jedno życie z nią. Poza tym obawiał się niezmiernej energochłonności tego urządzenia. Wskutek owej energochłonności — pracy SEPOX winny towarzyszyć pewne zjawiska natury kosmicznej, a Sergiusz nie uważał się za dość ważną osobę, aby wywoływać takie zjawiska.

Jednak teraz, zważywszy wszystkie za i przeciw, postanowił użyć przyrządu. Wziął więc SEPOX pod pachę razem z łyżwami wodnymi i opuścił dom. r

Ruszył swoją ulicą i wkrótce dotarł do Średniego Prospektu Wyspy Wasilewskiej. Na rogu Piątej linii wszedł do sklepu ze słodyczami, kupił butelkę szampana i pudełko czekoladek, po czym poszedł dalej. Skręcił w Jedenastą linię i wkrótce znalazł się koło domu, w którym mieszkała Lusia. Wdrapał się na piąte piętro i zadzwonił. Dwa razy długo i raz krótko.

Drzwi otworzyła mu Lusia.

— Dzień dobry, Lusiu! — powiedział. — Jak dawno się nie widzieliśmy!…

— Bardzo dawno!… — odpowiedziała Lusia. — Ale nie wiedzieć czemu czekałam i wierzyłam, że kiedyś przyjdziesz.

Weszli do jej pokoju, pili szampana i wspominali to, co było przed wieloma laty.

— Ach, chciałabym teraz przywrócić młodość i zacząć życie od początku! — wykrzyknęła nagle Lusia.

— Możemy to zrobić — powiedział Sergiusz i postawił na stole SEPOX, który był nie większy od przenośnego radia zaopatrzonego w dość gruby przewód.

— On ma zasilanie sieciowe? — zapytała Lusia. — Uważał, żeby się nie przepalił, bo w naszym domu od niedawna jest napięcie dwieście dwadzieścia woltów.

— Nie. SFPOX nie ma zasilania sieciowego — odparł Sergiusz. — Nie wystarczyłoby mu nawet tysiąca Dnieprogesów. On bierze energie wprost ze Słońca. Otwórz z łaski swojej okno.

Lusia otworzyła okno na oścież, a Sergiusz rozciągnął przewód zakończony niewielkim wklęsłym lusterkiem. Położył je na parapecie w ten sposób, że było skierowane na Słońce.

Potem podszedł do SEPOX i nacisnął klawisz.

W aparacie zaczęło potrzaskiwać i natychmiast Słońce osłabiło blask jak żarówka, gdy spada napięcie w sieci. W pokoju zapadł półmrok.

Lusia podeszła do okna i spojrzała na miasto.

— Sergiuszu, co to?! — zdziwiła się. — Wydaje mi się, że zaczyna się zaćmienie Słońca. Cała Wyspa Wasilewska kryje się w mroku. Dalej też zaczyna robić się ciemno.

— Teraz zmierzcha się na całej Ziemi i na Marsie, i na Wenus — odparł Sergiusz. — Przyrząd pochłania wiele energii.

— Takiego aparatu raczej nie należy produkować — powiedziała Lusia.

— Bo inaczej wszyscy zaczęliby przywracać sobie młodość i wciąż byłoby ciemno.

— Tak — potwierdził Sergiusz. — Jest to przyrząd indywidualnego jednorazowego użytku. Skonstruowałem go tylko dla ciebie i z myślą o tobie. A teraz usiądźmy i posiedźmy spokojnie przez chwile.

Usiedli na starej pluszowej kanapce, wzięli się za ręce i zaczęli czekać.

Za oknem i w pokoju robiło się coraz ciemniej. Samochody na ulicach włączyły reektory. — Aż trudno uwierzyć, że teraz jest pierwsza po południu — powiedziała w zadumie Lusia. — Dziwne…

— Tak, to z pewnością może wydać się dziwne — odparł Sergiusz. — Mnie nie. ale wszystkim pozostałym ludziom musi to wydawać się dziwne. Żeby przywrócić młodość, potrzebne są bardzo duże nakłady energetyczne.

Tymczasem dokoła ściemniło się tak, jakby zapadała noc. W mieście zapłonęły światła w oknach zapaliły się latarnie uliczne. W nokoin zrobiło się zupełnie ciemno, tylko przewód łączący lusterko leżące na parapecie z SEPOX świecił błękitnawym blaskiem i wibrował jak waż gumowy, przez który z ogromną prędkością przeciska się jakiś płyn.

Nagle w aparacie coś głośno trzasnęło i na jego przedniej ściance otworzyło się kwadratowe okienko. Wysunęła się z niego sztabka zielonkawego światła, która wyglądała jak odrąbana i wisiała swobodnie w powietrzu. Ta sztabka światła, przypominającego ciało stałe, zaczęła po chwili wolno się wydłużać, aż oparła się o ścianę, na której wisiał obraz przedstawiający wieprza pod dębem — ilustracja do bajki Kryłowa. Wieprz na obrazku natychmiast zamienił się w prosiaczka, a rozłożysty dąb — w młodziutkie drzewko.

Promień światła powoli i niepewnie zaczął przesuwać się po pokoju, jakby szukał na ślepo Lusi i Sergiusza. Tam, gdzie dotykał ścian, stare wypłowiałe tapety odzyskiwały dawna barwę i wyglądały jak nowe. Sędziwy szary kot drzemiący na komodzie zamienił się w kociaka i zaczął bawić się własnym ogonem. Mucha, która znalazła się na drodze promienia, przekształciła się w larwę muchy i spadła na podłogę.

Wreszcie promień sztabka zbliżył się do Sergiusza i Lusi. Prześliznął się po ich głowach, twarzach, nogach i reszcie ciała. Nad ich głowami wyrosły dwa świetliste półkola przypominające aureole świętych

— Aj, łaskocze mnie w głowę! — roześmiała się Lusia.

— Nie przejmuj się — powiedział Sergiusz. — To tylko siwe włosy odzyskują dawny kolor. Mnie też łaskocze w głowę.

— Ach! — wykrzyknęła Lusia. — Mam w ustach coś gorącego!

— Pewnie masz złote korony na zębach? — zapytał Sergiusz.

— Tylko dwie — odparła Lusia.

— Koronki młodym zębom są niepotrzebne i dlatego rozpadają się na proszek — wyjaśnił Sergiusz. — Wydmuchnij tan kurz.

Lusia złożyła wargi w trąbkę, jak to robią początkujący palacze, i wydmuchnęła z ust złoty pył.

— Wydaje mi się, że kanapa się pod nami unosi — powiedziała nagle.

— Sprężyny się prostują, bo robimy się lżejsi. Trochę przecież przez te lata utyliśmy.

— Masz rację, Sierioża — zgodziła się Lusia. — Ale teraz czuję się lekka jak wówczas, kiedy miałam dwadzieścia lat.

— Bo masz teraz dwadzieścia lat — powiedział Sergiusz. -

Powróciliśmy do czasów młodości.

W tym samym momencie SEPOX gwałtownie zadygotał, zadudnił i zapłonął. Zniknął, a na stole została tylko garstka niebieskiego popiołu. Zaraz potem zaczęło się rozwidniać. Kierowcy wyłączyli reektory, zgasły latarnie na ulicach i światło w oknach, bo nie było już teraz potrzebne.

Słońce znów świeciło pełnym lipcowym blaskiem.

* * *

Lusia wstała, przejrzała się w lustrze i uśmiechnęła się.

— Sierioża, chodźmy gdzieś na spacer — powiedziała. — Na przykład na Wyspę Jełagina.

Sergiusz wziął zawiniątko z łyżwami wodnymi, ujął Lusię pod rękę i wyszedł z nią z mieszkania. Lekko zbiegli po schodach na dół, na ulicę. Na Średnim Prospekcie wskoczyli do tramwaju i pojechali do Parku Kultury. Tam spacerowali alejkami, jeździli na karuzeli, huśtali się na huśtawce i zjedli po dwa obiady w barze na świeżym powietrzu.

Kiedy zapadła cicha biała noc i park opustoszał, wtedy poszli na brzeg zatoki. Na morzu był sztil i żagle jachtów nieruchomo majaczyły w oddali, koło Wyspy Wolnej. Na wodzie nie było jednej choćby zmarszczki.

— Znakomita pogoda — powiedział Sergiusz i rozpakował łyżwy wodne. Pomógł Lusi przymocować je do pantofelków, a potem włożył swoje.

Stanęli na wodzie zatoki i lekko pobiegli w morze. Minęli jachty, na których żeglarze czekali na wiatr, pomachali im rękami i wybiegli za Wyspę Wolną, na otwartą przestrzeń. Długo pędzili przez tę przestrzeń, a potem Sergiusz nagle zwolnił bieg. Lusia też zahamowała i podjechała do niego.

— Wiesz, Lusiu, chcę ci coś powiedzieć… — zaczął nieśmiało Sergiusz.

— Wiem — odparła Lusia. — Ja też cię kocham. Teraz już zawsze będziemy razem.

Objęli się, ucałowali i ruszyli w stronę brzegu.

Tymczasem zerwał się wiatr i rozfalował wodę, po której trudno już było biec na łyżwach.

— Co będzie, jeśli się potknę i wpadnę do wody? — zapytała Lusia.

— Zaraz podejmę odpowiednie kroki, żebyśmy nie utonęli — roześmiał się Sergiusz.

Wyjął z kieszeni rozpylacz i flakonik płynu WWNP, a następnie spryskał odzież Lusi i swoją tym preparatem.

— Teraz możemy nawet usiąść na fali — Usiedli więc na fali jak na kryształowej ławie, i fala poniosła ich ku brzegowi.

OBYWATELE CZEKAJĄ WAS WIELKIE ODKRYCIA!

Przetłumaczył Tadeusz Gosk

Władimir Sawczenko
Dotknięcie prawdy

Część pierwsza
Z historii tobolskiego antymeteorytu

UZNAĆ ZA ZMARŁEGO…

Orzeczenie

18 lutego 19… roku kolegium Sądu Obwodowego do spraw cywilnych w mieście Nowodwińsku, rozpatrzywszy na otwartym posiedzeniu sądu sprawę wniesioną przez Instytut Fizyki Teoretycznej (w osobie radcy prawnego Biełogriewa A. A.) o uznanie za zmarłego byłego pracownika Instytutu ob. KAŁUŻNIKOWA Dymitra Andriejewicza ustaliło:

1) że zaginiony Kałużnikow D. A. lat trzydzieści sześć pracował w Instytucie-powodzie w charakterze starszego pracownika naukowego fizyki cząstek elementarnych i poczynając od marca ubiegłego roku przestał przychodzić do pracy, nie zawiadomiwszy administracji ani o chorobie, ani o innych przyczynach nieobecności;

2) że od tego samego czasu nie przebywał w miejscu stałego zamieszkania w mieście Nowodwińsku przy ul. Kopernika 17 m. 45 i nie opłacał w administracji domu czynszu za mieszkanie;

3) że w połowie maja tegoż roku pojawił się w stanicy Ust'Jelockoj obwodu Kurgańskiego, gdzie zamieszkiwał u obywatela Alutina Trofima Nikiforowicza, kowala z kołchozu „Czerwony Kazak” do 21 lipca, kiedy to, jak wynika z oświadczenia gospodarza Alutina, znikł;

4) że wyżej wymieniony Alutin widział po raz ostatni zaginionego w dniu 21 lipca na lewym brzegu rzeki Tobół o osiem kilometrów od Ust'Jeleckoj (w rejonie byłego jeziora Ubijennoje), gdzie świadek wraz ze swoim synem i podejrzanym łowił ryby; w nocy świadek z synem udał się do stanicy, a Kałużnikow pozostał nad rzeką;

5) że w nocy z 21 na 22 lipca o godzinie 1.15 miejscowego czasu w pobliżu miejsca, gdzie po raz ostatni widziano zaginionego, to jest na lewym brzegu rzeki Tobół w rejonie jeziora Ubijennoje — nastąpiła eksplozja, której towarzyszyło wydzielenie się ogromnej ilości ciepła, światła i promieniowania przenikliwego; epicentrum eksplozji, według oświadczenia badających ją uczonych, przypadało z dokładnością do dziesiątek metrów na miejsce wspomnianego połowu; o sile wybuchu może świadczyć fakt, że jezioro Ubijennoje o długości 1,3 km, szerokości 0,3 km i głębokości 3 m, wyparowało w całości; przyczyną tego wybuchu był, zdaniem uczonych, upadek na Ziemię ogromnego antymeteorytu;

6) że poczynając od tego momentu aż po dziś dzień, ani wskazany świadek, ani inne osoby nie widziały Kałużnikowa D. A. i brak jest jakichkolwiek informacji o miejscu jego pobytu;

7) że eksperci od medycyny, opierając się wyżej wspomnianym „Oświadczeniu” potwierdzili, iż wybuch takiej mocy mógł nie tylko spowodować śmierć człowieka znajdującego się nie dalej niż 30–40 metrów od jego centrum, ale również doprowadzić do całkowitego unicestwienia jego zwłok.

Na podstawie powyższego i uważając za wystarczające dowody na rzecz zaistnienia faktu zgonu, w oparciu o artykuł I Kodeksu Postępowania Cywilnego, kolegium sędziów postanowiło: ob. Kałużnikowa Dymitra Andriejewicza uznać za zmarłego. Za datę jego śmierci przyjąć 22 lipca 19… roku.

Niniejsza decyzja może ulec rewizji w przypadku zgłoszenia się D. A. Kałużnikowa lub pojawienia się innych informacji o jego zgonie.

Sędzia (podpis)

Ławnicy ludowi (podpisy)

Z ARCHIWUM ŚLEDZTWA

Sprawę tę prowadził młodszy sędzia śledczy Prokuratury Obwodowej Siergiej Jakowlewicz Niestierienko — zrównoważony młody człowiek, jasnowłosy, niskiego wzrostu, który akurat w tym czasie zaczął zapuszczać brodę. Siergiej Jakowlewicz rozumiał rzecz jasna, że trafił mu się unikalny przypadek: kryminalistyka nie odnotowała jeszcze ani jednego przypadku zniknięcia człowieka spowodowanego upadkiem meteorytu — ale rozumiał i to, że ta unikalność ominie go. Zadania śledztwa były wąskie i proste: ustalić, czy są dostateczne podstawy do uznania Kałużnikowa za zmarłego, aby nie wyniknął kłopotliwy dla wymiaru sprawiedliwości psikus — ogłoszono człowieka nieboszczykiem, a jemu właśnie o to chodziło.

Podobnie i tobolska eksplozja występowała w sprawie tylko jako okoliczność zagrażająca śmiercią; bez takich okoliczności sąd nie ma prawa ogłosić człowieka, który zaginął, umarłym wcześniej, aniżeli po trzech latach. Wybuch czynił sytuację jasną i „Oświadczenie" dotyczące jego charakteru i natury nieprzypadkowo dwukrotnie wymienione zostało w wyroku sadu obwodowego — dokument ten był gwoździem sprawy.

Eksperci — wybitni fizycy i astronomowie z instytutów stolicy — przybyli na miejsce wydarzenia następnego dnia i pracowali przez dwa tygodnie.

Szczególne zainteresowanie badaczy wzbudziło wytopione do szklistości wyżłobienie — „bruzda", które powstało w epicentrum wybuchu: rozpoczynało się ono dwa metry powyżej poziomu wody w Tobołu i wiodło do jeziora, przecinając na wprost próg pomiędzy nim a rzeką. Długość „bruzdy" wynosiła 18 metrów, szerokość od 0,8 metra w dole do 1,2 metra w górze, największa głębokość 2,3 metra. Według oświadczeń przesłuchiwanych mieszkańców, potwierdzonych informacją wydziału geodezji w Ust'Jeleckoj, poprzednio nie było tu żadnego rowu.

Tu należałoby wspomnieć, że krótko przed tym zdarzeniem znany astrofizyk akademik K. B. Niecki wysunął hipotezę, że meteoryty, których ognisty ślad nieraz obserwujemy na nocnym niebie, równie dobrze mogą się składać z materii, jak i z antymaterii; to, że nasza planeta i sąsiadujące z nią ciała powstały ze zwykłej materii, nie świadczy, że taka sama substancja stanowi składnik innych ciał w kosmosie. Ponieważ jednak przytłaczająca większość meteorytów spala się bez śladu, nie osiągnąwszy powierzchni Ziemi, hipotezę tę tak samo trudno jest obalić, jak i potwierdzić: ciała te mogą spłonąć i od tarcia o atmosferę, i z powodu anihilacji także. Ale, jak każda uogólniająca nasze wyobrażenie myśl, hipoteza Nieckiego zawładnęła umysłami, uczeni szukali okazji, aby ją sprawdzić.

I właśnie teraz taka okazja się nadarzyła. Zestaw danych, dotyczących wybuchu tobolskiego, do tego stopnia wspaniale układał się w wersję o meteorycie z antymaterii, że gdyby nie było hipotezy Nieckiego, uczonym ekspertom nie pozostawałoby nic innego do zrobienia, jak ją postawić. W rzeczy samej: ni stąd, ni zowąd nastąpił potężny wybuch; po drugie, pojawiła się szczątkowa radioaktywność — spowodowana anihilacją; po trzecie, brak było meteorytu, a nawet jego odłamków — meteoryt anihilował; po czwarte (chociaż jeśli chodzi o znaczenie, ten dowód powinien być pierwszym), pojawiło się wyżłobienie — „bruzda", która wskazywała, gdzie i jak zakończyła się trajektoria meteorytu, i wyjaśniała, dlaczego wyparowało jezioro.

Prawda, że dla pełnej zgodności z hipotezą nie od rzeczy byłoby zrobić zdjęcia, albo chociaż zebrać relacje z wizualnych obserwacji świecącego śladu meteorytu; taki ślad, wywołany efektem anihilacji przy trajektorii niemal stycznej do powierzchni Ziemi, winien być jasny, długi i nader widoczny. Brak takich informacji można było wyjaśnić niewielką gęstością zaludnienia w tym rejonie, a także tym, że zaludnienie to spało, a jeśli nie spało, to nie patrzyło w niebo, a jeśli patrzyło, to nie w tę stronę, a jeśli i w tę, to widocznie tych ludzi na razie nie odnaleziono, być może, że zgłoszą się później.

I na koniec, może niezbyt konstruktywnym, ale w istocie decydującym dowodem na korzyść hipotezy

było rozumowanie: jeśli tobolski wybuch nie — nastąpił od upadku antymeteorytu, to od czegóż? Nic lepszego się tu nie wymyśli.

Pod „Oświadczeniem" widniał tuzin podpisów i przerażająco wspaniałych tytułów.

Jednak Siergiej Niestierienko, choć z racji młodego wieku przepełniony był szacunkiem do nauki (było to jego małe hobby: śledzenie za pośrednictwem popularnych wydawnictw ruchu myśli naukowej w świecie), nie przyjął tego dokumentu bezkrytycznie, jako dyrektywnej prawdy. Było to zresztą zrozumiałe: „Oświadczenie" nic nie mówiło o tym, co go bezpośrednio interesowało — o losie Dymitra Kałużnikowa.

Teraz trudno powiedzieć, czy uczeni-eksperci wiedzieli, że w nocy z 21 na 22 lipca na miejscu zdarzenia pozostawał człowiek. Bardzo możliwe, że nie. W każdym razie — i młodszego sędziego zaniepokoiło to od razu — w „Oświadczeniu", gdzie wyszczególniano imiona, nazwiska i miejsca zamieszkania wszystkich przesłuchanych przez komisję naocznych świadków, gospodarz Alutin nie był wspomniany. Jego zaś oświadczenie o zaginięciu lokatora (podane zresztą ze znacznym opóźnieniem) szło innymi kanałami.

PIERWSZA ROZMOWA NIESTIERIENKI Z KUZINEM

Najbardziej ze wszystkiego trapiło Siergieja Jakowlewicza zachowanie zaginionego przed samym tym wydarzeniem: bez uzasadnionych przyczyn porzucił pracę, na trzy miesiące prze padł nie wiadomo gdzie, potem odnalazł się aż za Uralem — i zamieszkiwał tam nie u krewnych, nie u znajomych, a tak jakoś… I dlaczego właśnie tam? Czy nie miał rzeczywiście z jakichś powodów zamiaru zainscenizowania swojej śmierci i tym chciał zatrzeć ślady?

Dla zbadania tej strony sprawy Siergiej Jakowlewicz przeprowadził rozmowę z Witalijem Siemionowiczem Kuzinem — docentem, kierującym tym samym oddziałem TOF, w którym pracował zaginiony. Spotkali się w pokoju młodszych sędziów na drugim piętrze Prokuratury Obwodowej. Przed Niestierienką siedział dosyć tęgi (pewnie bardziej z powodu siedzącego trybu życia, aniżeli z nadmiernego apetytu), młodo wyglądający mężczyzna o wspaniale siwiejących na skroniach włosach i okrągłej twarzy pokrytej nieznacznymi zmarszczkami. Uszy miał lekko odstające, małe usta o nazbyt może wydatnych wargach stwarzały wrażenie poważnej i życzliwej uwagi; wrażenie to podkreślały piwne jasne oczy. Mowa i gesty Witalija Siemionowicza robiły wrażenie przemyślanych i wyważonych.

Niestierienko nie miał wówczas własnej wersji wydarzenia, ani nawet mętnej idei wersji. Wypytywał o wszystko po trochu — a nuż coś się z tej rozmowy wykluje.

— Witaliju Siemionowiczu — zapytał najpierw, poskubując bródkę — z jakiego to powodu Kałużnikow rzucił w marcu instytut? I to tak dziwnie: nie zwolnił się, nie przeniósł, a znikł.

— Jest to dla nas wszystkich zagadką — odpowiedział Kuzin.

— Może jakieś stosunki wewnątrz zakładu popsuły się? Albo z pracą coś nie wychodziło?

— I stosunki były na poziomie, i z pracą wychodziło. Jeszcze jak wychodziło! Wystarczy powiedzieć, że temat, w którym uczestniczył również Dymitr Andriejewicz, przedstawiony został do nagrody państwowej.

— No to jakże to wytłumaczyć: pracował człowiek, pracował, potem rach ciach i uciekł. Przepadł jak kamień w wodę. Może się przemęczył i tego… źle się poczuł na tym tle?

— Kto, Dymitr Andriejewicz?! — Kuzin z rozbawieniem spojrzał na sędziego. — Nie znał go pan! Pracował bez wysiłku, nie przemęczając się, zdolnościami wszystko brał. Zdarzały się oczywiście i jemu trudności i niepowodzenia, kto ich nie ma w pracy twórczej! Ale przecież te figle płatają nam, teoretykom, wewnętrzne, a nie zewnętrzne przyczyny: zaprowadzi myśl nie tam, gdzie trzeba — i zabłądziłeś. Miesiące, a nawet lata pracy przepadły… Miał i Kałużnikow różne wyskoki myślowe, szaleńcze pomysły… — Witalij Siemionowicz zająknął się, podniósł brwi w zamyśleniu. — Być może, faktycznie ta jego ostatnia teoria miała wpływ?… Ale nie. Nie, na pewno nie! — Pokręcił głową. — Wszystko, tylko nie to, towarzyszu sędzio. Szukacie przyczyny w stosunkach międzyludzkich, w przemęczeniu, załamaniu, niepowodzeniach w pracy — jakby to mogło mieć taki wpływ na Dymitra Andriejewicza, że porzucił wszystko i uciekł. Absolutnie wykluczone — nie taki to był człowiek. Kogoś innego doprowadzić do rozstroju nerwowego to on mógł. Ale żeby sam… nie.

Jednakże Niestierienko przybrał czujną postawo.

— A jakie to wyskoki miał, wspominał pan przed chwilą?

— Ach, to! Miał Dymitr Andriejewicz bzika na punkcie pewnej teorii. Co było, to było. Zupełnie oryginalna, żeby nie powiedzieć szalona, idea dotycząca budowy materii. Może słyszał pan, że obecnie poszukuje się szalonych idei? To bardzo ostatnio modne.

— Aha… Czytałem co nieco w popularnych czasopismach.

— Tak, Kałużnikow miał właśnie szaloną. Ale… — Witalij Siemionowicz uniósł palec. — Co innego szalona idea, a co innego — żeby on sam z jej powodu, jak pan mówi, źle się poczuł. Był przecież teoretykiem. To znaczy, że do wszystkich idei: głupich i trywialnych, swoich i cudzych — wypracował

sobie spokojny, profesjonalny stosunek, swego rodzaju odporność. Gdyby nie był profesjonałem, no, powiedzmy nauczycielem szkolnym, to pewnie mógłby od takiej myśli sfiksować i nawet narozrabiać. Amatorom to się zdarza.

— Mówił panu o tej idei? Nie można by pokrótce…

— Mówił, ale obawiam się, że pokrótce nie można. Zbyt mocno zagłębia się ona w teorię kwarków, w mechanikę falową, w mechanikę ośrodków sprężystych… Musiałby pan przeczytać cały kurs wykładów.

— Ale… czy pana zdaniem była to prawdziwa idea? — nie ustępował sędzia. — To istotne, tacy „szaleńcy” nie podejmują badań z życiowego wyrachowania. Niech pan daruje, że wystawiam na próbę pańską cierpliwość.

Kuzin uśmiechnął się wyrozumiale.

— Nie szkodzi, proszę bardzo. Widzi pan, kryterium prawdziwości każdej teorii bywa w ostatecznym rozrachunku nie zdanie takiego czy innego specjalisty, a praktyka, eksperyment. Dymitr Anriejewicz swojej idei ani do doświadczeń, ani tym bardziej do praktyki nie doprowadził. Nie podejmuję się jej oceniać według tego, co mi opowiadał. Były tam momenty interesujące, ale wariackie pomysły także. Przy czym tych ostatnich, — obawiam się, znacznie więcej.

— Dobrze, zostawmy to. — Niestierienko spojrzał na kartkę z pytaniami.

— A więc Kałużnikow zniknął. Podjęliście jakieś kroki? Szukaliście go?

— Podjęliśmy, szukaliśmy. Dogadałem się wtedy z dyrekcją, że jeśli Kałużnikow wróci w przeciągu dwóch miesięcy, to nieobecność zaliczy mu się na konto urlopu i skończyłoby się na naganie. Towarzysze z oddziału pisali do wspólnych znajomych, do krewnych we wszystkich miastach. Ale… — Kuzin zamilkł, spojrzał na Niestierienkę, jakby badając, czy można z nim mówić otwarcie. — Powiem szczerze: robiliśmy to bardziej dla uspokojenia sumienia, dla zachowania pozorów formalnych i zwyczajnej przyzwoitości, niż ze świadomością celowości poszukiwań, tak!

— Aha! Był człowiekiem nielubianym, chcieliście się uwolnić?…

— Ależ nie! — Witalij Siemionowicz aż się skrzywił: co za prymitywne, czysto milicyjne podejście! Już panu tłumaczyłem, co to był za człowiek: ani histeryk, ani wariat, ani chory. Miał silny charakter. Zawsze wiedział, co robi. I jeśli zniknął, to nie chciał, żebyśmy się mieszali do jego spraw, a tym samym wypadało nam zachowywać się spokojnie. On nie był iż tych, proszę pana, którym zdarza się popaść w tarapaty.

— A jednak zdarzyło się!…

— Proszę wybaczyć, ale na miejscu upadku tego meteorytu równie dobrze mogła znaleźć się krowa. W takich przypadkach nikt nie jest bezpieczny. Taki los!

Na tym rozstali się.

ZEZNANIA ALUTINA

Jeszcze przed tą rozmową Niestierienko wystosował do Rejonowej Komendy Milicji w Ust'Jeleckoj pismo z następującymi prośbami: po pierwsze, aby przesłuchano kowala Alutina, po drugie, aby przysłano mu osobiste rzeczy zaginionego. Uczyniono to. Po dwóch tygodniach na adres Nowodwińskiej Prokuratury przyszedł urzędowy list i paczka. List zawierał arkusze szczegółowego przesłuchania obywatela Alutina T. N. Niestety, nie znalazł w nich sędzia niczego istotnego dla sprawy. Zarówno w ciągu ostatnich dni przed wypadkiem, jak i przez cały czas pobytu w Ust — Jeleckoj Kałużnikow zachowywał się normalnie: pozujący na „dzikusa”, odpoczywający od nerwowego zgiełku mieszczuch. Człowiekiem był niewymagającym, spał u kowala na sianie, nie dbał o wygląd zewnętrzny. („Chłopak był na schwał, nasze dziewczyny i tak się za nim oglądały” — uściślał Alutin). Na całe dni, a niekiedy i noce przepadał nad rzeką, lub w stepie. Nie zawierał żadnych znajomości i nie szukał ich. To wszystko.

Niezbyt rewelacyjne zeznania Alutina wniosły jednak dosyć poważną poprawkę do oświadczenia ekspertów, do tego konkretnie punktu „Oświadczenia”, który traktował o wyżłobieniu — „bruździe”, jakoby pozostawionym przez antymeteoryt na miejscu upadku i ostatecznej anihilacji. Z zeznań Alutina wynikało, że „bruzda” ta nie ma żadnego związku z niebieskimi sprawami: po prostu w czasie jednego ze wspólnych połowów Kałużnikow wpadł na pomysł, że nieźle byłoby, uwzględniając różnicę poziomów wody w jeziorze i w rzece, przekopać w najwęższym miejscu dzielącego je progu kanał do Tobola i ustawić w nim więcierz. W Ubijennom, po wiosennych wylewach, ryb jest bardzo dużo — zeznawał kowal — a na wędkę nie biorą — syte. Tośmy i kopali przez trzy dni jak katorżnicy. Tylko trochę za płytko wyszło, niczego tam nie złowiliśmy.

W protokole z przesłuchania ten tylko fakt mignął Niestierience i oczywiście w żaden sposób nie wiązał się z tobolskim antymeteorytem. Milicja wyjaśniała, co robił w czasie ostatnich dni zaginiony, i proszę — wyjaśniła: kopał z kowalem rów. Sprawa kanału, która wypłynęła w zeznaniach Alutina, nie wzbudziła większego zainteresowania u Siergieja Jakowlewicza: w jego dochodzeniach fakt ten niczego nie tłumaczył.

W przysłanej z Ust'Jeleckoj paczce najbardziej pomocne dla zrozumienia osobowości zaginionego okazały się nie jego rzeczy (płaszcz, trochę bielizny, elektryczna maszynka do golenia, mydelniczka, — szczoteczka do zębów itp.), a cztery notatniki. Trzy z nich, podniszczone, z gładkim kredowym papierem, były całe zapisane, czwarty (w brązowym płótnie, z papierem w kratkę) tylko rozpoczęty. Siergiej Jakowlewicz przestudiował je, posługując się trochę wiedzą, a bardziej sprytem i intuicją.

Notatki dotyczyły w większości problemów fizyki i własnych pomysłów Kałużnikowa zmierzających do ich rozwiązania. Niestierienko zrozumiał z nich niewiele — ale prawdę mówiąc, nie bardzo się starał. Uprzytomnił sobie jednak, że Kałużnikow im dalej, tym bardziej był opętany swoją szaloną ideą budowy materii, o której wspominał Kuzin. Wyglądało na to, że zwiał z Instytutu Fizyki Teoretycznej właśnie w związku z tą ideą. I w tym punkcie Witalij Siemionowicz nie miał racji. Ale dla Siergieja Jakowlewicza nie był to absolutnie najważniejszy wniosek. Głównym i ostatecznym dla niego wnioskiem było stwierdzenie, że Kałużnikow nie ukrywał się, nie kluczył i do Ust'Jeleckoj przybył bez żadnych specjalnych zamiarów. Ze wszystkich akt wynikało, że nie należał on do ludzi, którzy sprawiają kłopoty wymiarowi sprawiedliwości rozmaitymi krętactwami i wybiegami, nie tym miał wtedy zajętą głowę. Widocznie rzeczywiście nastąpił fatalny zbieg okoliczności, i Kałużnikow zginął tam, na brzegu Tobola, bez naciągania.

„Taki nie oszuka” — zdecydował Niestierienko i przekazał sprawę do sądu.

POMYŁKA

Minęło pół roku. Wiosenny wylew Tobola napełnił parów na lewym brzegu rzeki. Jezioro Ubijennoje na nowo napełniło się wodą. Promieniowanie radioaktywne w strefie wybuchu spadło do bezpiecznego stężenia i rozebrano ogrodzenie wokół miejsca eksplozji. W Nowodwińsku życie także biegło swoim zwykłym, codziennym torem. Młodszy sędzia Niestierienko prowadził pospolite sprawy: defraudacje i spekulacje w handlu, skradzione motocykle i samochody, pijackie bójki z uszkodzeniami ciała, włamania do drewutni i komórek — ten kryminalistyczny plankton, na którym nie sposób wyostrzyć sobie zębów, nie sposób błysnąć intelektem, genialną logiką, erudycją.

Intelektualne ciągoty Siergiej Jakowlewicz — człowiek, jak już zostało powiedziane, młody i pełen zapału — zaspokajał lekturą czasopism popularnonaukowych. I oto w lipcowym numerze szeroko znanego wydawnictwa Akademii Nauk znalazł całą rubrykę artykułów pod wspólnym, ciągnącym się przez dwie strony tytułem — „TOBOLSKI ANTYMETEORYT”.

Działo się to w ciepły sierpniowy wieczór, we wtorek. Niestierienko jeszcze przy obiedzie, po przyjściu z pracy, przekartkował świeżą gazetę… Nie zaczął jednak czytać w pośpiechu przy jedzeniu, a odłożył lekturę na później. Odczuwa się specjalne zadowolenie przy czytaniu tego, o czym się wie niezależnie od publikacji i Siergiej Jakowlewicz czuł przedsmak takiego zadowolenia.

Po obiedzie usadowił się wygodnie w fotelu na balkonie i rozłożył pismo.

Dwa największe artykuły referowały materiały z dwóch konferencji zwołanych w związku z tobolskim wybuchem — ogólnoradzieckiej i międzynarodowej. Szczególne zainteresowanie na jednej i na drugiej wzbudziły: referat członka-korespondenta Akademii Nauk P. P. Faiłowa, który był przewodniczącym komisji ekspertów, i dyskusja nad referatami. P. P. Faiłow drobiazgowo wykazywał, że wszystkie fakty zaobserwowane i zbadane na miejscu wybuchu znakomicie potwierdzają hipotezę akademika Nieckiego na temat meteorytów z antymaterii. Dyskutanci kwestionowali szczegóły, ale w całości byli zgodni z takim postawieniem sprawy.

Ale Niestierienkę, bardziej niż ta naukowa jednomyślność, interesowały fotografie i rysunki zeszklonej „bruzdy” w rozmaitych profilach i ujęciach: jej rozmieszczenie w terenie, widok z góry, widok wzdłuż osi horyzontalnej, nawet przekrój, w którym przypominała ona na wpół zawalony okop. Zagłębiwszy się w artykuły, zrozumiał, że „bruzda” figuruje wszędzie nie między innymi, ale jako decydujący argument na korzyść stwierdzenia, iż na brzegu Tobola upadł antymeteoryt. Faiłow w swoim referacie na temat położenia „bruzdy” wykazał, skąd przyleciał na Ziemię antymeteoryt — z Gwiazdozbioru Smoka. A wybitny angielski astrofizyk, członek Towarzystwa Królewskiego, Kent Tabb obliczył nawet według geometrii bruzdy masę tobolskiego antymeteorytu, prawdopodobną jego gęstość i prędkość w momencie zetknięcia z ziemią. Z wyliczeń Tabba wynikało, że meteoryt ważył około kilograma i składał się z tlenków antyżelaza i antykrzemu, a poruszał się z prędkością rzędu 40 kilometrów na sekundę.

— Rany boskie — powiedział Siergiej Jakowlewicz, czując, że robi mu się gorąco, a serce wali ciężko i donośnie. — No przecież to…

Jak już zostało powiedziane, sprawa kanału do połowu ryb pomiędzy jeziorem a Tobołem, która mignęła Niestierience w zeznaniach Alutina, nie zajęła jego uwagi — tak jak nie interesują nas rzeczy niewiele mające wspólnego z rzeczywistym celem poszukiwań. I dopiero teraz, patrząc na zdjęcia „bruzdy” anihilacyjnej, uświadomił „sobie, że jest ona tym samym wykopanym przez Ałutina i Kałużnikowa kanałem. znajdował się oczywiście w najwęższym miejscu między rzeką a jeziorem, prowadził ku rzece najkrótszą drogą… i w ogóle innych kanałów pomiędzy Tobołem a jeziorem na zdjęciach nie było!

„No tak… — Niestierienko potarł dłonią czoło. — A to ci dowcip! Okazuje się, że tuczeni nie

połapali się… — Oparł łokcie o gazetę, zapatrzył ma szumiącą w dole ulicę. — No naturalnie: kowal krył się,zataił sprawę, żeby mu za puste jezioro nie przyszło odpowiadać. Kałużnikow zginął. Następnie eksperci sporządzili „Oświadczenie”, zebrali materiały, wrócili do swoich instytutów i zawrzało jak w garnku! Ale głupstwo zrobiłem, trzeba było od razu 4 przesłać im kopię zeznań Alutina. Nawet mi to do głowy nie przyszło. A prawdę mówiąc, to oni jeździli na miejsce wypadku, a nie ja. Jakże ja mam ich, z Nowodwińska, poprawiać? Sami powinni się byli zorientować. Ale gdzież im tam zajmować się takimi — głupstwami? To naukowcy, ludzie posługujący się doskonalszym sposobem myślenia… Skandal!”

Następnego ranka, po przyjściu do prokuratury, Niestierienko kazał sobie przynieść z archiwum sprawę Kałużnikowa. I teraz im bardziej ją zgłębiał, tym bardziej odkrywały się przed nim nie tyle nieścisłości, a wręcz nieprawdopodobieństwo tej całej historii z jego zniknięciem.

A więc zabrał się do notatników i przeczytał je. Wtedy, w styczniu, kierował się delikatnie ale zdecydowanie przez docenta Kuzina wyrażoną opinią, że to brednie. Jedyny sensowny wniosek, który wtedy z nich wyprowadził, to stwierdzenie, że Kałużnikow rzucił instytut i zmienił generalnie tryb życia, ponieważ przejął się;za bardzo swoimi ideami. W końcu była to jego osobista sprawa. „A jeśli to nie brednie? — pomyślał Siergiej Jakowlewicz, odcyfrowując teraz stawiane w pośpiechu fioletowe kulfony i zakreślając interesujące miejsca. — Jeśli idea Kałużnikowa była prawdziwa?”

Pod koniec przerwy obiadowej, której Niestieirienko nawet nie zauważył, w jego głowie zaczął świtać domysł. Domysł logiczny, a równocześnie na tyle niesamowity, na tyle — podobnie jak idea Kałużnikowa — szalony, że Siergiej Jakowlewicz bał się go wyrazić słowami nawet w myśli. Przeczuwał, że to prawdopodobne — ale co tam prawdopodobne! Że fakty sprawy właśnie w tej wersji wiążą się w niesprzeczną całość. Ale jego rozum, wykształcony na potocznej wiedzy i wyobrażeniach, wypychał z siebie taki domysł jak woda kroplę oliwy.

DRUGA ROZMOWA NIESTIERIENKI Z KUZINEM

Instytut Fizyki Teoretycznej znajdował się na peryferiach miasta, obok Diemijewskiego Parku Leśnego. Był to stary pompatyczny budynek mający cztery piętra w centrum i po trzy na skrzydłach. Niestierienko szybkim krokiem przeszedł westybul, wszedł po wytartych stopniach schodów ma trzecie piętro i ruszył słabo oświetlonym korytarzem, czytając tabliczki na drzwiach.

Gabinet Kuzina mieścił się w samym końcu korytarza, przy oknie szczytowym wychodzącym tną demijewski las. Witalij Siemianowicz zdziwił się tą wizytą. Podniósł się zza starego, rzeźbionego, podobnego do gmachu biurka, przywitał serdecznie gościa i siadł naprzeciw Niestierienki przy dostawionym obok stoliku, odcinając się tym niejako od swego kierowniczego stanowiska.

Przez sekundę patrzyli na siebie wyczekująco.

— A więc co ma pan do minie… Proszę wybaczyć, nie zapamiętałem pańskiego imienia? — jako pierwszy ostrożnie przerwał milczenie Witalij Siemionowicz.

— Siergiej Jakowlewicz — przedstawił się Niestierienko — a przychodzę do pana z tym oto: W jednym ważnym punkcie pomylił się pan, Witaliju Siemionowiczu. Kałużnikow porzucił Instytut w Nowodwińsku właśnie z powodu swojej „szalonej” idei. Wynika to jasno z jego zapisków, które przysłano mai z Ust'Jeleckoj. — Ndestderienko, rozwiązawszy teczkę, położył notatniki na stoliku.

— Ach tak! Cóż, i to możliwe. Chociaż dziwne… — Kuzin zerknął na notatniki. — Aż jakiego powodu, niech pan daruje, ten punkt jest taki ważny? Życia Dymitrowi Andriejewiczowi nie przywrócimy, niestety.

— To bardzo ważne, Witaliju Siemionowiczu! — Niestierienko rozłożył przyniesione z domu czasopismo. — Czytał pan te artykuły?

— O meteorycie tobolskim? Czytałem, i nie tylko te.

— Wspaniale. A teraz niech pan przeczyta to — sędzia śledczy położył przed Kuzinem zeznanie Alutina.

Witalij Siemioinowicz nałożył okulary. Początkowo czytał bez większego zainteresowania. Potem chrząknął, spojrzał przenikliwie na Niestierienkę, doczytał kartki do końca, zapalił papierosa — i zaczął czytać od nowa.

Docentowi Kuzinowi nie trzeba było tłumaczyć, co znaczą dla historii meteorytu tabolskiego zeznania prostego kowala Alutina, jaki druzgocący wyrok wydają one na wszystkie hipotezy, ekspertyzy itp.

— No tak! — powiedział donośnym głosem, położył kartki i (zaczął przechadzać się po gabinecie, zacierając ręce i uśmiechając się zjadliwie. — Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, Siergieju Jakowlewiczu, że zawołam tutaj niektórych naszych towarzyszy? Dobrze by było, żeby i oni się z tym zapoznali.

— O nie, Witaliju Siemionowiczu, broń Boże! — zaprotestował Niestierienko. — Lepiej zastanowimy się najpierw, czy sami nie damy sobie z tym rady.

— Z czym mianowicie?

— Ze sprawą. Rozumie pan, ten kanał, szczególnie w zestawieniu z zapiskami w notatnikach, stawia w zupełnie innym świetle historię Kałużnikowa, no i cały tobolski wybuch.

— A rzeczywiście… notatniki! Co w nich jest takiego?

— Pozwoli pan, że najpierw przedstawię problem, który przyprowadził mnie do pana. Ile pan zna przypadków, ażeby człowiek, do tego uczony, porzucił interesującą pracę, mieszkanie, nawet perspektywę otrzymania nagrody państwowej… i został włóczęgą?

— Znam tylko jeden przypadek.

— I ja także. To pierwsze mało prawdopodobne zdarzenie. Dalej Kałużnikow tułał się po kraju bez

określonego celu, było mu wszystko jedno, dokąd jedzie, gdzie przebywa, to wynika z jego notatników. Druga mało prawdopodobna okoliczność. Następnie znalazł się w Ust'Jeleckoj, a w nocy z 21 na 22 lipca właśnie na miejscu wybuchu tobolskiego. I to nie o dziesiątki metrów od epicentrum, jak sądzono, a dokładnie w środku, łowili przecież w samym kanale. Trafił prosto pod meteoryt!

— Trzecie nieprawdopodobieństwo — przytaknął zgodnie Kuzin.

— A czwarte to to, że nikt nie widział śladu meteorytu w powietrzu. I na koniec piąte, które już zupełnie nie mieści się w głowie: meteoryt przeszedł dokładnie wzdłuż kanału… I wszystko to są niezależne od siebie, przypadkowe wydarzenia! Każde z osobna posiada, jeśli wyrażać się matematycznie, prawdopodobieństwo różne od zera, chociaż niezupełnie różne. Ale żeby wszystkie razem?!

— Chce pan powiedzieć, że prawdopodobieństwo oficjalnej wersji zajścia jest wytworem pięciu wyjątkowo małych prawdopodobieństw, czyli praktycznie równe jest zeru?

— Właśnie — skinął Niestierienko.

— Pasjonuje się pan, jak sądzę, teorią prawdopodobieństwa? — Kuzin z sympatią patrzył na rozgorączkowanego — młodego człowieka.

— Mam taką słabość.

— Wygląda na to, że uczeni pomylili się i sąd także?

— Jak widać, tak.

— Tak… rzeczywiście, trudno uwierzyć, żeby wszystko tak się zbiegło. Szczególnie ten kanał! Ale wybuch, Siergieju Jakowlewiczu, miał miejsce. Widziano go, pozostało wypalone miejsce, promieniowanie. I jezioro wyparowało.

— To także prawda.

— A więc jak?

Niestierienko rozłożył ręce, wzruszył ramionami. Przez minutę milczeli obaj.

— Mam pytanie, Siergieju Jakowlewiczu: nie miał pan wątpliwości co do tego, czy Dymitr Andriejewicz Kałużnikow znajdował się na miejscu wybuchu i czy zginął?

— Niestety, w tej sprawie nie mam wątpliwości. Tak najpewniej było, że spłonął tam i decyzja sadu o uznaniu go za zmarłego jest w pełni uzasadniona. Zresztą niech pan sani osądzi: półtora roku minęło od tego czasu, a gdzie Kałużnikow? Człowiek nie szpilka.

— Więc dlaczego postanowił pan wrócić do tej sprawy? Chce pan poprawiać uczonych, przyłapać ich na pomyłce? To niech pan im wyśle te zeznania, do tego czasopismo, i po sprawie.

Niestierienko uśmiechnął się markotnie.

— Ma pan niezupełnie właściwe wyobrażenie o naszej pracy, Witaliju Siemionowiczu: wytropić, złapać na gorącym uczynku, udowodnić winę…

— Ależ skąd! — Kuzin podniósł ręce protestując.

— Sens pańskiego pytania jest właśnie taki. Niech pan zrozumie, sprowadzanie wszystkich zdarzeń do zgodności z artykułami prawa to zewnętrzna strona naszej pracy. A wewnętrzna jej treść, choć może się to wydać panu zarozumiałe, czyni ją podobną do pracy badacza. Najważniejszą dla nas sprawą jest poznać prawdę, ustalić, jak było w rzeczywistości. Wydaje mi się, że nie nią prawd specjalistycznych: innych dla prawników, innych dla fizyków, jeszcze innych dla dyrektorów teatrów… a jest po prostu praw i a. To jej w tym przypadku nie udało mi się poznać, ustalić, a więc, jeśli nie z prawniczego, to z moralnego punktu widzenia nie mam racji i popełniłem błąd.

Niestierienko zamilkł czując, że zaczyna się irytować. Nie przypuszczał, że przyjdzie mu tutaj wyjaśniać takie sprawy!… A Witalij Siemionowicz czuł się teraz niezręcznie. „Zmieszał mnie z błotem młodzieniec” — myślał patrząc spod oka na zmienioną twarz gościa — kulturalnie mnie zmieszał. Nie ja powinienem stawiać takie pytania, i nie on udzielać takich odpowiedzi. Ja dostrzegłem tutaj tylko aferę, a on — to, co mnie wypadało dostrzec — problem.

Zamilkł na chwilę.

— No więc jak właściwie było z tym wybuchem, z Dymitrem Andriejewiczem? Ma pan jakąś konstruktywną wersję, Siergieju Jakowlewiczu? Przecież jeśli oficjalnie zakwestionuje się wprost wersję antymeteorytu, to nawet jeśli uda się dowieść pomyłki w sprawie kanału „bruzdy”, to zaraz zapytają: a cóż innego to mogło być? I oczywiście niczego innego w tym rodzaju zaproponować nie można, no?

— Można, Witaliju Siemionowiczu — zdecydowanie odpowiedział Niestierienko. — Przeczytałem notatniki Kałużnikowa i zaświtało mi coś takiego… Ale — popatrzył niezdecydowanie na Kuzina — rozumie pan, ta wersja jest nawet logiczna, wszystkie wydarzenia nie są w niej przypadkowe i łączą się ze sobą, ale równocześnie na tyle niesamowita, że., że po prostu nie mam jej panu odwagi przedstawić. Pomyśli pan sobie jeszcze, że zwariowałem. Zresztą, nie potrafię jej nawet wyrazić, nie to przygotowanie…

Witalij Siemionowicz patrzył na niego z dużym zainteresowaniem.

— Dlatego przyniosłem notatniki panu, dawnemu przełożonemu i przyjacielowi nieboszczyka Kałużnikowa — kontynuował Niestierienko. — Niech pan je przeczyta. Jeśli dojdzie pan do podobnych podejrzeń, pomyślimy, co robić dalej. Jeśli nie, to… kto wie, może ja mam naprawdę — zbyt bujną, niezdyscyplinowaną wyobraźnię?! Nie jestem w końcu uczonym. Jedno wydaje mi się zupełnie pewne, że ani meteoryt, ani antymeteoryt to nie był.

— Ciekawe — powiedział Kuzin. — Strasznie mnie pan zaintrygował. No cóż, proszę zostawić notatniki, przeczytam. Dzisiaj środa? Niech pan przyjdzie w piątek rano, do tego czasu uporam się z tym. A więc do zobaczenia, i niech żyje prawda, jakakolwiek by była! Pożegnali się.

Część druga Na drodze myśli

Z NOTATNIKA DYMITRA KAŁUŻNIKOWA

Za notatniki zabrał się Witalij Siemionowicz wieczorem w domu. Na wewnętrznej stronie okładki każdego z nich napisane było, kiedy został rozpoczęty. Pierwszy notatnik pochodził z kwietnia 19… roku Witalij Siemionowicz dokładnie pamiętał tę datę: akurat ukończyli projekt soczewki elektromagnetycznej do ogniskowania cząstek w superakceleratorze — projekt ten został potem przedstawiony do nagrody państwowej.

„Nowy rok, nowe porządki — brzmiała pierwsza notatka. — Będę się mógł wreszcie zająć swobodnie badaniami. Może by zrobić doktorat z ogniskowania? Łatwy temat.

„Ale coś nie mam do niego serca. Dusza niespokojna. I czego jej brakuje, mojej duszy?!…”

„Woźna instytutu, ciocia Kila. modli się zwykle, przychodząc rano na dyżur. Patrzy nabożnie w kąt westybulu, poniżej zegara elektrycznego i powyżej tablicy przeciwpożarowej z bosakami, żegna się pospiesznie i szepcze coś. Ciekawe, o co się modli?

„Ażebyśmy my, fizycy-teoretycy, odkryli wreszcie naturę praw fizyki i udowodnili, że Boga nie ma?…”

A. więc co mnie tak odpycha od łatwego, intratnego tematu ogniskowania przeciwnych wiązek? Może niewiara w perspektywy? Nie wierzę, że superakceleratory i bombardowanie w nich cząsteczek w tarczę z cząsteczek bombardowanie nie wiadomo czego, nie wiadomo czym — jak żartuje nasz akademik) posunie nas choćby na krok do przodu w pojmowaniu materii. Nie zrozumieliśmy cząsteczek elementarnych, kiedy bombardowaliśmy je energiami rzędu milionów elektronowolt, nie rozumiemy i przy energiach miliardów elektronowolt. Gdzie gwarancja, że zrozumiemy przy dziesiątkach miliardów? Tak można potęgować energię w nieskończoność; a im dalej, tym jest to bardziej skomplikowane. Powstaje gałąź nauki pracująca sama na siebie i raić poza tym.

„Nie wierzę w tę sprawę.

„Otóż to: wierzyć, nie wierzyć — to nie zajęcie dla uczonego. Trzeba zgłębić, poznać. I to będzie moje zajęcie w bieżącym roku, wniknięcie w teorię cząstek elementarnych, w teorię, która jak dotychchzas ma tylko nazwę i jest zestawem niezbyt jasnych pomysłów.”

„Co to są „ciała materialne”? Skupiska „cząstek elementarnych. A „cząstki elementarne”? Najdrobniejsze składniki „ciał”. A co to są „ciała”? Zamknięty krąg, z którego wynika, że nie tylko nie wiemy, co to są cząsteczki, ale nie wiemy także, co to są „ciała”.

„Oczywiście, cząsteczki posiadają „masę”, „moment magnetycznym, niekiedy „ładunek”. Ale czy wystarczy tych właściwości (których natura jest zresztą niejasna), aby uważać je za przedmioty materialne?

„A jeśli nie są rzeczami materialnymi, to czym?”

Jest uniwersalna, zwalniająca od rozterek i wątpliwości odpowiedź: taka jest obiektywna rzeczywistość. Stały ładunek elementarny? Obiektywna rzeczywistość. Siła ciążenia odwrotnie proporcjonalna do kwadratu odległości? Tak samo. Prędkość światła stała we wszystkich układach odniesienia? Obiektywna rzeczywistość.

„Ale dlaczego ta rzeczywistość jest taka, a nie?…

„Praktycy mogą się zadowolić taką konstatacją rzeczywistości. Gdyby nawet siła ciążenia była proporcjonalna do sześcianu odległości, prędkość światła nie była stała, masa elektronu wynosiłaby nie 1837, a była dziesięć tysięcy razy mniejsza niż masa protonu — oni zawsze znaleźliby sposób, aby skonstruować silnik elektryczny i tranzystor, zbudować most i wystrzelić rakietę.

„Praktycy mogą, taki jest sens ich pracy, dopełniać naturę w interesie ludzi. A sens pracy teoretyków, to zrozumieć naturą.”

„Dzisiaj stuknęło mi trzydzieści pięć lat. Nawet nie zauważyłem — no bo i co tu świętować?

„Na czym upływają lata? Na zarabianiu pieniędzy i gromadzeniu dóbr? Na wykonywaniu prac, w potrzebę których nie wierszę i interesować się którymi nie jestem w stanie? Na złudnym potwierdzaniu własnego „ja” płytkimi pomysłami? Na kontaktach z kobietami, których nie mogę pokochać? Na preferansie i popijawach?… Wydaje się, że wszystko to nie jest życie, a wstęp do życia, że wszystko co lepsze, ciekawsze — przede mną. A lata lecą i przede mną wciąż to samo…

„Na co tu tracić siły, nie ma czym nasycić duszy! A jeśli tak, to na co mi ta dusza?”

„Taganrog, przewiany na wskroś lodowatym, lutowym wiatrem. Morze Azowskie ze skrawkiem brudnego lodu wzdłuż gliniastych brzegów. Sala z teatralnymi żyrandolami, zbytkowną sztukaterią i fatalną akustyką. Zniekształcone przez mikrofon strzępy zdań „na fundamentalnej podstawie głębokiej teorii…”, „kompozycje mikrocząsteczek i mikrostanów”, „zespół elektronów”, „dyskusyjna donukleonowość kwarków”… — słowem, konferencja na temat fizyki cząstek elementarnych. A ja w sekcji fizyki wysokich energii, audytorium D202, początek obrad — godzina 10.30.

„J. Strifonow „Niektóre phoblemy energetyki sphężystych i nie sphężystych zderzeń helatywistycznych photonów”. Referent zademonstrował francuski pronons i perfekcyjną umiejętność smarkania w chusteczkę pomiędzy zdaniami. Przeziębił się na azowskich przeciągach.

„S. Priwierziew. „Jak wiadomo, w słabych oddziaływaniach, warunkujących rozpad cząsteczek, prawo zachowania parzystości zostaje naruszone… Jednak orientacja spinora Diraca w sześciowymiarowej impulsywno-potencjalnej przestrzeni…” „Spinor Diraca, dinor Spiraca, niech ich diabli obydwu!

„Uważa się, że współczesna fizyka przenika w podstawy budowy materii, w to co najbardziej elementarne — to znaczy najprostsze, prostsze od arytmetyki, w coś takiego, co każdemu można objaśnić. Ale gdzie ono jest, to najprostsze?! Ze wszystkich referatów emanował niezwykle zawikłany galimatias terminów, drobiazgowych przesłanek, przypadkowych faktów doświadczalnych, wyszukanej matematyki na koniec, przywołanej na pomoc po to, aby potwierdzić racje referenta… Wypracowaliśmy międzynarodową terminologię, język matematyczny — i skutecznie rozumiemy się tylko w tym, o czym milczymy. Ale czy to znaczy, że rozumiemy naturę?

„— Zaplątaliśmy się — westchnął mój sąsiad z sekcji i z pokoju hotelowego, Sybirak Kola, kiedy podzieliłem się z nim wątpliwościami. — I nie przyznajemy się do tego, ani przed sobą, ani przed innymi.

„— Tak, wygląda na to, że nadszedł najwyższy czas, aby przestać jeździć po konferencjach, zwalając na kupę łatwopalne teoryjki i pomysły, aby skończyć z rozdmuchiwaniem na cały świat i do nieprawdopodobnych rozmiarów mitu o ważności naszych poczynań w celu uzyskania obfitych kredytów, a zacząć myśleć. Myśleć konstruktywnie, uczciwie, bezwzględnie: czy dobrą drogą szliśmy, gdzie zboczyliśmy z niej w labiryncie poszukiwań?

„Myśleć aby zrozumieć.

„A tego właśnie nie umiemy.

„Nasze poznanie jest całkowicie podporządkowane instynktowi samozachowawczemu — to z niego także wywodzą się „strach”, „wygoda”, „chęć zysku”.

„Tak, praktyka jest najwyższym kryterium prawdziwości teorii. Ale czyż praktyka i korzyść to jedno i to samo?

„Gdzież wy średniowieczni alchemicy, mieszający substancje dla zaspokojenia palącej, dziecięcej ciekawości: co wyniknie z tej mieszaniny? Gdzież wy, dawni anatomowie, wykopujący w tajemnicy, pod osłoną nocy, trupy na cmentarzu, aby pojąć, jak też zbudowany jest człowiek?”

„Stepy, pasy leśne, hałdy — wszystko białe. Śnieg, śnieg od morza do morza. Pociąg nr 27 wiezie mnie do domu… Czy na darmo pojechałem? Chyba nie. Nie usłyszałem na konferencji konstruktywnych myśli, ale uświadomiłem sobie ogrom dezorientacji, jaka panuje obecnie w fizyce cząstek elementarnych. Głupi, myślałem, że tylko ja nic nie rozumiem… Cóż to są te cząsteczki, „cegiełki gmachu świata”, które

może wcale nie są cegiełkami, ani kuleczkami, ani w ogóle przedmiotami materialnymi?

„Z czego my się, braciszkowie, składamy.

„Noc. Zabawna teoria, w rytm stukotu kół: cząstki elementarne to wcale nie cząstki, żadne jakieś tam stałe formy materii. To zmienne procesy, objętościowe falowanie samej przestrzeni! Hm?

„Nie, naprawdę: przyjmijmy na serio, że przestrzeń nie jest próżnią. Fizyczne wakuum to środowisko materialne, być może nawet dosyć gęste. I oto w jakichś jego miejscach powstaje objętościowe zachwianie: zagęszczenie, rozrzedzenie i znów zagęszczenie. Średnio biorąc jest tutaj taka sama gęstość materii, jak wszędzie, ale powstało coś — pulsująca niejednorodność. Jednorodne jest przecież nierozróżnialne, to tyle co nic.

„A jeśli każde nowe zachwianie gęstości powtarza się nie w tym samym miejscu, a obok, to mamy do czynienia z ruchem „cząsteczek".

„To jeszcze nie wszystko: zagęszczenia i rozrzedzenia można utożsamić z ładunkami cząsteczek. Ale według Maxwellowskiego, ciekłego modelu elektromagnetyzmu: przy zagęszczeniu (zagęszczenie to źródło pola siłowego — rozpływa się przecież i wywiera ciśnienie na okresową materię) — powstaje ładunek dodatni; przy rozrzedzeniu — ujemny. A przy przejściu od jednego stanu do drugiego powstaje zawirowanie materii i pole magnetyczne. To także według Maxwella.

„O, to już poważna sprawa! W ten sposób można wyjaśnić, skąd się bierze moment magnetyczny cząsteczek. Magneton to sztuczka nie do wyjaśnienia, dopóki uważamy cząsteczki za stałe twory. Przecież pole magnetyczne, zdaniem Maxwella, powstaje w wyniku zmian pola elektrycznego w czasie. Jeśli uważać, że ładunek „cząstek" jest stały, to niezrozumiałe jest, skąd się biorą u nich momenty magnetyczne. Wypada się domyślić, że w mikrocząsteczkach znajdują się uzwojenia z prądem, selenoidy, elektromagnesy… rzeczy nienaturalne, niemożliwe w elementarnych formach materii. A jeśli ładunek „cząsteczek" jest zmienny, to wszystko się zgadza…

„Zaczekaj, co się zgadza?! Przecież protony i elektrony mają ładunek stały! Zmierzono to, to fakt. Momenty magnetyczne też mają stałe. A ze zmiennego pola elektrycznego winno się otrzymywać także zmienne pole magnetyczne… Poniosło mnie. A szkoda, tak ładnie się układało.

„…Idiota, bałwan, geniusz, tępak! Wszystko było dobrze!

„Rezultaty pomiarów świadczą, że ładunki i pole magnetyczne cząstek są stałe. To prawda. Ale, drodzy panowie, za pośrednictwem czego mierzymy tę stałość? Za pośrednictwem przyrządów wykonanych z materii, a więc w ostatecznym rozrachunku, z tych samych wahających się (tak, wahających!) od rozrzedzenia do zagęszczenia „cząsteczek" — niejednorodności. I to wahających się synchronicznie, inaczej skupienie takich pulsacji — ciało — nie będzie stałe. To fakt z teorii drgań: we wspólnym systemie energetycznym mogą działać tylko te generatory, których częstotliwości i fazy są zgodne. Inaczej system się rozpadnie.

„Teraz jest jasne, dlaczego się nam wydaje, że cząsteczki posiadają stałe ładunki i momenty. Istnieje następujący efekt stroboskopowy: jeśli wrzeciono obrabiarki obracające się z prędkością 100 obrotów na minutę oświetlić R lampą gazowa o tej samej częstotliwości rozbłysków, to wyda się ono nieruchome. I jeśli niedoświadczony obserwator dotknie wrzeciona ręką, to urwie mu ono palce… Tak samo jest z cząsteczkami-wahaniami: dwa zmienne „protony", kiedy są zagęszczeniami, odpychają się; po połowie taktu, kiedy stanowią rozrzedzenia — również się odpychają. A my tłumaczymy to sobie tak: ładunki jednoimienne odpychają się. Ważne, że jednoimienne, nie ważne — jakie.

„Zmienny „proton" i zmienny „elektron" — to dwa wahania w przeciwfazie; przyciągają się one i mogą statycznie trzymać się razem, i to właśnie obserwujemy… Także momenty magnetyczne mikrocząsteczek— wahań są zmienne; mają zgodne częstotliwości i fazy i dlatego oddziaływują na siebie nawzajem jak stałe magnetyki… No nie, ale nam tu natura dała szczutka w nos.

„Ach! ucałujże mnie, ciociu Kilu!… To znaczy, chciałem powiedzieć: pomódl się za mnie! Odkryłem coś takiego…

„… Falowe — właściwości mikroczasteczek dają się łatwo pogodzić z tą ideą. Jeśli cząsteczka jest objętościowym pluskiem w ośrodku, czymś w rodzaju kropli deszczu wpadającej do kałuży, to naturalnie wzbudza ona wokół siebie koncentryczne falowanie. I nie jest już prawdopodobne, ale zupełnie zwyczajne, materialne, skąd się bierze dyfrakcja elektronów."

Napisałem artykuł o zmienności mikroczasteczek. Dwanaście stron maszynopisu, z podwójnym odstępem, łacińskie symbole podkreśliłem ołówkiem niebieskim, greckie — czerwonym… Wszystko jak trzeba. Każde pismo przyjmie. Pracowałem z wysiłkiem przez dwa tygodnie. Przeczytałem — i podarłem.

„Dotknąłem swego brzeżka wielkiej idei. Teorii, jak się wydaje, nie tylko fizycznej, ale wszystkiego. I ledwo zrozumiałem małą jej część — dalejże handlować tym kapitałem, brać się za oznakowanie działki. Albo chociaż błysnąć intelektem, przenikliwością domysłu. Nieważne nawet, czy to prawdziwy domysł, czy tylko się taki wydaje — byle błysnąć. Patrzcie, ludzie, jaki jestem genialny!… A to bardzo ważne, czy domysł prawdziwy. Świat — falowanie materii."

„Materia jest jedna. Istnieje w czasie i przestrzeni, ale przestrzeń i czas są także materialne, to kategorie materii. Wszystko w niej jest powiązane. Wszystko w niej płynie, zmienia się.

„To przerabialiśmy na ćwiczeniach z filozofii, odwalaliśmy na zaliczeniach, ale przyswajaliśmy (jeśli przyswajaliśmy!) tylko rozumem. Bo też bardzo trudno koncepcję materialnej jednorodności świata pogodzić z wyrywkowymi i różnobarwnymi obserwacjami — z rozmaitością natury: tu ciała, tam powietrze, gdzie indziej próżnia, tu zimno, tam gorąco, tam zielono, tam wilgotnie.

„A trzeba patrzeć na świat zwyczajnie i po prostu: istnieje ciągłe (wszechzwiązek zjawisk) materialne środowisko, które łączy w sobie i przestrzeń, i czas, i nas samych ze wszystkimi odczuciami i myślami. Postronny, nie z tego świata, obserwator widziałby to całe środowisko tak, jak my widzimy wodę. Nasz świat byłby dla niego szarym, czterowymiarowym falowaniem — z mętnymi zgęstkami ciał, z prądami, wirami… i nie wiadomo czym jeszcze. Nie odróżniałby w nim ani gwiazd, ani planet, lasów, zachodów słońca, ludzkich twarzy… My rozróżniamy, ponieważ pochodzimy z tego świata. Dla nas obserwować — znaczy współoddziaływać. Dlatego tak głęboko ukryty jest dla nas fakt jedności materialnej świata, że wszystko co postrzegane oddziaływuje na mnie — falę materii: jedno zwiększa amplitudę, drugie zniekształca formę, trzecie wydłuża czas istnienia, czwarte skraca go…

„Wszystko oddziaływuje inaczej."

„To jest podobne do muzyki: drgania dźwięków, narastając, ustalając się na określonym poziomie, potem słabnąc — tworzą nutę, elementarną całość — „atom muzyki". Nuty składają się w całości-akordy, w całości— melodie. Nuty to „kryształy", „grudki", „włókna" muzyki. A wszystkie one składają się w coś jeszcze bardziej całościowego — symfonię lub pieśń „Podobne jest do falowania morza: drobniutkie fale, nakładając się, tworzą duże, a z tych wyrastają wały wodne. Seria takich wałów — z „dziewiątym", maksymalnym pośrodku — to także fala. I cały sztorm też jest falą-zdarzeniem, ponieważ nie występuje wszędzie, ponieważ ma początek i koniec. „…To do niczego nie jest podobne, dlatego, że kosmiczne falowanie materii — z powstaniem, rozwojem i rozpadem galaktycznych wirów i gwiezdno-planetarnych bryzgów — jest czterowymiarowe. Wszystko, co widzimy, słyszymy, czujemy, to tylko cząstkowe przejawy tego falowania. I to właśnie należy pojąć, zbadać. A cząsteczki… co tam cząsteczki!…'

„I znowu ranek, znowu żegna się pod zegarem ciocia Kila.

„…Ja także umiem modlitwę. Wyuczyła mnie jej na wsi babcia Daria w wojnę, abym się modlił za ojca, kiedy nadeszła wiadomość o jego śmierci. „Tyś jest jeden nieśmiertelny, stworzycielu nas ludzi, którzyśmy z prochu powstali i w proch się obrócimy, jako tyś nakazał, ty któryś mnie stworzył i rzekłeś mi, prochem jesteś i w proch się obrócisz…","Prochem jesteś i w proch się obrócisz…*Uogólnijmy — materią jesteś i w materię się zamienisz. Ktoś mądry dawno zrozumiał to wielkie w swojej biblijnej prostocie i bezwzględne prawo jedności materialnego falowania. A potem ktoś głupi dał mu na imię — „Bóg".

„Interesujące: o czym nie zacznę myśleć, wszystko prowadzi mnie do tej samej idei. I cząsteczki, i muzyka, i stara modlitwa… Zresztą, tak właśnie trzeba: prawdziwa idea materii powinna obejmować wszystko.”

„Lecę ponad morzem. Samolot mknie nisko i widzę przez swój iluminator obdarzony niezwykłą dynamiką obraz sztormu: bałwany wściekle nacierają na brzeg, uderzają weń, rozbijają się w bryzgach i pianie, cofają się i znów nacierają… Samolot bierze kurs na pełne morze, brzegi umykają z pola widzenia i — o dziwo! — sztormowa fala cichnie. Są i bałwany, są zagłębienia pomiędzy nimi, ale wszystko to robi przekonywające wrażenie nieruchomego. Jakby to wcale nie była woda.

„Tylko kiedy popatrzeć dłużej, można zauważyć powolne — o ile bardziej powolne, niż zwykły bieg do brzegu! — przemieszczenie się bałwanów względem siebie: ich grzebienie to zbliżają się z lekka, to oddalają. Zmienia się także nieco ich wysokość, pojawiają się na nich i nikną pieniste baranki…

„Oto ono, rozwiązanie zagadki statyczności świata, w którym żyjemy! To mnie tylko wprawiło w zakłopotanie: skoro świat jest falowaniem materii, jak to jest, że formy ciał i ich rozmieszczenie zachowują się tak długo? Ależ przecież dlatego, że my także jesteśmy drobnymi bryzgami tej falującej materii. I fala-Słońce, i fala-planety i falujące na nich góry, i nawet fala-samolot, i ja w samolocie…, wszyscy mkniemy zasadniczo w jednym kierunku, w kierunku istnienia (w czasie?), z ogromną prędkością (czyż nie z prędkością światła? Przecież właśnie ona winna być prędkością rozchodzenia się fal w środowisku: a energia spoczynkowa ciał E = Mc1… Ładny mi „spoczynek”!). Ten bieg fal można dostrzec tylko z nieruchomego „brzegu”. Ale brzegu takiego nie ma we wszechświecie, a jeśliby i był, to nie my się na nim znajdujemy! Możemy więc tylko obserwować zmiany w obrazie wzajemnego rozmieszczenia ciał-fal wokół nas, to znaczny ruch względny.

„…Co za wspaniałe odczucie wartości własnego życia: kiedy boisz się umrzeć tylko dlatego, że nie wszystko zrozumiałeś, nie zakończyłeś badań!”

„Wszystko to nie to, wszystko to nie tak! Mogę napisać nieskończona ilość ułożonych w sensowne zdania słów, mogę doprawić je równaniami i formułami — ażeby za pośrednictwem tego wszystkiego objaśnić swoją ideę innym. A na ile ja ją sam rozumiem? Przecież jej przedmiot to nie coś, co znajduje się w kosmosie, pod mikroskopem czy w kolbie. Ten przedmiot — to wszystko. I wokół mnie, i we mnie, i w innych. Po prostu wszystko. Prawda wyrażona samym faktem istnienia świata.”

Dzisiaj, 25 grudnia, na własnej skórze odczułem kosmiczne falowanie. Albo mi się przyśniło?… Jeszcze teraz nie mogę przyjść do siebie. Wrażenie było potężne, niełatwo je opisać.

„Godzinę temu, o jedenastej, położyłem się spać. Najpierw jak zwykle nie mogłem zasnąć: leżałem myśląc wciąż o tym samym. Rozluźniłem ciało, skoncentrowałem się na myśli: oto ona, materia, wszędzie — i poza mną, i we mnie! Przyszedł półsen, w którym myśli zamieniają się w mgliste obrazy, a te rozpływają się w przedziwne doznania. I właśnie wtedy nastąpiło coś, z powodu czego zerwałem się nagle — cały zlany potem i z łomoczącym sercem.

„Co to było? Najpierw znikły gdzieś werbalne, zrozumiałe myśli. W zamian pojawiły się jakieś widzialne majaki (choć oczy miałem zamknięte), błyski, falujące strugi — nie wiadomo dlaczego w kolorze złocistożółtym. Migotały, splatały się w wiry, rozpływały się na nowo. Potem falowanie stało się… jakieś bardziej powszechne, czy tak? (Słowa są tu bezsilne!) Rozprzestrzeniało się po ciele kolejnymi interwałami ciepła i chłodu, prężności i osłabienia, stawało są płynne i potężne. Zdawałem sobie nawet sprawę z tego, że te drobne, cząstkowe pulsacje w moim ciele zlewały się, składały się w większe, a te pokrywały się z jakimś zewnętrznym rytmem. Oto i bicie serca zlewało się z nim.

Mięśniowe i cieplne wrażenie miałem takie, jakbym huśtał się na fali — od prawego do lewego boku. Potem fale poszły wzdłuż ciała. Nie tylko kołysały mnie, ale zaczęły jakby z lekka ściskać i rozluźniać na przemian moje ciało. Jednym słowem, odczuwałem coś w rodzaju pulsowania.

„Ale czułem się jeszcze oddzielnym ciałem, tylko pogrążonym w czymś falującym objętościowo. Potem — widocznie zewnętrzne rytmy podporządkowały sobie całkowicie moje wewnętrzne falowanie

— przestałem i to odczuwać. Skądś z zewnątrz napływało ciepło — miękkie i jakby żywe, przeobrażało się w żar. Czułem, że się rozpływam, roztapiam… i tutaj nagły impuls właściwego organizmom żywym stracha, przerażenia wyprężył moje ciało! Zerwałem się.

„Co to było? Temperatura 36,7°, w normie.

„To uderzenie wewnętrznego strachu… Teraz takie uczucie, jakbym uniknął śmiertelnego niebezpieczeństwa — spadłem w przepaść, ale zdążyłem schwycić się kamienia. Boję się położyć z powrotem. Przecież nigdy nie miałem odchyleń psychicznych… Czyżby moje „ja" rozpuszczało się w tym, co zewnętrzne?

„Czy to było to doświadczenie, którego tak deklaratywnie pragnąłem i oczekiwałem? Hm… Raczej nawet nie ono, tylko jego przeczucie.

„Rzuć to, Kaługa! Rzuć, bo zginiesz! Zajmij się zwykłą nauką, rób doktorat. Albo ożeń*się znowu — będziesz się krzątać, kłócić, wychowywać dzieci, oderwiesz się od tego… Męczysz się i nawet nie powąchasz tej nowej prawdy. A niech je, te namiętności!

„A przecież nie rzucę…"

Ta notatka była zakreślona czerwonym ołówkiem sędziego śledczego. „Tak, rzeczywiście" — przytaknął Kuzin.

„Tworzę — pod wrażeniem tej nocy — Energetyczną Teorię Intuicji. Albo Teorię Rezonansu Intuicyjnego, jak kto woli.

„1. Nikt nie wie, co to jest intuicja. Wiadomo tylko, że jest i że można się nią kierować w ocenie informacji i przewidywaniu przyszłości nie gorzej niż logiką (zresztą, co to jest logika, także nie jest zbyt jasne). Przy pomocy jednej i drugiej staramy się wyrobić sobie wierne wyobrażenie o rzeczywistości, poznać prawdę. Można to zdefiniować tak: intuicja to pojmowanie konkretnej prawdy nie na drodze rozumowania, a na podstawie jakiegoś wewnętrznego sygnału w naszej psychice.

„Sygnał ten, choć występuje jako „delikatne poruszenie duszy", jest niewątpliwie materialny. Jaka jest jego natura?

„2. Każdy, komu zdarzyło się poznać albo tworzyć coś nowego: dokonywać wynalazku, odkrycia, podejmować ważne zadania życiowe, (to ważne, że życiowe!) wie, że w momencie zrozumienia albo prawidłowej decyzji znika zmęczenie, nawet jeśli walczyło się z problemem dniami i nocami. Człowiek czuje nagły przypływ sił, wpada w dobry nastrój, ogarnia go pragnienie, aby pracować i pracować wciąż jeszcze. I łatwo mu to przychodzi — nawet pracuje.

„Tak było i ze mną, kiedy wpadłem na trop „zwariowanej" teorii zmiennych mikrocząsteczek, tak było i przy innych pomysłach na temat właściwości falującej materii. Tak bywało i wcześniej, kiedy w pracy lub w życiu dochodziłem do prawdziwego rozwiązania. Podnosi się tonus mięśniowy, wzrasta życiowa aktywność, chce się człowiekowi śmiać ze szczęścia, nie wiadomo, skąd biorą się siły… Taki stan, to w istocie jedyny fakt w naturze ludzkiej twórczości. Nazywa się go „olśnieniem", „natchnieniem", „objawieniem", ale są to wszystko puste słowa. Ścisły jego sens sprowadza się do tego, że u człowieka następuje przypływ energii.

‚I na odwrót: jeśli z przyczyn zewnętrznych lub z powodu lekkomyślności zboczyłeś z drogi ku poznaniu, czujesz przygnębiający odpływ sił, ręce ci opadają.

„Cóż to jest za energia pojmowania prawdy, skąd bierze się ona w człowieku? I to nagle, oczywiście nie od jedzenia i nie od picia.

„3. Wniknijmy w mechanizm poznawania rzeczywistości przez człowieka. Ze środowiska dochodzą do mnie sygnały. Ich asortyment jest ogromny. My wybieramy zwykle te, które można odnieść do organów naszych zmysłów (węch, wzrok, słuch, dotyk, smak, zmysł równowagi) — ale to nie wszystko. Są jeszcze uczucia sympatii lub nieprzyjaźni, trwogi, niepokoju, humoru, przeświadczenia, ciekawości… — wszystkich nie sposób zliczyć. Istnieją one, chociaż bardzo trudno byłoby dla nich znaleźć jakieś specjalne organy.

„Wszystkie sygnały, łącząc się, tworzą we mnie (w mózgu? — z pewnością nie tylko…) pewien zmysłowy obraz — model świata. Kiedy wrażenia, doznania są niepełne lub zniekształcone, model nieprawdziwie odzwierciedla zewnętrzny świat; jednakże jeśli są one dostatecznie pełne i nie zniekształcone, jest on bliski rzeczywistości.

„Jest jasne, że sygnał intuicji — to odczucie bliskości modelu w moim wnętrzu i poznawanej rzeczywistości. Skąd się bierze takie doznanie i — dlaczego wyraża się ono (przypływem energii?

„4. Dopóki sądzimy, że rzeczywistość to różnorodne nagromadzenie statycznych ciał i niezależnych zjawisk, pojąć tego nie sposób. Inaczej wygląda sprawa, gdy założyć, że rzeczywistość — to złożone, ale jedyne, czasowo przestrzenne falowanie materii. Wtedy odzwierciedlający tą rzeczywistość model — to także czterowymiarowe falowanie we mnie, w subiekcie. A kiedy falowanie rzeczywistości i falowanie modelu są podobne — powstaje rezonans… „

— Oho! — Witalij Siemionowicz, którego zmęczyła już nieco lektura notatników i zamierzał położyć się spać, poczuł się nagle rześko, poczuł rosnące zainteresowanie i przypływ energii. — Ciekawe! Tego mi Dymitr Andriejewicz nie opowiadał…

„… A drgania rezonansowe, łaskawi panowie, tym się różnią od nierezonansowych, że gdzie by one powstały: w kamertonie, w mostach, w obwodzie radiowym, w systemie nerwowym (to znaczy we mnie) — prawie wcale nie potrzebują dokarmiania energią. To znaczy, że na podtrzymywanie w sobie dowolnego obrazu świata prócz prawdziwego (przecież nawet nieobecność u człowieka określonych wyobrażeń o świecie, niewiedza — to także model, tyle że fałszywy), traci człowiek pokaźną ilość energii. Kiedy jednak dochodzi do prawdy, energia ta uwalnia się.

„Jedźmy dalej (ręka sama pisze, to właśnie to — intuicyjne potwierdzenie, że idę właściwym śladem!). Rzeczywistość to jednak nie są prościutkie sinusoidy, jak w obwodzie radiowym czy kamertonie, to niezwykle złożone falowanie objętościowe z niezliczoną ilością harmonicznych. Nas interesuje zwykle jakaś cząstka: oddzielne zjawisko, właściwość, fakt lub wzajemny związek niewielu faktów, to znaczy jedna lub kilka harmonicznych pośród kosmicznego falowania materii. Pozostałość nas nie interesuje: bo przecież właśnie kuse, wyrywkowe prawdy najłatwiej jest sprzedać na rynku układów życiowych — dla zarobku, dla potwierdzenia własnej wartości…

„Dlaczego o tym mówię: jeśli uzyskawszy prawdziwy model małego wycinka (inaczej mówiąc, wchodzące w intuicyjny rezonans z jedną lub kilkoma harmonicznymi falowania materii), człowiek doznaje odczuwalnego przypływu energii — to jaka ogromna jej ilość wyzwoli się w nim, gdy nagle zrozumie wszystko? Nie słowami, nie równaniami — a swoim jestestwem odczuje całą prawdę o świecie i o sobie!

„Największe nieszczęście współczesnego świata tkwi w tym, że ludzie nie są tak mądrzy, jak są potężni. Dlatego bardziej się boimy bomb atomowych, które sami wymyśliliśmy, niż klęsk żywiołowych.

„A tutaj zupełnie inaczej — bez guzików, które może nacisnąć byle kretyn: jeśli rozumiesz dogłębnie rzeczywistość — otrzymujesz dodatkowy zapas energii. Jeśli nie rozumiesz — nie miej pretensji.”

„Energia fal proporcjonalna jest do ich częstotliwości. To znaczy, że największy zapas energii znajduje się w człowieku na poziomie cząsteczek i atomów: są to częstotliwości rzędu 10–10 herca. Następnie idą drgania molekularne z częstotliwościami od 10 w lekkich molekułach do 10–10 w ciężkich — białkowych. Po nich następuje poziom „żywych falowań”. w człowieku: wibracji komórek i włókien mięśniowych, pulsacji w tkankach nerwowych, sprężysto-dźwięcznych drgań w kościach, ścięgnach, w różnych błonach — aż do cyrkulacji krwi, bicia serca, oddychania, przemiany materii.

„Rezonans na poziomie atomowo-molekularnym daje prawie niewyczerpalny potok energii, nie niniejszy niż przy syntezie termojądrowej. Ale dotrzeć do niego nie jest łatwo: trzeba najpierw wejść w rezonans na poziomie oddychania i pracy serca, potem ma poziomie drgań komórkowych, nerwowych i drgań sztywnych. A tam — zobaczy się.

„… Diabła tam się zobaczy, drogi Kaługa, do niczego tak nie dojdziesz! Już wszystko poukładał na

półeczkach, błyskają cyfry i terminy: „rezonans”, „częstotliwości”, „energia”… Przecież to energia rozumienia — energia twojej myśli, uczuć, twojego życia! Nie pomoże tu teoria matematyczna, niemożliwe są doświadczenia z przyrządami, nic nie dadzą dyskusje z kolegami. Tylko życiem całym zdołasz osiągnąć rezonans-zrozumienie.

„Dlaczego odłożyłeś pióro? Wyciągnij ostateczny wniosek.

„Trudno…

„Otóż to! Okazuje się, jak silne jest jeszcze we mnie to instynktowne wyobrażenie o szczęściu jako o sytości, bezpieczeństwie, cieple domowym, posiadaniu żony, dzieci, władzy, sławy… itd. Cały komplet! A jeśli tego nie ma, to jakie by cię nie olśniewały idee czy odkrycia („2namy tę piosenkę!… „), uważa się, że ci się w życiu nie powiodło. A jeśli jest, to trzymaj się go, tego twojego szczęścia, jak rzep psiego ogona i nie mędrkuj. A mnie już czterdziestka stuka. Niewiele mam, można by zdobyć więcej… Gdybym tak miał dwadzieścia lat…

„Ale czy wpadłbym na to jako dwudziestolatek?

„„Warunki eksperymentu są jasne: nie rozpraszać myśli i uczuć, ani na utrzymanie takiego szczęścia, ani na to, żeby zdobyć jeszcze — nie rozpraszać ani na trochę. Inaczej być nie może.

„Trudno… „

„Mnie się nie powiodło? Powiodło mi się niesłychanie, fantastycznie, niesamowicie: nawiedziła mnie, zwyczajnego człowieka, idea o niebywałej wartości, która… nie, nie wstrząśnie światem i nie przewróci go — dość już tego trzęsienia i przewracania! — ale która pozwoli ludziom zrozumieć, kim i czym są, po co żyją, co powinni, a czego nie powinni robić, żeby żyło im się dobrze. Idea, która zwiastować może ludziom spokojną jasność i rozumną potęgę na miarę naszych czasów.

„…Nie, nie mam prawa osądzać i przeciwstawiać siebie ludziom. Przecież każdy człowiek, niechby najbardziej nieświadomie, zmierza do prawdy i, choć okrężną drogą, błądząc, dąży do niej. Inaczej nie byłoby kultury. Lecz jeśli widzisz prostą drogę ku prawdzie, nie klucz, idź po niej.

„Ja widzę. I muszę zrozumieć wszystko, poczuć prawdę, zawładnąć energią intuicji. Potem, jeśli się uda, przekażę swoje pojmowanie innym. Do tego niezbędne jest nade wszystko wyrzeczenie się codziennej, wchodzącej w nawyk pogoni za szczęściem życia. A jeśli zajdzie potrzeba, to i własnego ja.

„Niech mnie niesie potok życia, dokąd chce i jak chce. Od dziś nie będę w nim szukał korzystniejszych prądów, a będę tylko obserwował, wnikał, poznawał. Chodzić — i myśleć, leżeć — i myśleć, patrzeć — i myśleć. O jednym.”

„16 marca. Kuferek spakowany. Zaraz wyjeżdżam.”

W notatniku tym pozostało jeszcze wiele nie zapisanych stron. We czwartek Witalij Siemionowicz miał wystarczająco dużo czasu, żeby pozbierać myśli. Więc kiedy w piątek rano zjawił się sędzia śledczy, Kuzin, zdecydowanie i otwarcie patrząc w zwrócone ku niemu z nadzieją oczy, powiedział, że przestudiował notatniki i rozumie, do jak niezwykłej wersji wydarzenia przechyla się szanowny Siergiej Jakowlewicz. Ale poprzeć go nie może. Ostatnie pomysły nieboszczyka Kałużnikowa — to już dla każdego fizyka oczywiste brednie… Choć to przykre, trzeba jednak przyjąć, że Dymitr Andriejewicz właśnie na ich tle zbzikował. Stąd i nieobliczalne postępki.

Niestierienko był oszołomiony, zmartwiony i nawet próbował dyskutować:

— No jakże, Witaliju Siemionowiczu!… Przecież wybuch miał miejsce. I nastąpił właśnie tam, gdzie się znajdował Kałużnikow. A żaden antymeteoryt tam nie upadł, tośmy już, razem z panem ostatecznie ustalili.

— Dlaczego ostatecznie, Siergieju Jakowlewiczu? Dla mnie akurat nie jest to zupełnie oczywiste, nie jestem przekonany, że to nie był meteoryt… No jeśli chodzi o „bruzdę” anihilacyjną, eksperci dali się nabrać, zgadzam się. Po prostu niedokładnie przesłuchiwali mieszkańców. Jednak uściślenie, że „bruzda” to wykopany przez ludzi kanał, nie przekreśla wersji meteorytu, Siergieju Jakowlewiczu, nie! Mógł on przecież nie dolecieć do ziemi, a spłonąć na określonej wysokości nad tym miejscem. Obraz zdarzenia

pozostanie taki sam: wybuch termiczny i świetlny, nadtopienie gleby, promieniowanie… Przecież i w „Oświadczeniu” jest mowa nie o centrum a o epicentrum wybuchu, jeśli pan pamięta. To dwie różne rzeczy. A więc, istnieje tutaj szereg możliwych wariantów wytłumaczenia zjawiska.

Niestierienko patrzył na Kuzina wytrzeszczonymi oczami: „No, no!”.

— A jeśli chodzi o wagę, skład i prędkość meteorytu? Przecież wyliczono je według parametrów kanału! — Nie chciał poddać się bez walki. — I punkt na niebie, z którego jakoby przyleciał meteoryt, także według kanału.

— N-no… w tej kwestii to rzeczywiście przesadzili, co prawda nie nasi eksperci, a sir Kent i jego współpracownicy. Chociaż w gruncie rzeczy nie można zaprzeczyć, że meteoryt był masywny i dostatecznie gęsty: z jednej strony całe jezioro wyparowało, z drugiej gleba uległa lokalnemu stopieniu. — Kuzin sam poczuł, że jego dowodzenie staje się dosyć niepewne i pospieszył z konkluzją: — To są wszystko drugorzędne detale. Same niczego nie dowodzą i niczego nie zmieniają.

Minuta przeszła na niezręcznym milczeniu.

— Ale notatniki i zeznania Alutina mimo wszystko im prześlę — powiedział sędzia. Wziął teczkę, wstał.

— Oczywiście, niech pan prześle. To pański obowiązek, można powiedzieć… Ale… Chce pan poznać moje zdanie? Nic z tego nie wyniknie.

— Dlaczego? — zapytał zrezygnowany Niestierienko, popatrując na drzwi — prawdę mówiąc, wcale nie chciał poznać zdania Kuzina, tylko wyjść j ak najprędzej.

— Niech pan zrozumie, gdyby się to dostało w ręce ekspertów na samym początku, kiedy badali tobolski wybuch, wiadomości te byłyby bardzo pożądane. Zeznania dotyczące kanału nawet niewątpliwie miałyby wpływ na wnioski komisji. Teraz nie. Przegapiona okazja, Siergieju

Jakowlewiczu, jeszcze jak przegapiona! Już ukształtowały się określone poglądy. Z powodu tych poglądów podjęto ważne działania: konferencje, referaty, książki…

Witalij Siemionowicz widział, że Niestierienko jest rozczarowany i zmartwiony tą rozmową i zrobiło mu się przykro, że niechcący zmartwił tego sympatycznego chłopca… Jak mógł, starał się załagodzić nieprzyjemne wrażenie.

— Ależ nie, niech pan pośle, koniecznie — on także podniósł się zza stołu. — No, Siergieju Jakowlewiczu, życzę panu wszelkiej pomyślności, miło mi było pana poznać. Jeśli będzie pan miał do mnie jakieś sprawy, zawsze jestem do usług.

To ostatnie zostało powiedziane niezupełnie na miejscu. Witalij Siemionowicz poczuł to i skonfundował się. Pożegnali się.

…Prawdziwy stuprocentowy tchórz — nigdy nie starcza mu odwagi, aby przyznać się do swego tchórzostwa. Usprawiedliwienia sobie wymyśla!

EPILOG. OSTATNIA HIPOTEZA NA TEMAT ŚMIERCI KAŁUŻNIKOWA

„Zadrżyj, niebo, i przeraź się ziemią, przesławną tajemnicę wadząc!…”

Protopop Awwakum List do świętych ojców

Trawy kołysały się w ciepłym wietrze. Kałużnikow kroczył po stepie w stronę Tobola, patrząc z roztargnieniem wokoło. Zielona, wełnista płaszczyzna, pokryta siwymi plamami ostów, rozciągała się w nieskończoność na wschód, południe i północ; od zachodu okalały ją niewysokie, łagodnie schodzące na nią odnogi uralskiego grzbietu.

— Wujku Dimooo! — dobiegł z wiatrem cienki głosik.

Obejrzał się. Na niewielkim wzniesieniu, którego zieleń przecinała piaszczysta wstęga drogi, stał Witka. Prawą ręką podtrzymywał dyszel dwukołowej taczki, lewą machał Dymitrowi. Kałużnikow ruszył ku drodze. Witka przygalopował do niego, wznosząc tumany kurzu taczką i bosymi stopami.

— Już z daleka ciebie zobaczyłem, od basztanów — oznajmił.

— Aha… a taczkę po co wleczesz?

— Tatko kazał, do ryb. Inaczej ich przecież nie uniesiemy, zwali się je tutaj, byleśmy tylko zdążyli więcierze opróżnić. Kanał skończyliście?

— Chyba tak. Twój tato tam został, powinien skończyć.

— Oj, wujku, to chodźmy prędziutko!

— Nie spiesz się. Po pierwsze twoje ryby ci nie uciekną. A po drugie… No już dobrze, siadaj na swoją furmankę.

Witka z radosnym piskiem wskoczył na taczkę. Kałużnikow złapał za dyszel — trzymaj się! — krzyknął i pocwałował, ponieważ droga biegła z góry.

Przebiegłszy z taczką pół kilometra, zasapał się. Witka zlazł i po rycersku zaproponował:

— Teraz ja ciebie, dalej.

— Dobrze już, ptaszyno! Pójdziemy pieszo, to niedaleko.

W oddali ukazało się pasmo wikliny na brzegu Tobola. Niebawem wyszli nad jezioro.

Trofim Nikiforowicz stał na wzniesieniu i palił papierosa, nie opodal leżała łopata. Popatrzył na zbliżających się Kałużnikowa i Witkę, na taczkę — i odwrócił się gniewnie. W więcierz ustawiony przy wylocie kanału bił przeźroczysty strumień wody, cienki jakby z kubka. Poprzez kanał widać było sitowie rosnące na brzegu jeziora i grę świateł na wodzie. Wody w potoku było tyle, co na mały palec.

Kałużnikow obejrzał urządzenie.

— Próg trzeba było zostawić i kopać głębiej, wujku Trofimie. Jaka poważna ryba pójdzie w taką wodę!?

— A gdzieś ty wcześniej był ze swoimi radami… próg?! — wykrzyknął kowal. — Samemu trzeba było skończyć, jak się już zabrałeś! Teraz to was wielu, takich doradców… Próg!…

— Nie szkodzi, może wypłucze. A nie wypłucze, to zasypiemy i wykopiemy głębszy.

— Wypłucze… czekaj teraz, aż wypłucze! Grunt tutaj twardy. A zasypać, też trzeba będzie czekać, aż wyschnie. W błocie się będę grzebał, i bez tego mam reumatyzm.

Po godzinie do więcierza naszło trochę jazgarzy. Niektóre były tak drobne, że prześlizgiwały się przez pręty i odpływały strumyczkiem do Tobola. Nieco większe przeciskały główki pomiędzy prętami i wytrzeszczały na ludzi mętne oczka. Kowal pochylił się, wyciągnął jednego.

— Sama drobnica, psia ich mać! — Odrzucił rybę, wytarł ręce o spodnie.

— A mama już ciasto nastawiła — powiedział rozgoryczony Witka. — Na pieróg rybny.

Alutin dopalił papierosa, rzucił i rozdeptał niedopałek i zaklął tak szpetnie, że aż żaby zielonymi pociskami rzuciły się do Tobola.

Kałużnikow marszczył się, marszczył, aż w końcu nie wytrzymał i parsknął śmiechem tak, że aż przysiadł. Patrząc na niego, parsknął również w dłoń Witka. Na koniec roześmiał się kowal.

— Oj, Dimka, Dimka, gdzieś ty miał głowę, kiedy kopałeś! Ja się tam nie znam na progach… siła robocza… A niech cię! Nie tutaj jesteś myślami, nie przyjechałeś wypoczywać, cały czas myślisz o swojej nauce. Rozplątuj wędki, Witka, trzeba choć coś złowić, inaczej nie mamy się co w domu pokazywać!

Na szczęście tym razem ryby brały — i duże, i małe. Wujek Trofim udobruchał się, a po kolacji, na którą były pieczone kartofle z pieczonymi w ognisku okoniami, kiedy wypili przygotowaną na otwarcie kanału ćwiartkę — całkiem poweseleli.

Pasma obłoków kładły się na niebie równoległymi, białoróżowymi zagonami. Przeplatały się z prześwitami szybko granatowiejącego nieba. „O, i w powietrzu odnaleźć można rytmy, fale. Skąd się tam biorą — mogłoby się wydawać? Wiatr wiał z różnych kierunków, wilgoć parowała tu tak, tam inaczej… a wszystko ułożyło się w fale.” Kałużnikow czuł, jak zbliża się znany mu i oczekiwany stan wewnętrznej jasności.

— Pozostałbyś u nas, byłbyś pierwszym kawalerem we wsi — perorował wujek Trofim. — O, jak się Klańka za tobą ogląda, Dimakowa znaczy. Ożeniłbyś się… A ty wciąż tylko myślisz i myślisz! I oczy masz od tego myślenia jakieś takie martwe. Nie, wolałbym już codziennie nowe kółko do nosa dla buhaja z naszej stanicy wyklepywae, aniżeli zajmować się tą waszą nauką… Ach, gdzież wy moje trzydzieści lat! Kozaczyło się…

Kałużnikow słuchał i nie słyszał. Za wzgórzami dogorywał zachód. Fale-obłoki stawały się szaroniebiesko-purpurowe. Pluskał strumyk w kanale. Cięły komary. W jeziorze, żegnając dzień, igrały ryby.

Trofim Nikiforowicz załadował na taczkę więcierze, łopaty, wędki, szturchnął zasypiającego na siedząco syna, zawołał do Kałużnikowa:

— No co, idziemy?

— Idźcie, ja jeszcze zostanę.

— Uważaj: nie spóźnij się, dogoń nas… A może ty nie idziesz do domu?

— Może.

Skrzyp kół taczki, mamrotanie Trofima Nikiforowicza, kroki — wszystko się oddaliło. Robiło się ciemno. Wiatr ustał. Ucichł plusk ryb w jeziorze i rzece. Stopniowo nastawała cisza — ten uroczysty i wszechogarniający spokój w przyrodzie, którego nie wypada zakłócić nawet westchnieniem.

Dymitr Andriejewicz przewrócił się na plecy, ostrożnie, jakby bał się zmącić ten spokój, założył ręce pod głowę. W ciemnogranatowym niebie zapalały się pierwsze gwiazdy. Kiedyś miał zwyczaj rozpoznawać gwiazdozbiory, przypominać sobie nazwy wyróżniających się gwiazd. Teraz — po prostu patrzył.

Stracił rachubę czasu, czuł tylko, jak materialny, lekko wibrujący potok — w równym oddechu, w miarowym biciu serca — unosi go razem z ciepłym stepem, rzeką, jeziorem, cichym niebem w nieskończoność. „Niby Wołga” — przyszło mu na myśl. Przypomniał sobie, jak kąpał się w Wołdze poniżej miasta Górki i niósł go równy, ale bystry prąd, którego trudno się było spodziewać na widok tej wielkiej rzeki.

Wspomnienie Wołgi rozpłynęło się, jej miejsce w świadomości Kałużnikowa zajął inny obraz — obraz sztormu na morzu. Czasami stawał na brzegu na długie godziny, wsłuchując się w prostą jak muzyka i złożoną jak muzyka prawdę fal.

…Białe ze wściekłości grzywacze rzucają się do ataku, nacierają na brzeg i wycofują się, zgrzytając otoczakami.

Zrobiło się zupełnie ciemno, nie sposób było rozróżnić, gdzie kończy się step, a zaczyna niebo — może tylko po licznych nieruchomych gwiazdach, które wpatrywały się w niego poprzez wolną od obłoków przestrzeń. On także patrzył na gwiazdy. Narastało w nim odczucie, jakby uwalniała go od siebie, od poczucia jednostkowej tożsamości, potężna fala intuicyjnego zjednoczenia ze światem.

Zharmonizował się z falowaniem materii oddech. Serce zaczęło bić w rytm czegoś władczego, ciepłego, zrozumiałego. We wspólny rytm ciała składały się pulsacje mięśni, krwi, nerwów — narastał w nim świetlisty żar.

Nie było już myśli, słów, ani obrazów. Instynkt samozachowawczy — ostatni strażnik osobowej indywidualności — na moment dał znać o sobie skurczem nerwowego chłodu, rozprzestrzeniającego się od splotu słonecznego. Kałużnikow stłumił go, unosząc się na łokciach:

— No?! Nie boję się. No!…

Teraz przepełniło go uczucie miłości do wszystkiego, co istnieje — tej czystej, ofiarnej miłości, której nie doświadczał nigdy w stosunku do żadnej kobiety. „Oddać siebie, aby zrozumieć — to nie śmierć. To nie znaczy umrzeć, a przeobrazić się w coś innego… ponieważ życie w kosmosie jest wieczne!” I nie czuł strachu przed niczym.

Nieskończoność przestrzeni otworzyła się przed nim w całej swojej naoczności! W miejsce płaskiego obrazu „nieba” i „gwiazdozbiorów” ujrzał nagle, że niektóre gwiazdy — przeważnie te, które świecą jaśniej — znajdują się bliżej niego, te, które słabiej — daleko za nimi, a blady gwiezdny pył — zupełnie daleko, daleko; i zbiegają się w niepojęty dla myśli, ogromny, ale teraz dostrzegalny dla niego, galaktyczny klin. Widział to tak samo prosto i dokładnie, jak gdyby widział drzewa, za nimi poprzedzielane polami zagajniki, a jeszcze dalej las na horyzoncie… Każda z gwiazd stanowiła centrum jakiejś fali w kosmicznym morzu materii, a za nimi wciąż jeszcze była przestrzeń, i była, i była!

I nieskończoność czasu otwarła się przed nim. Widział teraz początki i końce.

…Fala materii — metagalaktyka — wezbrała w czterowymiarowej przestrzeni, rosła przez setki miliardów lat, zawirowała niemożliwym do pojęcia wirem. Strumienie tego wiru pokryły się zmarszczkami, rozlały na niewielkie prądy — z tych prądów zwinęły się spirale galaktyk, które rozdrobniły się na jeszcze mniejsze kręgi i strumienie gwiezdne. I mkną, rozwijając się w czasie te trwałe skupiska materii: gwiazdy, planety, ciała. A na ich krańcach pulchniejących i rozrzedzonych, na granicach nieruchomej materii-przestrzeni uwijają się, mrowią, kotłują najbardziej giętkie i zwinne strumyki zagęszczonej materii — aktywne, obdarzone pamięcią. To życie — delikatna i wiotka pleśń na powierzchni światów…Opada metagalaktyczna fala, rozbijają się na liczne odnogi galaktyczne potoki materii, rozpływają się strugami materialne wiry gwiazd i planet — „nieożywiona materia”, burząc się i rozlewając, zaczyna się przeobrażać w żywe strumienie — ciała. Będą one nie takie, jakimi były kiedyś, będą różne w różnych miejscach, ale — będą, ponieważ życie w kosmosie jest wieczne.

Nigdy nie powstało i nigdy nie przeminie. Będzie przechodziło od epoki do epoki w czasie, ze światów do światów w przestrzeni, zmieniając się, ale nie ginąc — ponieważ życie to odwieczne falowanie materii.

Jasność narastała w nim cudowną, nigdy nie słyszaną muzyką, krążeniem ciepła w ciele, przypływami uniesienia, niepohamowanej radości, uczuciem, że zaraz wzięci.

Ujrzał, jak zajaśniała światłem trawa wokół, brzeg kanału, potem zarośla nad rzeką, gładka tafla wody, skarpa na drugim brzegu — wciąż dalej i jaśniej, jaśniej, jaśniej! I nie dziwił się już, że to jego światło rozjaśnia i przenika wszystko.

Wybuch, oślepiający białoniebieski wybuch wytrysnął nad wzgórzem. Rozjaśnił i podpalił step, pobudził psy w pobliskich osadach, zamienił w parę jezioro, stopił ziemię.

Materia przyjęła na swoje łono tego, który pierwszy spojrzał w jej prawdziwe oblicze.

Przetłumaczył Jerzy Kaczmarek

Władimir Michajłow
Strumień na Japecie

1

Gwiazdy porysowały ekran białymi smugami. Rosnące przeciążenie coraz mocniej wciskało Brega w fotel. Przed oczami pojawiły mu się czerwone płatki mącące świadomość. lecz pilot, nie zważając na to, wodził ciężkim wzrokiem od jednej grupy urządzeń do drugiej — jego głównym obowiązkiem była obserwacja automatów lądowania, aby w razie jakiejkolwiek awarii przejąć prowadzenie statku na siebie. Siedzący za jego plecami Siwer wbił spojrzenie w ekran radaru rufowego i z przejęciem liczył setki metrów, które pozostały im jeszcze do pokonania, a które — jak się wydawało — nie miały końca. Gwiazdy kręciły się coraz wolniej, aż wreszcie zupełnie się zatrzymały.

— Trzymaj kurs — powiedział Breg.

— Trzymaj kurs — powtórzył Siwer.

Japet znajdował się teraz prosto pod ich rufą i srebrny gwóźdź „Ładogi” za chwilę miał się wbić w niego swym rozżarzonym ostrzem, kończąc swe wielodniowe spadanie z wysokości sięgającej miliardów kilometrów. Nagle przeciążenie znikło. Siwer już chciał odetchnąć z ulgą, lecz zapomniał o tym, zobaczywszy spochmurniałą nagle twarz Brega.

— Mmmmmm — mruknął Breg, uderzając pięścią w pulpit. — Nie w porę! Przeciążenie powaliło ich znowu.

— Tysiąc! — powiedział głośno Breg, zaczynając odczytywanie wstecz.

Przekręcił regulator głównego silnika. Na ekranie wyrosły czarne skały, a pomiędzy nimi świeciło się coś okrągłego jak moneta.

— Obserwuj ekran, ja nie mam czasu — mruknął Breg.

— Idziemy ściśle z kursem — odpowiedział Siwer.

— Kto tam jest? — spytał Breg, nie odrywając wzroku od układu sterowniczego.

— Prawdopodobnie jakaś ciężarówka. Wygląda na rudowiec…

— Siedzi dokładnie na naszym kursie — rzucił z gniewem Breg. — Zmieniam kurs.

— W porządku — powiedział Siwer.

— Sześćset — odliczał Breg — trzysta. Zmniejszam…

— Uwędzisz go — przestrzegł Siwer.

— Nie bój się! — rzucił Breg. — Sto siedemdziesiąt pięć — chowam płomień — sto dwadzieścia pięć, równe sto, dziewięćdziesiąt.

— A gdyby nawet, to po co tu usiadł? — powiedział Siwer.

— To ci cholerny kompan — złościł się Breg. — Że też właśnie on musiał się znaleźć na ich trasie. Czterdzieści. Trzydzieści pięć. Podpory!

Zielone lampki zamigotały, a potem zapaliły się równym światłem.

— Jedenaście! — krzyczał Breg. — Siedem, pięć!…

Silnik ryczał.

— Zero — zmęczonym głosem powiedział.

2

Huk ucichł, jedynie z rzadka pobrzękiwała stygnąca powłoka rufy, uszy rozkoszowały się z wolna zapadającą ciszą. Siwer otworzył oczy. Kabina oświetlona była zielonkawym światłem, od którego mniej męczy się wzrok. Breg przeciągnął się i ziewnął. Popatrzyli na siebie.

— Fajnie się spisałeś — powiedział Siwer. — To niesłychane, żeby automatyczny pilot wysiadł na ostatnich metrach.

— Miałem go na oku — odparł Breg. — Czułem, że z nim coś nie tak… W tym pośpiechu zanadto przeładowaliśmy statek, jak wielbłąda. Teraz trzeba będzie wymienić parę zespołów.

— Myślałem, że mi pomożesz.

— Ależ pomogę, a potem wezmę się za automat. Sądzę, że czasu mamy dość.

— A jak uważasz, kiedy oni tu będą? — spytał Siwer.

— Poopalamy się ze dwie doby, no, może trochę krócej — odrzekł Breg.

— Tylko tyle? Według obliczeń wyglądałoby na to, że mamy jakieś pięć dni. Chciałbym się trochę porozglądać…

— Wystarczy ci na to jeden dzień. Same kamienie. To przygnębiające miejsce. Gdyby tak wracali o miesiąc później, to na ich trasę wkręciłby się Tytan. Rozkosz tam lądować, no i w ogóle pełna cywilizacja.

— No, to byśmy się dopiero wpakowali — powiedział Siwer. — Podziękuj losowi, że to Japet. Raptem pięć kwantilionów masy. Tytan jest około trzydziestu razy masywniejszy…

— Widzę — uśmiechnął się Breg — że się przygotowywałeś. Tylko że z Tytanem nie radziłbym ci się wymądrzać. Znam go na pamięć. Nie próbuj mnie wiec zadziwić swą wiedzą. A nawiasem mówiąc, proszę cię, ich także nie staraj się zadziwić.

— Do głowy by mi nie przyszło — odparł Siwer. — Z bohaterami trzeba ostrożnie…

— Racja — skinął głową Breg. — Ze mną nie musisz się krępować. Skoro doczekałem się już siwych włosów na statku zleceniowym, to znaczy, że z pewnością nie jestem bohaterem.

— No dobra, o co ci chodzi? — mruknął Siwer.

— O nic — powiedział Breg ze spokojem. — Ja sam to wiem, że żaden ze mnie geniusz ani bohater.

Milczeli jeszcze chwilę, odpoczywając i co raz to spoglądając na skale zewnętrznych termometrów, które powinny były pokazać, kiedy wreszcie okoliczne kamienie na tyle ostygną, aby można było wyjść na zewnątrz. A potem Siwer powiedział:

— Tak, to bohaterowie… — zakończył szerokim gestem.

— Nie wiem — powiedział Breg. — Nie widziałem ich w tych momentach, kiedy stawali się bohaterami, a gdybym widział, to kto wie, czy i sam nie zostałbym bohaterem.

— A kto ich widział? — zapytał Siwer. — Bohaterowie to rekordziści. Kiedyś dziesięć sekund na setkę było rekordem, potem — normą mistrza, a teraz rekordzistą będzie ten, kto nie przekroczy ośmiu. Tak samo tutaj. Żeby latać w obrębie systemu słonecznego, nie trzeba być bohaterem, przecież my obaj także podróżujemy i jeszcze wielu innych, podobnych do nas, iluż to ja ich widziałem i prezentowałem na ekranie. Ale poza granice układu tamci polecieli jako pierwsi.

— No, nie całkiem jako pierwsi — powiedział Breg i już chciał się uśmiechnąć, ale się rozmyślił.

— Ale tamci nie wrócili — rzekł Siwer. — Oznacza to, że pierwszymi są ci, i bądź pewien, że wkrótce ich powitamy. Mam przeczucie, że uda mi się zrobić z tego prima reportaż.

— No — powiedział po chwili Breg — możemy wychodzić.

Zablokowali fotele, jak to zwykle robi się na postoju, bez pośpiechu uporządkowali kabinę, z zadowoleniem czując lekkość, niemal nieważkość swoich ciał, planetka bowiem miała tysiąc razy

mniejszą masę niż poczciwa Ziemia. Siwer wziął torbę podróżną i powoli, wygładzając każdą rzecz, zaczął wkładać do niej piżamę i szlafrok, na wierzch położył brzytwę. Breg czekał, postukując czubkiem buta w podłogę.

— Piżamy tam są — powiedział.

— Wolę swoją — odparł Siwer zaciągając zamek błyskawiczny.

Windą zjechali ma pokład ładunkowy. Było tam trochę ciasno, chociaż sprzęt Siwera, a także pudełka iż medykamentami i witaminami zajmowały niewiele miejsca — „Ładoga” jednak nie była ciężarówką. Siwer długo sprawdzał swój sprzęt, a potem upewniwszy się, że wszystko jest w porządku, jedną kamerę dał Bregowi, a drugą wzdął sam.

Przeszli do komory śluzowej. Pomagając sobie wzajemnie, naciągnęli skafandry i sprawdzili łączność. Właz otwierał się powoli, jak gdyby odzwyczaił się od tego podczas lotu.

Buty zastukały po czarnym kamieniu. Dźwięk przenikał do wnętrza skafandrów, wskutek czego ludziom wydawało się, że słyszą nogami jak polne koniki. Zapalili reflektory hełmowe. Breg powoli pokręcił głową, oświetlając sąsiedni statek, który zajął lepsze, centralne miejsce na lądowisku. Na oko maszyna była mniej więcej półtora rażą niższa od „Ładogi”, lecz szersza. Zakopcona powłoka statku zlewała się z mrokiem; amortyzatory — nie teleskopowe jak u „Ładogi”, lecz przegubowe — wychodziły na obie strony podobne do łokci człowieka, który wziął się pod boki, i nie budziły wielkiego zaufania. Liczne zgrubienia wskazywały, że nieraz już trzeba było je spawać. Siwer pokiwał głową — widok był zaiste żałosny.

— No tak — powiedział. — Rudowiec klasy „Żegnaj, Gienia”. Co on tu robi na tej szerokości? Poczekaj, wiem: rozwozi stąd rudy transuranowe na pozostałe stacje grupy Saturna. Dobrze mówię?

— Jedź dalej, erudyto — rzekł Breg.

— To wstyd — powiedział Siwer — żeby zasilanie stacji uzależnione było od takich oto trumien. A tak naprawdę, to co on w ogóle tutaj robi? Kopalnia w tych stronach?

— To najszybsza obsługa techniczna. Rudowcom zezwolono lądować na takich stacjach jak ta, pod warunkiem, że nikomu nie przeszkadzają.

— A nam właśnie przeszkadzają — powiedział Siwer. — Obawiam się. że „Błękitny Ptak” nie będzie miał gdzie wylądować.

— Jeśli rzeczywiście się tu zjawią — mruknął Breg. — Mogli zmienić kurs.

— No tak, na pewno tu nie wylądują — powiedział Siwer. — „Ptak” jest chyba ze dwa razy większy od naszego statku, prawda? A ten tu rozwalił się, że już gorzej nie można.

Znowu odwrócili się i zaczęli wodzić reflektorami po przysadzistym korpusie statku. Na samym niemal wierzchołku po jego opancerzonym cielsku pełzła niby ociężały żuk automatyczna polerka, zostawiając za sobą blado połyskującą smugę. Kosmetyka rudowca. Już dawno mu się to należało.

— To dopiero agregat — uśmiechnął się Siwer. — Statek zaniedbany do granic możliwości. Powinien być w tej strefie inspektor. I pewnie jest, tylko założę się, że ani na krok nie rusza się z Tytana. Dlatego też i ci wylądowali sobie na automatycznej stacji, gdzie nie ma ludzi i nikt ich nie może zobaczyć.

Umilkł, w ślad — za Bregiem omijając głaz, o którego ostre krawędzie można było sobie przeciąć skafander.

— A w ogóle kosmodromy należałoby budować tam, gdzie jest mniej kamieni.

— Kamienie pojawiły się tu dopiero wtedy, gdy kosmodrom był w budowie — powiedział Breg. — Wysadzano sikały. A teraz każde lądowanie i każdy start powiększają ich ilość: skały pękają od naszych wydechów. Zobaczysz, trochę dalej w ogóle nie — ma kamieni, nie ma też atmosfery ani wahań temperatury.

— Wszystko jedno, trzeba było budować po gładkiej stronie.

— Promieniowanie — powiedział Breg. — Tani jest — uran i tak dalej. — Spojrzał na swój

dozymetr. — Nawet ten stateczek spowodował wzrost promieniowania. Widzisz? — wskazał na przyrząd.

— Cóż w tym dziwnego, skoro po brzegi załadowany jest trans— uranami. Teraz, jak widzę, to ty usiłujesz mnie olśnić, a nie ja ciebie.

— Tylko że ja — burknął Breg — ja poznałem — to sam, a nie z książek… Jesteśmy na miejscu.

Zatrzymali się przed niewielkimi, zamkniętymi na głucho drzwiami prowadzącymi do wyrąbanych w skale pomieszczeń stacji.

— Pójdę się rozlokować — powiedział Siwer — a ty przynieś pozostałe rzeczy. — Spostrzegłszy się jednak, dodał po chwili — oczywiście, jeśli nie sprawi ci to trudności.

— Nie, nie sprawi mi trudności — odrzekł Breg.

3

Obszerna kajuta, świetlica stacji, oświetlona była wątłym światłem i dlatego jej kąty wydawały się nie proste, lecz ostre, głęboko wrzynające się w skałę. Automaty dobrze wypełniały swój obowiązek — oszczędzały energię. Siwer poszukał wzrokiem wyłączników, gospodarskim ruchem włączył duże świeczniki i rozejrzał się.

Na końcu długiego stołu siedziała trójka z rudowca. Przed nimi stały aluminiowe puchary ze słomkami. Widząc te prymitywne naczynia, Siwer omal że się nie rozczulił, poczuł się prawie tak, jak gdyby trafił do muzeum albo do sklepu ze starociami. Obok lady automatyczny barman hucząc i brzęcząc mieszał jakiś koktajl. Automat nie wzbudzał zaufania. Siwer przeniósł wzrok na siedzących za stołem i w głębi duszy uśmiechnął się — trudno by było znaleźć ludzi bardziej odpowiednich do swojego statku. Wszyscy trzej ubrana byli byle jak, a ich odzienie z przepisowymi uniformami nie miało nic wspólnego. Jeden z nich spal, oparłszy głowę na stole, dwaj pozostali rozmawiali półgłosem.

— Ten ladaco siedział nie tam, lecz o kilometr dalej — mówił ten, który siedział jako trzeci od Siwera. — A oni z pewnością zauważyli błyski. A więc tak czy inaczej można było tutaj postawić krzyżyk. Tylko kto mógł wiedzieć?

— Po-owykładali się i zaczęli się czołgać, i to właśnie było powodem — powiedział z wściekłością drugi.

Wskutek ostrego światła zmrużył oczy, a potem odwrócił się i z uwagą spojrzał na Siwera. Siwer mrugnął porozumiewawczo i wskazał głową na śpiącego.

— Gotowy?

— Nie-e — powoli, jakby w zamyśleniu powiedział ten, który się odwrócił. — Po prostu jest zmęczony.

Wypowiadane przez niego słowa rozciągały się śmiesznie i Siwer ledwie zdołał się powstrzymać, żeby — nie parsknąć.

— Wy z daleka?

— Tak, z Ziemi — niedbale odparł Siwer. — Dopiero co wylądowaliśmy.

— Da-awno stamtąd?

— Trzy tygodnie.

— A co tam, na Zie-emi?

— Wszystko w porządku — powiedział Siwer. — Ziemia to Ziemia. Najnowsza wiadomość: „Błękitny Ptak” wraca.

Jąkała kiwnął głową.

— Zdążyli ich już pochować — powiedział Siwer wyjaśniająco — a oni tymczasem wracają! „Błękitny Ptak”. Gwiazdolot, który poleciał na liganta, pamiętacie? gwiazda-liliput lub planeta-gigant, ligant, odkryty przez grawiastranomów na połowie — drogi do systemu Alfa Centaura! — podniósł głos, niezadowolony, że nowina została przyjęta dość obojętnie. — Pierwszy gwiazdolot, który tam poleciał, przepadł. Myślano, że „Ptak” także…

— To zna-aczy, że aa wcześnie — powiedział jąkała — za wcześnie tak myślano. No i co, dolecieli do tego liganta?

— Dobra — odezwał się ten, który siedział jako trzeci.

— Ależ na pewno — z rozdrażnieniem odrzekł Siwer. — I należy przypuszczać, że kręcili się wokół niego wystarczająco długo, żeby się we wszystkim dobrze rozeznać. Inaczej skąd by się wzięło to roczne spóźnienie.

— To zro-ozumiałe — powiedział jąkała. — Tylko że w trakcie oblatywania niewiele da się — zobaczyć, zwłaszcza prze-ez infrawizory. Powinni byli wylądować.

— Dobra — znowu odezwał się trzeci.

— Pierwszy statek właśnie dlatego nie wrócił — ciągnął Siwer pouczającym tonem — bo zdecydował się wylądować. Zawiadomili Ziemię o swojej decyzji za pomocą rakiety-listonosza, a potem wszelki słuch o nich zaginął. Tak więc „Ptak” nie mógł wylądować.

— Czy-yżby „Ptak” nie poinformował Ziemi o swych rezultatach?

— Pierwsze ich komunikaty zastały zrozumiane tylko z grubsza, gdzieś tak w trzydziestu procentach. Reszta to były same szumy — wyjaśniał Siwer. — Dla dobrego przekazu potrzebny by im był taki statek jak mój: latający wzmacniacz. Miejsca w nim zaledwie dla dwóch osób, cała reszta to elektronika i energetyka. Oni takich urządzeń nie mieli. Na pewno ostatnimi czasy przekazywali coś.

— Na pe-ewno przekazywali — zgodził się jąkała i wziąwszy słomkę w palce, zaczął wysysać płyn iż pucharu.

— Na razie zrozumieliśmy tylko tyle, że wracają. I jeszcze coś o trzech osobach. Należy przypuszczać — Siwer zniżył głos — że ci trzej zginęli. A wszystkich ich było jedenastu.

Jąkała podniósł głowę i spojrzał na Siwera, lecz trzeci uprzedził go.

— Dobra — powiedział jeszcze raz.

— Ja ni-ic — bąknął jąkała. — Po prostu myślę tak sarno. Nie jest tak źle. Mamo wszystko wi-ększość z nich doszła…

— Słusznie — kiwnął głową Siwer. — Trzech bohaterów zginęło, lecz pozostałych ośmiu wraca i sami rozumiecie, że Ziemia pragnie ich powitać jak należy. W istocie powitanie — zacznie się już tutaj. Po to właśnie przyleciałem.

— Ładnie to zostało wymyślone — powiedział trzeci. — A kto przyleciał? Dużo was?

— Tylko ja i pilot. Myślę, że to wystarczy… Ale przejdźmy do rzeczy. Jeśli dobrze rozumiem, tamta maszyna to wasza? — kiwnął głową gdzieś w bok.

— Na to wy-ygląda — powiedział jąkała.

— Poważny remont?

— Ależ nie. Ni-ic szczególnego.

— To znaczy, że wkrótce odlatujecie.

Było to nie tyle pytanie, co stwierdzenie.

— Chcieliśmy dobę odpocząć — powiedział trzeci; w jego głosie brzmiała niepewność.

Siwer uśmiechnął się życzliwie. Zamaszystym ruchem odsunął krzesło i usadowił się u przeciwległego końca stołu.

— Dobę — powiedział wesoło — a nie krócej?

— Kró-ócej? — spytał jąkała wypuszczając słomkę z ust.

— No, powiedzmy, pół doby. Zakończycie polerowanie, a do środka sprawdzać żaden inspektor wam nie polezie. — Mrugnął porozumiewawczo i roześmiał się, dając do zrozumienia, że drobne fortele transportowców są mu dobrze znane i że w zasadzie nic przeciwko nim nie ma.

Po chwili znowu rozległo się pytanie:

— Prze-eszkadzamy?

Siwer uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Na to wygląda. Za jakiś dzionek lub dwa zatrzyma się tu „Błękitny Ptak”, aby że tak powiem, ogolić się i oczyścić buty do blasku, zanim poleci na staruszkę Ziemię. Rozumiecie? Wracają bohaterowie, którzy już od tak dawna nie widzieli ojczystych krajów.

— No tak — powiedział trzeci. — A my przeszkadzamy.

— Zrozumcie, chłopaki, to bohaterowie! — powiedział Siwer. — Ja wiem, wy być może także jesteście bohaterami w zakresie — swojej pracy. I to wcale nie mniejszymi od nich. Tylko że pewna różnica jednak jest. Tymczasem — tak żeście się rozwalili, że „Ptak” nie będzie miał gdzie wylądować. A zdajecie sobie sprawę, jakie to wielkie statczysko? Poza tym, uczciwie — mówiąc, popatrzą na to

wasze cudo i pomyślą sobie tak: „Oto czym wita nas wdzięczna ludzkość — zardzewiałą krypą i załogą ubraną nie w uniformy”. Ja przecież przyleciałem tu specjalnie po to, aby przeprowadzić na Ziemię bezpośrednią transmisję. Mam zrobić reportaż. A wy, prawdę mówiąc, jakoś nie pasujecie mi do reportażu. Jeszcze raz was proszę, chłopaki, nie czujcie się urażeni. Każdy ma swoją pracę i nie musimy jej sobie wzajemnie utrudniać…

Obaj słuchali go — uważnie, ich kolega wciąż tak samo spał za stołem. Po chwili ten, który siedział jako trzeci, orzekł:

— Znaczy się, wielki statek?

— A wy co? — spytał Siwer. — Nigdyście go nie widzieli?

— A wy?

— No cóż, kiedy — startowali, byłem jeszcze uczniem… Ale mam fotografię, wziąłem ją z naszego archiwum. — Wyjął fotografię z kieszeni i podał temu, który siedział najbliżej.

Jąkała obejrzał ją i powiedział:

— Ta-ak…

Potem podał trzeciemu, ten także ją obejrzał i także powiedział:

— Tak…

— Jeszcze jedna sprawa — odezwał się Siwer. — Ich jest ośmiu. Ośmiu członków załogi. A tutaj na stacji wszystkich pokoi jest dziesięć. Ich ośmiu, ja i mój pilot.

— A kto jest pilotem?

— Breg — odparł Siwer. — Starszy facet.

— Zna-asz go?

— Nie — odparł — trzeci. — Może kiedyś słyszałem. Nie pamiętam. A więc jest was dwóch. No to co, kochani, co zrobimy?

— Przecież mówię wam, prawdziwe powitanie odbędzie się na Ziemi. Wszyscy tam na nich czekają. Ja mam tylko zrobić reportaż.

— No cóż — powiedział trzeci spoglądając na jąkałę. — Więc chyba rzeczywiście się pośpieszymy.

— Ty za-awsze się śpieszysz… — zaczął jąkała.

— To co, postanowione? — spytał Siwer.

— Dobra — powiedział trzeci. — Spróbujemy jakoś dopasować się do waszych terminów. Skoro tak się złożyło…

— Macie rację, chłopaki — powiedział Siwer. — Tam odeśpicie. Chociaż, jak widzę, wasz kolega i tutaj nie traci czasu — wskazał głową na śpiącego. — Jak on się nazywa?

Zadał to pytanie nieprzypadkowo. Co prawda nie wypadało pytać o nazwisko ludzi, którzy nie uważali za konieczne sami się przedstawić, śpiący jednak i tak nie mógł tego zrobić, stąd też pytanie o niego wydało się zupełnie naturalne.

— On? Kraj — po chwili milczenia odparł trzeci. Powiedział to niezbyt głośno, żeby nie obudzić śpiącego, który usłyszawszy swoje nazwisko, być może poderwałby się, jak to często bywa u ludzi przywykłych budzie się na wezwanie.

— Kraj — powtórzył Siwer, zapisując sobie w pamięci to nazwisko, a jednocześnie usiłując sobie przypomnieć, czy przypadkiem kogoś takiego nie było wśród jedenastu członków załogi „Błękitnego Ptaka” w chwili startu. O nikim takim jednak nie słyszał. — To znaczy, żeśmy się dogadali?

— Nie chcemy przeszkadzać — powiedział trzeci. Po czym uważając rozmowę za zakończoną spojrzał na zegarek i zanotował w pamięci godzinę, od której należało teraz liczyć czas. — Aha — zwrócił się do jąkały i pogrzebawszy w kieszeni, wyciągnął pudełeczko z pastylkami, jedną dał jąkale, a drugą, marszcząc się, przełknął sam.

— Sporamima? — ze współczuciem spytał Siwer.

— Antyrad — niechętnie odpowiedział trzeci. — Maszyna trochę promieniuje.

Siwer skinął głową i pomyślał o tym, że w ładowni „Ładogi” znajduje się kilka pudełek z medykamentami, a wśród nich jedna z antyradem. Przez kilka sekund kołysał się na krześle.

— Dużo go macie?

— Potrzebny wam?

— Rzeczywiście promieniowanie jest tutaj z lekka podwyższone…

Trzeci bez zdziwienia kiwnął głową i podał Siwerowi tabletkę. Siwer przełknął ją i z ulgą pomyślał, że ludzie z „Błękitnego Ptaka” otrzymają cały zapas lekarstw nienaruszony.

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże — powiedział trzeci, po czym podniósł się w dziwnie zwolnionym tempie i ciężko, jakby niósł na sobie cały ciężar planety, wyszedł zza stołu i skierował się do ściany, na której napacykowany był standardowy ziemski pejzaż. Plastikowa podłoga przy ścianie tworzyła płytki rowek, który miał wyobrażać dalszy ciąg namalowanego na ścianie strumienia.

„Strumień na Japecie — ależ wymyślali! Za tym przepierzeniem na pewno znajduje się łazienka. Może nie ma wanny tylko tusz” — pomyślał Siwer.

Człowiek z rudowca wskazał palcem na pejzaż.

— Niezłe, co? — powiedział i spojrzał na — Siwera, jak gdyby oczekując potwierdzenia.

Pejzaż był obrzydliwy, jednak Siwer kiwnął głową: czuł się zadowolony, że rozmowa z „woźnicami” przebiegła tak gładko. Trzeci roześmiał się, a wtedy okazało się, że usta ma szerokie niemal od ucha do ucha, spojrzenie zaś wesołe i badawcze. Siwer zauważył to ze zdziwieniem, do tej bowiem chwili ludzie ci wydawali mu się łudząco do siebie podobni, co być może spowodowane było tym, iż główną uwagę przyciągały nie tyle ich twarze, ile ich niezwykle zniszczona odzież. Uświadomiwszy to sobie, Siwer poczuł lekkie niezadowolenie z samego siebie, lecz w tejże chwili rozległ się dzwonek oznaczający, że ktoś wchodzi na stację, a ponieważ mógł to być tylko Breg z kamerami, Siwer podniósł się i wyszedł na spotkanie pilota.

4

Breg zdążył już wnieść sprzęt i stał teraz z uniesioną przyłbicą hełmu, uspokajając oddech. Siwer obejrzał kamery, upewnił się, że nic im się nie stało, po czym kiwnął głową pilotowi.

— Rozbieraj się, zjemy kolację.

— Nie — powiedział Breg. Najpierw chciałbym naprawić automat. Nie mogę odpoczywać, póki na statku coś jest nie w porządku.

— No cóż, masz słuszność — odrzekł Siwer po chwili zastanowienia. — Jak naprawisz, to przyjdź.

— Ma się rozumieć. Co to za ludzie?

Siwer wzruszył ramionami:

— Nic ciekawego. Jacyś obcy.

— Nie bohaterowie? — uśmiechnął się Breg.

Siwer nachmurzył się.

— Na pewno nie. Niepotrzebnie się śmiejesz. Z początku ja też pomyślałem… Ale nie, to po prostu robotnicy kosmosu. Często myślę, że powinno być coś takiego, co na pierwszy rzut oka odróżniałoby bohaterów. Ludzie dokonali jakiegoś wyczynu, a kiedy zaczynają pojmować całą wielkość tego, czego sami dokonali, w ich oczach pojawia się jakiś szczególny blask, oddech staje się przyśpieszony. Stają się innymi ludźmi…

— Teoria — powiedział Breg. — Wciąż jesteś pod wrażeniem?

— Daj spokój, mój drogi. To logika. Ich statek to typowy rudowiec. „Błękitny Ptak" jest o wiele dłuższy. Poza tym napędzamy jest energia kwantowa, piszą o tym wszystkie informatory. A ten? Ten nie ma nawet reflektora.

Odprowadził Brega i wrócił do świetlicy. Tamci dwaj znowu siedzieli za stołem, śpiący oddychał głośno. Siwer zamówił kolację, wziął talerze i przysiadł się.

— Gdzieżeście tak zajeździli swoją maszynę? — spytał.

— A co, widać? — ponuro zaciekawił się jąkała, nawet nie rozciągając słów.

— No, dobra — odezwał się szerokousty.

Jąkała wstał. Nieoczekiwanie zrobił to tak gwałtownie, że krzesło odskoczyło, a puchary na stole zadźwięczały. Popatrzył na szerokoustego, rozłożył ręce i zaśmiał się z zażenowaniem. Jąkała okalał się nadspodziewanie wysoki i długonogi. Podszedł do automatycznego barmana, wycedził koktajl do szklanek, postawił je na stole i lekko dotknął ramienia śpiącego.

— Prze-eśpisz całe życie.

— Niech śpi — powiedział szerokousty. — Ma dość. Zdążymy.

— A niech tam — zgodził się jąkała i nie siadając, wypił kilka łyków. Bez słomki.

Siwer zmarszczył się: tyczkowaty jąkała miał na sobie przykrótkie spodnie, a na jednej z kieszeni kusej marynarki dyndała na wpół oderwana klamerka. Siwer nie lubił ejtuchów. Jąkała najprawdopodobniej poczuł na sobie jego wzrok, bo obejrzał się na Siwera i powiedział z uśmiechem:

— Ubranie nie-eregulaminowe, co? Ale zdążymy się przebrać.

Siwer wzruszył ramionami. Jąkała odstawił na wpół wypitą szklankę, podszedł do ściany z pejzażem i zaczął wodzić po niej ręką, usiłując namacać guziki. Znalazłszy je, niepewnie dotknął palcem jednego z nich. W rowku, szemrząc cichutko, popłynęła woda. Ukryte podświetlenie sprawiało, że wydawała się złocista i ciepła. Jąkała usadowił się na podłodze i zdjął buty. Siwer co prędzej ziewnął, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Jąkała włożył bose stopy do wody.

— Cudownie — rozkoszował się.

— Woda — wymamrotał szerokousty, upijając ze szklanki.

Jąkała zerwał się. Zostawiając mokre ślady, podbiegł do stołu, porwał szklankę, a potem znowu

usadowił się, spuścił nogi do wody i podniósł szklankę do ust.

— Zu-upełnie inna sprawa — powiedział.

Siwer odsunął talerz.

— Czas na mnie — powiedział w zamyśleniu.

Wpuścił talerz w szczelinę myjni i ruszył wzdłuż ścian świetlicy, szukając ściennego kontaktu. Znalazłszy go w kącie, wyciągnął z torby woltomierz i zmierzył napięcie.

— A to ci historia — wymamrotał.

— Nie ma prądu? — spytał ze współczuciem szerokousty.

— Jest dwadzieścia wolt, a ja potrzebuję dwieście.

— Na automatycznych stacjach zawsze jest sieć niskonapięciowa.

— Widzę — burknął Siwer. Chwilę stał przy ścianie i namyślał się. — Nie ma rady, trzeba będzie ciągnąć kabel zasilający ze statku. Dobrze, że mamy jeszcze trochę czasu.

— Ta-ak pan myśli? — spytał jąkała nie odwracając się.

— Zjawią się tu nie wcześniej niż za dobę.

— O-obiecali?

— Dobryś sobie — odezwał się ze złością szerokousty.

— W granicach systemu — powiedział Siwer tonem wykładowcy — zmuszeni będą zmniejszyć szybkość: stężenie wolnego wodoru jest tutaj o wiele większe niż w otwartych przestrzeniach kosmicznych.

— Słu-usznie — zgodził się jąkała. Siwer podszedł do stołu, wziął kamerę i zaczął chodzić po kajucie, szukając ujęć.

— Zrobię program jak ta lala — powiedział. — Jakiego Ziemia jeszcze nigdy nie widziała.

— Czy już przeszkadzamy? — spytał szerokousty. Czuło się, że walczy ze snem.

— Jeszcze nie — powiedział Siwer. — Za mało światła. Proszę, niech pan włączy kinkiety. — Tak, chyba będzie doborze. Czy mógłby pan stanąć tutaj? Przymierzę się.

— To dla kina? — spytał niepewnie szerokousty.

— Dla telewizji. Niech pan trochę popozuje. Proszę sobie wyobrazić, że jest pan kapitanem „Błękitnego Ptaka”.

— Trudno mi będzie — powiedział szerokousty, uśmiechając się i obrzucając Siwera tym samym uważnym spojrzeniem.

— Ależ nie — odezwał się Siwer z niezadowoleniem. — Bardzo łatwo. Siedem i pół roku trwała wasza podróż. Teraz wracacie. Silni chłopcy na swym wspaniałym statku, który wszystko przetrzymał…

— Popozuj, silny chłopcze — powiedział jąkała. — Co ci szkodzi?

Siwer popatrzył surowo na jego plecy.

— Bardzo proszę, bez ironii. A więc przezwyciężyliście tysiące przeszkód, dokonaliście wyczynu, a teraz, kiedy wszystko jest już w porządku…

— Silniki startowe nie są w porządku — odezwał się jąkała, znów nie odwracając się. — Du-uży rozrzut.

— Ale to przecież nie o was… Zresztą przypuśćmy, że startowe są trochę nie w porządku, to nawet ciekawsze. No widzi pan, ma pan fantazję. Lecz wyście je już, ma się rozumieć, naprawili od razu w przestworzach, dokonaliście jeszcze jednego wyczynu. Proszę, niech pan o tym opowie. Muszę wiedzieć, jak to będzie wyglądało. Chciałbym wybrać najlepsze ujęcia. A więc jest pan kapitanem…

Szerokousty pokręcił głową.

— Boję się, że mi to nie wyjdzie.

— Po-osłuohaj — powiedział jąkała i tym razem odwrócił się. — Więc wyobraź sobie, że jesteś drugim pilotem.

— Niech będzie drugim pilotem — powiedział Siwer. — Wszystko jedno.

— Nie — powiedział szerokousty ze smutkiem. — Wolałbym nie.

Siwer westchnął.

— No tak… — rzekł dobitnie, jednak opanował się. — A przecież oni zasłużyli sobie na to, żeby pan się trochę postarał. Dla nich.

— Solni chłopcy — mruknął jąkała. — Do-okonali wyczynów. Legenda…

Siwer spojrzał na niego nieprzychylnie.

— To są fakty.

— Plus wy-ymysły — rzekł jąkała chlupocząc nogami w wodzie. — Plus domysły. Wszystko razem wzięte w nawias i podniesione do kwa-adratu. Powstaje legenda. Na łożu śmierci ktoś powiedział coś. A jak mógł powiedzieć, skoro…

— Bardzo proszę nie obrażać pamięci poległych! — rzucił ostro Siwer.

Śpiący obudził się i podniósł głowę.

— Kto? — spytał.

— Nic, nic — powiedział szerokousty. — Odpoczywaj, śpij. Wszystko w porządku.

— Aha — wymamrotał obudzony. — A gdzie my jesteśmy? — poszukał omackiem po stole. — Gdzie?

— Na stacji. Przypomnij sobie. Masz — szerokousty włożył szklankę w palce obudzonego. — Wypij.

— Ładnie tutaj?

— Ła-adnie — odezwał się jąkała od strumienia.

— Aha — powiedział obudzony — i ty tu jesteś. — Wypił. — Jakie dobre! Wspaniałe!…

Odwrócił głowę do Siwera i Siwer pojął, że człowiek ten jeszcze nie obudził się naprawdę: jego powieki były szczelnie zamknięte, bardzo szczelnie, tak jak gdyby się bał, że jakiś choćby nawet najmniejszy promyczek światła może przesączyć się przez nie i dotknąć oczu. Człowiek powiódł ręką trzymającą pustą szklankę, szukając stołu i ze zwyczajności tego ruchu Siwer wywnioskował nagle, iż pod tymi powiekami w ogóle nie ma oczu, są tylko puste oczodoły, które przyroda przeznaczyła do tego, aby w nich były oczy, lecz tam już oczu nie było, a powieki były zmarszczone i zapadnięte.

— Och!… — wyrwało się Siwerowi.

— Jest tu jeszcze ktoś? — spytał niewidomy.

— Z Ziemi — odparł szerakousty.

— Aha — mruknął ślepiec. — No tak, stacja. Doskonale.

— Spij dalej.

— Po-oczekaj — powiedział jąkała. — Za jakieś dziesięć godzin powinniśmy się stlenić, inaczej będziemy przeszkadzać.

— Komu?

— Przygotowują tu spotkanie bohaterów, silnych chłopców. Z wielką pompą. Bezpośrednia transmisja na Ziemię. Jest ich dwóch, reporter i pilot.

— Niezręcznie — wolno powiedział ślepiec.

— Ka-apitan będzie wygłaszał mowę — ciągnął jąkała. — Wyobrażasz sobie?

— Nie — powiedział ślepiec po chwili milczenia. Potem potrząsnął głową i przeciągnął się. — A ja się wyspałem — dodał wesoło.

— Soczewki magnetyczne trzecia i czwarta są zupełnie do niczego — mruknął jąkała.

— Jesteśmy bez silników startowych — powiedział rzeczowo ślepiec. — Odepchniemy się więc marszowym, i po wszystkim. To zupełnie bezpieczne.

— Być może — odezwał się jąkała.

— Tak więc prawdopodobnie pełny wzlot — powiedział szerokousty.

— Tym razem tak. Pełny wzlot — odrzekł jąkała i zaczął naciągać skarpetki.

— Wytrzyj nogi — powiedział szerokousty. — Masz — rzucił mu zmiętą chusteczkę do nosa.

— A Ziemianie nam nie pomogą? — spytał ślepiec, zwracając głowę w kierunku Siwera.

— Musimy jeszcze poustawiać na kosmodromie duże kamery i projektory — odrzekł Siwer jakby z poczuciem winy. — Inaczej nie będziemy mogli przekazać momentu lądowania. A jest nas tylko dwóch.

— To szkoda, żeście krewniaków z sobą nie przywieźli — powiedział ślepiec wodząc ręką po ubraniu.

— Zebraliśmy się na łapu-capu. A oni, sami rozumiecie, nie mają stałej lekarskiej wizy w kosmos. Poza tym ze zdrowiem u nich nietęgo.

— Tak, to zro-ozumiałe — powiedział jąkała. — Chodźmy.

— Poczekaj. A może oni pomogliby nam nawiązać stąd łączność — powiedział szerokousty, kiwnąwszy głową na Siwera.

— Nie potrzeba — odezwał się ślepiec. — Stąd to i sami damy sobie radę.

— Ależ nie — powiedział Siwer. — Jeżeli możemy w czymś pomóc, nie naruszając swych planów, to oczywiście…

— Dzię-ękuję — rzekł jąkała. — Nie trzeba.

Wyszli trzymając ręce na ramionach ślepca i kierując nim. Słychać było, jak w szatni otwierają szai i naciągają skafandry. Gładka plastikowa tkanina szeleściła przeraźliwie, dźwięczał metal.

— To w kopalni tak was urządzili? — krzyknął za nimi Siwer, lecz oni nałożyli już hełmy i nie usłyszeli go.

Wtedy Siwer podszedł do barmana i nalał sobie. Był to koktajl z soków owocowych, zwyczajny i nie bardzo smaczny. Siwer wzruszył ramionami i także poszedł się ubierać.

5

Breg otworzył luk remontowy i wyciągnął z niego kabel. Sam wyszedł i wspólnie z Siwerem zaczęli ciągnąć kabel w stronę stacji. Czarna gładka żmija wiła się wolno między odłamkami kamienia. Breg zginając się ciągnął koniec. Siwer podciągał kabel ku sobie, aby ulżyć pilotowi. W bladym świetle niewielkiego, lecz jasnego Saturna kabel rzucał cień, i cień ten, pełzający po kamieniach, także przypominał żywą istotę. Drugi, słabszy cień pełzł z boku, ponieważ srebrzysty korpus „Ładogi" odbijał promienie Saturna. Dociągnęli koniec kabla do wejścia na stację. „No, najtrudniejsze mamy już za sobą" — zaczął Siwer, lecz Breg przecząco pokręcił głową: należało jeszcze jakimś sposobem wprowadzić kabel do wnętrza, pokonując hermetyczne drzwi i unikając wyciekania powietrza z pomieszczeń, gdzie jego zapas był ograniczony. Trzeba było iść na statek po narzędzia.

W drodze powrotnej Siwer zatrzymał się i zapytał:

— Podłączyłeś kabel?

— Jasne, a jak byśmy wywiercili dziury? — odparł Breg i pomachał płaską skrzynką zabraną ze statku.

— Dobrze, bo ja o tym zapomniałem — przyznał się Siwer.

Długo kręcili się koło stacji, usiłując przebić wąski kanał pod drzwiami. Spod elektroerozyjnego wiertła tryskały fontanny niebieskich iskier, transformator rozgrzał się do granic wytrzymałości, lecz lita skała poddawała się z trudem.

— W ten sposób możemy się tutaj bawić do rana — zaczął gderać Siwer. — Trzeba by wymyślić coś innego.

— Przydałaby się nam zwykła wiertarka ze spiralnym wiertłem.

— A co, nie wziąłeś?

— Wziąłem. Tylko nie mamy wiertła o takiej średnicy, jak potrzeba. Nasz zestaw przewidziany jest do pracy w pomieszczeniu.

— Szkoda — powiedział Siwer.

Breg przyłożył rękę do transformatora, żeby posłuchać jego buczenia, i bez wahania wyłączył prąd.

— Co teraz zrobimy? — spytał Siwer.

— Poczekaj — odezwał się Breg. — A może tamci mają takie wiertło? Kto wie, może u nich akurat się znajdzie.

— Genialna myśl — zgodził się Siwer. — To co, poszedłbyś na tę ich krypę?

— Idź lepiej ty — powiedział Breg. — Ty się już z nimi poznałeś, a ja nie.

Siwer stęknął i wyprostował się.

— Starość nie radość — powiedział. — No to daj jakieś wiertełko.

Breg pogrzebał w torbie i z trudem zginając palce opięte grubymi rękawicami, wydobył z niej maleńkie wiertełko, które podał Siwerowi. Zacisnąwszy wiertło w dłoni, Siwer skierował się w stronę rudowca.

Saturn stał już niemal w zenicie. Pod jego promieniami chłodno pobłyskiwały krawędzie skał. Ominąwszy wysoki głaz, Siwer ujrzał stary statek, którego górna połowa, zdawało się, wisiała w próżni, nie mając żadnego oparcia. Siwer na moment zamarł ze zdumienia, lecz po chwili uśmiechnął się. Wszystko było na swoim miejscu. Pracowita polerka automatyczna, opisując okrążenie za okrążeniem, zdołała przejść już połowę korpusu, a oczyszczona i wypolerowana część powłoki świeciła się niebieskawo, odbijając promienie, podczas gdy dolna, porowata i mocno zakopcona część powierzchni pochłaniała światło, ginąc w ciemności. Z bliska jednak stawała się widoczna i można było zobaczyć cały korpus statku — niezgrabny, podobny do starego stożkowatego pocisku artyleryjskiego. Amortyzatory, w liczbie sześciu, tak jakoś zwisały nad leżącymi dookoła kamieniami, że przypominały

wysięgniki dźwigów.

Zbliżywszy się do statku Siwer stanął i spojrzał na dozymetr — statek wydzielał promieniowanie, chociaż niezbyt wielkie. Podszedł jeszcze bliżej, aż do samego statku. Automatyczna polerka, zrobiwszy kolejne okrążenie, wynurzyła się znowu; poruszała się teraz nieco szybciej, i to spodobało się Siwerowi.

Luk, jak się okazało, umieszczony był niespodziewanie wysoko, nie w dolnej, najszerszej, lecz w środkowej części statku, powyżej górnego zamocowania amortyzatorów. Prowadziła do niego dziwnie masywna drabinka sporządzona z rur pospawanych byle jak. Siwer zaciekawiony poszukał wzrokiem nazwy statku — powinna była znajdować się nad lukiem. Jednak ta część statku pokryta była jeszcze nagarem i nie udało mu się niczego zobaczyć. Siwer wspiął się na palce i zastukał wiertłem w daszek luku, lecz skorupa, w jaką zmieniła się górna warstwa powłoki, tłumiła dźwięk. Dziwiąc się niepomiernie, jak temu dawno już dojrzałemu do przetopienia statkowi udaje się jeszcze jakimś cudem przechodzić przez superczujne kontrole kosmiczne, Siwer kilkoma płynnymi uderzeniami zbił skorupę nagaru i jeszcze raz zastukał.

Czekać przyszło mu dość długo. Najwyraźniej ludzie byli daleko, a poza tym potrzeba było trochę czasu, żeby jeden z nich mógł włożyć skafander. Wreszcie luk powoli otworzył się. Na tej starej maszynie, a statek liczył sobie na pewno więcej niż dziesięć lat — wiek statku kosmicznego nie jest wcale dłuższy od żywota psa — luk nie odchylał się na zewnątrz, tworząc platformę, i nie rozchodził się skrzydłami na boki, lecz odsuwał się do tyłu, ciągniony przez zginające się w przegubach dźwignie. Stosowano kiedyś takie konstrukcje i gdyby wytężyć pamięć, można by sobie było nawet dokładnie przypomnieć, kiedy i na jakich statkach. Siwer jednak miał teraz co innego na głowie i wszelkie przypominania byłyby dla niego jedynie stratą czasu — przyszedł tu nie dla zabawy, tylko z konkretnym celem, na dodatek bardzo ważnym celem — a umiejętność nierozpraszania się opanował już dość dawno.

Na tle cofniętego do wewnątrz daszku pojawił się człowiek w skafandrze: sądząc po wymiarach, był to tyczkowaty jąkała. Wyciągnąwszy lewą rękę zgiętą w kiści, wskazującym palcem prawej postukał po okienku na nadgarstku, gdzie widać było zegarek, a potem pogroził Siwerowi palcem, dając wyraźnie do zrozumienia, że umówiony termin jeszcze się nie skończył. Siwer także pokazał swój zegarek, a potem kilkakrotnie przesunął nad nim dłonią, jak gdyby chciał powiedzieć, że nie o czas mu teraz chodzi i że nie po to przyszedł. Wyciągnął swoje maleńkie wiertło i dwoma palcami określił potrzebną średnicę — plus — minus pięć milimetrów. Tyczkowaty wstrzymał się z odejściem, a więc z pewnością zrozumiał, o co chodzi. Ostrożnie wziął wiertło, a potem wykonał gest zapraszający do wejścia. Siwer już miał przekroczyć próg, lecz spojrzawszy na swój dozymetr, zrezygnował z tego pomysłu: na statku promieniowanie na pewno było wyższe niż na zewnątrz, gdzie i tak było na tyle duże, żeby go nie lekceważyć. Siwer pomachał ręką odmownie, tyczkowaty od razu zrozumiał, cofnął się, a płyta luku obsunęła się, zakrywając właz.

Siwerowi przyszło czekać około piętnastu minut. Spędził ten czas kilka kroków od statku, gdzie promieniowanie było w każdym razie słabsze.

Wreszcie luk otworzył się. Na progu ukazał się tyczkowaty, poczekał, aż Siwer podejdzie, po czym podał reporterowi maleńkie wiertło oraz jeszcze jedno, takie jakie było potrzebne. Siwer położył rękę na piersi w geście podziękowania, tyczkowaty w odpowiedzi ukłonił się; promień światła z maleńkiej lampki oświetlającej próg oraz najwyższy stopień trapu padł na górną część jego hełmu, staromodnego, niemal kulistego, i oświetlił na wpół starte słowo, zostały z niego tylko litery „Sło…”. Siwer wiedział, że na jego własnym hełmie, tuż pod reflektorem wypisane było złotymi literami słowo „Ładoga” — nazwa statku; wynikałoby z tego, że rudowiec najprawdopodobniej nosił nazwę „Słońce” lub coś w tym rodzaju. Dobrze jeszcze, że nie „Galaktyka” — w przeszłości nawet niewielkim statkom lubiono dawać dźwięczne nazwy. Siwer jeszcze raz pomachał ręką i ruszył z powrotem, a tyczkowaty dalej stał na progu luku i patrzył za reporterem.

Teraz praca poszła szybciej, chociaż wiertło okazało się porządnie stępione. Po godzinie kanał pod

drzwiami stacji był już wywiercony, a kabel przeciągnięty. Siwer odetchnął z ulgą i wytarł pot z czoła.

— Zasłużyliśmy sobie na koktajl — powiedział.

— Nie odmówię — zgodził się Breg.

— To idź, przynieś. A swoją drogą będziemy musieli chyba uruchomić zapasy „Ładogi". Wątpię, czy gwiazdoloci zdołają ugasić pragnienie tym, co pili tamci trzej ze „Słońca".

— Dlaczego ze „Słońca"?

— Prawdopodobnie tak nazywa się ta ich krypa — roześmiał się Siwer i zaczął grzebać wśród licznych nitek kabla.

Podłączył pulpit zdalnego sterowania kamer, monitor, wreszcie same kamery i już zabrał się do podłączania zdalnego pulpitu radiostacji „Ładogi", kiedy pojawił się Breg niosący szklanki z ochłodzoną mieszanką soków.

— Coś przydługo — powiedział Siwer biorąc szklankę.

— Usiłowałem sobie przypomnieć — powiedział Breg — ale takiej nazwy w żaden sposób nie mogę odnaleźć w pamięci. „Słońce", nie, nie pamiętam, żeby coś takiego było.

— A jednak „Słońce". Tak tam jest napisane. Powinno być „Gasnące Słońce" albo jeszcze lepiej „Zaćmienie Słońca". Korpus jest tak obrośnięty nagarem, że bałem się stukać w burtę w obawie, że wiertło przejdzie na wylot. — Dopił i wytarł wargi. — Co prawda tam, gdzie przeszła polerka, metal zaczyna błyszczeć, tak że tym razem najprawdopodobniej dojdą do Tytana pomyślnie, lecz w następny rejs, jestem tego pewny, kontrola ich już nie wypuści. — Siwer obejrzał wtyk zasilacza pulpitu radiostacji. — Trochę się chwieje. Postaram się go teraz umocnić, a ty odpocznij trochę, bo trzeba będzie jeszcze poustawiać kamery na zewnątrz. Albo lepiej: najpierw ustaw kamery, a potem sobie odpoczywaj. — Siwer szybko operował wiertłem. — Potrafisz przecież?

— Mało to się nalatałem ze Skazem? — burknął Breg i znów zaczął nakładać skafander.

Siwer pomógł mu się ubrać i ponownie zabrał się do swej roboty. Breg wziął z sobą dwie kamery i znikł w przedsionku. Siwer zaizolował połączenie i chwilkę poczekał, obserwując, jak miękka taśma wiąże się, tworząc twardy futerał. Potem podłączył telewizyjny pulpit radiostacji, a następnie podpiął do monitora kabel zasilający i kabel antenowy. „Teraz w porządku" — powiedział sam do siebie, zatarł ręce i włączył monitor. Breg, który zdążył już poustawiać kamery, pojawił się w szatni i zsunął hełm.

— No, teraz możesz odpoczywać — powiedział Siwer.

— Jeśli nie jestem ci potrzebny — odrzekł Breg — to lepiej pójdę i dokończę swój automat.

— Poczekaj — zatrzymał go Siwer — wypróbujemy radiostację i wtedy pójdziesz. Weź sobie jeszcze jeden koktajl i dla mnie też.

Włączył radiostację „Ładogi". Urządzenia zaczęły pracować i w pomieszczeniu dał się słyszeć niewyraźny szum. Siwer powoli szukał w eterze w rejonie tej częstotliwości, na której pracował nadajnik.

„Błękitnego Ptaka".

— Spróbujemy teraz wywołać Ziemię. Zawiadomimy ją, że u nas wszystko w najlepszym porządku.

Patrzył na strzałkę wskaźnika dostrojenia, która kolebała się to w prawo, to w lewo. Niespodziewanie Siwer drgnął — przez zakłócenia przedarło się jakieś słowo, było głośne, lecz chrapliwe i trudno zrozumiałe.

— Odległość — ledwie dosłyszalnie powiedział Siwer.

Znowu rozległ się głośny szum, lecz Siwer. włączył już automatyczne dostrojenie. „Będziemy lądować — tak samo ochryple zacharczał głośnik. — Nie czekam na potwierdzenie odbioru, połączę się za dwie godziny, pozdrawiamy cię, kochana Ziemio, stop". Szumy nagle wzrosły, a po chwili ucichły. Breg podbiegł do pulpitu, rozpryskując ciecz ze szklanek. Siwer spojrzał na niego oczami błyszczącymi ze szczęścia i powiedział cicho:

— To oni.

— Są tu gdzieś blisko?

— Będą tu na pewno za jakieś dwie godziny. Ależ oni pędzą! Przypuszczam, że następne połączenie będą chcieli przeprowadzić stąd, lecz zamiast nich zrobimy to my. — Siwer zaczął dreptać w miejscu, jak gdyby już teraz chciał gdzieś pędzić. — A ci jeszcze tutaj? Pora by im już była stąd się zabierać!

Znowu włączył monitor i skierował kamery na rudowiec. Powłoka statku była czysta, luk zamknięty. Na górze powoli obracała się półokrągła krata anteny. Światła nawigacyjne zapaliły się, a po chwili wszystkie zgasły, znowu zapaliły się i teraz już się nie wyłączały.

— Patrz — powiedział Siwer. — Zdaje się, że odlatują. Z pewnością także złapali to połączenie i domyślili się. Nie trzeba będzie ich popędzać. — Poczuł, że zaczyna żywić nawet jakby pewną sympatię do ludzi z rudowca, którzy tak świetnie wszystko zrozumieli. — Połączę się z Ziemią!

Odwrócił się od pulpitu, lecz Breg powstrzymał go.

— Poczekaj, teraz, gdy ci startują, nie przebijemy się przez zakłócenia.

— A stateczek, jeśli go wypucować, jeszcze niczego sobie — powiedział Siwer. — Nawet trochę szkoda, że nie pozwolą mu już więcej latać.

— Nie my będziemy o tym decydować.

— Jestem przekonany, że wylatał już wszystkie terminy.

— A teraz sprawdzimy, co on za jeden — powiedział Breg.

Podszedł do biblioteczki i pogrzebawszy w niej trochę, znalazł pomiędzy tomami Sołtykowa-Szczedrina i Stendhala „Informator rejestru kosmicznego”. Przekartkował go, a potem wzruszył ramionami i powiedział:

— Takiej nazwy w ogóle nie ma. Niczego zawiązanego ze słońcem. Chociaż… poczekaj chwilkę — znowu zagłębił się w „Informatorze”.

Siwer rozsiadł się wygodnie, przesunął pulpit po stole, chcąc się jak najlepiej dopasować.

— Wypróbujemy światło… — mruknął i przekręcił wyłącznik. Silne reflektory „Ładogi” wyrzuciły potoki światła.

Siwer pomyślał chwilę, mruknął coś do siebie i włączył główny reflektor umocowany w obrotowej oprawie na samym dziobie „Ładogi”. Powłoka drugiego statku rozbłysła, dosłownie jak gdyby stanęła w płomieniach.

— No właśnie — powiedział Siwer. — O to właśnie chodziło. Ale, ale, popatrz no… Co on wyprawia?

Breg spojrzał na ekran monitora, gdzie widać było, jak statek zamigał światłami podróżnymi. „Dziękuję” — przeczytał głośno Breg.

Światła wciąż migały.

— „Wszystkiego najlepszego” — przeczytał Breg. — Słuchaj — zawołał pośpiesznie — oni rzeczywiście startują! Mają jeszcze czas, a mimo to startują!

— I bardzo dobrze — powiedział Siwer.

— Oddałeś wiertło?

— Nie, zapomniałem.

— Szkoda. Tak się nie robi.

Pośpiesznie wydostał wiertło z torby narzędziowej i paznokciem zaczął sczyszczać zgęstniały, zmieszany z pyłem smar na obsadce. W chwilę później zaklął i popędził do szatni. Siwer podniósł brwi ze zdumienia, po czym rzucił się za Bregiem. W szatni pilot właśnie zrywał skafander z wieszaka.

— Wołaj ich! Szybko! — ryknął Breg.

Siwer wzruszył ramionami.

— Wciągnęli już antenę. — Mimo to zaczął nakładać na siebie skafander, który Breg trzymał już przed nim w pogotowiu.

Na korytarzu Breg kręcił się w miejscu ze zniecierpliwieniem. Wyskoczyli ze stacji akurat w tyra

momencie, kiedy statek trzykrotnie zamigał światłami: „Uwaga!… Uwaga!… Uwaga!…” Breg zatrzymał się gwałtownie, po czym uchwycił się jakiegoś głazu, żeby nie wzlecieć do góry.

— Patrz — powiedział cicho.

Zgięte łapy amortyzatorów powoli zaczęły wyprostowywać się w kolanach, jak gdyby statek chciał stanąć na nogach, wyprostował się, a potem wspiął się jeszcze wyżej, na palce, wreszcie na pointy jak baletnica. Równo ścięty dół korpusu podnosił się do góry, lecz nie cały: dolna, najszersza jego część pozostała na poziomie lekko uniesionych pięt, do których była na amen przytwierdzona, reszta zaś unosiła się coraz wyżej i wyżej… Breg osunął się na kolana i zaczął patrzeć z dołu do góry. Dziób statku zrównał się z wierzchołkiem „Ładogi” i rósł dalej.

Breg zapewne zobaczył to, o co mu chodziło, gdyż szybko poderwał się i złapał Siwera za ramię.

— Szybko z powrotem! — krzyknął. — Do stacji! Ruszaj!

Siwer sprzeciwiał się.

— Popatrzmy lepiej stąd. Nigdy jeszcze nie widziałem…

— I nie zobaczysz, kretynie! — ryknął Breg, popychając Siwera w stronę wejścia.

Znalazłszy się w świetlicy, nie zdejmując skafandrów, rzucili się do monitora. Statek stał teraz nieporuszenie. Breg stanął przy pulpicie i zaczął nakierowywać zewnętrzne kamery tak, aby patrzyły na statek od dołu do góry i ujmowały jak najszerszy plan.

Siwer spojrzał na ekran, na Brega, a potem znowu na ekran. Obiektywy przybliżały dolną część statku i patrzyły na nią ukośnie w górę, a Siwer nagle poczuł się tak, jak gdyby otworzyło się przed nim jezioro bez dna, z ciężką, spokojną wodą, świadomą swej bezdenności.

— Rozumiesz teraz? — krzyknął Breg.

Siwer nie zdążył jednak odpowiedzieć, gdy skały drgnęły. Siwer złapał się za stół: planetka zakolebała się. Miliony fioletowych iskier uderzyły w kamień. Poleciały odłamki skał. Siwer ryknął kołysząc głową. Statek wisiał teraz nad powierzchnią Japeta, wyprostowany i kształtny. Fioletowe światło powoli znikało, rozpływało się, stawało się coraz bardziej przeźroczyste i nieuchwytne, lecz ludzie z „Ładogi” wyobrażali sobie, jaki huragan gamma-kwantów rozpętał się teraz na zewnątrz stacji. Statek unosił się coraz szybciej i szybciej.

— Moje kamery! — wykrzyknął Siwer. — Niech go diabli wezmą! Pośpiesznie zaczął je włączać. Pierwsza kamera oślepła. Deszcz odłamków nie przestał jeszcze padać. Siwer włączył drugą kamerę. Statek był już wysoko i świecił się niby maleńka, lecz swojska planeta.

— No, pięknie — powiedział ponuro Siwer. — Nieźle mnie urządził. Tak dobrze wszystko szło i na koniec musiał rozbić kamerę.

— A po ci kamera?

Siwer spojrzał koso na pilota.

— A kto mógł wiedzieć, że ten rudowiec będzie miał fotonowe zasilanie?

— Dlaczego rudowiec? — ze złością spytał Breg. — Kto powiedział, że to rudowiec?

Kilka chwil spoglądali na siebie w milczeniu.

— Nie, daj spokój! — powiedział Siwer. — To niemożliwe.

— Masz — Breg popchnął w jego stronę grube wiertło, które potoczyło się po stole z głośnym brzękiem.

Siwer wziął wiertło i przeczytał wybity na oprawce, ledwie widoczny teraz napis: „Błękitny Ptak”, i w następnej linijce: „System Słoneczny”.

— Te pierwsze subgwiazdoloty tak właśnie były wykonywane — powiedział Breg. — Przy lądowaniu składały się, a korpus niemal siadał na gruncie. Inaczej w razie gęstej atmosfery lub huraganowych wiatrów nie mogliby ustać na planecie. A spodziewali się takich planet. Dumni byli z tego, że po raz pierwszy w historii wylecieli poza granice systemu słonecznego. Ten napis pod nazwą to właśnie dowód tej dumy. Oczywiście dumni byli nie wobec tych, których mogli po drodze spotkać: ci i

tak by tego nie zrozumieli. Ta duma była dla nich samych. Dla tych, którzy lecieli i zostawali. System słoneczny! O ileż milszy staje się natychmiast własny dom, jeśli spojrzeć na niego z boku!

— Aha — odezwał się bezbarwnym głosem Siwer. — Więc to tak. — Siedział na krześle i patrzył na ziemski pejzaż na ścianie. Woda wciąż jeszcze bulgotała w korycie jedynego strumienia na Japecie. Siwer podniósł się i wyłączył wodę. — Nie dogonimy go? — spytał zobojętniałym głosem.

— Nie — odpowiedział Breg. — Mamy rozebrany automat.

— No tak — powiedział Siwer. — Więc i automat rozebrany. — Umilkł.

Breg wyłączył kamerę, a potem zaczął odłączać kabel od pulpitu.

— Poczekaj — powiedział Siwer.

Breg spojrzał na niego.

— Po co czekać? — spytał. — Już nic więcej się nie zdarzy. — Nałożył na kabel izolacyjną nakładkę i starannie ją przykręcił.

— No tak. Już nic więcej się nie zdarzy — powtórzył na nim Siwer.

— Co zrobimy z kablem? — spytał Breg.

— Zostawimy — odrzekł Siwer. — Może komuś się przyda. Chociaż na pewno nie mnie… Dlaczego nic nie powiedzieli? A mnie to nawet do głowy nie przyszło. A raczej przyszło, tylko tego nie zrozumiałem. Co za dureń ze mnie!

— Zapewne — odrzekł Breg. — Ale to nic. Jesteś jeszcze młody, a ci nie byli ostatnimi bohaterami na Ziemi i w kosmosie.

— Nie mów nic. Proszę cię — powiedział Siwer.

— No, dobrze. Milczę — odrzekł Breg. Wyszli ze stacji i powlekli się w stronę statku.

— A jednak dlaczego?… — odezwał się Siwer.

— Zapewne nie chcieli legend. Chcieli się po prostu wyspać lub posiedzieć z nogami w wodzie. Na swoim statku nie mają strumienia.

Zamocowali ładunek, po czym wspięli się na górę i zdjęli skafandry.

— Tak — powiedział Siwer — a na Japecie znaleźli strumień. Ale pejzaż był zły.

— Im było wszystko jedno — rzekł Breg. — Im potrzebna była Ziemia. — Podszedł do automatu. — Najlepsza terapia to praca. Wymień te zespoły.

— Dobra — pośpiesznie zgodził się Siwer i zaczął wyjmować zużyte zespoły, a na ich miejsce wstawiać nowe. Wyciągnąwszy kolejny zwęglony blok, cisnął go na podłogę i powiedział: — Nie. A jednak nie! To nie oni! Tam nie było człowieka o nazwisku Kraj. Wiem na pewno. Zresztą sam sprawdź w „Informatorze”! — po czym z torby, gdzie znajdowały się instrukcje i różne dane techniczne, wyjął informator pokładowy. — No, popatrz!

— Zgoda, nie ma — odrzekł Breg, przedzwaniając bloki. — Wierzę ci.

— Nie! — powiedział Siwer. — Naprawdę nie ma. Rozumiesz?

— No to popatrz, czy nie ma takiego nazwiska gdzie indziej — powiedział z zadumą Breg. nie patrząc na Siwera. — Poszukaj wśród członków załogi „Latającej Ryby”.

— „Latającej Ryby”?

— Tej, która stamtąd nie wróciła.

Siwer wzruszył ramionami i zaczął kartkować informator. Znalazł „Latającą Rybę”, przeczytał i długo milczał.

— Kim on tam był? — spytał Breg po chwili.

— Nawigatorem — odrzekł Siwer niemal bezgłośnie.

Znowu zapadło milczenie.

— Wylądowali tam — powiedział cicho Breg. — Wylądowali, żeby uratować tego jednego, który ocalał. Tak, tak właśnie musiało być.

— Lądowali na ligancie! I zdołali się z niego podnieść?

— Na to wygląda — powiedział Breg. — Pewnie nie od razu…

Znowu pochylił się, wziął kolejny blok i zaczął zrywać z niego opakowanie ochronne.

— Wygląda, że zostało ich zaledwie trzech, licząc z ocalonym. I mimo to zdołali przyprowadzić statek?

— Tak — powiedział Breg. — Za to spać chyba nie mieli kiedy.

— Ale przecież — nachmurzył się Siwer — żywych powinno być ośmiu!

Breg spojrzał na Siwera ze smutkiem.

— Jesteśmy po prostu optymistami — powiedział. — I gdy słyszymy liczbę „trzy", to wolimy myśleć, że tylu poległo, a wróci ośmiu.

Tylko, że czasami bywa na odwrót — wziął od Siwera blok i starannie wstawił go na właściwe miejsce. — To według ciebie lepiej jest być pesymistą? — spytał Siwer z urazą.

— Nie. Lecz w tym przypadku optymizm polega na tym, że owa trójka wróciła stamtąd, skąd wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie powinien był wrócić właściwie nikt. — Breg wstawił do automatu płytkę mocującą. — No, możemy lecieć.

Siwer usadowił się w fotelu.

— Szkoda, że nie możemy się machnąć gdzieś dalej od Ziemi.

— Nie możemy — zgodził się Breg i włączył reaktor.

Zamigotały światełka przyrządów. Pulpit stał się podobny do rozgwieżdżonego nieba.

— On jest niewidomy, ten Kraj — powiedział Siwer. — On już nie widzi gwiazd. Myślałem, że stracił oczy gdzieś w kopalni.

— Nie — pokręcił głową Breg. — W kopalni pilot nawet nie wychodzi z kabiny. Tam w ogóle nie ma ludzi, pełna automatyka.

Siwer tylko zmrużył oczy.

— Słuchaj, a gdybyś był przez cały czas ze mną, zorientowałbyś się?

Breg odpowiedział po chwili:

— Myślę, że tak. Dla mnie każdy pilot jest bohaterem, nawet jeśli nigdy nie był na ligancie, tylko po prostu wozi rudę z Japeta na Tytana. Dlatego, bo i w naszym systemie różnie bywa.

Siwer spuścił głowę i już jej nie podniósł.

— Co powiedzą na Ziemi? — mruknął. — Teraz już nigdzie więcej mnie nie poślą.

— Ależ nie. — Dlaczego by mieli nie posyłać? — pocieszył go Breg. — Z czasem poślą. Za to oni, oni już nigdy nie będą wracać do systemu słonecznego i zatrzymywać się na Japacie. To zdarza się tylko raz w życiu. A na pewno mogło być też zupełnie inaczej.

Breg kilka razy zapalił i wygasił światła nawigacyjne, potem trzykrotnie zamigał słowo „Uwaga", chociaż na dole nie został nikt, kogo należałoby uprzedzić.

— Chciałbym… — powiedział z rozpaczą Siwer.

— Nie masz się co tłumaczyć — odrzekł Breg.

Położył rękę na starterze, automatycznie włączył się system bezpieczeństwa.

— Działa — Siwer uśmiechnął się blado.

— Teraz wystarczy na długo — powiedział Breg. — Obserwuj za rufą. Siwer skinął głową, ale i bez tego patrzył na ekran, na którym widać było powierzchnię Japeta, maleńkiej planetki, na której nie ma atmosfery, za to jest strumień z czystą wodą, potrzebną bohaterom bardziej niż wszelkie uroczystości.

Przetłumaczyła Aleksandra Orman

Ilja Warszawski
W atolu

Staliśmy nad brzegiem i patrzyliśmy za oddalającym się „Albatrosem". Był już tak daleko, że nie mogłem dostrzec, czy na pokładzie są ludzie. Potem nad kominem ukazała się biała chmurka pary i po kilku sekundach usłyszeliśmy przeciągłe buczenie.

— Nareszcie — powiedział tata. — Teraz możemy do woli bawić się w robinsonów: mamy prawdziwą bezludną wyspę, chatę i nawet Piętaszka.

To był fajny pomysł, nazwać Piętaszkiem grubego, ociężałego robota. Był on zupełnie nowy i z jego wszystkich szczelin wypływały pod wpływem słońca kropelki oliwy.

— Popatrz, on się poci — powiedziałem.

— No, kto szybciej?! — zawołała mama i ścigając się pobiegliśmy do domu.

Już na finiszu potknąłem się o korzeń i klapnąłem na ziemię, a tata powiedział, że to nieszczęśliwy wypadek i bieg trzeba powtórzyć, a mama zapytała, czy mnie nie boli. Odpowiedziałem, że to głupstwo i na pewno mogę jeszcze raz pobiec, ale w tym momencie rozległ się dzwonek i tata powiedział, że to najpewniej wezwanie z „Albatrosa" i trzeba będzie odłożyć zawody.

Dzwonek wciąż brzęczał i brzęczał, dopóki tata nie włączył wideofonu. Na ekranie ukazał się kapitan „Albatrosa". Był nadal w skafandrze i kasku.

— Odpływamy — powiedział — dlatego, że…

— Rozumiem — przerwał mu tata.

— Jeżeli coś potrzebujecie…

— Tak, wiem. Pomyślnej żeglugi.

— Dziękuję! Szczęśliwego pobytu.

Tata pstryknął wyłącznikiem i ekran zgasł.

— Tato — zapytałem — oni odpłynęli na zawsze?

— Wrócą po nas — odpowiedział.

— Kiedy?

— Za trzy miesiące.

— Tak długo?

— Czy nie cieszysz się, że wreszcie możemy być sami i nikt nie będzie nam przeszkadzał?

— Oczywiście, cieszę się — powiedziałem, i była to szczera prawda.

Przecież w całym swoim życiu widziałem tatę tylko trzy razy i za każdym nie dłużej, niż przez miesiąc. Kiedy przylatywał, zawsze przychodziła do nas gromada ludzi i nigdzie nie mogliśmy wyjść, żeby nie zebrał się tłum, i tata rozdawał autografy, i odpowiadał na masę pytań, i nigdy nie dawali nam być naprawdę razem.

— No, chodźmy obejrzeć nasze włości — powiedział tata.

Nasza chata składała się z czterech pokoi: sypialnego, stołowego, mojego pokoju i gabinetu tatusia. Poza tym była w niej kuchnia i spiżarnia. W gabinecie taty było bardzo dużo różnych aparatów i prawdziwa elektroniczna maszyna licząca, i tata powiedział, że nauczy mnie na niej liczyć, żebym mógł mu pomóc opracować sprawozdanie.

W moim pokoju stały łóżko, stół i ogromniasta biblioteczka, nabita po sam wierzch książkami. Chciałem je obejrzeć, ale tata powiedział, że lepiej zrobić to potem, kiedy obejrzymy całą wyspę.

Na dworze była mała elektrownia i spróbowaliśmy z tatą uruchomić silniczek, a mama stała obok i cały czas mówiła, że tacy mechanicy, jak my, na pewno coś spalą, ale myśmy nic nie spalili, a sprawdziliśmy tylko naładowanie akumulatorów.

Potem poszliśmy popatrzeć na antenę, i tacie nie spodobało się, jak jest skierowana, i kazał Pietaszkowi wleźć na, górę i zwrócić dipol dokładnie na północ, ale słup był metalowy i robot ślizgał się na nim i w żaden sposób nie mógł wejść. Wtedy znaleźliśmy z tatą w elektrowni kalafonię i posypaliśmy nią dłonie i kolana Piętaszka, i on bardzo zręcznie wdrapał się na górę i zrobił wszystko, co trzeba, a my staliśmy wszyscy na dole i biliśmy brawa.

— Tato — zapytałem — czy mogę się wykąpać w oceanie?

— Nie można — odpowiedział.

— Dlaczego?

— To niebezpieczne.

— Dla kogo niebezpieczne?

— Dla ciebie.

— A dla ciebie?

— Też niebezpieczne.

— A jak przy samym brzegu?

— W oceanie nie można się kapać — powiedział, i pomyślałem, że kiedy tata mówi „nie można" takim tonem tam, na dalekich planetach, to na pewno ani jeden z członków załogi nie śmie z nim się sprzeczać.

— Możemy się wykąpać w lagunie — powiedział tata.

Naprawdę, nie było to wcale gorzej, niż gdybyśmy się kapali w prawdziwym oceanie, dlatego że ta laguna okazała się wielkim jeziorem wewnątrz wyspy i woda była w niej ciepła, cieplutka i zupełnie przeźroczysta.

Pływaliśmy wszyscy troje na wyścigi, a potem nurkowaliśmy z tatą w zawody, kto zbierze więcej muszelek z dna, i ja zebrałem więcej, dlatego, że tata zbierał jedną ręką, a ja dwiema.

Kiedy znudziło nam się zbieranie muszelek, zrobiliśmy dla mamy koronę z gałązek korala i morskich wodorostów, a tata ozdobił ją rozgwiazdą.

Mama była w niej podobna do prawdziwej królowej i klęknęliśmy przed nią na jedno kolano, i pasowała nas na rycerzy.

Potem poprosiłem Piętaszka, żeby popływał ze mną. Było bardzo śmiesznie, jak podchodził do wody, pstrykał urządzeniem decyzyjnym i cofał się. A potem odkręcił nagle palec od ręki i rzucił go do wody, i kiedy palec utonął, Piętaszek poważnie powiedział, że roboty nią mogą pływać. Był przy tym taki zadowolony, że aż zataczaliśmy się ze śmiechu. Wtedy go zapytałem, czy roboty mogą nosić na rękach chłopców, i on odpowiedział, że mogą. Stanąłem mu na dłoniach i podniósł mnie wysoko nad głową, do samego wierzchołka palmy, i zrywałem z niej orzechy kokosowe i zrzucałem je na dół, a tata chwytał.

Kiedy słońce opuściło się bardzo nisko, mama powiedziała, żeby pójść nad ocean i popatrzeć na zachód.

Słońce stało się czerwone, czerwoniutkie i tuż nad wodą spłaszczyło się, i od niego do brzegu ciągnął się czerwony, świecący pas. Zmrużyłem oczy i wyobraziłem sobie, że pędzę tym pasem prosto na słońce.

— Tato — zapytałem — czy zdarzało ci się lecieć prosto na słońce?

— Zdarzało się — odpowiedział.

— A czy tam też ciągnie się od niego taki pas?

— Nie.

— A jaki kolor ma tam niebo? — Czarny — powiedział tata. — Tam wszystko jest inne… nieznane i… wrogie.

— Dlaczego? — zapytałem.

— Kiedyś opowiem ci dokładnie, syneczku — powiedział. — A teraz idziemy na kolację.

W domu urządziliśmy bardzo ciekawą zabawę. Mama stała przy lodówce, a myśmy zgadywali, co

ma w rękach. Każdy z nas wymieniał oczywiście swoje ulubione potrawy i jakimś cudem okazywało się, że za każdym razem zgadywaliśmy. Dlatego mieliśmy kolację jak się patrzy.

Tata odkorkował butelkę wina i powiedział, że po kąpieli mężczyznom zupełnie nie zaszkodzi łyknięcie kieliszka. Nalał mnie i sobie po pełnym kieliszku, a mamie — niewiele. „Tylko żeby się trącić" — powiedziała.

Po kolacji oglądaliśmy w telewizji koncert i przed rozpoczęciem spiker powiedział, że jest on poświęcony nam. Mama aż zarumieniła się z radości, dlatego że jest bardzo dumna, że mamy takiego sławnego tatę.

Nadawali najpiękniejsze pieśni, a jedna piosenkarka zaśpiewała nawet moją ulubioną piosenkę o wiewiórce zbierającej orzeszki. Aż dziwne, jak się o tym dowiedzieli.

Kiedy skończył się koncert, tata powiedział, że musi siąść do pisania sprawozdania, a ja poszedłem spać.

Leżałem już w łóżku, kiedy mama przyszła życzyć mi dobrej nocy.

— Posiedź ze mną, mamo — poprosiłem.

— Z radością, kochanie — powiedziała i usiadła na łóżku.

W otwarte okno świecił księżyc i było tak jasno, jak w dzień. Patrzyłem na twarz mamy i myślałem, jaka jest piękna i młoda. Pocałowałem jej rękę pachnącą czymś bardzo przyjemnym i smutnym.

— Mamo — zapytałem — dlaczego zapachy bywają smutne i wesołe?

— Nie wiem, kochanie — odpowiedziała — nigdy o tym nie myślałam. Może po prostu każdy zapach wywołuje jakieś wspomnienia, smutne albo wesołe.

— Możliwe — powiedziałem.

Było mi bardzo dobrze. Wspominałem miniony dzień, najpiękniejszy dzień w moim życiu, i myślałem, że przede mną jeszcze osiemdziesiąt dziewięć takich dni.

— Och, mamo — powiedziałem — jak cudowne jest życie i jak nie chce się umierać!

— Coś ty, czyżyku — powiedziała. — Czy ty możesz mówić o śmierci? Masz przed sobą wiele życia.

Było mi jej bardzo żal: jeszcze na „Albatrosie" słyszałem w nocy, jak rozmawiali z tatą o tej strasznej chorobie, którą tata zaraził się w Kosmosie, i o tym, że pozostało nam najwyżej trzy miesiące życia, jeżeli nie znajdą do tego czasu sposobu na jej leczenie. Przecież dlatego załoga „Albatrosa" była ubrana w skafandry, a my nie wychodziliśmy nigdzie z kajuty. I w oceanie na pewno nie wolno nam się kąpać, bo ta choroba jest taka zakaźna.

Mimo to pomyślałem, że kiedy ludzie tak się kochają, trzeba zawsze mówić tylko prawdę.

— Nie trzeba, droga mateńko — powiedziałem. — Przecież nawet jak nie znajdą sposobu na leczenie tej choroby…

— Znajdą — powiedziała cicho mama. — Na pewno znajdą. Możesz być o tym w pełni przekonany.

Przetłumaczył Ryszard Ciszewski

Aleksander Szalimow
Okno w nieskończoność

— Jak się panu udało zrobić zdjęcia do tego filmu, profesorze? Wiele kadrów daje iluzję autentyczności, naturalności… Chociażby ta koszmarna scena, kiedy nocne dziwadło pożera maleńkiego dzikusa.

Profesor Satajana pochylił głowę i uśmiechnął się uprzejmie:

— Pańskie pytanie zabrzmiało jak najlepszy komplement, monsieur Wallon. Jednakże muszę tu coś wyjaśnić. Wszystko to rzeczywiście, jak pan raczył zauważyć, natura. Żadnych… hm… chwytów. Wszystko rzeczywiście tak było.

— Ależ to niemożliwe!

— Wybaczy pan. Postaram się pana przekonać, że możliwe. I nie ukrywam, że liczę na pańską pomoc.

— Co mianowicie ma pan na myśli? Reklamę filmu?

Satajana zrobił lekceważący ruch maleńką pulchną dłonią.

— Ach, na razie nie zamierzam nadawać temu rozgłosu…

— A szkoda. Film może mieć oszałamiające powodzenie. Przyniósłby panu i sławę, i pieniądze.

— Dziękuję, ale chodzi o coś innego. Zupełnie o coś innego. Muszę wnieść parę konstrukcyjnych zmian w aparaturze. Mam na myśli aparaturę do wideomagnetycznego zapisu. Potrzebne są wielkie prędkości.

— To nie problem.

— Ach, dla mnie problem. Potrzebna bardzo duża prędkość zapisu.

— Na przykład?

— Setki tysięcy kadrów na sekundę.

— Setki tysięcy?

— A jeszcze lepiej miliony, nawet setki milionów.

— O, to fantastyka, profesorze.

— Wielu inżynierów uważa takie prędkości za fantastykę. Na razie uważa… Lecz przy jednym z pańskich telewizyjnych studiów, monsieur Wallon, jest — doskonałe biuro konstrukcyjne, i myślałem, że na przykład inżynier Jacques Estergom…

— Pan go zna?

— Słyszałem o jego pracach.

Francois Wallon — jeden z większych potentatów filmowo— telewizyjnych Zachodu — badawczo spojrzał na rozmówcę. Na okrągłej, brązowawożółtej twarzy profesora Satajany nie drgnął ani jeden mięsień. Ten sam zastygły uprzejmy uśmiech, i tylko w głębi oczu, za grubymi szkłami okularów, kryło się baczne oczekiwanie.

„Bez wątpienia moja odpowiedź jest dla niego bardzo ważna — rozmyślał Wallon. — Dziwne, biochemik i znany psychiatra interesuje się techniką kina i telewizji. A ten film… straszna fantasmagoria koszmarów, jak pierwszy lepszy współczesny dreszczowiec, naiwna dziecinna bajeczka. Czterdzieści lat już jestem związany z kinematografią i telewizją, a nawet nie podejrzewałem, że na taśmie można utrwalić takie… Niewiarygodny realizm… Jak on zrobił taki film?…” — Jacques Estergom to utalentowany konstruktor — powiedział w końcu producent filmowy. — Bardzo go cenię. Zrobił niemało dla udoskonalenia aparatury, szczególnie w dziedzinie zakresu obrazu. Ale pańskie życzenia, profesorze… Taki orzech do zgryzienia to nawet nie dla Jacques'a.

— Zakres obrazu to akurat to, co mi potrzebne — szybko przerwał

Satajana. — Zakres obrazu i prędkość… Bardzo duża prędkość. Pan wybaczy, że mu przerwałem.

Francois Wallon wzruszył masywnymi ramionami.

— Przecież powiedziałem… I prócz tego, panie profesorze, mówię otwarcie: jeśli nawet będę uważał za możliwe pozwolić Jacques owi Estergomowi zająć się rozwiązaniem pańskiego problemu, częściowym rozwiązaniem oczywiście, ponieważ mówić możemy tylko o pewnym zwiększeniu już osiągniętych prędkości wideomagnetycznego zapisu, będę musiał znać cel tej pracy: pana cel, profesorze, i… mój cel. Innymi słowy, co to da firmie, firmie Francois Wallona?

— Czekałem na to pytanie — przytaknął Satajana nie przestając się uprzejmie uśmiechać. — Odpowiedzią na to jest film, który tylko co pan oglądał. Bardzo duża prędkość zdjęć da panu możność, oczywiście przy pewnej mojej pomocy, bez większego trudu i strat tworzyć filmy podobne oglądanemu. I zapewniam pana, ich stylistyczna i tematyczna różnorodność będzie nieporównanie bogatsza niż w przypadku, gdyby pracował dla pana milion utalentowanych scenarzystów. W ogóle już się panu okażą niepotrzebni scenarzyści, reżyserzy, operatorzy i nawet aktorzy, nie będą potrzebni statyści, dekoracje, kosztowne wyjazdy na zdjęcia w plenerze. Pańskie filmy będą powstawały w niedużym, przytulnym laboratorium z kilkoma tylko osobami na etacie… Potem próbny montaż, udźwiękowienie — i można robić kopie. Zresztą wierzę, że i udźwiękowienie uda się w przyszłości znacznie usprawnić, to znaczy uczynić je tańszym, mówiąc językiem handlowym.

„Zdaje się, na próżno straciłem czas — pomyślał Francois Wallon. — Teraz on poprosi mnie o pieniądze na udoskonalenie swojej własnej aparatury, a ja zlecę sekretarzowi zrealizować… Ileż to razy dawałem sobie słowo, nie wiązać się z maniakami… A film jest zajmujący. Może zechce go sprzedać?… Za ten film można byłoby zapłacić…” Wallon wzniósł oczy w sufit i rozważał, ile by można zapłacić za film profesora Satajany.

— Oczywiście — ciągnął po ikrótkim milczeniu profesor — nasze porozumienie będziemy musieli utrzymywać w tajemnicy. W ścisłej tajemnicy… I Jacques Estergom…

— Jak dotąd — z lekkim rozdrażnieniem przerwał Wallon — w niczym jeszcze nie doszliśmy do porozumienia. Prócz tego pan nie odpowiedział w pełni na moje pytanie. Pan zapomniał powiedzieć o sobie. Jaki ma pan w tym cel?

Satajana błysnął oślepiająco zębami w uśmiechu.

— My, uczeni jesteśmy bardzo skromni, czcigodny panie Wallon. Sądzę, że i mój skromny cel nie będzie pana interesował.

— Hm. A pańskie warunki?

— Żadnych warunków, monsieur Wallon. Tylko prośba, żeby Jacques Estergom zajął się ulepszeniem interesującej mnie aparatury.

— No… a inne warunki?

— Żadnych.

— To znaczy, jeśli dobrze pana zrozumiałem, pan zamierza zrobić prezent firmie Wallon i Ska?

— Pan jest nazbyt uprzejmy, monsieur Wallon, oceniając w ten sposób moją skromną propozycję. To, co pan był łaskaw nazwać prezentem, to tylko „produkt uboczny”, nic więcej.

— Produkt uboczny?

— Tak, sfotografowany materiał, z którego w waszych studiach będą montować filmy. Będą je panu przekazywać po odpowiednim… przestudiowaniu… Innymi słowy, cenne dla pana kadry otrzyma pan wtedy, kiedy mnie się okażą już niepotrzebne. A w szczególnych przypadkach będę sobie zostawiał kopie.

— Nie rozumiem…

— Pan chce powiedzieć, że niewiadome jest panu źródło materiałów, monsieur Wallon… Film, który dopiero co tutaj zademonstrowaliśmy, to wideomagnetyczny zapis biopradów mózgu jednego człowieka. Bardzo chorego człowieka. Znajduje się on pod obserwacją w mojej klinice. Kilka lat temu…

zwariował. Zwykła rodzinna tragedia, monsieur Wallon. Od tego czasu przebywa u mnie. Przypadek nader interesujący. Chodzi o rozdwojenie, a dokładnie „roztrojenie" osobowości. Próbowaliśmy pomóc mu, wykorzystując prądy wielkiej częstotliwości, i nieoczekiwanie otrzymaliśmy wyraźne wideosygnały jego własnych bioprądów. Udało nam się je utrwalić, i pan je widział.

— Ależ… to bynajmniej nie przypomina bredni szaleńca. To straszne, ale jest tu swoista logika, sens…

— To część zapisu tylko jednego jego „ja", monsieur Wallon. Jednego z trzech. Osobowość każdego jego „ja" w ogólnie przyjętym rozumieniu jest w pełni normalna. Przyjmujemy jako szaleństwo naruszenie wzajemnych związków wewnątrz kompleksu „ja" określającego osobowość danego człowieka, albo, przy rozdwojeniu osobowości, chaotyczne pomieszanie wzajemnych związków odnoszących się do obu kompleksów. Zresztą to wszystko jest nader złożone, by krótko wyjaśnić… Poszczególne wideosygnały mózgu udawało się już wcześniej otrzymywać, nie tylko u chorych, lecz i u zdrowych ludzi. Były to krótkie przebłyski, swego rodzaju przypadkowe kadry jakiejś nieprzerwanej, lecz nie dającej się odczytać taśmy. Jak widać, chodzi o ogromną częstotliwość modulacji. Dla normalnego mózgu jest ona szczególnie wielka. Przy zachorowaniu częstotliwość zahamowuje się i wideosygnały łatwiej utrwalać. Nadto czytelność ich się zwiększa, zwłaszcza dotyczy to tych związków, które się odnosiły bezpośrednio do choroby.

— Innymi słowy, profesorze, pan mi proponuje jako materiał filmowy dla kina i telewizji urojone wizje swoich pacjentów?

— Niezupełnie… I tylko na początek, monsieur Wallon. Na próbę. Jeżeli Jacques owi Estergomowi uda się udoskonalić aparaturę, a mam nadzieję, że tego dokona, możemy otrzymać nieprzerwany zapis wideosygnałów mózgu jakiegokolwiek, a praktycznie każdego człowieka. A wtedy otworzy pan milionom swoich widzów wewnętrzny świat człowieka, prawdziwy, niepowtarzalny, straszny…

— Czyż każdy zechce odkryć swój wewnętrzny świat? Mam na myśli normalnych, wolnych łudzi.

— Doprawdy nie ma pan podstaw do niepokoju, drogi panie Waliom. Podaż we wszystkich okolicznościach będzie przewyższać popyt. Ludzie marzący o zarobku za wszelką cenę — prostytutki, przestępcy, różnego rodzaju wyrzutki społeczeństwa… Proszę nie zapominać, że wewnętrzny świat każdego z nich jest niepowtarzalny i nigdy jeszcze żaden rodzaj sztuki ziemskiej nie ujawnił go do końca. A pan, monsieur Wallon, swoimi filmami odsłoni go. Pan pokaż" ludziom autentycznego człowieka bez maski, bez tajemnic, bez jakiejkolwiek wewnętrznej cenzury…

— I pan wierzy, że pozwolą ma demonstrować takie filmy?

— Wszystko będzie zależało od umiejętności pańskich montażystów.

Oczywiście trzeba będzie bardziej surowo ograniczać wiek widzów. Ale to już drobiaizg.

— A sprawa etyki, moralności? Proszę pamiętać, że jestem katolikiem…

— Ale to nie przeszkadza panu jednak być producentem filmowym, anonsieur Wallon. Czyż dziewięć dziesiątych produkcji pańskich wytwórni nie przeczy temu, co pan nazywa moralnością i etyką? W istocie nic się nie zmieni. Tylko zamiast bardziej lub mniej udanymi imitacjami zacznie pan handlować oryginałami. I różnorodność oryginałów będzie nieskończona. Nikt nie będzie śmiał zarzucić panu powtórzeń, schematyzmu.

Profesor Satajana zamilkł. Francois Wallon przygryzał szorstkie siwe wąsy, badawczo spoglądając na rozmówcę. Na twarzy profesora zastygł uprzejmy uśmiech.

„Zdaje się, że jest zbyt wielkim uczonym, żeby go można było podejrzewać o oszustwo — myślał Wallon. — Jednak z drugiej strony…"

— Jeśli dobrze pana zrozumiałem, profesorze — powiedział głośno, to pańskie odkrycie może mieć znaczenie nie tylko dla telewizji i kina, czyż nie tak?

— Rozumie się — przytaknął Satajana. — Może ono zainteresować (teoretyków i praktyków wszystkich tych dziedzin nauki, które się zajmują człowiekiem jako takim, tnie wyłączając także policji,

Kościoła, organów śledczych, wojska… Proszę sobie wyobrazić, jak bardzo uprościłoby się przesłuchiwanie przestępców, szpiegów, jeńców wojennych. Już nie (mówiąc o kontroli lojalności obywatelskie j. Przecież wideosygnały mózgu są całkowicie obiektywne, jeśli w tym przypadku można w ogóle użyć tego terminu.

— Ależ czy człowiek nie jest w stanie jakoś kierować nimi?

— Nie… Podczas utrwalania wideosygnałów — człowieka się po prostu usypia. Próbowałem zapisywać wideosygnały w stanie czuwania, lecz zapis wypada podwójny — informację zakodowaną w głębi komórek nerwowych zagłusza inna, której przekazywaniem człowiek może świadomie kierować. U ludzi silnej woli — ukrytej informacji w ogóle nie da się wyciągnąć bez zastosowania specjalnych środków…

— Czy pan, profesorze, nie próbował zwrócić się do resortu wojskowego?

Po raz (pierwszy w czasie tej rozmowy Satajana odwrócił oczy.

— Widzi pan, monsieur Wallon, całe swoje życie wolałem nie mieć do czynienia z wojskiem. I nie chcę, żeby moje odkrycie, jeśli to można nazwać odkryciem, zbyt szybko zostało wykorzystane w tych celach, w jakich na pewno zechciałoby je wykorzystać wojsko. To jedna iż przyczyn, dla której jestem zmuszony domagać się najsurowszej tajemnicy. I… oprócz tego, jeśli mi wiadomo, w resorcie wojskowym nie ma takiego inżyniera, jak pański Jacques Estergom.

— Możliwe. — Po twarzy Francois Wallona przemknęło coś w rodzaju uśmiechu. — Jacques Estergom jest rzeczywiście bardzo utalentowany. Złota głowa… Prawdopodobnie coś niecoś mógłby zrobić dla pana. Jednakże, panie Satajana, teraz nie dam panu ostatecznej odpowiedzi… Nie… Pańska propozycja jest interesująca, ba, nawet kusząca, ale ja muszę pomyśleć, rozważyć. Poradzę się ekspertów.

— Ale, monsieur Wallon… — szybko przerwał Satajana.

— Tak, tak, rozumiem. Nasza rozmowa będzie zachowana w tajemnicy. Dam ostateczną odpowiedź… za tydzień. Lecz i w przypadku pozytywnej decyzji proszę wziąć pod uwagę to, że inżynier Jacques Estergom będzie mógł się zająć pańską aparaturą dopiero za półtora lub dwa miesiące. Teraz ma ważną i terminową pracę.

— Cóż, bardzo żałuję, lecz nie mam innego wyjścia.

— A więc za tydzień. I jeszcze jedno: potrzebny mi pański film, ten dzisiejszy albo jakikolwiek inny w tym rodzaju. Oczywiście bez prawa kopiowania. Proszę zaproponować jakąkolwiek sumę jako zastaw.

Satajana lekceważąco machnął ręką.

— Nic nie trzeba. Wystarczy pańskie słowo. Film proszę sobie wziąć.

Wallon podniósł się zza stołu. Wysoki, barczysty, był o dwie głowy wyższy od Satajany. Odprowadzając profesora do drzwi gabinetu, pochylił wielką siwą głowę ku jego uchu i cicho powiedział:

— Proszę mi wybaczyć, ale ja przede wszystkim jestem handlowcem. Nie ukrywam, że łatwiej by mi było decydować, gdybym dobrze znał… krąg, jak by to powiedzieć… pańskich zainteresowań w tej sprawie, poza udoskonaleniem utrwalającej zapis aparatury, którego być może dokona Estergom.

Satajama podniósł głowę i patrząc stanowczo w oczy filmowego potentata, odrzekł baz uśmiechu:

— Nawet jeśli to pana urazi, czcigodny panie Waliom, nie potrafię powiedzieć nic ponad to, co już powiedziałem. Interesuje mnie pewna część informacji, — ukryta w najgłębszych tajnikach podświadomości. Tej informacji jak dotąd nikomu się nie udało uzyskać, ale według wszelkich oznak ona istnieje, powinna istnieć… Żegnam pana.

Ku największemu zdziwieniu Francois Wallona, Estergom, na propozycję współpracy z profesorem Satajana, z początku kategorycznie odmówił.

— Nie interesuje cię sam problem — Wallon uniósł siwe brwi — czy też boisz się, że go nie

rozwiążesz?

Po chudej, smagłej twarzy Estergoma przebiegł skurcz.

— Nie podoba mi się Satajana — odciął i odwrócił się.

— Rozpytywałem o niego — możliwie spokojnie powiedział Francois Wallon. — Uważają go za wielkiego uczonego, lecz krąg jego zainteresowań wydaje się — niektórym dziwny.

— I mnie się nie podoba to, nad czym pracuje — dodał Estergom nie patrząc na szefa.

— Masz na myśli film?

— Film to głupstwo! — Estergom gwałtownie zdarł okulary w grubej rogowej oprawie i mrużąc oczy krótkowidza zabrał się do przecierania szkieł. Jego szczupłe nerwowe palce ledwo dostrzegalnie drżały. — Czyż chodzi o film? — dodał cicho, z powrotem wkładając okulary.

— Więc o co?

Estergom milcząc wzruszył ramionami. Francois Wallon czul, jak go opuszcza spokój.

— Firmę interesują tylko filmy — powiedział odmierzając słowa — cała reszta nas nie dotyczy, Jacques.

Estergom magle ostro się roześmiał. Miał bardzo nieprzyjemny, gwałtowny i jakiś skrzeczący śmiech, i Francois Wallon znów Uświadomił sobie, jak bardzo mu jest antypatyczny ten chudy, zgryźliwy, długoręki człowiek o szczupłej twarzy ascety, obramowanej wąską czarną bródką.

„Gdyby nie był tak zdumiewająco utalentowany…” — pomyślał z goryczą.

— Pan rozumie, jaki damy oręż temu Satajainie, udoskonaliwszy jego aparaturę? — Przenikliwy wzrok Estergoma świdrował poprzez grube szkła okularów twarz szefa. — Praktycznie przed nim nie będzie żadnych tajemnic. Osobowość każdego, powtarzam: każdego, potrafi poddać sekcji aż do najtajniejszych głębin. Wewnętrzny świat człowieka przestanie być wewnętrznymi światem. Nad każdym zawiśnie groza, że go jednej chwili mogą przenicować, obnażyć w mim takie rzeczy, których niewielu znalazłoby siły wyznać przed samym sobą.

— Ciebie to krępuje?

— Idę o zakład, że pan nie znajdzie człowieka, którego by to nie krępowało. Proszę sobie choć przez chwilę wyobrazić siebie w takiej sytuacji.

— A cóż ja mam do tego?

— Czyżby pan miał być w lepszym położeniu niż pozostali? Wystarczy potajemnie zainstalować przenośną aparaturę utrwalającą w pańskiej sypialni. Albo proszę sobie wyobrazić, że pan zachorował, że wiozą pana do szpitala, a tam jeden z asystentów Satajany zapisuje pański encefalogram dzięki udoskonalonej przeze mnie aparaturze.

— Satajanę interesuje coś całkiem innego — próbował się bronić Waliom. — Mówił mi…

— Czyżby pan myślał, że powiedział prawdę?

— Ostatecznie, jeśli my odmówimy, znajdzie kogoś innego.

— Wątpię — wycedzał Estergom, śmiesznie wykrzywiwszy cienkie wargi. — Problem niesłychanie skomplikowany, nawet dla mnie. Myślę, że w ciągu najbliższych lat nikt mu oprócz minie nie pomoże.

— Jesteś bardzo skromny! — Waliom nie mógł sobie odmówić przyjemności docinania.

— Jestem realistą, nic więcej — uśmiechnął się pogardliwie Estergom.

— To znaczy, że odmawiasz? — głos Wallona — zabrzmiał nieomal przymilnie.

— Chciałbym, niebo świadkiem, chciałbym odmówić! — Estergom prawie to wykrzyczał. Zachrzęścił splecionymi palcami, przycisnął je do piersi i opuścił głowę. — Chciałbym — powtórzył szeptem, nie podnosząc oczu. — I uprzedziłem pana… Ale w końcu co ja znaczę? Pan oczywiście — ma rację, szefie. Nie ja, to ktoś inny… Nie dziś, to za rok, za pięć lat, za sto… Tak czy owak to okno wcześniej lub później otworzy się na roścież. Czy to ważne, kto je konkretnie otworzy? Postąpię zgodnie z pańskim życzeniem, szefie — nieoczekiwanie uspokoiwszy się dodał Estergom.

— Tak przypuszczałem — skinął głową Francois Waliom, wciąż jeszcze zdziwiony bólem, który

zabrzmiał w słowach jego inżyniera. — Jutro proszę się spotkać iż profesorem i omówić szczegóły — podjął po krótkim milczeniu. — Będzie mnie pan informował o wszystkim. A kiedy zajdzie potrzeba, zawsze będziemy mogli zerwać z nim… Do tego, jeśli mu — zagrozić zdemaskowaniem… Myślę, że wszystko jest w naszych rękach, Jacques.

— Możliwe, szefie — odpowiedział chłodno Estergom i pożegnał się.

Minęło kilka miesięcy. Praca nad ulepszeniem aparatury dla kliniki profesora Satajany posuwała się niezmiernie wolno. Tak w każdym razie uważał sam profesor. Miękko, ale zdecydowanie odrzucał jeden po drugim modele, które proponował Estergom. Pod koniec któregoś ze spotkań, kiedy Satajana orzekł, że kolejny model go nie zadowala, inżynier wybuchnął:

— Zbrzydła mi gra w ciuciubabkę, profesorze — oświadczył. — Chodziło o zwiększenie prędkości wideomagnetycznych zdjęć, czy tak?

Satajana uśmiechnął się i przytaknął.

— Wspaniale — ciągnął Estergom. — Aparatura skonstruowana w ciągu ostatnich miesięcy w moim laboratorium pozwala zwiększyć prędkość od czterdziestu do pięćdziesięciu razy.

— To za mało — uśmiechając się zauważył profesor.

— Ale takie prędkości, jak mi wiadomo, nie były dotąd nigdy i nigdzie stosowane. Najbardziej szybką myśl, transformowaną w obrazach, można zapisać rozkładając na poszczególne elementy przy takiej prędkości.

— Ale mnie to nie wystarcza — powtórzył Satajana.

— Wobec tego muszę być obecny podczas pańskich eksperymentów — stanowczo oświadczył Estergom. — Być może wtedy zrozumiem, czego się ode mnie żąda.

— Jeszcze większych prędkości. Tylko.

— Jakich mianowicie?

— Tego nie wdam.

— Muszę być obecny przy eksperymentach — powiedział twardo Estergom. — Inaczej odmawiam dalszej współpracy i jeszcze dziś zawiadomię o tym szefa.

— Proszę się postarać zwiększyć prędkość jeszcze… dziesięć razy.

— Pan żartuje, profesorze.

— No to chociaż pięć razy.

— Muszę wiedzieć, co pan otrzymuje przy już osiągniętych prędkościach.

— Prawie nic z tego, co mnie interesuje.

— Muszę to widzieć sam. Tylko wtedy, być może coś wymyślę.

Satajana przestał się uśmiechać.

— Czy pan wie, na jakim materiale teraz pracuję? — zapytał, badawczo spoglądając na swego rozmówcę.

— Tak — odpowiedział Estergom. — Teraz pan pracuje z szaleńcami, a chciałby pracować z normalnymi ludźmi, to znaczy s bardziej lub mniej normalnymi.

— Otóż właśnie! — Na twarzy profesora znów pojawił się uśmiech.

— Ale na normalnych ludziach już pan próbował eksperymentować, czy tak? Z pomocą tej aparatury, którą ja panu dostarczyłem w ciągu ostatnich miesięcy.

— Nie…

— Tak, profesorze. Otóż podczas jednego z takich eksperymentów powinienem być obecny. Przecież to w pańskim interesie.

— To niemożliwe.

— Wobec tego przerywam pracę.

— Pan tego nie zrobi. — Zrobię, i zapewniam pana, że nie ma takiej siły, która by mnie zmusiła

postąpić inaczej.

Satajana popatrzył uważnie na inżyniera.

— Dobrze — zgodził się nagle. — Niech będzie, jak pan chce. Postaram się wytłumaczyć panu, o co chodzi, na żywym materiale. Oczywiście będzie to jeden z pacjentów mojej kliniki. A co dotyczy eksperymentów z bardziej lub mniej normalnymi ludźmi, to… Mam nadzieję, że pan zrozumie, — drogi monsieur Estergom, dlaczego nie chciałbym zwiększać liczby osób mających do czynienia z takiego rodzaju badaniami.

— Nic łatwiejszego, niż zetrzeć potem zapis magnetyczny.

— Oczywiście, oczywiście… Więc jeżeli jest pan wolny jutro wieczorem, na przykład o dziesiątej…

— Jestem wolny.

— Świetnie. Będę czekał na pana w klinice.

Kiedy Estergom zjawił się w klinice psychiatrycznej profesora Satajany, w laboratorium neurologii patologicznej wszystko było gotowe do eksperymentu.

Milczący asystent w białym czepku, białym fartuchu i białych pantoach na miękkiej podeszwie spotkał Estergoma w pustym, jasno oświetlonym hallu. Zaproponowawszy inżynierowi przebranie się w niedużej kabinie, gestem poprosił go, by szedł za nim. Szli długo po pustych, cichych korytarzach. Z prawej i lewej strony ciągnęły się rzędy jednakowych białych drzwi. Wszystkie były zamknięte. Na końcu jednego z korytarzy wyłoniły się szerokie schody. Zeszli nimi kilka pięter w dół i znaleźli się w jeszcze dłuższym korytarzu. I znowu szeregi zamkniętych drzwi i jeszcze głębsza cisza. Asystent kroczył w milczeniu. Na białym, lekko sprężystym plastyku nie było słychać nawet szelestu kroków. Na końcu korytarza ukazały się nowe schody i znów korytarz, podobny do poprzednich, a potem jeszcze i jeszcze…

„Zdaje się, że większą część kliniki zbudowano pod ziemią — pomyślał Estergom. — Wzgórze jest położone na poziomie parteru, a myśmy zeszli około dziesięciu pięter w dół. Nie zaszkodziłaby tu winda.”

— Niestety, jesteśmy pozbawieni możliwości korzystania z wind — powiedział nagle przewodnik, jak gdyby odgadł myśli Estergoma. — Motory wprowadzają zakłócenia.

— Można by je umieścić poza budynkiem — odrzekł inżynier.

— Tak właśnie uczyniono. Ale teraz windy są wyłączone.

— A tam, za tymi drzwiami… — Estergom Spojrzał pytająco na przewodnika.

— Tam są laboratoria i… oni.

— Pacjenci profesora?

— Tak.

— To wygląda jak więzienie.

— W pewnym sensie… owszem. Są wśród nich niebezpieczni.

— Ale dlaczego taka cisza?

— Cisza… — Asystent dyskretnie się uśmiechnął. — Gdyby pan wiedział, co się dzieje za wieloma spośród tych drzwi. Mamy tu bardzo dobrą dźwiękochłonną izolację.

— Czy się zdarza, że niektórzy stąd wychodzą? — Estergom poczuł w głosie nieprzyjemną chrypkę i musiał odkaszlnąć.

— Oczywiście — sucho odrzekł przewodnik. — Każdy z nich na pewno stąd wyjdzie… Ale oto i już jesteśmy ma miejscu.

Wskazał na jedne z drzwi, które w tym momencie bezszelestnie się uchyliły.

Estergom zobaczył okrągłą, jasno oświetloną salę. Pośrodku, na wysokim stole, przypominającym stół operacyjny, leżała nieruchomo ludzka postać, zakryta aż do podbródka białym prześcieradłem. Głowa ogolona. Bardzo blada, wycieńczona twarz. Oczy zamknięte. Sinawe wargi szczelnie zaciśnięte.

Wokół ścian ciągnęły się pulpity z aparaturą kontrolną, rzędami przycisków, skal, ekranów i świetlnych tablic. Nad głową leżącego na stole człowieka zwisała od sufitu ogromna lśniąca półkula. Przypominała fasetowe oko gigantycznego owada. Z boku, na miękkim przegubowym postumencie, stała biała skrzynka przypominająca kamerę telewizyjną bez obiektywu. Nie opodal znajdował się wielki ekran. Od lśniącej półkuli ku skrzynce biegły cienkie nitki przewodów. To była właśnie aparatura dla przyspieszonego zapisu wideamagnetycznego. Ostatni model, ukończony całkiem niedawno przez Estergoma i zakwestionowany wczoraj przez profesora Satajamę.

Sam profesor w białej czapeczce i białym fartuchu siedział naprzeciw ekranu i uprzejmie się uśmiechał do Estergoma. Prócz profesora w laboratorium byli jeszcze dwaj asystenci, tak jak przewodnik Estergoma ubrani na biało.

— Jest pan punktualny — powiedział Satajana wstając na powitanie. — Panowie się poznają, oto moi pomocnicy. Będą asystować podczas eksperymentu.

Inżynier skłonił się milcząc.

— Zanim zaczniemy, czuję się w obowiązku jeszcze raz uprzedzić pana: to roboczy eksperyment. Wszystko, czego pan będzie świadkiem, hm… musi być zachowane w tajemnicy. Nie może pan nikomu o tym opowiadać, nawet, proszę wybaczyć, swemu czcigodnemu szefowi. — Z warg Satajany nie znikał uśmiech, ale oczy świdrowały Estergoma badawczo i przenikliwie.

— Interesują minie tylko jakość i stałość wideosygnałów — odparł inżynier. — Cała reszta mnie nie obchodzi.

— Mam na myśli właśnie wideosygnały — skinął Satajana. — Ich stałość i… treść. Ten człowiek — tu wskazał na stół pośrodku sali — był uczonym. Wystarczająco znanym. Zajmował wysokie stanowiska w akademickiej hierarchii. Niestety, w tym stadium eksperymentu jeszcze nie panujemy nad odbiorem informacji. Pańska aparatura rejestruje i odczytuje tylko pojedyncze, najbardziej silne impulsy mózgu. Są one w pewnym stopniu przypadkowe, ten człowiek bowiem, powtarzam, jest chory… Nieuleczalnie chory z punktu widzenia możliwości współczesnej medycyny, monsieur Estergom. Nie wiem, co mianowicie dziś się uda wyciągnąć z komórek jego mózgu. Być może niektóre kadry wydadzą się panu dziwne.

— Jak on się nazywa? — szybko zapytał inżynier. I wydało mu się, że usłyszawszy to pytanie, asystenci wymienili pomiędzy sobą spojrzenia.

— Zapewniam pana, że teraz to nie ma znaczenia — miękko powiedział Satajana. — Na imię mu chory. Jeden z wielu chorych w mojej klinice. Zdaje się, wspominałem o „roztrojeniu” osobowości… On uważa siebie za jednego z kapłanów faraona Echnatoma, a czasem za dzikusa, zwykłego dzikusa… mniej więcej z epoki wczesnego paleolitu… Znacznie rzadziej świadomość wraca do niego tak, że zdaje sobie sprawę, kim był w rzeczywistości i gdzie się teraz znajduje. Wtedy robi wrażenie w pełni normalnego człowieka.

— A teraz?

— Teraz jest uśpiony. Przeprowadzam eksperymenty na uśpionych.

— A kim był przed uśpieniem?

— Przecież to nie ma znaczenia. Komórki jego mózgu zawierają informację tak lub inaczej sprzężoną ze wszystkimi trzema hipostazami. Można otrzymać wideosygnały jakiejkolwiek jego hipostazy, i nawet jakieś inne, bezpośrednio z żadną z nich nie związane. Ludzki mózg to nieskończoność, w której jeszcze nie umiemy się orientować.

— Ale — już wyciągnęliśmy ku niej rękę.

— Dzięki pańskiej aparaturze, monsieur Estergom. Z jej pomocą mam nadzieję, że przeniknę w labirynty tej nieskończoności. Byle zrobić pierwsze kroki…

— Zdaje się, że pan je robił i bez pomocy mojej aparatury.

— O, to było błądzenie w ciemności. Dopiero teraz zamigotało światełko. Słabe światełko w

nieprzejrzystej mgle niezliczonych pokoleń poprzedzających nasze, pana i moje… Taaak, nieskończony labirynt przestrzeni i czasu zakodowany w gęstwie żywej materii, którą my nazywamy ludzkim mózgiem. Gdy się uda wniknąć w tajniki tego kodu, o… można się będzie wiele dowiedzieć, prawie wszystkiego.

Estergom ze zdziwieniem spojrzał na profesora.

Uśmiech znikł z twarzy Satajany. Jego spojrzenie biegło gdzieś ponad głową inżyniera, przenikliwe spojrzenie nieruchomych, rozszerzonych źrenic. Estergom zadrżał wewnętrznie. Błysnęła mu myśl, że ma doczynienia z szaleńcem. Wargi Satajany poruszały się. Szeptał coś, ale słów nie można było rozróżnić. Nagle profesor wstrząsnął głową, jakby odpędzał od siebie jakąś wizję, i zawstydzony uśmiechnął się.

— Proszę md wybaczyć, zdaje się, że myślałem głośno. Ze mną tak bywa… Jeśli nie ma pan nic przeciw temu, to rozpoczniemy. Proszę wszystkich o przygotowanie się… Uwaga! Zaczynamy…

* * *

Następne kilka gadzin wydały się Estergomowi koszmarnym snem, w którym odczucia realne, słowa i obrazy splotły się z fantastycznymi wizjami jakiegoś innego, nieznanego i strasznego świata — w jeden pogmatwany, lepki kłębek.

Kiedy fasetowa półkula została opuszczona ku samej głowie człowieka leżącego na stole, i podłączono wiązki elektrod do jego czoła, potylicy i skroni, na dużym matowym ekranie, połączonym z zapisującym urządzeniem, błysnęło światło. Najpierw wolno popłynęły bezkształtne różnobarwne plamy i pasma. Potem ich ruch uległ przyspieszeniu, zaczęły osiągać większy zakres i zwijać się w kolorowe spirale, które obracały się coraz szybciej. Oko już nie nadążało chwytać wszystkich zmian barw i kształtów. Asystenci pochylili się nad nieruchomą postacią tego, którego mózg był teraz obiektem dziwnego eksperymentu. Satajana, z zaciśniętymi cienkimi wargami, nie odrywając oczu od ekranu, obracał regulującymi gałkami przyrządu. Na ekranie bezdźwięcznie rozlewała się bachanalia barw i kształtów.

Upłynęło kilka minut. Ruch rozszerzających się kolorowych plam i spiral wciąż nabierał prędkości, barwy zlewały się, traciły jaskrawość, blakły i przygasały. Teraz na ekranie szybko miotały się języki perłowych płomieni. Czasem wśród nich pojawiały się jakieś kontury, ale natychmiast wypierały je inne i ginęły, nim oko je mogło rozpoznać.

Satajana ledwo dostrzegalnym ruchem palców manipulował regulatorami. W ciągu jednego mgnienia udało mu się zatrzymać na ekranie jakiś obraz — Estergomowi się zdawało, że była to kobieca twarz, lecz zaraz znikła pochłonięta przez perłowe płomienie. Satajana rzucił szybkie spojrzenie na inżyniera, jakby mówiąc: „No i widzi pan! Ginie… Potrzebna inna prędkość…” Jego czoło i policzki pokryły się drobnymi kroplami potu.

Znów mignął jakiś obraz i znikł, nim Estergom zdołał pojąć, co to było. Potem znów i znów. Płomień na ekranie pochłaniał je wcześniej, nim się na dobre pojawiły. Było to podobne do wymykającego się wspomnienia. Jak gdyby tamten na stole męcząc się usiłował coś sobie przypomnieć i nie mógł.

Estergom popatrzył w kierunku stołu. Człowiek leżał nieruchomo. Blada twarz była spokojna. Oczy zamknięte. Gdyby nie pląs perłowego płomienia ma ekranie, oddający pracę mózgu, można byłoby pomyśleć, że ten człowiek jest martwy.

Spojrzenie Estergoma nie uszło uwagi profesora. Satajana nachmurzył się i coś powiedział asystentom. Inżynier nie zrozumiał słów, ale możliwe, że profesor posłużył się nie znanym mu językiem. Jeden z asystentów postąpił krok i zasłonił sobą twarz śpiącego.

Minął jakiś czas. Obraz na ekranie nie zmieniał się. Perłowy płomień oślepiał. Estergom poczuł lekki zawrót głowy i odwrócił się.

— Dziś nie wychodzi — usłyszał w tym momencie głos Satajany. — Trzeba będzie…

Końca zdania Estergom znowu nie zrozumiał.

Jeden z asystentów milcząc wziął strzykawkę i wbił igłę śpiącemu w rękę powyżej łokcia. Człowiek na stole nawet nie — drgnął, ale ekran nagle jaskrawo zapłonął i zgasł.

— No więc tak — powiedział Satajana. — Być może uda się uchwycić chociaż cokolwiek…

Znów wziął się do manipulowania regulującymi pokrętłami przyrządu. Ekran powoli rozjaśnił się. Teraz patrzała — z niego młoda kobieca twarz zniekształcona grymasem dzikiego przerażenia. Co widziały te zalane łzami, wychodzące z orbit oczy?

Estergom cofnął się. Głowa na ekranie zatrzęsła się i usta kobiety otwarły się w niemym krzyku niewypowiedzianego bólu. Jeśli w rozpalonym mózgu, z którego Satajana wyrwał ten obraz, dźwięczał także krzyk kobiety, to tego już było dosyć, żeby oszaleć.

Pole widzenia przesunęło się, i Esteirgom zrozumiał, dlaczego kobieta tak krzyczała. Torturowano ją ogniem. Przez mgnienie Estergomowi wydało się, że czuje zapach palącej się ludzkiej skóry. Zadrżał i odwrócił się.

— Coś nowego — dobiegł go spokojny głos Satajany. — Tegośmy jeszcze nie notowali. Niestety, tylko fragment.

Estergom podniósł oczy. Na ekranie miotał się perłowy płomień. W pewnym momencie zaczęły się z niego wyłaniać obrazy gwałtownie zmieniające się jeden po drugim. Palmy na skraju piaszczystej pustyni, zalanej oślepiającym słonecznym światłem. Jaskrawoniebieskie niebo nad piaszczystymi pagórkami i łańcuszek śladów biegnących w dal. Labirynty jakiegoś podziemia, czerwonawe języki pochodni w dole. Przepiękna kobieca twarz, zdaje się, że ta sama, co w pierwszym kadrze, tylko że teraz oczy jaśnieją szczęściem, wargi rozchylają się do pocałunku. Mrok, potem znowu kobieta w białych przeźroczystych szatach; schodzi po marmurowych schodach ku błękitnej, połyskującej w słońcu wodzie… Ktoś czeka na dole. Znowu mrok, szybko przebiegające przez ekran twarze, przerażające swoją potwornością. Okropne tortury… Wijące się w męce ciała… Skazanych pędzą na stracenie. Tłum szaleje na placach. W dali — ogniska. Mnóstwo ognisk. Chłodny księżyc oświetla gruzy. Ciemnieją puste oczodoły czaszek… Wilki pędzą gdzieś i rażeni z nimi po srebrzystej księżycowej drodze biegną czarne cienie. Nieruchome ciało, owinięte całunem, spuszczają do złotego grobu… Żółty dym ściele się nisko nad szkieletami martwych domów, gnijące trupy na ulicach. Grzyb wybuchu atomowego, oślepiający błysk — i znowu trupy, pełznące dokądś poczwary, tonące w brudach ubogiej dzielnicy. Jakaś twarz zadziwiająco znana Estergornowi. Saitajama? Tak, oczywiście, Satajana uśmiechając się patrzy z ekranu. Drugi Satajana, naprężony i skupiony, siedzi obok…

Znowu pląs płomieni. Audytorium… Studenci pochyleni nad notatkami. Kreślenia na tablicy. Estergomowi nagle zaczyna się wydawać, że był obecny na tym wykładzie… Gzy to nie on tam w trzecim rzędzie? Obraz żwawo zmienia się. Stół pod otwartym na oścież oknem. Za oknem mokre gałęzie, krople deszczu na pożółkłych liściach. Na stole kartki papieru. Czyjaś ręka szybko pokrywa je symboliką matematycznych formuł. Formuły… Formuły… One również zadziwiająco znajome. Estergom próbuje złowić ich sens.

Znów kobieca twarz. Estergom nagle uświadamia sobie, czemu jej widok tak go uderzył. Widział kiedyś tę kobietę. Ale gdzie i kiedy? Płomień, mrok, znów płomień i nagle upiorny szkielet, wolno płynący po czarnym niebie nad białymi marmurowymi nagrobkami.

Coś podobnego do jęku przenika do świadomości oszołomionego inżyniera. Podnosi głowę, ogląda się… Chwycone skurczem ciało mężczyzny, poddanego doświadczeniu, wygięło się łukiem nad stołem.

Jeden z asystentów przytrzymuje go za nogi, drugi za głowę. Wargi śpiącego są zaciśnięte do krwi, twarz zniekształcona męką.

— Zatrzymajcie się! — nieoczekiwanie dla siebie samego krzyczy Estergom — przestańcie natychmiast!… Przestańcie!

Krzyk zabrzmiał zgrzytliwie, ostro i urwał się.

Nastąpił cichy trzask. Ekran zgasł. Saitajana uważnie wpatrywał się w pobladłą twarz inżyniera.

— Co panu, przyjacielu?

Estergom wyciągnął chusteczkę i zaczął wycierać mokre czoło.

— Mnie nic, lecz wydało mi się, że on… — pokazał na stół pośrodku sali — że to zbyt męczące. Proszę zobaczyć, co z nim…

— Nic, śpi…

— Ale on… sam widziałem…

— Proszę się uspokoić. On nic nie czuje. Wszystko to — profesor wskazał głową na ekran — jest ukryte głęboko w tajnikach jego mózgu. On sam nie podejrzewa niczego. W komórkach pańskiego mózgu być może kryją się zapisy jeszcze straszniejsze. Ale i pan także nic o nich nie wie. I to dobrze… Gdyby było inaczej, ludzie oszaleliby od nadmiaru informacji, która im w ogóle na nic się nie przyda. Człowiekowi wystarczy doświadczeń swojego pokolenia.

Estergom wstał i zaczął chodzić po laboratorium. Spojrzał w stronę stołu. Człowiek leżał nieruchomo. Blada, bez kropli krwi twarz była spokojna.

— Zapis zrobił na panu wrażenie — miękko powiedział Satajana. — Pan nalegał, a ja byłem zmuszony się zgodzić… Na razie to jeszcze wielka niewiadoma… Powtarzam, nie wiedziałem, że nam się uda wyciągnąć z niego…

— To znaczy, że moja aparatura jednak zapewnia panu zapis — głos Estergoma był ochrypły od zdenerwowania.

— Nie — uśmiechnął się Satajana. — Pan przecież widział. To poszczególne fragmenty, kawałki mozaiki… gigantycznej mozaiki. A ja muszę koniecznie mieć nieprzerwaną taśmę.

— Taśmę czego?

— Nazwijmy to „ukrytą informacją”. Jest w każdym z nas poza progiem świadomości. Stanowi odbicie doświadczeń niezliczonych minionych pokoleń.

— A więc to, cośmy widzieli teraz?…

— Tak. W tych kadrach były doświadczenia jego przodków. Jakichś bardzo odległych pokoleń. Wszyscy oni dawno zetleli, lecz w mózgu potomka przetrwał kod ich przeżyć. Realne obrazy przeszłości. Nić wiążąca przeszłość z teraźniejszością. Filozofowie twierdzą, że nie ma historycznej prawdy, że przeszłość nie poddaje się obiektywnej ocenie. A ja chcę przedstawić nową metodę analizy historycznej. Wyjściowe dane są w nas samych. Trzeba je tylko rozszyfrować.

Estergom roześmiał się złośliwie.

— Pańska metoda, jeśli w ogóle nie jest fikcją nie lepsza od innych. Pan ją opiera na analizie subiektywnych spostrzeżeń. Pan utonie w chaosie.

— Będę rozporządzał sumą tego, co pan nazywa „subiektywnym spostrzeżeniem”. Suma pozwala na wzajemne skorygowanie i skonfrontowanie subiektywnych ocen. I oprócz tego uzyskana informacja odzwierciedla niekiedy istniejące obiektywne związki. Scaliwszy je, można się zbliżyć do historycznej prawdy bardziej wiarygodnie, niż czynią to autorzy „Historii powszechnej”.

— Ale na ekranie był chaos. Jak można go wykorzystać w pańskich celach?

— Proszę nie zapominać, że otrzymaliśmy informacje z mózgu dotkniętego chorobą. Są w nim naruszone związki przyczynowe i granice między świadomością a podświadomością. Na tym właśnie polega istota wielu zachorowań psychicznych, że informacja ukryta w podświadomości ujawnia się. Człowiek zaczyna utożsamiać uświadamiane z tym, co jest podświadome. W średniowieczu o takich mówiono, że są „opętani przez diabła”. Cóż, bardzo trafne określenie… Diabeł — informacja ukryta w podświadomości. Przedarcie się jej znikomej choćby części w sferę świadomości zmienia człowieka w szaleńca. Mówiłem panu, na czym polega jego choroba? — Satajana dotknął obnażonej ręki tego, który leżał na stole. — Niewielka część otrzymanej dziś informacji dotyczyła jego niedawnej przeszłości.

Pamięta pan dłoń kreślącą formuły? Coś niecoś z tego można skonfrontować z jego „drugą hipostazą" — egipskiego kapłana. Uważam to za wdarcie się informacji ze sfery podświadomości. Któryś z jego przodków żył w epoce Echnatona. A przy sposobności: i naszych przodków, pana i moich, można odszukać w którejśkolwiek z minionych epok, za Ludwika XIV, Attyli, Katona, Hefrena i tak dalej, aż do epoki wielkiego lodowca włącznie, a przy dobrych chęciach — jeszcze głębiej. Tak więc można przypuszczać, że jego przodek w prostej linii, w epoce Echnatona, faraona-reformatora, był kapłanem.

— A ta kobieta?

— Daruje pan, nie wiem… Dzisiejszy zapis był ciekawy. Pojawiły się w nim jakieś nowe fragmenty. Inna epoka. Prawdopodobnie wczesne średniowiecze.

— Czy to znaczy, że jego choroba postępuje?

— Nie sądzę… Raczej jest to przypadkowe odczytanie tego, co kryje jego podświadomość.

— A gdyby go zapytać?

— To niemożliwe. Pan zapomina, z kim mamy do czynienia.

— Jeśli dobrze pana zrozumiałem, profesorze, z pomocą aparatury, którą pan ode mnie otrzymał, można transformować w widzialne obrazy także jakąś część informacji schowanej w mózgu zdrowego człowieka?

— Tylko sprzężoną z jego osobistym doświadczeniem i odnoszącą się do sfery świadomości. Lecz nie u każdego. U ludzi z silną wolą to się na razie nie udaje.

— Czemu?

Satajana przyjrzał się inżynierowi znad okularów. Zdawało się, że się waha, czy wyjaśniać dalej.

— Jeśli pan liczy na moją pomoc, proszę mówić wszystko do końca — nalegał Estergom.

— To skomplikowane zadanie. Chodzi o indywidualne właściwości poddanego doświadczeniu, o siłę urządzenia rejestrującego, no i oczywiście o zezwalająca na to zdolność wideozapisu. Jestem przekonany, że przy dużym zwiększeniu prędkości…

— Ależ jesteśmy u jej kresu…

— To znaczy, że trzeba zupełnie inaczej rozwiązać konstrukcję urządzenia zapisującego.

Estergom pokręcił głowa.

— Jestem tylko inżynierem, a nie czarodziejem. Spędziliśmy przy ekranie okołu dwu godzin. Praktycznie ile impulsów mózgu tego człowieka próbował pan dziś odczytać?

— Nie więcej niż dziesięć.

— A dokładnie?

— Większa ich część w ogóle nie dała się rozszyfrować.

— Od ilu impulsów otrzymał pan rozszyfrowane wideosygnały?

— Nie liczyłem dokładnie.

— Więc ja panu powiem: od dwu lub trzech. Satajana spojrzał pytająco na jednego z asystentów. Ten kiwnął głową twierdząco:

— Przeanalizowano dziewięć impulsów, profesorze. Wideosygnały są zapisane od trzech.

— No więc widzi pan! — z dumą krzyknął Estregom. — Tylko trzy krótkie impulsy dały panu dwugodzinne widmo zapisu. Trzy dziesięciomilionowe ułamki sekundy moja aparatura „rozciągnęła" na prawie dwie godziny. Czyż to nie jest potwierdzeniem względności czasu?

— Nikt nie przeczy, pańska aparatura jest wspaniała — cicho powiedział Satajana, przestawszy się uśmiechać — ale proszę zrozumieć, to nie rozwiązuje problemu. Film, który demonstrował an pańskiemu szanownemu patronowi, to udane rozszyfrowanie jednego impulsu, zapisanego z pomocą starej aparatury. Mgnienie, jak pan to nazywa, udało się nam wtedy rozciągnąć na dwadzieścia minut. Szczęśliwy przypadek, nic więcej. Jeden na milion, a może na miliard. A ja nie mogę liczyć na szczęśliwe przypadki. Muszę mieć rozszyfrowanie każdego złapanego impulsu lub w ostateczności — większości z nich. I nie tylko moich pacjentów, lecz… każdego człowieka.

— Panu się udawało rozszyfrowywanie impulsów, jak pan to nazywa, podświadomości psychicznie zdrowych ludzi?

— Ludzi nie będących moimi pacjentami? Nie.

— A czy nie świadczy to o tym, że u normalnych ludzi „skryta informacja”, informacja w podświadomości, w ogóle nie istnieje?

— Nie.

— Dlaczego?

— Pan zapewne odgadł, co oznacza płomień, który miotał się na ekranie w ciągu większej części eksperymentu? Płomień, z którego jak gdyby się rodziły poszczególne kadry wideozapisu?

— Prawdopodobnie efekt interferencji, wielokrotnego sumowania się jakichś obrazów.

— Pan ma rację. I co z tego wynika?

— Być może jest to nie rozszyfrowana część wideozapisu.

— Brawo! I dla rozszyfrowania są potrzebne większe prędkości. Czyż nie tak? A wideczapis impulsów podświadomości u ludzi nie należących do grupy moich pacjentów przedstawia się tylko jako „płomień”. Płomień z jeszcze większą interferencyjną barwą. Teraz pan pojmuje?

Estergom skinął głową i zamyślił się. Profesor Satajana cierpliwie czekał.

— Na taśmę magnetyczną zapisaliśmy cały nasz dzisiejszy eksperyment, czy laik? — spytał w końcu Estergom.

— Rozszyfrowane kadry zostały automatycznie skopiowane na drugiej taśmie. Chce je pan przejrzeć?

— Mnie interesuje pełny zapis w oryginale. Wszystko, cośmy widzieli na ekranie.

Satajana rozłożył ręce.

— Oryginał ulega ścieraniu, przecież pan wie…

— Ulega ścieraniu, kiedy przygotowuje się aparaturę do następnego doświadczenia.

— Jakie to może mieć znaczenie? Wszystko, co się udało rozszyfrować, jest już przeniesione na kopię.

— Jakie ma — znaczenie? Mnie jest potrzebny pełny zapis dzisiejszego eksperymentu.

— Ale…

— Żadnego ale, panie profesorze, jeśli pan chce dalej eksperymentować.

— Monsieur Estergom!

— Czy jest panu potrzebne pełniejsze rozszyfrowania dzisiejszego zapisu impulsów?

— Jeśli dobrze wiem, jest to niemożliwe. A powtórzyć eksperymentu się nie uda…

— Czyż mówiłem o powtórzeniu? Potrzebny mi tylko pełny zapis w oryginale.

— Nie mamy zapasowej taśmy, i pan o tym doskonale wie. Ten aparat ma specjalną taśmę. A pan dostarczył tylko jedną kasetę. Na jutro zaplanowaliśmy serię prób.

— Jutro rano dostanie pan drugą kasetę.

— Monsieur Estergom, nie chciałbym, aby tego rodzaju zapisy wychodziły poiza ściany laboratorium…

— Przecież pan zostawia sobie kopię rozszyfrowanych impulsów, a całą resztę i tak zetrzecie jutro lub może nawet dziś w nocy po zakończeniu eksperymentu.

— Po co panu pełny zapis?

— Żebym mógł przestudiować bardziej szczegółowo strukturę pól, których moja aparatura nie odczytała.

— Chce pan powiedzieć…

— Na razie nic nie chcę powiedzieć.

— Czyż istnieje jakakolwiek bądź możliwość odczytania tej części zapisu, którą odbieramy jako „płomień”?

— Nie wiem. Na razie nic nie wiem. Lecz żeby kontynuować poszukiwania rozwiązań, muszę mieć taśmę z pełnym zapisem eksperymentu.

— Dobrze — z westchnieniem powiedział Satajana — pan ją otrzyma, ale…

— Ale?

— Jeśli się panu uda… jeśli przyjdzie panu do głowy samemu się zająć odczytaniem tego zapisu… ja muszę… jestem zobowiązany przestrzec pana… To niebezpieczne… Bardzo…

— Panie profesorze, nie jestem dzieckiem. I doskonale orientuję się w możliwościach radia i telewizji.

— Niemniej jednak to trochę, co pan widział dzisiaj…

Estergom uśmiechnął się pogardliwie:

— Podziałało na mnie, chce pan powiedzieć?

Satajana smutno pokręcił głową.

— Ludzie przywykli do konkretnych rzeczy, mój przyjacielu, konkretnych i koniecznych. Tak jak ten stół, pokój, aparatura wreszcie. A teraz obaj z panem jesteśmy na krawędzi otchłani. Otchłani nieskończoności… Proszę się w to wczuć. Całkiem możliwe, że z zapisem nie się panu nie uda zrobić… Próbowałem już różnymi drogami… Dlatego jestem przekonany, że koniecznie trzeba jeszcze zwiększyć prędkość samego zapisu. Ale gdyby rozszyfrować się udało…

— Gdyby się udało… — jak echo powtórzył Estergom.

— Rozwarłoby się na roścież okno w nieskończoność, nieskończoność epok, pokoleń, ludzkich losów, namiętności, dążeń, charakterów, ludzkiego życia od kolebki aż po grób — w całej odsłoniętej tragicznej istocie każdej jednostki. Nieskończoność kosmosu jest niczym wobec tego przerywającego się, nie kończącego łańcucha rozumu. Gdzie źródło tego potoku i gdzie ocean, do którego wcześniej czy później trafi? Każdy z nas wyskakuje na jedno mgnienie, jak diablik z pudełeczka, z tego nieznanego, nieskończonego potoku i prawie w tejże chwili na zawsze w nim ginie. To nazywamy życiem. Prawie się nie zastanawiamy nad tym, co było „do” i w istocie mało nas niepokoi, co będzie „potem”. Ale potok płynie gdzieś poza progiem naszego „ja”. Wynurzywszy się z niego, uniesiemy w sobie informujący kod przeszłości. Jego fragmenty są straszne, dziwne, niedorzeczne. Miał pan możność się przekonać. A cały? Jest o wiele straszniejszy. Przy zetknięciu z nim rozum poszczególnej jednostki może nie wytrzymać…

— Niemniej jednak pan szuka zbliżenia właśnie z „całym” — przerwał Estergom. — Z malutkim „całym” stanowiącym istotę żywego indywiduum, i z „Całym” z dużej litery, z tym, co, jak pan sądzi, chroni się w podświadomości żyjącego pokolenia.

— Nie, nie — żywo zaoponował Satajana — interesuje mnie tylko to drugie. Pragnę przeniknąć tylko tam, choć wątpię, czy mi starczy sił. Czy mój własny mózg da radę. Dlatego pana przestrzegam. A pierwsze w całości odstępuję pańskiemu patronowi. Nadaje się to tylko na scenariusz. Kiedyś może nabierze jakiejś obiektywnej wartości, odzwierciedliwszy się w podświadomości potomków. Stanie się kryterium oceny naszej epoki, jeśli ród ludzki będzie trwał. A teraz… Ale odbiegliśmy od tematu. Chciałem panu tylko powiedzieć…

— On się budzi, profesorze — dobiegł głos któregoś z asystentów.

— Zawieźcie go do sali — polecił Satajana.

— Zaczekajcie — podniósł głowę Estergom — bardzo bym chciał z nim pomówić.

— On nic nie pamięta. A oprócz tego…

— Wiem. Lecz chciałbym mu zadać kilka pytań. Potrzebne mi to do dalszych poszukiwań.

— Jest pan trudnym wspólnikiem, Estergom. Przepraszam.

— Wiedział pan o tym, profesorze?

— Wiedziałem — odrzekł bez uśmiechu Satajana. — Proszę zadać swoje pytania. Ale niewiele. Tu była specjalna narkoza. Chory jest jeszcze słaby.

Człowiek na stole otworzył oczy. Obiegł spojrzeniem laboratorium i zatrzymał się na Estergomie.

— Dzień dobry — powiedział Estergom. — Jak się pan czuje?

— Kim jest ten człowiek, profesorze? — drżącym głosem zapytał chory. — Prosiłem nie zapraszać postronnych osób na pańskie seanse. On oczywiście z gazety?

— To mój kolega — uśmiechając się łagodnie, wyjaśnił Satajana. — Zaprosiłem go na konsultację.

— Po co? Całkowicie wierzę w pańskie metody leczenia. Po co więc pan go zaprosił? — głos chorego okrzepł, stał się ostry i krzykliwy.

— Jest wybitnym specjalistą w swojej dziedzinie i liczyłem…

— Nie myśli pan przypadkiem, że zapłacę za tę konsultację? — zakrzyczał chory. — O, co to, to nie!

— Ależ ja nie wezmę od pana grosza — powiedział Estergom.

— Niepotrzebna mi pańska jałmużna! — krzyczał chory. — Pan wie, z kim ma pan do czynienia?

— On wszystko wie — jak mógł najłagodniej, powiedział Satajana. — Chcemy prędzej postawić pana na nogi. Czeka parna praca, poważna praca, czyż nie tak?

— Tak, tak, oczywiście — nagle zgodził się chory. — Ma pan rację, profesorze. Dziękują panu. No i jak pan ocenia mój stan zdrowia teraz?

— Jest panu lepiej, czyż pan tego sam nie czuje?

— Tak, — tak. A jak według pana? — oczy chorego patrzyły teraz na Estergoma.

Inżynier drgnął, tak wielki wyczytał w nich niepokój i prośbę.

— Ja… zgadzam się z profesorem Satajana — wymamrotał ochryple. — Proszę mi jednak pozwolić zadać kilka pytań.

— Oczywiście, oczywiście.

— Proponowałem profesorowi zastosować pewien środek, lecz nim zadecyduję ostatecznie o jego wyborze, chciałbym poznać… Proszę mi powiedzieć, kiedy pan myśli o pracy, o pańskiej bardzo ważnej pracy, nie zawodzi pana pamięć?

— Nie, na razie nie… lecą nie mogę o niej długo myśleć. Zaczyna się ból… szalony ból głowy.

— I nie zapomina pan formuł, z których korzystał przy swoich obliczeniach?

— Jasne, że nie, mam je zawsze w głowie.

— Świetnie, proszę przypomnieć sobie jedna z nich, którąkolwiek.

— Muszę napisać. Na czym by…

Satajama dał znak asystentom. Jeden z nich przystawił do piersi chorego tekturową teczkę z przytwierdzoną kartką papieru, a drugi włożył do prawej ręki ołówek.

— Więc co napisać? — spytał chory patrząc, uważnie na Esteargoma.

— Co pan chce. Jakąkolwiek bądź formułę, jakikolwiek logiczny wniosek. Nie jestem specjalistą w pańskiej dziedzinie, lecz jeśli trzeba będzie, razem z profesorem sprawdzimy potem w podręczniku.

— Wątpliwe, czy potraficie mnie sprawdzić według podręcznika — zaszeptał chory podniósłszy głowę i szybko zaczął pokrywać kartkę papieru rzędami matematycznych symboli.

Estergom uważnie obserwował ruch jego ręki.

— Może pan to zabrać — powiedział chory i opuścił głowę na poduszkę. — To jest bardzo skomplikowany wniosek z pewnej formuły, dotyczącej… nieważne zresztą czego. Umyślnie nie doprowadziłem go do końca. Ale każdy fizyk panu potwierdzi, że wszystko tu jest prawidłowe, choć nie każdy wpadnie na to, jakie stad można wyprowadzić dalsze wnioski.

Ołówek wypadł mu z ręki i potoczył się po podłodze.

— Dziękuję — powiedział Estergom, biorąc kartkę z formułami. — Żeby sprawdzić pańską pamięć, zrobimy tak: jutro, nie zaglądając do tych zapisów, spróbuje pan powtórzyć cały wywód. Potem razem z profesorem porównamy. Potrafi pan powtórzyć cały ten zapis z pamięci?

— Nie zastanawiając się, w każdej chwili, nawet jeśli mnie pan — obudzi w środku nocy.

— Świetnie. A teraz następne pytanie. Lubi pan czytać? Oczywiście nie chodzi mi o naukowe publikacje.

Chory uśmiechnął się.

— Już od wielu lat brakowało mi czasu na takie głupstwa. Tu w klinice profesora mógłbym sobie na to pozwolić, ale profesor twierdzi, — że mojej biednej głowie potrzebny jest pełny wypoczynek.

— Naturalnie — skinął Estergom. — A teraz proszę powiedzieć, kiedy pan ostatni raz był w Egipcie?

Satajana ostrzegawczo podniósł rękę, ale Estergom udał, że nie zauważył tego gestu.

Twarz chorego wyraziła zdziwienie.

— W Egipcie? — powtórzył. — Dlaczego akurat w Egipcie, a nie na przykład w Meksyku? Zresztą to nieważne. Nigdy nie byłem ani w Meksyku, ani w Egipcie.

— Ale oczywiście bardzo pan chciał tam być?

— Nie myślałem o tym. Może kiedyś, w młodości… Ostatnimi laty byłem aż nadto zajęty. A poza tym… Egipt… To interesujące… Czasami śni mi się coś takiego… niestety, teraz nie mogę sobie przypomnieć…

— Proszę się postarać.

— Wystarczy, kolego — ostro przerwał Satajana. — Nasz pacjent jest znużony. Na dziś dosyć. Proszę go odwieźć…

Wściekłe spojrzenie profesora wręcz świdrowało twarz Estergoma.

Kiedy drzwi laboratorium zamknęły się za wózkiem uwożącym chorego, Satajana dał upust swej złości:

— Pan zwariował! — krzyczał przyciskając ręce do piersi. — Jak pan mógł? Po jakiego, za przeproszeniem, diabła krząta się pan wokół nie swoich spraw?

— Przecież pan pozwolił…

— Miałem pana za mądrzejszego, a może pan… hm… wpadł na pomysł sprawdzić ranie?

— Sprawdzałem tylko siebie samego — cicho odrzekł Estergom. — A on… czy pan liczy na to, że się wyleczy, profesorze?

— W tym przypadku to bez znaczenia. Swymi pytaniami mógł pan przyspieszyć rozwiązanie, I nie wiem, czy już pan tego nie zrobił.

On nie zna diagnozy. Nie podejrzewa „roztrojenia” jaźni ani tego, że jako osobowość przestał istnieć…

— Ale…

— Niechże pan przestanie. Muszę go oszczędzać. Jest md niezbędny do dalszego… proszę pamiętać: żadnych więcej spotkań z tym człowiekiem… Formuły, do których napisania zmusił go pan…

— Powtarzać ich nie trzeba, wystarczy to, co dziś napisał.

— Proszę mi wreszcie wyjaśnić, po co to wszystko jest panu potrzebne?

— Pan oczywiście nie uwierzy, jeśli powiem, że po to, aby panu pomóc.

— Nie uwierzę.

— Szkoda. Chciałbym dociec, kto z nas trzech jest bardziej szalony…

Rzeczywiście, kto z nas trzech jest bardziej szalony? — myślał

Estergom wracając do domu pustym bulwarem jeszcze śpiącego wielkiego miasta. Stukot jego kroków po betonie niósł się daleko w ciszy przedświtu. Na odległych, jasno oświetlonych skrzyżowaniach majaczyły tylko jakieś pojedyncze postacie. Za drzewami pędziły ze szmerem niewidoczne samochody. — Więc” kto?… Ten nieszczęśnik, który stał się obiektem szalonych eksperymentów maniaka? Czy owładnięty manią wszechwiedzy Satajana, który próbuje pozbawić ludzi jedynej rzeczy, jaka im została: prawa do swego własnego wewnętrznego świata? A może on, inżynier Estergom, konstruktor elektronowego urządzenia, z pomocą którego Satajana ma nadzieję urzeczywistnić wiwisekcję ludzkiej świadomości? Wszyscy są obłąkani… I zwariowany jest świat, w którym coś

takiego jest możliwe. Satajana już to zrozumiał. On nie mówi o szaleńcach. On dzieli ludzi na „swoich pacjentów" i na tych, którzy nimi nie są. Ale mogą się stać każdej chwili…

Kłamstwo — te wszystkie rozmowy o szukaniu obiektywnej historycznej prawdy: ona po prostu nie istnieje. Być może kłamstwem jest i to, że obrazy utrwalone na taśmie wideomagnetycznej żyją gdzieś w zakamarkach mózgu. Czyż nie mogą być wytworem choroby, narkozy? Satajana wspominał o „specjalnej narkozie". I w końcu czyje myśli były dziś uchwycone i rozszyfrowane? Tylko tego, który leżał na stole, czy też i tych, którzy byli obecni podczas eksperymentu? Przecież on, Estergom, lepiej od innych się orientuje w możliwościach swojej aparatury… Wobec myśli ludzkiej każdy ekran jest bezsilny. Na razie bezsilny. To znaczy…

Formuły matematyczne na ekranie — to oczywiście tamten… to jego myśli. Ocknąwszy się, bardzo dokładnie powtórzył je na kartce papieru. Ale co za zbieg okoliczności: te formuły służą do obliczania prędkości wideomagnetycznego zapisu… Możliwe, że on, zanim dostał się do kliniki Satajany, zajmował się właśnie takim problemem, którym teraz niejako zmuszony został zajmować się Estergom. Tamten nie doprowadził wniosku do końca… Estergom też nie doprowadził. Nie potrafił. Wynik był niedokładny. Ale zdaje się, że tamtemu człowiekowi udało się pójść dalej. Mówił coś o wnioskach, które nie każdy potrafi wyciągnąć… Kimże on jest? Szaleńcem czy geniuszem? I kto to był, czemu Satajana ukrywa jego imię?

— Tak, oczywiście istnieje jeszcze jedna możliwość — teraz Estergom mówił głośno do siebie — prędkość zapisu nie musi być zwiększana. Można iść inną drogą, całkiem inną, Ten człowiek mi podpowiedział… Po diabelsku prawie… Akurat to, czego domaga się Satajana. Oto ono, to rozwiązanie…

Estergom przysiadł na brzegu betonowej dróżki. Kilka linijek — i wniosek gotowy. Końcową formułę zamknął w grubych ramkach. Tych kilka symboli to klucz, na który czeka Satajana. Klucz do wewnętrznego świata człowieka. Klucz, którym można szeroko otworzyć okno w nieskończoność. Kto będzie miał rację? Co jest za tym oknem? Nieskończoność wszechwiedzy czy nieskończoność nieprzeniknionego mroku? A może to jedno i to samo? Teraz zresztą nietrudno się o tym przekonać. Choćby za pomocą wideomagnetycznej taśmy wziętej od Satajany. Taśmy z zapisem nocnego eksperymentu. Formułę na wszelki wypadek trzeba zniszczyć… Teraz już jej nie zapomni. I czym prędzej do laboratorium! Musi zdążyć zrobić wszystko, nim przyjdą współpracownicy.

Na jakiś moment zawahał się: czyżby tu nie było pomyłki? I on rzeczywiście jest u progu? U progu niewiadomego? Jakikolwiek by to mogło mieć wpływ na przyszłość ludzkości i jego samego, musi się przekonać, musi przekroczyć ten próg! A Satajana… W końcu można będzie przed nim nie odsłaniać wszystkiego.

Estergom podarł na drobne kawałeczki kartkę z formułami, podrzucił w górę strzępki i pobiegł w głąb ciemnego labiryntu ulic. Poryw rannego wiatru pochwycił skrawki papieru i niósł ponad budzącym się miastem wciąż wyżej i wyżej w jaśniejące niebo.

W południe wezwano profesora Satajanę do telefonu. Dzwonił Wallon. Satajana słuchał nie przerywając, i tylko nieznacznie kręcił głową. Twarz jego była — nieprzenikniona. W końcu Wallon zamilkł. Milczał i Satajana.

— Halo! — rozległo się w słuchawce — zrozumiał pan, co się stałą?

— Zrozumiałem — powiedział Satajana. — I bardzo ubolewam. Proszę przyjąć wyrazy mego głębokiego współczucia. Monsieur Estergom był bardzo utalentowanym inżynierem.

— Pan przypuszcza, że to… już koniec? — po chwili milczenia spytał Wallon.

— Sądząc po tym, co pan powiedział, tak… Zrozumiałe, przyjmę go do swojej kliniki, ale nic nie mogę obiecać. Nic. Pana interesuje przyczyna? Trudno powiedzieć. Zdaje się, że zbyt dużo pracował. Możliwe, że to… Ale przecież nikt z nas nie ma na coś podobnego gwarancji… Nikt, panie Wallon. Nie, nie… Mam nadzieję, że dżentelmeńskie porozumienie między nami jest aktualne… Ludzie odchodzą,

problemy zostają. A propos, słyszałem, że Jacques Estergom miał bardzo zdolnego pomocnika. Tak, tak… Więc może on?

Przetłumaczyła Ryszarda Wilczyńska

Dymitr Bilenkin
Marsjański przybój

Cisza, najmniejszego powiewu, a potem — szmer. Tak zaczyna się marsjański przybój. Można godzinami siedzieć u podnóża czerwonych skał, wpatrywać się w bezkresne piaski i słuchać, słuchać. Szelest jest wszędzie i nigdzie. Tak jakby z fioletowego nieba lodowymi grudkami osypywał się półprzeźroczysty szron obłoków. Szklany szmer — bardzo trafna nazwa.

Kiedy szmer milknie, po piasku przebiega drżenie. Ciężko, powoli powstaje fala. Wpełza na suche głazy, zakrywa je i bez pośpiechu zatapia. Wtedy głazy przebijają piasek od dołu. Wrażenie jest takie, jak gdyby falę przeżuwała szczerbata szczęka. Z płaskich kamieni leniwie spełzają strużki piasku. I znowu wznosi się fala.

A dookoła — bezruch. W oddali spokojny piasek i czerwone skały, niewzruszone jak wieczność. Tylko tutaj, tylko w tej zatoce, tylko u samego brzegu toczy się marsjański przybój.

Znaczy to, że gdzieś daleko, w przestworzach piaskowych oceanów rozszalała się taka burza, że jej porywy wstrząsają sypkim podłożem jak trzęsienie ziemi. I właśnie tutaj, w zatoce, kolebania zbiegają się w rezonansie, przybrzeżna mikrostruktura zmienia się, piasek nabiera płynności. Prawdopodobnie tak to właśnie wygląda, nikt wszakże nie zna bliższych szczegółów i nie kwapi się ich poznać — na Marsie, jak na razie, zbyt wiele jest spraw nie cierpiących zwłoki.

Staram się nie opuścić ani jednego przyboju. Siedzę, patrzę, słucham i myślę. Bardzo dobrze myśli mi się, gdy jestem sam ma sam z owym niepowtarzalnym zjawiskiem. Zaciera się poczucie czasu, znikają granice przestrzeni, nie czuję nawet własnego ciała, jestem tylko ja i przybój, i nic więcej.

Teraz brzeg jest pusty. Ale dawniej było tu ludno. Pamiętam owo zaskoczenie ziemskich radiotelegrafistów, gdy poprosiliśmy ich o przysłanie kąpielówek. Ba, znalazł się nawet żartowniś, który nie mógł się wprost doczekać chwili, kiedy naciągnie kąpielówki na skafander, żeby móc zanurzyć się w przyboju. Nowicjusze przylatywali tu kąpać się, aby mieć o czym poopowiadać potem na Ziemi; starych mieszkańców ciągnęła tu tęsknota za wodą — prawdziwą wodą, prawdziwym przybojem, prawdziwym morzem. Nikt nie mógł oprzeć się pokusie.

Owym żartownisiem był oczywiście Wanin. Nie dlatego, że w ogóle z natury był pomysłowy — raczej odwrotnie. Lecz jakże skomplikowane, sprzeczne i nieoczekiwane są nasze postępki, gdy kierują nimi uczucia! Dotyczy to zwłaszcza takich zamkniętych w sobie natur jak Wanin. I jakże dziwnie, a nawet dziwacznie wygląda to wszystko w obliczu marsjańskiego przyboju…

Wypadek z Waninem wstrząsnął wtedy wszystkimi swą pozorną bezsensownością. Dziś historia ta obrosła już legendą, w której tragizm splata się z komizmem, odwaga z lekkomyślnością. Lecz jakże to wszystko jest dalekie od prawdy. A my — z naszymi rakietami, sztucznym białkiem i energia jądrową — jakimiż wciąż jeszcze okazujemy się dziećmi, gdy usiłujemy się domyślać i przewidywać postępki człowieka. Pamiętam nasz pierwszy rekonesans na Marsie. Nie mogliśmy niczego ryzykować, nie mieliśmy prawa ryzykować — każde niepowodzenie byłoby dla nas ogromnym krokiem do tyłu. Mieliśmy przed sobą nieznana planetę, na której wszystko mogło się zdarzyć i niczego nie sposób było naprzód przewidzieć. Dlatego też całe nasze — Dostępowanie było z góry ściśle określone. Żadnego przypadkowego kroku, zawsze i wszędzie asekuracja. Program ostrożności! Przestrzegaliśmy go bezwzględnie. Stąd też na serio dyskutowaliśmy o tym, czy gdy pierwszy z nas będzie miał zstąpić na Marsa, to czy obwiązywać go linką, czy nie? Co prawda, skoro podłoże wytrzymało statek, to utrzyma i człowieka. Mimo to jednak może nagle… Może coś się stać… To nie Ziemia, tylko Mars.

Zachowywaliśmy maksymalną ostrożność i właśnie to pozwoliło nam uniknąć przeróżnych dodatkowych przykrości, które i tak spotykały nas w nadmiarze. Ekipa liczyła sześć osób. A wśród

sześciu osób zawsze ktoś okazuje się tchórzem. Nie w zwykłym znaczeniu tego słowa, bynajmniej. Po prostu zawsze ktoś jest bardziej ostrożny niż reszta. Bardziej niezdecydowany. Bardziej niepewny. Ani warunki, ani liczba osób nie mają tutaj najmniejszego znaczenia. Kiedy przechodzicie przez ruchliwą ulicę we dwójkę, poobserwujcie siebie i swojego towarzysza — nieodmiennie któryś z was okaże się „bardziej”… I nieważne, że zachowania tej osoby w żadnym wypadku nie można nazwać tchórzostwem. W zwykłym rozumieniu tego słowa.

Nasz Wanin także nie był tchórzem w zwykłym znaczeniu tego słowa. Skądże znowu! Na Ziemi, w normalnych warunkach, okazywał się bardziej śmiały niż większość ludzi. Lecz na Marsie…

Jego zachowanie formalnie było bez zarzutu. Nie rzucał się do ucieczki w obliczu niewiadomego, nie popadał w panikę w trudnej sytuacji. Nigdy jednak nie szedł pierwszy tam, gdzie droga nie była rozpoznana. Zawsze stąpał krok w krok za idącymi na czele. Rozumiecie, co mam na myśli?

I nie mógł się zmusić, aby postępować inaczej. Wiedział o tym, próbował to w sobie zwalczyć — ale nie mógł. Nie podejmuję się wytłumaczyć dlaczego: ludzka psychika to wciąż jeszcze wielka niewiadoma. Być może spowodowała to — niezwykłość warunków, a może owe nieustanne upominania — „bądźcie ostrożni”, „bądźcie ostrożni”… Czy wiecie, jak trudno jest iść po Marsie na czele grupy?! Co będzie, jeśli nagle rozstąpi się podłoże, albo stanie się coś takiego, co spowoduje, że zginiesz? Takie właśnie idiotyczne myśli przychodzą człowiekowi do głowy. Wszak Mars to nie Ziemia…

Tak… Nikt nie czynił Waninowi wyrzutów, nikt, prócz niego samego. A później i my także zaczęliśmy sobie pokpiwać z tej jego superostrożności. Było to już wtedy, gdy Mars przestał nam się wydawać tajemniczy, gdy przyzwyczailiśmy się i raczej odczuliśmy sercem, niż zrozumieli rozumem, że marsjańska przyroda nie jest bardziej podstępna od ziemskiej, a może nawet odwrotnie. Ostatnim, który to zrozumiał, był Wanin. A nasze żarciki raniły go.

Czy ponosimy za to winę? Gdy oglądam się za siebie, myślę, że jest to oczywiście możliwe. No a tak z ręką na sercu? Jesteśmy ludźmi wesołymi. Bez poczucia humoru nie sposób wyobrazić sobie naszej pracy — człowiek spaliłby się od zbyt silnego napięcia. A żart — potwierdza to całe moje doświadczenie — to jak klapa bezpieczeństwa. Pośmiejesz się i zaraz robi ci się lżej na sercu.

Przypominam sobie teraz po kolei wszystkie nasze docinki: nie, na pewno nie miały w sobie nic obraźliwego. Kiedy dokładnie w tym samym stylu pokpiwaliśmy z siebie nawzajem, chichotali wszyscy — i „obrażający”, i „obrażany”. Śmiał się także Wanin, kiedy mu się dostawało. Śmiał się bardzo naturalnie, lecz dopiero teraz wiem, że jego śmiech nie płynął prosto z serca… Gdzieś w podświadomości na pewno dźwięczało mu: „tchórz”.

I właśnie w tym okresie, kiedy my pozbyliśmy się już nieśmiałości, a Wanin jeszcze nie, nastąpiło odkrycie marsjańskiego przyboju. A odkrył go — o dziwo — Wanin.

Było to tak.

Zbliżaliśmy się do tych oto czerwonych skał od strony piasków. Szklany szelest poprzedzający przybój słyszalny jest tylko w ich pobliżu, lecz nim podeszliśmy do nich, umilkł, toteż byliśmy zupełnie nie przygotowani na to, co się miało stać.

Wanin, jak to zwykle on, szedł z tyłu, stąpając krok w krok po śladach (zazwyczaj starał się trzymać środka; tak było jeszcze wtedy, gdy poruszaliśmy się tylko gęsiego, teraz jednak szliśmy ciasna gromada i Waninowi chcąc nie chcąc przyszło trzymać się tyłów).

Wydostaliśmy się na brzeg, Waninowi zaś pozostało jeszcze kilka kroków, gdy nagle piasek zakołysał się. Stało się to tak nieoczekiwanie, że Wanin upadł. Chciał się podnieść, lecz nogi utonęły mu w piasku. Zdołał się powstrzymać i nie krzyknął, lecz widzieliśmy, jak twarz mu pobladła. Podczas gdy gorączkowo rozplątywaliśmy linę, gdy rzucaliśmy mu ją, przybój kilka razy zanurzył Wanina w piasek i Wanin zrozumiał, że nie ma w tym nic strasznego. Piasku w obrębie przyboju w żadnym razie nie można nazwać grząskim. Niemal wszędzie da się stanąć i namacać twarde dno. Przyczyna prawdopodobnie leży w tym, że koło skał jest bardzo płytko i piasek w głębi nie może stać się sypki.

Wanin szybko zorientował się, o co tu chodzi (jeszcze jeden dowód, że tchórzem w zwykłym rozumieniu wcale nie był). Nie dał się wyciągnąć, lecz wylazł sam, trzymając się liny ot tak, po prostu na wszelki wypadek.

A kiedy i my zrozumieliśmy, że nic tragicznego w tej sytuacji nie było, nie mogliśmy powstrzymać się od śmiechu na wspomnienie niezgrabnych ruchów Wanina i jego zmieszanej fizjonomii. Jak wy byście przyjęli ten śmiech? Prawdopodobnie w końcu sami zaczęlibyście z siebie żartować. Tymczasem Wanin „kurni". Wydało mu się, że oceniliśmy jego zachowanie jako tchórzliwe. Nie miał ku temu żadnych podstaw, bo każdy z nas — jestem tego pewny — przestraszyłby się. gdyby podłoże nagle zaczęło uciekać mu spod nos. Lecz Wanin — jak już mówiłem — boleśnie przeżywał swoją jak sadził „niepełnowartościowość". I wtedy na serio poczuł się ciężko obrażony. Uznał, że nasze żarty są w najwyższym stopniu niesprawiedliwe, bo po pierwsze — zachował się dzielnie, a po drugie — przybój to jego odkrycie. Bezspornie jego! (Temu, kto trzyma się środka, zwykle bywa łatwiej, lecz i sukces przychodzi znacznie rzadziej.) Tymczasem spotyka go śmiech.

I Wanin żarliwie zaczął udowadniać to, czego nie można było udowodnić — że wcale, ale to wcale się nie przestraszył, a jeśli nie wstawał to tylko dlatego, że chciał lepiej zbadać zjawisko.

— A poza tym, powiem wam, choć i tak tego nie zrozumiecie, że kąpiel w przyboju jest bardzo miła — oznajmił.

Nie uwierzono mu.

Wówczas Wanin, nim zdołaliśmy go powstrzymać (nikt się tego nie spodziewał!), rzucił się w przybój, legł pod falą, a jego twarz przybrała wyraz najwyższej rozkoszy.

— Młodzieńcze! — wrzasnął kapitan, tupiąc nogą. — Natychmiast z powrotem!

Wylazł, uśmiechając się od ucha do ucha: udowodnił!

Przez chwilę oburzaliśmy się jego postępkiem, lecz i nas to zainteresowało. A gdyby tak spróbować?

Z pełną asekuracją, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności dwóch z nas weszło w przybój. I czy uwierzycie — to rzeczywiście było przyjemne! Zdawało się nam, że leżymy nieruchomo, a kołyszą się skały, horyzont i niebo z nielicznymi gwiazdami w zenicie. Miarowe, usypiające kolebania i jednocześnie uczucie powolnego lotu, nie wiadomo gdzie — w górę czy może w dół. Wrażenie jedyne w swoim rodzaju!

A potem nieodmiennie pełznie ku tobie fala, pogrążasz się, i to wygląda strasznie, zaczynasz się szamotać, aby utrzymać się na powierzchni, walczysz z zapałem, chociaż z góry wiadomo, że nic złego ci się nie stanie.

Aby zrozumieć, co to jest marsjański przybój, trzeba samemu tego doświadczyć. Trudno to opisać, a to z tej prostej przyczyny, że na Ziemi nic podobnego nie ma. Trzeba samemu przeżyć ten lot donikąd, owo powolne pogrążanie się w piasku, żeby poznać magnetyczną siłę przyboju.

Tak więc wraz z tym odkryciem Wanin stał się bohaterem. Nie wystarczała mu jednak nasza wdzięczność. Chciał się jeszcze raz i jeszcze raz upewnić w swej wartości, obalić to, co tak wyolbrzymiła jego wyobraźnia. Na Marsa przybywali wciąż nowi ludzie, zawożono ich do przyboju, a pokazywał go — ma się rozumieć — Wanin, jego odkrywca i badacz. Zresztą, prawdę powiedziawszy, tę niewielką ilość wiadomości, jakie mamy o naturze przyboju, zawdzięczamy wyłącznie Waninowi. Dla niego wszakże znacznie ważniejsze było coś innego — wrażenie.

I wrażenie to było wspaniałe! Wyobraźcie sobie grupę nowicjuszy, jeszcze zalęknionych i niepewnych, spodziewających się Bóg wie jakich cudów. I wraz z nimi Wanina — doświadczonego, spokojnego tubylca, który wszystko wie i dla którego wszystko to fraszka. Odprowadzany zachwyconymi spojrzeniami, nagle opuszcza się z brzegu, wychodząc na spotkanie groźnej, tajemniczej fali, kładzie się na niej, płynie. A potem następował jego koronny numer: Wanin dawał się zasypać. Mało komu udawało się powstrzymać mimowolny okrzyk przestrachu, kiedy piasek całkowicie zakrywał człowieka. Wanin

znikał, a nad mogiłą pochłoniętej ofiary toczyły się fale — chłodne, niespieszne, obojętne. Cisza, spokój, bezdźwięczny ruch piasku, nad ponurą równiną kopuła fioletowego nieba. Mijają minuty, a Wanina nie ma i nie ma — zginął, utonął.

Wybuchała panika. My zaś — jeśli któryś z nas był przy tym obecny — staraliśmy się nie psuć” mu efektu i robiliśmy zatroskane miny. Tym większe było wszystkich zdumienie, kiedy Wanin nagie wstawał spod piasku.

To także była jego sztuczka. Właśnie on wykrył, że nawet dwumetrowa pokrywa piasku nie przeszkadza powstać z mogiły człowiekowi ubranemu w skafander wyposażony w hydrowspomagacze. Umożliwia to po prostu panująca tu mniejsza siła ciążenia niż na Ziemi… Zresztą piasek nie mógł wciągnąć człowieka zbyt głęboko; Wanin sprawdził to dokładnie i przekonał się, że pod piaskiem można przebywać godzinami, póki nie wyczerpie się tlen w butli. Nowicjusze nie mieli jednak o tym zielonego pojęcia.

W głębi duszy byliśmy nawet dumni z „efektu Wanina” i z niecierpliwością oczekiwaliśmy każdego kolejnego przedstawienia. Co prawda, kapitan zrzędził i radził Waninowi skończyć z tymi głupstwami, wynikało to jednak nie stąd, iż przewidywał, że może się stać coś złego, lecz z zamiłowania do porządku. Wanin, oczywiście, nic sobie z tego nie robił — to był jego przybój, pokazowe kąpiele stanowiły jego chlubę i ani w głowie mu było rozstawać się z laurami. Podobnie jak niekiedy zasłużony naukowiec szczyci się nie tyle swymi wspaniałymi osiągnięciami, co umiejętnością robienia pięknej stójki na głowie. I zrozum tu naturę ludzką. Zresztą sam kapitan także nie odmawiał sobie przyjemności wykąpania się…

W rezultacie wyleciała nam z głowy jedna prosta prawda, że człowiek, który wie, że źle pływa, ma niewielkie szansę na utoniecie, ponieważ jest ostrożny. Niewielkie jest także ryzyko dla dobrego pływaka. Najczęściej zaś giną — i to głupio giną — ludzie, którym się wydaje, że już nauczyli się dobrze pływać, podczas gdy w rzeczywistości wcale tak nie jest.

I oto z biegiem czasu nad naszymi głowami zawisła ciemna chmura. Dotąd wszystko szło pomyślnie, i to nas ośmieliło. Ale Mars nie został jeszcze opanowany, to tylko nam tak się wydawało. Nie znaczy to, że zaczęliśmy go całkowicie lekceważyć. Ale żyć w nieustannym oczekiwaniu, że może stać się coś złego, stale zachowywać pełną ostrożność, kiedy wszystko jest w porządku, wszędzie cisza i spokój — to po prostu nie do pomyślenia. Przy sposobności możecie sprawdzić to na sobie.

Dzień otrzeźwienia, jak zwykle, przyszedł nieoczekiwanie. Na Marsa przyleciała nowa grupa. Wśród nowicjuszy były dwie dziewczyny.

Zawieziono ich, aby obejrzeli przybój. Wanin zacierał ręce z radości. Czego to on nie wyczyniał! Przeszedł samego siebie. Raz po raz rozlegały się achy i ochy dziewcząt wpatrujących się w niego z zachwytem, który — Wanin nie miał co do tego żadnych wątpliwości — po numerze koronnym powinien przejść w uwielbienie.

Domyślacie się, oczywiście, co zdarzyło się potem. Wanin dał się zasypać. Minęło dziesięć minut, pół godziny… a on się nie pojawiał! Zaczęliśmy się trochę denerwować, lecz nie podejmowaliśmy żadnych kroków. Głupota? Niezupełnie. Wanin zanurzał się w przybój u dziesiątki razy, zanurzaliśmy się i my. Powietrza miał na kilka godzin. Na brzegu stały dziewczęta… Było więc dla nas jasne, że tym razem Wanin będzie przeciągał czas ponad zwykłą normę. Na jakich wyjdziemy durniów, jeśli poleziemy go wyciągać, a on tymczasem wyskoczy z chichotem jak diabeł z pudełka? Tak więc czas mijał. Przeklęty strach przed „śmiesznością! W końcu wleźliśmy jednak do przyboju, aby zobaczyć, o co tutaj chodzi, a pozostałym na brzegu wyjaśniliśmy, że nam też zachciało się wykąpać. Zrozumiałe, że postawiwszy się w tak niedorzecznej sytuacji, mogliśmy szukać Wanina w falach tylko ukradkiem.;Nie potrzebuję wam chyba mówić, że go nie znaleźliśmy.

Wtedy już trzeba było odrzucić fałszywy wstyd. Czy zdarzyło się wam kiedyś kopać w błotnistym ile? Jeśli tak, to macie pewne wyobrażenie o tym, jak czuliśmy się.

Wanina odnaleźliśmy dopiero wtedy, gdy przybój się skończył i piasek znowu stał się spoisty. Tymczasem jednak Wanin już się udusił. Zaciągnęło go pod skałę i nie mógł się wydostać, gdyż uniemożliwiał mu to ruch fal.

Niedorzeczny przypadek, który równie dobrze mógł spowodować śmierć każdego z nas? Niedorzeczny — zgoda. Lecz w tym, że pierwszą ofiarą Marsa był Wanin, widzę pewną prawidłowość. Na dnie przyboju przypadek czyhał na każdego z nas, lecz szans na to, by wpaść w tę pułapkę, Wanin miał nieporównanie więcej: śmielej i częściej niż my wszyscy razem wzięci właził w przybój. Szukał w nim potwierdzenia własnej wartości. Lazł, ponieważ nowicjusze widzieli w tym odwagę. Była to jednak fałszywa odwaga, opierała się bowiem na przekonaniu, że nie nią żadnego niebezpieczeństwa. — A odwaga i złudzenie — to dwie rzeczy wzajemnie się wykluczające, oto dlaczego właśnie wszystko skończyło się tak niedorzecznie i „głupio.

Gdyby komuś moje wyjaśnienie tego, co się stało, wydało się mylne, nie będę się spierał. Przedstawiłem fakty, a często bywa, że splot okoliczności, jakie popychała nas do takiego czy innego czynu, może być interpretowany w całkiem odmienny sposób.

Nie w tym rzecz. Patrzę na przybój, na przetaczanie się ciężkich bałwanów, obojętnych i nieczułych, i myślę. Teraz nikt już nie kąpie się w przyboju. Ale będą się kąpać, kiedy Mars zostanie zagospodarowany — to nieuniknione. Kiedy wszystko dojdzie do normy, wszystko będzie już wiadome, a na każdym skrawku tej planety wyznaczona zostanie dokładna granica pomiędzy tym, co bezpieczne, a tym, co niebezpieczne, między śmiałością a tchórzostwem, między brawurą a odwagą. Tak będzie. Lecz kto wie, czy i w przyszłości nie będzie do tego potrzebny Wanin?

Przetłumaczyła Aleksandra Orman

Olga Łarionowa
Nad morzem, gdzie kończy się ziemia…

Kiedy do powierzchni zostało około półtora tysiąca kilometrów, Sergiusz Wołochów jeszcze nie potrafił powiedzieć z pewnością, czy planeta jest zamieszkana. Trzy niewielkie satelity, obok których przemknął, czyniły wrażenie sztucznych, ale i w tym wypadku nie miał żadnej pewności.

Przede wszystkim musiał wylądować, a potem się zobaczy.

Wołochów rozkazał swojemu cybernetycznemu dublerowi oblecieć trzykrotnie planetę, a następnie wodować na oceanie w strefie równikowej. Zrobił to na wypadek, jeśli coś mu się przydarzy, a statek będzie jeszcze zdolny" wykonywać rozkazy automatu. Różne rzeczy mogą się przecież wydarzyć w trakcie lądowania na planecie, wprawdzie do złudzenia przypominającej Ziemię, ale jednak obcej, nieznanej, może wrogiej, zwłaszcza wtedy, gdy jest to pierwsze lądowanie pilota, jeśli nie liczyć jego ćwiczebnych przymusowych lądowań na Reginie-bis. Kiedy w dodatku nie działa wykrywacz meteorytów i urządzenia łącznościowe, a statek zaleciał daleko, niesłychanie daleko, tak daleko, jak nikt dotąd — w siódmą strefę zasięgu, podczas gdy dotychczasowym rekordem była strefa szósta.

Statek leciał wzdłuż ciasnej spirali i choć nie zrobił jeszcze nawet jednego pełnego okrążenia, Wołochów wiedział już, gdzie spróbuje wylądować. Właśnie tam, na zachodnim skraju lądu równikowego. Tam, gdzie żółty jęzor pustyni wypełza nad ocean, rozpychając wąskie zielonkawe pasemko roślinności nadbrzeżnej. Bardzo wygodne miejsce.

Jeśli ci, którzy żyją tam, w dole, nie mają jeszcze kosmodromów, trzeba będzie im doradzić, żeby pierwszy wybudowali właśnie tam.

Wołochów uśmiechnął się pod wąsem — ach, te kontakty, te kontakty upragnione i wymarzone przez słuchaczy pierwszych lat szkół nawigatorów kosmicznych. Ci smarkacze tak to sobie właśnie wyobrażają: wylądują i natychmiast wspólnym wysiłkiem zaczną budować kosmodrom… Ale przecież najpierw, trzeba wylądować.

Wołochów poruszył się w fotelu, sprawdzając po raz ostatni, czy ma dokładnie dociągnięte pasy, i gwałtownie rzucił aparat w dół. Nie ma sensu krążyć, kiedy już teraz można siadać.

Planeta była jak marzenie, nie miała nawet jednego pierścienia radiacyjnego, i przykro byłoby teraz, kiedy do jej powierzchni zostało niewiele kilometrów, narwać się na jakieś paskudztwo. Teraz, kiedy statek wolno wchodzi w noc upstrzoną kleksami świateł wielkich miast.

Masz ci los! — pomyślał nagle Wołochów. — To przecież naprawdę są miasta! Ogromne, precyzyjnie zaplanowane, syte energii miasta! Ładnie bym wyglądał, gdybym władował się na nocną stronę bez zapasu wysokości. Trzeba wygramolić się na światło, i to jak najszybciej, bo radiolokatory poszły w drobny mak.

Wyskoczył poza linię terminatora i natychmiast poprowadził statek w dół. Zaraz powinien pokazać się ten wypatrzony w trakcie poprzedniego okrążenia jęzor pustyni. Zeszedł na trzy tysiące metrów i wolno poleciał nad lądem, który tutaj wyglądał na zupełnie bezludny.

Wszystko znakomicie się składało: wyląduje w zapadłym kącie, spokojnie naprawi swoje radiolokatory i aparaturę łączności międzyplanetarnej. Wtedy z pewnością odnajdą go tubylcy, którym doradzi, aby pierwszy tutejszy kosmodrom zbudowali na tym wąskim paśmie piasku rozcinającym na dwoje zarośla nad brzegiem oceanu.

Zmniejszył szybkość. Jeśli tubylcy maja jakieś aparaty latające, to z pewnością zechcą powitać go już w powietrzu, choćby po to, żeby wskazać mu drogę do lądowania. Tak w każdym razie postąpiliby ludzie. Inna rzecz, że wykryć mogły go tylko radary, bo nad pustynia wisiała dosyć gęsta mgiełka. Sztuczny klimat? Hm…

Wołochów zerknął na martwe ekrany wykrywaczy i przełączył lasery przeciwmeteorytowe na ręczne sterowanie. Na wszelki wypadek. I opadł o dalsze pięćset metrów.

Cienka opona mgiełki została nad nim i wtedy Wołochów zrozumiał, że masyw żółtawego piasku, rozciągający się pod nim, w żadnym razie nie był pustynia. Przede wszystkim pokrywały go niezliczone ciemne linie, niewyraźne i rozmyte. Wąwozy lub kanały. Skomplikowany, geometryczny rysunek, w jaki się układały, nie pozostawiał najmniejszej wątpliwości, że były sztucznym tworem. A między nimi rozciągał się nie piasek, lecz żółtawa roślinność przypominająca trawy na ziemskich sawannach. Cały ląd pokryty plantacjami! O ładowaniu tutaj nie może być nawet mowy. Trzeba będzie dociągnąć do oceanu i najprawdopodobniej siadać na wodzie.

W oddali zarysowała się na horyzoncie zielona linia brzegu i Wołochów włączył antygrawitatory. Aparat zaczął wolno opadać i pilot zrozumiał, że i tym razem się pomylił: leżała pod nim nie sawanna, lecz gigantyczne miasto pokrywające cały ląd. Niewysokie, dziwaczne w kształcie budynki, przypominające z lotu ptaka hieroglify, łączyły się ze sobą. Ale nie to zbiło go z tropu, lecz jakaś fantastyczna wisząca osłona pokrywająca owe domy, oplatająca ulice i place, zlewająca się z nienagannymi prostokątami bladożółtych ogrodów. To bez wątpienia była jakaś niesłychanie żywotna, światłolubna forma roślinności. Niewątpliwie pokrycie całego lądu taką żywą markizą byłoby znakomitym pomysłem, gdyby…

Gdyby to nie oznaczało zdziczenia, zniszczenia w martwym mieście. Złota dżungla na gruzach cywilizacji… Wołochów parsknął ironicznie i zwymyślał siebie w duchu za czcze fantazje. Teraz trzeba było myśleć o lądowaniu i tylko o lądowaniu. Zagadki martwych lądów będą badać ci, którzy przylecą tu po nim, i to tylko w tym wypadku, jeśli on zdoła pomyślnie posadzić statek na tej zielonej równinie i zdoła naprawić aparaturę łączności dalekosiężnej. Znów zwiększył szybkość, żeby jak najprędzej znaleźć się nad oceanem, lecz nieskończona szmaragdowa łąka wciąż ciągnęła się pod dnem jego maszyny. Zaczął się już zastanawiać, czy nie skręcić ostro na południe, gdy nagle zobaczył białe pasemko przyboju i zastygłe w niewidzialnym z góry ruchu ciemnopopielate fale.

Wołochów wylądował o jakieś sto metrów od linii przyboju. Chyba z pół godziny nie ru462 szał się z fotela, obawiając się, że grunt pod Statkiem zacznie osiadać, ale aparatura uparcie stwierdzała nienaganną wytrzymałość podłoża, nienaganny skład powietrza i w ogóle nieprawdopodobne mnóstwo wszelkich innych nienaganności. Wyglądało na to, że planeta postanowiła być przyzwoita do końca. Nie spiesz się, powiedział do siebie Wołochów, akurat teraz musisz być rozsądny. Sądząc ze wskazań aparatury, mógłby wyjść na zewnątrz bez skafandra i tak by zresztą zrobił, gdyby nie był na statku sam. Ale skoro lądowanie poszło tak gładko, nie chciał ryzykować, chociaż przyrządy pokładowe utrzymywały zgodnie, że ryzyko jest równe zeru. Ale strzeżonego…

Jeszcze raz rozejrzał się po sterówce, wyłączył oświetlenie i wyszedł do komory śluzowej. Tam, za tytanitową pokrywą zewnętrzną włazu, wszystko jest w jak najlepszym porządku — powtarzał w duchu, przymierzając kombinezon biologiczny. To jest zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe… Odłożył kombinezon i wyjął z szafki syntery klonowy skafander. Elastyczna tkanina skafandra była miękka i pozornie nietrwała, ale Wołochów wiedział, że ani palnik acetylenowy, ani ultradźwiękowy nóż, ani bezpośrednie wyładowanie lasera nie były w stanie przebić tego półprzeźroczystego materiału. W miejscu złączenia hełmu z kołnierzem skafandra znajdował się sztywny pierścień uszczelniający. Wołochów dokładnie sprawdził połączenie. Było nienagannie hermetyczne, ale Wołochów kontrolował je jeszcze wielokrotnie, zanim nie uwierzył w swoje absolutne bezpieczeństwo.

Jego statek nie był kutrem desantowym, lecz tylko malutkim, solidnym stateczkiem zwiadowczym systemu Kołyczowa, zdolnym co najwyżej do lądowania na planetach typu ziemskiego. Nie miał na pokładzie żadnego pojazdu terenowego, wiec Wołochów postanowił w ogóle nie odchodzić od statku, tylko postać chwilę na obcej planecie i wrócić do jego wnętrza. W końcu kto na jego miejscu potrafiłby sobie tego odmówić? Dlatego też nie uruchomił windy zewnętrznej, tylko po prostu wyrzucił awaryjny

trap i po nim zszedł na powierzchnię planety, która go przygarnęła.

A ta powierzchnia była niczego sobie. Ciekawa. Bo w końcu nie co dzień spotyka sio ogromne wydmy usypane z drobniutkich szmaragdów. Wyspa skarbów! Dokoła leżą hałdy klejnotów — pomyślał Wołochów — i wszystkie te klejnoty należą do mnie. To oczywiście nie są prawdziwe szmaragdy, ale związków miedzi w tym minerale z pewnością jest pod dostatkiem. A jaki współczynnik załamania światła! Aż oczy bolą od patrzenia… Trzeba tylko uważać z tutejsza woda, bo tyle miedzi to nie żarty. W dodatku musi być całe mnóstwo rud polimetalicznych… Aż dziw bierze, że przy takim bogactwie nie wymyślili choćby najprostszego aparatu latającego. Przy takim bogactwie i przy takich miastach… Nie szkodzi, jeszcze zbudujemy im ogromne zakłady hutnicze. Trzeba tylko najpierw zreperować radiostacje o zasięgu międzyplanetarnym.

Wołochów już odwracał się. żeby wrócić na statek, gdy zobaczył na wydmie od strony oceanu bosonogą dziewczynkę. Biegła w jego stronę zapadając się po kostki w szmaragdowym piasku. Cały jej strój składał się z dwóch kawałków białej tkaniny, spiętej na ramionach kamieniami, za które na średniowiecznej Ziemi oddanoby bez namysłu połowę królestwa. Sukienczyna była przewiązana paskiem plecionym z traw. Na Ziemi można by dziewczynie dać jakieś piętnaście lat.

Zatrzymała się o krok od niego i powiedziała coś cieniutkim, poirytowanym głosikiem. Wołochów uśmiechnął się, a dziewczynka znów zaczęła mówić. Teraz były wymawiane wolno poszczególne słowa, a każde z nich brzmiało pytająco. Najprawdopodobniej pytała, kim jest i skąd przybył.

— Z gwiazd — powiedział Wołochów i pokazał ręką w górę. Dziewczynka popatrzyła tam i zmarszczyła czoło, najwyraźniej coś sobie przypominając.

— Zenzi? — zapytała niepewnie.

Wołochów nie wiedział, co ma zrobić. „Zenzi” mogło oznaczać ducha lub bóstwo, a może dziewczynka po prostu usiłowała powtórzyć jego własne słowa i niechcący je zniekształciła. Nie wiedział, jak ma jej wytłumaczyć, żeby zawołała kogoś dorosłego. Przecież nie mogła samotnie spacerować po tym pustynnym brzegu. Dziewczyna jednak z uporem dziecka usiłowała sama zrozumieć, kim jest ten dziwny człowiek, ubrany od stóp do głów w taki potworny upał. Wytrwale i dobitnie, jakby rozmawiała z lalką, powtarzała dwa słowa. Prawdopodobnie były to te same dwa słowa, choć za każdym razem wypowiadała je w innym języku. I tak chyba z dziesięć razy. Dziewczynka znająca dziesięć języków?… Nie, coś się tu nie zgadza.

Monolog najwyraźniej się dziecku znudził. Dziewczyna z irytacją machnęła ręką i nagle objęła Wołochowa za szyję. Wołochów zdrętwiał ze zdumienia. Miała wilgotne palce i pod ich dotykiem synteryklon skafandra kosmicznego zaskrzypiał jak pocierane szkło.

Wołochów poczuł nagle, że gorące, wilgotne powietrze wdziera się pod hełm. Mimowolnie poderwał ręce do góry, ale dziewczynka uprzedziła go: uniosła się na palcach i zdjęła mu hełm z głowy.

Wołochów dotknął skafandra. Wyczuł cienką, podatną tkaninę, a wyżej sztywny kołnierz, który rozłącza się tylko pod wpływem specjalnego impulsu. Kołnierz jednak był cały, natomiast jeszcze wyżej wymacał ostrą krawędź rozciętego synteryklonu. Synteryklon, który opiera się diamentowi i laserowi.

— Co ty masz w ręku? — krzyknął Wołochów, zapominając zupełnie, że dziewczynka nie może go zrozumieć, i śmiesznie zadzierał brodę, żeby nie skaleczyć się o stwardniałą na linii rozcięcia tkaninę skafandra.

— M? — zapytała.

— Ręce! — krzyknął znów Wołochów i pokazał jej swoje ręce odwrócone dłońmi do góry.

Dziewczynka popatrzyła na nie z zainteresowaniem, a potem dokładnie takim samym gestem wyciągnęła przed siebie swoje rączki.

Nic w nich nie miała.

— Ręce! — powiedziała nagle wyraźnie i rozkazująco. — M?

Uniosła do góry jedną rękę.

— Ręka — powiedział Wołochów. — Jedna ręka.

Dziewczynka kiwnęła głową, potem uniosła rękę do ust i pośliniła palec. Wołochów nie zdążył się nawet obejrzeć, gdy jego skafander rozcięty błyskawicznym dotknięciem palca wolno otworzył się i zaczął opadać na ziemię. Wołochów strząsnął go z nóg i zostawił na piasku.

— M.-m — powiedziała z zadowoleniem dziewczynka. — Ręka. Ręce.

— Noga — odważył się Wołochów — nogi. Głowa, oko, usta, nos.

Dziewczyna wszystko to poważnie powtarzała.

Wołochów rozejrzał się dokoła.

— Skafander — powiedział, wskazując strzępy synteryklonu. — A właściwie to, co zostało ze skafandra.

Dziewczynka skrzywiła się, a potem znów przybrała ów skupiony wyraz twarzy, jaki miewają grzeczne dziewczynki grające dorosłe przed swoimi lalkami. Wyciągnęła rękę i Wołochów spłoszył się, że ma zamiar jeszcze coś z niego zdjąć. Ale ona po prostu dotknęła jego włosów i spojrzała pytającym wzrokiem.

— Włosy — wymieniał Wołochów. — Ucho… koszula… palec. Szyja… sznurowadło… zegarek…

Już za nim nie powtarzała. Jej ręka szybko i pozornie bezmyślnie przeskakiwała z przedmiotu na przedmiot, na żadnym z nich nie zatrzymując się dwukrotnie. Wkrótce części ciała i skromne odzienie zostało nazwane, ale Wołochów nie miał odwagi sprawdzić, czy dziewczynka zapamiętała tę lekcję. Wciąż się zastanawiał, w jaki sposób wytłumaczyć jej, żeby przyprowadziła dorosłych, ale nic nie potrafił wymyślić. Może po prostu należało ją odpędzić, a wtedy chcąc nie chcąc wróci tam, skąd przyszła i naturalnie wszystko opowie. Ale zabawa z nieznaną istotą najwidoczniej bardzo się dziewczynce spodobała, więc Wołochów uznał, że musi kontynuować grę, a potem się zobaczy.

— Stać — powiedział i wyprężył się na baczność.

— Siedzieć — powiedział i usiadł na piasku.

— Leżeć — i zademonstrował.

Dziewczynka patrzyła na niego z lekko pochyloną głową. Potem nagle pokazała paktem siebie, jego i znów mruknęła pytająco:

— M?

Wołochów wstał. Nie rozumie. Tego dziewczynka nie rozumie. Strząsnął piasek z kolan i na wszelki wypadek powiedział:

— Otrzepać się. — Poskrobał się w głowę, a ona znów mruknęła pytająco. — Nie, nie, nic ci nie demonstruję, tylko po prostu zastanawiam się.

— M! — powiedziała gniewnie. Zdaje że wpadała w gniew za każdym razem, coś powiedział, nie pokazując przy tym jestem znaczenia słów, czyli krócej mówiąc, łamał zasady gry.

Postanowił podjąć ostatnią próbę.

— Iść — powiedział i zrobił parę kroków po zboczu wydmy. — Biec.

Zaczęła biec obok niego. Do brzegu było całkiem blisko. Piaszczyste wzgórza zasłaniały go, a on był tuż obok.

— Ocean — powiedział Wołochów, wyciągając rękę przed siebie. Dziewczynka znów się rozgniewała.

— O co ci chodzi? — zapytał Wołochów. — Zdaje się, że nie popełniłem żadnego błędu. To naprawdę ocean. W naszym języku.

Dziewczynka parsknęła jak rozwścieczona kotka i zaczęła wymachiwać rękoma. Potem demonstracyjnie przeszła się tam i z powrotem.

— A — powiedział Wołochów — jestem niekonsekwentny. Ostatnio przerabialiśmy przecież czasowniki. Iść. Ja idę — zrobił dwa kroki — ty idziesz — wskazał ją palcem. — My idziemy — uczynił gest zbliżający ich, łączący niejako w całość.

Zatrzymała się.

— Stać — powiedziała opuszczając ręce i zabawnie unosząc podbródek.

— M?

— Ja stoję, ty stoisz, my stoimy — powiedział Wołochów wymachując ręką.

— M — powiedziała z satysfakcją. — Ja siedzę, ty siedzisz, my siedzimy. Skafander?

— Skafander leży — odparł Wołochów. Po tym, co zrobiła ze skafandrem, już niczemu się nie dziwił. — On leży.

— Ja, ty, my, on. Ty — m? Wołochów zrozumiał.

— Wołochów — powiedział. — Ja jestem Wołochow.

— Firat — odpowiedziała.

Odwróciła się i poszła w stronę wody. Usiadła tak, że bose nogi sięgały wilgotnego, zwilżonego przez fale piasku. W zagłębieniu wokół pięt zaczęła zbierać się woda.

Wołochów usiadł obok niej. Coś się zmieniło. Zmieniło się w tym samym momencie, gdy powiedziała swoje imię. Przedtem Wołochów myślał tylko o tym, że musi naprawić radiostację, że powinien wytłumaczyć dziewczynie, iż pragnie rozmawiać nie z nią, lecz z dorosłymi tubylcami, wobec czego powinna pójść sobie i jak najprędzej ich zawołać.

Poza tym starał się nie myśleć o porozcinanym skafandrze. A teraz z niejakim zdumieniem stwierdził, że radiostacja może spokojnie poczekać, a rozmowa z dorosłymi tubylcami, rozmowa wedle precyzyjnego programu, którą należy odbyć w koszmarnym żargonie, będącym nieprawdopodobną mieszaniną wszystkich ziemskich języków i wyższej matematyki, żargonie zrodzonym w bólach przez niezliczone laboratoria teoretyków „pierwszego kontaktu", też jest nieważna i też może poczekać.

A rzeczą najważniejszą i najbardziej interesującą jest piąstka Firat, w której coś zaciskała. Piąstka otworzyła się powoli — na dłoni leżała garstka zielonkawego piasku.

— Piasek — powiedział rozczarowany Wołochów. Spodziewał się czegoś niezwykłego i teraz był na siebie zły za to oczekiwanie cudu.

Firat szybko zacisnęła piąstkę i znów ją otworzyła. Piasek widocznie przesączył się przez palce i na dłoni został ukryty dotychczas pod nim kamyk. Zwyczajny, szary kamyk.

— Kamień — Wołochów zrozumiał, że to po prostu dalszy ciąg lekcji.

Firat jeszcze raz zacisnęła i otworzyła piąstkę. Tym razem na dłoni zamiast kamyka leżała muszla.

Wołochów spróbował uwierzyć, że ta muszla znajdowała się wewnątrz kamienia, i Firat zaciskając piąstkę oczyściła ją z miękkiego piaskowca. Zresztą na tym brzegu było łatwo uwierzyć we wszystko.

Ale jednak kamień był znacznie mniejszy od muszli. Rozkazał sobie nie dziwić się niczemu, więc nie zdziwił się, kiedy na dłoni zamiast muszli pojawił się martwy, wysuszony krab, strzępek niebieskiego wodorostu i wreszcie malutka złota rybka z rozedrganymi ze strachu płetwami. Nazwał ją tak właśnie — „złota rybka", a Firat natychmiast przekształciła ją w czarną, a potem w białą. Rybka cierpliwie przybierała kolejno wszystkie barwy tęczy i w nagrodę została wypuszczona do morza. Później nadeszła kolej malutkich, nie większych od palca ludzików. Te kanciaste postacie o umownych kształtach w niczym nie przypominały Tomcia Palucha z dziecięcych marzeń.

Firat wygładziła fałdy sukienki i wysypała ludzików na kolana. Ludziki zaczęły się krzątać, a Wołochów komentował ich czynności. Firat niczego nie powtarzała, tylko od czasu do czasu wskazywała palcem którąś z figurek. Jeśli istotnie zapamiętywała każde jego słowo, to musiała już sporządzić sobie niewielki, ale za to nader dziwaczny słowniczek ziemszczyzny.

A może nic nie zapamiętała? Może po prostu pokazywała mu swoje zabawki?

A jeśli zapamiętywała jego język, to czemu ani razu nie spróbowała zapoznać go ze swoim?

Ta chwila refleksji wystarczyła aby Wołochów poczuł nieludzkie wręcz zmęczenie. Zrozumiał nagle, że już straszliwie długo siedzi na tym pustynnym brzegu, wprowadzony w błąd powolnym biegiem tutejszego słońca, które wciąż jeszcze leniwie gramoliło się ku zenitowi, podczas gdy w domu, na Ziemi

już dawno zapadłby wieczór.

Przesunął ręką po czole. To przecież szaleństwo spędzić tyle godzin pod palącym słońcem, i to w dodatku słońcem o nieznanym widmie promieniowania.

— Upał — powiedział, zwracając się do Firat. — Trzeba iść w cień. Cień — powtórzył, wskazując błękitnawą sylwetkę rozciągniętą na piasku.

Firat uważnie przyjrzała się cieniowi, potem obrysowała palcem kontur własnego cienia i kiwnęła głową.

— Cień Dobrze. Taki cień, dobrze? — Rozrzuciła ręce niczym skrzydła do lotu i zaczęła szybko nimi wymachiwać.

— Dobrze — powiedział Wołochów, wcale nie przekonany o tym, że dobrze go zrozumiała.

— Zielony cień dobrze? — wypytywała dalej Firat.

— Zielony dobrze i niebieski dobrze, i czarny też dobrze…

Firat popatrzyła na niego z takim zdumieniem, że Wołochów nabrał ostatecznej pewności, iż się nawzajem zupełnie nie rozumieją. Tymczasem dziewczynka szybko włożyła dwa palce do ust i przenikliwie gwizdnęła, zupełnie jak ziemski łobuziak.

Coś zielonego uniosło się nad odległą wydmą i błyskawicznie pomknęło w ich kierunku. Z początku Wołochów pomyślał, że to jakiś niewielki aparat latający, może ptak. Kiedy to coś było już zupełnie blisko, zobaczył stworzenie przypominające płaszczkę — wąskie ciało węża, niewielki zgrabny dziób i metrowa płachta półprzeźroczystych płetw, nadająca zwierzęciu kształt prostokątnego dywanika z drgającymi frędzlami.

Stworzenie niepewnie podleciało i znieruchomiało w powietrzu o jakieś dwa metry od nich, ale Firat poklepała się po kolanie, jakby przywoływała psa.

Stworzenie pisnęło żałośnie.

— On się boi — powiedziała dziewczynka zwracając się do Wołochowa i roześmiała się. — On boi się ty.

Spoważniała i zaczęła coś mówić w swoim języku, mówić czule i stanowczo, zupełnie tak samo, jak przez cały ranek zwracała się do Wołochowa.

Stworzenie jeszcze szybciej załopotało swoimi płetwami (Wołochów jakoś nie potrafił nazwać ich w duchu skrzydłami) i zbliżając się nieśmiało do ludzi siedzących na piasku, zawisło nieruchomo nad ich głowami.

Teraz można było oddychać!

— Tak jest dobrze — powiedział Wołochów — ale muszę wracać na statek i zabrać się do remontu.

— Do remontu? — powtórzyła Firat i zmarszczyła z niezadowoleniem czoło. — Mów zrozumiale.

Wołochów rozejrzał się bezradnie. Jakiś patyk; pewnie wyrzucony przez morze, poniewierał się na piasku. Podniósł go.

— Mój statek — powiedział, wygładzając piasek i rysując na nim schematyczny kontur statku — On się zepsuł.

Uniósł patyk do poziomu oczu i demonstracyjnie złamał go na pół. Firat zerknęła z przestrachem na kawałki patyka, a potem szybko spojrzała tam, gdzie nad wydmami wznosił się tytaniczny kadłub statku.

— O — powiedziała — on się zepsuł! On…

Wyrwała z rąk Wołochowa kawałek patyczka i zaczęła szybko dorysowywać wokół konturu gwiazdolotu rozchodzące się promieniście przerywane linie.

— Promieniowanie? — domyślił się Wołochów. — Nie. Nie bój się. Statek nie jest radioaktywny. Zupełnie inna zasada działania. A może boisz się nie radioaktywności, tylko czegoś innego?

Firat słuchała go uważnie, zmarszczywszy swoje gęste, zupełnie dorosłe brwi. Potem powiedziała spokojnie, niemal obojętnie:

— Boję się.

Wstała i krzyknęła przeciągle gardłowym głosem. Tak krzyczą ludzie, jeśli chcą, żeby ich wołanie rozniosło się jak najdalej i jak najszerzej, gdyż wzywany może znajdować się w różnych miejscach. I ten, kogo wzywała, poderwał się zza nadbrzeżnej wydmy i zamaszystym galopem popędził wprost na nich. Wołochów sprężył się i mimowolnie osłonił sobą dziewczynkę.

To był biały niedźwiedź, przypominający z pyska długouchego psa, a właściwie ogromny śnieżnobiały wodołaz, przypominający niedźwiedzia polarnego… W każdym razie wąski, rozdwojony na końcu język i potrójny rząd rekinich zębów w paszczęce nie nadawał mu zbyt dobrotliwego wyglądu.

Zwierz zatrzymał się tuż przed Wołochowem, wciąż jeszcze bohatersko osłaniającym Firat, a potem przekrzywił kosmaty łeb i roześmiał się. To był szczery śmiech pogodnego człowieka.:. W roześmianych ślepiach psa pląsały złote diabliki, a rozdwojony język dygotał czule, leżąc na straszliwych zębiskach rekiniej paszczęki.

— Niech cię diabli wezmą! — powiedział Wołochów i też się roześmiał. Czuł się jak idiota, chociaż nic głupiego ani chociażby nielogicznego nie zrobił.

Firat wysunęła się zza jego szerokich pleców i coś gniewnie wykrzyknęła. Wołochów nie rozumiał jej języka, ale zabrzmiało to tak, jakby chciała powiedzieć: nie ma tu nic śmiesznego i zamiast się bawić, trzeba brać się do roboty!

Coś jeszcze powiedziała i krótkim gestem wskazała statek. Zwierz popatrzył we wskazanym kierunku, potem przeniósł wzrok na Wołochowa i wyraźnie, oddzielając od siebie sylaby, powiedział kilka słów. Następnie zerwał się z miejsca i ogromnymi susami pomknął w stronę statku. Przy każdym skoku rozciągał się w powietrzu i dopiero teraz było widać, jakie miał lekkie, szczupłe ciało, kryjące się dotychczas pod nieprawdopodobnie długą, puszystą sierścią.

Pies skrył się za wydmami.

— To się nazywa pluszowy niedźwiadek — powiedział Wołochów. — On potrafi mówić?

— Naturalnie — odparła Firat z lekkim zdziwieniem.

— W jaki sposób? — Wołochów nie dawał za wygraną.

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

— Ja mówię, ty mówisz, on mówi.

Gzy to była odpowiedź?

Zwierz wrócił. Nic nie powiedział, tylko kiwnął głową, dając tym do zrozumienia, że można zbliżać się do statku.

Firat wzięła Wołochowa za rękę i pociągnęła w kierunku gwiazdolotu. Zwierzę, kołysząc się miarowo jak wielbłąd, szło obok Firat. Przez jakiś czas dziewczynka: wspierała się na jego kudłatej głowie, ale wkrótce znudziło się to jej, więc lekko wskoczyła na grzbiet zwierzęcia, które nawet się nie ugięło pod jej ciężarem i szło dalej jak gdyby nigdy nic.

— Ojciec — powiedziała Firat, i Wołochow zauważył Judei wychodzących mu naprzeciw zza błyszczącego cielska statku. Człowiek idący na przedzie przyspieszył kroku i podszedł do Wołochowa. Spotkali się tuż pod trapem.

Ów mężczyzna, smagły i czarnobrody, przypominał dobrze ogolonego Asyryjczyka i był podobny do Firat w takim samym stopniu, jak wszyscy jego towarzysze — tacy sami smagli i podobni do siebie jak pingwiny bywają podobne dla ludzi i zapewne ludzie dla pingwinów.

Ojciec Firat trzymał w ręku cienką, giętką gałązkę iż ledwie widocznymi żółtymi listkami. Prawdopodobnie była to ta sama roślina, która oplatała gigantyczne miasto rozciągające się na cały niemal kontynent. Wynikało z tego, że musiała ona rosnąć w odległości co najmniej dwustu kilometrów. Ojciec niedbale kiwnął głową, a Firat nisko mu się skłoniła. Potem poklepał po głowie białe zwierzę i dokładnie takim samym gestem musnął ramię Wołochowa. Najwidoczniej zbędne słowa nie były tu w modzie, wobec czego tylko skłonił się i postanowił zaczekać na pytania gospodarzy.

Ale nowo przybyli nie zadawali pytań. Podchodzili po kolęd, muskali ramię Wołochowa i

przyjaźnie, niesłychanie szeroko się uśmiechali. Wołochów poszukał wzrokiem tego, który podszedł do niego pierwszy i którego Firat nazwała ojcem, i nagle zobaczył, że mężczyzna już wspina się po trapie na statek. Zrobił krok do przodu, zamierzając pójść w jego ślady, ale poczuł, że silne palce Firat — wczepiają mu się w przegub. Odwrócił się gwałtownie.

— Nie trzeba — powiedziała dziewczynka. — Ty nie trzeba. Oni nie rozumieją ty.

— Ładny gips. — Wołochów wzruszył ramionami. — Co oni w takim razie potrafią zrozumieć?

— Oni zrozumieć twój statek. Język statku zrozumieć każdy…

— Ale przecież ty mnie rozumiesz!

— Oni nie mieć czasu rozumieć ty.

— Rozumieć ciebie — poprawił Wołochów.

— Rozumieć ciebie — powtórzyła posłusznie. — Ja miałam czas rozumieć i…

Rozejrzała się bezradnie dokoła, jakby to, co chciała powiedzieć, leżało gdzieś obok, pod ręką. Nie znalazła jednak tego czegoś i skrzywiła się z irytacją.

Wołochów nie zrozumiał, co chciała powiedzieć.

— No dobrze — mruknął. — Wróćmy do statku. Myślisz, że oni zrozumieją, o co tam chodzi, i naprawią?

Firat znów się skrzywiła, jakby chciała powiedzieć: po co wciąż powtarzać jedno i to samo? Powiedziano ci, żebyś czekał, więc siedź i czekaj!

Zawołała swojego zwierzaka, który natychmiast podbiegł i rozciągnął się u jej nóg. Firat położyła się na piasku, opierając głowę na grzbiecie zwierzęcia. Musiało jej być bardzo wygodnie. Nie patrzyła na Wołochowa i więcej już się do niego nie odzywała, jakby w ogóle zapomniała o jego istnieniu. Wołochów postanowił też nie zwracać na nią uwagi i poczekać, czym to wszystko się skończy. Wszedł w krótki, zielonkawy cień statku i zaczął spacerować po piasku tam i z powrotem, starając się nie wysuwać nosa na słońce.

Minęło tak jakieś pół godziny.

Nagle dolne szczeble trapu zadygotały i Wołochów zobaczył, że jego dobrowolni pomocnicy szybko wychodzą ze statku. Podbiegł do Firat: przecież trzeba ich jakoś zatrzymać, poprosić, żeby chwilkę zaczekali, a on tymczasem skoczy po tablice i książki. Potem nawiążą kontakt, wymienią… to co w takich wypadkach należy wymienić zgodnie z teorią pierwszego kontaktu z humanoidami. Firat mu w tym pomoże.

Ale oni go uprzedzili. Starszy, najprawdopodobniej ojciec, chociaż Wołochów nadal nie był tego pewien, zwrócił się do Firat kilkoma urywanymi, rozkazującymi zdaniami. Dziewczynka wysłuchała go z nisko opuszczoną głową. Potem wszyscy mężczyźni znów kolejno podchodzili do Wołochowa z przyjaznymi, trochę sztucznymi uśmiechami i każdy z nich klepał go po ramieniu. Najpierw jego, a potem białego zwierza Firat. Po czym kolejno zanikali za szmaragdową wydmą.

— To wszystko — powiedziała Firat. — Możesz lecieć. Statek nie był zepsuty, tylko… nie chciał słuchać. To minęło. Leć.

W jej głosie nie było ani smutku, ani goryczy. Odwróciła się i wolno poszła w stronę morza.

Czuł, wiedział, że go nie oszukuje, że statek jest całkowicie sprawny i że może choćby zaraz lecieć do domu, na Ziemię, ale nie mógł tego zrobić. Biała figurka wolno szła ku morzu i coś było nie w porządku, czegoś nie zrozumiał, nie zrobił do końca… Sam nie wiedząc czemu krzyknął więc: „Firat, poczekaj!” i pobiegł za nią.

Dopędził ją tuż nad wodą. Na jego okrzyk nawet się nie odwróciła.

— Poczdkaj, Firat — powiedział, łapiąc z trudem oddech. — Przecież tak nie można! Przecież zaraz odlecę i możemy się już nigdy w życiu nie spotkać…

Patrzyła na niego spokojnie, niemal obojętnie. No tak, odleci i rzeczywiście więcej się nie spotkają, ale co z tego? Co ją to może obchodzić?

— Poczekaj, Firat. Przecież nawet nie zapytałaś, skąd jestem. Może twój ojciec, albo któryś z tych, którzy byli z mim, zechce przylecieć do mas, na Ziemię… na tę planetę, z której pochodzę? Przecież potraficie to zrobić?

Firat wolno pokręciła głową.

— Oni wszyscy są bardzo zajęci. Tam — machnęła ręką w stronę lądu, na którym rozciągało się żółte miasto. — I tam — wyciągnęła rękę do góry, ku zenitowi.

Po raz pierwszy w jej spokojnym dotychczas głosie zabrzmiał ledwie wyczuwalny ton goryczy, że oni wszyscy są tak bardzo zajęci…

— A może ty, kiedy dorośniesz?… Znów pokręciła głową:

— Twoja planeta nie jest nam potrzebna. Przecież nie umiecie nawet…

Znów skrzywiła się ze zniecierpliwieniem, jak zawsze, kiedy nie znała potrzebnego słowa. Strzeliła palcami gestem człowieka coś sobie usiłującego przypomnieć i nagle spod jej palców zaczęły wyfruwać ogromne, kędzierzawe śnieżynki, które tajały nie dolatując do ziemi. Po chwili palce dziewczynki zaczęły brązowieć i nagle zalśniły blaskiem dukatowego złota. Klasnęła w dłonie i nad wydmami przetoczył się ogłaszający, studzwonny huk ogromnego gangu, a dłonie przybrały poprzedni wygląd.

— Nie umiecie tak — cicho, jakby przepraszająco powiedziała Firat. -

Nie umiecie…

— Czynić cudów — podpowiedział Wołochów. — Tego istotnie nie umiemy, a jednak, jeśli tylko możecie, przylećcie do nas na Ziemię. Cudów u nas nie ma, ale mamy Słońce — nie takie malutkie i blade, jak wasze… Nie, nasze Słońce jest złote, jak twoje dłonie przed chwilą, jak kwiat dmuchawca, a kwiat dmuchawca tak wygląda — narysował na wilgotnym piasku, jak wygląda dmuchawiec, a w liniach rysunku natychmiast wystąpiła woda — jest żółte jak świeżo wyklute kurczę, o takie… Jest gorące, rozpalone, piekące…

Szli wolno wąskim pasemkiem piasku zlizywanego przez fale, a Wołochów bez ustanku mówił, pochylał się i coś rysował. Wchodzili na ten rysunek, a on szedł dalej i wciąż mówił o Ziemi, o jej morzach, czarnych i czerwonych, zielonych, niebieskich i mlecznobiałych… Mówił o fioletowych szczytach gór, o seledynowych księżycowych nocach nad stojącą wodą drzemiących rzek, o delikatnym brzasku zorzy porannej i o świetlistej ścieżce, po której można dojść aż do Słońca, jeśli tylko nie zdąży się ono ukryć wieczorem w morzu. Rysował na piasku malutkie kangury i ogromne biedronki, znaki Zodiaku i rozgwiazdy, a nad samą wodą umieścił abstrakcyjnego kota zwiniętego w kłębek i przykrywającego pyszczek ogonem. To miała być w jego zamyśle cała nasza Galaktyka. Malutka kropka oznaczająca Ziemię przycupnęła gdzieś z boku, na grzbiecie umownego kota…

— Wołochów — powiedziała nagle dziewczynka i zatrzymała się. Po raz pierwszy tak się do niego zwróciła. — Nie trzeba. Leć.

Tak, oczywiście, trzeba lecieć. Przecież można tak gadać i gadać, i gadać, ale to niczego nie zmieni. Nigdy już nie spotka Firat. Powiedziała, że nie potrzebują Ziemi. Ale to, że tak długo opowiadał jej o Ziemi, przywróciło mu pewność siebie, i teraz, kiedy nie pozostawało mu nic innego, jak tylko odwrócić się i ruszyć ku statkowi, nagle nieważne stały się wszystkie jej cuda, rozcięty skafander, złote rączki i cała reszta, a ona sama stała się po prostu bosonogą dziewczyną imieniem Firat, którą musi pozostawić tu, nad morzem, gdzie kończy się nieznana ziemia, aby już nigdy więcej jej nie zobaczyć. Wołochów pochylił się nad nią, a ona zrobiła to, co na jej miejscu uczyniłaby każda ziemska dziewczyna: zamknęła oczy.

Wargi miała szorstkie i suche. Tak szorstkie i tak suche, że zapragnął dotknąć ich palcem, sprawdzić, czy istotnie są takie. Nie zrobił jednak tego, tylko przesunął dłonią po jej włosach, oddzielił cienkie pasemko i owinął je wokół smagłej szyi. Dziewczyna nadal nie otwierała oczu.

Wołochów cofnął się o krok, odwrócił się i ruszył ku statkowi. Za nim została Firat z odchyloną do tyłu głową i zamkniętymi oczyma.

Słońce nabrało popielatobłękitnej barwy i jeszcze przed dojściem do horyzontu zaczęło rozpływać się w szarej mgiełce, unosząc się z powierzchni stygnącego oceanu. Piasek pod nogami pociemniał. Firat postąpiła parę kroków i zatrzymała się. Nie, to niemożliwe, to niesprawiedliwe i krzywdzące, żeby tego nie znalazła.

Uklękła i przesunęła ręką po — wilgotnym piasku. Fale bezszelestnie podkradały się z morza i lizały ją po palcach. Kroki Usłyszała dopiero wtedy, gdy idący był już zupełnie blisko. Wówczas uniosła głowę i ujrzała ojca.

— Dlaczego nie wróciłaś do miasta? — zapytał.

Pokręciła tylko głową. Gruboziarnisty piasek boleśnie wpijał się jej w kolana.

— Tan — ojciec wskazał ręką wydmy, na których za dnia wznosił się stożkowaty kadłub statku — ten odleciał.

Firat skłoniła głowę.

— O co więc Chodzi?

Firat wolno wstała.

— Ojcze, czemu go odesłałeś? — zapytała. — Jak mogłeś tak zwyczajnie go wypędzić. Jak to się stało, że ty, człowiek mądry i doświadczony, mogłeś nie zauważyć, że on był taki sam jak my? Mnie wolno było się pomylić, bo przecież tak jeszcze mało wiem i umiem. Wzięłam go za rozumne zwierzę, takie samo, jak wszystkie moje gadające zwierzaki, tym bardziej, iż sam mi powiedział, że nie potrafi… czynić cudów, jak to nazwał. Powiedział mi, że nie potrafi czynić cudów…

Firat płakała.

— A potem opowiadał mi o planecie, z której przyleciał, ale nie pamiętam, zupełnie nie pamiętam, co mówił. Wtedy wszystko rozumiałam, ale teraz nie pamiętam ani słowa. Kiedy go po raz pierwszy zobaczyłam, zwróciłam się do niego w języku dziesięciu gwiazd, ale on nie znał żadnego z nich. Jego statek przestał — mu być posłuszny, więc „pomyślałam, że on po prostu nie umie zmusić go do posłuszeństwa. Myślałam, że on nic nie może, a on po prostu nie chciał…

— A co on może? — zapytał ostrożnie ojciec.

Firat opuściła głowę jeszcze niżej.

— A kiedy nadszedł czas odlotu, wtedy pochylił się nade mną, położył mi ręce na ramionach i wówczas słońce, nasze malutkie białe słońce stało się nagle ogromne l złote, jakby wchłonęło wszystkie złoto gwiazd, stało się takie gorące i jaskrawe, że zielony piasek pustyni również się rozzłocił jak kwiaty kogoroi oplatającej nasze miasta, a daleko, daleko, na samym horyzoncie wystrzeliły w górę fioletowe szczyty, zwiewne jak obłoczki. Złoto naszego słońca zatopiło pustynię, lecz dawna zieleń jej piasków nie znikła, tylko skupiła się w jedną ogromną rzekę wlewającą się szerokim nurtem do oceanu, a w tej rzece odbijała się zielona gwiazda, której nie było na niebie. Może się w niej narodziła?… I nie było na całym tym ogromnym świecie niczego, co zachowałoby dawny kształt i barwę. Niczego, ojcze!

— A co stało się potem? — zapytał ojciec.

— Potem to słońce zgasło i zapadła noc…

Było już zupełnie ciemno i niewidzialne fale zaczęły omywać nogi Firat. Zbliżał się przypływ.

— Lećmy do domu — powiedział ojciec nieoczekiwanie miękkim głosem. — Lećmy już.

— Nie — odparła Firat. — Gdzieś tutaj, na piasku, on narysował mi, jak mogę odnaleźć jego gwiazdę. Na piasku, tuż nad wodą. Muszę odnaleźć ten rysunek.

Wyciągnęła rękę i na jej dłoni zapłonął zielonkawy świetlik. Rozdmuchała go i ruszyła przed siebie wilgotną ścieżką gładkiego piasku wylizanego przypływem.

Przetłumaczył Tadeusz Gosk

Władimir Szczerbakow
Zielony pociąg

Budowniczym bajkalsko-amurskiej magistrali poświęcam

POLAR

Nurkując pod kołdrę — z obłoków nasz samolot splanował na maleńki placyk przed polarem. Dopiero co pod skrzydłem były tundra i morze, a nad nami skąpe linie polarnej zorzy. Tundra w szreni, morze w torosach, rzadkie latarnie na przybrzeżnych sopkach, pierwsze zręby osiedla… Tam się droga kończyła. Pod polarem — miastem pod dachem — zaczynała się.

Bezszumnie jak nocny ptak przeniósł się nasz samolocik wzdłuż nasypu, w bladym blasku polarnej nocy, ponad białymi grzbietami śnieżnych zasp, a pod nami, jakby przez morską toń, to przebijały się ogieńki spawania pod budującym się mostem, to pojawiały kopuły nowych aluminiowych domów, otoczonych jelenimi zaprzęgami (domy zostały dopiero co przywiezione i na naszych oczach zaczęto je stawiać). Bardziej na południe, to znaczy ku polarowi, zanurzyliśmy się w purpurową przerębię zachodzącego słońca. Stąd, z południa, szedł i szedł dzień, rytmicznie i niespiesznie, z miesiąca na miesiąc przybierając na sile.

Nitka magistrali jeszcze nie jest zaznaczona świetlnymi sygnałami, biegiem mknących lokomotyw, na razie milczą struny jej stalowych zwrotnic i niebieskie oczy latarń jeszcze nie spotykają sznura wagonów pod stacją. Lecz kto wie, może za miesiąc, dwa, wrócimy do połam już pociągiem?

Dziś wypróbowaliśmy jeden z ostatnich odcinków drogi. Najbardziej wysunięty na południe — jest już prawie gotowy. Rozmyślając o tym zabieramy się z samolotu na spotkanie z wiatrem i mrozem, śnieg kłuje w policzki aż do progu naszego wielkiego domu. Nie spieszymy się. Szkoda — nam się rozstawać z modrzewiami i cedrami, z jasnymi brzozami, z jelenim tropem i pierwszym nieoczekiwanym zapachem stajałego śniegu. Czekamy, niech odleci samolot. Głosu motoru nie słychać, białoskrzydła maszyna tak cicho uniosła się w niebo ponad zębatym grzbietem tajgi, że aż ktoś zażartował:

— Jak zielony pociąg…

— A jaki jest ten zielony pociąg? Może to bajka? — pyta Lena Rugojewa, i zapamiętuję jej oczy takimi, jakimi je widzę w ten wieczór: są ciemne, świetliste i trochę figlarne, w ich głębi, gdy się dobrze przypatrzeć, można niespodziewanie odkryć błyskający ognik radości.

Achwo Lijes, marzyciel i myśliciel z dalekiej Karelii, bez mrugnięcia odpowiada:

— Widziałem go, i mój ojciec także.

— No i co, zielony?

— Jak kiedy. Latem zielony, zimą niebieski. Nie nazywają go tak przecież z powodu koloru. Jeśli mu niepotrzebne ani zielone światła, ani zielona ulica i jeśli może przebiec kędykolwiek, nawet po nie ukończonych drogach, bez zwrotnic, bez świateł drogowych, nocą czy dniem, w zamieć i burzę, to się pytam: jak go można nazwać?

I Achwo zaczyna opowieść o zielonym pociągu: jak nieraz przenosi się tuż-tuż, szybki i prawie niewidoczny, ale on, Achwo, dobrze go widział i zauważył nawet ludzi w prześwitach okien.

Już go nie słuchają, a Lena otrzepuje gałązką śnieg z wysokich futrzanych butów i śmieje się głośno, nie z Achwa oczywiście. Mam ochotę ją zapytać, patrzę jej w oczy i nagle zapominam pytania.

…Polar. Pod przejrzystą i niewidzialną kopułą — ogród. Piach i sosny, jodły, cedry, jabłonie. Ptaki — drozdy, cedrówki, dzwońce — zorientowały się szybko, nawet nie lecą na południe, zimują pod dachem… Idziemy aleją wzdłuż jeziora. Woda jest tak przezroczysta, że aż widać płetwy ryb. Każdy powrót z trasy to jakby podróż do podzwrotnikowego pasa, choć oddziela nas od końcowego punktu magistrali tylko sześćset czy siedemset kilometrów (to nie jest odległość dla syberyjskiej przestrzeni). Kiedy ruszą pociągi, zbudują jeszcze jeden polar. Droga obdarzy Północ południowym ciepłem, wprowadzamy elektryczność nie do nowych domów, lecz do ogromnego miasta; jeszcze trochę, a tchną gorącem złote węgliki kominków i setki cudo-pieców przygotują jednocześnie wieczerzę nowym osiedlom.

Kto wie, może legenda o zielonym pociągu będzie się tułała razem z nami? Może kiedyś usłyszy ja Czukotka, potem Wyspy Nowosyberyjskie, Ziemia Północna. I niech się horyzont chowa za torosami, droga mimo to pobiegnie nad Oceanem Lodowatym. A my będziemy wracać ze zmiany ot tak, zwyczajnie jak dziś, zostawiając za sobą nowe, wciąż nowe kilometry magistrali…

Jest nas czternastu. Brygada. Przed nami otwierają się na oścież drzwi polaru.

Odjazd Leny był czymś niespodziewanym dla wszystkich. W chwili nieuniknionej rozmowy zatliła we mnie słaba iskierka nadziei: a może zostanie z nami? (Wcześniej czy później wszyscy się przeniesiemy do

Niżniejańska i dalej — tam także pobiegnie droga, więc czy warto się śpieszyć?).

— Tak, tam teraz ciężko — zgadza się Lena — ale za to interesująco.

— A tu?

— Tu także. Lecz proszę zrozumieć — zapewnia gorąco — wielu ludziom dotrze się pracuje na jednym miejscu, innym… Ale po co ja to mówię, czyż pan tego nie wie?

Wiem. I po cichu jej zazdroszczę. Też chciałbym pojechać na długo na wybrzeże, mieszkać nie w polarze, lecz w domu z bierwion, ciągnąć przez tundrę nową drogę, budować miasto-port na Wyspie Wrangla. Tym bardziej, że nasza praca zbliża się ku końcowi…Lena ma dłonie duże, ciepłe, ruchy zawsze spokojne, płynne — czy rozlewa herbatę, czy zbiera jagody, czy ustawia przyrządy na trasie w śnieżyce lub deszcz. Nigdy nie dostrzegłem w niej śladów zdenerwowania.

A tym razem z pewnym zdziwieniem zauważyłem mimowolnie, że palce jej drżą, a głos stał się trochę ostry i gwałtowny, i było to sprzeczne z moimi wyobrażeniami, jakich o niej nabrałem w ciągu półtora roku pobytu w tajdze. Czyżby wątpiła, że mogę to zrozumieć? I ledwie pomyślałem o tym, a już uchwyciłem w niej nieoczekiwaną zmianę. Jakby odczytała moje myśli — ręce jej stały się jak dawniej spokojne, budzące zaufanie, trochę powolne. — Dziwna jest pani, Leno, otóż to. Poczekałaby pani na nas. Myśli pani, że nie chciałbym — na Północ? A w ogóle to zazdroszczę. Cóż. Proszę jechać. Zresztą i tak się wkrótce — spotkamy. Dogonimy panią.

— Pewnie, że dogonicie — cieszy się Lena — będą na was czekała. Przyjmiecie mnie?

Patrzę pytająco na nią.

— Och, źle powiedziałam? Proszę sobie wyobrazić, że nie odchodzę od was, tylko po prostu wyjeżdżam na delegację czy coś takiego.

— Będziemy tak uważać — zgadzam się. — Proszę powiedzieć, co pani myśli o zielonym pociągu?

To pytanie wybiegło z moich ust przypadkowo, sam nie wiem czemu. Przez moment, przez jeden tylko moment ładne palce rąk Leny, jakby zgubiły nagle punkt oparcia, szarpnęły się w górę. Opuściła głowę, a gdy ją podniosła, ciemne błyszczące oczy były jak przedtem spokojne, a gesty niespieszne.

— Pójdę już. Wpadnę jeszcze pożegnać się… — Lena jakby odgadła, że moje pytanie było przypadkowe i wcale nie potrzebowało odpowiedzi.

…Jeszcze na trasie ustrzeliliśmy trochę cedrówek. Przemrożonymi na wskroś ptakami można było niczym maczugami i pałkami uzbroić całe plemię. Za to nelma, syberyjski łosoś, była świeża, tylko usnęła, ta ogromna ryba, na razie leciała z nami w samolocie i na — wet nie zdążyła dobrze ostygnąć w chłodni z powodu swoich baśniowych wprost rozmiarów. Sprawczyni pożegnalnej uroczystości dostała skądś rokitnikowego wina — i stół był gotów. Żegnaliśmy ją według zwyczajów przyjętych w tajdze, zresztą i na trasie zdarzało nam się przygotowywać cedrówki na rożnie i gotować rybną zupę z tajmeniowymi ogonami.

Aż po drugą stronę kopuły drzemała przedwiosenna tajga. Wczesny zachód słońca rozrzucał po śniegu pierwsze iskry ciepła.

SPACER

Niebieski kolor to zwiastun północnej wiosny. Niebieski śnieg, niebieskie powietrze, niebieskie

niebo… Nagle jednego razu wszystko ruszy i popłynie w niebieską nieskończoność przy akompaniamencie rozgłośnych szmerów ptasich skrzydeł. Ale wiatr jak przedtem jest lodowaty, a w nocy pod jasnymi gwiazdami tajga potrzaskuje od kłującego mrozu.

I oto idziemy w tę siniejącą dal — Achwo i ja. Z początku śnieg był żółty od żagwi porannej zorzy, i narty ostrożnie go dotykały, odnajdując pośród cieni prawidłową drogę. Potem na śnieg spłynął dzienny świt, cienie skryły się pod drzewami, i pojechaliśmy szybciej. Trudne były tylko wspinaczki, na dół zjeżdżaliśmy bystrzej niż wiatr. Śnieg, zdawało się, roztapiał się — pobłyskujące koleiny nart Achwa stawały się niewidoczne po dwudziestu krokach. Ruch rodził dźwięk rozsypujących się kryształów, zdawało się, że wszystko wokół tak dźwięczało, jakby tysiące niewidzialnych dzwoneczków zwiastowało przyjście wiosny. Trącane nartami, sypało się z krzewów błękitne szkło, śnieżny pył tajał, oświetlone niebo odkryło się…

Nie zobaczyłbym tego pierwszego dnia wiosny, nie usłyszał południowego przesilenia, nie odetchnąłbym tym pierwszym wiosennym tchnieniem, gdyby nie Achwo. To on nauczył mnie czujności.

Teraz wiem: wiosna ma jeszcze jednego satelitę. Można go nazwać jednym słowem: ruch. Jeżeli nagle zapragnąłeś wyruszyć w drogę, jeśli żagiew wieczornej zorzy była jaskrawa jak nigdy, a sen niespokojny, to znaczy, że przyszła wiosna.

Oto dlaczego nasze narty ślizgają się wciąż szybciej i nie czujemy zmęczenia. Tylko na krętych wzniesieniach nogi i ręce jakby mimowolnie zwalniają ruchy, zupełnie jakby trafiły na niewidzialne pole siłowe.

Zielonooki Achwo ogląda się, czy czasem nie zostałem w tyle.

— Naprzód, Achwo! — krzyczę i nagle chce mi się śmiać, bo zmęczenia wcale nie czuję, ale nie mogę szybciej jechać, nie pozwala mi sprężystość niewidzialnego pola.

Poświstując „Fiołka” Achwo wzlatuje na grzebień sopki, gdzie wiatr zbudował metrową śnieżną ścianę. Spod niej wytoczyły się żywe grudki — kuropatwy — i rozpłaszczyły w powietrzu skrzydła. Lecz nim zrównały się ze mną, Achwo zdążył zerwać z ramienia śrutówkę i prawie nie celując wystrzelić. Strącony ptak upadł pod moje nogi.

— Nasz obiad! — krzyknął Achwo. — Teraz naprzód!

Wybraliśmy miejsce w wąskiej rozpadlinie zalanej południowym światłem. Kruche gałązki modrzewia frunęły w ogień.

— Poczekaj, Wala, wrócę zaraz…

Achwo pobiegł w górę po ścianie rozpadliny, zatrzymał się, rozgrzebał kijkiem śnieg, potem go rozrzucił rękami. Zdawało się, że czuł, gdzie chowały się pod zmarzliną szypułki kwiatów, nasiona, jagody, ukryte w cienkich lodowych powłokach do ciepłych dni, do święta pierwszego letniego kwitnienia. Achwo nabrał garść borówek. Jagody były duże, twarde, podobne do barwnych kamyczków,lecz kiedy wrzuciłem je do gorącej herbaty, wypłynęły, i złowiłem ich utajony aromat.

Wspięliśmy się na płaską, bezgłową sopkę i wyszliśmy na magistralę — plant kolejowy ciągnął się po dolinie u naszych stóp. Prace tu były prawie ukończone, panowała niedzielna cisza. Ani szelestu.

Dolina była rozległa i pustynna.

— Pociąg!

Istotnie czekałem na okrzyk Achwa. Przesunął się błękitny obłoczek. Pociąg?

Pas drogi wybiegał zza cętkowanego, brązowobiałego stoku. Cisza. I tylko podniósł się lekki wichr, i pojawiła się jasna smuga na tle przedwieczornych cieni. Ani dźwięku. Poruszyło się powietrze od niewidzialnego szturchnięcia. I jeszcze dalej przeniósł się jasny promień, pokreśliwszy śniegi i kamienie błyskawicznym, prawie nieuchwytnym pociągnięciem.

— Zielony pociąg!

Obracam się. Na wprost mnie oczy Achwa i w nich widzę nagle odbicie stoku i bystrej wstęgi pociągu. Być może tak mi się tylko zdawało? Ale skąd wobec tego wziął się widok srebrzystych

wagonów, migających jak w kalejdoskopie okien, jaśniejących miękkim zielonym światłem? Być może ludzkie oko jest tak zbudowane, że to, co ono widzi, staje się dostrzegalne i dla innych — jak odbicie, jak migawkowa fotografia? Albo, co jeszcze prawdopodobniejsze, tylko Aehwo ma takie oczy? Pochwycić małe ginące mignięcie niewielu potrafi, a już w każdym razie nie ja.

Taki jest właśnie ten zielony pociąg! Szybki jak strzała, okna świecą się nawet w dzień, a zobaczyć go można jedynie tylko jak odbicie w oczach człowieka o niezwykle dobrym wzroku.

— Widziałeś pociąg? — spytał Achwo, kiedy wracaliśmy do polaru.

Zrozumiałem ukryty sens tego pytania: chodziło o to, czy mu teraz wierzę. Kiwnąłem, odpowiadając od razu jemu i sobie; tak, wiedziałem teraz o zielonym pociągu więcej niż ze wszystkich opowiadań o nim.

— Tak, widziałem zielony pociąg.

Ciemny wieczorny śnieg poskrzypywał pod nartami, jakby chciał opowiedzieć zimową baśń, jakby z zachodem słońca znów odeszła wiosna i zapadała tajemnicza i długa polarna noc. Ale wiedziałem: niebieskie barwy i powszechny ruch w przyrodzie to zwiastuny i sprzymierzeńcy wiosny. Jutro, być może pojutrze lub nieco później znów pojedziemy naszym narciarskim szlakiem, żeby spotkać zielony pociąg.

* * *

Jesteśmy z Achwem sąsiadami. Okno w okno. Trzydniowa odwilż napełniła powietrze zapachem wilgotnego igliwia i świeżością. A okna na szczęście otwierają się wprost na tajgę. Długie są wieczorne rozmowy.

— …dobrze wiem, że są takie przyrządy, a zasady znane już od niepamiętnych czasów.

Achwo opowiada mi o wzmacniaczach światła. Ja też o nich słyszałem, ale Achwo, jak się okazuje, nawet pracował z nimi. Podczas długiej polarnej nocy w Północnej Karelii ultraczerwone wzmacniacze pomogły jemu i jego kolegom. Jego myśl jest prosta:

— Będę o pięć do dziesięciu kilometrów od ciebie, przy samej drodze, i dam sygnał. Ty będziesz miał przyrząd, zobaczysz pociąg i sfotografujesz go, przecież przyrząd łatwo się da uzupełnić aparatem fotograficznym. Tak znajdziemy prędkość pociągu, nie mówiąc o tym, że w końcu upewnisz się we wszystkim. Napiszę. Przyślą nam przyrządy.

Achwo zamilkł. Z profilu jest podobny do Indianina z jakiegoś przygodowego filmu, szczególnie wtedy, kiedy światło jest niejaskrawe albo purpurowe. (On o tym wie i pali własnoręcznie zrobioną fajkę drewnianą, to prawda, że bardzo rzadko, w takie oto jak ten wieczory, być może dlatego, żeby sprawić zadowolenie sobie i mnie.)

… Innym razem, w drodze do pracy, rozmyślaliśmy: cóż to jest ten zielony pociąg? I czemu pojawia się na nie ukończonych drogach, może to miraż, a jeśli tak, to obserwatorzy z dwu różnych punktów mogą się o. tym przekonać, bo mirażu przecież nie można „zarejestrować” w ten sposób, o którym rozmawialiśmy z Achwem. Zresztą odnaleźliśmy z nim, zdaje się, cieniutką niteczkę.: pociąg pojawia się prawie zawsze w bezludnych przestrzeniach tajgi i tundry. I nie wydało nam się to przypadkiem. Tym, którzy kierują ruchem zielonego pociągu, potrzebne były dwa warunki: duże przestrzenie i brak ludzi, w najgorszym razie — względny ich brak. Pozostawało jeszcze odpowiedzieć na zasadnicze pytanie: kto nim kierował?

BOGACTWA GWIEZDNEGO NIEBA

To mogło być zwykłym eksperymentem. Małoż to badań naukowych w naszym stuleciu, i o wszystkim zaraz by pisać w gazetach? Ale w tym przypadku badania ciągnęły się już zbyt długo, kilka lat (Achwo widział pociąg jeszcze w Karelii, potem w Kazachstanie), i to wywołało myśli zupełnie innego rodzaju. Lecz uwierzyć w niemożliwe można tylko wtedy, kiedy staje się ono realnym faktem.

Kiedyś oglądałem film o kosmosie, gdzie rakiety wylatywały w górę tak lekko i swobodnie, jakby w ogóle nie było okropnie trudnego kosmicznego preludium, długich poszukiwań, błyskotliwych pomysłów i tragicznych porażek. Pojazdy kosmiczne udoskonalały się w oczach z szybkością, na jaką pozwalała kinematografia, i na końcu zawsze wynikało nieuchronne pytanie: a jutro? „Bogactwa gwiezdnego nieba" — taki był tytuł filmu. Do tych to bogactw zawsze kierowały się statki. Cóż to za bogactwa?

Z pewnym zdziwieniem dowiedziałem się, że nawet bliskie gwiazdozbiory chronią swe tajemnice tak zazdrośnie, że i wymienić je na razie trudno. Radio-galaktyki, gwiazdy magnetoprzemienne, bliźniacze pulsary, potrójne i wielokrotne gwiazdy, skupienia galaktyk. Dlaczego są nierozłączne trzy gwiazdy Regulusa? I dlaczego niekiedy tak się zbiegają pulsary i radio-galaktyki? Za tymi pytaniami, następowały inne, było ich nieskończenie dużo, o wiele więcej niż słów w starożytnych podaniach i mitach. Czyż nie dlatego nazwy dalekich słońc świadczyły o kształtowaniu się człowieka tak samo wymownie, jak piramidy, miasta i statki kosmiczne? Najbliższe i najbardziej dostępne spośród nich przypominały o antycznych czasach, o różnych na wpół zapomnianych starożytnościach, o młodości ludzkiego rozumu. Kiedy to Diana wypędziła Helikę ze swojej świty, a Junona zamieniła ją w niedźwiedzicę. Jupiter umieścił Helikę razem ze swoim synem Arkasem na niebie, gdzie tworzyli gwiazdozbiór Wielkiej i Małej Niedźwiedzicy. Dziesiątki innych antycznych bohaterów także zostało wyniesionych na niebo przez astrologów i tworzyli oni pierwszą strefę. Za nimi następowała druga. Słabe i dalekie gwiazdy kazały wspomnieć o filozofach i uczonych późniejszych czasów, ich nazwy mówiły o próbach przeniknięcia, jakby bardziej już dojrzałego rozumu, w niewyczerpane źródło rzeczy — w nieskończoność. I wciąż dalej przesuwała się niewidzialna, umowna granica, którą rozum chciał osiągnąć.

A dalej? Jak się dowiedzieć, co jest za tą granicą i potem za następną? I oto pojawiają się radioskopy, a nieco później statki kosmiczne. Rozmyślając o tym zrobiłem dla siebie małe odkrycie. Antena radioskopu jest podobna do naczynia, w którym świat się odbija tym wyraźniej, im większe jest lustro wody. Im dalej będą od siebie punkty odbierania gwiezdnych sygnałów, tym lepiej. Niekiedy anteny są rozmieszczone na różnych kontynentach, a kosmiczne radio-dźwięki utrwalają się na taśmie magnetycznej, a potem., wszystkie zapisy są porównywane. Międzykontynentalne teleskopy są najdokładniejsze, a może całą powierzchnię Ziemi wykorzystać dla odbioru sygnałów? Zbudować więcej anten, połączyć je w jedną sieć? Czemu by nie?…

Przekartkowawszy książki o astronomii, razem z Achwem doszliśmy do wniosku: taka wszechogarniająca sieć jest niewiele korzystniejsza od jednego czy dwóch międzykontynentalnych radioteleskopów. Wszystko zależy od maksymalnej odległości: im większa odległość między antenami, tym lepiej i dokładniej pracuje przyrząd, tym wyraźniej są słyszalne sygnały gwiezdne, i im więcej obiektów wszechświata wysyła fale radiowe, tym pełniejszy jest ogólny obraz.

Anteny na rakietach — oto do czego trzeba było dążyć. Cała konstelacja rakiet badawczych lecących w takich odległościach od siebie, że peleingowanie ledwo słyszalnych źródeł byłoby idealne. I już oczywiście mapa nieba stałaby się o wiele dokładniejsza. Na razie statki kosmiczne i radioteleskopy istniały oddzielnie i obaj z Achwem mogliśmy tylko pomarzyć o tych czasach, kiedy będą one połączone. Projekt był mój, ale Achwo go zaraz urzeczywistnił:

— Po co statki? Umieścić anteny na różnych planetach i koniec! Rzeczywiście. Po co rakiety? Planety to bardzo dobre punkty oporowe dla obserwacji.

Polar już spał, a ja zapragnąłem pomarzyć i spróbowałem przedstawić sobie niezwykłą sztafetę: statki były zaopatrzone w lustra antenowe i starały się donieść je jak najdalej, ku gwiazdom, ku dalekim planetom obracającym się wokół gwiazd. I pozostawiały je tam jak pałeczki sztafety, żeby potem inne statki, o wiele silniejsze, przeniosły je, być może, jeszcze dalej. Zbliżam się do najważniejszego w naszych rozumowaniach (muszę się przyznać, że pomogły nam wideotelefoniczne konsultacje specjalistów jednego z syberyjskich centrów badawczych).

Im dalej by mogły przenikać nasze statki, tym więcej byśmy się dowiedzieli o bogactwach gwiezdnego nieba. Niewidzialna, ale realna granica poznania, o której myśl startowała z Ziemi jeszcze w starożytności, rozszerzałaby się, ogarniając wciąż nowe światy. Ale to był, jeśli tylko można tak powiedzieć, geocentryczny system badania wszechświata.

Dlaczego by nie założyć, że takie badania już są rozpoczęte, lecz w zupełnie innej części Galaktyki? Automatyczne statki już startowały, pierwsze anteny już są dowiezione do rozszerzającego się pierścienia międzygwiezdnych radioteleskopów. I na Ziemię też. Na początku badacze będą przestrzegać pewnej ostrożności, zwłaszcza na zamieszkanych planetach (przecież następstw jakiegokolwiek wkroczenia tam, wywierania wpływu, na pierwszy rzut oka nawet pozytywnego, praktycznie ocenić nie można). To znaczy, że i na Ziemi będą postępować zgodnie z tą regułą. Postarają się wykorzystać nasze osiągnięcia: przecież potrzebne im są platformy do przenoszenia anten, których położenie jest sprawdzone z dokładnością do jednego metra. Tor kolejowy to idealny punkt oporowy dla ruchomego radioteleskopu. A jak go zamaskować, uczynić niewidzialnym? I tu znów tak żywo wyobraziłem sobie zielony pociąg biegnący po śnieżnej dolinie, że ta ostatnia trudność wydała mii się całkiem łatwa do pokonania. „Każdy cud jest możliwy, jeśli się przy tym nie naruszy praw przyrody” — to zdanie wyszukałem w swoich starych konspektach. Tak wymyśliliśmy zielony pociąg (w rzeczywistości w ciągu jednego czy dwu wieczorów).

A wczesnym rankiem, kiedy się umyłem i ubrałem, otworzyłem okno i zobaczyłem posępne drzewa w szarej półmgle, zaćmione światło przedświtu i złowiłem oddech chłodnej ziemi — nasz pomysł wydał mi się nierealny i nieprawdopodobny. A jednak pragnąłem weń wierzyć.

Nacisnąłem klawisz telewizora, po wypukłym srebrnym ekranie przebiegły powyginane linie, zacisnęły się w węzeł, który zadrżał jak pęk strun i znikł. Jeszcze dwa klawisze: POLAR i BIBLIOTEKA.

Ukazała się znajoma twarz.

— Biblioteka, proszę mówić.

— Coś na temat radioastronomii.

— Zasady, historia, zastosowanie?

— Film. O wszystkim od razu.

— Czas?

— Półtorej godziny.

— Zamówienie przyjęte. Proszę czekać pięć minut.

Ekran zalało błękitne migotanie, jakby dawało wyraz wybuchowi energii telewizyjnego robota.

Z wysokości lotu ptaka ukazały się wąwozy i kaniony przegrodzone żaglami anten. Wysoko w górach, na tle wierzchołków ostrych szczytów migały ich głowice patrzące ponad śniegami. Na zboczach zielonych wzgórz zwijała się pajęczyna anten. Planeta była gruntownie zradiofonizowana, a ten drugi, gwiezdny etap radiofonizacji dopiero się zaczynał. Razem z teleskopami-gigantami pracowali jeszcze i wysłuchiwali eter pionierzy radiowego zwiadu: dwudziestometrowy Sierpuchowski, stumetrowy Amerykański, Krymski, Puertorikański, Wielki Australijski.

Jeszcze jeden klawisz: KONSULTANT.

— Czy działają międzyplanetarne radioteleskopy?

— Nie.

— Czy są projekty?

— Tak. Pierwszy projekt: Ziemia-Księżyc, drugi: Mars-Ziemia— Księżyc.

— Gzy inne cywilizacje mogą wykorzystać Ziemię do instalacji radioteleskopów?

— Niewykluczone. (Milczenie.) Wątpliwe, to zależy od poziomu zakłóceń radiowych.

— Czy można powiązać fenomen zielonego pociągu z badaniami kosmosu?

— Brak danych. (Przedłużająca się pauza.) Fenomen zielonego pociągu nieznany. Pytanie nie na temat.

„SZCZĄTKI MAMUTA ZNALEZIONE”

Jedziemy nartami po świeżo spadłym śniegu, miękkim i lekkim, a z modrzewi zlatują nowe białe czapy, i głosy dźwięczą ciszej i głuszej. Zupełnie zapomniałem o wiośnie, która już, już zabierała się do ogrzania ziemi, do obdarzenia jej pierwszą trawą, przeźroczystą wodą, krzykiem ptaków.

Jest nas czterech: Achwo, ja, Gleb, Kisielew — badacz tropów z Ruskiego Ustia, potomek koczowników i jakuckich myśliwych, urodzony budowniczy i podróżnik, który przeszedł Daleką Północ wzdłuż i wszerz, oraz Dymitr Wasilewski, kinooperator i uczony (to on przysłał nam wzmacniacze światła, a potem sam przyleciał do polaru, żeby zrobić film). Czy można spotkać na Północy ludzi, którzy by jej nie lubili? Chyba nie. Mnie się ta ziemia wydaje gigantycznym naturalnym rezerwatem: nabrzmiałe i ogromne są jej rzeki, wiatry bystre, długie i opieszałe zimowe noce i letnie dni.

Lecz żeby naprawdę poznać Północ, trzeba jej oddać życie jak Gleb, który pamiętał i nieczęste spotkania z białym żurawiem niezwykłej piękności, i z ginącymi, coraz rzadziej przelatującymi nad brzegiem ziemi tundrowymi łabędziami i białolicymi kazarkami, a w leśnych gąszczach, gdzie ryś strzeże łosia i wszelkiego zwierza, polował na czarnego sobola. A w Arktyce mało ptaków? Pełno, Gleb… Już wzięta jest pod ochronę i gęś białoszyja, i biały żuraw, i sokół, i kazarki białolice, czerwonopierśne, co jak zorze lecą ku szczytowi ziemi — do domu.

Wieki i dziesięciolecia powoli, lecz dokładnie kierują biegiem i wiatrami planety, wygładzają pofałdowania gór, pośród zimy darowują odwilż, i chociaż wiosny są chłodne, wciąż ciepleje i ciepleje radosne lato i z roku na rok łagodniejsza, nie tak luta zima. Aż nagle nie wiadomo kiedy niewidzialny siewca — czas rozrzuci po górach nasiona sosen, na wzniesieniach zasadzi jodły, w suchych miejscach różowy wrzos, w pobliżu wody iwę srebrzystą. Tam gdzie wąwozy i jary, rozrzuci nasiona brzozy, na błotach posadzi łozy, a wzdłuż rzek mocne dęby. Nagle, nie wiadomo kiedy… Przecież Północ pozwala na każde marzenie, lecz i na jawie jest ona rzeczywiście piękna.

Gdyby mi powiedzieli: dzisiaj ci się poszczęści, ale musisz wybrać, co wolisz — spotkanie z mamutem, prawdziwym mamutem, który ma sierść rudą, uszy kudłate, a kły żółte, czy też z zielonym pociągiem, który zresztą już widziałeś — ja bym, niestety, nie od razu odpowiedział. Gleb na pewniaka wybrałby mamuta, Achwo zielony pociąg, Dymitr…

— Co byś wybrał, Dymitrze? — krzyknąłem. — Mamuta czy pociąg?

A on nawet nie powtórzył pytania, od — razu je zrozumiał:

— Mamuta.

— Czemu?

— Sam nie widziałem i naocznych świadków nie znam. Tak… Wypchane zwierzęta, obrazki… lecz spotkać prawdziwego zwierza, to jakby wynaleźć machinę czasu, a ty oczywiście wolisz pociąg?

A więc i Dymitr jest rozkochamy w Północy — myślałem — kamera, wzmacniacze obrazu… to wszystko nie to. Być może poszedł z nami tylko dlatego, żeby natrafić, na mamuta czy choćby na niedźwiedzia, na rogatego, na leśnego diabła.

… Najpierw zamierzaliśmy się zatrzymać pod rozjazdem, choć mieliśmy namioty, ale potem pomyślawszy zadecydowaliśmy: nie, nie należy tego robić, przecież nie widział zielonego pociągu dyżurny ruchu na mijance (a już miesiąc tu mieszkał) — czymże bylibyśmy lepsi?… Poszliśmy w kierunku drogi na południe od rozjazdu. Ach wio i Gleb posunęli się jeszcze bardziej ku południowi, a my z Dymitrem zatrzymaliśmy się i rozbiliśmy namiot. Mieliśmy trzy dni czasu. Jeden z nas zawsze pełnił dyżur przy radiostacji i kiedy nadeszła moja kolej, gotów byłem nawet nocą odebrać sygnały Achwa.

Dymitr odnosił się sceptycznie do naszego pomysłu i naprawdę nie rozumiałem, po co tu z nami przyjechał.

Trzeciego dnia, kiedy radiostacja ożyła, Dymitr pierwszy rzucił się ku przyrządom, to znaczy, że

jednak też czekał, tylko po prostu nie bałamucił siebie zbytnio nadzieją.

Zawczasu umówiliśmy się: słowo „pociąg” nie powinno wyjść w eter, jak w ogóle to, co dotyczy kolei żelaznej, przecież, sądząc po wszystkim, chodziło o tajemnicę, której ktoś gorliwie strzegł. Znaczy to, że tajemniczym musi być i umowny sygnał, kiedy Achwo i Gleb zauważą pociąg. Obaj zatrzymali się dwadzieścia kilometrów od nas i czas pojawienia się pociągu na naszym odcinku mierzył się na minuty. Na godzinę przed sygnałem Achwo rozmawiał z nami, było to sprawdzenie radiostacji.

Mijał ostatni dzień i chwilami już wątpiliśmy w powodzenie. Po półgodzinie Dymitr rozpalił ognisko i zaczął szykować obiad — tego dnia miał dyżur. Piętnaście minut później radiostacja ożyła, ale to nie był sygnał. Achwo powiedział: „Widzę ludzi” — i po minucie: „Ludzie znikli”. Spytałem, co to znaczy? Odpowiedział: „Bądźcie gotowi”. I oto zadźwięczał sygnał: „Szczątki mamuta znalezione!” To umowne hasło było dwukrotnie nadane, co znaczy, że obaj, Achwo i Gleb, widzieli pociąg. Kiedy tylko ich usłyszałem, uruchomiłem sekundomierz. Zdawało mi się, że upłynie sześć do dwunastu minut, nim zielony pociąg zrówna się z nami. Na wszelki wypadek Dymitr rzucił kociołek, czajnik, konserwy i natychmiast ustawił kamerę. Mechanizm nie od razu zaczął działać, od mrozu pewnie. Ale straciliśmy zaledwie kilka sekund i pociąg nie mógł nas wyprzedzić. Obserwowałem tor kolejowy przez obiektyw wzmacniacza obrazu, ponieważ absolutnie nie liczyłem na rozpoznanie czegokolwiek nie uzbrojonym okiem. Obok były przygotowane dwa aparaty fotograficzne, także ze wzmacniaczami: jeden aparat był mój, drugi Dymitra. Kiedy upływała szósta minuta, nagle niechcący nacisnąłem spust swego aparatu. Dymitr usłyszał trzask i obrócił się ku mnie. Zmieszałem się na moment i oderwałem oczy od przyrządu. Zacząłem, zdaje mi się, wyjaśniać Dymitrowi, że mój aparat przypadkiem sfotografował, a Dymitr z jawną dezaprobatą słuchał mnie. W tej samej minucie lekki obłoczek śnieżnego pyłu wzbił się ponad torami i szybko przeleciał wzdłuż nich. Powiał wiaterek, śnieżynki wolno opadały na moją twarz. „Patrz!” — krzyknąłem. Ale było za późno. Albo może za wcześnie? Dopadłem okularu i zamarłem na kilka minut. Wskazówka sekundomierza wiele razy okrążyła tarczę, a mnie zaczęły marznąć policzki. „Starczy — powiedziałem. — Jeśli obłoczek był pociągiem, to znamy już jego prędkość: sto dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Zostaw kamerę i chodźmy pić herbatę, bo zmarzniemy.”

Kiedy się całkiem ściemniło, podłożyliśmy drew do ogniska, płomień wzniósł się dymiącymi językami, potem znikł odkrywając mieniące się różowo kamyki węgla pod ciepłą poduchą powietrza. Po białych niczym śnieg obłokach nie pozostało śladu. Na niebo wyszły gwiazdy. Żółte ognie kropiły nas lekkimi iskrami i jużeśmy się byli zdrzemnęli, gdy nagle dwa znajome głosy zabrzmiały zgadnie nad ogniskiem. Achwo i Gleb zbliżyli twarze do ciepła i światła, szron na ich czapkach srebrzył się i tajał. Spiesznie pozbieraliśmy się i ruszyliśmy do polaru.

… Rano wybieraliśmy się na trasę badać kolejny odcinek, przedostatni, najtrudniejszy, a ja do późnej nocy nie mogłem usnąć, jak to czasami bywa, gdy się przejdzie dużo kilometrów i nieodparte pragnienie wyspania się, zaśnięcia nagle potem znika. W moich zamkniętych oczach uporczywie płynęły i płynęły falujące dale niczym białe kłęby, jakie można zobaczyć z samolotu. Zlewały się z jasnymi zimowymi chmurami, które szumiąc pędziły na wskroś przez śnieżne zasłony i nie było im końca. I nieuchronnie wyobraźnia wiodła nie dalej i wyżej — tam gdzie się otwierał wszechświat, a z nim — otchłań światów.

0 świcie wpadłem do Wasilewskiego. Pracował nad taśmą filmową, więc opędził się przede mną jak przed uprzykrzoną muchą. Przyszli także Gleb i Achwo. Trzech to już siła. Dymitr popatrzał na nas i powiedział spokojnie:

— Taśma zepsuta, prześwietlona. Nie da się wywołać ani jednego kadru.

1 zaraz na naszych oczach zrobił ostatnią próbę. Z kliszą z aparatu fotograficznego było to samo.

— Cóżeś ty… — powiedział Achwo — to był przecież pociąg…

— To nie ja, kochani. Robiłem wszystko jak należy i nawet lepiej.

— Sama się prześwietliła? Tak się nie zdarza.

— Też myślę, że nie.

— Jasne. Teraz odjedziesz?

— Cóż robić… Czas na mnie.

Ale Dymitr został jeszcze dwa dni.

Myślę, że zrobił przepiękny film o polarze, o jego ludziach, o ich niełatwej drodze w jutrzejszy dzień. Szkoda tylko, że nie było w nim pociągu.

PIEŚŃ O ZIELONYM POCIĄGU

Nocami ziemia jeszcze stygła pod lodowatymi gwiazdami, ale święto wiosennej radości, szybkich skrzydeł, dźwięcznych ruczajów — było już na progu. Jeszcze trochę, a pierwsze żółte barwy legną na stokach i zarzecze zacznie się ukraszać bzowym kolorem.

Wyszedłem pożegnać zimę, narty jeszcze się ślizgały po sinym śniegu, osiadłym ciemnymi plamami pod drzewami, na skrajach polan, gdzie pnie w słońcu dyszały parą.

Południe. Słońce. Pierwsze bezśnieżne wysepki na kamiennych łbach sopek. Całkiem niepostrzeżenie dojechałem do drogi kolejowej. Wisiał nad nią strumień ciepłego powietrza; granitowy nasyp był nagrzany, szyny pachniały żelazem. Wzdłuż nasypu ciągnął się szlak narciarska. Doznałem uczucia, że ktoś mnie śledzi. Ale nikogo nie było widać. Jechałem wolniej, oglądając się. Daleka figurka zamajaczyła za moimi plecami. Pojechałem szybciej, lecz figurka wciąż rosła i rosła. Po drugiej stronie nasypu jechał na nartach człowiek. Kobieta. Coś jakby nieuchwytnie znajomego odkryłem w niej. Przyjrzałem się: Lena Rugojewa. Skąd się tu wzięła, pomyślałem, przecież odleciała na Północ, i nagle przypomniałem sobie naszą malutką ekspedycję, zdziwiony okrzyk Achwa („Widzę ludzi!") i później jego przyczynę (tam koło pociągu była Lena).

— Dzień dobry, Walentynie Mikołajewiczu! — zawołała Lena.

— Dzień dobry, Leno! Czyżby już pani do nas wróciła?

Jej głos brzmiał wyraźnie, choć była jeszcze daleko. Czekałem na nią, wciąż jechała po drugiej stronie nasypu. Oczy jej promieniały, była podobna teraz do owej z Północy legendarnej dziewczynki, której głos jest dźwięczniejszy niż pieśń wiosny.

— Nie, Walentynie Mikołajewiczu, jeszcze nie wróciłam do was. Chcę panu opowiedzieć o zielonym pociągu.

… Dzień był radosny, niezwykły, choć nie mogłem się uwolnić od poczucia własnej bezradności. Wszystkie moje pytania wydawały mi się niepotrzebne, bo i bez nich otrzymywałem odpowiedzi, a sens słów Leny docierał do mnie tak dobitnie, jakby studiowała głośno swoje myśli, a ja łowiłem je. To uczucie było mi przedtem nie znane, a owa nieoczekiwana lekkość obcowania wywołała nawet małą trwogę: przecież moje rozważania i myśli mogły się jej wydawać zbędne, i niewydarzone. Cóż więc robić? Jeśli pytać nie potrzeba?

Słuchać? Dziwnym, niepojętym wprost sposobem domyśliłem się wszystkiego, co ona jak gdyby chciała mi powiedzieć, i oto z całkiem niewielu słów, jakie padły z jej ust, powstał pełen obraz: zrozumiałem, że zielony pociąg był jedną z badawczych stacji. To był rzeczywiście gwiezdny pociąg, i te dwa wyrazy najbardziej do niego pasowały, dlatego że…

Niełatwo zdać sobie sprawę z tego, że pozorna pustka przestrzeni zawiera tak wiele, iż trzeba ją studiować lata, dziesięciolecia. Ale i to jeszcze nie wszystko — fale radiowe są tylko małą cząstką tego, co w niej ukryte. Za nimi wznosi się bezkresny rząd przekształcających się nawzajem fal i cząsteczek — i powolnych, i szybkich, takich szybkich, że wyprzedzają światło, jakby zakreślając swymi promieniami drogę z teraźniejszości w przyszłość. I — idąc śladem tych błyskawicznych wykresów — wschodzą w przestrzeni niezliczone korowody gwiazd, parujących planet z błękitnymi gazowymi obłoczkami, migocących kornet i szybkich meteorów — ale to tylko ślady, odblaski tego ruchu, który jest racją wszystkiego. To, co da się zobaczyć, może być zrozumiałe. Lecz gdzie są źródła nieznanych „błyskawicznych promieni"? Oni ich nie znaleźli. Szukali. I wiedzieli, że z chwilą gdy te źródła zostaną odkryte — wyjaśni się racja istnienia całej Galaktyki. Oto dlaczego już tyle lat podróżował z planety na planetę gwiezdny pociąg. Ale gdzieś w innych konstelacjach i w innych światach, pod niebieskim, pod żółtym, pod różowym słońcem, każdego dnia, każdej godziny, niewidzialne jak wiatr, jak powietrze, jak oddech mknęły inne pociągi. Oto dlaczego wierzyli w postęp.

Pomyślałem: po co ten wieczny ruch? I zrozumiałem: źródło promieni można znaleźć, ale tylko „chwyciwszy” je z kilku punktów przestrzeni.

Zrodziło się pytanie: pewnie trudno uczynić pociąg niewidkiem? I w głowie ułożyła się odpowiedź: wcale nie, na wagonach są translatory światła, one wyłapują promienie z jednej strony pociągu i przekazują je na drugą, i tak powstaje iluzja, że wagony są przeźroczyste, niewidzialne.

Lena pracowała z nami… Po co to im? Czyżby tylko dlatego, że droga nie była gotowa? I oczy Leny stały się trochę figlarne, roześmiała się i poprawiając włosy rozsypane na plecach, powiedziała:

— Otóż nie. Oczywiście, pociąg był tylko do czasu. I spraw terminowych nie było. Ale nas przecież obchodzi jedynie pociąg-niewidek, a nie ludzie. Najlepszy sposób to nie wyodrębniać się, nie rzucać się w oczy, to znaczy — być razem. I potem też jest to potrzebne. Czyż pan nie zauważył, że wszystkie obliczenia wypełniałam o wiele dokładniej, niż trzeba? Pracowałam jednak z wami także dlatego, że to było interesujące. Bardzo. Nawet ogniska w tajdze lubię, i ptaki, i śniegi, i narty. I waszą pracę. Jakbym się tu urodziła. A na Dalekiej Północy rzeczywiście byłam, przecież musimy znać linię trasy bardzo dokładnie, o wiele dokładniej niż wy. Potem trzeba będzie sprawdzać współrzędne drogi co do milimetra. Nawet taka drobna pomyłka urasta w parseki przy dużej odległości od punktu obserwacji. A pan, Walentynie Mikołajewiczu, pan powinien zapomnieć wszystko, co się wiąże ze mną osobiście. Trudno to wytłumaczyć. Po prostu tak trzeba. Przecież będziemy jeszcze razem pracować. Pomogę wam. Proszę zapomnieć naszą rozmowę, a pociąg… O nim może pan wiedzieć wszystko. Pamięta pan, jak pański aparat przypadkowo sfotografował i obu wam z Dymitrem nic nie wyszło? No więc dziś wieczorem proszę wywołać kliszę, pan tego dotąd nie zrobił. Kiedy tylko zobaczycie na zdjęciu pociąg, w waszej pamięci powstanie jakby luka. Na jakiś czas oczywiście. Wasi specjaliści bez trudu pojmą, co to jest zielony pociąg. Pan i Achwo przypomnicie sobie nasze spotkania za pół roku, kiedy nas tu już nie będzie. A teraz czas na mnie!…

Rozumiałem ich. Niełatwo pracować przez długie lata na obcej planecie, a teraz pozostały im być może wyliczone tygodnie i nie mogli zwlekać, wszystko się kończy, wszystko u kresu — nerwy, aparatura. I czyż nie zdecydowali się odsłonić tajemnicy pociągu tylko dlatego, że wzbogaci to ich o dodatkową energię, która pozwoli przedłużyć choć o kilka dni owe krzepiące obserwacje? (Przecież pociąg jest niewidoczny jedynie wtedy, kiedy pracują bardzo skomplikowane, w naszym pojęciu, przyrządy…)

— Dobrze — powiedziałem — niech tak będzie. Życzę powodzenia,

Leno!

…Nagle słoneczne promienie zbiegły się jak w pryzmie. Z jasnego ognia wyleciał cień. Ten cień był pociągiem, zobaczyłem go w końcu tuż obok. Kiedy przeniósł się mimo, rozlawszy miękką światłość, Leny już nie było. Skądś z daleka dobiegł jej głos: „Posłuchajcie naszej pieśni, Walentynie Mikołajewiczu!”

To była raczej ziemska pieśń. Inaczej być nie mogło: przecież oni kochali Ziemię i tu pracowali.

O czym śpiewano w pieśni?

Śpiewano w niej o szczęśliwym nadejściu pierwszego dnia wiosny i o niebieskich, jasnych jej dniach, o zapachu burz i leśnym czarze zielonego odrodzenia przy akompaniamencie deszczów. Śpiewano w niej o złotych kobiercach jesiennych traw i stadach dzikich srebrzystych ptaków krzyczących na kamieniach i skałach, o tajemniczych ogniach tajgi, które z bliska rozpływały się jak widma, a z daleka jarzyły niczym ślepia zwierząt, wilków i rysi, i śpiewano w niej o silnych sztormach wzdłuż wschodnich wybrzeży — cudacznie powyginanych brzegów planety, o letnich barwach północnych fiordów i o całej przestrzeni, gdzie przebiegał ich pociąg.

Przetłumaczyła Ryszarda Wilczyńska

Michaił Griesznow
O czym mówią tulipany

Odbywałem samotne wycieczki górskie w Sajanach. Najlepiej czynić to bez pośpiechu, nikogo nie goniąc i na nikogo nie czekając. Świat wydaje się wówczas rozleglejszy i swobodniej się myśli. Znałem ścieżkę, którą w ciągu godziny można było dotrzeć do turni. Pierwszy raz poprowadziły mnie nią miejscowe dzieci, a później przemierzałem ją sam, schodząc z gór nawet nocą, zapamiętawszy wymyślny bieg dróżki między krzewami i skałami. Przyjemnie jest zostawać na szczytach do pojawienia gwiazd, wsłuchiwać się w ciszę i widzieć, jak w górze zapalają się pierwsze iskierki. Gwiazdy rozbłyskują nagle — jasno i triumfalnie. Z pewnością dlatego, że w tym momencie są bliżej nas.

Poza tym w Sajanach są piękne kwiaty — To spostrzeżenie wynika jednak z sentymentalizmu, którego w zadym przypadku staram się nikomu nie pokazywać. W góry chodzę sam. Tuż przy turniach rozpościerają się łąki: królestwo ziół i kwiatów. Nieraz zrywam kwiaty, ale nie bezmyślnie i nie wszystkie. W pełni zadowala mnie gałązka różanecznika zwanego tu para żarkow. Niekiedy zrywam czerwone i żółte maki alpejskie. Kwiatki te żyją jednak krótko — więdną i obumierają w oczach. Jest mi ich żal.

Spacery w górach mają jeszcze tę zaletę, że wyzwalają wyobraźnię. Marzy się o skrzydłach, ale nie o takich, na których zamontowane są śmigła i turbiny. Te są powszednie i zwyczajne: na samo wspomnienie szumu i drżenia silników cierpnie skóra. Nie chodzi też o skrzydła ptasie — doskonałe, ale słabe, nie będące w stanie unieść daleko. Marzy się o skrzydłach myśli, żeby oblecieć całą planetę i zetrzeć z niej atomowe oraz inne zło. Żeby skrzydła te uniosły mnie ku innym światom. — pięknym i dobrym; czy są takie światy? Rozmyślałem o posiadanych już przyjaciołach i tych, których spotkam jeszcze w życiu, o pięknie, o miłości i wielu innych sprawach; kraina marzeń jest nieskończona.

Niewątpliwie z tej krainy przybył też Bielski, Borys Andriejewicz.

Tak sądzę dzisiaj, kiedy wspominam nasze spotkanie — Wówczas wydawało mi się, że zjawił się nie w porę. Bardzo nie w porę. Żegnałem się z Sajanami. Okres pobytu dobiegł końca i w kieszeni miałem już bilet na powrotny lot. Leczenie w uzdrowisku górskim niewiele mi pomogło. Prawdopodobnie więcej pomogły powietrze i cisza gór. Miałem przed sobą powrót do miasta, do laboratorium z kolbami, odczynnikami, do nie dokończonej rozprawy,O sposobach chemicznego zwalczania chwastów”. Wszystko to czekało mnie nie dalej, jak jutro. Tymczasem jednak pragnąłem posiedzieć w samotności na ulubionej polanie. To zupełnie naturalne pragnienie zostało zakłócone nadejściem Bielskiego.

Najpierw usłyszałem sapanie, mruczenie i chrzęst kamieni pod podeszwami butów. Później całkiem wyraźnie zabrzmiało pytanie: „O czym mówią tulipany?…” Ponownie niezrozumiałe mruczenie i wreszcie zza skały ukazał się bardzo wysoki, bardzo zgarbiony i bardzo chudy starzec w kapeluszu o szerokim rondzie, w okularach, w kraciastej kowbojskiej koszuli i z aparatem fotograficznym na pasku zwisającym z ramienia. „Turysta — pomyślałem. — Dziwne, przez cały sezon nie spotykałem tu turystów…, dopiero teraz”. Starzec szedł ku mnie ścieżką i było oczywiste, że za chwilę zacznie się rozmowa bez treści, jakie zwykle prowadzą turyści — o okolicy, o pogodzie, o odciskach, o konserwach, które trudno kupić, a które są tak nieodzowne na kolację. Mój ostatni wieczór zostanie zepsuty. Aż westchnąłem — tak bardzo nie chciałem psuć tego wieczoru.

— Tutaj już ktoś jest — powiedział starzec dostrzegłszy mnie. — Doprawdy, człowiek — kontynuował. — Kuracjusz. Inteligent…

Wstęp nie wróżył niczego dobrego — Zaświtała mi jednak myśl: a nuż starzec pójdzie dalej? Jakże tego pragnąłem! Niestety, nadzieja nie spełniła się. Zaczął iść wolniej. Bez wątpienia chciał zostać ze

mną. Więcej — usiadł obok na kamieniu.

— Różanecznik, maki — powiedział spojrzawszy na trzymane przeze mnie kwiaty. — Beneb i Algol… Udane zestawienie. Czy pan je słyszy?…

— Kogo słyszę? — zapytałem.

— Kwiaty — odpowiedział starzec.

— Jak można słyszeć kwiaty? — spytałem.

Starzec nie odpowiedział. Siedział zgarbiony, opuściwszy ręce między kolanami — Dłonie splótł tak silnie, że aż zbielały mu kostki palców. Wzrok starca był wbity w ziemię i również w nim czuło się napięcie, jakby człowiek ten zaprzątnięty był bardzo poważnymi myślami lub rozwiązywał jakiś problem.

— O czym mówią tulipany? — spytał nie rozluźniając palców i nadal w skupieniu patrząc w ziemię.

„Ma maniakalne idee — pomyślałem — jeszcze tego brakowało!…” Twarz starca była jednak poczciwa, a jasne oczy krótkowidza promieniowały zaufaniem.

— Nazywam się Borys Andriejewicz Bielski — przedstawił się. — Przyjechałem dzisiaj z południowego Kazachstanu. Pojechałem tam oglądać tulipany…

„Botanik” — zdecydowałem.

— Jakie cudowne są te tulipany! — kontynuował. — Miliony tulipanów. A jaka zagadka!…

Proszę wybaczyć — powiedziałem — ale czegoś tu nie rozumiem. Nie rozumiałem niczego — ani treści rozmowy zaczętej przez Bielskiego, ani jej celu. Człowiek ten zwracał się jednak do mnie i nie można było milczeć, stąd to kompromisowe „czegoś”. Z rozmowy tej bowiem nie rozumiałem. niczego.

— A więc pan ich nie słyszy? — wskazał na gałązkę różanecznika i maki.

— Nie, nie słyszę — przyznałem się.

— Jaka szkoda! — wykrzyknął Bielski. — Wydawało mi się, że pan je słyszy i nie jestem sam!…

Patrzył na mnie przez dłuższy czas.

— Ani jednego człowieka — powiedział. — Poza mną… — Ponownie spuścił głowę.

Zdawało mi się, że ma jakieś zmartwienie, że nie może zebrać — myśli i stara się zapomnieć o wielkich troskach.

— To nic — powiedziałem ze współczuciem — minie…

— Nie mija — odparł. — Od samego dzieciństwa. Ale rozumieć je w sposób właściwy zacząłem dziesięć lat temu. Gdyby to było wcześniej! Wszak mam już sześćdziesiąt siedem!…

— Proszę się uspokoić! — powiedziałem, nadal sądząc, że ma jakieś zmartwienie.

— O czym pan mówi? — spytał.

Nie wiedziałem, o czym mówię, ale pytanie otrzeźwiło mnie.

Przecież już dawno powinienem mu zadać to samo pytanie. Nadal jednak myśląc o straconym wieczorze, zapytałem dyplomatycznie:

— Czy ma pan jakieś zmartwienie?

— Łatwo powiedzieć: zmartwienie! — zawołał. — Po prostu mi nie wierzą! — Bielski nachylił się ku mnie patrząc znad okularów. Miały podwójne szkła i u nikogo nie widziałem takich okularów. — Uważają mnie za kłamcę! — kontynuował. — A ja słyszę, jak rozmawiają kwiaty!

— Kwiaty?… — zapytałem ponownie.

— Tak, młody człowieku, kwiaty! Każdy inaczej! I każdy związany jest z jakąś gwiazdą.

Pomyślałem, czy nie wstać i nie zejść w dół zbocza. Zatrzymał mnie jednak.

— Różanecznik związany jest z Denebem — powiedział biorąc gałązkę z moich rąk. — Maki z Algolem. Rumianek… Boże, rumianek, nie wiem z jaką gwiazdą jest związany!… I tak każdy kwiat. Od najbardziej niepozornego po tulipany!

Nadal trzymał gałązkę różanecznika. Ja z kolei gałązki nie puszczałem obawiając się, że rozsypie się mój bukiet. Tak więc siedzieliśmy związani gałązka różanecznika, jakby nitką.

— Czy zadawał pan sobie kiedykolwiek pytanie — ciągnął dalej Bielski — dlaczego na świecie

jest tak wiele kwiatów i dlaczego są one do siebie podobne jak gwiazdy?

— Nie, nie zadawałem — powiedziałem.

— A przecież są to miniautrowe teleskopy! Radioteleskopy, młody człowieku, i wszystkie są zwrócone ku gwiazdom.

W bredniach starca — o ile były to brednie — wyczuwało się logikę.

Ale jeszcze bardziej czuło się pewność i to przeszkadzało mi odejść, a nie gałązka różanecznika, którą wspólnie trzymaliśmy. Gałązkę mogłem mu oddać, ale rozmowa zaczęła mnie wciągać. Nie niedorzeczność rozmowy — w oczach Bielskiego, w intonacji jego głosu nie było niedorzeczności. Było przekonanie, którym starzec zaraził również i minie. Chciałem usłyszeć, co jeszcze powie ten dziwny człowiek.

— Proszę popatrzeć — puścił wreszcie gałązkę różanecznika — każdy kwiatek, czy to nagietka, mak, czy storczyk, ma kielich w postaci rozwartej czaszy z pręcikiem lub systemem pręcików w centrum. Proszę spojrzeć na ten różanecznik: czyż nie jest to radioteleskop z ażurowym zwierciadłem i stojącą anteną? Przechodzimy obok nie dostrzegając cudu, ponieważ jest on zwyczajny. Ale jest to antena, odbiornik nastrojony na określoną falę, przyjmujący przekazy z kosmosu. Należy je tylko wzmocnić i rozszyfrować. Chce pan posłuchać?

Bielski odpiął skórzany futerał, w którym, jak sądziłem, znajdował się aparat fotograficzny, i wyjął — przyrząd podobny do miniaturowewego odbiornika tranzystorowego. Z jednej strony rozpoznałem pod metalową siatką krążek głośniczka wmontowanego w korpus, a z drugiej w plastikowej ramce było naciągniętych kilka nitek. Tą stroną zbliżał on przyrząd do trzymanych przeze mnie maków. Z głośnika popłynęła cicha, a nawet powiedziałbym, nieśmiała muzyka: grały dwa instrumenty — jeden niskim, a drugi wysokim tonem. Nie była to jednak wiolonczela ani skrzypce, ani saksofon. Melodia była nieziemska, niezwykła, a jednocześnie delikatna, przejmująca, jakby głosy te wzywały ku sobie i nie oczekiwały odpowiedzi. — Muzyka z Algola, bety Perseusza — wyjaśnił Bielski. — A oto Deneb. — Zbliżył przyrząd do kwiatów różanecznika. Z głośnika rozległ się, zamruczał niski, wibrujący głos, jakby ktoś uderzył w dźwięczące drzwi. — Słyszy pan? — zapytał Bielski. — I tak z każdej gwiazdy. Ile kwiatów, tyle gwiazd.

— Czyżby gwiazdy mówiły?

— Oczywiście nie gwiazdy — odpowiedział Bielski. — Wokół gwiazd są planety z istotami myślącymi. Sygnały przekazuje się za pośrednictwem promieni gwiazdy.

— Jak dowiedział się pan o tym, Borysie Andriejewiczu? — spytałem.

Bielski uśmiechnął się patrząc na mnie konfidencjonalnie.

— W dzieciństwie leczono mnie — powiedział. — Z szumu w uszach. Zwykle zaczynało się to wiosną, gdy zakwitały sady. Słyszałem śpiew i szemrzenie drzew nawet przy zamkniętych oknach. Kiedy okna otwierano, nie mogłem spać. Mówiono do mnie — „to wiatr”. Gdy zaczynałem przekonywać, że kwitnąca wiśnia dźwięczy jak chór, a jabłoń jak orkiestra, karcono mnie i nazywano kłamczuchem. Bodziszek na oknie śpiewał trójgłosem, dorodny pierwiosnek nie tylko dźwięczał nocami, ale przekazywał też obrazy. Klomb pod oknami ćwierkał, pohukiwał, piszczał. Szczególnie dokuczały mi irysy: bez przerwy trzeszczały wysoką, świszczącą nutą, nie dając spokoju ni dniem, ni nocą. Obecnie wiem, co to alfabet Morse a, ale w 1907 roku, jako czteroletnie dziecko, cóż mogłem o tym wiedzieć? „Fantasta!” — mówiono mi, gdy próbowałem się żalić.

Potem zaczęto mnie wozić do lekarzy. Ci zapewniali:

— Zdrowy, normalny chłopiec. Błony bębenkowe w porządku, trąbki Eustachiusza czyste. Nie ma powodu się skarżyć.

Ojciec, urzędnik podatkowy, targał mnie za uszy za każdy rubel na próżno wyrzucony na lekarzy.

— Nicponiu… — mówił. — Nie chcesz się uczyć, będziesz tragarzem!

Uczyłem się słabo; szum w uszach przeszkadzał mi się skupić.

Kwiaty nienawidziłem w sposób okrutny, nie rezygnując z żadnej okazji zadeptywania klombów, niszczenia krzewów róż. Za to także obrywałem, uważano mnie za dzikusa, złego chłopca… Około trzynastego roku życia przywykłem jednak do szumu, a później przestałem — na niego zwracać uwagę, starając się niczym nie odróżniać od rówieśników. Nie było czasu, aby zajmować się drobiazgami: zaczęła się rewolucja i wojna domowa. Pracowałem i jako tragarz — ojciec miał rację — i jako górnik w Donbasie, i jako laborant w instytucie badawczym. Studiowałem zaocznie i przed nastaniem lat czterdziestych skończyłem politechnikę. Zajmowałem się wynalazkami. Wynalazkami zajmuję się do chwili obecnej. Gwiazdofon — tu Bielski wskazał na przyrząd trzymany w rękach — to mój wynalazek. Okulary — dotknął ręką okularów z podwójnymi szkłami — są także moim wynalazkiem.

— Jakie okulary? — spytałem.

— Do oglądania przekazów gwiazdowych.

— Na kwiatach?…

Bielski kiwnął potakująco głową.

— A ja mogę… oglądać? — spytałem wstrzymując oddech. Ogarnęło mnie wzburzenie, jak chłopca, którego po raz pierwszy przyprowadzono do, cyrku. — Czyżby można było zobaczyć?… — powtarzałem.

To co słyszałam z przyrządu, nazwanego przez Bielskiego gwiazdofonem, mogło być mistyfikacją, a gwiazdofon — odbiornikiem tranzystorowym. Niezbyt orientuję się w muzyce i nie wiem, jakie sygnały lub audycję mógł odebrać tranzystor. Opowiadaniu Bielskiego można wierzyć lub nie, wszak mówił on o rzeczach fantastycznych. Niemało fantastyki zawierają współczesne czasopisma. Być może przeczytał on gdzieś o gwiazdach, o kwiatach i przedstawił te poglądy jako swoje? Jeżeli można jednak zobaczyć, to zupełnie inna sprawa. Wzrok nie oszuka. Uchwyciłem się tej myśli jak tonący brzytwy. Chciałem, żeby całe opowiadanie Bielskiego nie było mistyfikacją.

— Można?… — pytałem. Bielski zdjął okulary, przy czym musiał w tym celu zdjąć i ponownie włożyć kapelusz.

— Można — powiedział. — Nie zawsze, ale jesteśmy w szczęśliwej sytuacji. Widzi pan tę łąkę? — pokazał na łączkę żółtą od jaskrów. — Te rumianki… — Na skraju łąki, gdzie było bardziej sucho, białą płachtą ścieliły się rumianki. — Nieważne, że to ekran telewizyjny — mówił Bielski. — Każdy kwiat przyjmuje cząstkę rysunku. Gdy kwiatów jest wiele i rosną gęsto, można ujrzeć obraz. — Borys Andriejewicz podał mi okulary.

Wziąwszy je wstałem z kamienia i poszedłem ku polanie żółcącej się jaskrami.

— Proszę nie podchodzić zbyt blisko — uprzedził Bielski. — Podobnie jak na ekranie telewizyjnym należy oglądać przekaz z pewnej odległości.

Zatrzymałem się i włożyłem okulary.

Ujrzałem miasto. Odległe miasto we mgle, jak niewyraźny szkic, jak miraż na pustyni. Widziałem zarysy domów i dzielnic, jakbym znajdował się na wzgórzu lub wieży nad miastem. Widziałem ulice, parki, aleje. Miasto żyło — na ulicach coś się poruszało, przemieszczało, być może tłumy, a może sznury pojazdów. Miasto było ogromne, jego krańce ginęły w perspektywie i jakby w pyłowej zamieci. Ruch widoczny był na wiaduktach nad ulicami, w alejach parków i na dachach domów.

Wydawało mi się, że słyszę szum miasta: turkot kół, warkot silników. Im dłużej wpatrywałem się w miasto, tym więcej odkrywałem szczegółów: oto okrągła budowla, być może cyrk, oto owalna — hipodrom lub stadion, a tutaj błyszczy basen; na piasku można nawet rozróżnić brązowe kreseczki ciał… Coś uniosło się nad miastem — trójkąt, fruwające skrzydło, o oto jeszcze jedno i jeszcze… Przerywana linia latających przedmiotów przemieszczała się nad domami, nad placami; pierwsze z nich już się skryły za horyzontem. Zdjąłem okulary i zapytałem:

— Co to jest?

Bielski wzruszył ramionami.

— W galaktyce jest sto miliardów gwiazd — powiedział.

Włożyłem ponownie okulary i spojrzałem na skraj polany bielejącej rumiankiem. Teraz ujrzałem ocean i nad jego powierzchnią rozpinający się ogromnym łukiem most. Łuk urywał się w miejscu, w którym kończył się rumianek, i most zdawał się wisieć w błękicie powietrza i wody. Był on metalowy, o lekkiej, ażurowej konstrukcji i całkiem pusty. Daremnie wpatrywałem się w bielejącą wstęgę jezdni biegnącej środkiem mostu; droga była pusta.

Bielski podszedł do mnie i zapytał:

— Nic?…

— Widzę most — powiedziałem.

— Na moście nic nie ma?

— Pusto — odpowiedziałem.

— Ja także — stwierdził Bielski — ilekroć patrzę na rumianek, zawsze na moście nic nie ma. Pusto.

Poszedł dalej i zbliżył do rumianku mikrofon swojego przyrządu.

Usłyszałem plusk fal. Tak pluskałyby fale gdzieś w dole, gdybym stał na moście.

— Słyszy pan? — zapytał Bielski.

— Oddech morza… — powiedziałem.

— Proszę się lepiej wsłuchiwać.

W plusku fal wyróżniłem cichy, kojący szept — frazy, okresy, strofy. A most był pusty. W uszach coś dźwięczało, szeptało, jakby ocean był żywy i rozmawiał sam z sobą.

— Zadziwiające! — Oddałem okulary Borysowi Andriejewiczowi.

Ten milcząc złożył je i schował do kieszeni.

— Zadziwiające! — powtórzyłem. — Czy opowiadał pan komuś o tym? Czy opatentował pan wynalazek?

— Opowiedziałem teraz panu — odrzekł Bielski. — A patentu nie brałem. Widzi pan… — Spojrzał na mnie ufnymi oczami krótkowidza.

Słowo honoru, lubiłem starca za to otwarte, nieco roztargnione spojrzenie. Na pewno łatwo skrzywdzić tego łagodnego człowieka, wyśmiać go i z pewnością bał się tego ze strony innych ludzi.

— Patentu nie wziąłem — powtórzył. — Gwiazdofon wynalazłem niedawno. Jeżdżę, słucham. Opanowuję… — zawahał się; widocznie słowo wydało mu się zbyt prozaiczne, niewłaściwe. — Niedawno byłem w Kazachstanie — kontynuował — słuchałem tulipanów… A pracuję nad innym modelem, gwiazdofonem stereofonicznym. Ukończę model, to go ogłoszę. Tylko… — Bielski ponownie się zawahał. — Obawiam się jednej rzeczy…

— Czego pan się boi? — zapytałem.

— A może powiedzą, że to wszystko bzdura, abstrakcje… Co innego, gdybym się zajął herbicydami. Przecież jaskry i rumianek to zwyczajne chwasty…

Tak, widziałem, że obawia się obojętności, niezrozumienia, boi się, że mogą go publicznie wyszydzić, jak czynił to niegdyś jego ojciec, wożąc bezskutecznie do lekarzy. Pomyślałem nawet, jak by mu pomóc w utwierdzeniu jego wiary. A może ma rację, że trzeba udoskonalić wynalazek, a później go ogłosić?

W tym czasie Bielski rozwijał swoje myśli:

— Dlaczego nie zajmować się tematami abstrakcyjnymi? Należy podejmować wszystkie. Przemawiają za tym doświadczenia niejednego wynalazku; trzeba badać i chmury, i grzyby, i skrzydła motyli. Weźmy konstruowanie odbiorników. Czy należy się tym zajmować, jeżeli opracowano już tysiące schematów? A nagle tysiąc pierwszy będzie odbiornikiem, który przyjmie audycję z kosmosu?… Zresztą, teraz nie jest to konieczne — sygnały z kosmosu wychwytują kwiaty. A jednak istnieje konieczność! — wykrzyknął. Może powstanie odbiornik, który uchwyci coś zupełnie nieoczekiwanego. Proszę sobie przypomnieć: badano pleśń i odkryto penicylinę, zachwycano się skrzydłami ważki i znaleziono sposób neutralizowania zgubnego wpływu flatteru…

Słońce skryło się za skały. Na polanie stało się chłodniej i mroczniej. Półmrok objął zbocza wypełniając dolinę sinym i fioletowym światłem. Poszliśmy z Bielskimi ścieżką.

— Po co o tym mówić? — ciągnął. — Badania konieczne są zawsze i wszędzie!

Nie protestowałem. Moim marzeniem było wziąć w ręce jego zadziwiający gwiazdofon. Zeszliśmy już do połowy góry, gdy udało mi się zawładnąć przyrządem. Nadal trzymałem też w ręce maki alpejskie i różanecznik. Podniosłem przyrząd ku kielichom maków i ponownie usłyszałem muzykę — te same dwa głosy, wysoki i niski, które zlewając się tworzyły nieziemską melodię. Wydawało się, że od muzyki płynie aromat — delikatny, nieco gorzkawy, jak od migdałowca, przejmujący i przygnębiający.

— Borysie Andriejewiczu — zwróciłem się do starca — czy rozumie pan znaczenie przekazów?

— Muzyka — odpowiedział. — Najczęściej to muzyka i można ją zrozumieć. Muzyką łatwo wyrazić radość, nadzieje, wezwanie, rozpacz. Wszystko to występuje w gwiezdnych melodiach.

Bielski zamilkł i zwolnił.

— Jednego nie mogę zrozumieć — oznajmił — o czym mówią tulipany?

Słyszałem już to pytanie. Wyraźnie niepokoiło ono Borysa Andriejewicza.

— Dlaczego tulipany? — zapytałem.

— Proszę wiec posłuchać — powiedział. — Mam zapis… — Wydobył z kieszeni tekturowe pudełko, poszperał w nim i wyjął kawałek taśmy. — Może pan da na chwilę — wziął z moich rąk gwiazdofon. Trzask, taśma ulokowana. — Proszę słuchać — powiedział.

Z głośniczka popłynął szelest, szmer, niewypowiedzianie odległy, słaby, tajemniczy. Wydawało się że to szmer deszczu na dachu; można było rozróżnić plusk poszczególnych strug, dzwonienie kropli. Nie było to jednak ani jedno, ani drugie. Dźwięczał żywy głos, a wspomniane pluski można było przyrównać do oddechu i przerw miedzy frazami. Mijały sekundy, minuty, a szept nie kończył się; podobnie dźwięczały krople, słychać było oddech i szmer tajemniczego przekazu.

— To Mizar — wyjaśnił Bielski. — Podwójna gwiazda w gwiazdozbiorze Wielkiej Niedźwiedzicy. Tulipany odbierają Mizar…

Chyba po raz pierwszy podczas rozmowy z Bielskim poczułem nierealność spotkania z tym zadziwiającym człowiekiem. Dotąd moją uwagę pochłaniały gwiazdofon oraz cuda, które pokazywał i o których opowiadał Bielski. Skąd on jest, kim jest ten starzec? Być może to nie człowiek, a przybysz z gwiazd? Dlaczego nikt nie słyszał o nim i o jego odkryciu? Co robi w uzdrowisku górskim?… Odwróciłem się ku Bielskiemu:

— Proszę opowiedzieć o sobie, kim pan jest?

Bielski nie odpowiedział na pytanie, może go nie usłyszał: przedzieraliśmy się przez krzewy i trzeba było odgarniać gałęzie rękoma, aby nie podrapać twarzy. Chyba od minuty słychać było chrzęst igliwia i szelest liści. Być może Bielski nie chciał o sobie mówić? Przygotowałem się już do powtórzenia pytania, ale zaczął sam.

— Już mówiłem — odezwał się w ciemności. — Nieomal wszystko opowiedziałem o dzieciństwie, o nauce, pracy nad wynalazkami. A poza tym, co panu jeszcze opowiedzieć? Jestem emerytem — stwierdził zmieszany. — Minęło siedem lat, jak poszedłem na emeryturę. Zgodnie z wiekiem i ze stażem. — Również i te jego słowa zadźwięczały tak, jakby niezręcznie było mu je wypowiadać. — Nie mam rodziny — kontynuował. — I nie miałem. Biegacz stepowy, biedak mówią o takich jak ja… Ale może to i lepiej.

Wydawało mi się, że się uśmiechnął. Przypominam sobie jego zażenowany, roztargniony uśmiech. Dziwny, nie przystosowany człowiek: posiada taki wynalazek… Zdaje się, że ma on go za nic. Albo nie zna jego ceny, albo nikt go nie rozumie. Przecież i ja na początku uznałem go za pomylonego.

— Jestem swobodniejszy bez rodziny — mówił Bielski. — Chodzę po kraju, jeżdżę. Przyglądam się kwiatom. Byłem na Kaukazie, na Krymie, w Pamirze. Teraz jestem tutaj. Zatrzymałem się w domu

turystycznym… Piszę monografię. Nie mogę dobrać tytułu. Być może nazwę ja „Kwiaty i kosmos”. Brzmi to nieprzekonywająco, dziecinnie… Trzeba by jeszcze pojeździć po świecie — ciągnął dalej — zebrać więcej materiałów. Chcę się udać do Australii. Dowiedzieć się, o czym mówią Canopus i gwiazdy Centaura…

Mówił nudnie, nieciekawie, jak gdyby nie chciało mu się opowiadać o sobie. Była to proza po wielkiej poezji o kwiatach i gwiazdach, którą przed chwilą mnie uraczył. Czuł tę prozę i przerwał opowiadanie w pół słowa.

Resztę drogi przeszliśmy milcząc, rozmyślając każdy o swoim: Bielski na pewno o gwiazdach, a ja o zakładzie, laboratorium, o pisanej z trudem rozprawie. Co powiedziałby o swojej rozprawie Bielski, gdyby go zapytać?…

Nie, nie spytałem go o to. To nie jest najważniejsze. Najważniejsze tkwi w nim samym — coś niezwykłego, niepowtarzalnego.

— Jak pan tłumaczy — zapytałem — swoją wrażliwość na głosy gwiazd? Mówił pan, że w dzieciństwie słyszał śpiew i szept kwiatów.

— Jak tłumaczę? — powiedział. — Być może jest to anomalia, ale możliwe, że norma. Myślę, że w każdym człowieku tkwi to samo, co we mnie. Może każda komórka naszego ciała jest nie tylko nadajnikiem fal radiowych, co dowiedziono, ale i odbiornikiem? Może ja mocniej odczuwam, ale taki odbiór może wypracować każdy. Czyż mało zagadek kryje system nerwowy i mózg człowieka? Trzeba poszukiwać…

— Trzeba szukać… — Powtórzyłem jak echo jego ostatnią wypowiedź. Starzec ma rację: przed nami poszukiwania i odkrycia.

Światła osady ukazały się nagle. Ścieżka przeszła w drogę, która się rozdwajała: jedna wiodła do osady, a druga do uzdrowiska. Bielski zatrzymał się.

— A zatem doszliśmy — powiedział. — Dziękuję panu. Na pewno nie wydostałbym się z lasu i nocował przy ognisku. Lubi pan nocować przy ognisku?

Powiedziałem, że jestem Sybirakiem i nie jeden raz tak nocowałem.

— A w Australii chciałby pan być? W prawdziwej Australii? — zapytał Bielski, nie chcąc widocznie więcej mówić o sobie i dając mi do zrozumienia, że nie powinienem więcej pytać.

Nic nie odpowiedziałem.

— Ja bardzo chcę… — powiedział.

W jego głosie dźwięczało zmieszanie, jakby przepraszał za przerwaną rozmowę: nie należało opowiadać o emeryturze, o nie napisanej jeszcze monografii — wszystko to psuło spotkanie.

— Żegnam — Bielski podał mi rękę. Podałem swoją, ale ze zdziwieniem poczułem w ręce gwiazdofon.

— Na pamiątkę — powiedział Bielski. — Proszę nie odmawiać przyjęcia.

Bezwolnie ścisnąłem podarek w ręce, szukając słów podzięki.

— Jeszcze zapis z Mizara — podał mi na dotyk taśmę. — Tajemnica tulipanów… Doskonały temat rozprawy. Z chwastami się panu nie wiedzie.

Czyżby czytał moje myśli?…

Borys Andriejewicz roześmiał się:

— Myśli — czytać łatwiej. Nie zawsze przyjemnie, ale łatwiej. Byłem oszołomiony.

— Proszę rozwiązać tajemnicę — ciągnął Bielski — znajdę pana. Pan może to zrobić: odkryć zagadkę. Ma pan przewagę, młodość. Żegnam.

Przez minutę słyszałem jego szurające starcze kroki. W rękach miałem taśmę i gwiazdofon, a w głowie tysiące pytań do Bielskiego.

— Borysie Andriejewiczu!… — krzyknąłem w ciemność. Ale jego kroki już ucichły.

Przetłumaczył Ryszard Ciszewski

Andriej Bałabucha
Grabarz

1

— Za godzinę. Odpowiada?

— Całkowicie — odrzekł Kostin. — Dziękuję ci, Boria.

Boll wyłączając się pokręcił gwałtownie gałką radiową. W istocie nie nadto się zdziwił natychmiastowemu wezwaniu go, choć właśnie teraz, kiedy „Syrrusa” poddano profilaktyce, było to bardziej niż dziwne.

Me chciało mu się wstawać, położyli się wczoraj bardzo późno. Ale niech tam. Poderwawszy się usiadł, spuścił nogi na podłogę i utonął stopami w miękkim, łaskoczącym meszku. Tę podłogę Różena zrobiła sama. Przedtem, pamięta, była inna — szara, elastyczna… jakże ją… A ta jak się nazywa? Trzeba będzie spytać…

Boll wykonał ćwiczenia gimnastyczne — uproszczony cykl relaksowy, wezwał inimobil i nawet zdążył naprędce przegryźć, nim jego przeciągły sygnał rozległ się pod oknami.

Po półgodzinie już opuścił windę i przeszedłszy długi korytarz, którego sklepiony sufit przypominał sufit statku, znalazł się przed gabinetem koordynatora Ksenijskiej Bazy Pionierów. Machinalnie, starym nawykiem jeszcze z czasów kursu, obciągnął kurtkę i wkroczył w otwierające się na roścież drzwi.

Prócz samego Kostina, w gabinecie były dwie osoby: Swerdluf, generalny dyspozytor Rady Transportu, i jakaś dorodna blondynka o myślącym profilu. Wszyscy troje siedzieli wokół malutkiego stolika i pociągali coś z wysokich stożkowatych szklanek. Sądząc po kolorze, był to synt.

Kostin podniósł się na powitanie. Był niewysoki, krępy, kanciasty.

— Poznajcie się: doktor Nina Łazariewa z Obserwatorium, szef-pilot Borys Boll.

Blondynka niedbale skinęła głową. Boll w odpowiedzi ukłonił się specjalnie z przesadną ceremonią.

Na Ksenii były dwa obserwatoria: Andronowskie na Archipelagu i Górskie w Gotyckich Górach. Trzy lata temu dołączyło do nich jeszcze jedno, umieszczane na sztucznym satelicie. Nazywano je po prostu Obserwatorium.

— Z Haraldem, mam nadzieję, zaznajamiać cię nie trzeba?

Boll skinął głową i uścisnął Swerdlufowi dłoń.

— No więc najogólniej o co chodzi, Misza? — spytał Boll siadając i biorąc z rąk Swerdlufa szklankę. To był rzeczywiście synt.

— Jak by ci powiedzieć… Oczywiście wiemy, jesteś ma urlopie, więc masz pełne prawo odmówić… Ale, widzisz, wynikła tu pewna sytuacja… no i zdecydowaliśmy się niepokoić ciebie.

— Krócej, Misza.

— A krócej?… to… Nino, może pani wprowadzi Borysa w sedno sprawy?

Blondynka przemówiła. Głos jej harmonizował z figurą: był pełny, soczysty, głęboki. Było w niej coś… rubensowskiego. Ale mówiła rzeczowo, zwięźle, precyzyjnie, bodajże nawet sucho.

Otóż szesnastego dnia, prowadząc badania Churry, Obserwatorium naniosło jakiś obiekt, wchodzący w system z prędkością sześćset sześć, z dokładnością do dwu kilometrów na sekundę, i początkowo przyjęty jako jądro wracającej z afelium komety. Jednakże dalsze obserwacje skłoniły do przeanalizowania od nowa takiego punktu widzenia. Obiekt posuwa się pod kątem 27 stopni i 13 minut w stosunku do płaszczyzny ekliptyki, którą przetnie 21 marca między orbitami Orki i Gaazy w ciągu 16 godzin i 27 minut. Orka w tym momencie będzie się znajdowała w dostatecznej odległości, żeby nie wywołać zakłóceń w orbicie obiektu, a bliższa Gaaza nie jest w stanie tego dokonać siłą swojej malej masy. Zatem obiekt, kontynuując swój ruch po prostej (ruch jego rzeczywiście jest prostoliniowy) zacznie się oddalać w przestrzeń świata w kierunku Bety Achawa, którą w warunkach istniejącej szybkości osiągnie za cztery tysiące dziewięćset sześćdziesiąt lat. Ksenię minie w odległości stu piętnastu, z

dokładnością do półtora miliona kilometrów. Zdjęcia obiektu, przekazane przez automatyczną stację IS-79, pozwalają przypuszczać, że obiekt jest nienaturalnego pochodzenia, czyli mówiąc wprost, jest statkiem kosmicznym. To ostatnie pośrednio potwierdza prostoliniowość ruchu.

— Tylko czemu nie odpowiada na wezwania? — zabrał głos Swerdluf. — Urządzenie alarmowe w każdym przypadku powinno działać! Sprawdzaliśmy w Radzie Astrogacji. O żadnych nie planowanych czy resortowych statkach w naszej strefie nie wiadomo. Statki ksenijskiego rejestru lecą według planu, tak że żaden z nich z danym obiektem nie może być identyfikowany.

— A w obcy nie chce mi się jakoś uwierzyć.

Przecież dotychczas z żadną cywilizacją, która by weszła w erę kosmiczną, jeszcześmy się nie zetknęli. — Bolla zawsze drażnił w Kostinie jego sposób mówienia okresami, które rozdzielały jakieś pseudooddechowe pauzy. — W każdymi bądź razie wydaje mi się… Nalać ci jeszcze, Boria? — Boll przecząco pokręcił głową. — No to bez żenady… Tak więc wydaje mi się, że trzeba poobserwować, i dlategośmy ciebie niepokoili.

— Dziękuję — Boll przesłał Kostinowi najmilszy uśmiech. — To już zrozumiałem. Ale „Syrrus”, jak ci wiadomo, Misza, jest na profilaktyce. I ruszyć go mogę najwcześniej za pięć dób.

— O tym wiem — potwierdził zimno Kostin. — Ale Harald ma na ten temat własną opinię.

— Nie mogę wziąć z linii ani jednego statku. I niezbyt się do tego nadają statki kabotażowe, sam rozumiesz.

Oczywiście, brzuchate kabotażowe kargoboty nie są przeznaczone do takich operacji.

— Ani jednego jako tako nadającego się statku teraz nie mam. „Dajna” będzie za dwadzieścia siedem dób. Więc nie myśl, że zwalamy wszystko na Pionierów…

— Nie myślę. Ale: jeden wariant mimo wszystko jest możliwy. Mamy kosmoskaf. Serii, KSG. Miałeś z nim do czynienia?

— Miałem.

— Cudownie. W zasadzie wiedziałem. Mam, rozumiesz, wszystkich pilotów w rozsypce, a ci trzej, których mogę odwołać, to typowi kabotażowcy z naszych kursów, i kosmoskafu poza podręcznikiem nie widzieli.

— Jasne. — Boll wstał, zbliżył się do okna, Rozlegał się stąd widok na ogromną bazę techniczną Lorelskiego Kosmodromu. Choć prócz „Syrrusa” nie było tu ani jednego więcej statku, maszyny z obsługi technicznej pracowicie snuły się po polu, przypominając z wysokości czterdziestego siódmego piętra niezwykłe owady. Krążownik z pobłyskującym szpicem był teraz najbardziej podobny do gotyckiej baszty, po jego pancerzu pełzały niezliczone stąd polerowacze, a dziobowy kraniec — aż po pierścień łopatkowy — przybrał już najczystszą błękitność, podczas gdy niżej korpus pozostał bury i guzowaty jak kora drzewna.

„Synrus” był statkiem zasłużonym. Teraz już takich nie budowano. Seria „S” zakończyła się na „Skilurze”, zastąpiła ją seria „K” — „Kanowa”, „Konnar”. Bollowi te ciężkie, na zewnątrz półsferyczne statki czemuś się nie podobały, choć były i silniejsze, i pewniejsze. „Starzeję się, czy co?”

— Zadanie? — spytał nie odwracając się.

— Gotowe — błyskawicznie odrzekł Kostin. — Dziękuję, Boria. Wiedziałem, że nie odmówisz.

— Jeszcze byś nie wiedział! Interesuje minie tylko…

— Co, mianowicie?

— Skąd macie kosmoskaf, Haraldzie?

— Spytaj o to Zacharowa — uśmiechnął się Sweridluf — on wszystko zdobędzie.

— A tak, wiem. — Boll nie jeden rok przecież spędził w Służbie Liniowej. — Ale po co wam potrzebny?

— Ano spodobał się nam, jak widzisz.

— Na pewno!

Boll wyciągnął otwartą dłoń i Kostki włożył w nią nie wiadomo skąd nagle wziętą teczkę.

— Kogo weźmiesz ze sobą?

— Na astrogatora wezmę Gullakiana. Gorzej z łącznościowcem, Wariencowa nie można ruszać. Wezmę bodajże stażystę. Wyjdzie mu to na dobre, zdobędzie większą praktykę… I jeszcze jedno… Z Różeną pomówię już z drogi, ale potem ty się z nią połącz. Uderz się w piersi, to ci dobrze wychodzi, i przeproś ją, powiedz, że to ty mnie zmusiłeś.

Doktor Łaizariewa popatrzyła na Bolla z jawnym zainteresowaniem. Kostin mruknął:

— Dobra, nie pierwszyzna to. A więc szczęśliwej drogi!

2

— Naprawdę obcy? — nie wytrzymał Szoraik.

— Czego pana uczono w Akademii, stażysto — nie odwracając się powiedział z ironią Gullakian. — I oto mamy dzisiejszą młodzież, co, szefie?

Boll wpatrywał się w sylwetę wolno przepełzającą po rufowym ekranie. Wydała mu się dziwna, a mimo to jakby zasmucające znajoma.

Dwie doby kosmoskaf i towarzyszące mu „mirmeki" wisiały tu, oczekując gościa. I teraz on napędził je trafiwszy już w pole widzenia rufowego radiolokatora.

— Zostaw stażystę w spokoju, Gework. A propos, Kareł skończył Akademie Łączności, a nie Astrogacji, weź to pod uwagę. Prędkość? — Boll miał na myśli prędkość gościa, i Gework zrozumiał.

— Sześćset sześć na sekundę. Idzie siłą bezwładu.

Sylweta nieznanego statku niepostrzeżenie przepełzła z ekranu rufowego na burtowy.

— Wyrównaj prędkości. Odległość sto do trawersu.

— Jest, szefie-pilocie! — Gullakian, kiedy się czuł obrażony, zawsze zwracał się do Bolla tak, jak nakazywał regulamin. Jego ręce zatrzepotały nad pulpitem sterowniczym.

— Szarak! „Mirmeki" w układ trójkąta, odległość pięćdziesiąt, powtarzaj za mną. Szarak dziarsko zatrajkotał w mikrofon:

— KSG burta 73 k M213, M222. Podaję zmianę układu…

— A idźże ty! — uśmiechając się zgromił go Gullakian, i Szorak przeszedł na szyfr.

Tymczasem obraz gościa zamarł na ekranie lewej burty i teraz Boll mógł obejrzeć go bardzo szczegółowo. Statek był niewątpliwie ziemskiej budowy. Tylko co to są te żeberkowe dyski, rozmieszczone dokładnie tam, gdzie w krążownikach serii „S" znajdują się łopatki pierścienia? Przypominają okrągły kołnierz.

— Gerwork?

— Nie wiem. To wygląda jak…

— Romanowowski, Gework?

Gullakian skinął twierdząco.

To był jeden z nielicznych statków zbudowanych w krótkim okresie między odkryciem kanałów Romanowa, wąskich, naturalnych tuneli w zwyrodniałej przestrzeni, analogicznych do outspace, i pojawieniem się prawdziwych outspace-statków, przekształcających na swej drodze zwykłą przestrzeń w outspace, w których ruch jest możliwy tylko i jedynie z szybkością ponadświetlną. Takich krążowników zbudowano niewiele i ich charakterystyczną cechą były te ogromne żeberkowe dyski, spełniające funkcję obecnych pierścieni łopatkowych. Tylko jak się one nazywały, te „protołopatki"? Boll w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć. Zresztą to nieważne.

— Światło!

Nieuchwytny ruch ręki Gullakiana — i na burcie gościa zabłysł jaskrawoniebieski owal.

— Na rufę!

Świetlna plama denerwująco wodno popełzła po pancerzu gościa. Jeśli Bolla nie zawodziła pamięć, to nazwa i dopisek powinny być umieszczone gdzieś zaraz za tymi „protołopatkami".

— Powiększenie, Karel!

Obraz drgnął i popłynął na spotkanie. Boll odczul lekkie przeciążenie — tak bywa zawsze, nawet po trzydziestu latach lotów: kiedy obraz nakłada się na ciebie, wydaje ci się — z powodu nieruchomych punktów orientacyjnych — że to twój własny ruch, i ciało z przyzwyczajenia reaguje nań.

Miejsce dla napisu było wybrane z wyrachowaniem: tuż za dyskami (one się nazywały synchratorami, przypomniał sobie jednak). Pancerz stracił najmniej, mimo to można było przeczytać

tylko:,W…os Ziem…dia". Ziemlandia, to było oczywiste. Ale jak się on nazywał, ten statek?

— Połącz się z Kostinem, Karel. Przekaż mu obraz drogą translacji.

Kostin pojawił się na ekranie po dwudziestu sekundach.

— No i złowiliście „dinozaura", Boria! Takiego widziałem tylko w „Historii astrogacji".

— Ja też — odezwał się Boll. W żaden sposób nie mógł oderwać oczu od „dinozaura", w starych statkach jest coś urzekającego…

— Skąd on się tu wziął, Misza?

— Wyjaśnimy to. Czekajcie! — Kostin wyłączył się.

Na wyjaśnianiu upłynęła przeszło godzina.

— To „Welos" — powiedział Kostin pojawiwszy się na ekranie. — Pierwszy z romanowowskich statków… i sadząc po wszystkim, ostatni, jaki się zachował. Zbudowany dwieście osiemdziesiąt osiem lat temu w stoczniach Hanimeda. A propos, „Welos" w którymś z dawnych języków znaczy „Bystry". W którym? Ledwie-ledlwie przekroczył barierę świetlną. Weszli do kanałów Romanowa i zaraz „Bystry"! A wiesz, skąd idzie? — w jego głosie pojawiło się coś szczególnego, co zmusiło Bolla do oderwania oczu od starego krążownika i zwrócenia się w kierunku koordynatora Bazy. — Z Kwarantanny!

Gullakiam zagwizdał. Boll poczuł, jak go zabolały szczęki od silnego zwarcia, I tylko Szorak na razie nic nie rozumiał.

Kwarantanna. Gullakian, tak, ten wie o niej ze słyszenia. I to, co cichutko opowiada teraz Karelowi, to tylko sucha, obiektywna informacja. Bollowd w okresie stażu, takiego jaki terafc odbywa Szorak, nadarzyła się okazja przepracować kilka miesięcy w patrolu orbitalnym w pobliżu Kwarantanny. Wtedy jeszcze nie było elektronowej zapory balonowej, która nie pozwalała statkom na lądowanie, nawet na wejście w orbitę atmosfery, niezależnie od woli załogi.

Kwarantanna! Jedyna planeta, która się okazała nie tylko zgubną pułapką, ale i dotychczas wciąż jeszcze zagadką nie do rozwiązania. Pierwszym statkiem wysłanym do NIS-981, którego drugą planeta jest właśnie Kwarantanna, był „Welos", nie wiadomo jak zabłąkany teraz tutaj. Jego los pozostał nieznany. Startował z Pionierskiego Kosmodromu na Plutonie. Ziemlandia. To wszystko.

Siedemdziesiąt lat temu wyszedł outspace-krążownik pierwszego stopnia — „Hammer". Zostawił wtedy na orbicie satelitę-kapsułę, w której trzecia ekspedycja znalazła informację o jego locie, przebiegającym pomyślnie. I to wszystko. Po dziewięćdziesięciu trzech latach trzecia ekspedycja znalazła „Hammera" całym i nie uszkodzonym, lecz po załodze złożonej ze stu dwudziestu ludzi nie pozostało żadnego śladu. „Welosa" na Kwarantannie ani wtedy, ani później nie udało się odszukać, co zresztą jest bardziej oczywiste niż dziwne: znaleźć na planecie statek w warunkach całkowitego milczenia można jedynie przypadkiem lub po wieloletnich systematycznych poszukiwaniach. Trzecia ekspedycja składała się z outspace-krążownika pierwszego stopnia — „Krista" i z dodanego do pomocy kargobota SD-717-bis, który został na orbicie, kiedy „Krista" zeszła do lądowania. „Krista" podówczas była w pełni nowoczesnym statkiem, a o jej szefie-pilocie Juwanie Szajginie Boll niemało słyszał od dziadka, latającego z Szajginem jeszcze na „Oceanie". Ekspedycja miała za zadanie przeprowadzić szczegółową sondę i następnie osiąść i uruchomić procedurę „A". Ale sonda przekazywały tylko biały szum, a na planecie nie uratowały ekspedycji ani obronne pole siłowe, ni nieprzebijalność pancerza, ani też wiedza załogi. W pierwszym przekazie wiadomości donoszono o ujawnieniu „Hammera" i skończono na tradycyjnym „wszystko w porządku", W drugim, po sześciu godzinach, było tych oto kilka słów: „Wyjście ze statku niemożliwe… to straszne… lądowania zabraniam (to ostatnie dotyczyło SD-717bis) … Tylko automaty".

Od tego czasu nie próbowano więcej lądowania na Kwarantannie, którą ogłoszono strefą zakazaną. Utworzono orbitalną stację. Wokół planety zorganizowano patrole, ponieważ legiony entuzjastów ruszyły tam na najdziwniejszych statkach, aż po jednoosobowe wyścigowe „arsy" włącznie. Na planecie pracowały automaty, lecz dotąd nie udało się niczego wyjaśnić, co choćby w małej mierze wytłumaczyło

zgubę trzech ekspedycji. Kiedy zamiast ludzi tradycyjnie wysadzono psy, te po prostu znikły. Nie zginęły, lecz znikły, jakby ich w ogóle nigdy nie było. I co najdziwniejsze — nie chroniły od tego nawet skafandry wyższego stopnia obrony. Skafandry pozostawały całe, a żywe istoty w nich ukryte — znikały.

Zagadka. Same zagadki.

Czemu na Kwarantannie ginęły biostruktury?

Czemu trzeciej ekspedycji udało się jednak przetrzymać dobę?

Czemu automaty, sprawdzone na dziesiątkach innych planet, zamiast sensownej informacji przekazywały stacji tylko biały szum?

I oto teraz nawinęła się jeszcze jedna zagadka: zaginiony „Welos” zjawił się tu, w systemie NIS-641, w odległości 357 parseków od Kwarantanny i 98 od Ziemlandii.

— Co robimy, Misza? — spytał Boll.

I po raz pierwszy od wielu lat usłyszał:

— Nie wiem. Trzeba zwołać zebranie. Sam jeden decydować tu nie mogę. Obaj zresztą nie możemy.

3

Biedny stażysta nauwijał się zwołując to zebranie. Ale w końcu na mozaice czarno-białych ekranów AS-łączności pojawili się wszyscy uczestnicy: Kostin, zasiadający za stołem w swoim gabinecie; koordynator Rady Transportu — Dubach, i jego prawa ręka — generalny dyspozytor Siwerdluf, których udało się uchwycić w Centrum Badawczym; członek r

Rady Światowej — Niels Brun; Joa Perejra — kseniobiolog; a na końcu — ktoś z Rady Geohigieny, obecny niewidzialnie, ponieważ znaleziono go gdzieś, gdzie nie było ekranu, toteż włączył się przez specjalny kanał.

Geohigienistę nazywano Wacławem, był jednymi z nowych i Boll go nie znał.

Kostin naszkicował sytuację, jak mógł najzręczniej, po czym zabrał głos Dubach:

Ponieważ niniejsze zebranie nie dotyczy bezpośrednio interesów Rady. Transportu, a w miarę swych sił udział w organizacji spotkania „Welosa" Rada już wzięła, przydzieliwszy swój kosmoskaf, uczestnictwo członków Rady w tym i tak dostatecznie reprezentatywnym zebraniu wydaje się jemu, Dubachowi, niecelowe. Jeśli się okaże, że Rada Transportu może w realizacji decyzji niniejszego zebrania zapewnić jakąkolwiek bądź pomoc, to jego, Dubacha, w ciągu całego dzisiejszego dnia można będzie zastać w Badawczym, a w ostatecznym przypadku odszukać poprzez kanał specjalny. Co powiedziawszy wyłączył się, a razem z nim znikła z ekranu zażenowana fizjonomia Swerdlufa.

Brun zaproponował ulokować „Welosa" gdzieś na północnych krańcach Pasyfidy, skąd do najbliższego osiedla jest przeszło piętnaście tysięcy kilometrów, ale kiedy Kostin wypowiedział się wyczerpująco na temat niebezpieczeństwa zarażenia, zaraz się wycofał.

— W tej sytuacji według minie jedynie słuszne jest zostawać statek na odpowiednio wysokiej orbicie, aby następnie poddać go badaniu przez specjalną komisję, którą na pewno zorganizuje Rada Astrogacji.

— Na kseniocentrycznej orbicie nie można zostawić „Welosa" — wtrącił się Wacław. — Zbyt blisko planety i zbyt ożywiona to strefa. A w ogóle problem niebezpieczeństwa, które może sobą przedstawiać „Welos", jest w kompetencji Instytutu Ksemiobiologii. Może doktor Perejra powie coś konkretnego na ten temat?

Doktor Perejra, niestety, nic konkretnego powiedzieć nie może. Przede wszystkim dlatego, że nie wiadomo, czy w ogóle problem Kwarantanny dotyczy dziedziny kseniobiologii, czy jakiejś innej. Ponieważ jednak wykluczyć możliwości biologicznego zagrożenia — jeśli „Welos" rzeczywiście był na Kwarantannie — nie można, najlepiej zakonserwować statek na dostatecznie neutralnej orbicie.

— Szefie-pilocie, a ludzie? — cichutko powiedział Szorak. — Jeśli są tam ludzie?

Boll wyłączył mikrofon.

— Nie ma tam ludzi, Kareł — uśmiechnął się miękko, patrząc na pobladłą twarz stażysty. — Nie ma i być nie może. Są w kosmosie bez mała trzysta lat. Załoga składała się z samych mężczyzn. I wanien do anabiozy nie mieli.

— A więc — wyciągnął wnioski Kostin — można uważać za jednomyślną następującą decyzję: kosmoskaf szefa-pilota Bolla przy pomocy automatycznych holowników „mirmeka M222" odholuje „Welosa" na orbitę, której parametry określi Centrum Obliczeniowe naszej Bazy i którą zatwierdzi Rada Transportu. Wszyscy się zgadzają?

Brun się zgadza.

Doktor Perejtra w całości akceptuje taką decyzję.

Podziela jego zdanie Wacław — geohigienista.

— Przygotować holowniki, szefie? — spytał Gullakian.

Boll przytaknął:

— To w każdym przypadku trzeba zrobić.

— A jeśli oni nie byli na Kwarantannie? — zauważył Gullakian. — Przecież romonowowska astrogacja to rzecz niepewna, i niepojęte, jakby się oni mogli tu znaleźć, gdyby ładowali na Kwarantannie?

— W odróżnieniu od dwu ostatnich ekspedycji, mogli przed lądowaniem na Kwarantannie włączyć automaty startowe — zaoponował Kostin.

— Najważniejsze — powiedział Boll — najważniejsze rzeczywiście, czy oni tam byli.

— Na statku przecież — wtrącił się do ogólnej rozmowy Szorak — może być najcenniejsza informacja! I dla zdobycia jej warto ryzykować. Niech ktoś jeden tam się wybierze. W najgorszym razie narażamy tylko jednego człowieka. Ochotnika. — Zawahał się chwilę. — Mnie…

— A jeśli tej cennej informacji tam nie ma? — spytał Kostiln.

— Czyż w ogóle istnieje informacja, dla której warto byłoby oddawać życie? — chłodno spytał Boll.

— Przecież i panu zdarzało się ryzykować, szefie-pilocie…

— A jednak jak dotąd żyję. Co chyba nie byłoby możliwe tak ryzykując.

— Zebranie skończone — ogłosił Kostin. — Dziękuję. Obliczenia stacjonarnej orbity „Welosa" będą wam podane…

— Nie — ostro przerwał Boll. — Obliczenia te nie są nam potrzebne.

Pełne napięcia oczekiwanie w ciągu ostatnich godzin wywołało w nim teraz chłodny, gniewny upór. Jeśli się wszyscy uchylą od tej decyzji, ktoś musi wziąć całą odpowiedzialność na siebie.

Kostin wybałuszył oczy z ekranu, jakby mu pokazano człowieka z obcej planety:

— To znaczy?

— Nie zamierzam odholowywać „Welosa" na orbitę stacjonarną,

Misza.

— Dlaczego?

— Dlatego, że to nie gwarantuje bezpieczeństwa. Dlatego, że zawsze się znajdą entuzjaści, w rodzaju naszego stażysty, którzy będą się pchali po tę hipotetyczną informację.

— Po tak samo, nota bene, hipotetyczną zgubę — wtrącił Gullakian. — Ja się ze stażystą zgadzam, Boria.

— Bunt na statku… — Boll się uśmiechnął, ale był to uśmiech typowo odruchowy. — Teraz rozumiesz, Misza, że trzeba go…

— Unicestwić? Ostatni z romanowowskich statków? Zrozum, trzeba go zachować jako muzealny zabytek chociażby! Przecież zagrożenie w istocie jest hipotetyczne, natomiast wartość statku niewątpliwa. Z niebezpieczeństwem potrafimy sobie kiedyś dać radę, na razie zapewnimy dobrą ochronę, z czasem zbudujemy zaporę balonową.

Kiedyś… Z czasem… Boll znał cenę tego „z czasem".

Było jeszcze bowiem czwarte ładowanie na Kwarantannie. Lądowanie, o którym wiedział tylko Boll. Patrolowy kosmoskaf zszedł do lądowania i Boll nie mógł go zatrzymać. Drugi pilot „Sindbada", Wagin, który przepracował w patrolu miesiąc, kierunkowym promieniem przekazał na kosmoskaf Bolla: „Chcę spróbować. Inaczej nie mogę. Ktoś przecież powinien…" Oficjalnie Boll oświadczył, że kosmoskaf Wagdna uległ awarii na skutek zderzenia z ciałem meteorytowym. Powiedzieć bowiem prawdę, znaczyło sprawić ból nazbyt wielu, o wiele większy niż ten, jaki przyniosła wiadomość o przypadkowej śmierci. I odtąd Boll był ostrożny.

— Misza, nazywam się Borys Boll, moja carte blanche XXVI-A-029.

— Chcesz…

— Tak. I rozliczać się z tego będę tylko przed Radą Astrogacji.

Piloci Pionierów i Dalekiego Zwiadu nieraz musieli podejmować decyzje wychodzące poza zakres

kompetencji zwykłych dowódców statków. Toteż najbardziej doświadczeni spośród nich otrzymywali carte blanche dającą im autokrację na nie zbadanych planetach i nawet w neutralnych przestrzeniach znanych już systemów — poza stumilionowokilometrową strefą terytorialną, w obrębie której, zgodnie z prawem kosmicznym, każdy statek był podporządkowany miejscowym Radom.

Kosmoskaf znajdował się sto dwadzieścia siedem milionów kilometrów od Ksenii, i Boll postanowił skorzystać ze swojej carte blanche. Kostin zrozumiał to.

— Boria — powiedział. — Ech, Boria… — i wyłączył się.

— Szarak! — Boll mówił urywanie i sucho. — Podłączy pan „mirmeki” do „Welosa”. — Ależ szefie-pilocie…

— Regulamin wyprawy, paragraf 17.3!

— Tak jest, szefie-pilocie! — martwym głosem powiedział Szarak i zabębnił: — KSG burta 73 do M-213, M-217, M-222.

— Gullakian, proszę dać trajektorię na NIS-641.

Gullakian milcząc odwrócił się. Po ekranie trajektografu popełzły różnokolorowe krzywe. Ich ruch wciąż zwiększał szybkość. Stopniowe robiło się ich coraz raniej, zlewały się i nagle zamarły jedną wyraźną zieloną krechą, która pojawiła się też i na kursografie.

Boll położył ręce na klawiaturze pulpitu sterowniczego. Gullakdan, gwałtownie odsunąwszy swoje krzesło, zmierzył Bolla chłodnym jak kamień, ciężkim spojrzeniem.

— To tchórzostwo — powiedział bardzo cicho i bardzo wrogo. — Pan jest po prostu tchórzem, szefie-pilocie. Odpowie pan za to.

— Odpowiem — zgodził się Boll.

4

Wspólnym wysiłkiem trzy „mirmeki” nieuchronnie wlokły „Welosa” ku MIS-641, Słońcu Ksenii, a w odległości dwu dziesiątych megametra szedł równoległym kursem kosmoskaf. W kabinie pilota królowało milczenie napełnione owadzim brzęczeniem grawitatorów, z rzadka tylko przerywanym krótkimi dialogami, złożonymi ze ściśle regulaminowych fraz. Boll nawet nie próbował przerywać tej ciszy, oddzielającej go od załogi, wiedząc, że teraz byłoby to bez sensu. Może później. Szorak dwukrotnie łączył się z Bazą, i Boll rozmawiał z Kostinem. Chociaż ten widać już ochłonął, rozmowa miała charakter nieco napięty i wyraźnie oficjalny. Zresztą Boll zdziwiłby się raczej, gdyby było na odwrót. Wiedział, że nie od razu go zrozumieją. I nie wszyscy.

W piątej dobie Boll zaczął manewr rozejścia. „Welos” i „mirmeki” kontynuowały poprzedni kurs, wciąż przyspieszając — już nie tylko na rachunek energii gnaiwitatorów, ale i na skutek przyciągania gigantycznej masy gwiazdy. Kosrnoskaf powoli zostawał w tyle, nie gubiąc ich z pola widzenia radiolokaltorów. Trzech w kabinie pilota nie spuszczało oczu z ekranu, na którym powoli topniał w ogniowym rozpasaniu chromosfery punkcik ostatniego romanowowskiego statku. Potem Boll przekazał sterowanie Gullakianowi i polecił wracać.

— To znamienity grobowiec, Gework — powiedział z wyrazem zmęczenia. W ciągu tego tygodnia rzeczywiście bardzo się wyczerpał. — Najlepszy, jaki mogli mieć.

Ani słowa, ani ton, jakim one zostały wypowiedziane, nie przerzuciły nawet nikłego pomostu między nim a jego milczącą załogą. Boll zresztą nie liczył na to. Szorak, cudowny chłopak! Oby więcej takich. Gullakian, wspaniały pilot, choć dla dowódcy nazbyt krewki. Obaj oni nie mogli się pogodzić z gorzką słusznością jego decyzji. Ale byli jeszcze inni. Szajgin, szef-pilot „Kristy”. Tressel, który prowadził swego „Hamimera” do ostatniego lądowania tylko dlatego, że czekało go nie — wiadome niebezpieczeństwo, lecz po prostu — n i e w i ad o ni a. I prawdopodobnie załoga „Welosa” — ona by go zrozumiała. I tam, w Ziemlandii, w Rajdzie Asfaogacji, niemało się znajdzie takich, co rozumieją nie tylko umysłem, ale i sercem, że minęły te czasy, kiedy za każde ziarno wiedzy Ludzkość składała w ofierze życie człowieka. Że dziś, kiedy życie ludzkie stało się największą wartością, przyszedł czas na kontrolę wielu kryteriów oceny i pojęć. Nazbyt to duża cena za wiedzę — krew. Mogli nią płacić wtedy, kiedy Ludzkość była zamknięta na jednej planecie, i z niepojętym wprost marnotrawstwem szafowało się wtedy wszystkim: człowiekiem, naturalnym środowiskiem — gubiąc przy tym nieomal siebie. Ale teraz to jest niemożliwe. Kto będzie się czuj uprawniony do korzystania z wiedzy zdobytej za taką cenę? I jeśli to prawda, że jednostka w swoim rozwoju powtarza historię swego gatunku, wtedy jest zrozumiałe, skąd w młodych tak dużo tej reliktowej ofiarności, tej która skłoniła Szoraka do gotowości pójścia na „Welos”. To można zrozumieć, lecz nie należy do tego dopuścić.

— Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli odejdę z „Syrrusa”, szefie-pilocie? — przerwał milczenie Szarak. Mógłby o to nie pytać, ale gdyby inaczej postąpił, byłoby to wbrew etyce, a zresztą w ogóle nie leżałoby to w charakterze stażysty.

Boll pokręcił głową.

— Nie ma potrzeby, Szarak. A pana, Gework, proszę o przygotowanie się do objęcia „Syrrusa”. Doczekał się pan…

Trzy lata temu, kiedy mianowano Bolla dowódcą „Syrrusa”, Gullakian był już od dłuższego czasu pierwszym pilotem i miał nadzieję, że sam zajmie to miejsce. Bo rzeczywiście, któryż z pilotów nie chciałby mieć swego statku? I chociaż ani jeden, ani drugi ani razu nie mówili o tym, trzeba było niemal dwu lat, żeby ich wzajemne stosunki z obcych stały się prawie przyjacielskie. Nie na długo zresztą.

— Co pan chce przez to powiedzieć, szefie-pilocie? — spytał Gullakian.

— Odchodzę z „Syrrusa”, Gewiork. Nie będziecie już musieli latać z grabarzem. Tak, słyszałem

waszą wczorajszą rozmowę.

Szarak mocno się zaczerwienił. Boll mówił dalej:

— Za półtora miesiąca wychodzi do Ziemlandii „Dajna”, więc polecę zreferować to Radzie Astrogacja. Razem z Kostinem prawdopodobnie. Potem zostanę na Ziemi. Proponowano mi, żebym wykładał w Akademii, i chyba przyjmę tę propozycję.

Boll najchętniej poszedłby do kajuty i postarał się zasnąć, obojętne, czy byłby na „Syrrusie”, czy na jakimś innym statku. Ale kosmoskaf to kosmoskaf i tu nie ma gdzie się podziać poza swoim krzesłem. Więc dalej siedział milcząco, patrząc na ekran dziobowy, gdzie pobłyskująca kropka Ksenii wolno przemieniała się w dysk.

Przetłumaczyła Ryszarda Wilczyńska

Wiktor Kołupajew
Po co człowiek żył

1

Władimir Czesnokow zaglądał to w jedne, to w drugie drzwi, nie wiedząc, do kogo ma się zwrócić, i nie mogąc się zdecydować, żeby kogoś o to zapytać. Pracownicy gazety „Zorze Poranne" żywo kręcili się po korytarzu, nie zwracając nie niego uwagi — mało to obcych przychodzi do redakcji. Do obiadu jego postać tak się już wszystkim opatrzyła, że sekretarz odpowiedzialny rzucił w biegu:

— Potrzebny mi cięty tytuł do artykułu o obozach pionierskich, no?

— Mam wiersz — odpowiedział Czesnokow.

— Tylko żeby był niestandardowy i trafiający w sedno — dorzucił sekretarz, zatrzymując się. — No więc?

— Wiersz… proszę… — z wewnętrznej kieszeni marynarki Czesnokow ostrożnie wyjął kartkę papieru i zaczął ją rozkładać.

— Aha — sekretarz zmarszczył się z niezadowoleniem. — Wiersze, wiersze! Teraz już mało kto pisze prozą — powiedział i machnął ręką gdzieś w stronę końca korytarza.

Czesnokow dreptał w miejscu jeszcze jakiś czas i właśnie zamierzał plunąć na wszystko i pójść sobie, gdy na korytarzu znów pojawił się sekretarz.

— No i co z tym pańskim wierszem? Co powiedział Pionow?

— Nic.

— On zawsze tak. Niech się pan nie zniechęca.

— Wcale się z nim nie widziałem.

— Prawidłowo. On teraz jest na delegacji. Cała poezja jest na delegacji. A długi ten wiersz?

Czesnokow nie zdążył odpowiedzieć, gdy sekretarz odpowiedzialny ujął go pod rękę, podprowadził pod drzwi z tabliczką „Redaktor Naczelny" i wepchnąwszy go do pokoju, krzyknął:

— Timofieju Fiedorowiczu, to mój znajomy, Borys!

Czesnokow stał na środku pokoju, a jego zmieszanie doszło do zenitu. Timofiej Fiedorowicz, mężczyzna mniej wiece i czterdziestoletni, już cierpiący na zadyszkę, który dawno, dawno temu zapomniał, czym interesują się młodzi, siedział za stołem i pisał podanie o przeniesienie na inną posadę. Od dawna bowiem czuł, że przestał rozumieć młodych pracowników swojej gazety, którzy nosili modne bródki oraz jaskrawe golfy, i to nawet w największy upał. A i oni — wiedział o tym — nie zawsze go rozumieli.

— No, o co chodzi, Borysie?

— Wiersz… Jestem Władimir.

— Znakomicie. Proszę pokazać.

Czesnokow drżącą ręką podsunął mu kartkę papieru. Redaktor na kilka sekund pogrążył się w czytaniu, a potem zapytał:

— Co pan chciał przez to powiedzieć?

— ?

— No, jaka jest idea, główna myśl tego wiersza?

— Ulicą szedł młody człowiek — zaczął Czesnokow, starając się mówić swobodnie i naturalnie. — Zobaczył dziewczynę i zrobiło mu się przyjemnie.

— A co było potem?

— Nie wiem… Po prostu zrobiło mu się przyjemnie.

— A więc nie pobrali się?

— Nie. On jej nigdy więcej nie spotkał.

— Skąd pan wie?

— Widziałem to na własne oczy.

— No dobrze. Wprost wspaniałe. I co by pan chciał z tym zrobić? Opublikować w naszej gazecie?

— Po prostu przyszedłem. Komuś przecież trzeba pokazać.

— A pan co, zamierza pan zająć się tym na serio? Poświęcić całe życie? Czy tylko tak, po prostu?

— Chciałbym na serio — odrzekł odważnie Czesnokow.

— Zuch! — redaktor wyszedł zza biurka i poklepał początkującego poetę po ramieniu. — Gdyby pan to napisał ot tak, po prostu, to za jakieś dwa, trzy tygodnie wydrukowalibyśmy. Ale skoro pan to traktuje serio, to trzeba będzie jeszcze popracować. Na serio jest zawsze trudniej niż ot tak, po prostu.

W dwadzieścia minut później Czesnokow wyszedł z redakcji radosny i uśmiechnięty. Wiersza mu oczywiście nie przyjęto, jednakże ile pożytecznych rad usłyszał, a ile interesujących tematów podpowiedział mu redaktor! W przyszłości zaś, jeśli jego wiersze okażą się świeże i oryginalne, to i wydrukują. Słowo honoru — wydrukują!

Czesnokow dobiegł do swego mieszkania na piątym piętrze, z hałasem otworzył drzwi, pocałował żonę Anieczkę, rzucił się na tapczan i zawołał:

— Praca i jeszcze raz praca! — po czym zaczął jej wszystko dokładnie opowiadać.

Anieczka przysiadła na skraju tapczana, otworzyła szeroko swoje niebieskie oczy i wydawała ochy i achy, przyciskając piąstki do piersi w szczególnie dramatycznych miejscach opowieści. Tak to uważnie, nie przerywając, wysłuchała opowiadania Wołodieńki. A gdy już skończył, powiedziała:

— Wołodka, przecież ty w duszy i tak jesteś poetą. Ja to wiem.

Władimir zmieszał się, zaczął zaprzeczać, lecz Ania przerwała mu:

— Czy naprawdę zostaniesz prawdziwym, powszechnie uznawanym poetą?

Czesnokow westchnął i twardo powiedział:

— Wszystko zależy tylko od nas samych.

Anieczka potwierdzająco skinęła głową.

2

Czesnokow pracował jako starszy inżynier w fabryce sprzętu radiowego, Anieczka zaś zatrudniona była przy wyrobie tortów w zakładach cukierniczych. Oboje kochali wiersze i znali się na poezji. Oboje w ogóle kochali literaturę i sporą część pieniędzy wydawali na zakup książek, co wzbudzało zdumienie, a niekiedy nawet śmiech sąsiada z piętra, Beniamina Kondratiuka, którego cały budżet podporządkowany był jednemu tylko celowi — zakupowi skutera, motocykla, motocykla z przyczepą, zaporożca, moskwicza itd.

Czesnokow na trzy miesiące zwolniony został z mycia podłóg w mieszkaniu. Jak pisać, to pisać.

Przychodzili z pracy niemal jednocześnie, odgrzewali wczorajszy barszcz lub zupę z kluskami i przegryzali coś naprędce. A potem Władimir kładł na stole arkusz czystego papieru, długopis i zaczynał chodzić po pokoju tam i z powrotem. Anieczka natomiast zabierała się do prac domowych, które nigdy nie mają końca, choćby się nie wiem jak o to starać.

Początek każdego takiego wieczoru mijał Czesnokowowi po próżnicy. Nie był w stanie niczego napisać. Do głowy cisnęły mu się przeróżne bzdury, które co prawda znakomicie się rymowały, lecz nie było w nich ani krzty uczucia, prawdy, wzlotu fantazji — były płaskie, rzemieślnicze, jak robione na zamówienie przedmioty codziennego użytku.

— Wowka, przestań się męczyć — mawiała wtedy Anieczka, odrywając się od swojej pracy i wycierając mokre ręce w fartuch. Obejmowała go za szyję swoimi małymi silnymi rękami i spoglądała mu w oczy. A jej oczy były jego maleńkim, lecz interesującym i serdecznym światem. Maleńkim wszechświatem.

— No, puść mnie — mówiła.

— Poczekaj, jeszcze nie wszystko wyczytałem.

— A cóż tam można wyczytać?

— Wszystko. Tam są wszystkie moje wiersze.

Przytuliła mu się do piersi i słuchała bicia jego serca, zachwyconego i oszalałego.

A potem siadali na tapczanie lub po prostu na podłodze i ona pytała go o coś, a on odpowiadał. Albo on pytał, a ona odpowiadała. Wspominali — „a pamiętasz?”, marzyli — „ale będzie fajnie”, kłócili się — „nie masz racji, Wołodka”, rozwiązywali tysiące problemów i stwarzali tysiące nowych. W głowie Czesnokowa rodziła się muzyka i wiersze. Wiersze zawsze wiązały mu się z muzyką. Milkła wtedy, czując, że dzieje się z nim coś niezwykłego. Być może właśnie ów stan niezwykłości kochała w nim najbardziej. Stawał się wtedy właśnie taki, jaki był w dniu ich poznania. I chciała, żeby zawsze był taki — bliski, drogi i dziwny.

— Przeczytaj — prosiła cichutko.

Wtedy zaczynał mówić. A ona przenosiła się w dziwny, niezwykły, lecz zarazem zadziwiająco znajomy świat.

Byli tam ich przyjaciele i znajomi, stare syberyjskie miasteczko, morski wiatr, rozsiane światełka gwiazd, młodziutkie drzewka i krzyki dzieciaków za oknem. Wszystko było takie, jakie przywykła widywać każdego dnia i tylko jakiś zwrot w jego nastroju sprawiał, że nagle wszystko to stawało się świeże i zadziwiająco nieoczekiwane. Świat ukazywał się w jakimś zupełnie nowym świetle. Być może było to natchnienie. A może talent. W jego świecie ludzie śmiali się i płakali, cieszyli i martwili, kochali się i nienawidzili. Wszystko jednak było tam szlachetne, dziwne i nieoczekiwane. I jeśli nawet do jego wierszy wdzierał się niekiedy okrzyk bólu i rozpaczy na widok ułomności stosunku człowieka do człowieka, to brzmiał on jak dysonans. Bardzo dziwny dysonans, bez którego cała muzyka poezji przekształca się w gładki banał.

Niepotrzebne pióro i papier walały się na stole.

— Zdaje się, że zaczyna się kompletna bzdura — mówił, szli więc na spacer do Lasku Uniwersyteckiego lub do Parku Pionierów, jeśli pogoda była ładna, lub też otworzywszy drzwi na balkon, słuchali szumu deszczu. I milczeli.

Ileż to można sobie powiedzieć takim milczeniem!

Czasami sam zapisywał wiersze, czasami robiła to Ania.

Zdarzało się, że coś się w nim „zaklinowywało" i pisanie wierszy mu nie szło. Wychodzili wtedy do najbliższego sklepu, kupowali wielką butelkę wina i szli do kogoś lub też zapraszali kogoś do siebie.

3

Sąsiad z piętra kupił sobie skuter. Czesnokow pomagał mu załadować go na samochód, wprowadzić do garażu i wraz z żoną został zaproszony na „oblewanie” zakupu.

Zebrało się około ośmiu osób, sami zagorzali motocykliści i automobiliści. Rozmowa oczywiście kręciła się wokół tematów motoryzacyjnych. Wszyscy gratulowali Kondratiukowi, wznosili toasty za koła, za kierownicę, za części zamienne. Ze wszystkich stron sypały się dobre rady. Beniamin Kondratiuk promieniał. Jego żona niepostrzeżenie snuła się z kuchni do pokoju roznosząc szklanki i talerze.

Czesnokow z początku czuł się bardzo obco, lecz potem stopniowo zaczął się oswajać. Kondratiuk raz po raz biegał do garażu, aby popatrzyć, czy ktoś nie gwizdnął mu skutera. Ale skutera nikt nie gwizdnął. Kondratiuk pokazywał wszystkim kluczyk do stacyjki i skwapliwie zanurzał go w szklance z wódką.

— A dlaczego i wy nie mielibyście kupić skutera — zwrócił się do Czesnokowa.

— Rzeczywiście, dlaczego — podniosły się głosy. — To coś wspaniałego. Do lasu, na targ po kartoe. Wszędzie szybko.

— Jakoś nie myśleliśmy o tym — powiedział Czesnokow.

— I nie stać nas na to — dodała Anieczka.

— Aha, nie stać was! Na książki, na bzdury to was stać! A na skuter nie!

— Książki to nie bzdura — powiedział Czesnokow.

— No a po co wam tyle książek?

— A po co tobie skuter?

— A choćby po to, żeby pojechać do lasu. Nie będę musiał tłoczyć się w autobusie. Chcę, to jadę. W każdej chwili.

— Tak samo jest z książkami. Chcę, to biorę z półki i czytam.

— No więc przeczytasz raz i wystarczy. A można też pożyczyć z biblioteki.

— Można także jeździć taksówką. Po co skuter?

Kondratiuk speszył się nieco.

— Skuter opłaca się mieć. Będę na nim jeździł. A u was cała ta makulatura stoi bez pożytku. Po co?

— To nie makulatura. To ludzie, przyjaciele. Wierni i na całe życie.

— To kłamstwo! Wy chcecie, żeby uważano was za intelektualistów! Żeby jak ktoś przyjdzie do was do domu, to pierwsze żeby zobaczył półki z książkami. Że niby mądrzy ludzie tu mieszkają. Kredens z naczyniami, znaczy się, do kąta, a na widocznym miejscu książki… Wiedzcie wszyscy, że jesteśmy lepsi od sąsiada! Kupił skuter, ale książek nie kupuje! Pismaki za darmo biorą honoraria! Ziemię by im kazać kopać!

— To już przesadziłeś — zaczęto uspokajać Kondratiuka.

— Wielka mi rzecz — krzyczał gospodarz. — Ja też zafunduję sobie szafę z książkami.

— Ale się zatokowa! — powiedział Czesnokow.

— Najpierw kupię motocykl, a potem ustawię sobie pełną szafę książek, niech wszyscy wiedzą, że ze mnie też nie dureń.

— Chodźmy do domu, Wołodia — powiedziała Ania.

— Nie pójdę! — wrzasnął Czesnokow, uderzając pięścią w stół. — A ja nie dam ci kupować książek! Nie pozwolę! W nich są ludzie, myśli. I oni mają teraz iść do twojej szafy, do grobu? Toż oni tam pousychają, powariują, poumierają. Nie pozwolę!

Anieczka ciągnęła Czesnokowa za rękaw. Kondratiuka trzymano za marynarkę, a on ciągle rwał się do rękoczynów.

Na drugi dzień Czesnokow obudził się z okropnym niesmakiem w ustach. Chwała Bogu, że

przynajmniej głowa go nie bolała. Anieczka powiedziała tylko:

— Jak ty mogłeś wdać się z nim w tę rozmowę?

— A czy to ja zacząłem? — tłumaczył się Czesnokow.

Na schodach spotkał Kondratiuka. Było mu jakoś głupio z powodu wczorajszego wieczoru, spytał więc:

— Eee… Beniamin, no i jak tam twój skuter?

— Dziękuję, w porządku — odrzekł Kondratiuk. On także czuł się niezbyt pewnie po wczorajszej kłótni. — Słuchaj, Władimir, może dałbyś mi coś do czytania. Coś chwytającego za serce.

— Nic takiego nie mam, zresztą wątpię, czy w ogóle coś takiego znajdziesz — odpowiedział Czesnokow, lecz Komdratiuk nie zrozumiał ironii.

— Rozumiesz, coś takiego współczesnego. Coś, co w tym roku kandyduje do nagrody państwowej.

Przypalili papierosy od jednej zapałki i wyszli razem z bramy.

Pracowali w jednej fabryce, na jednym oddziale.

Przez jakiś tydzień Czesnokow prosił Anieczkę, aby nie odważyła mu się nawet wspomnieć o wierszach i o literaturze w ogóle.

Potem mu przeszło.

4

W trzy miesiące później gotowych było około trzydziestu wierszy. Czesnokow dał je do przepisania maszynistce pracującej w domu. Okropnie się przy tym denerwował i tak się wstydził, że podał nawet inne nazwisko. A gdy wreszcie wszystko już było przepisane, odetchnął z ulgą. W któryś piątek po pracy włożył śnieżnobiałą koszule, czarny garnitur, zawiązał nylonowy krawat, pocałował Anieczkę w usta i skierował się do redakcji.

Nie namyślając się wiele, poszedł wprost do gabinetu redaktora naczelnego. Naczelny był jednak nie w humorze. W żaden sposób nie chciano go zwolnić z pracy w gazecie młodzieżowej. O jedynej wizycie Czesnokowa oczywiście zapomniał, a teraz rozdrażnionym i nieprzyjaznym tonem poprosił go, aby się wyniósł. Czesnokow, niczego nie pojmując — wszak kazano mu przyjść za trzy miesiące — wyskoczył na korytarz, a zebrawszy myśli, zdecydował się machnąć ręką na wszystko i iść do domu. Naczelnemu, który w rzeczywistości był dobrym i porządnym — człowiekiem, zrobiło się wstyd, że tak ni stąd, ni zowąd nakrzyczał na obcego człowieka, i w Mika sekund później on także był na korytarzu. Czesnokow jeszcze nie odszedł. Naczelny odetchnął z ulgą.

— A właściwie o co chodzi, młody człowieku?

Czesnokow przypomniał mu pokrótce swoją pierwszą wizytę i zmieszany, wyciągnął plik kartek. Naczelny zaprowadził go do działu poezji, do Pionowa. Przez chwilę porozmawiali przyjaźnie i Czesnokow zostawił swoje wiersze. Pionow rzucił na nie okiem:

— No, coś w tym jest… — powiedział, po czym zapisał sobie adres i telefon Czesnokowa, obiecując zadzwonić w przyszłym tygodniu.

Minęły cztery dni i Pionow rzeczywiście zadzwonił. Prosił, aby Czesnokow bezzwłocznie przyszedł do redakcji. Sprawa jest pilna i bardzo ważna.

Czesnokow zwolnił się z pracy i popędził do redakcji. „Gdyby zdecydowali się odrzucić, to nie mieliby mnie po co wzywać — myślał. — A więc pewnie wydrukują".

Z portierni fabryki wyskoczył radosny i omal że nie śpiewał na całe gardło, jednakże w miarę zbliżania się do redakcji, coraz bardziej spuszczał z tonu, a nawet zaczął się denerwować.

Pionow przyjął Czesnokowa dość życzliwie, posadził go w fotelu, zaproponował papierosa i przez kilka minut przyglądał mu się w milczeniu, udając, że pogrążony jest w papierach leżących na stole.

Milczał także Czesnokow.

— Przeczytałem pańskie wiersze — odezwał się wreszcie Pionow. — I w niczym nie przesadzę, jeśli powiem panu, że są świetne.

Czesnokowowi nie wiadomo dlaczego serce zamarło.

— Sam jestem poetą — ciągnął Pionow. — Wkrótce w wydawnictwie zachodniosyberyjskim ukaże się mój zbiorek. Wiem, co mówię. Napisał pan to z talentem. A kiedy pan je pisał?

— Od czerwca do sierpnia — odpowiedział Czesnokow, czując w duszy narastający chłód. Coś szczególnego w głosie Pionowa powiedziało mu, że z wierszami kiepska sprawa. Nie wydrukują. W żadnym razie nie wydrukują. — Trzy miesiące. Skończyłem pisać mniej więcej dwa tygodnie temu.

— A gdyby to się okazało potrzebne, to jak zatytułowałby pan cały cykl?

W niewielkim pokoju wisiały kłęby dymu. Ktoś zaczął dawać znaki, próbując wyciągnąć Pionowa na korytarz, on jednak krzyknął tylko:

— Proszę zamknąć drzwi! Nie widzicie, że jestem zajęty?

— Nazwałbym go „Zdziwienie" — odparł Czesmokaw.

— Dziwne — szepnął Pionow. — Bardzo dziwne…

— A co się stało? — zapytał Czesnokow.

— Czy może pokazywał pan komuś swoje wiersze? — nie odpowiadając na pytanie zagadnął go

Pionow. — Przyjaciołom? Znajomym?
— Nie, nikomu. Nawet nie przyszło mi to do głowy.
— Dziwne. I nigdzie ich pan wcześniej nie słyszał ani u nikogo nie widział?… Zresztą powiem panu wszystko: Jak już mówiłem, pańskie wiersze wzruszyły mnie. Zrobiłem z nich wybór. Mamy taką rubrykę „Młode głosy”. Pochwalił je także Tinnofiej Fiedorowicz. Tymczasem przyszedł do nas kiedyś Sieriegin. Zna go pan? To nasz syberyjski poeta.
— Znam — kiwnął głową Czesnokow. — Czytałem go.
— Często wpada tu do nas. Czyta wszystko, co przygotowujemy do druku. Czasem poprawia. Przeczytał także pańskie wiersze i powiedział… że to jego wiersze. Ot co.
— Jak to jego? — bezgłośnie spytał Czesnokow.
— Spodziewam się go tu lada moment. Zaprosiłem go. Sam pan rozumie. Redakcja musi to zbadać. Nie możemy się stawiać w głupim położeniu.
— To moje wiersze — wyszeptał Czesnokow.
— Poeta z niego ot, taki sobie, miernota — ciągnął dalej Pionow, jak gdyby nie słysząc słów Czesnokowa. — Jakimś cudem udało mu się jednak wydać cztery książeczki: wszystko niewiarygodna szarzyzna. I tu nagle taki fajerwerk myśli… Posłał już rękopis do wydawnictwa. I przyjęli. A tytuł jest taki sam: „Zdziwienie”. Rozumie pan, co za heca?
Pionow wstał zza biurka i zaczął spacerować po pokoju, uderzając kułakiem w otwartą dłoń i podśpiewując coś w roztargnieniu.
— Jeśli dobrze zrozumiałem — złamanym głosem odezwał się nagle Czesnokow — posądza się mnie o kradzież…
— Ale co też pan! — zdenerwował się Pionow. — Nikogo o nic nie posądzam. Po prostu redakcja musi to zbadać. A poza tym… Sieriegin to już uznany poeta. Latem, jak sam mówi, miał przypływ natchnienia.
— To moje wiersze — powiedział z mocą Czesnokow.
W tej chwili drzwi się otworzyły i do pokoju swobodnie, niemal jak do własnego mieszkania wszedł mężczyzna w średnim wieku, z teczką pod pachą.
— Serwus, Gisza — przywitał Pionowa poufale. — Siergiej Sieriegin — wyciągnął rękę do Czesnokowa.
Ten podniósł się niezdarnie, jedną ręką trzymając się oparcia fotela.
— Czesnokow.
— Ach, tak. Cie-ka-we!
Przez następne piętnaście minut Czesnokow milczał. Mówił Sieriegin. Rzucił na stół stertę kartek zapisanych bądź to ołówkiem, bądź to na maszynie, po czym zaczął się rozwodzić, jak to po półrocznej przerwie spłynęło na niego natchnienie, jaka to opanowała go radość poetyckich odkryć oraz przeświadczenie, że to, co pisze, stanie się prawdziwym kamieniem milowym w poezji.
— Proszę, wszystko tu jest: piekielna praca, bezsenne noce, tony papieru. Na każdej kartce znajduje się data. Można prześledzić, jak rodziły się te wiersze. Na — szczęście nie niszczę brudnopisów. Oto dowód, że wszystko to jest moje. Wydawnictwo już je prawie przyjęło. Wkrótce umowa… W tych dniach mam też zostać przyjęty do Związku Pisarzy. A pan co, ma pan brudnopisy z datami?
— Brudnopisy są u Anieczki — odparł Czesnokow.
— U Anieczkina? — zaniepokoił się Sieriegin. — Nie znam takiego.
— U Anieczki! — krzyknął Czesnokow. — U mojej żony! W głowie! Rozumie pan?
— Tak, tak. Rozumiem — ucieszył się Sieriegin. — To znaczy, że brudnopisów pan nie ma? Cóż więc skłoniło pana…
— W każdym razie nie kamień milowy…
— Jaki znowu kamień milowy?

— Prawdziwy kamień milowy w poezji. Przecież sam pan tak powiedział. Ja pisałem dlatego, że nie mogłem nie pisać.

Do pokoju wszedł naczelny i skromnie usadowił się na taborecie.

— A zatem co robić? — z nieskrywaną rozpaczą zapytał Pionow.

— W każdym razie niczego w gazecie nie zamieszczać — podpowiedział Sieriegin.

— No, to jasne — mruknął Pionow. — Ale co dalej?

— To plagiat! Ja tego tak nie zostawię! Podam do sądu!

— Czy pan także zamierza dochodzić swoich praw? — Pionow zwrócił się do Czesnokowa.

— A więc procesować się, o to panu chodzi? — upewnił się Czesnokow.

— Wątpię. Przecież nie mam brudnopisów.

„Ech, biedaczysko! — pomyślał naczelny. — Nie o brudnopisy tu chodzi, a o człowieka".

— Oświadczam z całą odpowiedzialnością!… — nie wiadomo do kogo zwracając się krzyczał Sieriegin.

Czesnokow wstał niezdarnie, wymamrotał „do widzenia" i skierował się ku wyjściu.

— Wychodzi pan? — zawołał za nim Pionow. — Niech pan jeszcze coś przyniesie! Może być po jednym wierszu.

— Słupem milowym oznaczyłem ten odcinek poezji i nikomu nie pozwolę!… — wciąż jeszcze krzyczał Sieriegin.

„Ohoho — pomyślał redaktor naczelny. — Nie o poezję ci, bratku, chodzi, ale o swoje miejsce tutaj, na naszej matce-Ziemi. Żeby ci się na niej żyło dostatniej i wygodniej. I nie popuścisz. Włóczeniem po sądach zamęczysz".

— Niech pan przyjdzie, Władimirze Pietrowiczu! — jeszcze raz zawołał Pionow.

Czesnokow ostrożnie zamknął drzwi i zgarbiony wyszedł na ulicę.

5

Mżył deszcz. Wrzesień. Wilgoć. Parszywy nastrój.

Czesnokow powłóczył się trochę po Uniwersyteckim Lasku, usiłując nie myśleć o niczym. Wkrótce niebo przejaśniło się. We wrześniu deszcz nie pada jeszcze całymi tygodniami.

Kiedy otworzył drzwi mieszkania, Anieczka była już w domu. I choć robił, co mógł, żeby wydać jej się spokojnym, natychmiast zauważyła, że stało się coś niedobrego. Spojrzała nań błagalnie, ale on pokręcił przecząco głową, zrezygnowała więc z wszelkich pytań. W chwilę później sam podszedł do niej, pogłaskał jej włosy i ująwszy ją za podbródek, uniósł jej nieco głowę, po czym uśmiechając się smutno, opowiedział o wszystkim. Ani razu nie przerwała mu pytaniem, tylko jej oczy to rozszerzały się, to zwężały.

— No ale przecież ty chyba nie myślisz, że on w jakiś sposób przywłaszczył sobie twoje wiersze? — spytała, kiedy skończył, a jej głos był jakby ciut ciut przestraszony.

— Oczywiście, że nie, Anieczko. To po prostu absurdalny zbieg okoliczności. Przykro…

I wtedy zaczęła płakać, a on nie prosił, aby się uspokoiła; wiedział, że nie trzeba tego robić.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Okazało się, że to ich sąsiad, Kondratiuk.

— Potrzebuję rozmienić rubelka.

— Zajdź — powiedział Czesnokow.

Kondratiuk wszedł do pokoju, ujrzał zapłakaną twarz Ani i zapytał:

— Co się tu u was dzieje? Pogrzeb czy co?

Czesnokow nie umiał kłamać, w dwóch słowach opowiedział więc, co się stało.

— Oho, to znaczy, że chcesz się wykierować na poetę!

— Na nikogo się nie chcę wykierować — odparł Czesnokow.

— Nie bądź taki skromny, nie bądź taki skromny. Wal, jeśli tylko masz możliwość. Tam dobrze płacą. Dlatego właśnie wszyscy się tam pchają.

— Nie wszyscy.

— Wszyscy, wszyscy. A tymczasem nowych pomysłów mało. No więc ściągają jeden drugiemu: ten wiersze, a tamten nawet powieść. I tobie też gwizdnęli. Procesuj się, oto moja rada. Być może coś ci wpadnie. A najlepiej to kup sobie skuter. Dwa kółka, bracie, zawsze się opłacają. Ja już malin, porzeczek i innej tam drobnicy za blisko dwieście rubli nazwoziłem.

— I co z tym robisz? Sprzedajesz czy co?

— Nie-e! Za dużo z tym kłopotu. Niechby tak mnie koledzy zobaczyli na targu ze szklanką w ręce, wyśmialiby. A ja lubię, żeby wszystko było cicho i spokojnie. Żona na zimę smaży. Umówiliśmy się z bratem: on daje cukier, a ja jagody. Mówię ci, dwa kółka to jest coś. Weź w zimie na raty. W ciągu lata koszty ci się zwrócą. Zobaczysz.

— Beniaminie, zdaje mi się, że ktoś ci chce gwizdnąć skuter. Słyszysz, ktoś zapuszcza motor.

Kondratiuk wyciągnął szyję i zaczął nadsłuchiwać, a potem rzucił się do drzwi, zapominając rozmienić rubla.

— Jesteś głodny, Wołodia? — spytała Ania.

— Jak wilk — odparł Czesnokow. — Sto lat nie jadłem — dodał i roześmiał się.

Ania spojrzała na niego spod oka i też się roześmiała.

— No to siadaj.

Zadźwięczały talerze. Znowu odezwał się dzwonek u drzwi i znowu był to Kondratiuk.

— Wszystko w porządku — powiedział, szczerząc zęby w uśmiechu. — Minie tam nie mogą niczego gwizdnąć. Ja mam, bracie, takie zaimki!

Nagle spojrzał zdziwiony, wzruszył ramionami i zapytał:

— A wy co, wesele teraz macie czy imieniny? Czemu się śmiejecie?

— Jeść mi się chce, stary — powiedział Czesnokow. — Rozumiesz, bracie, tak mi się chce jeść, że już nie mogę wytrzymać.

— Ahaa — przeciągnął Kondratiuk z niedowierzaniem. — W takim razie rozumiem. No, dobra, a co będzie z moim rubelkiem?

Kondratiuk wyszedł zadowolony — rubla rozmienił, ze skuterem wszystko w porządku, a więc czego tu jeszcze chcieć?

— Wołodia — powiedziała Ania wieczorem, kiedy szli spać — ja przecież wiem, że ty jeszcze wiele napiszesz.

— Wiele, bardzo wiele.

A jednak po tym wydarzeniu Czesnokow jakoś oklapł. Mimo wszystko czuł się okropnie. I nawet nie o to mu chodziło, że wkrótce miał się ukazać jego zbiorek pod cudzym nazwiskiem, a już z pewnością nie o to, że ktoś inny weźmie za niego honorarium. Czesnokow czuł, że Sieriegin po prostu nie mógł napisać takich wierszy. Co innego pisać wiersze po to, aby w oczach ukochanej kobiety ujrzeć wyraz radosnego zdumienia, a co innego po to, by stać się kamieniem milowym w poezji.

Zbieg okoliczności? Oczywiście. Przecież Sieriegin ich nie ukradł! Ale dlaczego to musiał być właśnie on? Czesnokowowi byłoby lżej, gdyby to był ktoś inny. Pionow, albo choćby sam redaktor naczelny gazety. Ach, prawda, naczelny nie pisuje wierszy.

Czesnokow zabrał się do prac domowych. Trzeba było odnowić mieszkanie. Pracował z jakąś dziwną pasją. Z hałasem zeskrobywał z sufitu ledwie trzymający się tynk, wyrywał „z mięsem” gwoździe z rozeschniętej podłogi, w ciągu wieczoru wypijał trzy litry kwasu i wyśpiewywał na całe gardło arie z popularnych operetek.

— Wowka — mówiła Ania — no, zastanówże się, przecież ty naprawdę wcale nie jesteś taki. Co ty za pozę przybierasz?

— Jestem taki, jestem siaki — recytatywem ciągnął Czesnokow. — Jestem jakiś taki.

— Nieprawda. Teraz jesteś rozgoryczony. Ale na kogo? Po co?

Czesnokow, nie odpowiadając, jednym uderzeniem młotka wbił gwóźdź w deskę aż po samą główkę.

Któregoś dnia, fałszując rozpaczliwie, zaśpiewał: „Czy kniaź jest zdrów? Dlaczego wpadł w zadumę?”.

Ania ze łzami w oczach wpadła do pokoju i krzyknęła:

— Tchórz! Zdradziłeś się! Ty myślisz, że to nie zadem zbieg okoliczności, tylko że on ci wierszo ukradł! I dlatego się wściekasz!

— Nie, wcale tak nie myślę. A w ogóle to rzeczywiście czuję się parszywie i jest mi przykro. Wkrótce mi przejdzie i wszystko pójdzie w niepamięć. Chciałabyś — nowe wiersze? Ciepłe, prosto z pieca! No powiedz, chciałbyś?

— Chciałabym — powiedziała Ania i brudnymi rękami wytarła oczy.

Było tego zaledwie osiem zwrotek surowo wyciosanych z twardego kamienia, lecz Ania zrozumiała, że Wowce ulżyło, że odżył.

A w dwa tygodnie później spotkał te wiersze w „Litieraturnoj gazietie”. Pod wierszami widniało nazwisko jakiegoś poety nie znanego Czesnokowowi.

Czesnokow nawet się nie zdziwił, ani też nie grał roli człowieka pokrzywdzonego i z trudem poddającego się zrządzeniom losu. Przestał za — pisywać swoje wiersze, nie starał się też ich zapamiętać, lecz po prostu w długie zimowe wieczory improwizował przed jedyną swoją słuchaczką — Anieczką. Nienadzwyczajny był z niego recytator. Ze sceny, być może, nawet nie chciano by go słuchać. A szkoda. Bo wystarczyło mu tylko zaufać i zrozumieć, że świat rodzący się w jego wierszach to świat prawdziwy, niezależnie od całej swej fantastyczności.

A Anieczka ufała mu i rozumiała go.

Gdyby tak przypadkiem obecny był na tych wieczornych czytaniach Kondratiuk, zapewne zdziwiłby się i powiedział:

— Ależ bucha z ciebie, Czesnokow! Po prostu tryskasz wierszami. Zapisuj je tylko i zamieniaj na walutę. Skuter ku…

Lecz Kondratiuk nigdy nie słyszał wierszy Czesnokowa — to się nie opłacało, czyli — nie miało sensu. Zresztą w jego wiersze Czesnokowa rozsypałyby się w bezbronnych słów, nieśmiałych, niezdarnych, śmiesznych.

Anieczka potajemnie zapisywała zwrotki, które zdołała zapamiętać a pamięć miała znakomitą. Paczka kartek puchła z miesiąca na miesiąc. Czesnokow wiedział, że żona usiłuje „zachować dla potomności" jego utwory, lecz nie zamierzał jej tego zabraniać. Nigdy też nie prosił, aby mu je przeczytała. Zresztą po co miał czytać brudnopisy? Wszystkie swoje wiersze mógł spotkać w gazetach, w czasopismach, w zbiorkach. Prawda, że zawsze widniały pod nimi cudze nazwiska. Ale cóż z tego?

Kilka razy do Czesnokowa do pracy dzwonił Pionow prosząc, aby przyniósł coś najnowszego. Czesnokow jednak zawsze znalazł sobie pretekst, żeby odmówić. Za pierwszym razem powiedział, że rzucił pisanie, ale Pionow nie uwierzył mu:

— Teraz to już nie zależy od ciebie: rzucić czy nie rzucić. One same będą rodzić się w twojej głowie, i ty już nic na to nie poradzisz.

Następnym razem Czesnokow oznajmił, że nie ma nic dobrego, a przy kolejnym telefonie — że nie ma czasu. I była to prawda, gdyż grupa, w której pracował Władimir, właśnie wykańczała projekt. Ostatnim razem Czesnokow powiedział tylko jedno zdanie:

— Sytuacja bez zmian — i odwiesił słuchawkę.

Pionow zadzwonił jeszcze raz, prosząc o pozwolenie przyjścia do Czesnokowa do domu. Czesnokow nie miał powodu odmawiać, wyznaczył więc termin, tymczasem jednak zupełnie niespodziewanie wyjechał na delegację.

Lecz Pionow mimo to przyszedł. W domu była Anieczka. Pionow przedstawił się, a dowiedziawszy się, że Czesnokow wyjechał, ucieszył się nawet.

Jakiś czas rozmawiali o poezji i dogadali się, że podobają im się ci sami poeci. Jak gdyby przypadkiem Pionow zapytał, czy Czesnokow nadal pisze wiersze. Anieczka w milczeniu pokazała mu paczkę kartek i opowiedziała, jak to zapisuje je w tajemnicy przed Władimirem.

— Wszystkie były już w gazetach lub czasopismach — dodała. — To po prostu coś okropnego.

— No tak, no tak — powiedział Pionow. — A czy pozwoli pani, abym to przejrzał?

Anieczka pozwoliła. Pionow szybko przekartkował stronice zapełnione wyraźnym pismem.

— Ja także to już czytałem — powiedział w końcu.

— No i widzi pan — powiedziała Anieczka ze smutkiem. — Cała tragedia polega na tym, że on już nie może nie pisać, nawet gdyby chciał. Milczy za dnia, to nocą we śnie się wygada.

— Tak, tak! A czy pani mogłaby mi dać te wiersze na kilka dni?

— Proszę, niech pan je weźmie. Tylko nie chciałabym, żeby Wołodia się dowiedział.

— I niesłusznie. Trzeba mu to pokazać. Ja sam mu to pokażę, a pani niech już nie zaprzecza, że je pani zapisywała. Być może dla niego tak będzie lepiej.

Ania poczęstowała Pionowa herbatą z miodem, a on postawił jej na kuchence gazowej kocioł z praniem. Nie powinna była już tego robić sama — Ania spodziewała się dziecka. Przed wyjściem Pionow zaniepokoił się — jakże ona sama zdejmie kocioł, i póty się nie uspokoił, póki nie umówił się z sąsiadem, że jej pomoże. Sąsiadem tym był oczywiście Kondratiuk. Ogromnie ucieszył się z poznania przedstawiciela prasy. Ależ tak, wie, wie, że Czesnokow para się literaturą. Nie, nie czytał, lecz ma nadzieję, że kiedyś jeszcze przeczyta. Ot, gdyby to było lato, odwiózłby towarzysza przedstawiciela prasy do domu na skuterze.

Prawdziwie dusza człowiek z tego Kondratiuka.

6

Kiedy Czesnokow wrócił z delegacji, Anieczka opowiedziała mu wszystko.

— Bzdura — powiedział Czesnokow. — Zapisywanie nie ma sensu. Wolę, żebyś słuchała moich wierszy tylko ty sama. Bądź dumna choćby z tego, że możesz poznać je wcześniej niż ktokolwiek inny.

Lecz Pionowa najwyraźniej ogromnie zainteresowała ta historia. Niebawem znów przyszedł do Czesnokowów i przywlókł z sobą podstarzałego redaktora naczelnego młodzieżowej gazety Timofieja Fiedorowicza. Usłyszawszy gwar głosów, przybiegł także Beniamin

Kondratiuk. Pionow nie chciał wygłaszać swojej opinii — zresztą zupełnie fantastycznej — przy obcych, lecz Kondratiuk przedstawił się redaktorowi jako najlepszy przyjaciel rodziny Czesnokowów, a na dodatek sąsiad. I Pionow musiał się poddać.

Przez długi czas rozmowa kręciła się wokół zasadniczego tematu, omijając sedno sprawy. Redaktor zmuszony był tymczasem przyznać, że „panonia" na drogach Syberii to barachło w porównaniu z „uralem". Czesnokow zaś w ogóle niespecjalnie rad był z tej wizyty.

Wreszcie Timofiej Fiedorowicz odsunął filiżankę i powiedział:

— Dość! Dziękuję! Więcej nie mogę!

Pionow także odetchnął z ulgą, sięgnął po swą pokaźną teczkę, otworzył ją i dobył z niej grubą paczkę kartek, wycinków gazetowych i niewielkich książeczek. Kondratiuk pośpiesznie zgarnął naczynia na brzeg stołu, a Anieczka wyniosła je do kuchni. Wszyscy rozsiedli się wokół stołu, poważni i skupieni, jak na ważnym posiedzeniu.

— Władimirze — zaczął Pionow. — Być może to, co teraz usłyszysz, bidzie dla ciebie trochę niemile.

Czesnokow machnął ręką: „Nieważne, poroszę mówić".

— Ten wypadek z Siergiejem Sierieginem wciąż jakoś nie dawał mi spokoju — ciągnął Pionow. — Dokładnie przejrzałem wszystko, co napisał i wcześniej, i później. Już wtedy w redakcji mówiłem, że ostatni zbiorek Sieriegina w porównaniu z tym, co dotąd napisał, to jak niebo i ziemia. To rzeczywiście zjawisko w poezji. Ten zbiorek w ogóle różni się od wszelkich innych wierszy. Nikt tak dotąd nie pisał. Proszę sobie przypomnieć Majakowskiego. Przecież ani przed nim, ani po nim nikt tak nie pisał.

— Pisali, Grigorij, pisali. Tylko że nic z tego nie wychodziło — wtrącił naczelny.

— No właśnie. Nic sensownego z tego nie wychodziło. A Maj akowskiemu wyszło.

— No i co? — przejmującym szeptem spytał Kondratiuk.

— To, że beztalencie i prymitywnie są do siebie podobni, a talent niepodobny jest do nikogo.

— Talent — wyszeptał Kondratiuk, martwiejąc w obliczu owej strasznej tajemnicy.

— Wydany przez Sieriegina zbiorek zatytułowany „Zdziwienie" to prawdziwy Grin w poezji. Zanim jeszcze ujrzał światło dzienne, już o nim mówiono. Potrafiłby pan odróżnić opowiadania Aleksandra Grina od opowiadań innych autorów? — zapytał Pionow, zwracając się do Kondratiuka.

Kondratiuk zmieszał się. Jakoś nie było kiedy przeczytać Grina — to skuter, to sezon grzybowy, to jagodowy. A i zimą nie ma chwili wytchnienia.

— No tak, rozumiem — westchnął Pionow. — Nie w tym rzecz. Oto trzy wiersze z „Junosti", numer 11, z ubiegłego roku — Pionow pogrzebał w stercie papierów, odnalazł czasopismo i uderzył w nie ręką. — Czytał pan?

Czesnokow sięgnął po papierosy.

— Rozumiem — powiedział Pionow. — Przykro. Widziałem te wiersze w brudnopisach, zapisane przez pańską żonę Anię. Styl, sposób myślenia, zdolność widzenia świata nie tak samo, lecz odrobinkę inaczej niż wszyscy… Zdziwienie, wszystko to, to właśnie zdziwienie! Świat po cichutku oducza nas dziwić się. Czym można dziś zadziwić człowieka?

Lotem na Marsa? Afryką? Wąziutką smużką zorzy o wschodzie słońca? Albo może muzyką, dziecięcym uśmiechem? Czym?

— No właśnie. I to jest w porządku! — z entuzjazmem wygłosił Kondratiuk.

— Nie, nie w porządku. Wszystko to nas jeszcze zadziwia, lecz jakoś ociężale, jednostronnie. Zadziwia nas zwyczajnie. Wyobrażacie sobie: zwyczajne zdziwienie? Zwyczajne zdziwienie! Czyż zdziwienie może być zwyczajne? Przecież po to ono jest zdziwieniem, żeby było niezwyczajne.

Czesnokow siedział z takim wyrazem twarzy, jakby go to zupełnie nie obchodziło.

— A w tych wierszach wszystko jest inaczej niż u innych poetów.

— Bo on naprawdę jest inny niż wszyscy — powiedziała Anieczka i zmieszała się. — I w życiu, i w wierszach.

„Boże — pomyślał naczelny — jakaż to szczęśliwa kobieta:!"

— Tymczasem wiersze podpisane są cudzymi nazwiskami. Zebrałem je wszystkie. Proszę, niech pan popatrzy… To twoje wiersze, Władimirze!

— Tak — powiedział cicho Czesnokow. — Wiem, czytałem je wszystkie.

— Najpierw zebrałam je razem, a dopiero patem przyszedłem do pana w nadziei, że zobaczę tu choćby brudnopisy. I nie pomyliłem się. Są wszystkie.

— Nie wszystkie — powiedział Czesnokow. — Ostatnich nie czytałem nawet Anieczce.

— To te?

— Tak.

— Nie wiem, czy pan wie, że ostatnio samorzutnie utworzyło się stowarzyszenie poetów, którzy napisali „pańskie" wiersze. Jakoś tam się wzajemnie odszukali, poodnajdywali. Jest ich około dziesięciu osób. Na swojego przewodniczącego wybrali Sieriegina.

— Wszystko to wiem — powoli i ze spokojem odrzekł Czesnokow. Lecz w niczym nie mogę wam być pomocny.

— Mam pewien pomysł — powiedział Pionow. — Zupełnie fantastyczny. Możliwe, że w rzeczywistości to nie pan pisze — Pionow machinalnie przeszedł na „pan". — Możliwe, że w rzeczywistości wiersze piszą inni. A pański mózg tak dokładnie i precyzyjnie nastawiony jest na określony nastrój, że momentalnie je sobie przyswaja. I w żaden sposób nie da się udowodnić, że one rodzą się najpierw u pana.

Anieczka zagryzła wargi.

— Telepatia — wykrztusił Kondratiuk, oblewając się zimnym potem.

— Tak, tak. Nie! W czym tu telepatia? Nie o to chodzi.

— No, cóż. Dziękuję panu za starania. Więc jednak jestem współtwórcą.

— Rzecz w tym — po raz pierwszy chyba w ciągu całej wizyty odezwał się naczelny młodzieżowej — gazety — że wszystko to bzdura.

— A więc nie ma tu żadnej telepatii — odetchnął z ulgą Kondratiuk. — Słyszałem o niej.

— Dlaczego u wszystkich tych poetów — naczelny koniuszkami palców dotknął sterty kartek — właśnie te wiersze stanowią wyjątek w twórczości?

— Tak, tak — poparł go Pionow. — Napisze jeden, dwa, trzy wiersze lub też jak Sieriegin cały zbiorek, lecz ani przedtem, ani potem niczego podobnego już nie pisze. Za to pisze ktoś inny. I znowu jest to u niego wyjątek. A u ciebie to jest reguła. Niczego tu nie można pomylić. Tak, być może to oni jakimś cudem, bezpośrednio z mózgu do mózgu przyswajają sobie twoje wiersze? I te wiersze są rzeczywiście twoje?! Rozumiesz, to twoje wiersze?! — Pionow zadowolony odchylił się ma oparcie krzesła i obrzucił wszystkich tryumfującym spojrzeniem.

— Lecz w żaden sposób nie można tego udowodnić — powiedział Timofiej Fiedorowicz. — Niestety.

— A po co udowadniać? — zapytał Czesnokow.

— Nie, można udowodnić — zaprzeczył Pionow. — Z trudem, ale można. Teoretycznie można, gdyby wiedzieć, w czyjej głowie wiersze zrodzą się najpierw. Powinna być jakaś różnica w czasie. Załóżmy, że tamtemu komuś, temu drugiemu, skończy się wieczorem atrament lub papier. Nie ma czym zapisać. A rankiem zwali mu się na głowę tyle spraw, że ani zipnie. Oto twoja różnica w czasie. Bo ty właśnie zdążyłeś zapisać. Przy czym różnica zawsze powinna być na twoją korzyść.

— Wynika stąd, że przez cały czas powinienem trzymać w pogotowiu pióro i atrament — uśmiechnął się Czesnokow.

— To rzeczywiście śmieszne — powiedziała Ania.

— Trzeba postawić ma nogi społeczeństwo — poradził Kondratiuk. — Społeczeństwo wszystko może.

— W tym przypadku przydałoby się postawić całe społeczeństwo ma głowie — westchnął Timofiej Fiedorowicz.

— W takim razie należy napisać do miesięcznika „Tiechnika — mołodioży" — podpowiedział znowu Kondratiuk. — Nie o takich tam rzeczach piszą.

— Nie, nie — oderwał się naczelny. — Tu nawet różnica w czasie nie pomoże. Cóż znaczy dzień lub dwa? A jeśli trafi się taki człowiek, jak Sieriegin? Niezależnie od wszystkiego jest ambitny i ma dobrze postawiony głos, a jaki z niego erudyta w zakresie ochrony praw autorskich! Spróbować oczywiście można. Właśnie zdecydowaliśmy się wydrukować kilka pańskich wierszy, i niech się dzieje, co chce. W każdym razie bliżsi będziemy jakiegoś wyjaśnienia.

— Tak, tak, Władimirze, dział poezji masz za sobą.

— A więc jednak dali się namówić — ucieszył się Kondratiuk. Cała ta historia wzruszyła go, a nawet pojawiło się w nim pragnienie przyjścia sąsiadowi z pomocą. Dlaczego ma walczyć na próżno! Jakże tak?

— „Namawianie" nie ma z tym nic wspólnego — odciął się redaktor. — Po prostu tak właśnie postanowiliśmy.

— Nie będę się sprzeciwiał — powiedział zmęczonym głosem Czesnokow. Był wyraźnie rozstrojony.

Żona niepostrzeżenie ujęła go za rękę i pogłaskała ją — ostrożnie, ledwie-ledwie.

— Szczerze wierzymy, że to pańskie wiersze. I powinny być wydrukowane pod pańskim nazwiskiem — powiedział twardo Timofiej Fiedorowicz.

— Teraz to ja nie jestem tego pewny.

Goście rozeszli się późno. Kondratiuk nie posiadał się ze zdziwienia. Szczęście samo pcha się człowiekowi do rąk, a ten mu staje okoniem. W to, że z Czesnokowa tęgi pisarz, Kondratiuk nie wątpił. Nie na darmo przecież przychodzą do niego tacy ludzie. Na odchodnem Pionow zaklął się na wszystkie świętości, że napisze artykuł. Nie wie jeszcze kiedy, ale napisze. A Timofiej Fiedorowicz jak zwykle nie powiedział nic, tylko pomyślał o Czesnokowach: „Przeżywają przecież trudny okres. Dlaczego więc w ich mieszkaniu panuje uczucie szczęścia?".

Czesnokow nie dał nic do gazety. Lecz Pionow mimo to napisał rzeczowy artykuł, w którym szczegółowo (przedstawił wszystkie fakty dotyczące zagadkowego zjawiska i losów nie znanego nikomu, (Utalentowanego poety. Artykuł wysłany został do „Litieraturnoj Rosii". A w kilka miesięcy później przyszła odpowiedź, w której informowano go, że gazeta niezwykle rzadko drukuje fantastykę naukową i w Chwili obecnej nie widzi możliwości publikacji opowiadania. Pionow wzburzył się ogromnie, napisał do gazety ostry list, lecz odpowiedzi nie otrzymał. Mimo to wciąż miał nadzieję, że przyjdzie czas, kiedy udowodni swoje racje i przywróci prawa Czesnokowowi.

Dwa, trzy razy do roku odwiedzał Czesnokowów, lecz coraz rzadziej prosił Władimira, aby dał mu coś do gazety. A potem przeniesiono go do Moskwy i zaczął pracować w jednej z centralnych gazet.

Czesnokowowi urodził się syn, a potem i córka. Kłopotów z maluchami było sporo. Do tego czasu

uzbierałoby mu się — gdyby zebrać je razem — ze dwadzieścia tomików wierszy. Swoje pierwsze opowiadanie Czesnokow napisał, gdy starszy syn, wtedy jeszcze jedynak, skończył trzy miesiące. Od tej pory coraz rzadziej pisał wiersze, za to coraz bardziej ciągnęło go do prozy. Ż początku były to niewielkie opowiadania, smutne, lecz pełne subtelnego humoru. Potem coraz większe i poważniejsze. Po jakimś czasie odważył się napisać powieść. I znowu wszystkie te utwory spotykał w czasopismach i zbiorkach pod cudzymi nazwiskami. Spontanicznie powstałe stowarzyszenie poetów „Zdziwienie" stopniowo rozpadło się, ponieważ coraz rzadziej ukazywały się drukiem wiersze o odpowiednim stylu i treści.

Któż zatem pisał owe wiersze i opowiadania? Pionow nadal nie mógł niczego udowodnić. Był przeświadczony, że wszystko to należy do Czesnokowa, potrzebne były jednak ścisłe dowody. A sam Czesnokow? Oczywiście, przykro mu było, gdy uświadamiał sobie, że ktoś natychmiast przejmuje jego utwory i bez cienia wątpliwości wydaje je jako własne. Lecz byłoby mu jeszcze trudniej, gdyby się okazało, że to właśnie on, Czesnokow, posiada po prostu zdolność natychmiastowego przejmowania wierszy i opowiadań harmonizujących iż jego nastrojem, lecz napisanych przez innych autorów. Wiele o tym myślał, zwłaszcza po owej pamiętnej rozmowie iż Pionowem i Timofiejeim Fiedoirowiczem. Czy doszedł do jakiegoś wniosku? Owszem, doszedł — inabrał niezbitej pewności, że to właśnie on pisze. Lecz nie dawało mu to jeszcze podstaw, aby posyłać swe rękopisy do wydawnictw czy redakcji.

Czas toczył się zwykłą koleją. Czesnokow został tymczasem kierownikiem niewielkiego laboratorium, Kondratiuk zaś naczelnikiem dużego oddziału. A że żaden z nich nie zwykł był traktować swej roboty byle jak, nierzadko przeto służbowe problemy przychodziło im rozwiązywać poza godzinami pracy.

Kondratiuk nabrał do Czesnokowa jakiegoś dziwnego szacunku. Wspina się człowiek na pionową ścianę, traci siły, pada i znów się wspina. A po co? Przecież na szczycie góry tak czy owak nic nie ma — ani złóż złota, ani czarodziejskiego kwiatu, nawet panoramy gór i dolin nie da się stamtąd zobaczyć, gdyż wierzchołek góry okrywa wieczna mgła. A mimo to człowiek nie przerywa wspinaczki. I właśnie ten niezrozumiały upór mimo woli wywołuje szacunek i strach. A gdyby tak był to on,

Kondratiuk? Dobrze, że to nie on!

Beniamin Kondratiuk objął nawet coś w rodzaju patronatu nad Czesnokowami. W letnie niedzielne dni proponował swój samochód, żeby wyjechać na łono przyrody, zapraszał na daczę.

Niekiedy Czesnokowowie przyjmowali zaproszenia. Kondratiuk był wtedy szczerze rad. Jeśli ludziom jest przyjemnie, to znaczy, że samochód i dacza opłacają się. Pieniądze nie zostały wydane na próżno.

Częściej jednak Czesnokowowie odmawiali. Wędrowali w piątkę po drogach i ścieżkach podmiejskich lasów Ustmańska. Starszy syn mógł już nieść nieduży plecak, zaś młodsze dzieci zazwyczaj jechały na niezbyt szerokich ojcowskich ramionach, dopóki nie ukazał się przed nimi odludny brzeg strumienia lub rzeczułki. Nie oddalając się zbytnio od miasta, potrafili zobaczyć bardzo wiele. Dziwny talent Czesnokowa pomagał im widzieć wszystko nie tak, jak zwykle. I dzięki temu;na sercu robiło się jakoś dziwnie i chciało się ulecieć do góry, i płakać, że latać się nie potrafi.

Czesnokow, być może, i rzuciłby pisanie, gdyby choć raz zobaczył, że Anieczka, słuchając go ukradkiem ziewa z nudów. Lecz nic takiego się nie zdarzyło. Wszystko ją interesowało. I tak samo jak dziesięć lat temu ze ściśniętym sercem słuchała o tym, jaki to dziwny i zdumiewający, radosny i smutny, szczęśliwy i gorzki świat ich otacza. Zawsze był inny. A czyż można się nudzić, kiedy wokół siebie wciąż widzi się coś innego, coś nowego. Człowiek ziewa z nudy wtedy, gdy wszystko już od dawien dawna wie i niczego nowego w przyszłości się nie spodziewa.

Ale on pisał, ponieważ i dla niego, i dla jego żony Anieczki, teraz już Anny, było to interesujące.

Pewnego razu Czesnokow dowiódł niezbicie, że to właśnie on pisze. Już wcześniej Pionow zwrócił uwagę na to, że owe niezwykłe wiersze w twórczości niektórych poetów trafiają się od czasu do czasu,

podczas gdy u Czesnokowa stanowią regułę. Trzeba było tylko udowodnić, u kogo pojawiają się wcześniej.

Czesnokow zaczął pisać nową powieść z życia inżynierów. Pomyślana była w formie trzech opowiadań — od postaci trzech głównych bohaterów. Powieść pisało się łatwo. Czesnokow w ogóle miał łatwość pisania. Właśnie zakończył pierwszą część i zabrał się do drugiej. I znów jak zwykle, przeglądając w bibliotece nowości, w jednym z czasopism Władimir natknął się na pierwszą część owej powieści. Podobna sytuacja zdarzyła mu się już tyle razy, że i teraz nie zdziwiło to ani jego, ani Anny.

W tym roku wiosna przyszła wcześnie. Za dnia śnieg topniał, w nocy zaś chwytał mróz. Czesnokow szedł do pracy, kiedy pośliznął się, upadł i złamał rękę. No cóż, zdarza się taki pech! Musiał iść do szpitala, lecz nadgarstek długo nie chciał się zrastać. Na dobitkę wykryto u niego uszkodzenie kręgosłupa. Krótko mówiąc — Czesnokow przeleżał w szpitalu blisko trzy miesiące. Pisać nie mógł, za to czytać — ile dusza zapragnie. W ten to właśnie sposób ponownie wpadło mu w ręce czasopismo z pierwszą częścią jego powieści; zauważył przy tym notatkę od redakcji, że w następnym numerze wydrukowana zostanie część druga. To go zainteresowało. Przecież nie zdążył napisać drugiej części! Odszukał następny numer, lecz jak się okazało, dalszego ciągu w nim nie było. W trzecim numerze także niczego nie znalazł. Za to pojawiła się notka, że z przyczyn od redakcji niezależnych publikacja powieści zostaje odłożona na czas nieokreślony.

I wtedy Czesnokow wysłał do autora telegram, w którym doradzał mu albo rozwiązać umowę z wydawnictwem, albo też zmienić terminy publikacji, ponieważ on, Czesnokow, w chwili obecnej nie może zająć się powieścią.

Autor otrzymał telegram i już chciał odpowiedzieć Czesnokowowi jakąś gryzącą złośliwością, ale się rozmyślił. Mało to każdy pisarz ma nieżyczliwych! Nie można przecież ze wszystkimi korespondować. A jego powieść rzeczywiście utknęła. Ani słowa. Pchały mu się do głowy przeróżne bzdury, tylko nie to, co potrzebne. Kilka razy zachodził do fabryki, żeby popatrzeć, jak pracują inżynierowie. On sam nigdy inżynierem nie był. Ale i tak nie mu nie wychodziło. Sprzykrzyły mu się także telefony z redakcji — skąd ma „wziąć ciąg dalszy, skoro natchnienie znikło!

Tymczasem Czesnokow nieoczekiwanie dla samego siebie napisał do autora list, w którym prosił o podanie dat rozpoczęcia i zakończenia drugiej i trzeciej części. Do tego czasu zdążył już wyjść ze szpitala i w ciągu dwóch tygodni zakończył pisanie drugiej części.

Na autora powieści także spłynęło nagle natchnienie, i to w dodatku takie, że drugą część zdołał ukończył równo w dwa tygodnie. Z tej wielkiej radości wystosował do Czesnokowa obszerny list o tym kiedy i jak napisał druga część powieści. Życzliwym czytelnikom trzeba wszakże niekiedy odpowiadać.

Teraz Czesnokow miał już całkowitą pewność, że to jednak on sam pisze. Przyszła mu nawet ochota zażartować sobie z autora powieści i wcale nie pisać trzeciej części. Po chwilowym zastanowieniu zdecydował jednak, że nie ma sensu znęcać się nad człowiekiem, który przecież nie jest niczemu winien.

Sądząc po krytykach, recenzjach i notatkach prasowych Czesnokow był utalentowanym pisarzem. Przed Kondratiukiem, jako przed starym przyjacielem rodziny, Czesnokowowie nie mieli tajemnic. Kondratiuk też niezwykle się uradował, kiedy dowiedział się, że sąsiad udowodnił swoje pierwszeństwo. Teraz, gdy wreszcie zaczną go drukować pod jego prawdziwym nazwiskiem, Czesnokow pójdzie w górę, i nie zwyczajnie ot tak, bo to interesujące, ale dlatego, że tam coś błyszczy — ni to żarptak, ni to jeszcze coś innego. Materialny dobrobyt zdobyty uczciwą pracą Kondratiuk cenił sobie ponad wszystko.

Czesnokow nie miał żadnych powiązań z kręgami literackimi, nie miał też czasu, żeby obijać redakcyjne progi. Niekiedy spotykał się z Timofiejem Fiedorowiczem, który wciąż jeszcze był redaktorem naczelnym młodzieżowej gazety i po dawnemu starał się przekonać swych zwierzchników, że powinni go przenieść do innej pracy. Lecz spotkania te były przypadkowe i krótkie.

A Czesnokow pisał dalej i chyba nawet z jeszcze większą żarliwością niż kiedyś. Nie zamieszczają

jego nazwiska na okładce powieści? Do diabła z nimi! I nigdy nie zamieszczą? Z tym się już pogodził. Najważniejsze — że jego opowiadania i powieści podobają się, że ludzie znajdują w nich to, czego na próżno szukali w utworach innych autorów. I jeszcze to, że jego powieści są jakby trochę cudowne, niezwykłe, wciąż jeszcze przebija w nich zdumienie. Czesnokow bowiem nie przestawał dziwić się światu i ludziom.

Postępowanie Czesnokowa zaczęło wreszcie denerwować Kondratiuka. Nie kradnij, nie oszukuj, żyj uczciwie. Wszystko to w porządku. Kondratiuk przez całe swoje życie nie popełnił ani jednego nieuczciwego postępku. Nie kradł, nie oszukiwał. Własnymi — rękami, własnym wysiłkiem dorobił się i samochodu, i daczy, i spółdzielczego mieszkania dla jednego z synów. Kiedy trzeba było, harował także w dni wolne i podczas urlopu. Nawet jako naczelnik wydziału wciąż jeszcze dorabiał „zleconymi", brał pracę do domu. Ale wszystko to przecież przynosiło mu korzyść, opłacało się, było niezbędne. I gdyby tak ktoś spróbował go pozbawić świątecznego ubrania, wyłamać ogrodzenie wokół daczy, czy nie rzuciłby się krzywdzicielowi do gardła i nie bił go bez opamiętania?! Moje! Nie dotykaj! Zapracuj sam!

A Czesnokow dobrowolnie wyrzekał się wszystkiego — i Czarnego Morza, i jachtów, i zagranicznych wycieczek, i pieniędzy, i sławy. Dla kogo? Dla tego, kto się nawinie. Czesnokowowi było to obojętne. A przecież to wszystko, wszystko należało się właśnie jemu, Czesnokowowi. Według ustawy, według prawa.

Kondratiuk czuł, że jego spokojny, zwyczajny i zrozumiały świat rozpada się. Obaj jego synowie na całe wieczory przepadali u Czesnokowów. I nie było dla nich większego autorytetu niż wujek Wołodia. To nie w porządku! Jego żona, cicha skromna kobieta, która nigdy nie potrafiła wypowiedzieć ma głos swojego zdania, nagle, ni stąd ni zowąd coraz częściej zaczęła zaglądać do sąsiadów, przestała wbijać wzrok w podłogę i patrzyła mu prosto w oczy, chociaż tak jak dotąd, nigdy mu się nie sprzeciwiała. A i on sam, Kondratiuk, bywał teraz częstym gościem u Czesnokowów. Tam zawsze panował gwar. Ludzie, nie wiadomo dlaczego, lubili przychodzić do tego niewielkiego standardowego mieszkania, ciasno zastawionego książkami.

A rozmowy… Cóż to były za rozmowy! Każde słowo, biorąc oddzielnie, było dla Kondratiuka zrozumiałe. Lecz jaki był sens całych zdań?! Co to było? Po co? Dlaczego jego żona przewraca się w nocy z boku na bok i nie śpi, tylko leży z otwartymi, pełnymi łez oczami i uśmiecha się? Stara wiedźma. Ma już czterdziestkę z okładem i uśmiecha się. Dlaczego starszy syn odszedł z domu? Dlaczego jemu samemu zbrzydło już patrzeć na błyszczący lakierem samochód? Dlaczego dookoła widzi pustkę?

Wszystko dlatego, że Czesnokow pisze. Po co pisze?

— Po co ty piszesz?

— To ciekawe.

— Jaką masz z tego korzyść? Czesnokow wziął z półki książkę w ozdobnej oprawie.

— Chcę, żeby takich książek czytano mniej.

— Czytałem ją. Interesująca.

— Kłamstwo także bywa interesujące.

A czas mijał. Dzieci wyrosły i porozjeżdżały się. Anna, teraz już Anna Iwanowna, roztyła się, lecz wciąż śmiała się z tą samą zaraźliwą wesołością i wciąż tak samo kochała swego Wołodię, teraz już Władimira Pietrowicza — chudego, przygarbionego i posiwiałego.

I wciąż tak samo wesoło było w ich mieszkaniu. Nawet wtedy, gdy Czesnokow zostawał sam i Kondratiuk przychodził do niego na papierosa, nawet wtedy w atmosferze mieszkania było coś zadziwiającego. Kondratiukowi zdawało się, że widzi i Annę Iwanowna, i swoją żonę, dzieci Czesnokowów i swoje dzieci, i nieznajomych sobie ludzi. Wszyscy oni znakomicie się rozumieli, kłócili się i często nie potrafili dojść do wspólnego wniosku, nieważne — i tak tam pędzili. Lecz jak się tam znaleźli? Przecież naprawdę byli daleko stąd. Wszyscy znali się doskonale, i tylko jego, Kondratiuka, nikt nie zauważał. W milczeniu dopalał więc papierosa i wychodził, a potem wypijał szklankę wódki i szedł

spać. A dookoła było cicho i pusto — jak w grobie.

7

Czesnokow miał już sporo po czterdziestce, kiedy po raz ostatni spotkał Timofieja Fiedorowicza, który tymczasem przeszedł na emeryturę — oczywiście jako redaktor naczelny gazety młodzieżowej. W ciągu sześćdziesięciu pięciu lat życia w jego pamięci nagromadziło się wiele faktów i myśli. I Timofiej Fiedorowicz pisał książkę — bilans swego długiego żywota.

Najpierw porozmawiali o pogodzie. Potem Timofiej Fiedorowicz ponarzekał na nieustanne bóle w krzyżu, a Czesnokow pouskarżał się na bóle serca. Wspomnieli też o Pionowie, który tymczasem został redaktorem naczelnym poważnego czasopisma.

— Wszystko po staremu? — zapytał Timofiej Fiedorowicz.

— Tak — odparł Czesnokow. — Tylko pracuje mi się coraz trudniej. Jeśli zdążę, to napiszę jeszcze jedną książkę, i to wszystko.

— Ja także kończę swoje arcydzieło. A ta pańska powieść to co to jest?

— zaciekawił się Timofiej Fiedorowicz.

— Chcę ją zatytułować „Po co człowiek żył?” — odrzekł Czesnokow.

Timofiej Fiedorowicz nagle potknął się na prostej drodze i zaczął ciężko oddychać.

— A pan? — spytał Czesnokow.

— E tam, właściwie to bzdura. Same głupstwa.

— Co też pan mówi, Timofieju Fiedorowiczu? Pan nie jest zdolny do pisania głupstw. Znam pana dobrze.

— Tak, tak, oczywiście — mruknął Timofiej Fiedorowicz i zmienił temat.

Pospacerowali jeszcze trochę po Uniwersyteckim Lasku, porozmawiali i rozeszli się.

„Oto przyszła i moja kolej — pomyślał Timofiej Fiedorowicz. — Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zniszczyć rękopis.”

On także pisał powieść pod tytułem „Po co człowiek żył?”.

Zadziwiający talent Czesnokowa nie ominął i jego.

Nigdy więcej się już nie spotkali.

Czesnokow umarł pod koniec jesieni w porze długotrwałych, uporczywych deszczów, kiedy ulice pokryte są grubą warstwą błota, trudną do przebycia. Umarł nagle, nie będąc dla nikogo ciężarem w chorobie i cierpieniu.

Czesnokow umarł.

Kondratiukowi nigdy nie przyszłoby do głowy, że Czesnokow ma tylu przyjaciół.

Przyleciały jego dzieci, a także dzieci Kondratiuka, które całymi latami nie pojawiały się w domu. Przyleciał Pionow, zawezwany przez Timofieja Fiedorowicza. Do mieszkania Czesnokowa ustawił się długi żałobny szereg. Pożegnanie ciągnęło się kilka godzin.

— O Boże — powtarzała Anieczka tonąc we łzach. — On wcale nie jest straszny. On wciąż jest taki sam. Wciąż jest taki sam.

Na twarzy Czesnokowa zastygł wyraz wiecznego zdziwienia.

Zupełnie tak, jak gdyby chciał powiedzieć: „Śmierć… Jak się Okazuje, ty jesteś jakaś… dziwna…”

Kondratiuk stał u wezgłowia trumny. Chwiał się ze zmęczenia i wypitej wódki. Oczy miał załzawione, a ręce drżały mu lekko. Jednak nie żałował Czesnokowa. Czuł do niego teraz ogromną nienawiść. To on, Czesnokow, sprawił, że całe jego życie stało się bezsensowne, to on obrócił wniwecz wszystkie jego nadludzkie wysiłki. On, który przeżywszy życie w tak bezsensowny sposób, zdołał przeciągnąć na swoją stronę tylu ludzi. Teraz płaczą! Także jego, Kondratiuka, dzieci — płaczą! Płacze także owa cicha, skromna kobieta, jego żona! A czy kiedy on, Kondratiuk, umrze, także będą — płakać? Może trochę, troszeczkę, dla zasady?

— Po co człowiek żył? — krzyknął Kondratiuk. — Jaki był z niego pożytek? No jaki?

Synowie w milczeniu wzięli go pod ręce i wyprowadzili.

— Po co człowiek żył? — nie przestawał krzyczeć Kondratiuk. — Wszyscy kłamiecie! Żył na próżno! Na próżno!

— Ty… gadzino! — krzyknęła jego żona, cicha, skromna kobieta. Zawsze była cicha i jej matka była cicha, i jej babka. — Jak śmiesz! Nigdy nie potrafisz tego zrozumieć!

Czy to naprawdę jego żona? Skąd zna takie słowa?

— Nienawidzę cię! Nienawidzę! — krzyczała cicha kobieta.

I dzieci nie ujęły się za ojcem.

Kondratiukowi ziemia usunęła się spod nóg. Być może po raz pierwszy w życiu pomyślał: „A po co on sam żyje? Jak żyje? Nie kradł, nie oszukiwał. Brał tylko to, co mu się zgodnie z prawem należało. Czy to za mało? Co jeszcze trzeba zrobić? Co?”.

Po powrocie z pogrzebu Kondratiuk rzucił się z mostu w lodowate wody Many. Wyłowiono go i ocucono. Kondratiuk miał żyć dalej.

Timofiej Fiedorowicz namówił Pionowa, aby zatrzymał się w Ustmańsku na kilka dni. Razem przejrzeli archiwum Czesnokowa. Ogromnie zdenerwowany, Timofiej Fiedorowicz zabrał się do czytania ostatniej powieści Czesnokowa, powieści, którą pisał także on sam. Spodziewał się absolutnego podobieństwa, tymczasem była to zupełnie inna powieść. Timofiej Fiedorowicz denerwował się niepotrzebnie.

Pionow zabrał z sobą rękopis powieści z mocnym postanowieniem, że opublikuje ją pod nazwiskiem Czesnokowa. Chciał wziąć także rękopis Timofieja Fiedorowicza. Cóż w tym nadzwyczajnego, że dwie różne powieści będą miały jednakowe tytuły.

— Nie, Grisza — powiedział jednak Timofiej Fiedorowicz. — Na pytanie „po co człowiek żył” można dać tylko jedną odpowiedź. Niech więc odpowie na nie sam Czesnokow.

Przetłumaczyła Aleksandra Orman

Posłowie

W epoce rewolucji naukowo-technicznej, z towarzyszącymi jej skomplikowanymi wzajemnymi związkami pomiędzy jednostką i ogółem, człowiekiem i techniką, człowiekiem i przyrodą, nieustannie wzrasta znaczenie zagadnień moralnych. Zdolność fantastyki do przyglądania się tendencjom życia jak gdyby przez czarodziejskie szkiełka, przyspieszające bieg czasu, nie zaciera pryncypiów „człowiekoznawstwa", właściwego jej, jak i każdemu rodzajowi sztuki. Właściwość ta, być może, polega na tym, że przesuwając granice czasu i przestrzeni, znajdując w kosmicznym odczuwaniu świata nie spotykaną przedtem skalę doznań, fantastyka jest zdolna — w swojej lepszej cząstce — podnieść wiedzę o człowieku do wiedzy o ludzkości.

Charakter dzisiejszej fantastyki naukowej określają kryteria społeczno-moralne: umiejętność korzystania z posiadanej wiedzy, zachowanie Ziemi dla przyszłych pokoleń, wzbogacenie człowieka o nowe wartości i nauczenie go być lepszym, niż jest, zobaczenie i utrwalenie w literackiej postaci modelu przyszłego doskonałego społeczeństwa.

Fantastyka radziecka w ciągu ponad sześćdziesięciu lat przeszła kilka etapów rozwoju, przeżywała swoje wzloty i upadki, okresy stagnacji i rozkwitu, dopóki nie potrafiła wywalczyć sobie dostatecznie trwałej pozycji w ogólnym procesie kształtowania się literatury. W okresie ostatnich lat coraz bardziej odchodzi od popularyzowania konkretnych idei techniki i uzbraja się w nauki humanistyczne: filozofię, socjologię, pedagogikę, etykę. We współczesnej fantastyce nie szukamy granic dzielących ją od pozostałej literatury, a przeciwnie, szukamy w niej tych problemów i konfliktów, które aktualna rzeczywistość podsuwa wszystkim poważnym pisarzom, niezależnie od tego, jakie gatunki literackie uprawiają.

Jeśli na początku lat sześćdziesiątych, zapowiadających nadejście nowego periodu w historii radzieckiej literatury fantastycznej głównymi jej ośrodkami były Moskwa, Leningrad, Baku i Kijów, to dziś, na progu lat osiemdziesiątych, stały się nimi także przemysłowe i naukowe centra Uralu, Syberii, stolice republik związkowych i niektórych autonomicznych, gdzie fantaści piszą w swoich rodzimych językach lub w rosyjskim. W Związku Radzieckim tworzy dziś około czterystu pisarzy— fantastów. I choć wskaźniki mówią tu za siebie, najbardziej istotne i nie mniej godne uwagi niż priorytet problematyki moralnej — jest sam fakt kształtowania się na naszych oczach i rozwijania w przyspieszonym tempie literatury fantastycznej narodów Związku Radzieckiego.

Omówienie radzieckiej fantastyki z pominięciem tego dynamicznego procesu byłoby oczywiście niepełne i mało obiektywne. Wybór opowiadań jednak, zawartych w poznańskim zbiorze, każe mi ograniczyć temat i zająć się fantastyką rosyjską. Retrospektywny zaś układ książki skłania do spojrzenia w przeszłość.

Fantastów radzieckich wiąże z poprzednikami podwójne dziedzictwo. Z jednej strony — w ogóle twórczość klasyków, koryfeuszy realizmu rosyjskiego, bynajmniej nie stroniących od umowności, groteski, hiperboli, alegorii, symboliki, słowem — wszystkich tych środków, bez których fantastyka nie istnieje (Gogol, Turgieniew, Leskow, Dostojewski, Sałtykow-Szczedrin), a z drugiej — dzieła tych pisarzy, którzy stworzyli rodzimą tradycję prozy fantastycznej. Tradycję może niezbyt bogatą, lecz na tyle żywą, że dziedzictwo jej daje się zauważyć także w radzieckiej literaturze.

U początków rosyjskiej fantastyki naukowej, rozwijającej się, tak jak na Zachodzie, w symbiozie z utopią, spotkamy dwu znaczących pisarzy: współczesnego Puszkinowi, wszechstronnie wykształconego Władimira Odojewskiego i rewolucyjnego demokratę — krzewiciela oświaty, Mikołaja Czernyszewskiego. I jeden, i drugi różnie co prawda kreślili oblicze tego, co nastąpi, lecz obaj łączyli przyszłość Rosji z rozwojem oświaty i z postępem naukowym.

Od dalekowzrocznych prognoz Odojewskiego, zawartych w nie dokończonej powieści utopijnej

4338 god. Pietierburgskije pisma (1840) można przeprowadzić linię ku technicznym fantazjom rosyjskich uczonych (K. Ciołkowski, W. Czukolew i inni), a więc i do „czystej" fantastyki naukowej, a od powieści Czernyszewskiego Co robić? (1863) z ostrymi wizerunkami „nowych ludzi", usiłujących w miarę możliwości przybliżyć swoim czasom przeobrażoną, wolną, socjalistyczną Rosję — do wspaniałej w swoim rodzaju marsjańskiej utopii Krasnaja Zwiezda (1908) Aleksandra Bogdanowa (rewolucjonisty z otoczenia Lenina), odkrywającej nowy rozdział w historii rosyjskiej fantastyki. I podobnie jak idee Ciołkowskiego, „ojca astronautyki", oraz jego opowiadania fantastyczne i szkice (Na Łunie, Griozy o ziemie i niebie, Wnie Ziemli) utorowały drogę tematyce kosmicznej w radzieckiej fantastyce naukowej, tak powieść Bogdanowa — fantastyce społeczno-prognostycznej. Oba te zresztą tematy przeplatają się.

Marzenia Ciołkowskiego kierowały się w nieskończoną dal. U schyłku swego życia, w 1929 roku, wypowiedział przedziwnie śmiałą myśl, która zyskała potem artystyczne wcielenie w powieści Iwana Jefremowa Mgławica Andromedy: „Każda planeta — pisał Ciołkowski — z biegiem czasu integruje się, usuwa wszystko, co niedoskonałe, dąży do szczytu potęgi i wspaniałej organizacji społeczeństwa. Jednoczą się także bliższe grupy słońc, mleczne drogi, eteryczne wyspy…".

W latach przed rewolucją fantastyka utrwalała swoją obecność w literaturze rosyjskiej w szerokim zakresie tematycznym i gatunkowym, począwszy od tradycyjnych powieści przygodowych na motywach inżynierskich hipotez po mistyczną beletrystykę brukową z pogłębionym „studium" problemów z tamtego świata.

Obosieczność zdobyczy postępu naukowo-technicznego stała się problematyką wielu utworów literackich, zwłaszcza w okresie poprzedzającym pierwszą wojnę światową. Charakterystyczna dla twórczości Herberta G. Wellsa i późniejszych powieści Juliusza Verne a antynomia — wiedza może być wykorzystana w przeciwnych sobie celach, może służyć dobru i złu — wyraźnie występuje w powieści wielkiego prozaika Aleksandra Kuprina Żidkoje sołnce (1913), która nie pozostała bez wpływu na radziecką fantastykę naukową.

Znany poeta Walery Briusow w 1907 roku opublikował swój pierwszy prozatorski zbiór Ziemnaja os który oprócz opowiadań fantastycznych zawiera dramat Ziemia — swoiste filozoficzno-fantastyczne misterium na temat pozbawionej radości przyszłej cywilizacji maszyn. Nie przeszkodziło to jednak poecie opiewać dalszych potomków ludzkości, którzy nawiążą łączność z mieszkańcami gwiezdnych światów i nawet nauczą się kierować ruchem planet:

Czekam, aż w końcu kulę zobaczę błyszczącą,
Niczym mały punkcik w ogniach zagubioną
Drogą wyznaczoną ku innej ziemi lecącą,
By braterstwo wrócić w światach rozproszonych.

Fragment wiersza W. Briusowa Pri elektriczestwie (1912).

W latach późniejszych, porewolucyjnych, składając dań fantastyce w poezji i prozie, Briusow napisał w 1918 roku satyryczne opowiadanie Nie wskrzeszajcie mnie, wymierzone przeciwko dehumanizacji badań naukowych, przewidując niejako aktualny dziś problem granic ingerencji w bardziej złożone zespoły psychofizjologiczne, składające się na niepowtarzalną osobowość człowieka.

Jednocześnie trwał proces rozwoju baśni fantastycznej. Według przyjętych wzorów poetyki romantycznej, która uwzględnia współistnienie dwu przeciwstawnych sobie światów — świata marzeń i świata rzeczywistego, Aleksander Grin napisał w 1913 roku opowiadanie Zdarzenie na ulicy Psa, interesujące raczej jako punkt wyjściowy do odczytania twórczej ewolucji przyszłego autora powieści: Krisołow, Blestajuszczij mir, Biegnąca po falach. „Purpurowe żagle" poetyckiej fantazji Grina rozwinęły się pod naporem silnych wiatrów porewolucyjnego dziesięciolecia. Rozkwit bowiem jego twórczości

przypadł na lata dwudzieste.

Okres ten jest znamienny pojawieniem się pierwszych klasycznych utworów radzieckiej fantastyk. Wśród nich „awanturniczo-fantastycznych” (określenie samego autora) powieści Aleksego Tołstoja: Aelita i

Wynalazek inżyniera Garina, i napisanych według starych, klasycznych tradycji — powieści geograficznych akademika W. Obruczowa: Płutonija, Ziemia Sannikowa, oraz licznych utworów Aleksandra Bielajewa.

W Wynalazku inżyniera Garina i w bliskim mu treścią opowiadaniu Związek pięciu, będącym jak gdyby szkicem powieści, pisarz demaskuje w sposób satyryczny wielkich amerykańskich finansistów, dążących do wykorzystania osiągnięć nauki w celu przechwycenia władzy nad całym światem. Postacie są nakreślone groteskowo, karykaturalnie, co odpowiada umownym literackim chwytom rozpowszechnionej w owych latach społeczno-fantastycznej powieści-pametu z jej postrzępioną kompozycją, szybko rozwijającą się akcją, z gęstym przeplataniem się wątków urywających się — w momencie najwyższego napięcia emocjonalnego. W Związku pięciu nowi dyktatorzy, nie zadowalając się zburzeniem Księżyca, szantażują ludzkość grozą mającego nastąpić zderzenia Ziemi z kometą Bielą. Ciekawe, że kometa o tej samej nazwie zapowiada kieskę żywiołową także we wspomnianej przedtem powieści Odojewskiego, która jak widać, była A. Tołstojowi znana.

Pierwszym z radzieckich pisarzy, którzy całkowicie poświęcili się fantastyce, był Aleksander Bielajew. W latach 1925–1941 opublikował on ponad pięćdziesiąt utworów (w tym przeszło dwadzieścia powieści i opowieści), które ukazują w różnych aspektach otwierające się drogi i możliwości najbardziej obiecujących nauk (biologia, medycyna, genetyka, kosmonautyka). Wyjątkowa popularność Bielajewa (zważywszy, że nie był on wielkim artystą), tłumaczy się umiejętnością wizjonerskiego niemal wyprzedzania faktów i mistrzowskiego budowania dynamicznej akcji. W cyklu opowiadać Izobrietienija profiesora Wagnera na temat odważnych eksperymentów rosyjskiego biologa, który nauczył się przezwyciężać ograniczenia, jakie ludzkiemu organizmowi stworzyła przyroda, Bielajew łączy niezwykłe przygody z oryginalnie umotywowanymi hipotezami. Do tego cyklu należy również opowiadanie Człowiek, który nie śpi, ukazujące wszystkie najszlachetniejsze wartości naukowych marzeń Bielajewa i swoisty dla niego sposób przedstawiania charakterów i konfliktów zmagających się sił.

W następnych latach radziecka fantastyka realizowała pragnienia Maksyma Gorkiego: „dawać nie tylko ostateczny rezultat ludzkiej myśli i doświadczenia, lecz wprowadzać czytelnika w tok procesu pracy badawczej, stopniowo pokazując pokonywanie trudności i poszukiwanie prawidłowej metody” (artykuł O tiemach 1933). Te postulaty wielkiego pisarza były wprawdzie adresowane do autorów książek popularnonaukowych, lecz stały się również orężem dla fantastów. Dążenia do przedstawiania nauki i techniki „nie jako magazynu gotowych odkryć i wynalazków, lecz jako areny walk, gdzie konkretny człowiek przezwycięża napór materii i tradycji” (z tegoż artykułu) — odpowiadało potrzebom czasu.

Rozpowszechniła się także, oparta na realistycznych, przesłankach, naukowo-fantastyczna powieść wybiegająca w przyszłość o kilka dziesięcioleci, poświecona wykorzystaniu odkryć, wielkiej budowie w warunkach nowego ustroju społecznego, przekształcaniu przyrody i klimatu na ogromnych obszarach Syberii, Arktyki czy pustyń środkowo— azjatyckich. Niestety, woluntarystyczne podejście do bardziej skomplikowanych problemów (z pominięciem czynników ekologicznych) dyskredytowało w późniejszym okresie koncepcje niektórych uznanych i nawet cenionych utworów. Tak samo zresztą w świecie badań kosmicznych zestarzały się pod względem problematyki moralnej przygodowo-poznawcze powieści na temat opanowania planet Wenus i Marsa.

Niezmiernie skomplikowana mapa świata, ogromne osiągnięcia w dziedzinie fizyki, biologii, cybernetyki, narodziny nowych gałęzi wiedzy z pogranicza poszczególnych nauk, przesłoniły fantastykę „realną”, uwzględniająca „granice możliwości”. Ocalały dla potomnych tylko lepsze książki, wolne od

ciasnego praktycyzmu. Wśród nich — wydane w latach czterdziestych Rasskazy o nieobyknowiennom znanego paleontologa i geologa Iwana Jefremowa (1907–1972), który zwykłe przygody zastąpił „przygodami myśli”, co nawiasem mówiąc odpowiadało postulatom Gorkiego. Z wielkim przekonaniem i zapałem Jefremow potwierdza materialistyczne widzenia świata, odkrywa plastycznie, z artyzmem subtelną dialektyczną współzależność nie poznanych zjawisk przyrody, zdobyczy nauki i kultury w ich historycznej kolejności następstw. Bohaterowie opowiadań, zetknąwszy się z niewiadomym, nieoczekiwanie znajdują rozwiązanie zagadki dzięki zestawieniu kilku współdziałających czynników. Tak na przykład w Jeziorze Ducha Gór legenda ludowa działa na wyobraźnię artysty-malarza, który utrwala dziwne odcienie pejzażu, a obraz jego z kolei zdumiewa geologa niezwykłą grą barw i skłania do poszukiwań, te zaś prowadzą do odkrycia złóż rtęci. W rezultacie bohaterowie otrzymują wiarygodne wyjaśnienie i pochodzenia legendy, i kolorytu pejzażu, i klimatycznych objawów zatrucia parą rtęci, i martwej strefy wokół jeziora, zagubionego gdzieś w górnym Ałtaju. W sposób paradoksalny zostały tu wplecione w wątek fabularny zupełnie sprzeczne, zdawałoby się, komponenty: folklor, medycyna, mineralogia. Realność założenia w tym opowiadaniu Jefremow sam podkreślił w przedmowie do późniejszego zbioru swoich utworów:„Po opublikowaniu Jeziora Ducha Gór, w Ałtaju rzeczywiście odkryto złoża rtęciowe w innych, nie związanych z obozem G. I. Gurkina, okolicznościach. To traf, nie proroctwo, znając bowiem geologię Ałtaju, byłem przekonany, że zostanie tam wykryte niejedno jeszcze złoże rtęci. Wśród ałtajskich geologów jednakże rodziła się legenda odpowiadająca treści opowiadania”.

Jedno ze szczytowych osiągnięć twórczości Jefremowa — uderzająco bogata, obfitująca w nowatorskie idee, społeczno-prognostyczna powieść Mgławicca Andromedy, której opublikowanie symptomatycznie się zbiegło z początkiem ery kosmicznej, mianowicie z wysłaniem pierwszego sztucznego satelity Ziemi — oznaczyło przełom także w historii radzieckiej fantastyki naukowej. Jej gwałtowny wzlot na początku lat sześćdziesiątych i nieprzerwany dopływ obiecujących autorów — to są zjawiska wzajemnie uwarunkowane.

Przyswojenie sobie przez pisarzy współczesnego myślenia naukowego z właściwymi mu śmiałymi hipotezami, przezwyciężenie ograniczających twórcę wymagań, z wyjątkiem oczywiście ideowo—artystycznych, odejście od problematyki technicznej na rzecz etycznej — wszystko to niezmiernie rozszerzyło tematykę i doprowadziło do późniejszej dyferencji gatunków: fantastyka społeczna, filozoficzna, polityczna, psychologiczna, techniczna, przygodowa, humorystyczna, baśniowa itp.

Szeroki jest wachlarz jej zadań i możliwości. Niektórzy teoretycy, idąc za myślą Jefremowa, uważają, że fantastyka powinna być naukowa, to znaczy opierać swoje założenia na istniejących naukowych ideach i dających się przewidzieć możliwościach techniki. Inni, na przykład bracia Strugaccy, sądzą, że nie ma i nie może być zasadniczych różnic między fantastyką naukową a nienaukową, gdyż każda z nich jest przede wszystkim literaturą i jako taka powinna mieć walory artystyczne.

Tymczasem wielu spośród pisarzy widzi w fantastyce po prostu współczesną baśń. Utalentowany poeta Wadim Szefner, mający również osiągnięcia w prozie fantastycznej, tak mówi: „Bajeczność, niezwykłość, możliwość tworzenia cudów, stawiania bohaterów w niespotykanych sytuacjach — oto co mnie przyciąga”.

Jakkolwiek różnorodna jest fantastyka, coraz wyraźniej daje się odczuwać dążenie do zwalczenia granicy dzielącej ją od tak zwanej wielkiej literatury.

Pod tym względem godne są uwagi przełożone na wiele języków powieści Arkadego i Borysa Strugackich. Nie bojąc się okrutnej prawdy, bracia współautorzy analizują skostniałe, zrutynizowane formy bytu społecznego i świadomości, hamujące ogólnoludzki postęp, a także zmuszają do zastanowienia się nad trudnymi i niebezpiecznymi zagadnieniami rozwoju cywilizacji (Trudno być bogiem, Miliard lat do końca świata, Chiszcznyje wieszczi wielka i inne).

Dobrze znany w fantastyce temat „kontaktów” służy Strugackim jako „napęd” fabularny, umożliwiający obnażenie prawdziwej wartości człowieka znajdującego się w wyjątkowych warunkach,

twarzą w twarz z Niewiadomym, podobnie jak Redryk, bohater Pikniku na skraju drogi. Żywo i plastycznie jest tu pokazany wprost niepojęty poziom techniki przybyszów z kosmosu, którzy wyprzedzili, mówiąc językiem matematycznym, o wiele porządków ziemską cywilizację. Skutki „pikniku" na poboczu galaktycznych tras (poboczem, „skrajem drogi", okazała się tu nasza planeta) zostały ujawnione niezwykle przekonywająco. A jednak nie ów „pierwszy kontakt" jest najważniejsza sprawą w powieści. Jedyna w swoim rodzaju sytuacja, jaka się wytworzyła na skutek odwiedzin, odsłania zakamarki duszy tuzinkowego, zdawałoby się, młodzieńca, którego świadomość brutalnie determinowały stosunki panujące w świecie wielkiej finansjery, a postępowanie — okoliczności, dzięki którym przekształcił się on w stalkera, stał się jednym z tych śmiałków, którzy zajmują się „pustakami" — odrzutami techniki w zatrutej strefie. I jeśli opustoszały wewnętrznie, zatwardziały Red, znający takie koszmary i potworności, przed którymi bledną męki grzeszników w najniższych kręgach Dantejskiego Pieklą, nie tylko dotarł do złotej kuli, zdolnej według legendy stalkerów spełnić każde życzenie, ale znalazł w sobie dość siły, by zawołać: „Szczęście jest darem dla wszystkich i niech nikt nie odejdzie skrzywdzony!" — to znaczy, że nie zgubił w sobie człowieka.

Poznanie jest procesem nieodwracalnym. Kryzysowe, lecz wcale nie bez wyjścia sytuacje, powstające w trakcie poznawania, pobudzają człowieka do spojrzenia im śmiało w twarz, nastrajają do walki, a nie do siedzenia z założonymi rękami i czekania, aż Przyroda sama pomści siebie lub wyzwane przez człowieka siły niszczycielskie wyrwą się jak dżin z butelki. Korelacja nauki z wysokim poziomem moralności — to jedno z ważniejszych zagadnień fantastyki, nieodłączne od problemu odpowiedzialności uczonego za skutki jego zbyt daleko idących eksperymentów.

Nie wiemy, w jaki sposób genialnemu uczonemu Fiedlerowi udało się stworzyć „otarków", zdolnych do logicznego myślenia, przyswajania sobie wiadomości, lecz pozbawionych, jak i sam ich twórca, wszelkich bodźców moralnych. Amerykański uczony zaspokoił swoją żądzę wiedzy, nie zastanawiając się, jaki będzie tego skutek, i oto stworzone przez niego otarki przekształciły się w groźną siłę. W opowiadaniu Dzień gniewu, o którym właśnie mowa, Sewer Gansowski ostro sformułował wcale nie czcze zagadnienie: „Co rzeczywiście czyni nas tym, czym jesteśmy? Zdolność do osądu, analizowania, czynienia logicznych obliczeń czy też coś takiego, co w nas wpoiło społeczeństwo, co ma związek ze stosunkiem jednej osoby do drugiej i ze stosunkiem indywiduum do kolektywu?" Jednoznaczna odpowiedź wypływa z dramatycznego konfliktu zawartego w opowiadaniu, jakże bliskiego pod względem problematyki społeczno— etycznej wymownemu utworowi Aleksandra Szalimowa Okno w nieskończoność, w którym uczony-maniak dokonuje w celach egoistycznych wiwisekcji świadomości człowieka. Wideo-zapis ukrytej w mózgu informacji, sprzężonej z pamięcią przodków, pozbawia „pacjenta" jego najskrytszego „ja", naturalnego prawa jednostki do własnego świata wewnętrznego. I oto nasuwa się pytanie, czym tenże uczony różni się od Człekopodobnych otarków?

Podobne tematy poruszał także w swojej twórczości mistrz krótkich form prozy fantastycznej, z zaskakująco paradoksalną pointą, Ilia Warszawski (1909–1974), zaprezentowany w tym wyborze smutną, liryczną nowelą W" atolu: ludzie ofiarowują swoje szczęście i życie dla dobra innych.

Kosmos jest pełen zagadek. W ekstremalnych warunkach, wymagających błyskawicznej oceny sytuacji, dokonania wyboru jedynej słusznej decyzji, człowiek jest poddany próbie, udowadnia czynem, ile jest wart i na co go stać.

W opowiadaniu Andrieja Bałabuchy Grabarz nieoczekiwany rozkaz szefa-pilota „kosmoskafu" wydaje się wielu spośród załogi kontrowersyjny lub nawet występny. Lecz został on podyktowany nie tchórzostwem ani nawet zbytnią ostrożnością, tylko wzmożonym poczuciem odpowiedzialności.

Mężny postępek w wyjątkowych warunkach staje się nieświadomym wielkim czynem; wielki czyn jako norma postępowania — heroizmem. „Powinno istnieć coś takiego, co wyróżnia bohaterów już na pierwszy rzut oka. Ludzie dokonali wielkiego czynu. W ich oczach pojawia się niezwykły blask i szybciej biją serca, kiedy zaczynają rozumieć wielkość tego, czego sami dokonali. I oto człowiek staje się

inny…”. Tak rozmyśla Siwer, dziennikarz, przygotowujący się do przekazania z Japety na Ziemię efektownego telereportażu o powrocie do systemu słonecznego ocalałych uczestników gwiezdnej ekspedycji. Pseudoromantyczne wyobrażenia Siwera, obalone przez surowa, realną rzeczywistość — to temat jednego z lepszych opowiadań Władimira Michajłowa Strumień na Japecie.

Nie myślą również o wielkim czynie bohaterowie Olgi Łarionowej, kiedy w czasie ostatnich minut przed nieuchronną zgubą udaje im się zapobiec potwornemu wybuchowi pozbawionego steru transgalaktycznego liniowca, niosącego ładunek energii równy kilku bombom wodorowym (Dotianuf do okieana).

Fantastyka stara się nie tylko wyjaśnić, ale po swojemu interpretować wszechświat. Nowy typ „czystej” SF charakteryzuje się wysunięciem paradoksalnych idei, poprawnych z punktu widzenia współczesnej logiki relatywistycznej, zadziwiających wyobraźnię niewiadomych prawidłowości czasoprzestrzennego kontinuum gdzieś w centrum galaktyki, w metagalaktyce czy w innych wymiarach.

Estetyczna zabawa umysłu to najbardziej fantastyczna hipoteza, którą bohaterowie tylko głoszą, pełniąc rolę tuby dla idei autora, prawdziwymi bowiem „bohaterami” są same idee. Jednym z przykładów na takie umysłowe eksperymenty jest Dotknięcie prawdy Władimira Sawczenki. Wątek detektywistyczny — poszukiwania zaginionego bez wieści Kałużnikowa, pracownika naukowego z Instytutu Fizyki Teoretycznej — splata się tu z nieodłącznym od akcji wyłożeniem przedziwnej teorii rezonansu, dającego „na poziomie atomowo— molekularnym… prawie niewyczerpany strumień energii, nie mniejszej niż w wyniku syntezy termojądrowej”. I żeby dowieść prawdy, fizyk, skupiwszy całą swoją wolę, każe sobie samemu wejść w rezonans… Plusk oswobodzonej materii zamkniętej w jego własnym ciele, i… oto jeszcze jeden legendarny meteoryt, zdaniem uczonych — z antymaterii, nazwany tym razem meteorytem tobolskim!

Poetyka twórczości fantastycznej wymaga potwierdzenia „zwariowanych” idei. Filozofia naturalna Kałużnikowa, wyłożona wprawdzie trochę z ironią, jest w istocie swej mniej dowolna niż jej sprawdzenie w praktyce. Na zdumiewającym przejściu od rozumowania do działania polega właśnie ów starannie przygotowany efekt.

Inny, bardziej rozpowszechniony rodzaj „czystej” SF reprezentują opowiadania i powieści, w których łączą się w jedno psychologia i logika, gdzie postępowanie bohaterów jest uwarunkowane niezwykłymi okolicznościami wypływającymi z samych założeń utworu. Tu niełatwo jest autorowi uniknąć jawnej ilustracyjności. Nie występuje ona jednak w powściągliwych pod względem stylu, intelektualnych nie powierzchownie, lecz koncepcyjnie — nowelach Dymitra Bilenkina, włączonych do autorskich zbiorów: Marsjanskij priboj (1967), Prowierka na razumnost (1974) i innych. Opowiadanie tytułowe pierwszego zbioru, Marsjański przybój, jest jednym z wcześniejszych utworów tego znanego dziś pisarza— fantasty.

Igor Rosochowatski jest autorem cyklu opowiadań o sygomach (sygom — człowiek powstały drogą syntezy), przewyższających i wyprzedzających o wiele porządków najdoskonalsze roboty. Logiczne naukowe uzasadnienie powstania sygoma i wzajemnych stosunków pomiędzy nim a jego twórcą-człowiekiem jest głównym tematem opowiadań Rosochowatskiego. W czasie tworzenia się tego cyklu, który, nawiasem mówiąc, wywołał niemało sporów, pojawiły się opowiadania o przewidywanych możliwościach biologii w dziedzinie przeróbki i ulepszania ludzkiego organizmu, jak to kiedyś robił u Bielajewa znakomity profesor Wagner. W opowiadaniu Tor I pisarz demonstruje w działaniu nowe, nabyte cechy uczonego, który potrafi zmienić swoją tkankę nerwową, przyspieszyć wielokrotnie przebieg impulsów i tym samym podnieść jakby do entego stopnia wydajność, produktywność swego nieprzeciętnego intelektu.

W literaturze, tak jak i w życiu, nic nie występuje w absolutnie czystej postaci, zachodzi bowiem nieprzerwana dyfuzja gatunków. Nierzadko zatem w twórczości jednego pisarza przeplatają się różne kierunki SF, czasem nawet w tym samym utworze. Rezygnacja z logicznych uzasadnień naukowego czy

quasi-naukowego założenia zbliża fantastykę naukową do współczesnej baśni literackiej. Ciekawe jest spojrzeć, jak na siebie współ-oddziałują i jak się wzajemnie wzbogacają.

„Legendy i apokryfy” — posłużyłem się tu trafnym określeniem Bielajewa — znajdują wyraz w pięknej, być możne zbyt pięknej fantazji Michaiła Griesznowa: kwiaty jako urządzenia odbierające muzykę sfer niebieskich, l nie tylko muzykę, lecz także przekazy telewizyjne z zamieszkanych i rozwiniętych w dziedzinie nauki i techniki planet — w pełnej harmonii z dźwiękiem każdej gwiazdy. Ile na świecie istnieje kwiatów, tyle jest gwiazd! Wystarczy tylko mieć gwiazdofon skonstruowany przez wynalazcę Bielskiego — i piękno stanie się dostępne dla wszystkich (O czym mówią tulipany). Z drugiej znów strony Kirył Bułyczow nie trudzi się żadnymi uzasadnieniami, osłaniając nierealność założeń prawdopodobieństwem odtwarzanego obrazu codziennego bytu współpracowników stacji chronoskopowej w kosmosie. Gromadzą się zdarzenia sprzed niemal tysiąca lat, zachodzące na terytorium dzisiejszej Birmy. Kapłani zamierzają złożyć w ofierze bogom przepiękną dziewczynę. W jaki sposób młody uczony Ticke potrafił wejść w ekran chronoskopu i tym samym znaleźć się w przeszłości, żeby ratować dziewczynę — pozostaje zagadką i nie wymaga objaśnień (Konsekracja).

Przyswojenie przez fantastykę baśniowych założeń i obrazów przybliża ją do tradycji twórczości ludowej. Heroiką surowych lat wielkiej wojny ojczyźnianej z hitleryzmem jest owiany poemat proza Władimira Szczerbakowa Krasnyje koni. Sama treść legendy, jej tonacja, budowa metaforyczna — przywodzą na pamięć rosyjski epos o charakterze byliny.

Skoro już mowa o baśniach fantastycznonaukowych (zestawienie tych określeń może się wydać dziwne) — to opowiadanie Po co człowiek żył? chciałbym przeanalizować w ogólnym kontekście twórczości Wiktora Kołupajewa. Kryształowa moralność, przemożna czystość emocji leżą u źródeł jego zamysłu pisarskiego, gdzie następuje, nie tak przecież częsty w fantastyce, zbieg dwu zasad: estetycznej i etycznej. Człowiek w utworach Kołupajewa może podyskutować z losem, wrócić do czasów dzieciństwa, spotkać się z tymi, którzy na zawsze odeszli z życia, przerwać łańcuch przyczynowo-skutkowy niepożądanych, niepotrzebnych zdarzeń których nie potrafił w porę uniknąć. I podobnie jak niezwykłe doświadczenia, prowadzone w Instytucie Czasu, służą jako pretekst dla ukazania problemów moralnych, tak i w tym opowiadaniu prawdziwy artysta wchodzi w świat, by pomnożyć piękno i dobro, a nie dla uzyskania pieniędzy i sławy. I oto przejrzysta alegoria: nieszczęśliwy, pokrzywdzony Czesnokow z samozaparciem tworzy \v dalszym ciągu i dzięki swym niepojętym zdolnościom wprowadza tylko co zrodzone utwory do świadomości nieudolnych pismaków, którzy publikują je pod swoim nazwiskiem…

Coraz trudniej dziś rozgraniczyć fantastykę naukową od nienaukowej. Quasi-naukowy sztafaż towarzyszy także baśni fantastycznej, a tradycyjna SF coraz mniej jest zainteresowana uzasadnianiem naukowych idei i prognoz. Może dlatego Wadim Szefner widzi w fantastyce „przedłużenie poezji”. „Jeśli się zastanowić — wyjaśnia — to poezja i fantastyka podlegają tym samym prawom, z tym że fantastyka wykorzystuje je w szerszym aspekcie czasu i przestrzeni. Mówiąc na temat fantastyki, rozumiem pod tym określeniem nie tak zwaną fantastykę naukowo-techniczną, lecz tę, która wywodzi się z pojęcia fantazja” (z przedmowy do powieści Diewuszka u obrywa). W utworach Wadima Szefnera cudowność towarzyszy codzienności życia, w niektórych przypadkach nie wymaga ona wyjaśnień, w innych otrzymuje uzasadnienie, które łagodnie parodiuje schemat;SF, w innych jeszcze ma tylko umowne, ledwie zaznaczone tradycyjnie fantastyczne założenia.

Przy pozornej prostocie ironiczna proza Szefnera ma głęboki sens. Jego baśnie dla dorosłych (jedną z nich jest Skromny geniusz), na swój sposób pouczające, nasycone humorem, przekazują czytelnikom marzenie o harmonijnym, pięknym świecie, w którym „każdy człowiek może być sobą, nie rezygnując z własnej godności i nie wywyższając się nad innymi.

Im więcej się człowiek zastanawia nad fantastyka, tym bardziej wydaje mu się ona skomplikowana i wieloraka. Dysponuje szeroką skalą tematów, dużymi możliwościami artystycznej realizacji i twórczych założeń. W miarę możliwości stara się przygotować ludzkość do ostrych wiraży historii, przeciw którym

człowiek w ostatecznym rachunku ma jeden jedyny oręż: moralną siłę duchową, męstwo, zdrowy rozsądek, szlachetność.

Fantastyka jest wszechobejmująca i w rzeczy samej nieograniczona, jak nieograniczony jest twórczy umysł. Wyraża nadzieje i niepokoje ludzkości, marzenia o dobrym jutrze i przestrogę przed grożącymi nieszczęściami i katastrofami. Przypuszczenie fantastyczne — to tylko zlepek tego, z czym się spotykamy dziś lub z czym się możemy zetknąć jutro.

Posłowie do niniejszego wyboru zakończę aforystycznymi strofami z wiersza Wadima Szefnera:

Patrzcie się w swoje odbicie, W ocean dni niewiadomych, Fantastyka — dalszy bieg życia, To jawa ze snów narodzona. Jewgienij Brandis

Noty o autorach

ANDRIEJ BAŁABUCHA (ur. 1947 w Leningradzie) — jest z wykształcenia topografem, pracuje jako inżynier projektant. Autor wielu artykułów i recenzji o fantastyce naukowej. Opublikował kilkanaście opowiadań SF w wydaniach zbiorowych i almanachach. Opowiadanie Grabarz (tyt. oryg. Rieszenije) pochodzi z periodyku poświęconego literaturze fantastycznonaukowej i przygodowej „Iskatiel" r. 1975, nr 5.

ALEKSANDER BIELAJEW (1884–1942) — jeden z najwybitniejszych i najpłodniejszych radzieckich pisarzy fantastów, zwany przez krytyków „radzieckim Juliuszem Verne". W latach dwudziestych stworzył podwaliny pod fantastykę naukową w Związku Radzieckim. W młodości był aktorem, prawnikiem, dziennikarzem. Twórczością literacką zaczął się zajmować już jako dojrzały człowiek. Debiutował w r. 1914 sztuką Babuszka Mojra, ale pierwsze opowiadanie SF pt.: „Galowa profiesora Dolella ogłosił drukiem w r. 1925 i już do końca pozostał wierny fantastyce naukowej. W ciągu piętnastu lat pracy twórczej wyszło spod jego pióra siedemnaście powieści, dziesiątki opowiadań, setki artykułów i szkiców. Najbardziej znane utwory to: Ostrów pogibszych korabiej (1926), Czełowiek amfibija (1928), Zwiezda KEC (1936), Ariel (1941). Książki A. Bielajewa były tłumaczone na wiele języków i wielokrotnie wznawiane w Związku Radzieckim. W latach 19631964 w wydawnictwie „Mołodaja Gwardija" ukazała się ośmiotomowa edycja jego Dzieł zebranych. Opowiadanie Człowiek, który nie śpi (tyt. oryg. Czełowiek kotoryj nie spał) pochodzi z VIII tomu Dzieł zebranych, a po raz pierwszy ukazało się w wymienionym zbiorze Celowa profiesora Dolełła.

DYMITR BILENKIN (ur. 1933) — geolog-geochemik z wykształcenia, pracuje jako dziennikarz, zajmuje się publicystyką naukową. Brał udział w kilku ekspedycjach geologicznych. Jest autorem wielu książek popularnonaukowych. Pierwsze opowiadania SF opublikował w r. 1958, pierwszy zbiór opowiadań pt.: Marsjanskij priboj w r. 1976. Kolejne zbiory tego autora to: Nocz kontrabando} (1971) i Prowierka na razumnost (1974). Czytelnikowi polskiemu znany jest z licznych opowiadań, drukowanych w „Problemach" oraz w almanachu Kroki w nieznane. Opowiadanie Marsjański przybój pochodzi z wyżej wspomnianego debiutanckiego tomu D. Bilenkina.

WALERY BRIUSOW (1873–1824) — wybitny poeta, powieściopisarz, tłumacz i krytyk literacki. Pochodził z rodziny kupieckiej, o dużych tradycjach kulturalnych. Pisał od wczesnej młodości. Największy rozgłos jako poeta zdobył w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Był trybunem rosyjskich symbolistów. W latach 19041908 redagował pismo „Wiesy". Był inicjatorem nowych form poetyckich, autorem prac z zakresu poetyki, a także rozpraw o poezji oraz studiów o A. S. Puszkinie. Kiedy liczył czterdzieści lat, przystąpiono do wydawania dwudziestopięciotomowej edycji jego Dzieł zebranych. Wiele miejsca w imponującym dorobku W. Bniusowa zajmują wątki fantastyczne, społeczno-utopijne i zagadnienia związane z postępem nauki. Klasyczną już pozycją w dorobku rosyjskiej i radzieckiej fantastyki jest zbiór opowiadań i dramatów Ziemna ja oś (1907). W dorobku W. Briusowa jest także wiele rozpraw teoretycznych na temat fantastyki Opowiadanie Wie wskrzeszajcie mnie (tyt. oryg. Nie umskrieszajtie mienia, 1918) pochodzi z czasopisma „Tiechnika — Mołodioży" r. 1963, nr 3.

KIRYŁ BUŁYCZOW (właść. Igor Możejko) — kandydat nauk historycznych, specjalista w dziedzinie historii Dalekiego Wschodu, autor szeregu prac o kulturze Birmy. Od 1965 r. uprawia także twórczość fantastycznonaukową. Jego debiutem książkowym w tej dziedzinie jest powieść dla dzieci Posledniaja wojna (1970). Kolejne pozycje z zakresu SF to zbiory opowiadań: Czudiesa w Gusłarach (1972), Ludi kak łudi (1974; tłum. poi. Ludzie jak ludzie 1975) i powieść dla dzieci Diewoczka z Ziemli (1974; tłum. pol. Podróże Alicji 1978) oraz przełożona na polski powieść Żuraw w garści (1977). Opowiadanie Konsekracja (tyt. oryg. Oswiaszczenije chroma Ananda) pochodzi z wyżej wspomnianego tomu Czudiesa w guslarie. Wiele opowiadań: Czudiesa w Guslarach (1972), Ludi kak ludi zyk polski i

publikowano w „Przeglądzie Technicznym".

SEWER GANSOWSKI (ur. 1918 w Kijowie) — w młodości pracował jako chłopiec okrętowy i marynarz w Murmańsku, później jako doker i elektromonter w Leningradzie, gdzie ukończył wieczorową szkołę dziesięcioletnią. W 1941 r. poszedł jako ochotnik na front. Był snajperem i zwiadowcą w piechocie morskiej, odniósł ciężkie rany. Po wojnie wrócił do Leningradu i ukończył fakultet filologiczny miejscowego uniwersytetu. Obecnie mieszka w Moskwie. Swoje utwory — opowiadania i dramaty — zaczął drukować w latach pięćdziesiątych. Niektóre z jego sztuk teatralnych, jak np. Siewiero zapadnieje Bierlina czy Nas było 20 — otrzymały najwyższe nagrody na ogólnoradzieckich i międzynarodowych konkursach. Pierwszy zbiór opowiadań fantastycznonaukowych pt.: Szagi w nieizwiestnoje wydał w r. 1963. Następne jego zbiory to: Szest gienijew (1965), Tri szaga k opasnosti (1969), Idiot czelowiek (1971). Opowiadanie Dzień gniewu (tyt. oryg. Dien gniewa) pochodzi ze wspomnianego tomu Szest gienijew. Polskiemu czytelnikowi autor znany jest z kilku opowiadań oraz z powieści Część tego świata, drukowanej w „Problemach", r. 1978, nr l3.

ALEKSANDER GRIN (właść. Hryniewski, 1880–1932) — syn Polaka Stefana Hryniewskiego, powstańca z 1863 r. Karierę pisarską A. Grina poprzedziły burzliwe koleje losu — był włóczęgą, tragarzem, drwalem, marynarzem. W wojsku związał się z ruchem rewolucyjnym, za co był więziony i trzykrotnie skazany na zesłanie. Debiutował tomem opowiadań Szapka niewidimka (1908). Swe najwartościowsze utwory napisał po rewolucji październikowej. Wydał m.in. zbiory opowiadań i powieści: Alyje parusa (1923, tłum. poi. Szkarlatne żagle, 1958), Blestajuszczij mir (1924), Zołotaja cep (1925, tłum. poi. Zloty łańcuch), Gladiatory (1925), Bieguszczaja po wolnam (1928, tłum. poi. Biegnąca po falach, 1971). W 1959 r. ukazał się w Polsce zbiór jego opowiadań Pieklo odzyskane (Wozwraszczonnyj ad), a w 1971 r. Opowiadania niesamowite. Wszystkie utwory Grina są przesiąknięte charakterystycznym dla tego pisarza klimatem romantycznej fantastyki, operującej szeroką skalą nastrojów, oryginalną stylistyką, swoistą hiperbolizaeją obrazów.

Opowiadanie Zdarzenie na ulicy Psa (tyt. oryg. Proisszestwije na ulice Psa) zostało zaczerpnięte z edycji: Sobranije soczinienij w szesti tomach, Moskwa 1965, t. V.

MICHAIŁ GRIESZNOW (ur. 1916 w Rostowskiem) — ukończył Krasnodarski Instytut Pedagogiczny, pracował przez wiele lat jako nauczyciel. Swoje utwory zaczął publikować pod koniec lat pięćdziesiątych. Pierwsze opowiadanie SF, Zoloioj lotos, ukazało się w 1980 r. w czasopiśmie „Uralskij Sledopyt", pierwsza książka, opowiadania liryczne Tri wstrieczi, 1962 r. w Stawropolu. W 1967 r., w Nowosybirsku, wyszedł pierwszy jego zbiór opowiadań SF: Obratnaja swiaź, a w 1974, w serfi Biblioteka sowisiskoj Jantastiki, drugi: Wolszebnyf kołodiec. Opowiadanie O czym mówią tulipany (tyt. oryg. O czom gowofiat tiulpany) pochodzi z almanachu Fantastika 72, Moskwa 1972.

IWAN JEFRIEMOW (1907–1972) — jest jednym z najwybitniejszych przedstawicieli powojennej fantastyki radzieckiej, inicjatorem odrodzenia tego gatunku prozy w Związku Radzieckim na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Geolog z wykształcenia, jest Jefriemow autorem wielu wartościowych prac naukowych i popularnonaukowych. Debiutował w r. 1344 zbiorami nowel Wstriecza nad Tuskararoj oraz Piat rumbów. W r. 1948 wydał powieść Zwiezdnyje korabli. Dalsze dwie — Na kraju Oumieny (1949) i Putieszestwije Baurdżeda (1953) — złożyły się: na dylogię Wielki luk. Szczególny rozgłos przyniosła mu wydana w 1957 r., wielokrotnie wznawiana i przetłumaczona na wiele języków powieść Mgławica Andromedy (wyd. poi. 1961, 1963, 1965, 1968), stanowiąca swoistą filozoficzno-społeczną syntezę idei komunizmu. Kolejne książki to Lezwije britwy (1963, powieść), Sierdce zmiei (1964, opowiadania), Czas Byka (1970, powieść) i opublikowana pośmiertnie powieść Tais Afinskaja (1973). W r. 1975 Wydawnictwo „Mołodaja Gwardija" wydało w pięciu tomach Dzieła zebrane I. Jefriemowa. W Polsce, oprócz wspomnianej Mgławicy Andromedy, ukazało się w latach 1949–1955 kilka zbiorów opowiadań tego pisarza. Opowiadanie Jezioro Ducha Gór (tyt. oryg. Oziero Górnych Duchów) pochodzi z w. wym. tomu Sierdce zmiei.

WIKTOR KOŁUPAJEW (ur. 1936 w Altanie, Jakucka ASRR) — mieszka od 1954 r. w Tomsku, gdzie ukończył wydział radiotechniki w Instytucie Politechnicznym. Pierwsze opowiadanie fantastyczno-naukowe Bilet w dietstwo opublikował w miesięczniku „Wokrug Swieta" w 1969 r. Następnie drukował swoje opowiadania w czasopismach oraz w almanachach: Fantastika 69/70 i Fantastika 71. Opowiadanie Po co człowiek żył (tyt. oryg. Zaczem żył czełowiek) pochodzi z debiutanckiego tomu autora Słuczitsia że s czełowiekom takoje!... (Bibliotieka sowietskoj fantastiki, Moskwa 1972). W r. 1975, wraz z D. Konstantonowskim i G. Prankiewiczem, wydał w Nowosybirsku zbiór opowiadań SF: Oszybka sozdatiela.

OLGA ŁARIONOWA (ur. 1929) — mieszka w Leningradzie, debiutowała w fantastyce naukowej w połowie lat sześćdziesiątych. Reprezentuje odmianę psychologiczną tego gatunku. Jest autorką jednej powieści — Leopard s wierszyny Kilimandżaro, oraz wielu opowiadań.

Pierwszy własny zbiorek — Ostrów mużestwa — wydała w 1975 r. w Leningradzie. Drukowała także opowiadania w almanachach i wydaniach zbiorowych. Opowiadanie Nad morzem, gdzie kończy się ziemia (tyt. oryg. U moria, gdie kraj ziemli) pochodzi z takiego właśnie zbioru pt.: Wtorżenije w Piersiej (Leningrad 1968).

WŁADIMIR MICHAJŁOW (ur. 1929) — z wykształcenia prawnik, pracując ukończył następnie studia filologiczne i od 1957 r. zaczął drukować utwory satyryczne. Pierwszą powieść fantastycznonaukową Osoba ja nieobchodimost wydał w 1962 r. w Rydze. Dalsze jego książki ukazały się także w wydawnictwach łotewskich: Ludi priziemielja (1966), Czarny je żurawli (1967), Ludi i korabli (1967), Istok (1972), Storoż bratu mojemu (1976). Opowiadanie Strumień na Japecie (tyt. oryg. Ruczej na Japietie) pochodzi ze zbioru pod tym samym tytułem, wydanego w serii: Biblioteka sowietskoj fantastiki, Moskwa 1971.

IGOR ROSOCHOWATSKI (ur. 1929 w Czerkaskiem) — pracuje jako korespondent kijowskiej gazety „Junyj Leniniec". Z wykształcenia jest pedagogiem. Pierwsze opowiadanie fantastycznonaukowe opublikował w r. 1959. Wydał następujące zbiory: Zagadka Akuly (1962), Wstriecza wo wriemieni (1963), Istok istofii (1966), Sprawa komandora (1967, w jaz. ukraińskim), Kakim ty wiernioszsia (1971). Pisze również wiersze i utwory przygodowe. Wspólnie z A. Stoginem napisał książkę popularnonaukową pt.: KD-kibiernieticzeskij dwojnik (1975). Opowiadanie Tor 1 (tyt. oryg. Tor. I) pochodzi z w. wym. zbioru Istok istorii.

WŁADIMIR SAWCZENKO (ur. 1932 w Połtawie) — mieszka w Kijowie. Z zawodu jest inżynierem elektronikiem. Pierwsze opowiadania SF zaczął drukować pod koniec lat pięćdziesiątych. Pierwszą powieść Czornyje zwiozdy wydał w 1960 r. Publikował opowiadania w almanachach Fantastika: Probużdienije profiesora Berna, Wtoraja ekspiedycyja na strannuju płaniettu, (tłum. poi. w zbiorze Alfa Er.idana, Iskry 1982), Algoritm uspiecha oraz sztukę Nawoje orużje. W r. 1967 wydał powieść Otkrytije siebia (tłum. poi. Odnajdziesz się sam 1975). Utwory swoje Sawczenko pisze także w jęz. ukraińskim. Dotknięcie prawdy (tyt. oryg. Ispytanije istinoj) pochodzi z XXV tomu z serii Bibliotieka sawriemiennoi fantastiki, Moskwa 1973.

ARKADY STRUGACKI i BORYS STRUGACKI — Arkady (ur. 1925) jest filologiem j.aponistą, jego brat Borys (ur. 1933) ukończył Wydział MechanicznoMatematyczny na Uniwersytecie w Leningradzie. Strugaccy są zaliczani do najwybitniejszych twórców literatury SF w Związku Radzieckim, cieszą się również popularnością poza granicami swego kraju. Ich książki są tłumaczone na wiele języków. Pierwsza napisaną wspólnie książką Strugackich jest wydana w r. 1959 Kraina purpurowych obłoków (wyd. poi. 1961, 1964). Dojrzały kształt twórczości osiągnęli autorzy w wydanej w r. 1964 powieści Trudno być bogiem (wyd. poi. 1974). Ponadto w polskim przekładzie ukazały się: Poniedziałek zaczyna się w sobotę (1970), Przenicowany świat (1971), Sprawa zabójstwa (1972), Piknik na skraju drogi (1974, i wraz z opowiadaniem Las — 1977), Koniec akcji Arka (1975). Niebawem ukażą się u nas w edycji książkowej powieści: Chłopiec z przedpiekla (drukowana w odcinkach w „Świecie Młodych")

i Milion lat przed końcem świata (drukowana w odcinkach w „Tygodniku Demokratycznym”). Zamieszczony w niniejszej antologii fragment powieści Piknik na skraju drogi był drukowany jako opowiadanie (tyt. oryg. Piknik na oboczinie) w XXV tomie z serii Bibliotieka sowriemicnnoj fantastiki, Moskwa 1973.

ALEKSANDER SZALIMOW — urodził się i mieszka w Leningradzie, jest geologiem z wykształcenia, autorem wielu powieści i opowiadań SF. Debiutował w r. 1962 książką Tajna griemiaszczej rasszczeliny. WydaJ sześć zbiorów opowiadań. Najbardziej znane z nich to: Kogda moiczat ekrany (1965), Tajna Tuskarory (1967), Cena biessmiertija (1970, Strannyj mir (1972). Opowiadanie Okno w nieskończoność (tyt. oryg. Okno w bieskoniecznost) pochodzi z tego ostatniego tomu. W Polsce opowiadania Szalimowa były drukowane w nast. antologiach: Ostatni z Atlantydy, Formuła nieśmiertelności, Dudzie i gwiazdy oraz w almanachu Kroki w nieznane.

WLADIMIR SZCZERBAKOW — jest jednym z najbardziej utalentowanych fantastów radzieckich młodego pokolenia. Drukuje swoje opowiadania od 1961 r. w czasopismach „Znanije i Siła”, „Tiechnika — Mołodioży”, „Nauka i Żyzń” oraz w licznych almanachach i wydaniach zbiorowych. Debiutem autora jest zbiór Krdsnyje koni (Bibliotieka sowietskoj iantastiki, Moskwa 1976). W 1968 r. Szczerbakow uzyskał nagrodę na międzynarodowym konkursie autorów SF w Warszawie. Polskiemu czytelnikowi znany jest z opowiadań drukowanych w

„Problemach”. Opowiadanie Zielony pociąg (tyt. oryg. Zielonyj pojezd) pochodzi z almanachu Fantastika 75/76, Moskwa 1976.

WADIM SZEFNER (ur. 1915 w Leningradzie) — jest znanym poetą. Drukuje swoje utwory od 1936 r. Pierwszy tom wierszy Jasnyj bierieg wydał w 1940 r. W dorobku swym ma dziś kilka zbiorów poezji oraz książek dla dzieci. W późniejszym okresie twórczości zainteresował się fantastyką naukową. Wydał kilka zbiorów opowiadań SF: Sczastliwyj nieudacznik (1965), Zapozdałyj striełok (1968), Diewuszka u obrywa (1971), Skromnyj gienij (1974). W 1975 r. ukazała się w polskim tłumaczeniu w wydawnictwie „Iskry” jego powieść Kulista tajemnica. Opowiadanie Skromny geniusz zostało zaczerpnięte z wyżej wspomnianego tomu pod tym samym tytułem…

ALEKSY TOŁSTOJ (1883–1945) — pochodził ze zubożałej rodziny szlacheckiej. Studiował w Instytucie Technologicznym w Petersburgu, potem na Politechnice w Dreźnie. Studia porzucił dla literatury. Debiutował w 1807 r. tomikiem wierszy Liryka. Od 1908 r. zajmował się twórczością prozatorską. Najbardziej znane w jego dorobku dzieła to: Droga przez mękę (trylogia pisana w latach 19221941) r powieść historyczna Piotr I (19291945). Dzieła te zostały uhonorowane nagrodami państwowymi w łatach 1941 i 1943, a autor udekorowany Orderem Lenina. A. Tołstoj jest także autorem powieści fantastycznonaukowych, które odegrały ogromną rolę w rozwoju radzieckiej fantastyki w latach dwudziestych. Są to: Aelita (1923), Wynalazek inżyniera Garina (1925) — obie przetłumaczone na język polski. Opowiadanie Związek pięciu (tyt. oryg. Sojuz piati) napisane w 1924 r., zostało zaczerpnięte z IV ton, u Dziel zebranych Tołstoja, Moskwa 1953.

ILJA WARSZAWSKI (1909–1976) — z zawodu marynarz, w 1929 r. ukończył Lenlngradzką Szkołą Morską. Był sternikiem we flocie handlowej, potem inżynierem konstruktorem w jednej z leningradzkich fabryk. Debiutował w 1929 r. szkicami z podróży morskiej — Wokrug święta bież bileta, napisanymi wspólnie z bratem i Mikołajem Slepniewem. Po przeszło trzydziestu latach zadebiutował w dziedzinie fantastyki opowiadaniem Oko i glos. Odtąd regularnie publifcował, najpierw w czasopismach, potem w wydaniach książkowych, utrzymane w tonie pogodnej groteski, opowiadania SF. Wydał pięć zbiorów opowiadań: Molekularnoje kafie (1964), Solnce zachodit w Donomagie (1966), Czelowiek kotoryj widiel antymir (1965) Ławka snowidienij (1970), Triewożnych simptorrww niet (1972). Opowiadanie W atolu (tyt. oryg. W atolle) było drukowane w XIV tomie z serii Bibliotieka sowriemiennoj fantastiki, Moskwa 1967.

Opracował Jerzy Kaczmarek